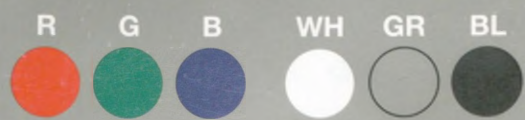


Part Code
ST1316



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





ZE SZKOŁY STAŃCZYKOWSKIEJ.

ZE SZKOŁY STAŃCZYKOWSKIEJ.

Od satyry politycznej: *Teka Stańczyka*, zawartej w siedemnastu numerach, umieszczonej w *Przeglądzie Polskim* od maja do grudnia 1869 r., powstała nazwa: *Stańczyki*, często używana, najczęściej nadużywana.

Tekę Stańczyka pisali: Stanisław Tarnowski, Józef Szujski, Ludwik Wodzicki, Stanisław Koźmian. Dała ona początek szkole politycznej, następnie stronnictwu. Była jednak tylko rozpoczęciem dzieła. Wyżej wymienieni, piórem, słowem, czynem pracowali i walczyli dla zasad i kierunku szkoły oraz stronnictwa, przez długie lata, w niezliczonych zapasach z przeciwnikami, z obojętnymi, czasem ze zwolennikami. Zapasy te piórem i słowem rozproszone są przeważnie w miesięcznych i codziennych pismach, gdyż były niemal codziennymi. Niepodobna je zespolić w książkową całość, raczej możnaby z nich utworzyć księgozbiór.

Obszerne przedstawienie działalności *Szkoły Stańczykowskiej* znajduje się w trzecim tomie mojej książki: *Rzecz o roku 1863*.

Szkoła Stańczykowska zastąpiła bałwochwalstwo narodu polskiego w przeszłości i teraźniejszości, trzeźwym o nim sądem; schlebianie mu, wytykaniem wad; tchórzostwo wobec współobywateli obywatelską odwagą; spisek jawnością; powtarzające się, bezużyteczne, zgubne, zbrojne powstania, lub częste objawy, niustającą pracą narodową. Wytknęła narodowi polskiemu drogę między szaleństwem a zubożeniem. — Wskazała jak należy być narodem, nie będąc państwem.

Niektóre pisma moje zawierające myśl *Szkoły Stańczykowskiej* tu zebrane, dadzą wyobrażenie o jej treści, duchu i celach.

28518 | 2

CZĘŚĆ „TEKI STAŃCZYKA”

napisana przez

Stanisława Koźmiana.



Nr. 5.

List Brutusika (ex-ministra).

*Z Gawronowa*¹⁾, 22/20 9681.

Pankrasiu mego serca! Katonie tego zepsutego wieku! Gdzie jesteś? co robisz? wracają się nasze dawne czasy. Ojczyzna święta twoja kochanka podaje się twoim rękoma, żąda twego współdziałania i kierownictwa. Wiem, że nie śpisz, o nie, ludzie tacy śpią z otwartymi oczyma. Ty działasz, ty pracujesz, ty dałeś nura, aby wypłynąć jak Lewiatan na przestrzeni fal, buchając fontannami ducha narodowego, tryskającymi z twojej piersi zbawiciela i przywódcy ludu!²⁾

W tych kilku latach odkąd reakcja i zaprzaństwo idei narodowej wywróciły naszą władzę w imię idei, a wywróciły dlatego, że nie pomni na przestrogi Mo-

¹⁾ Krakowa.

²⁾ Pierwszy ustęp tego listu od słów: Pankrasiu mego serca! — do — i przywódcy ludu! oraz ustęp końcowy od słów: Być że to może — do — odcisk tej znanej ci dobrze pieczęci! są pióra Stanisława Tarnowskiego.

chnackiego, nie poszliśmy dosyć radykalnymi środkami, od tej chwili, ileśmy nie okazali zdolności, taktu politycznego, przebiegłości prawdziwych mężów stanu, którymi byliśmy i jesteśmy! O ile prześcignęliśmy tych niedołęgów, którzy wrócili do steru spraw krajowych, aby siebie samych przyprowadzić ad absurdum! Mimo woli podziwiam siebie i innych i przypominam sobie ów wiesz mistrza Juliusza, który z taką emfazą i ponurym oczu blaskiem deklamować zwykłeś:

Zrzuc do ostatka te placlity ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę:
A stań jak wielkie posągi bezwstydnę
Naga, w styxowym ukąpana mule,
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Teraz dopiero w całości rozumiem ten ustęp! Tak jest, aby polityka polska była skuteczną, musi zedrzeć z Polski szlafrok szlacheckiego i adwokackiego safandulstwa, musi wyjść naga z styxowego mułu podziemnych robót w imię Ojczyzny, musi być nie bezczelną, ale czoło wszystkim stawiającą, idącą na przelaj, wygiętą rozkosznie ku uściskom przyszłości, która niesie z sobą republikę i przewrót uniwersalny! Trudno to tak dokładnie wszystko powiedzieć, trudno określić, czego się chce, ale właśnie ta niezmierzonosc, ta bezprzestanna ruchliwość, to bezwiedne pędzenie naprzód, to łamanie wszystkiego i lekceważenie małości, jest, zdaje mi się, naszą istotą, naszą wielkością, naszą nieprzełamaną potęgą, naszym cudem cudów, o ile ja, który byłem tylko prostym sekretarzem stanu, wypowiedzieć to mogę!

Wobec tego celu, jaka obfitosc, latwosc, rozmaitość srodków w walce z tymi, którzy nas za waryatów, głupców, przewrotnych i niebezpiecznych uważają! następczą się one same, poddane naturalną każdemu człowiekowi chęcią drobnej chociażby zemsty i tem *dolce*

farniente, które przy polityce wysokiej jak nasza, jest konieczne.

A przytem, jeżeli się ma ludzi z taką głową, z takim gromowładnem czołem, z taką potęgą płuc jak ty Katonie! Twojemi były wiekopomne słowa, które zapisze historia między dowody, jak wielcy mężowie stanu znają się na fizyologii społeczeństwa — słowa, gdyś wśród powszechnej klęski naszej powiedział: Bracia zaczynajcie od kobiet, od starych a próżnych ludzi, baczcie na obrażone ambicje, nie opuszczajcie malkontentów jakiegokolwiek rodzaju. *Optime dixisti, Cato*, bo oto mamy owoce twojej wskazówki, owoce niepospolitej bujności.

A jaka się wśród takiej polityki wyrabia w człowieku samodzielność i pewność siebie, prawie cynizm powiedziałbym, gdyby to nie było dla matki Ojczyzny! Jak się człowiek uczy chwycić słabe strony swojej ofiary, jak traktuje społeczeństwo, jak prawdziwy mały Bismarck! Ja sam mógłbym napisać całe tomy moich doświadczeń z wdziękiniami naszymi na wsi i w mieście, do których przeznaczylście mnie, jako specjalistę a konto mojej przystojnej twarzy i daru bawienia! Powiem ci nawet, że przy tym specjalizmie doszedłem do widoku bardzo korzystnego ożenku, po którym opanowawszy mamę i tatę, będę mógł w niejednej rzeczy rzeczywiste oddawać wam usługi.

Wyobrażam sobie ciebie drogi Katonie, wśród interesów większego wagiomiaru, jak np. podbijałeś bębenka weteranowi Deackowi i puściłeś nieznacznie na arenę polityczną, niby konia dobrej rasy, chociaż z zerwanemi już trochę nogami! Był to twój majstersztyk Katonku, ale muszę się pochwalić, że i ja tam swoje trzy grosze wściбіłem.

Byłem podówczas w Zdrojowie, zażywając świeżego powietrza i kureę paląc jednej egzaltowanej królewiance, która odchodziła od przytomności, gdym jej moje wiersze deklamował. Nadchodzi wieść o wniosku

Deaczka, a ja — uznaj, że mam nos polityczny — nuż zbierać podpisy, chociaż ani się spodziewałem, aby weteran powoływał się na promenadę zdrojowską, jako powagę polityczną.

Wierze tu teraz w starych, a nie wierz w siebie samego. Odegraliśmy bądź co bądź naszą rolę w historii i jesteśmy ludźmi przyszłości. Nie święci garnki lepią, a ja sam najlepszym tego dowodem, bo nie mogłem zdać egzaminu maturitatis dla łaciny i greki, a zaważyłem już kilkakroć na szali losów narodowych. Życie, Katonku i wychowanie na chlebie, co nie z jednego pieca pochodził! Ludzie prawdziwie zdolni, ludzie czynu nie psuli sobie głowy ani zbytnią nauką, ani zbytnią pracą, chwyтали oni intuicyą znamiona czasu, a wesoło spędzona kolacyjka więcej im dawała bystrości, niż noc na studyach zmarnowana.

Tylko teraz nie zasypiać. Teraz sposobność jedyna, a szczęście samo idzie nam do rąk, umiejmyż go pochwycić. Polityka galilejska zrobiła takie fiasco w Chaopolis¹⁾, że jak się kto odważy huknąć na nią głośno *requiem aeternam*, wszyscy mu odpowiedzą *in saecula saeculorum*. Potrzeba więc tylko dwóch rzeczy: takiego któryby się podjął dobrze zaintonować i programu dalszego postępowania. Co do pierwszego *summa summarum* zdaje mi się, że Deaczek jeszcze najlepszy. Głos wprawdzie w ruinie, ale odwaga i pewność siebie jest. Niech tylko weźmie jedną wysoką nutę, wreszcie niech tylko gębę otworzy: jeżeli mu głosu nie starczy, stanie kto za jego plecami i wspomże swoim, a chór zaraz nótę podejmie i powtórzy *fortissimo*. Nuta oczywiście ta sama co przeszłego roku, tylko o oktawę wyżej. Musisz więc powtórzyć przeszłoroczną pracę i grać na katarynce tak długo, dopóki wszystkie szpaki i kosy dobrze się twojej melodyi nie wyuczą. Albo się grubo

¹⁾ Wiedeń.

myle, albo ty już zaczął Pankrasiu. W ostatnim plebiscycie tygryrowskim ¹⁾ znać twój lwi pazurek przyjacielu. Brawo, wiesz, o takim powodzeniu ani marzyć nie śmiałem. Myśl, że „inicjatywa akcyi politycznej wyjść powinna z dołu, a nie od sejmu, który zawiódł zaufanie narodu“, jest prawdziwie genialna, żałuję tylko, że nie została zamieniona w uchwałę następującej treści:

Zważywszy, że sejm królestwa Galilei zawiódł zaufanie narodu, pierwsze uprzywilejowane Towarzystwo tygryrowsko-demokratyczne postanowiło i stanowi:

Ar. I. Wszelka władza prawodawcza odebrana zostaje Sejmowi.

Art. II. Władza prawodawcza przechodzi do zgromadzeń ludowych, które Wydział Towarzystwa tygryrowsko-demokratycznego zwoływać będzie w Tygryrowie ²⁾ kiedy mu się podoba.

Art. III. Ustawa ta wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Art. IV. Wykonanie jej poleca Towarzystwo swojemu Wydziałowi rządzącemu.

Taka uchwała toby było coś, bo po niej choćby się nawet mniemany Sejm i zgromadził, zawsze mieliśmy tytuł legalny do protestowania przeciw prawomocności jego uchwał, do zwoływania zgromadzeń ludowych, któreby uchwały takie kasowały, a wreszcie gdyby się nie chciał poddać woli narodu, do zmuszenia go siłą, bądź to przez rzucanie kamieni w okna, bądź przez głośne okrzyki z galeryi, kocie muzyki, wyprawiane pojedynczym posłom i t. p. Słowem, uchwała taka miałaby ogromne znaczenie, a Towarzystwo tygryrowsko-demokratyczne grałoby wobec reakcyjnego Sejmu taką rolę, jaką w dawnej Polsce wobec sejmów szlacheckich konfederacye, które nieraz uratowały ojczyznę,

¹⁾ Lwowskim.

²⁾ Lwowie.

a zawsze zawierały w sobie jej ideę i majestat. Do tego dążyć powinno Towarzystwo, i nie wątpię, że przy okolicznościach tak sprzyjających, niebawem zostanie jedyną faktyczną, jak już jest jedyną legalną reprezentacją narodu.

Wielki to skarb to Towarzystwo i wielki dowód politycznej dojrzałości oraz energii Tygryсова, której ja tu żadnym sposobem obudzić nie mogę. Albo ta myśl naprzykład, że cztery guldenty podatku nie dają patentu na rozum, ta myśl, której konieczną konkluzją jest głosowanie powszechne, czy także nie wielka? Mówią wprawdzie nawet niepodejrzani demokraci, że dla nas ona niepraktyczna, bo na wsiach mogłaby doprowadzić do wątpliwych rezultatów. To być może, ale któż o wsie pyta, kto na nie uważa? Stolica to grunt, to prawdziwy wyraz opinii ludu, a w stolicy głosowanie powszechne okazałoby się bardzo praktycznem, bo wypadłoby zawsze w duchu Towarzystwa.

Nie wiem, czy swoją genialną intuicją, czy za twoim wpływem postanowiło nawet Towarzystwo znaczną część tego programu postępowania, o którym wyżej wspomniałem. Ponieważ najbliższem zadaniem jest zabicie w opinii, a następnie uniemożliwienie tak zwanego Sejmu, który z uszczerbkiem Towarzystwa uzurpuje dla siebie tytuł i prawa reprezentacji narodowej, przeto pierwszą z kolei robotą jest wywołanie jak najliczniejszych przeciw temu manifestacji.

Pojęło to Towarzystwo, kiedy poleciło zwoływanie meetingów i zgromadzeń wyborczych: ale na tem nie dość. Mogłoby bowiem wypaść, że głupi i arystokratyczni wyborcy daliby absolucję swojemu posłowi. Na to pozwolić nie można: potępienie musi być ogólne i jednomyślne; zatem zwoływać należy zgromadzenia tylko w takich miejscach i takich wyborców, którzy, albo są dobrze myślący, albo łatwo się dadzą przekonać. Gdyby zaś, bo i to przewidzieć można, posłowie do tego sto-

pnia posunęli bezczelność, że nie ulegliby wyraźnie na zgromadzeniu ludowem objawionej woli narodu, albo gdyby zgromadzenia wyborców wypadły przeciw naszej myśli, co wtedy robić? Wtedy niema innej rady, jak zbierać po całym kraju podpisy na votum nieufności, któroby jaki reprezentant Towarzystwa samozwańczemu Sejmowi oddał na pierwszym jego posiedzeniu. Podpisy takie zbierać radzę zawczasu. Na taką manifestację, popartą zwłaszcza okrzykiem prawych patriotów na galerji, reakcyjny Sejm albo uzna się niemożliwym i sam się rozwiąże, albo i on śpiewać zacznie na nutę Deuczka. W każdym razie cel będzie dopięty: samozwaniec pójdzie do dyabła, a jedyną widomą głową, władzą i reprezentacją narodu, zostanie uprzywilejowane Towarzystwo tygrysowsko-demokratyczne.

Wtedy dopiero nastąpi druga część programu, której zdaje mi się Towarzystwo samo jeszcze nie przeczuwa. Uważaj: naród skrzywdzony w swoich prawach, obrażony w swoich uczuciach, otrzęsie się z więzów anti-narodowej polityki i oświadczy się stanowczo przeciw rządowi i przeciw wszelkim z nim związkom.

Rząd odpowie na to prześladowaniem: prześladowanie zabije raz na zawsze politykę galilejską i przekona naród, że na własne tylko siły liczyć może. Wtedy poczuje on na nowo potrzebę organizacyi, wtedy cały do niej przystanie, a kto nie przystanie... tak mój Pan-krasiu! Być że to może, że to szczęście jeszcze nam raz zaświeci, że jeszcze raz ujrzymy nominacye na siwych papierkach, pieczętki i wszystkie te rozkosze naszej pierwszej młodości! I znowu każdy obwód będzie miał swoich obwodowych, powiat powiatowych, miasta okręgowych, a naród swój własny rząd, swoje ministerya (wszystkie, kiedy w Chaopolis nie może się doprosić nawet jednego), swój skarb, swoje kadry, gotów na każde skinienie; nawet swoją marynarkę i kadry siły morskiej. *O dieser Traum ist göttlich schön*, tylko nie dajmy

mu zniknąć, a zamieni się niebawem w ojczyznę i wolność. Tylko razem, tylko dłoń w dłoni, wojna na śmierć polityce galilejskiej, wojna Sejmowi jeżeli z nami być nie zechce, a nasamprzód zgromadzenia ludowe, zgromadzenia wyborców i vota nieufności.

Pozdrowienie i braterstwo Obywatelu! Ach kiedyż zamiast podpisu kłaść będę na końcu moich listów odciśniętą cię znanej ci dobrze pieczęć!

Twój dozgonny

Brutusik

(wkrótce może nie ex-minister).

P. S. Kocia muzyka dla wracającej Delegacji udać się nie mogła, więc zaczęliśmy głośno przeciw tak niegodnym demonstracyom występować. Nadało nam to wiele powagi. Wogóle popłaca tu bardzo pozowanie na uniarkowanego i należy się tego trzymać. Nie poznałbyś jak się zmieniłem i ile na tem w estymie zyskałem. W Gawronowie ¹⁾ powaga grunt — każdą sentencję rozpoczniij od „gdyby“ lub „jeżeli“, rozpuść medycynę twoją w rozczynie szerokiego stylu gawronowskiego dziennikarskiego staruszka, zapraw należycie patryotyzmem wawelowo-wiślanym, ruszaj przytem pogardliwie ramionami nad tromtadracyą tygrysowską i apeluj ciągle do tradycyi starego grodu, a rozbeczy ci się jeden i drugi poczciwina, zmięknie jak masło i zaprosi cię rozczulony na śniadanko polityczne... *Mundus vult decipi, ergo decipiatur.*

¹⁾ Krakowie.

Nr. 8.

Optymowicz (właściciel apteki) do Trwoźnickiego
(urzędnika bankowego).

*Głupiosiówka nad Szujówką —
Apteka pod Czerwonym Kosynierem 53/21 9681.*

Mości Dobrodzieju!

Dzięki ci przesyłam, że nie odstępujesz od dawnego naszego zwyczaju, i że utrzymujesz ze mną korespondencyę w sprawach ojczystych i publicznych. Dość długa przerwa między dopiero co odebrany od ciebie listem a przedostatnim, nabawiła mnie obawą, czy nie zamierzasz przerwać politycznej, a wielce ważnej korespondencyi z twoim wiernym acz niezawsze zgodnym w zdaniu sługą.

Muszę zacząć od klótni. List Twój Mości Dobrodzieju nie zdziwił mnie, ale wyznaję ci szczerze, wielce mnie zabawił, wybac, rozśmieszył mnie nawet. List ten jest pełen od początku do końca obawy, trwogi, strachu z powodu obecnego stanu rzeczy publicznej i *risum teneatis amici*, głębokiego żalu z powodu obrotu, jaki wzięła sprawa protestacyi¹⁾. Ależ mój Mości Dobrodzieju, taki obrót rzeczy, to przecież młyn na naszą wodę, nas prawdziwych i jedynych patriotów. Im większe niezadowolnienie w kraju, tem lepiej; bo zadowolnienie to uspienie; im mniej się powiodą takie środki i środeczki, jak owa mizerna protestacya tem lepiej, bo tem głębiej zakorzeni się w sercu i sumieniu ludu, że tylko wielki środek jest zbawczym! Czyś mógł kiedykolwiek przypuścić Mości Dobrodzieju, że ja i nasi zadowolnimy się pomysłnym skutkiem protestacyi?! Przebóg! tej krzywdy przecież nie robiłeś mi nigdy! My popieraliśmy

¹⁾ Rezolucya uchwalona przez Sejm galicyjski w 1868 r., określająca jego żądania.

protestacyę w sejmiku i za sejmikiem, dlatego tylko, żeśmy widzieli, że ona nie może być przyjętą, a że skoro przyjętą nie będzie, posłuży tylko do przyspieszenia upragnionej chwili, sprzątnie z widowni politycznej zawadzające nam osobistości i przygotowuje umysły do rozpoczęcia wielkiego dzieła. A nawet, podziwiał naszą przezorność, na wypadek, gdyby protestacya odniosła była pomyślny skutek mieliśmy gotowe żądania, jeszcze wprowadzić niedostateczne, ale nierównie dalej sięgające, z którymi nawet nasi w sejmiku wystąpili. Protestacya nie jest wcale naszym dziełem; tylko myśmy zmusili do niej reakcyonaryuszów; za mało ona żąda, aby odniósłszy pomyślny skutek, mogła nam usta zamknąć, zawiele, aby za jej pomocą reakcyonaryusze mogli zwyciężyć. Znowu postawiliśmy ich między Scyllą i Charybdą, i to jest prawdziwym dziełem naszym, niech brną dalej, teraz już tylko trzeba ich popychać i popychać, a zabrną zupełnie. A więc Mości Dobrodzieju nie do mnie się udawaj z żalem, z powodu niepomyślnego obrotu protestacyi. Dla mnie ten niepomyślny obrót, to manna polityczna, manna zesłana z nieba zgłodniałemu od sześciu lat. Teraz dopiero, kiedy już czuję, że wchodzimy na bity gościniec, prowadzący do czynu, oddycham swobodniej i jestem zdrow, szczęśliwy i pełen niezwykłej energii.

A ciebie dlaczegoż położenie kraju i sprawy zatrważa? Z kraju zapewne, i ja niezupełnie jeszcze jestem zadowolniony, jeszcze on ospały, ciężki, nieświadomy swoich celów. Ale sprawa na miłość Boga! sprawa nigdy lepiej nie stała i trzeba być strasznie zaślepionym, żeby nie widzieć, że już, już niedługo wybijie godzina zbawienia i wielkiego czynu! Godzina ta musi wybić! Są sprawy święte, potężne, olbrzymie, które, jak to już jeden z naszych powiedział, dość zaafirmować, aby im zwycięstwo zapewnić. Otóż ja ci afirmuję, że Polska cała, w naszych granicach będzie, a nawet już

jest, bo jest w sumieniu naszym, w sumieniu ludu, w sumieniu młodej Europy, bo nareszcie my patryoci mieliśmy przecież raz odwagę wypowiedzieć to tutaj, na tej ziemi Judaszów idei polskiej i teraz dzień w dzień już jak pacierz powtarzamy to, wobec ludu i Europy, dla tem większego upokorzenia wszystkich odstępców i reakcyonaryuszów galilejskich! Przypomnij sobie tylko, co to za oplakany był stan rzeczy, zaraz po chwilowem przerwaniu wielkiego dzieła 63 roku i porównaj ówczesne nasze położenie z obecnem, a nabierzesz nie mało otuchy. Cóż się wtedy działo? Skompromitowani chwilowem ustaniem powstania, które reakcyonaryusze przerywali we własnych widokach, musieliśmy my, dobrze myślący zamilknąć, a im zostawić wolne pole do działania. Falanga patryotyczna rozproszona, zgnębiona, zdyskredytowana, nie mogła już popierać jedynej zbawczej dla sprawy myśli — nieprzerwalności powstania. A iluż to nas zdradziło, iluż odstąpiło, iluż przeszło do rozsądnych i zimnych, iluż zwątpiło w skuteczność nieprzerwalności powstania! Rozum polityczny nakazuje w takich chwilach przeczekać, to też umieliśmy przeczekać, a teraz chwała Bogu, znowu górą nasi, i wszystko, wszystko nam wróży, że się coraz więcej zbliżamy do upragnionego celu, bo znów chwytam się jedynie w naszym położeniu racjonalnych i zbawczych środków. Nie potrzebuję ci dowodzić, że dla narodu uciemionego i to uciemionego przez trzy potencye, jeden tylko środek jest zbawczym, jedna polityka możliwa, ta którą ja streszczam w słowach — nieprzerwalność powstania. Wszystkie kompromisa, dyplomacye, oglądanie się na to i owo — to banialuki, to wymysły reakcyonaryuszów. My jedni wierzący tylko w skuteczność wielkiego środka, przechowujemy od 1772 r. ogień święty; my Westalki idei polskiej. Naszemi środkami działania są: utrzymywanie nieustającego niezadowolnienia w kraju, wykazywania niedostateczności wszyst-

kich mniemanych koncesyi, ciągła protestacya, bezwzględna opozycya i agitacya, która jest najdzielniejszym środkiem, bo już bezpośrednio stykającym nas z wielkim celem, agitacya która dobrze prowadzona utrzymuje sama przez się nieprzerwalność powstania. Celem zaś naszym, do którego temi środkami zawsze dochodzimy — jest wielkie dzieło, czyli powstanie. Tak jest, powstanie, bo naszym ostatecznym celem jest Polska, a że jak dwa a dwa jest cztery, Polska tylko powstaniem powstać może, więc powstanie musi być naszym bezpośrednim celem, a ciągle jego utrzymanie najgorętszem naszym życzeniem. Nieprzerwalność powstania, to Polska, i powiadam ci, że gdyby od pierwszego rozbioru powstanie nie było nigdy ustalo, Polska byłaby nigdy nie przestała istnieć.

Dziś rzeczy tak stoją, że tylko powstanie jest Polską. Ale niestety, są chwile, w których reakcya bierze górę, a wtedy jeżeli nie zdoła przeciąć, to przynajmniej gmatwa nici nieprzerwalności powstania. Wtedy oddalamy się od celu, wtedy kraj zdradza Polskę; gdy my znowu naprawimy szkody, wyrządzone sprawie przez reakcyę i trzymamy w ręku nic nieprzerwalności powstania, wtedy sprawa na dobrej drodze, wtedy zbliżając się coraz bardziej i niewątpliwie do powstania, zbliżamy się tem samem do niepodległości i wolności. Otóż już teraz po dość długiej przerwie, my, dobrze myślący, możemy się policzyć, możemy się naradzić, co mówić, już działamy. Bo bądź spokojny Mości Dobrodzieju, my nie śpimy. A do tego, jak nasi teraz zmądrzeli, jak ostrożnie i względnie działają, jak nikogo nie chcą zrażać ani przestraszać, i słusznie, bardzo słusznie, bo przecież tę głupią szlachtę to można czemkolwiek spłoszyć. O wierzaj mi, że my teraz zmądrzeli, my chwilowo na wszystko się niby zgadzamy i przystajemy, nawet na tę śmieszną idiotów politykę, przymierza z rakuskiem cesarstwem! Musimy się najpierwej wkorzenić, uspokoić

obawy szlachty, zaskarbić sobie jej zaufanie niejakim umiarkowaniem i szczególnie dobrze udaną bezstronnością. Ale bądź pewny, że nasi nigdy nie odstąpili od naszej zasadniczej, a jedynie zbawczej myśli — nieprzerwalności powstania.

Tylko dobrze uważaj Mości Dobrodzieju! Kiedy ja mówię o nieprzerwalności powstania, to nie rozumiem koniecznie pod tem, ciągłej zbrojnej walki, broń Boże! Tego nawet musimy teraz zupełnie i absolutnie się wypierać; tem więcej, że już są łajdaki, którzy dla popsucia naszym szyków, wciąż ich o to oskarżają. Ale widzisz, można utrzymać nieprzerwalność powstania rozmaitemi sposobami; tylko do tego trzeba żelaznej woli i giętkich w rękach przewodców narzędzi. Żelaznej woli nigdy nam nie brakło, narzędzia już się znalazły. Wprawdzie w kraju, tym głupim kraju, trudno było o potrzebnych nam ludzi; ale ostatni wielki moment powstańczy przyniósł sprawie i tę jeszcze wielką korzyść, że utworzył falangę ludzi, gotowych na wszystko. Cała nasza narodowa organizacya łaknie narodowego zajęcia i utrzymania. Grosz publiczny Mości Dobrodzieju zarobiony z chwałą i użytkiem dla ojczyzny i wielkiej sprawy, to ponętna rzecz dla szlachetnych dusz! Jakto miło żyć z pracy, która przyspiesza zbawienie ojczyzny a ochrania ją od ostatniej zguby i zagłady. Najwięcej też wabimy naszych ludzi nadzieją, że się znowu kasa narodowa napełnia. Podatki narodowe, narodowe dodatki do podatków — to dopiero ściągnie do kraju naszych. Chociaż my to teraz inaczej urządzimy; bo widzisz mój Mości Dobrodzieju, system moskiewskich kontrybucyi wcale nie jest zły; to prawdziwie racjonalny środek; mieliśmy już o nim niejakie przeczucie w 63-cim. Co to jest podatek? To zużyty stary sposób. Podatek nie dosięgnie bogaczy ani magnatów, a tu o to głównie idzie. Polska musi powstać tem, czem upadła, to jest wielkimi majątkami wielkich panów. Co to szla-

chta? Szlachta to plewy. A więc kontrybucye, kontrybucye na Kmitów, Firlejów, Tenczyńskich i wszystkich tych reakcyonistów i kretynów. Najwyższy rozum polityczny Mości Dobrodzieju, jest umieć korzystać z nauki danej nam przez wrogów. Przedewszystkiem walczmy jego bronią przeciw wewnętrznym nieprzyjaciołom. Ten środek będzie zbawczym, szczególniejszym tutaj w Galicyi, gdzie magnaterya, to ohydne paskudztwo najgłębiej się zakorzeniło. Proszę cię, Mości Dobrodzieju, co to za ogromne tu są majątki, do których dotąd nigdy nie mogliśmy się dostać dla dobra sprawy. Skoro raz potrafimy użyć tego narodowego kapitału, leżącego odłogiem, cóż nie zbudujemy?! Polskę! Polskę w naszych granicach!!

Otóż dla nabrania otuchy, mój Mości Dobrodzieju, zważ dobrze, jak nam wszystko sprzyja. Taki człowiek, który był już ministrem albo komisarzem, a takich jest dosyć, przykrzy sobie w bezczynności i to w bezczynności bezpłatnej, a tem samem da się łatwo użyć. Ale jak już wyżej powiedziałem, z powodu głupoty kraju i zupełnej zdzieciniałości szlachty, trzeba ostrożnie i powoli postępować, dlatego zaczęliśmy od najniewinniejszego środka i założyliśmy nasze dzienniki i dzienniczki. Lecz z drugiej strony powierzyliśmy ich redakcyę tylko takim ludziom, którzy nie znając Galicyi, nie mogą być zarażeni prowincjonalizmem; tacy ludzie choćby nie chcieli, muszą osłepić tam, gdzie my im każemy, a lokalne wpływy żadnego do nich nie mogą mieć przystępu. Muszą oni pisać i działać w duchu wielkiej, ogólnej idei, nielitościwie poświęcać każdy miejscowy interes, a tem samem zabić Hydrę polityki tak nazwanej użytecznej i rozsądnej, która fatalnie odciąga nas zawsze od wielkiego dzieła. Te dzienniki i dzienniczki, powoli przygotowują umysły do wielkiej chwili. I już dobrze, bardzo dobrze się nam wiedzie, duch się podnosi, agitacya w umysłach rośnie jak na drożdżach, nasi

przeciwnicy już zużyci, słabi a próżni, na naszą bezwiednie nachylają się stronę. Popularność, popularność Mości Dobrodzieju, to matnia, w którą łowimy najgrubsze ryby!

Wyraz powstanie jeszcze nie wymówione, broń Boże! a to poco? Nawet nasi sierdzą się i gniewają strasznie na tych, którzy oskarżają ich o podobne zamiary, i bardzo mądrze robią, bo przecież cóż łatwiejszego, jak wystawić na śmieszność tych, którzy dziś już straszą powstaniem; a to ich zużyje i nie będą nam w stanowczej chwili stać na przeszkodzie. Teraz bowiem nie idzie wcale o to, co zwykle rozumieją pod wyrazem powstanie, to jest o zbrojną walkę, bo nawet nie wiem dobrze z kimby rozpocząć w obecnej chwili tę walkę, ale idzie o rzecz stokroć ważniejszą, bo o utrzymanie — nieprzerwalności powstania! Otóż pod tym względem doskonale idzie, obowiązek utrzymania tej nieprzerwalności zakorzenia się w sumieniu wielu, potrzeba utrzymania jej już jest dowiedziona, a w końcu nieprzerwalność powstania przemawia do wyobraźni ludu, tego ludu, który już do tego stopnia dojrzał, że umie się zbierać pod gołym niebem! Nie mogę więc zawołać: jest już Polska!?! ale nie unoszę się entuzjazmem, tylko rozumiuję. Słuchaj dobrze Mości Dobrodzieju! Jak już rzekłem, Polska to powstanie, a więc powstanie to Polska, bo powstanie to zmartwychwstanie! Idę dalej: nieprzerwalność powstania musi utrzymać przy życiu Polskę, a więc skoro utrzymamy nieprzerwalność powstania, tem samem utrzymamy i zabezpieczymy byt Polski. To już nie loika, to matematyka, to dwa razy dwa cztery. A co mnie najwięcej cieszy, oto, że ta głupia szlachta, bez której jeszcze niestety, ani obejść się, ani nic zrobić nie można, zaczyna się garnać do nas, abonuje przykładnie nasze dzienniki, wygaduje na reakcyjne organa, które ją przecież już znudziły, jednym słowem nam wierzyć zaczyna, a co najważniejsza, zdaje się, że już za-

pomniała o niedawnej przeszłości. Zślepienie szlachty — to najdzielniejszy nasz sprzymierzeniec. Oni się zawsze dadzą złapać. Poczciewcy, ostrzą sami brzytwę na własne gardło; bo jużci przecież w upragnionej chwili wielkiego czynu oni pierwsi muszą paść ofiarą, to się ma rozumieć, tego w żaden sposób ominąć nie można. Krwią i żelazem w dzisiejszych czasach dochodzi się do wielkich rzeczy. Ty pewnie się na tę myśl zatrwożysz, powiesz, że szkoda, że lepiejby tego uniknąć. Mój Mości Dobrodzieju, co tam za szkoda, że kilkunastu, lub nawet kilkuset durniów wyrzną, byle sprawę zbawić i dojść do wielkiego czynu. Już niezadługo opanujemy całą tę szlachtę, ani się spostrzeże kiedy i znowu będzie musiała tańczyć, tak jak my jej zagramy i iść z nami i za nami, a tyle tylko zyska na swoim oporze i głupocie, że znów nie ona rozpocznie wielkie dzieło, ale my ludzie odwiecznego poświęcenia, ludzie myśli, ludzie krzyża, ludzie ludu i narodu.

Ja więc zapatrując się na położenie zupełnie odmiennie od ciebie, wyznaję, że teraz widzę już wszystko w różowych kolorach. Jedynym celem naszym na teraz — ja jeszcze trzymam się na uboczu, ale jak będzie tego potrzeba, znajdę się tam — jest utrzymanie nieprzerwalności powstania, nie mówiąc o powstaniu, ani też pchając wyraźnie do niego, przeciwnie, wypierając się tego z udaną ironią. Gdzie zaś i kiedy ono wybuchnie, to rzecz przyszłości. Przypomnij sobie co powiedział mistrz: ¹⁾ „W Polsce nigdy nie można być pewnym, czy już gotowe są materiały do powstania, ale przecież zawsze ich jest tyle, że powstanie rozpocząć można; a wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewałem, najwięcej znajdowałem palnych żywiół“. Dla twojej jednak nauki zauważę, że główną przyczyną upadku i chwilowego przerwania dzieła 1863 r., było to, że nie

¹⁾ Mierosławski.

zdołaliśmy przenieść powstania do Galicyi. Gdyby tutaj było powstanie zakwitło, byłoby to zmieniło położenie rzeczy, zatrzęsło w posadach Europą, a w każdym razie utrzymało nieprzerwalność. Reakcyja, reakcyja przeskodziła. Reakcyonaryusze pod pozorem służenia sprawie, wcisnęli się między nas i zdradzili sprawę, bo na żaden sposób nie chcieli pozwolić na przeniesienie ruchawki do Galicyi. My zaś w stanowczej chwili zgrzeszyliśmy słabością, zachwialiśmy się. Trzeba było wtedy skazać na śmierć sześciu tylko reakcyonaryuszów najczynniejszych, a bylibyśmy mieli ruchawkę w Galicyi. Jeden z naszych doradzał ten środek zbawczy, ale inni nie śmieli go użyć i powstanie upadło, bośmy go nie umieli przenieść do Galicyi; ale dla chwały zasady zapewnić cię mogę, że ostatniem słowem naszych było — powstanie w Galicyi. Pod względem nieprzerwalności powstania, my musimy z konieczności trzymać się systemu trzech-polowego gospodarstwa. Niestety, jedno pole musi zawsze ugorować, lecz za to wypada tem skwapliwiej zasiewać inne.

W tej chwili o W. Księstwie Poznańskiem niema co mówić, zabór moskiewski po obfitym plonie, jaki nam dal 63-ciego roku, musi teraz ugorować — a więc między Bogiem a prawdą, teraz kolej na Galicyę. Wielkie dzieło 63-ciego roku nie będzie skończonem ani dopełnionem dla nas, dopóki w Galicyi nie wypróbujemy naszego dzieła. Co potem się stanie, tego ci nie powiem, tego ci powiedzieć nie mogę, ale coś będzie, możesz mi wierzyć. A przytem co tu za pole i sposobność dla przeobrażenia społecznego ducha polskiego! Cóż to za nieoceniony do tego, a dotąd nieużyty żywiol — tutejszy chłop! Będziemy więc tu mieli w mniej lub więcej oddalonym czasie jednocześnie i powstanie, i społeczną, nie wielką, ale skuteczną rewolucyjkę. To są wyłącznie i jedynie dwa zbawcze dla Polski środki, a więc — trzymam się zawsze ściśle loiki — skoro użyjemy tych

dwóch środków, zbawimy Polskę, jak dwa a dwa cztery. Trzeba przedewszystkiem dążyć do umożliwienia środków, a więc przygotować umysły do ich użycia, bo już to w Galicyi mają niejaki wstręt do nich. Jak ci już powiedziałem, dzienniki i dzienniczki nasze zaczęły robotę. Mój Boże! nie źle zaczyna się im wieść, a mnie aż serce rośnie. Ale dzienniki, to nie dosyć. Moja dusza raduje się, widzę już Polskę, kiedy spojrzę na ten doskonale, po mistrzowsku przez naszych obmyślany plan rozmaitych owacyi, demonstracyi, agitacyi. Otóż widzisz Mości Dobrodzieju, to jest prawdziwy sposób utrzymania nieprzerwalności powstania. Jeżeli już nie wiem jaki wojownik, podobno w starożytności powiedział, że do wojny potrzeba tylko trzech rzeczy, to jest pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy, to do utrzymania nieprzerwalności powstania równie tylko trzech rzeczy potrzeba: demonstracyi, demonstracyi i demonstracyi. Nasza poczciwa emigracya dała w zeszłym roku hasło. Żałuj, żałuj, żeś nie był w Raperswyłu na obchodzie rocznicy konfederacyi Barskiej, jak tam było przyjemnie, błogo, miło dla sere naszych, bezpiecznie i swobodnie; tam, tam dopiero uczuła się Polska Polską prawdziwą, bo się nie było ani pod knutem moskiewskim, ani pod okiem policyi. Tam, tam zapominało się o przeklętej Galicyi, bo oddychało się powietrzem wolnej, niepodległej Polski w granicach 1772 r.

Teraz nasi nie opuszczają żadnej sposobności, aby demonstracyami utrzymać w kraju nieprzerwalność powstania.

Ktokolwiek się zjawi, robią mu owacye. Mamy cały szereg ułożonych demonstracyj. Obchód Unii i przeniesienie zwłok Adama, to są dwie potężne demonstracye, które odkryliśmy już przed okiem publiczności i profanów. Inne, dalsze demonstracye mamy już za pasem, i niech się tylko te dwie udadzą, a wszystko pójdzie dobrze. Już to my tak ułożyliśmy rzecz wspólnie z na-

szem wielkiem Towarzystwem w Tygrysowie, że co rok będzie w kraju przynajmniej jeden obchód. Tylko o tem zawczasie jeszcze wspominać; bo by to mogło znowu szlachtę spłoszyć, w każdym razie reakcyonaryusze nie omieszkaliby tego użyć jako broni przeciw nam. Jak to obudzi i wzburzy umysły, ten wspaniały obchód Unii! Jak to oburzy Moskali, którzy nowemi zapewnie okrucieństwami podniecą upadający duch w Królestwie i Zabranych Prowincjach, i przygotowują tym sposobem ludność tamtejszą do nowego wielkiego czynu. Widzisz Mości Dobrodzieju, tu już jest głębsza myśl polityczna. Biedacy, zasnęliby tam, wpadliby w apatyę, gdybyśmy ich stąd nie orzeźwiali, nie mając zaś dziś innych w rękach środków, musimy używać Moskwę do obudzania i podtrzymywania tam ducha.

Arcydziełem naszej szkoły jest umiejętność używania w naszych celach wrogów. Podczas ostatnich wielkich wypadków nasi padli na szczęśliwą myśl używania policyi do pozbycia się reakcyonaryuszów i niebezpiecznych indywiduów; nazywało się to w ich języku: schować do szuflady. Było to szczytem genialności rewolucyjnej!

Ale wracam do obchodu Unii; jakie to będzie pole do mów, do agitacyi, nietylko w Tygrysowie, ale także na prowincyi. Mój Boże! są osły, którzy mówią, że ten obchód niema dziś sensu, skoro Litwini nie mogą na niego przybyć, a Rusini nie zechcą. Poco tam mają być koniecznie Litwini i Rusini. Niech my tam będziemy, czy to nie dosyć? Czy to nie najlepszy dowód siły i energii, to stawienie czoła wszelkim chwilowym przeciwnościom? Ktoby tam w takich chwilach jak dzisiejsza oglądał się za historią, albo ściśle się jej trzymał. Tu nie idzie o historię ale o politykę, otóż z naszego punktu widzenia ten obchód będzie wielce politycznym. I ta poczciwa szlachta garnie się do tego obchodu, chociaż jej miejsce nie tam, bo ona zawsze rozdawała

tylko. Ona się zapewne ludzi, że ten obchód jest uczczeniem dzieła przodków, ale w tem grubo się myli, bo też teraz zupełnie inaczej zapatrujemy się na Unię, i dlatego obchodzimy jej rocznicę. Unia to akt wyłącznie demokratyczno-socyalny, to pierwsza część kontraktu socyalnego Jana Jakóba Roussa i deklaracyi praw człowieka. Ale tego wszystkiego szlachta jeszcze nie pojmuje, a tymczasem czy widziałeś kiedy, żeby szlachta umiała się oprzeć pokusie ukazania się w kontuszu, wypowiedzenia mówek, ucałowania się i podpicia sobie? Jak ja i nasi śmiejemy się serdecznie w takich wypadkach ze szlacheiców! Przebacz nam Boże, ale to wierutne durnie.

Jeszcze umysły nie uspokoją się po obchodzie Unii, jeszcze nieprzyjazne potencie rozdrażnione będą wielce, aż tu zaczną się przygotowania do przeniesienia zwłok wieszczą narodu. Co za widok! Co za prognostyk! Ja ci mówię i wierzaj mi, jak zwłoki Adama spoczną na zamku gawronowskim, nie daleką już będzie chwila zbawienia, chwila wielkiego czynu! Ktoś, naturalnie reak, zarzucił, że nie wypada narażać popiołów wielkiego wieszczą na zemstę wrogów, że Gawronów będąc wystawiony na zmienne losy wojny, która zdaje się być nieuniknioną, lepiej przeczekać te niepewne czasy, ażeby nie dopuścić znieważenia przez barbarzyńców popiołów wielkiego geniusza. Terefere kuku, mosci dobrodzieju! Plewy na młode wróble? Co to są popioły? Popioły są od tego, ażeby się dla sprawy narażały!

Nam tu nie idzie tak dalece o Adama ani o zamek gawronowski. Piękne miejsce dla Adama obok tych niedołęgów królów i tych zgnilych magnatów! Nam idzie tylko o to, żeby zrobić potężną demonstracyę. Otóż Adam jest taką postacią, że wszyscy muszą się zgodzić na uczczenie jego pamięci, że nikt nie będzie śmiał ani usunąć się od obchodu, ani publicznie wystąpić przeciw niemu. W tem sztuka, żeby właściwy robić wybór. O! bo

to już z wyjątkiem naszych, odwagi cywilnej nikt u nas niema. To całe nasze szczęście, i dlatego to, pomimo wstrętu szlachty i oporu reakcyonaryuszów, prawie co dziesięć lat możemy na pewne wszędzie w jednej z prowincyi polskich urządzić powstanie, i posuwać tym sposobem naprzód wielką sprawę.

Oprócz demonstracyi i dzienników naszych, mamy jeszcze inny potężny środek; mamy nasze wielkie Towarzystwo tygrysowskie, które czuwa nad całością dzieła i akcji, które wzmagając w kraju agitacyę, samo się coraz bardziej wzmacnia, i z łona którego w danej chwili wyjść może cały rząd narodowy. Dotąd jednak jesteśmy w pierwszym stadium akcji i musimy się w niem zachowywać dość oględnie i ostrożnie. Byleśmy tylko zdołali zmusić kraj do abstencyi z powodu protestacyi, a wszystko potem pójdzie jak z płatka.

W tem teraz sęk, i dlatego nasi dostali teraz polecenie wykazywania, że jak dwa a dwa cztery, tylko usuwając się z Rady w Chaopolis, można zapewnić pomyslny skutek tej głupiej protestacyi. To uporcezywe dowodzenie matematyczne zastanowi, może nawet przemówi do przekonania szlachty. Jak raz zerwiemy z Chaopolis, wtedy dopiero wejdziemy na prawdę w drugie stadium. Wtedy rzucimy do stu dyabłów tę piekielną legalność, wtedy zacznie się chwila czynu. Póki te lalki siedzą w Radzie, trudno, bardzo trudno coś porządnego tutaj urządzić, ale skoro raz stamtąd wyjdą, loika sama nakaze przyspieszoną akcyę, bo natura nie znosi próżni. Ten, niby chwilowy czas abstencyi trzeba będzie czemś zapełnić; zaczniemy od mityngów i zebrań ludowych, ale nie od takich jak teraz, wtedy pójdzie to ostrzej i raźniej; odwoływać się będziemy na przykład Czechów i na ich sposób urządzimy to wszystko, ale że Czesi wytrawni i flegmatyczni, a nas o to posądzać nie można, więc u nas to pójdzie prędzej i lepiej. Skoro raz wywalczymy na naszych abstencyę, życie publiczne

zupełnie ustanie, ustać zupełnie musi, dla okazania światu, że w tych warunkach żyć nie możemy, a to spowoduje wielką próżnię, którą tylko nasi potrafiały zapełnić. Nie mogąc już popierać protestacyi w Radzie, trzeba będzie ją popierać i za nią demonstrować w kraju, to przecież jasne, jak dwa a dwa cztery. Wtedy Mości Dobrodzieju zwiniemy nasze terażniejsze dzienniki i dzienniczki, a założymy inny, który będzie monitorem wielkiej chwili. Ten dziennik będzie bez nazwy, zamiast tytułu data 1772 roku. Już mamy cały plan gotowy i upatrzyliśmy potrzebnych nam do tego celu ludzi. Dzisiejsi nasi skrybenci pójdą do administracyi i na korektorów, do redakcyi przyjdą inni; ludzie z przepalonym już sercem ale z wielkim umysłem, tacy jakich trzeba do wielkiej chwili. Dzisiejsi skrybenci wzięci zostali tylko na próbę i dlatego, żeby szlachty nie spłoszyć; oni są zanadto nieśmiali, niezdecydowani, ani ironią ani dowcipem władać nie umieją, zaledwie umieją używać szumnych frazesów, mają jednak niemałą zaletę, posiadają bowiem w wysokim stopniu dar reklamy. Reklama, reklama Mości Dobrodzieju - to wszystko, to największy wynalazek nowoczesny, a nasi dzisiejsi skrybenci celują w tej sztuce, umieją doskonale chwalić i pod niebiosa wynosić, w tym rodzaju umieją pisać i to tak doskonale, że każdego odurzają.

Jak widzisz Mości Dobrodzieju, wszystko idzie nam jak najlepiej i wszystko dobrze obmyślane.

Nie bez przyczyny jeden z naszych mistrzów zapewnił mnie na obchodzie w Raperswyl, że walka Galilei z Chaopolis musi się stać początkiem wielkiej akcji.

W jednym tylko nasi pokpili sprawę i dowiedli tego, czego po nich żądaliśmy, wielkiej nieznamomości kraju, oto tym głupim konceptem odwoływania się do zdania wyborców. Piękny mi trybunał tutejsi wyborcy, już raz złożyli egzamin, wybierając takie lalki do Sejmiku i do Rady. Może ta próba wypadnie na naszą

korzystać w niektórych miastach; ja znam moją Galileję i przeczuwam, że ostatecznie nie wyjdzie to na naszą korzyść. To zgnile społeczeństwo Mości Dobrodzieju. Nim skończę, muszę przed tobą Mości Dobrodzieju odsłonić jeszcze jedną stronę sytuacji, o której przypadkiem sam się dowiedziałem. Otóż jeden z naszych, przejeżdżając przez Głupiosiówkę wstąpił do mojej apteki i wytłómaczył mi, jak głębiej wypada się zapatrywać na położenie obecne i jak rozumieć w tej chwili nieprzerwalność powstania i potakiwania przez naszych polityce austriacko-polskiej, czego ja, wyznając, nigdy pojąć nie mogłem. Powiedział on, że skoro głupcy tutejsi postanowili trzymać się państwa rakuskiego i skoro ta myśl już dosyć głęboko wkrzewiła się w umysły, więc teraz nie można z nią walczyć otwarcie, ale trzeba obrócić kota do góry ogonem i pchać Austryę do jak najprędzej wojny z Moskwą, dopóki państwo rakuskie jeszcze nie gotowe; że chociażby do tej wojny nie przyszło, to jednak takie pchanie musi wywołać zamieszanie i popchnąć, jeżeli już nie Austryę, to kraj do czynu. Ostatecznym skutkiem tej polityki będzie zawsze upadek albo rozsadzenie państwa rakuskiego; najlepszym zaś do tego środkiem jest tyle żądać swobód i rozmaitych rzeczy, żeby albo ich nie dano nam, albo żeby rząd czyniąc zadość naszym życzeniom, ujrzał się natychmiast wplątany w aferę z Moskwą. Co potem się stanie, nie umiał mi powiedzieć, ale zaręczał i wierzę mu, że będzie dobrze, zawsze lepiej jak teraz, bo chociażby tu chwilowo przyszli Moskale, to przecież Moskale lepsi jak dotychczasowy serwilizm kraju. Oto są głębokie myśli i plany, które mi wyjawil jeden z naszych. I jakże nie mam się cieszyć, Mości Dobrodzieju, kiedy widzę, że tacy ludzie zaczynają być czynnymi! Potencje europejskie będą także musiały dla nas coś zrobić; co, tego jeszcze nie wiem; ale one są także podległe odwiecznemu mechanizmowi historyczno-społecznemu i dlatego bez-

wiednie będą musiały się przyczynić do wielkiego dzieła; ja tego dokładnie wytłumaczyć dziś nie mogę, ale to czuję wybornie. Biada wrogom i reakcyonaryuszom! jak raz ludy się ruszą, będą szły na oślep i wszystko przed sobą walić będą! Tylko nie trzeba na nic i na nikogo rachować, broń Boże! toby był dopiero wielki błąd, trzeba te nadzieje zostawić reakom; my zaś musimy niezachwianie trzymać się zasady o własnych siłach. Bo widzisz, gdybyśmy raz przyjęli zasadę, że Polska powstać może tylko za pomocą Europy, to jak Europę kocham, nigdybyśmy nie doszli do wzniesienia ruchawki i do wielkiego czynu, konieczy to położyło nieprzerwalności powstania, bo wtedy oczywiście musielibyśmy zawsze czekać na sposobną chwilę, gdy przeciwnie trzymając się zasady o własnych siłach, możemy zapalić fajerwerk, ile razy nagromadzimy dostateczną ilość palnych materyałów. Dlatego też owa zasada rachowania na obcą pomoc i czekania na sposobną chwilę, jest głęboko reakcyjną, nam wstrętną i przeciwną najżywotniejszym naszym interesom.

Ale już kończyć muszę ten i tak zbyt długi list. Żegnam cię więc Mości Dobrodzieju braterskiem uściśnieniem; bądź dobrej myśli, bo wszystko idzie jak najlepiej; jeszcze w żadnej epoce naszej historyi nie staliśmy tak świetnie i tak blisko celu. Żegnając cię raz jeszcze, zaklinam, abys przybył do Tygrysowa na obchód Unii. Na miłość Boga nie daj się powodować duchem Gawronowa, ani też zatrwożyć przez twoich przełożonych, tych podszytych tehórzem bankokratów. Do owej chwili wypadki dojrzeją; niewątpliwie wywalczymy na kraju abstencyę, i podczas obchodu będę mógł niezawodnie coś więcej ci powiedzieć.

Twój

Oktawiusz Optymowicz.

Piszący *Teke Stańczyka* postanowili umieścić w niej wizerunek każdego z nich własnego pióra. — W *Liście Brutusika (ex-ministra) z Gawronowa 00/21 9681 Nr 9-ty*, napisanym przez Stanisława Tarnowskiego, znajduje się pióra Stanisława Koźmiana własny wizerunek.

Czyż więcej od niego groźnym jest drugi filar *Lust-ratora* ¹⁾, nasz Niby-Forcade? ²⁾ Nie potrzebuję go nazy-wać, dość znana wszystkim w Galilei ta rumiana, uśmie-chnięta fizyonomia. Jego wyłącznym wydziałem są Kro-niki polityczne. Otóż te kroniki, to czasem nieudane programy, czasem mniej lub więcej udane wstępne arty-kuły, ale na miłość Boga, to nie przeglądy miesięczne! Czyż czytając je, nie odgadujesz, że pisane są w chwilach kradzionych zabawie, ot tak — na kolanie! Co za niepopraw-ność, jakie jakby umyślne zaniedbanie, co za lekkomyśl-ność w formie! A więc, bądź co bądź, powtarzamy, wraca co trzecie słowo. Mówią, że tam są myśli; być może, zauważę jednak, że myśli mieć może każdy rozumny czło-wiek, ale że one nie stanowią jeszcze publicysty; nadanie właściwej i odpowiedniej formy myślom, oto zadanie i warunek niezbędny, aby być publicystą. Najgłębszy myśliciel nie umiejący lub nie zadający sobie pracy nadać właściwej formy myślom, pozostanie myślicielem dla siebie. Wprawdzie i niemowę w końcu zrozumieć mo-żna, ale z jakim wysileniem! z jaką biedą! Forma je-dnakże może z czasem się poprawić, ale co nierównie trudniej wykorzenieć, oto — lenistwo; a nie trzebaby znać się na ludziach, ani mieć wyobrażenia o publicy-ście, aby nie poznać, że lenistwo przygłusza i przy-

¹⁾ *Przegląd Polski*.

²⁾ Nazwano Koźmiana Forcadikiem, od słynnego kronikarza politycznego *Revue des deux mondes* Forcada, dlatego, że pisywał „Prze-glądy polityczne“ w *Przeglądzie Polskim*.

gniata swoim ciężarem talent naszego Forcadika. Oso-
biście znam go zaledwie, ale jeżeli się nie mylę, jest
to człowiek, który przedewszystkiem usiłuje być podob-
nym do znakomitych ludzi — wadami. Dalibóg, dosyć
dobrze mu się to udaje! Nie zdolny on do codziennej
wytrwałej pracy, a ta tylko mogłaby go wykształcić.
Przypomnisz sobie, że przez czas jakiś należał do re-
dakcyi *Wieczności*; ¹⁾ wszyscy mu to pochwalali, że cho-
ciaż nie z konieczności wziął się do pracy, nie brakło
mu zachęty. I cóż z tego? Nie wytrwał. I dlatego to For-
cadik może być współpracownikiem tylko w takim
miesięcznym piśmie jak *Lustrator*, luźnem, wolnem, wy-
godnem, w którym i z którym sobie można *ganz gemütlich*
żyć; a i tu nawet nigdy nic na czas nie wygotuje.

Z tem wszystkiem ma on przecież zachcianki zo-
stania i publicystą i publicznym człowiekiem! Chciałby,
żeby mu wszystko łatwo przychodziło, i żeby do wszyst-
kiego łatwo doszedł, a wtedy może się poświęcić dla
kraju! A więc znowu pieczone gołąbki. Ta odwieczna
wada polska. Forcadik jest jednym z tych pisarzy, którzy
z wielkiem upodobaniem uderzają na nasze wady naro-
dowe, a nie znam nikogo, któryby ich miał więcej jak on.

O jego formie pisania nic więcej nie powiem, ale
za to możnaby wiele powiedzieć o jego zwyczaju uży-
wania i nadużywania obcych wyrazów!?

Dowiedziałem się przypadkiem, że z tego powodu
jakiś szlachcic przesłał mu pater noster tak ostry, że go
Forcadik schował jak niepyszny do kieszeni. Szlachcic
był jednak niedyskretny i treść tych *verba veritatis*
doszła do mnie. Co najpociesniejszego, najwięcej cha-
rakterystycznego w tem wszystkiem, oto, że ten sam
Forcadik napisał jakąś komedyjkę, w której wyśmiewa
tych, którzy nie umieją poprawnie pisać, a przecież rwą
się do wielkich rzeczy!

¹⁾ *Czasu*.

Nasz Forcadik ma to szczęście, że chociaż nikt ani w kraju, ani publicznie nie uznał jego zasług, których — niech mi wybaczy — jeszcze niema, wielu przecież mówi o nim „to nie głupi chłopiec“, a nawet znaleźli się tacy, którzy mówili „to niebezpieczny chłopiec“. Wierzaj mojemu doświadczeniu, że siła takiej po cichu reklamy, jest niemałą, że czasem więcej znaczy jak reklama głośna, i jej jedynie Forcadik zawdzięcza mniemanie, jakie mają o nim ludzie: zawsze się spodziewają, że z niego coś będzie. Porównaćby go można do tych z dyktury lub krochmalu owoców, które służą do zastawy stołu, ale których nikt nigdy nie skosztuje.

Co się tyczy treści jego pism, to jak widzisz zachorował teraz na trzeźwość i rozsądek.

O ile mnie uczy moje już dość dawne doświadczenie, jest on w tym punkcie, że gotów przesadzić i trzeźwością i rozsądkiem. A jednak tenże sam Forcadik dał się porwać ogólnemu szałowi w 63-cim r. i skutek pokazał, że wtedy ani trzeźwo ani rozsądnie nie zapatrywał się na położenie. A dziś, pomimo całej jego trzeźwości, czy nie czujesz w nim tej mimowolnej chęci nienarazenia sobie jednych, nie zerwania z drugimi. Słyszałem, jak ktoś do niego dowcipnie powiedział: „Mój ty nasz Forcadiku! ty masz to — nie wiem — czy szczęście czy nieszczęście, że należysz i do jednych i do drugich, i że kiedy jedni nienawidzą cię, drudzy cię nie lubią“. A wiesz co on na to odpowiedział? Nic, uśmiechnął się tylko, z zadowoleniem kiwnął głową i odszedł. I to go najlepiej charakteryzuje. Ja w nim widzę poprostu sceptyka w sądzie i w zdaniu o wszystkim. Ma on swoje zdanie, ale przekonania niema. Koniec końcem, wszystko mu jest jedno i myśli, że czy tak czy siak, to ostatecznie na jedno wyjdzie. Przyznaj, że to nie są potrzebne warunki dla publicysty, lub politycznego człowieka. Będzie ci on z równą zimną krwią bronił władzy świeckiej papieża, i wyrażał się pobla-

zliwie o ustawach konfesyjnych w Austrii! Będzie on z równym zapalem wskazywał Bismarcka i jego politykę, jako najniebezpieczniejszą dla Polski i wynosił pod niebiosą tegoż Bismarcka. Zwykle przed każdą konkluzją cofa się, a jeżeli czasem zdobędzie się na nią, to tylko z obawy, aby go nie posądzono, że nie jest trzeźwym i rozsądnym.

Wogóle obawiam się, czy nie będzie można o nim powiedzieć tego, co mówiła pewna dowcipna pani o pewnym ministrze, „Pozostał on obiecującym dzieckiem“. Powiesz mi jednak, że z tych wszystkich, wytkniętych przezen mnie wad, może się jeszcze poprawić, a że wtedy...

Daj Boże!

Jednakże ja to między bajki włożę.

i nie obawiam się Forcadika, który dziś staje się szermierzem zasad konserwatywnych i jawnym już wrogiem — „Całości“¹⁾ — i jej stronnictwa.

Nr. 11.

Rozmowa pana Piotra z panem Pawłem.

P. Piotr. Jakże się miewasz szanowny p. Pawle?

P. Paweł. Dziwna to rzecz, na tym rynku gawronowskim trudno się nie spotkać, a my już tak dawno nie widzieliśmy się.

P. Piotr. To prawda. — No i cóż mówisz na to wszystko?

P. Paweł. Cóż chcesz p. Piotrze żebym mówił?

P. Piotr. Siądźmy sobie p. Pawle tam na ławie przed apteką i pomówmy nieco z sobą, bo przecież wszystko to warte jest zastanowienia.

¹⁾ *Wiek*, dziennik wychodzący w Krakowie.

P. Paweł. Z miłą chęcią.

P. Piotr. Co najdziwniejszego, panie Pawle, oto że przecież hałasują nielitościwie i bębnią jak najęci; a tymczasem chcą w nas wpierać, że to tylko nam tak w uszach dzwoni i w głowie szumi.

P. Paweł. Panie Piotrze! ciebie to dziwi? przypomnijże sobie, że to odwieczna ich metoda. I to także nie nowego. Ale jedno z dwojga p. Piotrze: albo my wszyscy i z nami cały kraj byliśmy dotąd zupełnie głupi, niedołążni, pozbawieni wszelkiego rozumu i patriotyzmu, próżnowaliśmy całe życie, szliśmy wszyscy błędną drogą i trzymaliśmy się nie tylko chwilowej ale zgubnej małodusznej polityki, albo też ten nowy kierunek, który tak widocznie powstaje w naszych czasach a tak nam bębni nad uszami, nie nam dobrego nie wróży.

P. Piotr. My to nie dzisiejsi, znamy się przecie na tych peryodycznie pojawiających się u nas symptomatach. Wiemy dobrze, że u nas jeszcze się nie spostrzeżesz a już naród wciągną w jakie szaleństwo, że najmniejsze głupstwo łatwo bardzo łatwo przemienia się w wielkie, a zawsze idzie naprzód *en boulevards de neige*, że u nas nie można lekceważyć sobie nawet pojedynczych wybryków, nawet idiotyzmu nielicznej sekty, nawet kretynizmu napiętnowanych indywidualności, bo w nieszczęśliwych okolicznościach, w których się znajdujemy, z naszym charakterem narodowym, z naszą przeszłością i wrodzoną skłonnością popełniania wciąż tych samych błędów, nareszcie *avec notre esprit d'apropos* dalibóg i z kija wystrzeli jak Pan Bóg dozwoli. Przyznam ci się p. Pawle, że ja nigdy nie dzieliłem przekonania tych, którzy mniemali, że jedyną korzyścią, jaką odnieśliemy z ostatniej naszej wielkiej klęski, będzie wyrzucenie się zupełnie tych kierunków, które nas tak nieomylnie doprowadzały zawsze do klęsk i tak systematycznie podawały każdemu, czy chciał czy nie chciał sposobność wytepienia żywiołu polskiego; nie p. Pawle,

tego nigdy się nie spodziewałem, bo znam mój naród, znam jego położenie i znam ludzi, a ludzie nie lubią się przyznawać, że błędzili, ale przyznam ci się szczerze, że z drugiej strony nie przypuszczałem nigdy, żeby świeżem doświadczeniem potępiony kierunek śmiał i miał bezczelność tak prędko na nowo rozwieliżnić się i zachwalać się jako jedynie zbawczy.

P. Paweł. Cóż chcesz p. Piotrze, jak są ludzie tak są i stronnictwa z miedzianem czołem. Zważ dobrze, że dwa tylko zawsze objawiają się u nas kierunki, a że pozorna walka stronnictw ogranicza się u nas niestety do walki rozumu politycznego z głupotą, niejakiej odwagi cywilnej z tchórzostwem, stałości w zdaniu z tą nikiemną chwiejnością mającą swój początek najczęściej w żądzy popularności, czasem w gorszej jeszcze chęci zysku chwilowego, doświadczenia z zaślepieniem i trzeźwego zapatrywania się na położenie z tym oplakany i zgubnym optymizmem z którego nigdy nie wyleczymy się a który obiecuje wiecznie i sobie i innym dopięcie wszystkiego jakimi bądź środkami. Lecz co jest prawdziwie upokarzającym, oto, że z tej walki rozumu z głupotą i rozsądku z szaleństwem pozostały u nas dwa systemata polityczne. Określać ci ich bliżej nie potrzebuję, znasz je, pierwszy chce przemawiać do rozumu politycznego i uczucia obowiązku, drugi odzywa się do wyobraźni, do sentymentalizmu, do nienawiści i do namiętności, przedewszystkiem do ciemnoty, drugi w walce z pierwszym ma u nas niezaprzeczoną wyższość, bo przemawia do tego, co najwięcej u nas jest rozwiniętem; nie więc dziwnego, że tak łatwo, tak często i niespodziewanie zwycięża. Wszystkie jego zwycięstwa naznaczone są w historii, okropnemi, strasznemi, niepowetowanemi dla Polski klęskami. Otóż wskutek zbiegu okoliczności, ta prowincya polska, po ostatnich wielkich wypadkach wyrzekła się stanowczo tego drugiego zgubnego systemu, a postanowiła trzymać się

pierwszego, czyli wyrażając się nie tak górnio, kraj naczony doświadczeniami, poprostu zmądrzał — a co ważniejsza dotąd, w tem zmądrzeniu wytrwał. Tego przebaczyć mu nie mogą. Od niepamiętnych czasów było to może najświetniejsze zwycięstwo rozumu w Polsce — a więc największa klęska dla wszystkich półgłówków. Aż tu raptem pojawiać się zaczęły coraz liczniejsze, coraz śmielsze i natarczywsze objawy drugiego systemu.

P. Piotr. Prawdziwe zamachy przeciw rozsądkowi.

P. Paweł. Najlepiej o tem przekonać może polemika, która się od miesiąca toczy w dziennikarstwie krajowem. Ona lepiej może jak *Wieczność* lub *Lustrator* przekonała, że to nie są żarty. *Wieczność* i *Lustrator* pisma, które nie zawsze dotąd szły z sobą w zgodzie, które w niejednej kwestyi nie zgadzały się, które w niektórych może nigdy z sobą się nie zgodzą, stanęły przeciwieź w obronie zdrowej polityki, oświadczyły się stanowczo za wytrwaniem w pierwszym systemie, i w rozmaity sposób, poważnie i żartobliwie, z żałością i ironią, usiłowały wykazać, do czego zwykle doprowadzał u nas drugi system, a opierając się na przeszłości dowodziły, że go się obawiać można i należy w przyszłości. Wszakże panie Piotrze przyznać im przynajmniej trzeba, że postąpiły uczciwie, skoro wypowiedziały to, co było ich przekonaniem — następnie, skoro zadały sobie pracę wykazania raz jeszcze, do jakich zbroczeń doprowadzić może głupstwo ludzkie i nedorzecznosci jednostek. Otóż nic mnie tak silnie nie przekonało o słuszności ich obaw i zarzutów, jak wściekłość, zła wiara i namiętność, z jakimi uderzały na nich wychodząca u nas *Całość*, *Dziennik Tygryśowski* ¹⁾ organ demokratyczny i wychodzący w Tygryśowie *Słonecznik* ²⁾ organ chwiejności narodowej, oraz bratnie dwóch pierwszych dzienników głosy, które znalazły przystęp do wielko-

¹⁾ *Dziennik Polski*.

²⁾ *Gazeta Narodowa*.

polskiego organu, do tej *Bezstronności*¹⁾, która niestety tak często jest stronniczą, a której kierunku ani dążności nigdy pojąć ani zrozumieć nie mogę, bo nigdy z dnia na dzień nie jestem jej pewny. Mianowicie ostatni zeszyt *Lustratora* wywołał nadzwyczaj dobrze udane oburzenie, zarazem źle ukrytą wściekłość. Istny to pułacz, ten zeszyt *Lustratora*, na którego biją i krakają wszystkie nasze wrony i gawrony. Uderzono po ukazaniu się tego zeszytu na alarm — a *Cułość* nawet zawołała: Alarmiści! Alarmiści! niepokoją nas; i ze znaną taktyką dodała niemal, oni to zamieszanie gotowi wywołać.

Ależ na Boga p. Piotrze, to już się zwie żartować z czytelników i mydlić im oczy! Jak to więc alarmistami są ci, którzy widząc dzieci bawiące się brzytwą, wołają: połóżcie to; pijanych idących koło stodół z zapalonemi fajkami, oddalcie się! i zuchwałego furmana zaprzegającego dzikie konie, daj temu pokój! Przecie milczeć nie mogą, bo im tego prosta uczciwość nie pozwala, nie mogą, nie powinni też dla dogodzenia dzieciom, pozwolić im bawić się brzytwą, lub siadać na kozieł i dalej, dalej! puszczać się na bezdroża znarowionemi końmi, które muszą skręcić na manowce i rozbić powóz. Czyż to wina przestrzegających, iż tyle razy w życiu zdarzyło im się widzieć, że brzytwa kaleczy, że z fajki, z niewinnej fajki, najczęściej po wsiach powstaje pożar, i że niedobrane, dzikie, młode, nieujęzdzone konie, zwykle unoszą, woźnicę zrzucają i powóz druzgoczą. Czyż dlatego, że przestrzegają, kładą oni już na równi te dzieci, tych pijanych, tego zuchwałego woźnicę z zbrodniarzami, podpalaczami i czarnymi intrygantami? Czyż podobna z ich przestróg wyprowadzić wnioszek, że są przeciwnikami golenia się, palenia fajki i jeżdżenia za interesem lub dla przejażdżki. Zaprawdę panie Piotrze takie konkluzye wyprowadzić może tylko

¹⁾ *Dziennik Poznański*.

zła wiara, lub ukryty cel, ci tylko, którzy nie życzą sobie, ażeby przestrzegano, że brzytwa może skaleczyć, fajka pożar wzniecić, a znarowione konie ponieść. *Wieczność*, *Lustrator*, a nawet osławiona Teka Błażeńska¹⁾), ograniczyły się na podobnych przestrożach. Dlaczegoż wywołały one takie oburzenie i tak gwałtowne inwektywy?! Cobyś powiedział panie Piotrze o człowieku, któryby chciał zabić stróża wieży maryackiej? Że chyba ten człowiek ma zamiar dziś lub jutro podpalić Gawronów i chce uniemożliwić wszelki ratunek, tak, żeby był w każdym razie zapóźny — i żeby się nikt nie spostrzegł zawczasie, że pożar się wznaga.

P. Piotr. Rozumiem, rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć p. Pawle. Oniby pragnęli zabić swoich przeciwników, zabić ich oczywiście moralnie, o co u nas nie trudno. Używają oni w tym celu nader zużytych, przecież u nas zawsze skutecznych środków; chyba, że już wszystkie w tej miesięcznej polemice zużyli. Cóż wygodniejszego np. jak zaslaniać się w polemice — policyą? Policya *et tout est dit*, któż nadal odważy się wskazywać niebezpieczeństwa grożące krajowi, lub cechować zgubne kierunki i błędne systemata, skoro padnie na niego podejrzenie, że on obudza czujność policyi, że jest więcej policyantem jak sama policya! Czyż to nie był właśnie ów sęk, o który rozbijały się zawsze usiłowania uczciwych i rozsądnych ludzi? Czyż to nie owa rozstajna w sprawach naszych droga, przy wejściu do której, nie jeden, ale niemal wszyscy zawsze się zatrzymywali. Można o tym sposobiku powiedzieć to, co w komediach mówią o wyjeździe i raptownem powrocie podejrzliwych mężów, „stary to sposób, ale zawsze się udaje“ któż u nas nie da się na to złapać? Cóż znaczy to intymidowanie przeciwników w polemice, policyą? To poprostu największy terroryzm, a zarazem naj-

¹⁾ *Teka Stańczyka.*

większy sofizm. Czyż kiedykolwiek policya, jeżeli do tego nie miała innych powodów, słuchała publicystyki krajowej, czyż najumiarkowańszej nie podejrzywa zawsze o skryte, przynajmniej jej przeciwne i szkodliwe zamiary? Czyż nareszcie podobna przypuścić, że jej czujność dopiero obudzać potrzeba. A przedewszystkiem, czyż wszystkie nasze niedorzeczności i przesady, czyż wszelkie z naszej strony nierozsądku, nie są jej właśnie na rękę, czyż one nie potęgują jej czynności, jej znaczenia, i czyż nie powiększają jej płacy? Ale jeżeli już ma być mowa o broni godnej lub niegodnej rycerza, to niezawodnie wywołanie w polemice widna policyi, jest najnieszlachetniejszą bronią, a co gorsza metoda ta, przypomina w samej rzeczy owe przerażające czasy, czasy, w których brnęliśmy coraz głębiej bez najmniejszego zastanowienia i opamiętania, dlatego jedynie, aby czujności policyi nie obudzać! Aby nie przysparzać wrogom argumentów przeciw nam, aby nie dawać sami powodu do reakcyi, aby nie osłabiać ducha i t. d. I cóż wynikło z tego oglądania się na te wszystkie względy? Oto klęska stała się nieuniknioną, a zamiast reakcyi doczekaliśmy się zniszczenia i wytępienia.

P. Paweł. Odwieczny to sposób straszenia policyą, znana to metoda tej szkoły, jest w tem oczywiście manewr, bo już to zręczności w szczegółach nikt tej szkole nie odmówi; jej zasada jest bezmyślna, ale jej uczniowie mistrzami są w przeprowadzeniu jej; nietylko jednak jest w tem manewr, ale także i dowód tajemniczego łącznika, który zawsze istnieje między dwoma ostatecznościami, między ideą ciągłego burzenia i niepokojenia społeczeństwa, i ideą bezwzględного porządku i spokoju z wyższego rozkazu, którego policya jest przedstawicielką. Jest coś policyanckiego w konspiratorze, jak jest coś konspiracyjnego w policyancie.

P. Piotr. Najlepszym może wymysłem, prostym na pozór, podobnym do jajka Kolumba, jest owo po-

równanie *Lustratora* z *Dziennikiem Warszawskim* ¹⁾. Nie głupi jednak, kto pierwszy na tę myśl wpadł, najlepszym tego dowodem, że wszyscy teraz za nim to powtarzają. To pewny środek, bo to i w oczach publiczności ohydza przeciwników i ich samych niewątpliwie boleśnie w serce rani, może tak, że aż oniemiają. Panie Pawle! mniej to jednak bolesne być porównanym z *Dziennikiem Warszawskim*, a nawet co w tych czasach złej wiary i zamącenia wyobrażeń łatwo stać się może, być przez *Dziennik Warszawski* przedrukowanym, jak czuć, że niestety wśród tendencyjnych kłamstw, plwań, oszczerstw i szkalowań rzuconych przez *Dziennik Warszawski* na naród, były przytoczone przez niego straszne zbrodzenia jednostek, popełnione w imieniu sprawy, a które kładzono na karb całego narodu! jak być przekonanym, że chcąc prawdę, całą prawdę wypowiedzieć, trzeba się czasem fatalnie zejść z *Dziennikiem Warszawskim*. Nie, nie to boli, co *Dziennik Warszawski* pisał lub pisze, ale to jedynie, co w tem prawdy. Nie to p. Pawle powinno przestraszać uczciwych ludzi, że ich tam ktoś w wściekłości i zapamiętaniu porówna z *Dziennikiem Warszawskim*, ale ta obawa raczej aby z nowych naszych błędów i szaleństw nie wyśmiewał się znów *Dziennik Warszawski*. Uczciwego człowieka względ ten wstrzymać dziś już nie może, bo raz przecie wyleczyćby się trzeba z tchórzostwa, które nam kazało ulegać każdemu kierunkowi, który się patriotycznym mienił.

P. Paweł. A potem p. Piotrze, biorąc rzeczy rozsądnie i zimno, dojść się musi do przekonania, że każde nieroztropne i sangwiniczne działanie, szczególnie tutaj, każde zamieszanie, i tak nazwane podniecanie ducha środkami gwałtownymi, jest na rękę Moskwie. Gdyby w Polsce, a mianowicie w Galicyi nie było dzi-

¹⁾ Dziennik rządu rosyjskiego.

siaj sangwinistów, zapaleńców z dobrą wiarą, toby ich Moskwa powinna stworzyć. Osłabienie wpływu ludzi rozsądnych, chęć zabicia ich moralnie, porównywanie ich z Moskalami lub Moskwie zaprzędanymi, może być tylko na rękę Moskwie, i bardzo, bardzobym się dziwił *Dziennikowi Warszawskiemu*, który pod tym względem jest mistrzem, gdyby dla tem większej uciechy wszystkich naszych Gawronów, nie przedrukował z pochwałą od czasu do czasu artykułów *Wieczności* lub *Lustratora*. Czyż to u nas nie najlepszy, nie najpewniejszy sposób zniszczenia i podkopania ich wpływu a zapewnienia zwycięstwa kierunkowi, który Moskwa szczególnie, zawsze tak doskonale umie wyzyskiwać. Ale ja się myślę, środek polemiczny, o którym mówimy, jest przecież obmyślony, bo któż tam u nas pozna się na tych odcieniach, a tymczasem etykieta przylepi się do *Lustratora* i do *Teki Błazeńskiej!*

P. Piotr. Ale nie koniec na tem. Innego jeszcze użyto w tej polemice środka, środka prawdziwie melodramatycznego! Oskarżono, tak jest, oskarżono *Lustratora*, że chce wypędzić z Galicyi wszystkich emigrantów, że w cichości nową urządza proskrypcyę i — że ludzi pewnej kategorii, którzy zarabiają na utrzymanie swoich rodzin, pisząc do dzienników politycznych — chce oczywiście pozbawić chleba! Sic, nie inaczej p. Pawle, czytałem to na moje własne oczy. Dla większego zaś scenicznego efektu podpisano jednego z tych proskrybowanych, przyszłości! To już było przemówieniem nie do oburzenia, nie do patryotyzmu, ale do litości wszystkich serc szlachetnych. Sądząc o tym wybiegu, pod względem polemicznym, wnosićby można, że dostali oni śmiertelny obrót, skoro takiego dali w powietrzu kominika. Kto się odzywa do litości, ten widocznie zwyciężony. Ale gdzież oni p. Pawle wyczytali podobne potworności, skąd wysnuli ten płaczliwy akt oskarżenia? Czyś czytał gdziekolwiek w *Lustratorze*, już nie mówię,

coś podobnego, ale nawet cień podobnej insynuacji? Cóż powiedzieć o polemice, która podobne przeciwnikom podsuwa podłości! Co p. Pawle?

P. Paweł. Tylko nie oburzać się p. Piotrze, gniew byłby tu znowu naiwnością, bo to przecież manewr, teatralny wybieg, który z ich strony dziwić nie może. Przedewszystkiem trzeba mieć bardzo spaczony wyobrażenie, trzeba chyba mieć w sercu bardzo mało uczucia polskiego i prawdziwego patriotyzmu, a wiele, wiele namiętności stronnicej, ażeby dzielić naród znajdujący się w naszym położeniu i to w wewnętrznych naszych walkach, na emigrację i nieemigrację, na emigrantów i — co? chyba poddanych obcych mocarstw? Tego podziału nie dopatrzyłem się nigdy w *Lustratorze*, ale widzę go wciąż w *Celości* i *Dzienniku Tygrynowskim*, a nawet w korespondencyach *Bezstronności*. Panie Piotrze, czyżby to nie było słuszniej, szlachetniej, odpowiedniej naszemu położeniu, abyśmy się wszyscy uważali za wygnańców. Tak jest, my wszyscy czujemy i bóle i tęsknoty i upokorzenia wygnania, my wszyscy jesteśmy biedni, bezsilni, na łasce obcych, jak wygnańcy, my wszyscy nareszcie jesteśmy wygnańcami, marzącymi i dążącymi do lepszej przyszłości! Nie p. Piotrze, dla prawdziwie polskiej duszy niema emigrantów, są tylko Polacy. Ale między Polakami, tak jak między Niemcami, Francuzami, Włochami, a nawet zapewne Lapończykami i Eskimosami, są ludzie rozsądni i szaleńcy, rozumni i głupi, roztropni i fanatycy, uczciwi i łajdaki, sumienni i lekkomyślni, ludzie pracy i ludzie wrzawy i hałasu, uczeni lekarze i szarlatani, jasnowidzący i zaślepieni, politycy i entuzyaści, patrioci i demagogi, Polacy i kosmopolici, ludzie przywiązani do ojczyzny i ludzie przywiązani tylko do doktryny, ludzie praktyczni i ideolodzy, baczni i niebaczni, mężowie stanu i kome-dyanci, ludzie, którzy umieją korzystać z doświadczenia i ludzie, którzy nigdy z niego nie korzystają, ludzie,

k którzy przecież czegoś się nauczyli i ludzie, którzy wszystko zapomniawszy, niczego się nie nauczyli, nawróceni i niepoprawni. Otóż z drugimi, czy oni działają w dobrej wierze, czy w złej wierze, walczyć wypada i należy, czy oni siedzą w kraju czy za granicą, czy za paszportem czy bez paszportu rosyjskiego, a gdzie się da, wysniewać, wysmiewać nielitościwie, nie tylko godzi się, ale należy. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że jeżeli w naszych oczach niema emigrantów, to przecież wobec rządów klasyfikacya ta ma swoje znaczenie, i że rządy uzbrojone są przeciw emigracyi pewnymi przepisami. Otóż *Całość* zdaje się posądzać *Lustratora*, że on doradza użycia tych przepisów.

P. Piotr. Ani mniej, ani więcej.

P. Paweł. Pomijam już wstręt, jaki w każdym cokolwiek uczciwym człowieku obudzić musi sama myśl podobnego środka. *Całość* widocznie niema wyobrażenia o tym wstręcie, to drobny szczegół wobec wielkich spraw ludzkości. Ale *Lustratora* i jego redaktorów miałbym za półgłówków i bardzo krótko widzących, pomijam znowu systematycznie kwestyę uczciwości, gdyby mogli na chwilę uważać ten środek za zbawczy i polityczny. Jakto, ci ludzie mieliby tak mało zmysłu politycznego, żeby chcieli z swoich przeciwników porobić męczenników, a z siebie policyjnych denuncyatorów! Coś podobnego wymyślić może już nie ta zwykła głupota, ale ta, która większa jest od miłosierdzia bożego. Raz przecież mamy sposobność ujrzenia w całej świetności i na wolnem powietrzu wszystkich, dręczących nas nedorzecznosci, wszystkich szaleństw, które dotąd zawsze w ciemnościach gotowały się do wystąpienia, i nie mielibyśmy uchwycić skwapliwie tej sposobności i nie umielibyśmy z niej korzystać. Przecież to jedna z niemałych korzyści dzisiejszego położenia, że możemy tutaj swobodnie i nielitościwie wysmiać wszystkie nasze nedorzecznosci i wszystkich naszych szarlatanów

przebranych za proroków! Czyż podobna przypuścić, żeby się znalazł ktoś, ktoby chciał zrzekać się tej sposobności na rzecz policyi! Owszem, prosimy was, siedźcie tu, a szczególniejszcie, piszcie dużo, i wygadajcie się, nie dlatego, żeby was w końcu policya wydalila, ale, żeby zdrowy rozum narodu słuszny o was wydał sąd, i żeby kraj nasz sam przekonał się, co warte wasze teorye i wasze rady, żeby stwierdził, że jesteście tylko zacofanymi lekarzami odwiecznej i potępionej już przez doświadczenie i nowoczesną naukę szkoły. Jeżeli zaś kraj sam nie zdoła tego rozpoznać, jeżeli odda się w wasze ręce, to wtedy wszystko stracone i niema o czem mówić. Ale wtedy też, policya mięszając się do tego, oczywiście tylko na waszą korzyść działałaby. Siedźcie w kraju, odzywajcie się głośno, tego właśnie pragniemy, tego chcemy, bo to dla sprawy nierównie mniej niebezpieczne, jak działanie i odzywanie się wasze z daleka, już z samych względów optycznych! A potem wolimy stokroć, wolimy sami wyśmiać wszystkie nasze rodzinne nedorzecznosci, jak żeby z nich wyśmiewać się mieli obcy, *nous voulons laver notre linge sale en famille*. Tak jest, my chcemy użyć wolności, którą tu mamy na obalenie waszych zamków na lodzie i na zwalenie rusztowania waszych fałszywych teoryi, zgubnych zasad i wszystkich waszych fanfaronad! Jeżeli temu wszystkiemu policya chce przeszkodzić i znowu otoczyć was aureolą, niech was wydała, ale my ją wtedy posądzimy, że działa chyba w porozumieniu z Moskwą.

P. Piotr. Otóż teraz p. Pawle, dotknąłeś prawdziwej strony sytuacji. Jawność jest najlepszą dla nas i kraju tarczą. Dlatego nie tak bardzo znów czarno zapatruję się na położenie, a chociaż nie lekceważę objawów, o których mówimy, to przecież w dzisiejszych okolicznościach nie obawiam się ich. To nie spiski, nie knowania, nie w ciemnościach knute konspiracye, ale wystawa publiczna aberracyi rozumu, entuzjazmu na

zimno i fałszywych teorii. Podobna wystawa nie wytrzyma światła dziennego. Dlatego też zapytuję się ciebie p. Pawle, czy *Lustrator* nie przesadził i czy sam się nie przestraszył zbyt mocno lub też innych chciał przestraszyć, aby gorszego złego uniknąć?

P. Paweł. Co się tyczy jawności, zgoda p. Piotrze, nie słuszniejszego, że w niej jest nasze bezpieczeństwo, ale pod warunkiem, że użyjemy jej także na korzyść sprawy rozsądku, inaczej bowiem ta jawność posłużyłaby tylko do zapewnienia zwycięstwa błędom, fałszom i kuglarstwu. Nie możesz więc w imieniu jawności oskarżać *Lustratora*, że na ostro wystąpił, bo tym sposobem zaprzeczył byś pierwszym warunkom i wymaganiom jawności, oraz obowiązkom, które za sobą pociąga.

P. Piotr. Ale jawność w każdym razie nie upoważnia do przesady. Kto chce skutecznie działać przeciw złemu, nie powinien go przesadzać.

P. Paweł. Zważ p. Piotrze, że są przedmioty, o których niepodobna mówić, że są typy, których niepodobna wiernie przedstawić, żeby zrazu nie ściągnąć na siebie zarzutu przesady. Czy nie zdarzyło ci się czasem spotkać tak komicznej figury, że patrząc na nią powiedziałeś sobie: „Otóż gdyby aktor tak się ucharakteryzował, powiedzianoby, że przesadza“. Podobny zarzut spotkał *Lustratora*, ale w samej rzeczy, w treści gdzież widzisz, żeby *Lustrator* przesadził, chociaż mu to zarzucają? Czyż *Lustrator* powiedział gdziekolwiek, że dziś, tutaj ktokolwiek dąży do powstania? Nie! Optymowicz siedzący w Głupiosiówce, widzący wszystko wedle swoich życzeń, może się tą nadzieją cieszyć, ale to z jego strony czysty optymizm, jak optymizmem jest także z jego strony branie dzisiejszych objawów za oznaki nieprzerwalności powstania, tego powstania, które znów w jego optymizmie jest dla niego ideałem, bo wierzy silnie, że za jego pomocą i za pomocą radykalnych, dzikich środków, dojdzie do Polski. Czyż p. Piotrze tacy

Optymowicze nie istnieją, i czyż nie są istną plagą polityczną? I czyż nie najwięcej przyczyniają się do zguby sprawy, którą tak bezrozumnie kochają i czyż mniemając, że wszystkim kierują, nie stają się zwykle tylko narzędziami w rękach ludzi złej wiary? Z drugiej jednak strony, powiem ci szczerze panie Piotrze, że nie trzeba być koniecznie pesymistą, ażeby przewidywać, że są fałszywe systemata, które muszą złe skutki sprowadzić, skutki, których dzisiejsi ich twórcy może nawet nie domyślają się. Czyż przeszłość nie uczy nas tego? Czyż doświadczenie sprzeciwia się podobnym wnioskom alarmistów? Czyż nie mogą zajść takie okoliczności, czyż niema w naszym społeczeństwie takich żywiołów, któreby mogły ziścić bezpośrednio nadzieje Optymowicza? Czyż nareszcie nie jesteśmy otoczeni wrogami, którzy czyhają na każdą sposobność, żeby nas popchnąć do zguby i do użycia tych morderczych dla nas samych środków, w skuteczność których jeszcze tak silnie wierzą w Głupiosiówce? Od czegoż historia, jeśli ani z niej korzystać, ani też do niej odwoływać się nam nie wolno. Otóż któż z uczciwych i rozsądnych przewodzców ruchu przypuszczał, że bierna protestacya ludu warszawskiego, która wzbudzała ogólny podziw i uszanowanie, zamieni się w nieudane powstanie, a stopniowo dojdzie do skrytobójstw i fałszowania banknotów w imieniu ojczyzny, i dla tem większej jej chwały? że owe sceny z „Psal mów“ zakończą się scenami z „Nieboskiej Komedyi“? Czyż ci, którzy do biernego tylko oporu zachęcali, przewidzieli to wszystko? Nie, nie, dla ich dobrej sławy wolę wierzyć, że gdyby byli to wszystko przewidzieli, rozpacz byłaby rozsądziła ich serca w dniu pierwszych demonstracyi warszawskich. A jednak czyż wtedy nie byli także Optymowicze, którzy naiwnie pragnęli takiego obrotu rzeczy i w nim widzieli jedyne zbawienie Polski? Czyż nie byli stokroć gorsi od Optymowicza, bo ludzie nie ze spaczonemi wyobrażeniami jak Optymo-

wicz o sprawach tego świata a szczególnie o sprawach polskich, ale ze spaczonym sumieniem, którzy w takim obrocie rzeczy upatrywali tylko własny poziomy interes. Tak niezaprzeczenie, obok entuzjastów, szaleńców, prawdziwych i bezrozumnych patryotów, są u nas w chwilach groźnych i tacy, którzy tylko korzystać pragną materyalnie z ogólnego zamieszania i z naszych klęsk. Cóż ma począć sumienny lekarz, który widząc małą rankę, wie jednak dokładnie, że z niej, z tej nieznannej ranki, może się wywiązać gangrena? Czyż nie powinien wypalić jej kamieniem piekielnym lub wyrznąć ostrem narzędziem chirurgicznym? Czyż chory ma prawo nazywać go alarmistą dlatego, że mu mówi to, czego go sztuka lekarska i doświadczenie nauczyły? Przyznaję, że *Lustrator* użył kamienia piekielnego i ostrego narzędzia, prawda, że to boli, ale cóż miał robić, kiedy niema na to innego lekarstwa. Kto zaś p. Piotrze oburza się i upatruje w tem zakałę dla narodu, ten niech spojrzy na historję innych szczęśliwych a potężnych i niepodległych narodów, niech zastanowi się nad ich zboczeniami, a wtedy nasze nie będą go tak wielce dziwić i nie będzie się gorszył i oburzał na tych, którzy dla ochronienia się od nich na przyszłość, odsłaniają je. A przebóg! od czegożby była publicystyka? Czyż dlatego, żeby ministrom w Wiedniu grozić, lub dawać dobre rady Napoleonowi?!

P. Piotr. Słusznie, słusznie p. Pawle! W każdym razie, nie ci mają prawo mówić o przesadach, którzy ludzi przemawiających z poczucia obowiązku, nazywają grabarzami i zwolennikami nieprzerwalności snu. To już zawiele p. Pawle! Jakże tu nie odpowiedzieć tym panom: grabarzami Polski są ci, którzy, czy przez egzaltację, czy przez ambycję, czy przez szal, czy przez ruchliwość, czy przez głupotę, czy przez samolubstwo narażają ojczyznę na klęski, na przedwczesne i nieudane powstania, którzy łechcąc wyobraźnię narodu, popychają go

do nierozważnych czynów; oni to skazują go na nieprzerwalność snu, oni to już lekkomyślnem postępowaniem skazali Litwę, Zabrane Prowincye, Królestwo na nieprzerwalność snu, bo ściągnęli na te kraje zniszczenie, wytepienie i zemstę wrogów. Oni to są praktycznymi apostołami nieprzerwalności snu, oni grabarzami sprawy, oni marnotrawcami zasobów i pracy narodowej! A jeżeliby kto utrzymywał, że my tu spali, że nas dopiero ktoś tam obudził, to śmiało odpowiedzieć możemy, że to fałsz i że to zarozumiałość bez granic, że to lekceważenie i prawdy i kraju całego i narodu. Nie, moi panowie, robiliśmy cośmy mogli, ale wiele zrobić nie podobna było, tę jednak pociechę mamy, że nie ściągnęliśmy na ten kraj ani żadnej klęski, ani żadnej sromoty, ani żadnej represyi, ani żadnej zemsty, żeśmy go ani wycieńczyli, ani zgubili, ani w nieprzerwalność snu nie wtrącili. I da Bóg, nadal nie dozwolimy nikomu aby go w tę nieprzerwalność snu wtrącił.

P. Paweł. Niewątpliwie, kraj i uczciwi ludzie nie pozwolą tu nigdy na to. Nie też śmieszniejszego jak to wpieranie pewnych organów w przeciwników, że oni widzą już powstanie narodu i rozgorączkowanie całego kraju, kiedy nikt tego nie twierdzi, lecz kiedy przeciwnie nieraz nacechowano stanowisko kraju, który chce i pragnie trzymać się drogi rozsądnej i prawdziwie politycznej. Takie wpieranie z ich strony jest tylko dowodem wielkiej ich zarozumiałości i ufności w własne siły. Nie, kilku lub nawet kilkunastu niepoprawnych nie zdoła zepchnąć kraju z drogi, którą dobrowolnie wybrał, lecz u nas tych kilkunastu wbrew woli i bez udziału kraju może sprowadzić na niego klęskę, bo z ich szaleństw, z ich płochości, z ich lekkomyślności, nie omieszkają korzystać wrogci. A chociażby oni dali tem tylko powód do jakiego stanu wyjątkowego, jużby nam dostatecznie dojechali.

P. Piotr. Czego się tak oglądasz p. Pawle?

P. Paweł. Zdaje mi się, że wszedł do apteki, wiesz ten Brutusik, nie chcę, żeby słyshał naszą rozmowę.

P. Piotr. My przecież nie zdrożnego nie mówimy.

P. Paweł. To prawda, ale oni tak doskonale umieją przekręcać; będą nas paskudzić przy lada sposobności po gazetach, bo i to umieją. A co mi po tem?

P. Piotr. Przecież to nasze zdanie, uczciwe zdanie.

P. Paweł. A to racya? Niczego oni tak nienawidzą, jak cudzego zdania; przekonać, nie przekonamy ich, pocóż więc narażać się na oszczerstwa i paskudzenie po dziennikach. Jakby Brutusik usłyszał to, cośmy tu mówili, gotowi wydrukować, że po mieście krąży wieść, że to my wywołaliśmy zakaz obchodu Unii.

P. Piotr. Przekonaj się więc czy to on wszedł? Nie on? Możemy więc spokojnie dokończyć naszą rozmowę.

P. Paweł. Ja uważam, p. Piotrze, że my jesteśmy jak dwaj bracia Siamscy. Do tego stopnia zgadzamy się z sobą, że jak ci bracia, jeden kończy zdanie drugiego.

P. Piotr. Są rzeczy, w których rozsądni i uczciwi ludzie muszą zawsze się zgodzić.

P. Paweł. Najlepszym, najweselszym, że tak powiem, zarzutem *Całości* jest, że ci, którzy silnie występują w obronie rozsądku, działają jedynie tak, dla przypodobania się konserwatywnym kołom i ultrakonserwatywnemu stronnictwu. Gdzież są te koła, gdzież jest to stronnictwo konserwatywne, któreby ich poprzec chciało, na które mogliby się oglądać i któreby im powiedziało przynajmniej — „Bóg zapłać!“ Gorzki to chleb, twarde zadanie w ten sposób stanowczy występować i przemawiać w położeniu takim jak nasze, w którym na tyle względów oglądać się trzeba. Każde stanowcze zdanie zakłóca błogi stan wiecznej chwiejności, w której znajduje się nasze społeczeństwo. W cichości, w skrytości

ducha może niejedyn cię pochwali, ale za to głośno, bardzo głośno potępia cię wszyscy ubiegający się za popularnością, wszyscy, którzy cię nie rozumieją, wszyscy, którzy cię zbyt dobrze rozumieją, potępia uczuciowi i sercowi, trybuny i patryotki, a jakieś tam rozporządzenie policyjne zabrzmii ci nad uchem, jak — Amen. Nikt się za tobą nie odezwie, nawet ci, którzy podzielają twoje zdanie; bo ich już wyřęczyłeś, już podjąłeś się najniewdzięczniejszej strony zadania. Oto są przyjemności tego zawodu! Jedyne zadowolenie, jakiego doznać możesz, oto uzyskanie świetnej reklamy dla twojego zdania, dla twojej odwagi cywilnej i sumiennosci w formie szkalowań, przekleństw, potwarzy i wściekłego gniewu przeciwników! I w takim położeniu rzeczy wpięrają w ciebie, że przemawiasz bez przekonania, w złej wierze, lub ze strachu. Więc ludzie, którym przecież nie brakuje piątej klepki, ludzie, którym nawet przeciwnicy przyznają bezinteresowność, występowałiby w ten sposób, w tak trudnych okolicznościach, bez głębokiego przekonania, jedynie dla żartu, z wesołości, dla własnej przyjemności i dla przypodobania się jakiemuś nadpowietrznemu konserwatywnemu stronnictwu polskiemu! Bo doprawdy tego stronnictwa na ziemi ani dopatrzeć ani domacać się nie mogę. Bądź przekonany p. Piotrze, że u nas to, co oni zowią stronnictwem konserwatywnem, ogranicza się zawsze na dwóch ludziach rozsądnie i sumiennie rozmawiających z sobą o sprawach publicznych, tak jak ja teraz rozmawiam z tobą; dalej nie sięgaj, dalszej organizacyi tego stronnictwa nie szukaj, szukałbyś jej daremnie; niech do nas trzeci się przyłączy, a ręczę ci, że nawet ustanie szczerosc w rozmowie, że się charakter tej rozmowy zmieni i że już we trzech nie zdołamy utworzyć stronnictwa rozsądnego, bo tysiące względów stanie nam na przeszkodzie, bo nie zdołamy rozwikłać zagmatwanych u nas pojęć o stronnictwach, a w ostatniej konkluzyi dojdziemy do prze-

konania, że dla obrony rozsądku nie potrzeba stwarzać stronnictwa. Jak tu mówić o konserwatywnem stronnictwie, kiedy tu zaledwie zdobyć się możemy na pojedyncze zdrowe zdania.

P. Piotr. Zarzucano jednak tym ludziom a mianowicie *Lustratorowi* i to ze wszech stron, że obawy jego są bezzasadne, płonne, że one właśnie obudzają niepokój, porównano go do zająca, którego szelest liści spłoszył. Jest to zarzut nielada, bo obwinia szczycącego się rozsądkiem politycznym *Lustratora* o tę samą niewytrawność i ten sam brak wykształcenia politycznego, z którymi on do walki występuje.

P. Paweł. Byłby to w samej rzeczy zarzut zabijający, gdyby był słuszny; a gdyby *Lustrator* popełnił był podobny błąd, gdyby był wzniecił całą tę wrzawę niepotrzebnie, z lekkomyślności czy nienawiści, z małoduszności czy stronnictwości, byłby sobie niewątpliwie wydał *testimonium paupertatis* politycznej. Ale, że tak nie jest, świadczy nietylko to bębnienie uporeczywe, nietylko ten hałas, który przecież słyszymy, nietylko ta jadowita polemika, ale co ważniejsza fakta, fakta p. Piotrze, i te znane nam dobrze symptomata, których przecież także publicystyka nie mogła pominąć milczeniem, symptomata, które porównałem z oną wśród gumien zapaloną fajką. Ale przedewszystkiem zastanówmy się nad faktami. Czyż pomimo wypierania się strony przeciwnej, ilustrowanego gorącą apologią demonstracyi, można dziś zaprzeczyć, że zamierzała ona urządzić szereg nieprzerwany demonstracyi niewymierzonych przeciw Austrii, a tem samem łatwiejszych do przeprowadzenia. Otóż chęć rozbudzenia ducha polskiego u nas, za pomocą tych łatwych, wygodnych demonstracyi, jest albo dzieciństwem i zarozumiałością półgłówków, albo też musi mieć inny, dalszy a dziś ukryty cel. Dla utrzymania więc w nas ducha polskiego, potrzeba demonstracyi, więc bez demonstracyi przemienimy się w Niem-

ców albo idiotów! To zaprawdę zbyt niskie i małoduszne wyobrażenie o naszym patryotyzmie, za zuchwałe lekceważenie sobie nas, jako Polaków. Gdyby już tak źle było, to i demonstracye nieby nie pomogły. Jeżeli panie Piotrze srogie prześladowanie moskiewskie, jeżeli tępienie systematyczne żywiołu polskiego i wszystkie z wszystkich stron grożące mu straszne niebezpieczeństwa, niezdolne są utrzymać nas na wysokości naszego tutaj zadania, to zaiste już żadne demonstracye tego nie dokażą. Demonstracye, mówią nam, mają za zadanie: szerzenie polonizmu i idei polskiej. Cóż z tego, kiedy biorą w nich udział tylko przekonani, a niepodobna niemi działać na nieprzekonanych raczej nieprzygotowanych, bo doświadczenie nauczyło, że na nich przeciwny zupełnie wywierają skutek: zamiast łączyć, obudzają ich podejrzliwość. Cóż powiedzieć o nauczycielach, którzy rozpoczynają naukę matematyki od rachunku różniczkowego!? Czyż o tem wszystkiem nie wiedzą lub też wiedzieć nie chcą obrońcy demonstracyi? Nikt też dziś nie odważy się na śmieszność twierdzenia, że one potrzebne są dla przypomnienia naszej sprawy Europie. Ale jeżeli demonstracye nie mają żadnego praktycznego znaczenia, za to posłużyć mogą wielce do ludzenia się, do cieszenia się oswojonymi i wyuczonymi chłopami, którzy zawsze i wszędzie przedstawiają u nas, podczas demonstracyi, stan włościański. Oh! p. Piotrze, takie ludzenie się jest zgubnem, bo przyczyniać się tylko może do niezrozumienia warunków, w których żyjemy, do zamknięcia oczów na rzeczywistość. Jeżeli u nas demonstracye łączą z sobą tylko już połączonych, jeżeli stwierdzają fakt, o którym nikt nie wątpi, jeżeli nawracają nawróconych, jeżeli demonstrują bez wytkniętego celu, to i z drugiej strony mają tę niezaprzeczoną właściwość, że zaszczipiają i rozpowszechniają moralne i polityczne wałęsanie się i że odrywają od tej pracy, która na niektórych ustach wywołuje tak szy-

derczy uśmiech, ale która przecież jest kamieniem węgielnym naszej całej budowy. Demonstracye bowiem dając nam bezpośrednio przedsmak ostatecznego celu, muszą obudzać niesmak do wszystkich prozaicznych szczegółów, do tej codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy. Demonstracye sprawiają objawy podobne do owych złudzeń optycznych na puszczy, które w oczach podróżnych przemieniają piasek w wodę; tak jest, są to tylko złudzenia, uroczne złudzenia, które tem przykrzejszą i nieznośniejszą czynią rzeczywistość życia. Zważ p. Piotrze, że u nas te demonstracye nie mają żadnego związku z dzisiejszym bezpośrednim celem kraju i do dopięcia go nie a nic pomódz nie mogą, przeciwnie, wielce mogą mu zaszkodzić, bo dają broń naszym przeciwnikom, bo mogą uzbroić ambasadę moskiewską i pruską w argumenta przeciwne wszelkim na naszą korzyść ustępstwom, bo naszym zaciekłym nieprzyjaciolom w Chaopolis dostarczają przeciw nam argumentu separatyzmu, bo narreszcie nawet w przychylnych nam, mogą obudzić podejrzenie o szczerości naszych oświadczeń i naszej terażniejszej polityki. A więc, albo posłużyć mogą one jedynie do wytworzenia wobec zdrowej, poważnej polityki kraju, innej chorobliwej, prawdziwie babskiej, w której rzeczywiście pleć piękna ważną zawsze odgrywa rolę, albo też posłużyć mają do przygotowania gruntu dla działania sangwinicznego i do utrzymania owej Optymowicza nieprzerwalności powstania. Kto puszcza się w drogę, powinien sobie zdać sprawę dokąd ona prowadzi: droga demonstracyi albo nigdzie nie prowadzi i ginie wśród pól i lasów, albo też doprowadzić musi do przyspieszonej akcyi politycznej i wywołać represyę, lub też znowu rozpaczliwy czyn. Demonstracyami żadne społeczeństwo długo żyć nie może, i albo zakończyć się one muszą w bardzo krótkim czasie sromotnem *fiasco*, albo też przeistoczyć się w działanie.

P. Piotr. Ja sędzę, że ta kwestya demonstracyi jest tylko epizodem, że ta mania u nas się nie rozpowszechni i że przejęci ważnością naszych obowiązków nie odbiegniemy od warsztatu dla przypatrywania się fajerwerkom. Niebezpieczniejsze jednak dążności i fakta objawiły się w samym środku spraw publicznych. Czyż wprowadzenie tego u nas sztucznego czynnika politycznego — zebrań ludowych, nie jest istotną niedorzecznością i kolosalną śmiesznością?! Kwadrans deszczu nadał tygrysowskiemu zebraniu zupełnie inny obrót; oni elementa nawet przypuszczają do przymierza z niedorzecznościami. Narzekamy na brak wykształcenia politycznego u nas, a chcemy zaczynać od środków politycznych, których nawet najwykształceni narody w ten sposób nie używają; od rachunku różniczkowego, zamiast od reguły trzech. Moi panowie, jakbym ja wam był wdzięczny, jakbym chętnie uznał wasze zasługi, gdybyście urządzali zebrania ludowe po wsiach, gdybyście tam chcieli zasięgnąć zdania większości ludu, i gdybyście potrafili w ten sposób kierować temi zebraniem, żeby one poparły nasze słuszne życzenia, wzmocniły nasze wobec obcych stanowisko, i wpływały na wykształcenie ludu wiejskiego. Ale wy, szumnie zowiący się demokratami, ani pomyślicie o tem, ani nie pokusicie się o to. Dopóki zaś wasze zebrania ludowe, ograniczać się będą na Tygrysowie, powiem wam, że są tylko śmieszne, i że jedynym ich skutkiem może być tylko: *bonnet blanc et blanc bonnet*. A gdyby przestały być śmiesznymi, gdyby miały zaważyć na szali losów kraju lub wpływać na uchwały sejmu, powiedziałbym, że są szkodliwe, niemoralne, bo narzucałyby krajowi zdanie mniejszości, mniejszości rozgorączkowanej i kierowanej w celach stronnicych. Taka zaś przewaga mniejszości, narzucająca się za pomocą luźnych zebrań tygrysowskiej ludności, musiałaby w końcu doprowadzić do rozstroju politycznego i podkopania powagi i znaczenia reprezen-

tacy całego kraju. Zawsze więc zarzucić wam można, że albo przez was doradzone środki pozostaną dziecinną, czczą zabawką bez doniosłości, albo, że się staną szkodliwymi. To dylemat, z którego nie wyjdziecie. A zebrania wyborcze, powiedzą oni nam; prawda, że to przynajmniej genialny wynalazek! Zebrania wyborcze — to zupełnie co innego, tylko to nie jest wynalazek; zebrania wyborcze należą od niepamiętnych czasów do zakresu prawidłowego życia politycznego i konstytucyjnego, ale nie w ten sposób jak oni je pojmują, jak je urządzają i jak nimi kierują. Wyborcy mogą okazać chęć porozumienia się z swoim posłem, poseł może uczuć potrzebę wytłomaczenia się i porozumienia się z wyborcami, ale nikt niema prawa mieszania się w tę domową między wyborcami a posłem sprawę; nikt przedewszystkiem niema prawa doradzania tego środka, jako ogólnego, bez wicherzenia, narażenia na rozstrój całego organizmu politycznego i wkroczenia w zakres konstytucyjnych czynników państwa. Ogólne bowiem odwołanie się do wyborców jest równem odwołaniu się do nowych wyborów, a w życiu konstytucyjnym jest to wyłączną prerogatywą korony. Zebranie wyborców może dać votum zaufania lub nieufności posłowi, ale nie może mu dawać instrukcyi formalnych, nie może mu wskazywać wniosków, nad którymi ma w ten lub ów sposób głosować, bo poseł nie jest małoletnim, bo taka instrukcyja jest już dowodem braku zaufania, bo zabija w zarodzie doniosłość mandatu, bo nareszcie chociażby zebranie wyborców składało się z samych mędrców, to nie może się składać z samych proroków, którzyby zdołali przewidzieć, co w chwili zwołania sejmu najkorzystniejszym będzie dla kraju. A jednak oni taki zakres nakreślają zebraniom wyborczym i tak potwornych po nich oczekują skutków. Dobrze więc nawet w zasadzie środki, które doradzają, psują i skrzywiają przesadami w zastosowaniu, bo ich zamiary nieszczere, bo w całym ich

działaniu tkwi nieuleczona choroba, tego zgubnego radykalizmu, który albo rozstraja albo rozsadza; bo im idzie tylko o agitację, bo są zawsze sangwinistami, bo nareszcie natura ciągnie zawsze wilka do lasu. A kiedy przeciw chorobliwym, bezużytecznym lub szkodliwym demonstracyom i rozstrajającemu, rozprzegającemu działaniu politycznemu publicystyka występuje, oni twierdzą, że nie umie i nie chce używać wolności. Ale na miłość Boga, ileż razy trzeba im będzie powtarzać, że nadużywanie wolności nie jest jej zużytkowaniem, że wolność, jak każda na tym świecie rzecz, ma swoje dobre i złe strony, i że złych wystrzegać się należy. Czy dlatego, że się ma wolność szynkowania gorącymi trunkami należy siebie i innych upajać alkoholem? Ich zaś polityka, ich teorya, począwszy od demonstracyi, a skończywszy na zebraniach ludowych, to alkohol, który gwałtem chęć w gardło wlewać krajowi.

P. Paweł. Silnie muszą oni być przekonani o dzielności tych wszystkich środków, skoro chęć w nas wprzeć, że innych niema, że kto tych nie używa, nie umie używać wolności, i że ten tylko zna się na winach, kto codziennie wódką się upija, skoro pytają się, co to jest ta praca organiczna, z której znowu wyśmiewać się zaczynają? Praca organiczna p. Piotrze, odpowiedzieć im można — to oświata, bo oświata, to najlepsze *antidotum* przeciw ich dezorganicznej pracy. Wydajcie tę energię, którą marnujecie na urządzenie demonstracyi, na szerzenie oświaty, wydajcie te pieniądze, które zbieracie na demonstracye, na oświatę, a dowiedcie się, co to jest praca organiczna. Przemawiajcie, nalegajcie o mądre a pilne zużytkowanie tych instytucyi, które już mamy — zawiązujcie ich jak najwięcej, bo jeśli ich działania są czasem błędne lub błahe, skrzywione lub bezowocne, to przecież one są prawdziwą dźwignią postępu, jedyną spójnią i jedyną dodatnią stroną wśród dzisiejszego ogólnego rozstroju; zawiązujcie i pielęgnujcie je, a dowiedcie

się, co to jest praca organiczna! — Biercie udział i innych namawiajcie do żywego udziału w prawidłowym życiu politycznym, jakie okoliczności stworzyły. Walczcie przeciw temu wrodzonemu nam próżniactwu, które zasłania się tym sofizmem, że w tych warunkach nie zrobić nie można, a dowiedcie się co to jest praca organiczna! To przecież dość szeroka niwa i dla waszej działalności a nawet ruchliwości i ambicyi. A brak, wielki brak na tej niwie pracowników, brak szczególnie pracowników sumiennych, wytrwałych, obznajomionych i z rolą i z narzędziami rolniczemi. O nich starajcie się, a leniwych karćcie, a lekkomyślnych potępiajcie. Ale do tego musielibyście przede wszystkim opuścić kierunek, którym idziecie, bo on odprowadza od tej niwy robotników, i kiedy nie prowadzi ich na jatki, to prowadzi do lasu na majówki lub do teatru na kuglarskie przedstawienia.

P. Piotr. Co najsmutniejszego p. Pawle, oto, że na dnie tego wszystkiego spoczywa kwestya osobista, że są jeszcze u nas ludzie, mający pretensye do przewodztwa, którzy takimi środkami i za pomocą takich narzędzi, chcą dojść do niego, i że ci, którzy innych oskarżają o działanie w celu przypodobania się jedynie nieistniejącemu stronnictwu konserwatywnemu, sami bezwiednie może działają tylko na korzyść pojedynczych a istniejących ambicyi.

P. Paweł. To odwieczna plaga kraju naszego. Ileż to razy w naszej historii rzecz publiczna stawała się igraszką i stawką gry, między dwoma indywidualami. A i dziś także antagonizm osobisty, jakżeż przeważnie wpływa na sprawy publiczne.

Ale wróćmy się do faktów, na których opieram moje twierdzenie o stosowności wystąpienia *Lustratora*, faktów, które *Słonecznik* zwie szelestem liści straszącym zająca, a przecież dla takiego jak on szczwanego lisa, z tak wykształconym węchem i słuchem, nie powinny

były przejść niepostrzeżenie, gdyby nie było wiadomem, że lis ma zawsze na zawołanie katar, aby się po lisiemu z niemilego lub trudnego wywinąć położenia. Czyż nie jest to faktem, że od pewnego czasu są organa, które z niesłychanem lekceważeniem zaczynają mówić o naszym do Austrii stosunku, a więc o podstawie polityki rozsądku i polityki kraju całego. Nawet jeden z tych organów uważa wogóle wszelkie sprawy, będące u nas na porządku dziennym, za nader błahę, wobec pewności, że niedługo ujrzymy uniwersalną Rzeczpospolitą. A i inne, mniej prorocze, pisma, czyż nie wspominają o naszym do monarchy i dynastyi stosunku, jako o: *Nebensache*, jako o komedyi w jednym akcie, jak o parowanie wygodnym. Czy już nie słyszeliśmy, że „co nam tam turbować się o Austryę i t. d.“ Czyż nie widzimy co chwila zachcianek, nie liczących się zupełnie ze zewnętrznymi i wewnętrznymi stosunkami, zewnętrznymi i wewnętrznymi niebezpieczeństwami i kłopotami monarchii. Czyż to nie są także zamachy przeciw polityce austriacko-polskiej, a więc przeciw polityce zdrowego rozumu i kraju? W ten sposób nie traktuje się wielkich zadań, ani się działa na polu politycznem, jeżeli się wierzy szczerze w sprawę, i jeżeli ma się chęć pozostania na tem polu. Wedle ich zdania mniejsza o Austryę i o nasz stosunek do Austrii, byle przeprowadzić nasze widzi mi się, byle dojść do szczytu szczęścia, do edenu abstencyi! Mniejsza o potrawę, byle się sosem najeść. Czyż taka polityka nie zagraża rozsądnej polityce; polityce prawdziwej, której dotąd trzymaliśmy się? A więc obawy nie są błahę, i wystąpienia *Lustratora* uzasadnione i usprawiedliwione są, bo objawiający się kierunek, z którym on do walki wystąpił, zagraża rozmarzeniem kraju przez demonstracye i rozgorączkowaniem przez takowe, patryotycznych warstw społeczeństwa; rozstrojem politycznym przez złe i fałszywe użycie wolności politycznej i podkopaniem powagi sejmu; zerwaniem za po-

mocą tych dwóch środków z polityką rozsądku, i ostatecznie zwichnięciem zupełnem naszego stosunku do Austrii. A chociażby wskutek tak zgubnej, nie pomnej interesu polskiego, polityki, nie wynika katastrofa bezpośrednio, to zawsze jednak potrafiliby z niej korzystać wrogci, nieprzyjaciele i przeciwnicy. O zamiarach anty społecznych nikt nie mówił; dotąd nie objawiły się one jeszcze. Zmora więc społecznej rewolucyi jest wynalazkiem przeciwnej strony, czy raczej usługnych dworaków jak Bezstronność. Chociaż niewątpliwie tu w Galicyi nie łatwiejszego jak niechęcy i najniewinniej, jedynie lekomyślno-optimistycznym postępowaniem, obudzić kwestyę społeczną. Ale o to tu teraz wcale nie idzie, tu idzie poprostu o to, aby nie popełnić głupstwa politycznego i przed tem głupstwem *Lustrator* przestrzega i niem straszy.

P. Paweł Kochany p. Piotrze, oni nazywają podobne przestrogi stawianiem strachów, ubranych w stare szaty. Lecz jakże nie robić wniosków, skoro nic a nic nie zmieniło się w metodzie tej szkoły i w sposobie rozumowania i działania tych ludzi, skoro powtórnie słyszemy te same frazesa, skoro widzimy to samo parcie na opinię, i głoszenie swoich zdań za zdania ogółu, skoro znowu nietylko zaczynają wywierać terroryzm na obce zdania, ale także używać go poczynają przeciw tym, którzy je głoszą, skoro znowu zaczynają wpierać w nas, że nic nie robiliśmy, że nic nie robimy, że jedynie szczęścia galicyjskiego i dostatków galicyjskich, w których opływamy, używać chcemy! Skoro nareszcie — i to najważniejsza — punkt po punkcie wypierają się wszystkiego co robią i do czego namawiają i skoro na drugi dzień chłodno zaprzeczają temu, co wczoraj ogniście, z zapałem i przekonaniem twierdzili i doradzali. Już to zawsze przed każdą naszą klęską, przed zrobieniem każdego fałszywego kroku, znajdowały się organa i ludzie, którzy twierdzili, że niepodobień-

stwem jest, aby przewidywane przez alarmistów nie-szczęście się stało, że to mara, że to *delirium tremens*, małodusznych reakeyonaryuszów i konserwatystów. Nie tacy, panie, ludzie, jak dzisiejsi zadawali z oburzeniem i to prawdziwem, kłam smutnym przepowiedniom, które przecież ziściły się. Słowacki także zaręczał Krasińskiemu, że jego przywidzenia są marą.

P. Piotr. Przypuszczam, że bardzo wielu mówi to i dziś w dobrej wierze, że nie wiedzą do czego nie-które środki doprowadzić zawsze muszą i jakie są następstwa fałszywego założenia, ale obok nich, czyż niema takich, którzy o tem wiedzą doskonale, ale nie radzi, że i kto inny tego się domyśla, którzy nie chcą być sami zbyt wczesnie odgadnięci, odgrywają rolę świętoszków, wypierają się wszelkich dążeń, wszelkich myśli ukrytych, jak owe osoby, które z obawy, aby ich nie poznano na maskaradzie, co pół godziny zmieniają w garderobie domino. Czuć co innego, a głosić co innego; czy z taktyki, czy z wyższego rozkazu, oburzać się na przypuszczenia i przewidzenia, które są treścią ich politycznego *credo*... to szczyt obłudy. W publicystyce obłuda jest tem samem, czem w polityce tajne działanie, a ukryte programy dzienników przemieniają jawność w spisek. W polemice, o której mówimy owa obłuda daje się czuć na każdym kroku.

P. Paweł. Ja nie mogę sobie np. wytłumaczyć postępowania *Całości* w tej sprawie. *Całość* wypiera się wszystkiego, co tylko mogłoby rzucić na nią podejrzenie, że ma ukryte, niebezpieczne zamiary, że ma w swych śpichlerzach zatęchłe zboże i prowianty z 63 r., a jednak bierze do siebie taki list Optymowicza. Co jej do tego listu, co to ją może obchodzić, ją, która chce rozwoju kraju opartego na postępie, miłości i t. d., która, słowem, niczego nadzwyczajnego nie chce, a do tego dojść usiłuje środkami słodkimi i łagodnymi, powoli, roztropnie, jak sama wciąż zaręcza i zapewnia? Skoro tak jest i jeżeli ni-

gdym niezem nie zdradziła się, jeżeli nigdy nie dała powodu do powątpiewania o tej anielskiej słodyczy i programie, dłaczegóż przez cały niemal miesiąc odpisuje w wstępnych artykułach na banialuki Optymowicza? Cóż takie absurda mogą mieć wspólnego z dziennikiem poważnym, wychodzącym w takim formacie i mającym tak niewinne zamiary? Dłaczego straciwszy tyle czasu na zbyteczną polemikę z Optymowiczem, ani słówkiem nie odparła listu Brutusika, w którym wyraźnie po imieniu i nazwisku zaczepioną została?

P. Piotr. Wybacz p. Pawle, ale czy kpisz, czy o drogę pytasz? Cóż to, czy nie widzisz, jak *Calość* wciąż dławi się, przemawiając, czy nie widzisz, że czego innego chce, a co innego głosi, jak twierdzą, z wyższego rozkazu, a w co ja wierzę, skoro widzę, że ona co innego głosi dziś, podczas gdy wczoraj głosiła co innego, że między przybyciem dwóch pociągów galicyjskich zmienia swoje programy, lub tak je modyfikuje, że są nie do poznania, że niechętnie potępia dziś to, co wczoraj gorąco i wymownie pod niebiosa wynosiła. *Calość* p. Pawle, to jak ów wilk przebrany w bajce Lafontaine, któremu jednak koniec ucha wylazi.

P. Paweł. Nie, panie Piotrze, dwa są tu tylko możliwe przypuszczenia: albo *Calość* w całym swoim postępowaniu jest złej wiary, albo jest dobroduszną. Złej wiary nikomu nie chcę przypisywać, i dlatego *Calości*, jako bardzo młodej, raczej wolę zarzucić ogromną, ale już to kolosalną dobroduszość. Usunąwszy bowiem przypuszczenie złej wiary, skoro *Calość* wypiera się gniewnie tego wszystkiego, czem w przekonaniu rozsądnych ludzi grozi nam ów fałszywy kierunek, bo oburza się na Optymowicza i jego absurda, oraz na całą *Teke Stańczyka*, to zaiste jakże nie kłaść na karb jej dobroduszości całego jej postępowania. Warto p. Piotrze zastanowić się nad niem chwilę; zważ tylko: *Calość* dobrodusźnie twierdzi, że jej nie zarzucić nie można, chyba tylko pogrzeb jednego

króla polskiego; ¹⁾ otóż pomijam już jej prawdziwie rewolucyjną metodę w całej tej sprawie, ów zamiar przemienienia gwałtownie tego przypadkowego, poważnego obchodu narodowego, w wielką demonstrację, pomijam owo z tego powodu rzucanie się namiętne na pewne osoby, owo nieustające odwoływanie się do *veto* i do terroryzmu dla przeprowadzenia mało znaczących i drobnych szczegółów, odwoływanie się jakby tylko dla wypróbowania tej broni, pomijam ową inicjatywę, wziętą w rozlepianiu całej seryi — protestów, pomijam to wszystko, aczkolwiek tem wszystkim *Całość* o ile dało się, zeszcpecila i oziębiła poważny narodowy obrzęd powtórnego złożenia do grobu zwłok Kazimierza Wielkiego. Ale pytam się, czy rzeczywiście *Całość* ma jedynie na sumieniu spaczenie owego obchodu? Otóż *Całość* dostarcza mi sama odpowiedzi na to, bo sama dobrodusznie oburzyła się na podobne przypuszczenie *Dziennika Tygryszowskiego*, chociaż znów odpowiadając *Lustratorowi*, jedynie do zwichnięcia obchodu Kazimierzowskiego przyznawała się. Dobroduszość i wciąż dobroduszość! *Całość* przecież jawnie i gorąco nawet z mistycznym ogniem i zapalem oświadczyła się za wszelkimi demonstracjami; jawnie w odpowiedzi *Dziennikowi Tygryszowskiemu* przyznaje sobie chęć, a nawet już zasługę, chorobliwego, złudnego w narodzie życia, bez względu na nasze położenie obecne i na położenie sąsiednich ziem polskich. Znowu dobrodusznie twierdzi, że najgorętsze demonstracje tutaj, nic nie wpływają na postępowanie tam. Pod tym względem trzeba ją odesłać do przybywających z Królestwa, w każdym razie można jej zaręczyć, że to jest czystą dobroduszością mniemać, że w sprawach ludzkich i w polityce wszystko się dzieje tylko wskutek wyrażenia i obmyślonego planu, a nie wskutek nienawiści, zemsty i namiętności. *Całość* pierwsza rozpoczęła

¹⁾ Pogrzebanie demonstracyjne zwłok Kazimierza W.

walkę z osobami, nie walkę z zasadami, ale wyraźnie walkę z osobami; ani jednej suchej nitki naprzykład nie zostawiła na Florestanie, i znowu tu okazała wielką dobroduszość, bo mniema, jak się pokazuje, że można obalić wszystkich ludzi, przedstawiających dzisiejszy kierunek, a jednak nie zapewnić zwycięstwa przeciwnemu kierunkowi, którego *Całość* dotąd się wypiera. Wszakże *Całość* sama się z tego chełpi, że doradzała jako zbawczy środek dla Galicyi, i to już oddawna, owe zebrania ludowe. Czyż to nie *Całość* doradzała jako ogólny środek, zebrania wyborców, które w ten sposób zrozumiane, muszą podkopać znaczenie sejmu i sprowadzić rozstrój polityczny. Czyż *Całość* nie pchała z zapalem i nie wołała całym gardłem o wyjście z Rady Państwa a następnie czyż nie doradzała uporczywie abstencji, chociaż w tej kwestyi musiała się chwilowo cofnąć, z wyższego rozkazu — jak zapewniają. Naiwną więc jest *Całość* twierdząc, że ma tylko na sumieniu poparcie pogrzebu Kazimierza W., sama nie wie, że nierównie dalej już przecie zaszła i że jak drugi Kasperek, już niejedną zrobiła szkodę. Nie wie o tem, dobrodusznym jak Kasperek, *Całość*? — Czyż *Całość* nie robi z powodu najuniejszej sprawy, wiele hałasu o nic, czyż tem samem nie bałamuci publiczności, czyż nie zdradza co chwila sympatyi do najradykałniejszych środków i do najradykałniejszych ludzi, czyż młodzieńczego braku treści nie pokrywa szumnymi frazesami, którymi muszą upajać się słabe głowy? Czyż styl *Całości* nie jest hucznym, jak wichur przed burzą? I *Całość* dobrodusznym mniema, że tym stylem przemawia się do rozumu a nie do wyobraźni i namiętności? *Całość* myśli, że to wszystko nie zdolne pociągnąć za sobą złych skutków, i sądzi, że obawy z tego powodu są fałszywym alarmem. A więc raz jeszcze, jest ogromnie dobroduszną! I znowu jest dobroduszną, kiedy z powodu składek dla Sybiryjczyków zachęca do nich, co prawdziwą jest zasługą, lecz zachęca mówiąc:

że opieszałość w tym względzie nie może zagrzać nikogo, do brania udziału w dalszych nieudanych powstaniach! Nareszcie dobroduszną jest *Calość*, kiedy twierdzi, że zarzucają jej chęć i zamiar wywołania wojny Austrii z Moskwą, i że ktokolwiek przypuszcza, iż *Calość* wywołać może tę wojnę, choćby z wyższego rozkazu. Nie p. Piotrze, tego się nikt nie obawia, przeciwnie, niech tylko *Calość* wywoła tę wojnę, a wszyscy na nią pójdziemy, nawet i my p. Piotrze zaciągniemy się do obrony krajowej, bo to będzie wojna o życie i śmierć. Ale występować z zamiarem wywołania tej wojny, ale zapisywać to w dziennikarskim programie, ale odgrywać tu rolę muchy przy koczku, jest albo kolosalną śmiesznością, z której niepodobna było w polemice nie skorzystać, albo też jest tylko płaszczykiem, pod którym w oczach dobrodusznych można sobie bardzo i bardzo wiele pozwolić. Tak jest p. Piotrze, Galicya może się stać w bliższym lub dalszym czasie punktem archimedesowym sprawy polskiej, ale Galicya sama nie może jej wywołać, tem mniej jeden a nawet wszystkie jej organa. nierozważnem zaś, sangwinicznem, porywczem postępowaniem Galicya i jej organa nie wywołają kwestyi polskiej, ale bardzo łatwo wywołać mogą kwestyę galicyjską. Nam nie przypominać się wciąż innym, bo w końcu o nas powiedzą, co Talleyrand mówił o pewnym natręcie: „tak mi się często przypominał, że zapomniałem o nim“ — lecz poczekajmy, żeby wybiła godzina, w której nas zapragną.

P. Piotr. A cóż powiesz panie Pawle o najświeższym kroku *Calości*. Nikt nie zaprzeczy *Calości*, że ma prawo usiąść, ale żeby miała prawo siadać na owym wygodnym fotelu, stojącym w samym środku, to trochę za wiele. Znasz p. Pawle ten wygodny fotel, honorowy poniekąd, do którego przecież nie każdy może sobie rościć prawo, otóż *Calość* nie pytając na nic, nie pytając nawet czy na nim kto już nie siedzi, z szczęśliwą

pewnością siebie i dyzinwolturą usiadła sobie na nim przed kilkoma dniami. Wprawdzie przechyliła się zaraz na lewo i uśmiechnęła się zalotnie do *Dziennika Tygrynowskiego*, a chciała dać na prawo kułaka, po prostu kułaka *Wieczności* i *Lustratorowi*. Zawsze jednak faktem jest, że usiadła nie proszona i nie pytając się, czy jej wolno w tym fotelu spocząć; jak się zdaje ośmielona do tego wyższym rozkazem. Czy jednak *Całość* mniema, że jej nikt nie będzie śmiał spędzić z przywłaszczzonego miejsca, czyż nie wie, że kto ma pretensye do tak honorowego miejsca, nie może kokietować, jak jaka garderobiana na lewo, a dawać kułaki na prawo, jak jaki parobczak, że skoro nieproszona tam zasiadła, powinna się przyzwoicie zachować i siedzieć z pewną powagą.

P. Paweł. Poczekajmy tylko nieco a zobaczysz co się stanie. *Całość* nie utrzyma się, jak to mówią, w charakterze, dając kułaki na prawo a kokietując na lewo, przechyli się, straci równowagę, wywróci się z fotelem, przekona wszystkich, że ani z usposobienia, ani z wychowania niema prawa i nie może zasiadać w nim. Zobaczysz, że lada chwila ujrzymy tę zabawną scenę. Widziałeś zapewne nieraz te kobiety przyzwyczajone do swobody, do kankana i do lekkiej rozmowy, zauważyłeś niezawodnie jak one śmieszne, nienaturalne, jak sznurują usta, jak nie wiedzą, co robić z rękami i jak się nudzą w towarzystwie przyzwoitem, słowem, gdy sobie jakikolwiek przymus zadawać muszą. Otóż *Całość* niezmiernie mi je przypomina. A widziałeś co te osoby dokazują skoro ten przymus minie. Stąd wyprowadź wnioski o *Całości* i jej przyszłości.

P. Piotr. Wielki to brak taktu z jej strony, że tam zasiadła nawet na chwilę. Gdyby była siadła nieco na lewo, mogłaby wyglądać jako tako, ale w jej stroju, z jej zuchwałością i krzykliwym głosem siadać właśnie w samym środku na honorowym miejscu, to śmieszność

niedoświadczonego parweniusza, który się pcha na pierwsze miejsce, nie wiedząc, że na nim właśnie najgorzej i najśmieszniej się wyda. Co to musi być za męka ciągle odgrywać taką komedię i...

P. Paweł. Ale zato też w antraktach pozwala sobie.

P. Piotr. Że sama tam zasiadła, to w końcu jej rzecz, ale jakim prawem powyznaczała innym miejsca?

P. Paweł. To już prawem kaduka. Widzisz, gdyby była tylko sama zasiadła, toby efekt był zupełnie chybiony, ale zasiąść w środku, a usadowić na prawo i na lewo, znane już publiczności figury, to zmienia rzecz, to już nierównie ładniej wygląda, a jej teraz przedewszystkiem o to idzie, żeby stanowisko sobie wyrobić. Nie tylko więc usiadła sama, ale usadowiła innych. Cóż z tego? kiedy tylko na podumajku, bo przecież nikt obok niej nie usiedzie.

P. Piotr. W walce z przeciwnikami wynalazła ona nowy rodzaj armat sześciofuntowych i chciała go wypróbować w tej miesięcznej walce. Temi armatami strzela się na oslep, bez celowania, bo się strzela na chybił trafił kartaczami, i jak to rzekła *Całość*: wy, którzy w 63 r. nic nie mówiliście, którzy wspieraliście, każdy w swój sposób powstanie, lub wobec ówczesnego terroryzmu milczeliście podle, dziś śmiecie to powstanie potępiać! ludzi, którzy je zrobili potępiać i ze zgrozą przewidywać jego odnowienie i z ironią mówić o jego nieprzerwalności! Strzeliła *Całość* ale nikogo nie zabiła. Jakto p. Piotrze, dlatego, że ktoś raz nie poznał się na farbowanych lisach i dał się oszukać, to już musi zawsze zaopatrywać się w tym samym sklepie i nie wolno mu przestrzedz znajomych, że tam nie prawdziwe, ale farbowane sprzedają lisy; — a któż przestrzeże, jeżeli nie ten, który się dał oszukać? — Więc dlatego, że ktoś raz się pomylił, powinien się zawsze mylić? Czyż dlatego, że ktoś ze znajomością rzeczy mówi: „strzeżcie się

tego, bo ja to poznałem“ — jest przez to karygodnym, występny i alarmista? A nacóżby się zdało doświadczenie! Czyż dlatego, że ktoś widząc, że inni głupstwo zrobili, chciał nawet to głupstwo zużytkować, nie widząc innego środka; niema prawa przeszkadzać drugiemu i trzeciemu głupstwu? Czyż dlatego, że ktoś chciał raz bezowocnie ratować tonących, już niema prawa przestrzegać tych, którzy chcą w głębię skakać? Czyż dlatego, że ktoś dla uniknięcia zgorzienia w rodzinie, zapłacił nie mówiąc, zfałszowany przez brata weksel, ma pozwolić, aby mu ten brat dalej takie same wystawiał i w końcu puścił z torbami? A któż na miłość Boga p. Pawle ma dmuchać na zimne, jeżeli nie ten, który na gorącym się sparzył?

P. Paweł. Kiedy rzeczywiście p. Piotrze, można u nas przeciw zgubnym kierunkom występować bez sięgnięcia na siebie potępienia?

P. Piotr. Właściwie nigdy, bo podczas katastrofy jest się zdrajcą, po niej rekryminatorem, a przed katastrofą denuncyjatorem.

P. Paweł. Amen. To też *Lustrator* zrobił zdaniem mojem *salto mortale* — bodaj czy nie skręcił sobie karku.

P. Piotr. Jakto? Przecież nie w oczach rozsądnych i uczciwych ludzi?

P. Paweł. O nich nie mówić, ale w oczach najliczniejszej i najgłośniejszej publiczności. Mam na to od niepamiętnych czasów barometr, a tym barometrem jest lwowski *Słonecznik*. Jużto w tej chwili musi być rzeczą popularną powstawać na *Lustratora*, skoro *Słonecznik* tak po nim jeździ, on bowiem nigdy nie opuszcza sposobności uzyskania łatwym sposobem popularności, teraz zaś pochwyił ją tem skwapliwiej, bo sam zgrzeszył zbyt srogo przeciw popularności, trzymając się przez dwa lata rozsądnego kierunku.

P. Piotr. Zrobiono jednak *Lustratorowi* zarzut ze strony poważnej, bo nie w korespondencyi lub w prze-

gładzie, ale w wstępnym artykule *Bezstronności*, zarzut, który ma przynajmniej cień słuszności, i który w każdym razie z dobrą wiarą zrobionym został. Powiedziano, i zdaniem mojem może słusznie, iż jeżeli rzeczywiście grozi Galicyi niebezpieczeństwo rozwielenia się zgubnego, niedowarzonego i niebezpiecznego kierunku; jeżeli idzie tu o sprawę, to nie należało uderzać w sposób żartobliwy, uszczypliwy, nie należało wyprowadzać do walki Stańczyka, ale wypadało odstąpić głosu Skardze. Nawet wspomniano o Miniszewskim ¹⁾ i zrobiono niemal ubliżające porównanie. Mnie się zdaje p. Pawle, że to może najbardziej ugruntowany zarzut, że rzeczywiście zbyt to są bolesne sprawy, zbyt ważne, aby je tak żartobliwie i lekkomyślnie traktować.

P. Paweł. Po raz pierwszy nie zgadzam się z tobą panie Piotrze, i ten punkt gotów nas jeszcze podobniejszymi uczynić do braci Siamskich, bo odegrać może rolę żon tych braci, to jest, może nas poróżnić w naszym zapatrywaniu się. Przedewszystkiem p. Piotrze, Skargi niema na zawołanie, a gdzie zbywa na Skardze, to lepiej przecieź, żeby Stańczyk lub Gaska przemawiał, jak żeby wszystkie nasze głupstwa i niedorzeczności przepuszczać płazem i milczeniem pomijać, dla tem większej radości naszych nieprzyjaciół i tryumfu ich zabiegów. Niema dziś Skargi, ale też w tych okolicznościach nie miałby Skarga do kogo przemawiać; jego przepowiednie już ziszczone, a to ziszczenie ich nawróciło tych, do których onby mógł przemówić. Tych zaś o których Stańczyk w ostatnich miesiącach zdawał relację królowi JMci, nawet i Skarga nie nawróciłby ani też przekonał; ruszyliby na niego pogardliwie ramięmi, nazwałiby go zastarzałym reakcyonaryuszem,

¹⁾ Za rządów Wielopolskiego w Warszawie, redaktor rządowego dziennika. Ściągał sztyderstwem ówczesny spiszek i z jego rozkazu został zamordowany.

sprzymieźnecem *Dziennika Warszawskiego*, alarmistą i zwolennikiem nieprzerwalności snu, tak samo jak Stańczyka! Bądź tego pewny. Czyż ci ludzie wysłuchali kiedy głosu rozsądku, choćby najserdeczniejszego? Czyż nie pomiatali prawdziwie Skargowskiemi przestrogiemi Zygmunta? ¹⁾ Czyż nie obrzucili błotem *Wiadomości Polskich*? ²⁾ Czyż nie poszli wprost przeciwną drogą, jak ta, którą szło Towarzystwo Rolnicze? Illuzya, illuzya p. Piotrze, aby tu nawet gromki głos Skargi mógł skutkować! A potem, gdyby cały naród padł w obłęd, gdyby większość jego zaszła na manowce i te niebezpieczne tory, których nawet *Bezstronność* wystrzegać się każe, wtedy czułbym i ja potrzebę Skargi. Ale tak źle Bogu dzięki nie jest: naród, większość, nie chcą obrać zgubnego kierunku, większość patriotyczna chce wytrwać w rozsądnej polityce. Jest tylko kilkunastu niepoprawnych, którzy w ostatnich czasach głośniej przemawiać zaczęli, korzystając z zawikłania położenia; a na ich skarcenie i wysmianie wystarczy Stańczyk — i on tylko może w tych okolicznościach głos zabierać. Oniby pragnęli, żeby z nimi poważnie rozumować, oni właśnie tego chcą, żeby ich na seryo brać, ale to niemałym byłoby błędem; szkodliwymi stać się mogą, ale nigdy ludźmi politycznymi, którychby można brać na seryo. Godzi się przemawiać jak Skarga, tam gdzie wielkie zle grozi narodowi, ale tam, gdzie idzie tylko o wykazanie niedorzeczności pewnej koteryi, nie właściwszego, jak używać do tego błazeństw Stańczyka. Ten, ktoby nastroił głos do poważniejszego tonu, ktoby przemówił jak Skarga, przesadziłby właśnie, boby tem samem przedstawił stan całego kraju, jako groźny. Tymczasem jest tu tylko garstka niepoprawnych, z którą walczyć trzeba już dlatego sa-

¹⁾ Krasińskiego.

²⁾ Pismo wydawane przez rozsądną emigrację w Paryżu przed 1863 rokiem.

mego, żeby odpowiedzialność za jej niedorzeczności nie spadła na cały kraj, szczególnie, żeby nie poszła na rachunek niepoprawności całego narodu.

P. Piotr. Wybacz p. Pawle, ale nie jesteś loicznym i nie mogę się z tobą zgodzić. Jeżeli, jak słusznie mówisz, niema obawy, żeby kraj zasnakował w tych odgrzewanych potrawach, w tych niezdrowych sosach i tych zatęchłych prowiantach a jeżeli niepoprawnych niczem poprawić nie można, to pocóż rozpoczynać całą tę systematyczną kampanię, poco nawet Stańczyk wziął pióro do ręki i od trzech miesięcy bawi jednych, gniewa drugich, wszystkich na siebie zwraca uwagę. Nie lepiejże to wszystko, co Stańczyk po błazeńsku podnosi, pominąć milczeniem, lub jednym zbyć słowem.

P. Paweł. Nie, i stokroć nie, bo nasze położenie jest wyjątkowe, bo to co gdzieindziej przeszłoby jak katar, u nas przy tak niegodziwym klimacie, łatwo się może zamienić w suchoty, bo są wrogi, którzy czyhają wciąż na to, aby korzystać nietylko z naszych niedorzeczności, ale nawet z niedorzeczności w naszym imieniu popełnionych, bo otoczeni jesteśmy tak licznymi niebezpieczeństwami, że u nas mysz p. Piotrze może urodzić potworną górę — u nas więc najdrobniejszego, złowrogiego objawu lekceważyć nie można, a dopóki nie wypada go podnosić zbyt, trzeba go wysmiewać. Miniszewski był obrzydliwym i szkodliwym, bo szydził, kiedy inni krew przelewali, bo śmiał się, kiedy naród cierpiał, bo szydził, nawet z słusznych i rozsądnych jego żądań, bo prawił „komunały“, kiedy ważyły się losy sprawy, kiedy szło o życie lub śmierć całego narodu, bo błaznował wśród najdramatyczniejszych scen, bo dowcipkował na komendę, bez przekonania i dla osobistego interesu. Bo nie było prawdy w jego słowach, lecz tylko cynizm, bo nareszcie pisał z wyższego rozkazu. Stańczyk zaś przemawia, dzięki Bogu, w kraju, w którym krew się nie leje, i w którym nie jesteśmy

znów tak bardzo prześladowani, ani tak bardzo nie-szczęśliwi. Miniszewski przemawiał pod opieką policji, Stańczyk przemawia pod opieką wolności. Stańczyk nie szydzi ze słusznych żądań i życzeń narodu, Stańczyk nie dotyka prawdziwie nieszczęśliwych i gnębionych, ale wysmiewa tych, którzy pod opieką wolności poza granicami knuta, chcą wygodnie odgrywać komedię patryotyzmu, czy to wśród gór szwajcarskich, czy na bruku gawronowskim, czy w Tygrysowie, gdzie im zgoła nic nie zagraża, krom mniej lub więcej dowcipnych dowcipów Stańczyka.

P. Piotr. Niezawodnie, że wiele jest prawdy w tem co mówisz, jednak nie mogę przyznać, żebyś był ściśle loicznym, bo właśnie, z powodu owego wyjątkowego położenia, tej grozy moralnej, wśród której wciąż żyjemy i tych niebezpieczeństw, które nas otaczają, nie powinniśmy błaznować, żartować i dowcipkować, jak to w zwyczaju u szczęśliwych, niepodległych narodów, nawet z naszych niedorzeczności i naszych półgłówek. Pomijać ich milczeniem nie możemy — zgadzam się na to, ale niewątpliwie jedno poważne słowo, więcej na szali zaważy, niż tysiące dowcipów Stańczyka, bo kiedy się cierpi, żart jest stokroć dotkliwszym, bo szydzenie nie jest karceniem, lecz poniekąd pastwieniem się, bo nie godzi się ani z kaleków ani z obłąkanych żartować.

P. Paweł. Któż p. Piotrze mógłby przeczyć, że pięknie, szlachetnie i uczciwie mówisz. Zgadzasz się ze mną, że milczenie byłoby grzechem i błędem, idzie ci więc o sposób i formę wystąpienia przeciw zgubnym kierunkom; o doskonałość formy, obranej przez *Lustratora*, sprzeczać się z tobą nie będę, poświęcę ci ją, poświęcę ci *Teke Stańczyka*, ale pod jednym warunkiem, oto że kto inny, poważniejszy, kiedy chcesz, zastąpi miejsce królewskiego błazna i karcieć będzie wszystkie pojawiające się u nas niedorzeczności i szaleństwa, elukubracje i aberracje, które od pewnego czasu zaczy-

nają się pojawiać. P. Piotrze! któż może właściwiej, silniej i potężniej przeciw nim wystąpić, jeżeli nie ty, który znany jesteś z swojej wymowy, zacności, silnych przekonań i patryotyzmu, jeśli nie ty, który tak trzeźwo, rozsądnie i mądrze umiesz mówić o położeniu obecnem; któż, jeżeli nie ty, może uczynić zbyteczną *Teke Starczyka*, odzywając się tym gromkim głosem, w którym zawsze jest tyle czucia, prawdy i głębokiej miłości ojczyzny. Właśnie będziesz miał sposobność na jutrzejszem zebraniu. Wystąp publicznie przeciw wszystkim zboczeniom, wicherzoniom, demonstracyom, teoryom, osobistym ambicyom, wystąp przeciw niedowarzonemu patryotyzmowi, i przez doświadczenie potępionym praktykom szkoły sangwicznej.

P. Piotr. Zbyt pochlebnie wyrażasz się o mnie p. Pawle, ale żądasz odemnie rzeczy przykrej, trudnej, powiem ci nawet — niemożliwej. Zapewne, że należałoby wystąpić, ale jak możesz, dobrze mi życząc, namawiać mnie do podobnego wystąpienia? Czy chcesz, żebym się narażał na szkalowanie i poniewieranie po ich gazetach, i wszystkich, bez własnego zdania, organach, czy chcesz, żeby mnie w moim wieku błotem obrzucano? Gdybym był sam, to jeszcze pół biedy, ale jakże możesz mnie wystawiać na to, żeby mi przylepiono nazwę Targowiczanina, i żeby ona na moje dzieci spadła? A toby było nieuniknionem następstwem podobnego mojego wystąpienia. Oni takich wystąpień nie przebaczą. Bądź co bądź i od kogokolwiek to wychodzi, słusznie czy niesłusznie, zawsze to bardzo niemilo usłyszeć, że się jest złym patryotą; że tam skrybenci z profesyi na to się narażają, to ich rzemiosło, ale mnie, człowiekowi spokojnemu, co po tem? A jakby jeszcze rzucili podejrzenie, że się przemawia w duchu policyi, że się jej czujność obudza, że się jest reakcyonaryuszem, ultrakonserwatystą i t. d. no, to bądź zdrów! wtedy już i krajowi nie możesz być użytecznym, od wszystkiego cię odsą-

dzą, nigdzie cię nie dopuszczą i pozostaniesz na wieki wieków nacechowanym i napiętnowanym, jako zły patriota. Zanadto siebie samego szanuję, ażebym na to miał się narażać, wolę się zachować na ważniejszą chwilę.

P. Paweł. Wystąpienie takie oparte na przekonaniu powinno tylko szacunek obudzić.

P. Piotr. Czy ty nie wiesz panie Pawle, że u nas zawsze łatwiej wywołać oburzenie jak uznanie; my jesteśmy ogromnie nerwowi i sercowi. A potem co mi do tego? Niech sobie robią co im się podoba, niech łamią karki, kiedy taka ich dobra wola. Bardzo mi było miło pomówić z tobą o tem wszystkim, ale publicznie z tem występować, to doprawdy niewarto — ich nie przekonam, a ściągnę na siebie tysiące nieprzyjemności. Ale prawda p. Pawle, ty powinienbyś coś o tem napisać dla przestrogi innych i poparcia *Wieczności* i *Lustratora*, ty który tak dzielnie władasz piórem. Napisz jaką broszurę, albo artykuł, cokolwiek wyjdzie z pod twojego pióra, zrobi niezawodnie wrażenie, a tym sposobem wszystko da się pogodzić.

P. Paweł. Dajże mi święty pokój panie Piotrze: *verba volant, scripta manent*, tylko raz wdać się z nimi w polemikę a pożegnać się można ze spokojnością — rozszarpia cię!

P. Piotr. Nie potrzebujesz się podpisywać.

P. Paweł. A jak się domyślą?! Mają niepospolity spryt do tego — dopiero miałbym się z pyszna! Ogłosiliby mnie zdrajcą, zrzuciliby na mnie odpowiedzialność za wszystkie policyjne zakazy, za artykuły pruskich i moskiewskich gazet, i niezawodnie na resztę dni moich, uchodziłbym za złego patriotę, bo to oskarżenie od kogokolwiek pochodzi, zawsze się u nas do człowieka przylepi. Przyznaj, że nie mogłoby mi to być miłym. A potem masz słusność, co nam tam do tego się wtrącać, jakoś to tam będzie i bez nas, znowu tak źle nie jest, żebyśmy się miał poświęcać w tak dotkliwy sposób.

P. Piotr. A przecież namawiałeś mnie, żebym wystąpił. Widzisz, że to nie łatwo na to się zdobyć.

P. Paweł. Przemówić to co innego, gdybym miał dar wymowy, z przyjemnością powiedziałbym im *verba veritatis*, ale pisać o tem, rozpisywać się, rozmarywać...

P. Piotr. Otóż ja bym prędzej napisał, bo takie rzeczy, to nawet przez gardło przejść nie chcą.

P. Paweł. Między Bogiem a prawdą, co nam tam obydwom do tego, dajmy sobie pokój. Pomówiliśmy z sobą szczerze o tem wszystkim, uczciwie, sumiennie, wypowiedzieliśmy jeden przed drugim, co nam ciężyło; mnie się już lżej na sercu zrobiło.

P. Piotr. I mnie także; serdecznie, serdecznie cieszę się, żeśmy się z sobą rozmówili i tak we wszystkim zgodzili — prawdziwa to dla mnie pociecha.

P. Paweł. Wiesz nawet p. Piotrze, że takie z naszej strony wystąpienie możeby więcej zaszkodziło jak pomogło — i nie byłoby politycznem.

P. Piotr. I mnie się tak zdaje — a zresztą kiedy już *Lustrator* raz zaczął, to pewnie nie zaśni sprawy, jego to rzecz klócić się z nimi. Trzeba przyznać, że ta *Teka Stańczyka* dzielnie pisana. Oni tam znowu pewnie coś umieszczą, serdecznie się na to cieszę. A przecież i *Wieczność* nie ustąpi z placu, zacny to i uczciwy dziennik, umiarkowany, wytrawny.

P. Paweł. Przyznać mu to trzeba, to sumienny organ. Czytałeś p. Piotrze ostatni artykuł *Wieczności*? wyśmienity!

P. Piotr. Jaki artykuł? O czem? Nie byłem jeszcze w resursie.

P. Paweł. Nie masz w domu *Wieczności*?

P. Piotr. Od kwartału abonowałem *Catość*, sam niewiem jak to się stało — ot tak z ciekawości. Przyznam ci się, że *Wieczność* już mnie trochę nużyła... Wieczór szczególnie.

P. Paweł. A i ja trzymam *Całość*, bo to przecież ciekawa rzecz czytać co oni piszą. *Wieczność* czytuję zawsze w cukierni u Włocha.

P. Piotr. Mój Panie Pawle, mam też do ciebie prośbę, jeżeli tam będzie co dobrego w sierpniowym zeszytcie *Lustratora*, szczególnie w tej *Tece*, to z łaski swojej pożycz mi ten zeszyt.

P. Paweł. Z miłą chęcią. Pan Kanty dostaje gratysowy zeszyt, i zawsze mi go pożycza na drugi dzień, jeżeli będzie co zajmującego, przyszlę ci do mieszkania.

P. Piotr. Panie Pawle, wstąpmy do Włocha na żytniówkę!

P. Paweł. Chętnie. Co tam panie Piotrze! Na fraszunek dobry trunek.

Nr. 12.

List Napoleona Bałamuckiego (posła sejmikowego),
do Paflagoniusza Tarapacińskiego (prezesa powiatowego).

Jasnowidy nobile ¹⁾ 00,956 24/7.

Kochany Sąsiedzie! Pytasz mnie, jakie jest moje zdanie o nadchodzącej sesji sejmikowej, jakie zajmę w sejmiku stanowisko i jak głosować będę. Oczywiście kochany Panie Paflagoniuszu nie żądasz odemnie, że-
bym ci powiedział moje zdanie o mniejszych sprawach, któremi sejmik będzie się zapewne zajmował, nie wiemy bowiem jeszcze jakie przyjdą na porządek dzienny, a potem jak ci wiadomo, te sprawy mniej mnie obchodzą, pozostawiam je specjalistom. Wiem dobrze, że wybie-

¹⁾ Są drugie Jasnowidy: Camerale czyli Rządowe.

rając mnie na posła, chcieliście mieć we mnie przedstawiciela godności narodowej i obywatelskiej, nie zaś rabulistę, trudniącego się poziomemi i podrzędniemi sprawami prowincjonalnemi. Wszystkie te legislatywne kwestye pozostawić wypada adwokatom. Będę jednak z drugiej strony dobrze ich pilnował, żeby nie wyrządzili szkody interesom obywatelskim, a mianowicie interesom obwodu i naszej okolicy, bo oni zawsze do tego pochopni. To jedyny mój program w tej podrzędnej kwestyi, lokalnych spraw krajowych, i tuszę sobie, że jest zgodny z obowiązkiem, jakiście na mnie włożyli.

Ale jako poseł, stojący na straży godności narodowej i interesów ojczyzny, głównie zajęty będę ową ważną sprawą naszej Protestacyi, która niezawodnie pierwsza przyjdzie pod obrady, która zajmie niemało czasu, a od przebiegu której zawisłe są losy sprawy i ojczyzny. Wiesz kochany panie Paflagoniuszu, że całe życie poświęciłem ojczyźnie, chlubą moją jest, że sterałem siły moje na usługach dla kraju. Do końca życia pragnę pozostać wiernym mojemu sztandarowi, tak iżbym, zamykając oczy, mógł śmiało polecić dzieci moje opiece kraju i moich współobywateli.

Niepodległość jest pierwszym obowiązkiem obywatelskim, niepodległość jest największą ozdobą posła. Taka była zasada całego mojego życia, tej chcę się trzymać do końca dni moich. Nie możesz więc wątpić, że podczas tej tak ważnej sesyi oprę całe moje postępowanie na tej świętej zasadzie niepodległości. Dlatego też ani się wiązałem, ani też nie wiązę się, z żadnem stronnictwem, z żadną frakcyą, z żadnym dziennikiem, a tem mniej, broń Boże! z żadną koteryą. Biorąc za wskazówkę tylko sumienie i miłość ojczyzny, będę głosował i postępował wedle własnego przekonania. Z tego też powodu, pomimo licznych zabiegów i rozmaitych kroków, wielce mi podejrzanym, nie dałem się zwabić na żadne, tak nazwane przedsejmowe, czy tam przygoto-

wawcze zebrania. Znam ja ci tam dobrze panie Paflagoniuszu wszystkie te zebrania; są to poprostu samotrząski na niepodległych posłów. Magnaci tylko na nich ci imponują, a adwokaci zawsze cię przegadają. Czego ja się tam dowiem, czegobym już nie wiedział z gazet? Bywałem i ja na takich zebraniach, ale cóż z tego, nie a nie na mnie Bogu dzięki nie wpływały, i zawsze potem głosowałem tylko pod wpływem chwili, tak, jak mi serce i gorąca miłość ojczyzny nakazywały — z uwzględnieniem przecież interesów obywatelskich i interesów obwodu, którego mam zaszczyt być przedstawicielem, i tak samo przyrzekam postępować i teraz. Gdyby to była w kraju organizacya, to nie mówię, to co innego! Organizacya, to pierwsza potrzeba kraju, organizacya jest siłą narodową, siłą organizacyi można wpłynąć na przebieg spraw narodowych, organizacya daje nam siłę przeciw tym elementom i żywiołom, które nie mając upustu, rozsadzić muszą groblę społeczną, bo organizacya jest tą szluzą, przez którą te żywioły upływają. Organizacya mojem zdaniem jest niezbędną, jeżeli właśnie nie chcemy, aby tante żywioły działały zgubnie. Ja zawsze byłem za organizacyą i przemawiałem za nią. Zarzucali mi, że już raz ta organizacya okazała się brzytwą w ręku szalonego i nie tylko niczemu złemu nie przeszkodziła, ale jeszcze gardła nam poderżnęła. To prawda. Ale znowu jakże można kłaść na karb organizacyi, to co było spowodowanem tysiącem innych przyczyn, a mianowicie nieprzyjaznemi konstellacyami europejskiemi? Ja sądzę, że organizacya ma swoje niebezpieczeństwa i może nas zaprowadzić gdzieindziej niż zająć chcemy, jednak nie da się zaprzeczyć, że za pomocą organizacyi możnaby wyświecić wszystkie sprawy krajowe. Czyż myślisz kochany sąsiedzie, że gdyby była u nas silna organizacya, toby naprzykład teraz w tej wielkiej sprawie Protestacyi, od której wszystko zależy, nie było nierównie łatwiej porozumieć się i samemu

zdanie sobie wyrobić? Czyżby ministrowie w Chaopolis żartowali z nas tak jak teraz żartują, gdyby była u nas organizacya? Ale cóż, kiedy u nas na nic pożytecznego zdobyć się nie umieją! Gdyby ci ludzie, którzy trawią czas na tworzeniu koteryjek, pomyśleli o utworzeniu silnej organizacyi, inaczej stalibyśmy dzisiaj. Organizacyi i jabym się poddał, teraz zaś muszę słuchać tylko głosu własnego sumienia.

Rozwinąwszy ci w ten sposób moje zasady i sposób widzenia, przystępuję do zastosowania ich do obecnej sytuacji. Przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, że zdaniem mojem, nadchodząca sesya, może się stać najważniejszą epoką w naszej historii. Trzeba więc do niej przystępować z całym możliwym natężeniem i namaszczeniem, a wskazówki i kierunku szukać tylko w własnem niezależnem zdaniu i sumieniu. Nim jednak w tak ważnych sprawach sumienie ostatecznie rozstrzygnie, trzeba czasu, trzeba wezwać na pomoc rozum i zastanowienie, trzeba dobrze zważyć wszystkie okoliczności *pro i contra*, lekkomyślnie nie można brać postanowienia; zbyt tu wiele względów trzeba mieć na uwadze. Zważywszy, że najniebezpieczniejszą dla nas potencją jest Moskwa, że Komitet rządzący, gdyby się przeniósł do naszego kraju, zadałby tu niemałą klęskę interesom obywatelskim, nie podlega wątpliwości, że nam wypada trzymać się Austrii. Nie można więc pchać do zerwania z Austrią, ani też przyczyniać się do osłabienia monarchii. Ale znowu z drugiej strony, nie mogę w sejmie zająć takiego stanowiska, ażebym uchodził za Austryjaka a nie za Polaka. W tem sęk i w tem główne niebezpieczeństwo: temu jednak zaradzę mową, w której przemówię o całej Polsce, o jej dawnych granicach i z oburzeniem napiętnuję patryotyzm galicyjski, tak, że mnie nikt o brak miłości ojczyzny nie oskarży. Jednak z drugiej strony nie mogę się wyprzeć Austrii, bo by to złe zrobiło wrażenie w Chaopolis, a co

więcej, przekonanie moje każe mi trzymać się jej silnie. Ale to się jakoś da pogodzić; co gorsza, to, że tam zaraz przyjdzie pod obrady ów wniosek o niewysłanie lub wysłanie plenipotentów do Chaopolis! Niewysłanie odpowiada moim wrodzonym skłonnościom, i tradycyom prawdziwie polskiej butności i dzielności, ale znowu z drugiej strony trzeba mieć na względzie byt Austrii i sąsiednią groźną Moskwę z Komitetem urządzającym; następnie prawdopodobne rozwiązanie sejmiku, nowe wybory, które znowu powiększą liczbę tych przekłętych posłów chłopskich i ruskich. Oh! panie Paflagoniuszu, już drugiego takiego sejmiku nie będziemy mieli! Antenora ¹⁾ już niema! A jeszcze gdyby się chwycili bezpośrednich wyborów, to dopiero narobiliiby nam bigosu! Głosować więc za niewysłaniem, to doprawdy, brać zbyt wielką na siebie odpowiedzialność wobec kraju i wyborców, i namyślałam się, czy nie lepiej głosować wprost za wysłaniem. Lecz z drugiej strony, czyż podobna bezwzględnie odrzucić wniosek tak patriotyczny, bez wzięcia na siebie srogiej odpowiedzialności wobec potomności!? A potem jak się będzie przeciw temu wnioskowi głosować, to się znowu ośmieli tych centralów w Chaopolis, to się poprostu schowa do pochwy miecz Damoklesa, który nad ich głowami wisi, i na widok którego poeą się jak myszy. Ja wiem dobrze, że w dzisiejszem położeniu trudno nie wysyłać plenipotentów do Chaopolis, a jednak czuję, że w tym wniosku nieobeślania, spoczywa nasza przyszłość i losy ojezyny. Głosując przeciw niewysłaniu znowu się jest Austryakiem więcej jak Polakiem, a co gorsza, usprawiedliwia się poniekąd twierdzenie tych, którzy złośliwie mówią, że my tylko Galicyanie. Głosować jednak z drugiej strony za niewysłaniem, kiedy tyle poważnych głosów w kraju

¹⁾ Hr. Agenor Gołuchowski, który w 1868 roku przestał być Namieśnikiem.

przeciw temu się oświadczyło, a mianowicie Antenor, to niepodobna! Darmo! *Nec Hercules contra plures!* trudno iść całe życie przeciw prądowi!

Zważywszy to wszystko, jużem był w zgodzie sam z sobą i postanowiłem obstawać za wysłaniem pełnomocników do Chaopolis, ale wtedy przyszła mi na myśl inna uwaga, której lekko zbywać się nie godzi. A nuż bowiem Deacek ¹⁾ ma słusność? Nuż, jak on twierdzi, niewysłanie byłoby hasłem, na które około nas skupiłyby się wszystkie narody i narodowości Austrii a w przyszłości może i Europy? Nużby to było istotnie pierwszym krokiem do powszechnej federacji narodów? To ja w takim razie, głosując za wysłaniem plenipotentów, stawiałbym tamę zamiarom Opatrzności, zdradzałbym ojczyznę i ludzkość, której przyszłość jest, jak wiemy w federacyjnym ustroju Europy. Lepiej więc może pominąć wszystkie względy uboczne, byle nie przeszkodzić tej świetnej przyszłości? Zdaje mi się, że istotnie głos sumienia i obowiązku w stanowczej chwili nakaże mi głosować przeciw wysłaniu. Ale prawda znowu, że pomimo najgorętszej miłości ojczyzny nie mogę spuszczać z oczów względów utylitarnych. Jednak jakże tu z drugiej strony głosować za wysłaniem plenipotentów i za jakim głosować wysłaniem? Wtem sęk. Przecież tego, co gazety o tem piszą, niepodobna brać za regułę postępowania dla niepodległego państwa; a poza tem niema nic, zgoła nic! Ciemno, jak w piwnicy, bo niema u nas organizacyi. Wprawdzie pan Wszechstronnicki postawił dobitny program na zebraniu wyborców w Kwiczolowie, ale cóż z tego? Program może niezgorszy, ale w takich chwilach i takich sprawach wyrażać tak stanowczo zdanie, to nietylko zarozumiałość i płochość, ale ogromna niedojrzałość polityczna. Wytrawny człowiek polityczny nigdy tak stanowczo nie powinien wyrażać swego zda-

¹⁾ Franciszek Smolka.

nia, w takich sprawach i w takich chwilach. Jednej rzeczy nie zaprzeczysz *Ślonecznikowi*, oto, że ma niepospolity spryt. Otóż *Ślonecznik* nie wypowiedział jeszcze stanowczego swojego zdania, w sprawie wysłania lub niewysłania plenipotentów. To prawdziwy rozum polityczny, bo cokolwiek potem wypadnie, *Ślonecznik* będzie mógł się pochwalić, że był za tem co wypadło. Wprawdzie, z drugiej strony, Antenor jak na dłoni wyłożył nam w ostatnim liście, co nam wypada zrobić, co możemy a na co nie możemy się zdobyć. Antenor panie Paflagoniuszu to głowa polityczna, człowiek doświadczony. Ale i to prawda, że Antenor wiele stracił ze swojego wzięcia i popularności; jakoś już i *Ślonecznik* nie popiera go, to już nie ten sam człowiek, co przed paru laty. Dziś jeszcze, kochany Paflagoniuszu, niepodobna wiedzieć, co się stanie w samej chwili zebrania sejmiku; muszę ja się rozmówić z Antenorem sam na sam, i z Deaczkiem, nawet z Florestanem ¹⁾ będę mówił, może też i minister rodak ²⁾ powie mi coś ważnego. Ale co już dziś najjaśniej mi się przedstawia, oto obowiązek bezwzględnego potępienia dawnych plenipotentów. To wzmocni nasze położenie i doda powagi sejmikowi, bo przecież jasno okaże, że sejmik wypiera się swoich plenipotentów. Ale z drugiej strony między plenipotentami są i dobrzy patryoci; więc paskudzić i potępiać swoich to jakoś nie wypada.

Chcą tam inni, żeby tylko pod pewnymi warunkami wysyłać plenipotentów do Chaopolis. Myśl może nie zła, kto wie? Ale z drugiej strony to istna instrukcja, która nam konstytucją jest zabroniona. A jak z tego wypadnie rozwiązanie sejmików i reakcja, to znowu ciężka odpowiedzialność spadłaby na nas za ten nierozważny czyn polityczny. A potem przyznam ci się

¹⁾ Floryan Ziemiałkowski.

²⁾ Hr. Alfred Potocki, wtedy minister rolnictwa.

szczerze, że ta rada pochodzi od organów i ludzi bardzo mi podejrzanych. Czy oni tylko nie chcą znowu kraju wplątać w jaką awanturę? Te demonstracye, te hałasy, te agitacye, a te zebrania ludowe! Ja w tem wszystkiem coś przewąchuję! Ale znowu z drugiej strony prawda, że nie można dać narodowi zasnąć, że znowu oburzającym jest ten uparty konserwatyzm, ta reakcyja. Ta *Wieczność* chciałaby, żeby wszyscy byli starzy, jak ona. Z drugiej strony *Wieczność* ma wytrawne zdanie, ale te korespondencye z Rzymu, psują wszystko. Żebyto kto im powiedział, żeby tego nie umieszczali. Co ona sobie myśli ta *Wieczność*, żeby tak spokojnie i poważnie pisać w takich chwilach? Nawet swojego własnego programu nie postawiła. Niepodległy poseł nie może słuchać wskazówek takiego zależnego dziennika, jak *Wieczność*. Ja dokładnie nigdy nie mogłem się dowiedzieć, od kogo *Wieczność* jest zależną, bo to tajemnica, ale przecież widocznie to nie jest niezależny dziennik, zanadto często stanowczo swoje zdanie wyraża. W sprawie Protestacyi jakoś idzie wspólnie z *Lustratorem*. Oho! to mi się nie podoba, bo to ta magnetyczna sympatya jest wskazówką, że reakcyjne koła zaczynają się obracać i że niewidzialne wpływy puściły je w ruch, żeby zatamować naturalny rozwój patryotycznych żywiołów i wpływać na usiłowania, pochodzące z porozumienia niepodległych zdań. To jest, jak się zdaje sprawka Jezuitów; musieli oni w tem palce umaczać... Z tego, co powiedziałem, widzisz kochany Paflagoniuszu, że umiem sobie zdać jasno sprawę z położenia; jest ono trudne, ale trzeba, żeby ludzie powołani przez zaufanie publiczne, umieli stanąć na jego wysokości i widzieli jasno gdzie stoją i dokąd zmierzają.

Co do mnie, wiem, wiem doskonale czego się trzymać. Bądź pewnym, że głosować będę niepodległe, według mojego własnego sumienia i przekonania, stojąc niezachwianie przy prawdzie i patryotyzmie, a uwzględ-

dniając tylko mój obowiązek i miłość ojczyzny. Tak głośować będę w sprawie najważniejszej, w sprawie wielkiej Protestacyi. O obwodzie i interesach jego i moich współobywatelach nigdy nie zapomnę. Będiesz się mógł z gazet o wszystkim dowiedzieć.

A teraz gdybym z tej ważnej sesyi nie wrócił (bo któż może przewidzieć na jakie niebezpieczeństwa człowiek niezależny może tam być narażonym, lub gdzie nas wypadki stamtąd mogą powołać), zostawiam i polecam waszej opiece, zacni współobywatele, moje dzieci, które wychowałem na dobrych synów ojczyzny. Oddaję je wam, oddaję pod waszą obywatelską opiekę. A ciebie kochany sąsiedzie serdecznie ściskam.

Twój uniżony sługa i kolega

Napoleon Bałamucki.

Nr. 15.

List Sprycimira (dziennikarza) do Sycyniusza (trybuna).

Z Potrzebówki 00,996 28/8.

Kochany Sycyniuszu!

Pojmiesz łatwo jak się ucieszyłem odebrawszy twój list, z propozycją założenia nowego dziennika. Przykrzy mi się w bezczynności, a potem tobie przyznać muszę, że się znajduję chwilowo w bardzo przykrych stosunkach finansowych. Przyjmuję więc chętnie twoją propozycję, niemal jako deskę zbawienia. Pytasz się mnie o moje zdanie w tej mierze? Wiesz, że zjadłem na dziennikarstwie zęby, więc mogę cię dostatecznie oświecić, a że tu idzie o to, ażeby rzecz się udała i że przed tobą nie potrzebuję nic ukrywać, więc zu-

pełnie szczerze powiem ci wszystko, co z doświadczenia i znajomości przedmiotu wiem w tej mierze. Doskonale pojmuję, że taki człowiek jak ty, chce mieć swój organ — zupełną masz pod tym względem słuszność. Dziennik, choćby mało a nawet wcale nie czytany, jest przecież zawsze potęgą, nawet u nas; to nie ulega wątpliwości. Nie mówisz mi, nie wspominasz wprawdzie jaki to ma być ten dziennik, ale o to mniejsza i to bagatel. Ja się muszę na to zapatrywać jedynie i wyłącznie ze stanowiska fachowego. Przestrzedz cię muszę na wstępie, że twoje przedsięwzięcie jest wielce ryzykowne i połączone z nieskończonemi trudnościami. Mówię ci to, bo wiem z kim mam do czynienia.

Gdyby to u nas czytano, rzecz byłaby prosta i łatwa, ale zakładać dziennik dla nieczytających, to panie niemałe zadanie! Trzeba mu jednak sprostać. Tu na pierwszym planie stoją jako przeszkody, już istniejące dzienniki i ich firmy. Nie dlatego z nimi konkurencya trudna, iżby one były co warte, ale dlatego że są. Siła przyzwyczajenia, to pierwsza siła występująca przeciwko nam. Stąd właśnie wypływa ogromna różnica między już istniejącymi dziennikami a dziennikiem, który dopiero powstaje. Różnica ta, tyczy się szczególnie środków, których nowy dziennik musi się chwycić, chcąc zapewnić swoje istnienie. On musi koniecznie działać zaczepnie, kiedy tamte mogą się tylko bronić; on musi zdobywać sobie plac boju, kiedy tamte ograniczają się na zachowaniu go. Zważ, że u nas nowy dziennik nie powstaje prawie nigdy w skutku rzeczywistej potrzeby publicznej, lecz tylko w skutku indywidualnej fantazyi, nie przymierzając jak powstanie ten, który my chcemy założyć. Nie może powstawać dziennik z potrzeby, w kraju, w którym znaczniesza część publiczności nie czyta. I z tego to powodu, nawet istniejące już dzienniki muszą także używać, przynajmniej od czasu do czasu, owych excytujacych środków, zaostrzających ape-

tyt. Wśród naszej, umiejącej czytać publiczności, wyrobiła się mała liczba ludzi nieczytujących, którzy jednak czują potrzebę posiadania w domu dziennika. To są abonenci. Kto zakłada dziennik, ten może i musi rachować tylko na tę klasę tak nazwaną abonentów. Ale oni, kochany Sycyniuszu abonują dziennik, tak jak na przykład goście w hotelu piją z rana kawę. Z góry można oznaczyć ilość porcy, które zostaną skonsumowane. W najlepszym razie nie może ona przewyższyć ilości numerów w hotelu. Ilość ta częściej się zmniejsza, czasem wyjątkowo się zwiększa, ale wogóle fluktuacja jest tu nader nieznaczącą. Tych porcy kawy dostarcza oczywiście miejscowy, stale, oddawna w hotelu osiadły traktyernik. Co to czasu, zabiegów, intryg, zręczności, szczęścia i protekcyi potrzeba, żeby go wykurzyć! A więc wojna na śmierć z starym traktyernikiem!

Przepraszam cię. Jeżeli ci tak dalece nie idzie o abonentów i o pokrycie kosztów, jeżeli naprzykład uważasz ten nowy dziennik jako zbytek, który sobie pozwalasz, jeżeli zamiast trzymać ośm koni wierzchowych, ograniczysz się na czterech, a za to będziesz miał swój dziennik, to co innego, wtedy ta wojna może nie stać na pierwszym planie naszego programu, chociaż zawsze wojna być musi. Ale do tego przyznam ci się szczerze, za mało przeznaczasz funduszu na nasz dziennik; z tą sumą, o której wspominasz, niepodobna nam egzystować przy innych dziennikach, musimy je zabić, jeżeli chcemy sami istnieć, a zresztą o ile widzę z twojego listu, to chciałbyś koniecznie utrzymać dziennik z abonamentu, a nawet żywisz nadzieję niejakiego zysku; w takim razie kochany Sycyniuszu, przedewszystkiem należy nam myśleć o zabiciu innych dzienników, czyli o wykurzeniu dawnego traktyernika. Niepodobna bowiem myśleć o tem, żeby goście brali dwie porce kawy; jedną u dawnego traktyernika, drugą u nas, przecież przez miłość dla nas, nie mogą narażać się na ka-

wową niestrawność. Trzeba więc koniecznie, żeby nasza kawa nie lepszą była, ale smaczniejszą, przyjemniejszą tak do picia, jak też i w skutkach swoich. Lepsza śmietanka, kawa bez cykoryi, świeże masło, więcej śmietanki jak kawy, to wszystko znane, ale małe sposobiki, niewarto o nich mówić, za ich pomocą nie wytrzymamy konkurencyi. Musimy więc koniecznie dosypywać do kawy coś takiego, poczem byłoby konsumentom i błogo i przyjemnie, trzeba, żeby po naszej kawie czuli się i rzeświejszymi i dzielniejszymi i lepiej usposobionemi do przyjmowania wszelkich miłych wrażeń, trzeba jednym słowem, żeby poczuli, że ich siły żywotne wzrastają. Wiesz dobrze z jakiej rośliny robi się proszek, który w ten sposób działa na ludzi, nie potrzebuję jej nazywać. Powiesz mi na to, że to podobno niezdrowe, że wycieńcza siły, że się z tego nawet czasem umiera, a że w każdym razie, w skutku zadawania tego proszku, szkodować będzie wielce moralność publiczna tak w mieście jak na prowincyi. Jeżeli takie skrupuły mają przystęp do ciebie, nie zakładaj u nas dziennika! Tu tylko o to idzie, żeby się nie spostrzegli, co my im dosypywać będziemy; to rzecz zręczności, bądź pewnym, że się nie spostrzegą, rozkoszować, cieszyć się wzrostem niepojętym sił, używać i nadużywać ich będą, i ani na myśl im nie przyjdzie, że to w skutku tego, co do kawy dosypywać będziemy. Przypisywać to będą tylko lepszej kawie, lepszemu gatunkowi, bo powiemy, że to prawdziwa Mocca, a choć kilku z nich umrze, a wszyscy zdrowie utracą, przypiszą to znowu tylko nieuniknionemu prawu natury. Tymczasem wykiurzymy dawnego traktyernika, który przecież na taką myśl nigdy się nie zdobędzie i zajmiemy jego miejsce. O to przecież nam idzie. Prawdziwy dziennikarz nie powinien na nic zważać, i musi mieć na uwadze tylko swój dziennik, jego zadaniem jest utrzymanie i wzrost dziennika. To jest jedyna, prawdziwie dziennikarska zasada. Kto się

jej nie trzyma może być wszystkim: poczciwym człowiekiem, dobrym obywatelem, utalentowanym i sumiennym publicystą, doskonałym Polakiem — ale z pewnością nie będzie nigdy prawdziwym dziennikarzem. A nawet, jeżeli koniecznie chcesz, jest w tem głębsza myśl, wyższa moralna zasada. Jeżeli bowiem masz przekonanie o konieczności, potrzebie i zbawienności twojego dziennika, to naturalnie stąd wypływa, że utrzymując go przy życiu i znaczeniu, wypełniasz twój społeczno-moralny obowiązek w najściślejszy sposób. Od istnienia bowiem i wzrostu twojego dziennika zależy rozpowszechnianie idei, które uważasz za zbawcze i obrona interesów, które uważasz za święte i niezbędne dla szczęścia ludzkości i ojczyzny, oraz twoje wywyższenie. Na nic więc oglądać się nie możesz; przebierać w środkach niestety niepodobna. Jedyną miarą w tym względzie może być to, co nasza publiczność już zdolna jest znieść.

Gdybyś np. chciał założyć dziennik dla obrony jakiejś dobrze określonej idei, w interesie jakiegoś stronnictwa, mającego wytknięty cel, toby było co innego, w takim razie możnaby zupełnie inaczej postąpić sobie, ale taki dziennik, sam o własnych siłach nie utrzyma się u nas, trzeba go subwencyonować. Założenie takiego dziennika może być czynem poświęcenia, ale nigdy dobrym interesem, ani też nie dopniesz za jego pomocą celu, o który jak się domyślam, właściwie tobie idzie. Już ja ciebie rozumiem, wiem o co ci idzie, chociaż nie powiedziałeś mi, jaki właściwie chcesz mieć dziennik. Otóż w tych warunkach, w jakich my zakładamy dziennik, zupełnie inaczej postąpić sobie trzeba. Pojmujesz, że ja nie mogę ani przypuszczać ani wierzyć, żeby taki dziennik miał powstać *pro bono publico*. Czyż chcesz, żebyśmy roześmiali się, spojrzawszy na siebie jak Augurowie! My dobrze wiemy o co nam idzie, już my się rozumiemy, nieprawda? Ale właśnie dlatego oczywiście, uparcie i z zapalem twierdzić musimy i dowo-

dzie przed *vulgusem*, że zakładamy ten dziennik jedynie dla rozbudzenia życia w narodzie, dla karcenia opieszłych, dla zmuszenia do pracy narodowej wszystkich tutejszych próżniaków i śpiochów, dla wyklęcia grabarzy i zdeptania patryotyzmu galicyjskiego. W samej rzeczy, dziennik będzie miał w twojej i mojej myśli zupełnie inny cel, który, aby ci dowieść, że cię rozumiem, streszczę w trzech słowach — wyrobienie nam pozycyi. Każdy inny cel byłby istną śmiesznością; gdyby to u nas czytano, to nie mówię, wtedy możnaby z pożytkiem dla publiczności zakładać nowe dzienniki, ale tak, jak rzeczy stoją między Bogiem a prawdą każdy nowy dziennik jest poprostu zakładem, instytucją prywatną, stworzoną raczej dla piszących, jak dla czytających. Uda się — no to dobrze. Inni, mniej doświadczeni odemnie mogą się pod tym względem ludzić, ale nie ja. Na pierwszym więc planie u nas stać muszą nie sprawy krajowe, nawet chwilowo nie sprawa polska, ale poprostu konkurencya i wojna z innemi dziennikami. W tej myśli i w tym celu rozwinę ci cały mój szufladkowy program, a w nim znajdziesz także receptę na ten dziennikarski proszek, który jak wyżej powiedziałem, musimy koniecznie do naszej kawy dosypywać.

Tytuł. Nowoczesne postępy nauki dziennikarskiej dowiodły, że tytuł jest rzeczą w gruncie obojętną, jednak u nas, jak we wszystkim, tak i w tem cywilizacya jest spóźnioną, więc nie można sobie zbytecznie lekceważyć tytułu.

Program. To także rzecz podrzędna. Szumne frazesa koniecznie są tu potrzebne, treść jakakolwiek. Mój kochany, co tu można nowego powiedzieć!? Ja się na to wszystko zapatruję zupełnie bezstronnie, tylko ze stanowiska dziennikarskiego i fachowego. Z natury, z położenia mojego, z wrodzonych skłonności sympatyzuję oczywiście z radykalizmem; czerwonym nie jestem, ale jestem skrajnym. Śmiałyś się ze mnie, gdybym był

czem innym. Jednak przez miłość dla naszego dziennika, przez chęć, ażeby nasz zamiar się powiódł, przystałbym chętnie na wywieszenie tak zwanego sztandaru zachowawczego, a nawet z przyjemnością stawałbym w obronie rozsądku i wytykał głupstwa naszych radykałów i ultrasów. Ale cóż chcesz, z tem wszystkim nie utrzymamy przy życiu nowo-narodzonego dziecka. Mój kochany, nasi rozsądni ludzie i nibyto konserwatyści, nietylko, że nie czują potrzeby łożenia nieco pieniędzy na dzienniki, ale nawet *ils ne se donnent pas la peine* abonować dzienniki, które odpowiadają ich wewnętrznemu przekonaniu i ich usposobieniu, a od niechcienia abonują im przeciwne. Cóż chcesz robić z ludźmi, którzy nie czują i nie widzą, że to za pomocą dzienników robi się wszystko u nas, a między nami mówiąc i największe głupstwa. Niema więc co myśleć o dzienniku rozsądnym i umiarkowanym. Załóż tylko dziennik poważny, a zobaczysz jak go publiczność z pogardą odepchnie, jeżeli go zaś kto inny nie podeprze, to musi upaść. Dziennik może być u nas poważnym, tylko swoim formatem. Zresztą, o ile mnie się zdaje, taki dziennik nie odpowiadałby ani twoim zamiarom, ani twoim sympatjom, ani twojej przeszłości; a potem *la place est prise*. Musimy więc być radykalnymi, a że radykalizm u nas musi przybierać jeszcze szaty ultrapatryotyzmu, więc musimy być ultrapolskimi, nawet jak mówią w salonach — butowymi; i to jedno trzeba będzie bardzo wybitnie, szczególnie szumnie nacechować w programie.

Mój kochany! wolę ci wszystko odrazu powiedzieć, żebyś potem się nie spłoszył lub zbytecznie nie zdziwił. Otóż jest u nas pewna fatalna niejako sprzeczność między prawdziwym rozumem politycznym a poniekąd może nawet i między interesem kraju, a istnieniem nowego dziennika. Między Bogiem a prawdą, w tak oplakanem położeniu, w jakim znajdują się teraz Polacy, w sytuacji otoczonej tyloma niebezpieczeństwami, jak galicyjsko-

austriacka, w której cały nasz byt na włosku tylko wisi, nie da się zaprzeczyć, że dziennikarstwo powinno być postępować bardzo oględnie, że nie powinno roznamiętniać, że powinno być *un calmant* dla kraju, że przedewszystkiem powinno się odznaczać trzeźwością i spokojem, coś na kształt *Wieczności*. A jednak, gdybyśmy się chcieli tego trzymać, zakładając nowy dziennik, ręczę ci, że po kwartale zamknęlibyśmy budę. Cóż chcesz mój kochany, w tem nie nasza wina, ale wina publiczności. Niema więc rady *il faut chanffer*. Ale skąd tu brać drzewa i węgla? bo i o to u nas bardzo trudno. Do tego trzeba mieć koniecznie trochę szczęścia, ale trzeba i umieć chwycić *au vol* sposobności i materyały. Tu się zaczyna dla niezupełnie głupiego człowieka dość przykre zadanie, bo trzeba nietylko chwalić i stawać w obronie, ale także wyszukiwać i niejako publicznie wystawiać tysiące niedorzeczności narodowych i patriotycznych. Pod tym względem *on ne peut pas broncher*.

Ale prawda, jeszcze zapomniałem o jednej ważnej rzeczy, oto o firmie — u nas firma jest dość ważną rzeczą. Ja sobie nie robię żadnych illuzji i wiem dobrze, że moja firma nie doda dziennikowi powagi, ty zaś w dziennikarstwie nie jesteś znany; więc na to trzeba w ten sposób poradzić, że okryjemy urokiem tajemnicy skład redakcyi. W tej mierze trzeba sobie trochę pomódz wspomnieniami konspiratorskiemi. Ale tu zaraz nasuwa mi się druga trudność. Bo jeżeli przed publicznością możemy komponować i udawać współpracowników, to trudno, jednak w redakcyi zastąpić ich manekinami. Bądź co bądź, ja sam nie wystarczę, nie podołam całej pracy, ty nie jesteś piśmiennym, muszę więc mieć współpracowników. A gdzie ich tu znaleźć? Wiem, że amatorów będzie dużo, ale przecież dziennik przynajmniej pod względem formy i stylu musi być porządnym. Otóż wierzaj mojemu doświadczeniu, poza redakcyami istniejących już pism, nie znajdziesz u nas nie-

tylko prawdziwych publicystów, ale nawet znośnych współpracowników. Wszystkie te przechwałki o braku zajęcia, o marniejących się u nas zdolnościach — to blagi, niema w tem ani słowa prawdy. Rzeczywiście najstraszniejszą chorobą naszego społeczeństwa, jest brak zdolności i zdolnych ludzi, a niesłychany wzrost fałszywych apetytów, chorobliwych ambicyi, niedojrzałych zdolności i miłości własnych bez granic. W skutku tego, niepodobieństwem jest u nas zużytkowanie tego co już mamy, niepodobieństwem strawienie tego, co nam dają do jedzenia, co znów wywołuje ciągle napieranie się o nowe potrawy. Przekonasz się o tem przy założeniu twojego dziennika. Zobaczysz zaraz na wstępie czy nie mam racyi. Powołanych będzie dużo, ale bądź pewnym, że ani jednego wybranego; bo przecież my się wszyscy mniej więcej znamy. Gdybym ja się nie był poróżnił z moim dawnym pryncypałem, to bardzo ciekawy jestem co byś zrobił? Prawda, że w redakcyach istniejących już pism jest wielu współpracowników skwaszonych, niezadowolnionych, upokorzonych, zazdrosnych, źle płatnych; ci gotowi są zawsze przejść z dawnego do nowego dziennika — nie wszyscy, ale wielu; jednak na to trzeba, żeby ten dziennik dawał im rękojmię, że się utrzyma, a u nas, żaden nowo powstający dziennik tej rękojmi dać nie może. Pewien dowcipny pan mówił o formującej się u nas legii meksykańskiej: „przeczuwam, że przejdą do Juaresa“ — nie o wszystkich, ale o bardzo wielu naszych dziennikarzy możnaby to samo powiedzieć, przeszliby do Juaresa, ale musieliby wiedzieć, że Juares zwycięży. Pozostaje nam więc liczyć na młode zdolności, na ludzi z przyszłością, na współpracowników, którzy się wyrobią, upadam ci do nóg, wołam sam wszystko robić. Dziennik musi wychodzić w oznaczonej godzinie, gdzież tu czas na poprawianie i przerabianie? Dalej, zwykle u nas ci panowie przyszłości, są wielkimi próżniakami. Na tem się też skończy, że sam

będę moim współpracownikiem i w początkach muszę wydołać wszystkiemu, a potem zobaczymy. Może uda się nam rozbić jaki dziennik, i z tego względu także jest to dla nas koniecznością. Jednak ten brak współpracowników starannie zakryjemy. Tylko proszę cię, nie pakuj mi zbyt wielu emigrantów do redakcyi, nie dałbym sobie z nimi rady. Nie dlatego to mówię, żebym wierzył temu głupstwu, że emigrant jest dla naszej publiczności czemś straszem, to niedorzeczność, ale to także głupstwo, żeby dziennik krajowy redagowali ludzie nieznanjący kraju; galicyjskich zaś emigrantów politycznych niema, a ekonomiczno-finansowych, zwiących się politycznymi, sprowadzać, byłoby za kosztowne.

Wracam teraz do właściwego przedmiotu, i tu wypada mi niejako zanalizować ten proszek, który musimy koniecznie do kawy dosypywać. Przestrzegam cię, dobrze się zastanów, żebyś potem własnem dziełem się nie przestraszył.

W wielkiej polityce obstawanie za wszystkimi najradykałniejszymi środkami i niedorzecznościami, począwszy od zalecania abstynencyi tutaj, a skończywszy na zachwalaniu mniej lub więcej gorąco i wyraźnie, wedle okoliczności, powstania wszędzie. Między temi dwoma szczeblami pomieścić trzeba wszystkie egzaltacye i przesady patryotyczne, czeże demonstracye, wszystko to bezwzględnie pochwalać i popierać musimy, a niewolno nam nigdy ani słówkiem tego potępić, przeciwnie, uderzać musimy silnie na każdego, ktoby śmiał przeciw tym patryotycznym absurdom a szczególnie przeciw patryotycznemu terroryzmowi powstawać. Sądzić się musimy na obrazowość i energię w wysłowieniu.

W kwestyach społecznych przemawiać musimy bardzo energicznie za zniesieniem wszystkich już zniesionych przywilejów. Największą widzisz trudnością dla nowego dziennika jest, że już niema przywilejów, z którymi mógłby walczyć; dlatego niema rady, trzeba wal-

czyć ze zniesionymi, a szczególnie przemawiać za równouprawieniem. Przemawiać dziś za równouprawieniem, powiesz może, to absurdum, skoro równouprawienie jest zupełne; ale to nic nie szkodzi, bo bardzo wielu nie rozumie tego wyrazu, a ten wyraz wytłumaczyć można, jak się podoba; można np. powiedzieć, że on dziś znaczy: demokracja przyszłości. Dalej, i to jest punkt bardzo ważny, zacięta walka z reakcją. W mojem przekonaniu ten wyraz nie ma u nas sensu, bo co najwięcej, można rządowi przypisywać chęć reakcji, ale to jest jeden z wyrazów bardzo utartych i efektownych, to prawdziwa *bonne fortune* dla każdego a szczególnie dla nowego dziennika. Jak np. w polemice zabraknie nam argumentów, lub jak nie będziemy wiedzieli co pisać, jak wogóle zabraknie nam przedmiotu, wyrzniemy wstępny artykuł „O Reakcji!“ która się sroży i t. d. To rezerwa dziennikarska, jak stara gwardya Napoleona.

W kwestyach religijnych, zważywszy, że to u nas, musimy udawać katolików, powiemy raz, że jesteśmy katolikami, potem przypomnimy to znowu kiedyś nawiasowo, ale już przy jakimś bardzo bezbożnym w gruncie artykule, n. p. o Arcypapie z Obzartuchowa, ale zresztą zawsze i wszędzie będziemy bezbożniejszymi jak sam dyabeł. O władzy świeckiej już nie mówię, *ça s'entend*, a nawet to będzie naszym *cheval de bataille*, bo przecież u nas wkorzenione jest przekonanie o łączności interesów włoskich z polskimi. Cóż chcesz? to jest jedno z tych zakorzenionych głupstw, z którymi niepodobna nam walczyć. Ale nie dość na tem, gdzie się tylko da, wykazywać trzeba zastarzałość i zgrzybiałość katolicyzmu, ohydzać księży, to bardzo dziś popularne. Naturalnie na pierwszym planie pod tym względem stać musi zniesienie wszystkich klasztorów, najpierwej tych, które mają ostre reguły, potem wszystkich innych jak w Rosyi, tylko oczywiście nie trzeba odwoływać się na przykład Rosyi, ale na przykład Chao-

polis, Włoch, Hiszpanii i t. d. To wszystko jest niezbędnie potrzebnem, żeby oddalić od siebie podejrzenie klerikalizmu i ultramontanizmu. Ale, ale, zapomniałem o Jezuitach, mój Boże, tak upadli, tak nie nie znaczą, że nawet wyszli mi z głowy, ale skoro u nas wierzą jeszcze w ich potęgę, skoro są postrachem, więc naturalnie na Jezuitów bij zabij, to będzie głupie, będę się tego sam przed sobą wstydził, ale cóż robić? Jezuici będą *ein Schlagwort*. To są wszystko, że tak powiem, niezłe konie, ale cóż z tego, kiedy już i inni na nich jeżdżą, nawet nie zostawili nam tych Zmartwychwstańców, chociaż z nimi dyabelnie pokpili sprawę. Jak dwa a dwa cztery, i my bylibyśmy się dali złapać.

Co się tyczy kwestyi terytoryalnej, musimy przyjąć za zasadę znane już *minimum*; bez tego żadnego kompromisu, żadnej transakcyi; ale to już znane, to nie nowego. Dlatego wpadłem na myśl, żeby nasze *minimum* terytoryalne, powiększyć Szląskiem, ale całym — pruskim i austriackim. Tem innych zabijemy. A mamy do tego podstawę w ostatniej zabawie odbytej na Szląsku, na której tak się wybornie ubawili nasi rodacy-wolontaryusze.

Teraz dopiero przystępuję do tego, co stanowi prawdziwą treść proszku i naszego szufladkowego programu. Widziałeś zapewne w teatrze gawronowskim ową sławną sztukę „Rodzina Benoiton“. Przypominasz sobie co mówi młody Teodul Benoiton: „Sława! co to sława? sława — to skandal!“ Otóż w tych wyrazach leży cały sekret powodzenia naszego dziennika. Dla Benoitona, który napętnia kieszenie złotem papy, skandal jest tylko zbytkiem, fantazyą, ale dla nas, chcących nowy dziennik założyć, jest on koniecznością, to chleb codzienny, to być albo nie być, jednym słowem to wszystko! Skandal polityczny, skandal religijny, skandal familijny, skandal publiczny, skandal prywatny, wszystko jedno, byle skandal! Do tego trzeba także koniecznie szczęścia, ale

potrzeba i pewnej umiejętności w wyszukiwaniu a szczególniej eksploataowaniu skandalu. Pojmiesz to łatwo, jak ci powiem, że największą często u nas trudnością dla dziennika jest, że niema o czem pisać. Naturalnie o czemś zajmującym, dla naszej publiczności, bo o propinacyi, o radzie szkolnej, o radach powiatowych, o języku urzędowym, o Peru i Cubie zawsze pisać można.

Czy dyabli nadali, żeś przed dwoma miesiącami nie powziął myśli założenia twojego dziennika, co to za szkoda! Mój Boże! Jakbym ja był wyexploatował tę awanturę z zakonnicyą w Gawronowie ¹⁾. Bóg wie, czy się nam taka gratka zdarzy. Żeby przynajmniej można wynaleźć jakiego chorego na konsumcyę Bernardyna i tak jakoś rzeczy ułożyć, żeby można jakiś czas przed świętem twierdzić, że wychódł w skutku przymusowego biczowania i głodu? Wierzaj mi, że aby stworzyć takiego bernacha, warto w interesie dziennika zrobić nawet znaczną ofiarę pieniężną.

Proszę cię mój kochany i tu znowu dobrze zastanów się, żebyś potem nie żałował i nie cofnął się. Tu także interes publiczny niekoniecznie w zgodzie z interesem nowego dziennika. Nie trzeba być głębokim politykiem, żeby zrozumieć, że ten wypadek klasztorny w Gawronowie nie był wcale korzystnym dla Polaków, że wcale nie przyszedł w porę; oczywiście rozmiary, jakie przybrał, usprawiedliwiają poniekąd wobec świata postępowanie Moskali z klasztorami, z drugiej strony była to woda na młyn centralistów w Chaopolis i dzisiejszego ministerjum, którego zwalenie byłoby požądaniem. Tymczasem, jak już wiadomo, ten wypadek umocnił ministerjum, bo stał się argumentem, popierającym jego postępowanie w kwestyi religijnej, to wszystko jasne jak słońce. Stąd wypływał dla dziennikarstwa polskiego obowiązek traktowania całej tej sprawy bardzo

¹⁾ Barbara Ubryk.

ogłędnie i spokojnie. Interes jednak nowo założonego dziennika, wymagałby zupełnie czego innego. Gdyby nasz dziennik już był istniał, byłbym musiał wyexploatować aż do dna, cały ten wypadek. Wypadek sam przez się był tylko obrzydliwy, cała sztuka zależała na tem, aby go upoetyzować, aby nim uderzyć wyobraźnię; owa zakonnica była poprostu waryatką, trzeba było z niej koniecznie zrobić bohaterkę europejską. Nie zważając na istotę czynu i chcąc wywołać oburzenie, skandal i agitację, i zużytkować to wszystko jako reklamę dla dziennika, trzeba było zaraz z kopyta przesądzić wyrok sądowy, nazwać ten czyn zbrodnią, i tak wiele, tak silnie o nim pisać, aby nikt nie śmiał w pierwszej chwili tego zaprzeczyć, aby nawet najpoważniejszych ludzi porwać za sobą. Taby się było dało łatwo zrobić, nietylko poetyzując ofiarę, ale dodając jeszcze do całej sprawy jakąś skandaliczną anegdotkę, nie mającą może żadnej z tą sprawą styczności i podnosząc z tego powodu krucyatę przeciw wszystkim klasztorom. Notabene w takich wypadkach trzeba koniecznie wydać dodatek do dziennika.

Przy takiej sposobności, choćby najniepopularniejsze zresztą figury najniewłaściwiej sobie postąpiły, chociażby najgminniej wyraziły się, byle silnie, to chwilowo wypada pochwalić ich postępowanie i podnieść ich słowa, bo to doda wagi całej rzeczy. Ręczę ci, że postępując w ten sposób, doszlibyśmy do tego świetnego rezultatu, że rozerwanoby cały nakład naszego dziennika, i że musielibyśmy w osobnych odbitkach wydrukować nasze artykuły o tej sprawie. To dopiero zrobiłoby wrażenie, tym sposobem niezawodnie prześcignęlibyśmy inne dzienniki. Zważ bowiem, że nadając tej sprawie takie rozmiary, nabierała ona znaczenia skandalu europejskiego i skandalu religijnego — dwie najbardziej ponętne dla ciekawości publicznej rzeczy, w naszych czasach. W tym wypadku bylibyśmy okazali

nasze mistrzostwo. Cóż z tego, kiedy nas ta gratka niestety minęła! A jeszcze te zaburzenia, które z powodu tego powstały, to już było *summum* szczęścia dla dziennika, bo można było z ich powodu zabawić się w umiarkowanych i rozsądnych, naganiając i potępiając je. Bo widzisz, u nas jeszcze rzeczy tak stoją, że od czasu do czasu dziennik musi sobie nadawać pozory umiarkowania. To jeszcze jedna trudność naszego zawodu, bo z wyjątkiem nader rzadkich i krótko trwających chwil, dziennik u nas nie może być umiarkowanym, musi być radykalnym, ale przecież musi zarazem uchodzić za umiarkowany i poważny. W tem sęk i trudność. U nas nie lubią zbyt wybitnych kolorów, kochamy się w chwiejności, dwuznaczności i mierności. Stąd konieczność dla dziennika, pisania prawie ciągle strzyżono, golono, stąd jak owa babka musi on na dwoje wróżyć. W tem znowu nie nasza, ale publiczności wina. Przygotuj się nieraz na podobne sprzeczności. Bardzo wielu uczciwych i sumiennych dziennikarzy, wcale nie wie o nich i nawet się ich nie domyśla. Działają i piszą w ten sposób, jedynie przez instynkt własnej konserwacyi, nie wiedząc co czynią. Ja niestety zbyt wiele mam doświadczenia dziennikarskiego, abym o tem wszystkiem nie wiedział. Nie mam nawet pociechy nieświadomości tego, co robię.

Takie jednak pojedyncze wypadki nie są dostateczne do zapewnienia dziennikowi powodzenia i popularności. Skandal musi być codziennym jego pokarmem, a raczej strawą, którą ofiarować będzie publiczności. Naturalnie, że uderzać będziemy silnie na osoby. To jakiś wróg dziennikarstwa wymyślił tę teorię, że dziennik nie powinien tykać się osób i zaglądać w życie prywatne. Co to za głupstwo! To zupełnie to samo, co chcąc ukarać kogoś, bić kijem po poduszkach lub piernatkach, wtedy, kiedy winowajca już dawno łóżko opuścił.

Kogóż taka dziecinna komedia zająć może? Pod tym względem publiczność jest wszędzie ta sama, po-

trzebuje silnych wrażeń, a jeżeli już nie koniecznie krwi gladyatorów, to przynajmniej porządnego wytrzepania po skórze winowajcy. Przetrzepuj prętem piernaty, nikt nie będzie zważał na ciebie, ale rozpocznij jakąkolwiek na ulicy bitkę, a zaraz zrobi się zbiegowisko. Bić więc, bić nielitościwie, po skórze na prawo i na lewo, jak się uda i kiedy się uda; lepiej, żeby 99 niewinnych dostało po skórze, jak żeby jeden winny uszedł zasłużonej kary, lepiej oczywiście dla dziennika. Obok wielkich skandalów i walki z wielkimi ludźmi, nie można pogardzać i małemi zaczepkami, ale zawsze muszą być wymierzone przeciw tak nazwanym wyższym klasom. Korespondencye z zagranicy o skandalach i zbytkach naszej arystokracji, korespondencye z wód z anegdotkami, byle o hr. N. N., o księż. M. M. To są mniejsze sposobiiki, ale także zaostarzające ciekawość. Prawda, zapominałem jeszcze o telegramach. Musimy umieszczać jak najwięcej sensacyjnych telegramów. Zważ, że teraz za pomocą telegramów jeden numer dziennika, może się stać żywym uosobieniem łączności, wspólności i solidarności całego narodu. Nie wiele to kosztuje a wrażenie nie małe. Już to w takich wypadkach musisz mi pozwolić, żebym puścił w świat parę telegramów z moim podpisem.

W końcu słowo o polemice. Z polemiką ostrożnie, żeby nie przemienić jej w reklamę; musimy tu korzystać z doświadczenia innych. Dobrze trzeba obmyślić z kim nam wypada polemizować. Z popularnymi organami tylko tyle, żeby dowieść, że przecie jesteśmy co innego, jak one. Z *Wiecznością* między Bogiem a prawdą nie warto, bo to już rzecz zużyta; zacząwszy od dzienników, które nie wiedzą czem zapierać szpalty, a skończywszy na humorystycznych pismach, którym brak już konceptu, wszyscy żarliwie polemizowali z *Wiecznością*, od istnienia Galilei, aż po dzień dzisiejszy. Pomimo tego, darmo, i my będziemy musieli z nią po-

lemizować. Ale to nie dosyć, trzeba jeszcze koniecznie jakiegoś kozła ofiarnego, nad którym możnaby się paścić. Kogoby to tu znaleźć? Prawda, rzucimy się na tego głupiego *Lustratora*. To znowu prawdziwa *bone fortune*, że się tak zaawanturował. Będę ja też po nim jeździł. Mój kochany, co to za głupcy ci *Lustratorczycy*, żeby się też tak narażać, poco? poco? i dla kogo? Nie, tej polityki nie pojmuję, żeby się też dobrowolnie unie-możebniac. Co to za niedoświadczenie przypuszczać, że to wszystko co pomoże. *Mais après tout c'est leur affaire* a mój obowiązek, korzystać z ich głupstwa.

Polemikę prowadzić, to rzecz podrzędna, dwie tylko do tego rzeczy są potrzebne, trzeba zawiesić na kołku dobrą wiarę i sumienność, a uzbroiwszy się w bezwzględność, przed niczem się nie cofać. Przedewszystkiem zaś trzeba zarzucać przeciwnikom to, o czem im się ani nie śniło, to ich najbardziej z tropu zbija. Ale najważniejszą rzeczą jest umieć w porę zamknąć polemikę, to jest wtedy, kiedy czujesz, że jesteś pobity, lub kiedy czujesz, że dalsza polemika posłużyłaby tylko do tego, ażebyś się przedwcześnie z wszystkim wygadał, lub kiedy nareszcie spostrzeżesz się, niestety czasem zapóźno, że staje się ona tylko reklamą dla przeciwnika, którego z początku wcale się nie obawiałeś. W tym celu możesz rozmaitych użyć środków, jeden z niezłych jest zamknięcie polemiki oświadczeniem, że się jest wyższym nad obelgi przeciwnika. Do tego naturalnie wcale nie potrzeba, żeby przeciwnik jakkolwiek był rzucił obelgę; wierzaj mi, to wcale nie zły środek, wyższość po twojej stronie, obelgi z tamtej, to dość obrazowe. Dalej możesz także zamknąć polemikę, przedrukowując tylko tytuł artykułu przeciwnika, a pod tym tytułem pisząc zupełnie o czem innym, zakończyć oświadczeniem, że przeciwnik cofnął co powiedział, i że po cichu i skromnie wszystkiego się wyparł. Znowu naturalnie nie potrzeba, żeby w tem było i słowo prawdy. Odpowiedzią

swoją mógł ci on piekielnie dokuczyć, mógł ci nawet zupełnie zamknąć usta, ale to nic nie szkodzi. Właśnie dlatego, że nie masz mu co odpowiedzieć, powinieneś ogłosić, że jest pobity, że się cofa, słowem, powinieneś ogłosić trąbami i bębniemi swoje zwycięstwo. To także bardzo dobry sposób. Tych zaś zużytych sposobów twierdzenia, że nie możesz polemizować z przeciwnikiem, który przywłaszcza sobie monopol rozumu i rozsądku; lub też jeszcze nędzniejszych, odmawiania przeciwnikowi dowcipu zwyczajnego, choć sam z innymi serdecznie się śmiałeś z konceptów, które mu się może przypadkiem udały, lub też porównywania go nieustannie do *Dziennika Warszawskiego* i *Kreutz Zeitung*, wystrzegać się starannie należy. To wszystko liche sposobiki, to partactwo dziennikarskie, to już dowód, że brak u ciebie amunicyi; wtedy już lepiej zakończyć bitwę, bo przeciwnikowi nic nie zrobisz, a sam się skompromitujesz. Jak się spostrzeżesz, że w głównych kwestyach politycznych twój przeciwnik ma za sobą całą kastę abonentów, to wtedy, choćby to było przed samym sejmem — lub podczas sejmu — sza. Ani słowa więcej o tych kwestyach, poczekać trzeba i udawać, że zdechl pies; *la parole est d'argent mais le silence est d'or*. Poprostu nura trzeba dać. To chwilowe zwycięstwo przeciwnika nic nie znaczy; byleś nie wzmacniał jego pozycyi, popierając program choćby twój, ale na tę chwilę nie popularny. Jak przeciwnik będzie śmiał ci zarzucić twoje milczenie, odpowiedz mu krótko i węzłowato, że widać, iż nie czytuje twój dziennik i pisze o nim nie czytając go.

Z pismami humorystycznemi nie mała bieda; w zasadzie trzeba je protegować, ale z drugiej strony, jak które z nich ośmieli się dokuczyć naszemu dziennikowi, wypowiadając np. o nim całą zakulisową prawdę, wtedy trzeba je bez litości zmasakrować. Można n. p. gdzieś w odcinku, dać do zrozumienia, że to pismo dlatego jedynie przeciwko nam powstaje, że nie chcieliśmy jego

redaktora przyjąć do redakcyi naszego dziennika. A potem naturalnie trzeba go raz przynajmniej z *Dziennikiem Warszawskim* zrównać.

Na zakończenie jeszcze jedna ogólna, streszczająca wszystko uwaga. W czasach spokojnych i zwykłych najmniej, t. j. prawie już całkiem u nas nie czytują dzienników. Zaczynają je czytać dopiero w chwili, w której nadzieje są rozbudzone, lub w chwili, w której jakie wielkie niebezpieczeństwo, *alias* głupstwo zagraża. Stąd wynika, że nietylko leży w interesie dziennika, ale że jest to nawet dla niego koniecznością, stwarzać takie chwile, stwarzać je naturalnie sztucznie, jak nie można inaczej. Cóż łatwiejszego u nas, jak wywołać jakie głupstwo.

Takie są główne zarysy planu naszego dziennika. Wyłożyłem ci szczerze i otwarcie ten plan, ale proszę cię nawzajem, dobrze się zastanów i namyśl, czy wytrwasz i czy nie cofniesz się przed temi nieuniknionemi konsekwencyami założenia nowego dziennika. Powiem ci szczerze, tobie ufam, wiem, że jesteś mężem silnym, zdolnym wytrwać w postanowieniu i że nie łatwo cię zbić z tropu; ale obawiam się zabiegów i wpływu znajomych, krewnych i t. d. Gdybyś, ulegając tym wpływom, miał wtedy, kiedy ja w najlepsze rozpocznę dzieło, zatrzymywać mnie, mitygować i hamować, to ci upadam do nóg i nietylko nie ręczę za powodzenie, ale ręczę, że nam się nic nie uda. Wolę nawet nie zaczynać.

Jeżeli np. podczas najzaciętszej kampanii przeciw klasztorom, lub w jakiejkolwiek innej kwestyi religijnej, lub pod jakimkolwiek wpływem zatrzymasz mnie, jeżeli rzeczy, które zacząłbym drukować grubemi jak palec literami, potężnym *garmontem* i w wstępnych artykułach, zmusisz mnie drukować *petitem* i w kronice, jakby ukradkiem, jeżeli zamiast pozwolić, żebym brał szumnie i także grubemi literami, inicjatywę we wszelkich demonstracyach, ograniczysz mnie do zachęcenia

do nich pod mizerną formą „słysząc, że w mieście zamierzają i t. d.“ jeżeli raptem zamiast przemawiać za natychmiastowem zerwaniem z rządem, każesz mi to ubrać w jakieś konstytucyjne kruczki i zamiast pozwolić, żebym szedł prosto wytkniętą do celu drogą, każesz mi obchodzić Bóg wie którądy, to powtarzam, upadam ci do nóg i nie podejmuję się prowadzenia dziennika. Jeżeli zaś zgodzisz się na mój szufladowy program, i wytrwasz w nim, to ci służę i nie wątpię, że wtedy rozwiążemy trudne zadanie, pisania dziennika dla nieczytających, tak samo, jak ten książdz, który wydał książkę dla nieumiejących czytać. A wiesz, co było w tej książce? same obrazki!

Pamiętaj, że na początek musisz wynaleźć koniecznie Bernardyna chorego na konsumpcję.

Donieś mi, kiedy mam się stawić, i czy w Gawronowie czy w Tygryсовie. Proszę cię, przyslij mi na kosztą podróży.

A teraz żegnam cię serdecznie i kończę tym axiomaticum:

Salus naszego dziennika musi być dla nas *suprema lex!*

Twój

Spricimir.

P. S. Proszę cię, spal zaraz ten list. Profani nie powinni nie tylko wiedzieć, ale nawet domyślać się takich rzeczy. A nużby przypadkiem wpadł w ręce *Lustratorczyka*, ręczę, że żywcem umieściłby go w *Tece Stańczyka*. Przeczytawszy go bowiem, widzę sam, że się wybornie do tego kwalifikuje, chociaż doprawdy wcale nie jest pisany, jak to mówią z drugiego końca. Darmo, tego czego inni nie chcą przyznać, lub co robią często bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy; ja to robię z świadomością i wcale się nie łudzę. Nie dlatego może, że jaśniej widzę rzeczy jak oni, ale dlatego jedynie, że

mam więcej dziennikarskiego, krajowego doświadczenia. Mojem też zdaniem, można w tej kwestyi następujący postawić aforyzm: Założenie nowego u nas dziennika staje się w początkach niemal klęską publiczną, aczkolwiek dla indywiduów jest ono czasem koniecznością. W przyszłości jak ustali swój byt, i popełni szczęśliwe morderstwo na kilku kolegach, może się stać pożytecznym dla wszystkich i odkupić pierworodny grzech. Nie nasza wina, że taki jest smutny stan rzeczy. To wina publiczności, która nie czytuje, a lubi tylko przypatrywać się obrazkom.



Przemówienie w 30-tą rocznicę założenia „Czasu“

w dniu 5 listopada 1877 roku ¹⁾.



Publiczne działanie, które daje powód do namiętnych wystąpień i zaciętych walk, obfitszem jest zawsze w skutki złe albo dobre, niż to, które napotyka obojętność.

Polityczne stanowisko zajęte przez najbliższych moich przyjaciół i przez dziennik, w którym mam zaszczyt pracować, ma przywilej wywoływania gwałtownych napaści, które nie oszczędzają ani rzeczy, ani osób.

Zachęta i poparcie tych, co najcelniejsze w społeczeństwie polskiem zajmują miejsca, obecność wasza tutaj, czcigodni Panowie! są nam rękojmią i świadectwem, że do dobrego celu, prostemi zdążamy drogami. Burza zaś, wywołana za pomocą sztucznej maszyneryi, nad naszymi głowami, świadczy, że zasady i zapatrywania, których jesteśmy rzecznikami, mają przyszłość, że ich postępy i zwycięstwo nie dozwolą nadal samozwańcom, powiewać chorągwią polską, tyle razy przez nich nieprawnie użytą, nie na to, aby zapewnić naro-

¹⁾ Wystąpiwszy z *Czasu* w 1865 r. wstąpiłem do niego powtórnie na początku 1877 r. po zgonie jego kierownika Maurycego Manna. Obchód trzydziestoletniej rocznicy założenia *Czasu* odbył się w komnacie dziennika.

dowi lepszy byt, lecz aby popychać go z przepaści w przepaść, aż na brzeg tej, w którejby zgubę swoją znaleźli.

Kiedy kilku nas, połączonych tożsamością zasad, zapatrywań i celów, rozpoczęło w tej części Polski publicystyczną pracę, postawiliśmy sobie jasne zadanie: robić zawsze i wszędzie wszystko, co się zrobić da, a nie porywać się nigdy i nigdzie na to co niemożliwe.

Była to bardzo prosta zasada, a przecież przeprowadzenie jej pociągało za sobą zwrot w narodowej naszej polityce porozbiorowej, zmianę w zapatrywaniach, a nawet w psychologicznem usposobieniu społeczeństwa, już dlatego, że zasada ta, stawiała nad zapałem rozwagę, wyżej porywów, rachubę. Myśl główna mogła się oprzeć na pewnej tradycyi, na znanych w narodzie powagach; ale postanowiliśmy głosić ją szczerze i otwarcie, stanowczo i bez trwogi, wszędzie i zawsze; postanowiliśmy pracować dla Polski, ale nawet sztandarem Polski nie dać się od pracy oderwać, aby biedz na rozpaczliwy bój. Nowem i to było, że program ten postawili, nie posiwiali w sprawie publicznej mężowie, ale młodzi wówczas ludzie. A jednak, chociaż młodzi nie stawialiśmy programu rozwagi i rachunku, nie obliczywszy jego dodatnich i ujemnych stron. Nie tailśmy przed sobą, że mógł on wpłynąć na oziębienie uczuć patryotycznych, że wyleczając organizm z gorączki, wywołać mógł omdlenie; bo wiedzieliśmy, że łatwiej podtrzymywać zapal, niż przemawiać do obowiązku i rozsądku. A mimo tego powiedzieliśmy sobie: żaden organizm długo gorączką żyć nie może, trzeba szukać nowych dróg, bo idąc dawnymi, zatapia się nieuniknienie mniej więcej co piętnaście lat zapal w krwawej kąpieli, zużywa się go w bezrozumnych porywach i marnuje się piętnastoletnią pracę w chwili właśnie, w której ma wydać owoce na wielką jedynie pociechę tych, dla których te owoce są nieznośnymi. Nie byłoby to wystarczało, aby nas w sumieniach naszych uspokoić, ale po-

wiedzieliśmy sobie jeszcze: nie może być prawdą, żeby Polska aby żyć, potrzebowała żyć w ciągłej gorączce, ufamy w zdrowe i żywotne siły narodu, wierzymy niezachwianie, że miłość ojczyzny jest niespożyta u Polaków i że nie potrzebuje peryodycznych klęsk, ażeby się odmładzać. Mam głębokie przekonanie, że pod tym względem nie omyliliśmy się. W każdym razie wytworzył się liczny zastęp, który nie potrzebuje bezowocnie poświęcać się, aby być zawsze gotowym, wszystko dla sprawy skutecznie poświęcić. Dziś Panowie, bez zarumienienia i bez wyrzutów sumienia, bez wstydu i bez obawy przeniewierzenia się Ojczyźnie, bardzo wielu odmówiłoby stanowczo, wziąć udział w zgubnych przedsięwzięciach, chociażby podjętych w imieniu Polski i miałyby odwagę potępić je głośno i odwrócić się od nich, a ci sami, istotny obowiązek zawsze i wszędzie pierwsi spełnią.

Rzecznikiem tak zrozumianej zachowawczej polityki był także ten dziennik, którego założenia trzydziestoletnią rocznicę dzisiaj obchodzimy. Dlatego, kiedy w skutku nieodżałowanej straty męża, który u nas najwyżej wzniosł godność dziennikarskiego pióra, Maurycego Manna, przyszło mi — nie zająć jego miejsce — ale wziąć na siebie część osieroconej po nim pracy, mogłem wejść w skład pozostałego grona Redakcyi.

Właśnie wtedy znaleźliśmy się wobec ważnych wypadków, zbliżających obchodzących społeczeństwo polskie. Zawikłania wschodnie 1876 i 1877 r. przyszły jakby na poparcie polityki, którą *Czas* i *Przegląd Polski* usiłowali, nie bezskutecznie, w kraju wytworzyć; dowiodły one namacalnie łączności interesów polskich z austriackimi, do tego stopnia, że ogół u nas uczuł, iż pośrednie nawet dotknięcie interesów austriackich na Wschodzie, byłoby bezpośrednią szkodą dla polskiego społeczeństwa. Zdaniem mojem, owa łączność jest największą u nas porozbiorową prawdą, którą wyznawać należy bez zastrzeżeń

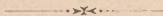
i ukrytych myśli; ale nie może ona pociągnąć za sobą zubożenia dla interesów polskich poza granicami Austrii; tego żądać od nas nikt nie może i nie powinien, byłoby to przeciwnem prawom przyrodzonym i takie zubożenie, gdyby było możliwem, zmniejszyłoby tylko nasze znaczenie w Austrii i nasze dla Austrii znaczenie.

Nic zatem dziwnego, że obecne wypadki, budząc w pierwszym rzędzie czujność naszą co do wspólnych interesów austriacko-polskich, podwoiły troskę naszą co do interesów polskich poza granicami Austrii. Lecz troska ta musi być roztropną i rozważną, aby nie przyniosła szkody, ani naszym braciom, ani nam samym, aby nie przemieniła się w złą przysługę i nie wyrządziła krzywdy całemu społeczeństwu polskiemu.

Wśród zakłóceń wschodnich naród polski sam przez się nie może wpłynąć na jakiegokolwiek zmiany teorytalne, bo te sprowadza wojna, a wojny naród polski prowadzić nie może, lecz są cele, do których zawsze zmierzać powinien bez używania zgubnych lub niedorzecznych środków. Możemy wszędzie dążyć do polepszenia naszego bytu narodowego i do oparcia go na podstawie prawnej, bez względu na kombinacye terytoryalne; a winniśmy tem głośniej stawiać i przypominać tę zasadę, że w jej imieniu rozpoczęły się dzisiejsze wypadki, i że Europa do niej się odwołała. Sposobność jest zbyt dobra. Byłoby błędem nie skorzystać z niej roztropnie i wszędzie w miarę możliwości.

Gdziekolwiek okaże się możność skorzystania z wypadków, aby byt narodowy Polaków polepszyć lub wzmocnić, winniśmy je wszyscy wspólnie w tym celu użytkować, a nie nadużywać ich na własną szkodę. Taką politykę *Czas* popiera i popierać będzie na całym obszarze ziem polskich i nigdy nie przestanie sięgać myślą, a i zdaniem wszędzie, gdzie polskie sięgają interesa. Jest to jedyna jego odpowiedź na burzę potwarzy.

W tej myśli, w tem uczuciu, wnoszę toast, który nie dojdzie swego przeznaczenia, lecz który znajdzie odgłos w waszych sercach. Wnoszę toast na cześć Warszawy, która, możemy być tego pewni, jak dotąd, tak i nadal robić będzie wszystko, co robić się da, ale tylko to, co robić się da, a zatem co w naszym położeniu jedynie robić się godzi.



ZADANIA POLSKIE.

Wojna rosyjsko-turecka 1877 i 1878 r., złączone z nią zdarzenia na Wschodzie, zakończone traktatem berlińskim, w 1878 r., były ważnym dla wszystkich państw, narodów i społeczeństw okresem dziejowym. Wypadki te nie mogły pozostać bez wpływu na naród polski, już dlatego, że znajduje się on w obrębie duchowym i politycznym spraw przez nie poruszonych. Zadanie polskie nie rozwinęło się w skutku zawikłań wschodnich w wielkim kształcie, ale dotknęły one i podniosły ważne i żywotne pytania, odnoszące się wprost do bytu narodu.

Wojna wschodnia była ostatnim dla naszego pokolenia, wielkim wypadkiem politycznym, traktat berliński stał się najnowszą podstawą stosunków międzynarodowych i międzynarodowego prawa i odtąd nie zaśły donioślejsze zmiany w Europie.

Wojna podjęta przez Rosyę, pod godłem oswobodzenia Słowian, uznanie przez traktat berliński zasady narodowości w krajach bałkańskich; nietylko nie pociągnęły za sobą uszanowania tej zasady w kraju polskim pod panowaniem rosyjskiem, ale nie położyły końca srogiemu jej tam prześladowaniu, z zamiarem tępienia żywiołu polskiego.

Należy rozpoznać powstałe stąd położenie dla polskiego narodu.

Zachowanie się narodu polskiego, wziętego jako całość, od początku do końca wschodnich wypadków, było godnem, wolnem od wszelkiej w jedną lub drugą stronę słabości, co równie ważnem jest, a nierównie u nas rzadszem, było nacechowanem zmysłem politycznym i trzeźwością. Nietylko zasługuje to na uznanie, ale jest pocieszającym postępem do zapisania. Naród polski swem zachowaniem się nie uрониł, zarazem nie przენiewierzył się ważnej dla niego zasadzie narodowości, tak względem siebie samego, jak względem ludów słowiańskich i innych.

Zastanawiając się nad położeniem i postępowaniem społeczeństwa polskiego podczas wschodnich zawiślań widzimy z jednej strony pokusy, na które było wystawione, ujemne objawy chwilowe i bezrozumne usiłowania, ale bezowocne kilku ludzi, wyprowadzenia go z równowagi, coraz rzadsze i odosobnione wysoki dawnych nałogów; z drugiej zaś strony już stałe, roztropne, wytrwałe, prawdziwą, bo mądrą miłością sprawy publicznej i ojczyzny nacechowane, pełne umiarkowania zdobytego i wywalzonego na sobie, zachowanie się całego narodu. Pouczającym to jest i pocieszającym.

Jak zawsze w polityce, tak przy rozpoczęciu zawiślań wschodnich głównem zadaniem było, przede wszystkim oszczędzić sobie strat, następnie odnieść jak najwięcej możliwych korzyści.

Pierwszą część zadania spełnił naród polski; nigdzie nie naraził swoich dóbr, nie uрониł nic z posiadanego w chwili majątku, nie stracił nic, ani duchowo, ani materyalnie, ani ze swej godności, ani ze swojego narodowego bytu, ani z dobrej swej sławy. Wyszedł z wypadków cały, odpoczęty, z poczuciem rozumnie spełnionego obowiązku, gotów do dalszej wytrwałej i sumiennej pracy i walki o swój byt i swoje prawa. To

dawno już, nie zdarzyło się po wielkich, europejskich wstrząśnieniach i przemianach.

Czy zyskał, co zyskał? Mamy przekonanie, że zyskał wszystko, co w danych okolicznościach i z rozporządzalnymi środkami mógł, że nie opuścił jednej sposobności, że nie zaniedbał jednego obowiązku; że był czujnym i roztroptym i że to, co mógł stracić, a nie stracił, zatem zyskał, zawdzięcza swojemu zachowaniu się, a że gdyby był o jeden krok, o jeden włos zboczył z drogi, na której wytrwał, nie tylko, że nie byłby nic więcej zdobył, ale byłby niechybnie naraził się na bezowocne straty.

Naród polski zyskał na dobrej sławie, zyskał tem, iż znacznie zmieniono niepoehlebne przedtem o nim mniemanie, zyskał na szacunku wobec siebie samego i wobec innych, zyskał na doświadczeniu i na ustaleniu zdania swojego o swoich zadaniach; nauczył się przemawiać z miarą i z tej nauki nadal może korzystać; nabytki te są tem korzystniejsze i drogocenniejsze, że zbogacił się nimi tym razem, nie kosztem ofiar, ale jedynie roztroptem zachowaniem się, które nazwać możemy, mądrą polityką. Są to rozumne wkłady, które mają swoją bezwzględną wartość i podnoszą majątek narodowy, które mogą przynieść dochód. Innych większych, znaczniejszych w danej chwili zysków, osiągnąć nie mógł, bo wypadki, aczkolwiek doniosłe, nie przybrały tych rozmiarów, w których jedynie wpłynąćby mogły znacznie na jego położenie. Zamiast wyjść jak dawniej z każdego większego zawikłań europejskich, jako żywioł rozstroju, nieładu, zaburzeń, wojny w końcu, jak niewstydlivy żebrak być odepchniętym lub oszukany przez wszystkich, naród polski, okazał się czynnikiem ładu, porządku i pokoju europejskiego i podobnym do ubogiego człowieka, nieszczęściem dotkniętego, ale w nieszczęściu szlachetną dumą dostojnego nierachującego na niczyją pomoc, chcącego samemu so-

bie dać radę, bo umiającego poprzestać na tem, co mu Opatrzność wyznaczyła. Był to najlepszy sposób nakazania szacunku i postępowanie wróżące i zapewniające pewniejszą niż przedłom, bo na własnej pracy opartą przyszłość.

Przyszłość w tych warunkach winna była się stać ciągłą troską i przedmiotem sumiennego zastanowienia. Sąd o niej zdrowy wydać należy, opierając się na naukach i doświadczeniu, nabytych tym razem tanim kosztem.

Jak zawsze w rzeczach ludzkich, tak tu nie wszystko rozumnem zachowaniem się podczas wypadków spełnionem było; nie wszystkie skopyły ominiętemi zostały. Przedewszystkiem w narodzie jak nasz, skłonny do wpadania w ostateczność, niebezpieczeństwem jest pesymizm, tak jak ongi był nim optymizm, a jak ten ostatni nie był prawie nigdy usprawiedliwionym, tak usprawiedliwionym nie byłby teraz pierwszy. Aby od pesymizmu się uchronić, a mówimy tu o całym narodzie polskim i o syntezie myśli polskiej, dosyć jest dla serc prawych i wzniosłych umysłów, dla wiernych synów Polski i patriotów zauważyć, że jeżeli optymizm najczęściej marnuje i niszczy posiadane i nagromadzone skarby narodowe, pesymizm nic nie jest w stanie wytworzyć i zdolnym jest tylko zjałować ziemię ojczystą, choćby najżyźniejszą. Oddziaływać przeciw pesymizmowi, jest więc pierwszym w ogólnem gospodarstwie polkiem zadaniem i obowiązkiem, już dlatego, że on zwykle pokrywa samolubstwo, że jest wymówką dla obojętności, w następstwie bezczynności, a nam należy być zawsze czynnymi, bardziej czynnymi, niż kiedykolwiek, gdy nowy nas dotknie zawód, ale rozumnie czynnymi.

Losy narodu polskiego, jego pomyślność, pomimo wielkich klęsk i wyjątkowo twardych okoliczności, pozostały jeszcze w jego rękach, byle jasno, trzeźwo, z męskim hartem umiał zapatrywać się na istotne swoje po-

łożenie, byle wiedział i pamiętał, że polityka nie jest sztuką linoskoczą, w której skokami dobiega się do celu, lecz, że jest twardą, wytrwałą, umiejętną pracą w kopalniach, w których trzeba umieć przechodzić z jednego szybu do drugiego i dlatego to, kto w polityce chce skokami na linie popisywać się i zachwycać, ten w końcu kark łamie, kiedy przeciwnie górnik dochodzi do wydobycia bogactw. Trzeba wreszcie powiedzieć sobie, że ani przyjemnem, ani dobrem, ani bezpiecznem jest położenie narodu, pozbawionego bytu państwowego, lecz najgorszem i najniebezpieczniejszem jest, nie potrafić się do niego zastosować.

Wschodnie zawikłania i traktat berliński, pozornie w niczem nie zmieniły położenia narodu polskiego, rzeczywiście jednak przysporzyły mu nietylko nauki, ale i nowych życia żywiołów. Z pierwszej skorzystać, z drugimi liczyć się powinien.

Przekonał się naród polski wśród doniosłych wypadków europejskich, że wszystkich możliwych pośrednio najbliższej dotykających go, że sprawa polska nie będąc już międzynarodową, nie przestała być europejską w tem znaczeniu, że położenie, usposobienie, losy narodu polskiego, oraz jego części, wpływają wciąż na stosunki tej części świata, że narodowy byt Polaków jest rzeczą ładu, porządku, sprawiedliwości, pokoju i prawa. Z drugiej strony te wypadki dowiodły, że ogólny stan i stanowisko narodu polskiego, nie przestawszy być w powyższem znaczeniu europejskiemi, stały się sprawami wewnętrznymi, których losy rozegranymi być winny, między nim a bezpośrednio stykającymi się z nim czynnikami i stosunkami, że byt jego i przyszłość nie za pomocą zewnętrznych wpływów rozstrzygniętymi być mogą, ale wewnętrznych, a dopiero w skutku wewnętrznych przeobrażeń, oddziałać mogą na zewnątrz. Pokazało się jednocześnie, że naród nasz w obecnym stanie, nie może stanowczo wpłynąć na geograficzno-gra-

niczny stosunek ziem polskich, zarazem, że dotknięcie się tego stosunku w ten, lub ów sposób, jest rzeczą tak dalece trudną i niebezpieczną — może i dla niego — że przed nią cofają się najbardziej interesowani, nawet kiedy przez tę wstrzemięźliwość narażają się na szkody i niebezpieczeństwa. Do pewników polityki przypuszczalnej należało, że wtedy nadejdzie chwila rozwiązania sprawy polskiej, gdy poruszonem zostanie zadanie wschodnie; załatwionem ono zostało w znacznej mierze a nie wybiła godzina dla Polski. Słowem, okazała się cała trudność poruszenia zadania granic na gruncie polskim. Stąd prosty na najbliższą przyszłość wniosek, że naród polski powinien w pierwszym rządzie stawiać sprawę bytu narodowego, bez względu na granice geograficzne i państwowe podziały, że winno to być głównem jego zadaniem i to w ten sposób, aby zmiany te, gdyby nastąpiły, w niczem nie dotknęły i nie zmieniły głównego jego zadania. Nie należy zatem narodowi polskiemu liczyć na wypadki i zawikłania mające zmienić granice geograficzne, ale raczej niech postępuje tak, aby, gdyby nastąpiły, możliwe przyniosły mu korzyści, najmniejsze straty. Naród cały nie może żyć w ciągłym oczekiwaniu a najgorzej byłoby, gdyby żył w urojonem. Jednym z wielkich błędów jest prowadzić politykę bezpieczeństwa, gdy się jest państwem, państwową gdy się niem nie jest.

Ta prawda upraszcza zadanie i usunąć może jedną z najrzeczywistszych przeszkód w rozwoju narodowym. Jeżeli bowiem naród polski postawi narodowy byt poza sprawą granic, tem samem wzniesie się ponad nienawistną państwową politykę, a narodowy byt tej lub owej części Polski, nie będzie się przedstawiać jako groźny lub wrogi dla żadnego z osobna mocarstwa ani społeczeństwa, przeciwnie będzie tem, czem być powinien, rekojmią ładu, dobrobytu i wzajemnych stosunków opartych na słuszności, sprawiedliwości i równowadze. Jednocześnie zadania polskie i sprawy polskie przestaną

być igraszką lub stawką między trzema sąsiednimi mocarstwami, przestaną być kolejno środkiem w rękach każdego z nich, zatem ofiarą pomiędzy nimi, a stać się mogą z czasem dla każdego same przez się celem. Nie zażegna to wrogich działań, ale wytworzyć może przyjazne żywioły i kiedyś korzystniejsze warunki.

Tak się przedstawia w głównych zarysach położenie narodu polskiego, tak, nie przypuszczalna ale istotna polityka, którą wypadło mu się rządzić.

Przedstawia ona niebezpieczeństwa i strony ujemne, a jak każda znaczniejsza w życiu, choćby tylko duchowem, przemiana jest najeżoną nietylko trudnościami, ale także skopułami. Polityka ta prowadzi nie tylko do rozdziału, ale do rozgraniczenia pracy i usiłowań, do odosobnienia wśród pracy i usiłowań; dotknąć by zatem mogła boleśnie i szkodliwie syntezy myśli polskiej i jedności polskiej. Na to złe znowu w nas samych tylko lekarstwo. Jedność musimy utrzymać i zachować nietylko dlatego, że to największa nasza siła, ale, że to dzieło boskie, że to prawda, przeciw której niema rozumowania, ani z którą niema układów. Tego nikt, nawet rządy trzech rozbiorowych mocarstw zaprzeczyć, ani zniweczyć nie mogą i z tą prawdą nadludzką, mniej lub więcej zawsze liczyć się muszą. Narodowi polskiemu jednak iść musi o to przedewszystkiem, aby tę jedność w danych okolicznościach uczynić rzeczywistą i owocodajną, nikomu nie wrogą, sobie użyteczną; iść mu musi o to, aby poza polityczną jednością geograficznych granic, która nie istnieje, umieć jedność istotnie i należycie zachować i przechować nie w nadziejach lub złudzeniach przyszłości, ale w terażniejszości na gruncie codziennego życia. Bardzo by złym objawem było, gdyby w skutku zmieniających się kształtów i okoliczności, zagubić miał swój wspólny powód bytu. — Byłby to dowód ostygnięcia patryotyzmu. Poza życiem dośrodkowem, prócz ważnych zadań, które ka-

żda część narodu polskiego, ma do spełnienia o własnych siłach i na własną odpowiedzialność, są odśrodkowe, w których streszczać i skupiać się powinna, jego jedność. O tę jedność dbać musi koniecznie i pielęgnować ją tak, aby ona szczegółom, szczegóły jej nie szkodziły, aby ona dopomagała szczegółom do kształcenia się a szczegóły oddziaływały na nią orzeźwiająco i zbawczo. Pierwszym do tego warunkiem jest działanie jawne, prawnymi tylko środkami, nikomu nie wrogie, ani nienawistne, na rzecz jedności myśli polskiej i całości zadania polskiego. Wiele w danych nawet warunkach, jest środków po temu, byle tylko chcieć i umieć ich użyć.

Ślusznie powiedziano: „w uszanowaniu praw każdego i wszystkich, znajdziemy uznanie własnych“ a w tych słowach mieściło się wysokie pojęcie wolności religijnej, przy której stać zawsze winien naród polski. Jednak niesłychana większość jego jest katolicka i to z krwi i kości, równie jak z ducha. To też pierwszym najskuteczniejszym, prawnym wyrazem jedności dla narodu polskiego jest i pozostanie religia katolicka, a jedności jego w niej symbolem i streszczeniem jest i pozostanie Stolica Piotrowa, u stóp której winien składać tej jedności dowody.

Jedność polska winna znaleźć wyraz w tych samych — z małemi różnicami — zasadach społecznych na całym obszarze ziem polskich i wszędzie, gdzie się Polacy znajdują. Jedność znaleźć winna wyraz w przechowaniu obyczaju polskiego, stosując go do pochodzenia świata. Jedność winna znaleźć wyraz co do politycznego działania w dwóch prawidłach: w jawności i prawności. Jedność winna znaleźć wyraz w języku i trosce o niego, zatem w literaturze, piśmiennictwie, dziennikarstwie; w umiejętności polskiej, w sztuce polskiej. Jedność objawiać się winna w ciągłym zajęciu, w ciągłej ciekawości, w ciągłych wiadomościach o tem, co się we wszystkich

częściach Polski dzieje, a tu obowiązek i odpowiedzialność, spadają na dziennikarstwo. Jedności dźwignią i podporą winny być małżeństwa międzypolskie, to jest związki między osobami i rodami wszystkich części Polski; co także zapobieże wyrażaniu się zwłaszcza szlachty. Jedność nareszcie może i powinna się skupiać głównie w zachowaniu wszędzie z osobna, na rzecz ogółu, godności narodowej i samodzielności narodowej. Niech tylko społeczeństwo potrafi nadać w tych kierunkach czynnościom swoim ducha i znamion jedności, a wystarczy pracy dla pokolenia, aby tę jedność przechować nie w mgłę wrzekomych nadziei, ale w rzeczywistości, i ustalić jej byt na silnym i wspaniałym granicie prawdy.

Przyznać jednak musimy niestety, że nie zawsze i nie wszędzie daje społeczność, nawet w granicach możliwości, dostateczny wyraz jedności we wszystkich kierunkach życia, a że najgłówniej grzeszyły pod tym względem Galicya i Kraków. W chwili ważnej ostatniego, jak dotąd, przełomu dziejowego, odezwać się winien był silniej patriotyzm rzeczywisty, aby wzmacniając w sobie poczucie jedności, nową nadać mu moc. W tym celu należało zwalczać w sobie i pokonywać przedewszystkiem wady i nałogi, które poczuciu jedności szkodę i ujmę przynieść mogą. Wielkiego umysłu pani, co niemal ostatnie chwile Rzeczypospolitej zapamiętała, z Potockich Caboga, mówiła: „Obcy nas rozdzielili na trzy części, ja się obawiam, że sami rozdzielimy się w nieskończoność na tyle części, ile jest ognisk życia u nas“. I tu jest rzeczywiste, istotne niebezpieczeństwo a temu właśnie zaradzić mogą, główne ogniska życia polskiego: Warszawa, Lwów, Kraków, Poznań, w nich zaś obecnie piśmiennictwo, dziennikarstwo i ludzie dobrej woli. Szlachetne współzawodnictwo może istnieć, ale współzawodnictwo w pracy i usiłowaniach na rzecz jedności my-

śli polskiej. Wojny zaś i samolubstwa ustać powinny koniecznie; a w nieuniknionych starciach codziennego życia, gdyby miały wyrodzić ostrzejszą walkę Warszawy — pomimo trudnych warunków, w których się znajduje — byłoby zadaniem, zachować swoim wpływem między głównymi ogniskami życia polskiego, zgododźwięk karcąc zazdrość i zaściankowe zatargi za pomocą dziennikarstwa i ludzi dobrej woli. Dotkniemy drażliwej zawsze ale niezbędnej sprawy pieniężnej. Zadania życia polskiego rozdzielają się na wszystkie dziedziny i w każdej winny one posługiwać się prawnymi tylko środkami i dozwolonemi zasobami. Są jednak w życiu polskiem rzeczy dotyczące ogólnej myśli polskiej, jedności polskiej, nie objęte żadnym, ani miejscowemi budżetami; na to musi być osobny zasób. Potrzebny on nietylko dla wspierania religij, języka, tradycyi, literatury, umiejętności, sztuk pięknych, ale także w tysiącu wypadkach, dla poparcia, częściej dla ochrony majątku narodowego. Tajny skarb i ściąganie podatku w imieniu Polski, same wydały na siebie wyrok ostateczny a potępiający. Są to zużyte szkodliwe sposobiki, które stały się śmiesznościami. Nasz budżet na sprawy ogólne, jak wszystko w naszej Rzeczypospolitej bezpaństwowej, winien być jawnym i prawnym, nie uchwalonym, ani ściągany, nieokreślonym, winien powstać z podatku nie nałożonego przez nikogo i na nikogo, nie rozpisanego ani ściągniętego, jednak musi się równoważyć, za pomocą osobistej, patriotycznej ofiarności.

Spółeczność polska niech w codziennem życiu będzie oszczędna, ale niech nie skąpi nigdy na rzeczywiste potrzeby swej jedności, niech oszczędza na to, aby móżdż na ten cel łożyć, bo jeżeli chce we wszystkich kierunkach popychać naprzód swe sprawy, w dzisiejszych szczególniejszych czasach, musi mieć do rozporządzenia i umieć rozporządzać pieniędzmi. Naród, który najlepiej zna cenę pieniędzy, żydowski, nigdy nie skąpi ich na ogólne cele

swoje, bo wie, że to wkład, który się oplaci; tak postępowały inne narody, pozbawione bytu państwowego, które umiały chodzić około swoich spraw, i umiały bronić swoich praw. W tej ofiarności narodowej pierwsze, bo najzaszczytniejsze miejsca zajmować winny historyczne rody; nie pozwolą one, aby ktokolwiek je wyprzedził; następnie zamożni synowie i mieszkańcy ziem polskich, nareszcie wszyscy wedle możliwości. Byłoby zgubną pomyłką i grzechem mniemać, że dlatego, iż nie należy nam ani spiskować ani urządzać powstań, ustał obowiązek poświęcania mienia i osoby dla sprawy narodowej.

Jedności polskiej i polskim zadaniom przyjść mogą wszyscy skutecznie w pomoc, bacząc aby jedna część nie przeszkadzała pracy i rozwojowi drugiej, czy to przez samolubstwo, czy lekkomyślność, aby jedna nie szkodziła drugiej, choćby tylko zbyt gorącą a nierozważną miłością. Jedność polska istnieć może tylko przez pracę rozumną i płodną poszczególnych części; w pracy zaś tej, każdej części należy i trzeba zostawić wolność, samorząd i odpowiedzialność; tym tylko sposobem można zapewnić, ustalić i zużytkować dla dobra narodu polskiego, jedność polską i nikt nie będzie miał prawa mówić o zatraceniu wspólnego bytu, o rozdarciu całości polskiej. Odnośnie do ogólnej myśli polskiej, ostatni przełom dziejowy i polityczny, o którym mowa, wytworzył jeszcze tę konieczność i obowiązek, że wszyscy i każdy z osobna winni zwrócić, więcej niż kiedykolwiek, baczną uwagę na świat słowiański, starać się zbliżyć do tych jego czynników, które tak jak polski chcą zachować godność narodową i zapewnić sobie samodzielność. Uznanie praw narodowych innych, mianowicie ludów słowiańskich, ze stanowiska polskiego, uważaniem być musi jako dobro, które zawikłania wschodnie 1875—1878 r. przyniosły.

Aby jednak wszelkie usiłowania na rzecz jedności i całości polskiej były płodnymi i zbawczymi, należy się zwrócić przede wszystkim i głównie do poszczególnej pracy każdej dzielnicy i do poszczególnych tych dzielnic stanowisk, jedna i drugie składać się bowiem muszą na jedność i zasilać ją sokami żywotnymi. Stąd oddać się trzeba poszczególnym zadaniom. W nich postawić znowu trzeba zasady, które są następstwem i są w ścisłym związku z temi, na których oparliśmy działanie na rzecz jedności. Każda część z osobna winna strzedz swej godności narodowej i samodzielności. Wszystko, co w danych warunkach dopomaga do zachowania i wykształcenia samodzielności, winno być wszędzie i nieodmiennie przez Polaków popierane. Waleczyć zaś oni powinni ze wszystkim, co jej szkodę i ujmę przynieść może. Stąd konieczność dla nich, stawania zawsze i wszędzie po stronie zasady prawnej, bo ona najskuteczniej ochrania godność i najlepiej zabezpiecza samodzielność; stąd ustawy, będące następstwem ugody, o ile szanują wszelkie słuszne prawa, muszą mieć w nas zwolenników i popleczników. Urządzenia, na prawnej oparte podstawie, są dla Polaków zbawczymi. A że prawne stanowiska mają duchową wspólność, winni oni przemawiać zawsze i wszędzie za słusznymi prawami innych, teraz głównie za ustaleniem i rozwojem bytu, za zabezpieczeniem samodzielności pokrewnych ludów słowiańskich; stąd wysnuć należy naszą słowiańską politykę, jako przeciwstawienie bezprawnej. W pracach i walkach polskich w poszczególnych dzielnicach, społeczeństwo polskie powinno być czynnikiem ładu i porządku, właśnie dlatego, że jest żywiołem prawa; stąd walka nie może być skierowaną przeciw zasadzie władzy, ale przeciw systematom nam zgubnym, prawności przeciwnym. Chcąc skutecznie w położeniu swoim pracować i zdobywać, naród polski musi przyjąć rzeczy dokonane, a zwalczać wywrotowe,

jemu szkodliwe sposoby. W każdej zatem części, prawna, jawna praca i prawna, jawna walka, o samodzielność narodową, o słuszość i sprawiedliwość, są wskazane. Niezbędnem jest wytworzenie wewnętrznych warunków bytu, śledzenie i umiejętne korzystanie z wewnętrznego rozwoju stosunków, zaslanianie się przed ciosami, samopomoc i dążenie przez nią do samodzielności prawnej, używanie i rozwijanie tej ostatniej tam, gdzie się ją ma.

Pod tym względem ta część Polski, która do Austrii należy nie przestała posiadać najkorzystniejszych, najrzeczywistszych warunków, co więcej, stan Galicyi i jej stosunek do monarchii, pozostały rękojmnią dla ogólnej myśli polskiej. Pielęgnować zatem trzeba ten stan rzeczy wytrwale, sumiennie, także troskliwie stosunek tego kraju do dynastji, pod opieką której danem jest rozwijać się jako część i pracować dla całości. Austriya przeszła była przez ważne i doniosłe dla niej wypadki podczas wielkich zawiłkań wschodnich 1875—1878; wśród najkorzystniejszych dla niej warunków do zaczepnego działania, okazało się, że przemogła jej istota bierna. Nie trzeba zamykać oczów na tę prawdę, bo dla Polaków szczególnie mogłoby się to stać zgubnem; ale to w niczem nie osłabia związku galicyjskich Polaków z Austryą, ich z nią spójni. Przeciwnie związki i obopólne rękojmie, tem stały się silniejszymi, trwalszemi i płodniejszymi, że oparły się na prawdzie, nie na złudzeniach i marzeniach. Polskim zadaniom potrzebną jest i bierna Austriya i takiej także muszą dać wszelką pomoc. Polacy w Austrii mają rzeczywiście zadawalniające życie narodowe, na kształceniu i rozwijaniu którego, musi im wiele zależeć i zależy. Niech przedstawiają w Austrii prawa i samodzielność ludów i niech walczą o nie dla siebie, dla innych, głównie dla Słowian. Niech pozostaną jak dotąd wiernemi tronowi i jego

podporą, i właśnie dlatego niech opierają się błędnym systematom. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zajść może odnośnie do ogólnej myśli polskiej, lub w poszczególnych częściach, Austria a w niej Galicya w dobrym z monarchią stosunku, potrzebne zawsze będą w całości gospodarstwa polskiego, jako ostateczne schronienie, spichlerz wśród głodu, jako rękojmia częściowego bytu narodowego, a tej nikt nie jest w stanie dać lepszej niż Austria, bo nie mówiąc już o tradycyi dynastyi stwarza ją jej rdzenna istota, jej skład i jej położenie. Tych warunków nic i nikt nie zastąpi. Stosunek Galicyi do Austrii wolny jest od wewnętrznych niespodzianek i ukrytych myśli. Traktatem berlińskim zakończone wypadki utrwały ten stosunek, bo go oparły bez dalekich złudzeń na podstawie prawdy.

Po dziejowym okresie wojny wschodniej przypa-
dło wszystkim Polakom, jednym w lepszych, drugim w gorszych warunkach, zadanie podjęcia pracy i zapasów, jakieśmy je powyżej określili, śledzenia uważnie, jak na wykształconych ludzi przystoi, ogólnego biegu wypadków; pozostania Europejczykami, ale zwrócenia się przedewszystkiem do rzeczy, dotyczących możliwej, rzeczywistej jedności polskiej, następnie do poszczególnych obowiązków.

Co się tyczy Galicyi, wciąż w najkorzystniejszych postawionej warunkach, powinna ona dla spełnienia tego zadania podwójnego, a jednego, nie spuszczać z uwagi ruchu świata, starając się utrzymać spójnię narodową, za pomocą bacznego śledzenia i zajmowania się wszystkim, co się w ziemiach polskich dzieje, lecz pozostawiając każdej części autonomię postępowania; zajmować się, głównie i przeważnie własnymi zadaniami, oraz austrijackimi sprawami w tem przekonaniu, że tem najlepiej i najskuteczniej służyć dziś będzie także jedności i ogólnej myśli polskiej.

W pierwszym rządzie niech załatwia w sejmie liczne zadania wewnętrzne kraju, spóźnione lub leżące odłogiem, albo też rozpoczęte lecz nie załatwione.

Polacy na całym obszarze ziem polskich i gdziekolwiek się znajdują, winni niezmiennie spełniać obowiązki narodowy pod godłem — każdy u siebie, ale każdy dla wszystkich.



Przemówienie na ucztie dziennikarzy podczas jubileuszu I. J. Kraszewskiego

w Krakowie,

dnia 5 października 1879 roku, w gospodzie „Victoria“.



Jako redaktorowi jedynego pisma codziennego, wychodzącego w miejscu, w którym odbywają się uroczystości dzisiejsze, niech mi wolno będzie dodać jedno słowo. Jako redaktor dziennika nie tylko miałem sposobność, ale musiałem wypowiedzieć moje zdanie o obecnych uroczystościach i ich znaczeniu; znane ono więc wam jest panowie, a wypowiedziałem je z tą szczerością o której przed chwilą wspominał mój przyjaciel Szujski; szczerość bowiem jest znamięm ludzi, z którymi łączą mnie ściśle stosunki i tożsamość przekonań, a to do tego stopnia, że może czasem posuwamy ją za daleko. Powiedziałem zatem, jak się zapatrujemy i w jakim duchu wraz z dziennikiem, do którego mam zaszczyt należeć, bierzemy udział w uroczystościach. Oceniając dobrą i dodatnią stronę uznania i holdu, oddanego talentowi, pracy, a zwłaszcza u nas w Polsce wytrwałości, widzimy w obchodzie terażniejszym wyraz zawsze drogocenny, a zupełnie uprawniony jedności naszej duchowej i narodowej. Góruje to nad wszystkim i jestem przekonany, że czcigodny Jubilat dzieli to prze-

konanie; a z jakąż radością słyszałem jak świetnie pod tym względem, w mowie powiedzianej onegdaj w Su-kiennicach, rozwinął te same myśli, zdania i przekonania, do których odwołał się dziennik, w którym pracuję.

Ale Panowie, wyraz jedność, mógłby się stać i pozostać frazesem, jak tyle innych; a jeżeli ktoś powiedział, że frazes zgubił Francję, to niezawodnie dodać można, że frazesem, polska społeczność, żyć nie może. Wyrazowi trzeba zatem, aby towarzyszyły treść i szereg dodatnich, użytecznych czynności. I dlatego chciałbym zwrócić kierunek myśli naszych i pojęcie jedności naszej, na tory rzeczywiste. W tej mierze odzywam się do zebranych tu dziennikarzy polskich w przekonaniu, że w dzisiejszych okolicznościach i warunkach oni najskuteczniej działać mogą na rzecz jedności. A nie mówię tu o oklepanej i nie do osiągnięcia jedności zdań lub nawet przekonań, ale niech starają się o jedność istotną i istotnie użyteczną, za pomocą dokładnego, sumiennego i pilnego zapoznawania jednej części ziemi polskiej ze stosunkami, pracami, ludźmi, nawet stronictwami drugiej i wzajemnie; będzie to prawdziwie użyteczne działanie. Rzecz ta ważniejsza, niżby komu może się zdawało, możliwą jest i będzie to rzetelnym skutkiem naszych dzisiejszych uroczystości.

Zaniedbanie zapoznawania nas wzajemnie z naszym życiem, lub mylne przedstawienie rzeczy są najniebezpieczniejszemi dla naszej jedności. A jednak wiele pod temi względami pozostaje do życzenia. Są jednak wyjątki i mam sobie za obowiązek oświadczyć, że co się tyczy przynajmniej Galicyi i położenia w tym kraju, *Dziennik Poznański*, z którym zresztą dzielą mnie i dziennik do którego należę, bardzo wielkie i ważne różnice, nietylko okazał w tych czasach dokładną znajomość tutejszych stosunków, ale sumiennie ocenił je i złożył dowód zdrowego poczucia narodowego. Tym

sposobem dzielnie pomógł do zwycięstwa sprawy ¹⁾, którą większość kraju uznała za dobrą. Niech mi wolno będzie złożyć za to obecnemu tu jego przedstawicielowi ²⁾ serdeczne uznanie.

Dołóżmy wszyscy wzajemnie starań w tym tak ważnym kierunku, usiłujmy uczciwie, dokładnie i sumiennie, nieustannie zaznajamiać się z biegiem rzeczy w krajach polskich. Szukajmy wzajemnie dobrych i o dobro sprawy dbałych sprawozdawców; jeżeli tego potrzeba, posyłajmy z jednej części kraju dziennikarzy do drugiej, aby się zaznajamiali ze stosunkami, często zbyt mało znanymi. Oto właśnie teraz odstąpiliśmy nie bez uszczerbku dla *Czasu*, młodego, zdolnego, mającego przyszłość, dziennikarza Antoniego Zaleskiego Warszawa i *Słowo*. Nie zaniedbujmy nic w tej mierze, róbmy co się tylko da, a spełnimy w granicach nam nakreślonych nasz obowiązek względem jedności naszej. Wnoszę zatem kielich na połączenie i jedność dziennikarstwa polskiego, nie połączenie i jedność bezwzględną i bezwarunkową, które byłyby bez treści i znaczenia, ale na połączenie i jedność w celu dobrego i sumiennego zaznajomiania się wzajemnego ze sobą, ze stosunkami i pracami, a na chwałę, zaszczyt i pożytek społeczeństwa polskiego.

¹⁾ Szło wtedy o zachowanie solidarności *Koła Polskiego* w Wiedniu, którą próbowano zerwać.

²⁾ Dobrowolski.



Wstępne słowo w „Czasie“

z powodu przybycia do Krakowa i Galicyi 1^{go} września
1880 roku Cesarza Franciszka Józefa I.



Jutro o rannej godzinie stanie na naszej ziemi Monarcha, którego przybycia przez lata z upragnieniem oczekiwał kraj nasz, aby mu wdzięczny hołd złożyć i uczcić w nim najdroższe dobra ludzkie, których on był dla nas szczodrym i mądrym szafarzem.

Uroczysta zaiste będzie chwila, w której po ćwierci wieku Monarcha Austrii zetknie się bezpośrednio ze swoimi polskimi poddanymi. W tym przeciągu czasu zaszły w zobopólnych stosunkach tak ważne zmiany, że stanowią epokę, którą dopełnia przyjazd do nas Franciszka Józefa a w każdej chwili tego cesarskiego pobytu czuć się da tych zmian dziejowe znaczenie.

Po ćwierci wieku przybywa nasz Cesarz i Król w czasach zwykłych, bez innego celu, jak odwiedzenia nieoglądanego od dawna kraju koronnego i odbycia przeglądu stojących w nim wojsk; bez innej myśli lub troski, jak tylko chęci obdzielenia, stosownie do wzniesłego programu, w równej mierze, łaską monarszą, wszystkich krajów koronnych, aby żadnemu nie uczynić uszczerbku; a jednak ta podróż nabiera wyjątkowego znaczenia i rozgłosu, zwraca na siebie uwagę

ogólną, ogólne budzi zajęcie, bo ma ona swoje właściwe znamię, którego nic nie zdoła z niej zetrzeć, ma swoją aureolę, której nic zaćmić nie potrafi, ma swoją wspaniałość duchową, której nikt nie zaprzeczy. Będzie ona tryumfalnym pochodem; będzie tryumfem niezwykłym i jedynym w swoim rodzaju, bo ani obchodem krwawych zwycięstw lub nowych nabytków, ani pochodem do bohaterskich i rycerskich przedsięwzięć, ale uroczystością poważną i spokojną, naznaczającą płodne w następstwa odrodzenie społeczeństwa, oraz doniosłego znaczenia przeistoczenie stosunku wielkiego kraju i zamieszkującego go narodu do pełnej chwały dynastji i rozległej monarchji. Kto temu dziełu przewodniczył, kto tego dzieła przeważnie jest twórcą, tego pochód przez kraj, w którym tak ważnych dokonał przeobrażeń, będzie sam przez się pochodem tryumfalnym, ale nie zwyczajnym, lecz pełnym uroku i poezji, niczem i w niczem nie sztucznym i opartym o najistotniejszą rzeczywistość, bo ten dopiero zdobył co było zajętem, ten połączył co było przyłączonem. Tryumf to nie podobny ani do rzymskich tryumfów, ani do żadnych innych obchodów po zwycięskich walkach, już dlatego, że święcić będzie zwycięstwo, w którym niema ani zwycięzców ani zwyciężonych, ale jest tylko jedynie błogi i błogosławiony skutek zwycięstwa, najściślejsze duchowe zespolenie, odpowiednie pięknym tradycjom polskim i wielkim tradycjom starożytnego domu Habsburgów; zwycięstwo bez zwycięzców i zwyciężonych, bo odniesionem zostało bez krwawych walk, nawet bez zaciętych sporów, za pomocą wspólności duchowej, religijnej i cywilizacyjnej, zobopólnego zrozumienia potrzeb i celów, wzajemnej wyrozumiałości i względności, ciągłego i wytrwałego w jednym kierunku działania, zmierzającego z jednej i drugiej strony do tego w wyższym znaczeniu zwycięstwa pocieszającego i płodnego, którego poważnym i wspaniałym obchodem, w okresie

krwawych zapasów i zabójczych pogromów, stanie się podróż Cesarza Austrii do jego koronnego kraju Galicyi. Największym tego obchodu urokiem będzie prawda, ta zarazem najtrwalsza podstawa stosunków ludzkich; ona wykluczy z przyjęcia pochlebstwo, przesadę, serwilizm, a zastąpi je istotną lojalnością; ona sama bez pomocy jakichkolwiek złudzeń zapewni obchodowi świetność, bo złudzenia są zbytecznymi tam, gdzie rzeczywistość tak wymownie przemawia. Podstawą jedyną przyjęcia, które kraj gotuje Monarsze, będzie prawda, dlatego, że dzieło, którego spełnienie święcimy, dokonane zostało sprawiedliwością. Nią się powodował Monarcha względem naszego kraju, ona była dla niego igłą magnesową, on też był sternikiem, który wspólnymi usiłowaniami kierował. Spieszno krajowi wyrazić Mu głęboką wdzięczność nietylko za mądre, ale także pełne miłości prowadzenie dzieła, oraz uwielbienie za szczęśliwe, pełne chwały jego dokonanie. Największe prawdy, choćby tkwiły w sumieniach, sercach i umysłach, muszą, aby stać się płodnymi, znaleźć tego, któryby je uosobił i urzeczywistnił. Stosunek dzisiejszy kraju naszego i zamieszkującego go narodu do monarchii Habsburgów, jest dziełem Cesarza Franciszka Józefa I.

Dzieło spełnione zostało uznaniem, przyznaniem i zapewnieniem przyrodzonych praw narodu polskiego, pozostającego pod berłem rakuskiem. Opiera się ono o silne poczucie praw narodowych kraju i również silne dynastyczne uczucia, o przywiązanie i wierność dla panującego domu; jedno i drugie połączą się zgododźwięcznie w przyjęciu i na każdym kroku głośny im dany będzie wyraz. Dokonanie dzieła nie było łatwym i spełnionem zostało stopniowo, mozolnie, roztropnie, dobrą wolą — słowem, jest owocem duchowego poczucia i politycznej pracy, i właśnie dlatego daje rękojmię trwałości, bo to się nie zrobiło ale wyrobiło; dlatego też gło-

śny wyraz uczuć kraju nacechowanym będzie wiara w przyszłość, ale i czerstwością oraz męską trzeźwością. Nie wykluczą one niczem nie dającej się powstrzymać serdeczności, która będzie kwiatem przyjęcia, a której przyczyny tkwią głęboko w sercach naszych. Nic bowiem bardziej nie obowiązuje, i nie przywiązuje jak okazanie zaufania. Monarcha, którego przyjmować będziemy, pierwszy zaufał zupełnie i istotnie swoim polskim poddanym, zaufał nie tylko ich szlachetności, nie tylko ich wierności, ale także roztropności, rozsądkowi, poświęceniu; nie tylko przyznał im przyrodzone prawa, ale powołuje ich do swojego boku, aby współdziałali w wielkich zadaniach państwowych. I nie zawiódł się. Na zaufanie monarsze odpowiedzieli oni oddaniem się zupełnem na rzecz potęgi i wielkości Austrii. Nie zawiódł się. Nieraz bowiem złożyli oni dowody troskliwej roztropności, oględności i umiarkowania, i nadal pod wszystkimi tymi względami nie zawiedzie się na nich, czego Mu nowe złożą dowody, podczas Jego między nami bytności. Monarcha ułatwiał nam zawsze zadanie, bo pozwalał w dobitny i świetny sposób odpowiadać położonemu w nas zaufaniu, bez przeniewierzenia się przyrodzonym prawom i wrodzonym uczuciom, a godząc je z dobrem monarchii. Tym sposobem umozębnił nam nie tylko ściślejsze, ale i przyjazne związki z innymi ludami rodziny rakuskiej, a zwłaszcza pozwolił nam wyzuć się z zadawnionej goryczy do wielkiego odłamu wielkiego narodu niemieckiego w Austrii i zastąpić ją jednym tylko życzeniem, aby i on także pozbył się względem nas uprzedzeń.

Dzieło się powiodło, bo mu przewodniczyła nie tylko sprawiedliwość, ale i szczerść.

Monarcha jednak współdziałając w niem tak przeważnie, nie mógł powodować się jedynie szlachetnością, wspaniałomyślnością, uczuciem lub osobistą skłonnością; mógł On tylko działać w głębokiem przeswiadczeniu

swoich obowiązków względem całego państwa, w poczuciu i przekonaniu interesu austriackiego. Tak jest niewątpliwie; to też dokonane dzieło przedstawia i wyraża ten wielki interes, w imieniu którego my od dawnych lat przemawiamy. Podczas pobytu Najjaśniejszego Pana na naszej ziemi przytomnym on będzie wszystkim; nikt nie narazi, ale nikt nie przeniewierzy się temu interesowi, który jest podstawą szczęśliwej teraźniejszości, zadatkiem przyszłości. A tak Monarcha, przybywając do naszego kraju, spotka się z błogimi skutkami swoich szlachetnych usiłowań i mądrych rządów. Znajdzie w każdym sercu i w każdym umyśle gorące życzenie i troskę o dobro całej monarchii, życzenie, aby i ta podróż cesarska obróciła się jedynie na korzyść złączonej pod jego berłem rodziny rakuskiej, świadcząc ponownie a świetnie, że myśl austriacka głębokie tu zapaściła korzenie i dopomagając jej do coraz piękniejszego rozkwitu. Znajdzie rzecz najdrogocenniejszą dla serca panującego, rany społeczne zagojone, inne różnice zlagodzone, a kiedy ongi w wewnętrznych rosterkach, dziś w jednomyślnem uczuciu dynastycznym ujrzy niezachwianą podstawę panowania swojego domu w tym kraju i związku jego z monarchią. Ujrzy On całe społeczeństwo od dołu do góry, gotowe zawsze i wszędzie stwierdzić to, co tylokrotnie wypowiedzieli od lat piętnastu jego wolno wybrani przedstawiciele, troskę o świetność i przyszłość domu panującego, gotowość do wszelkich ofiar dla bezpieczeństwa i potęgi państwa; i znajdzie kraj, w którym wszystkie stany, wszystkie warstwy rade będą skupić się w każdej potrzebie monarchii, jak jeden mąż około swojego Monarchy, aby przypieczętować przekonania i uczucia, których wyrazem będzie przyjęcie Najjaśniejszego Pana, nietylko słowem, ale czynem, pod godłem, które wywieszone przed laty, nie przestało i nie przestanie nigdy być hasłem naszym: „Przy Tobie Najj. Panie stoimy i stać chcemy!“

Usłyszy Monarcha te prawdy w okrzyku, który rozlegnie się na jego drodze od jednych krańców kraju naszego do drugich: „Niech żyje Cesarz Franciszek Józef!“ nie w tym bezmyślnym lub nakazanym okrzyku, który zbyt często obija się o uszy panujących, ale w okrzyku narodu, świadomego swoich praw i obowiązków, swoich przekonań i uczuć, swojego do nich przywiązania a lojalności i wierności do ich monarszego przedstawiciela, w okrzyku „Niech żyje!“ który dalekiem odbije się echem w milionach serc!

JÓZEF SZUJSKI.



Kiedy w 1866 r. rozpoczynało się wydawnictwo *Przeglądu Polskiego*, trzy drogi stały otworem dla Polaków: zwątpienie, dawny porozbiorowy kierunek, wybór nowego.

Że założyciele *Przeglądu Polskiego* Stanisław Tarnowski, Józef Szujski, Stanisław Koźmian, Ludwik Wodzicki nie zwątpili o sprawie narodowej, tego dowodem, iż go stworzyli.

Najłatwiejszem, najwygodniejszym, umysłowo najmniej wymagającym wysilenia, było dalsze kroczenie po dawnej porozbiorowej drodze do promiennego celu przez wyidealizowane zawody, ubóstwiane błędy i kanonizowane klęski. Nie pociągało to za sobą żadnej na razie osobistej ofiary, walki, trudu, ani narażało na szkodę, krom sumienia.

Najszlachetniejszym i najwyższem znamieniem człowieczeństwa jest niezawodnie szukanie i zdobywanie w każdej dziedzinie — prawdy. Szukanie prawdy w osobistym życiu człowieka jest obowiązkiem, a chociażby ono było samolubstwem, to jeszcze pozostałoby najszczytniejszem. Zaniebdanie jednak zdobycia prawdy, lub zagubienie jej, dotyczy tu najczęściej tylko jednostki. Inaczej się rzecz ma, kiedy idzie o sprawę publiczną. Ktokolwiek się jej dotknie, a nie szuka dla niej prawdy, jest albo głupcem, albo nikczemnikiem. Osobisty fałsz stwarza tu bowiem zbiorowe klęski. W życiu publicznem niema uprawnienia dla cnotliwych a szkodliwych.

Nie potrzeba było zbyt transcendentalnego umysłu, aby w chwili, w której założonym został *Przegląd Polski*, zrozumieć, że zasady polityczne, któremi rządził się, raczej któremi powodował się naród polski od rozbiorów, nie były prawdziwemi. Peryodyczne klęski ponoszone dla złudzeń, nie prowadzące do celu, niszczące byt istotny, dążenia ciągle do przyszłości niweczące ją w zarodzie, bo ubezwładniające terażniejszość, wszystko to, sądząc po ludzku, nie mogło być prawdą; i w istocie, aby to wszystko usprawiedliwić, trzeba było aż stworzyć szczytnie szaloną, nie ludzką, naukę odkupienia ludzkości przez męczeństwo Polski. Ludzie, chcący pisać o polityce i trudnić się polityką, nauki tej przyjąć nie mogli, a stanawszy raz poza kołem genialnej, lecz politycznie zgubnej poezji, musieli sobie powiedzieć: to, co nas do dzisiejszego doprowadziło stanu, jest fałszem nawet wtedy, kiedy nie jest kłamstwem.

Od pierwszej zatem chwili stało się zadanie naprawy, zadanie olbrzymie, bo naprawy usposobień, przekonań, silniejszych od nich nawyknień, przyjętych pojęć i formulek, potężnych haseł i głęboko w społeczeństwie zakorzenionych komunałów, słowem: naprawy obyczaju politycznego.

Płytkie tylko umysły mogłyby przypuścić, że podobna naprawa da się przeprowadzić mechanicznie, na tem lub owem polu coraz bardziej ograniczonej działalności polskiej; tą, lub ową kombinacją polityczną, przechyleniem się na stronę, tak jak dotąd, tej lub owej potencji. Głębsze umysły zrozumieć musiały zaraz, że należało tu sięgnąć dalej, do rdzenia rzeczy, do jej istoty, że wszelka naprawa częściowa, że wszelkie łatanie sprawy narodowej, do niczego nie doprowadzi, bo w najlepszym razie do oddalenia godziny nowych błędów, i że prawdziwa istotna naprawa musiała mieć na celu przeobrażenie polityczne społeczeństwa i naprawę jego politycznej istoty. Pierwszym warunkiem

podobnego przedsięwzięcia było doskonale, umiejętne poznanie tej istoty i tych jej stron, które rzeczywiście były najważniejszą i główną przyczyną popełnionych błędów i przed oczami narodu zakrywały zbawcze prawdy. Znajomość terażniejszości nie wystarczała tu bynajmniej, jak dziennik nie wystarcza dla wychowania politycznego społeczeństwa. Wprawdzie dopiero co przeszliśmy byli wszyscy przez straszne wypadki, które były najdoskonalszym plodem naszych wad politycznych, a wśród nich zubożaliśmy się tylko doświadczeniem. Doświadczenie jednak tak nabyte, było zdawkowym piędzdem, który Polak dotąd zawsze roztrwaniał. Prawdziwego zasobu, potrzebnego do zamierzonego dzieła, szukać należało gdzieindziej, głębiej, w dziejach naszych. I oto, co zaraz na wstępie nadało i zaznaczyło Józefowi Szujskiemu wyjątkowe, górujące, rozstrzygające stanowisko. Tylko historyk mógł odnaleźć nową drogę. Powiedzieć można, że wszystko, co postępując po niej, zrobiono, zdziałano, zdobyto, powiedziano i dowiedziono, miało swój początek i „magazyn główny“ w głębokiej zarówno wiedzy, jak miłością znajomości Szujskiego, dziejów naszych. Prawdy, które on wyrwał przeszłości, omawiane, przerabiane i powtarzane były następnie przez innych, a motywa jego pieśni grały orkiestry i katarynki. Nie wiemy, jakie ten znamienity udział w przedsięwziętem dziele, nada Szujskiemu wobec ogółu stanowisko; dla nas, jego współpracowników, towarzyszy, uczniów, stawia on go na niebotycznych wyżynach, opromienionych światłem tych prawd, które się stały naszą wiarą, naszym życiem, naszym jestestwem, a których dosięgnąć dziś może tylko nasza bez granic dla niego i jego pamięci miłość.

Inni, zaraz po zgonie Szujskiego, opisali jego działalność, jak się na zewnątrz stwierdzała. Tylko my, jego dwudziestoletni towarzysze, wiemy, w jakiej mierze, jak wyłącznie odnosiła się ona do mozolu i walki

za tem, co ukazało się nam jako jedyna dla narodu prawda, przeczuta i przyjęta przez innych, odkryta przez Szujskiego! Na czem ta prawda w losach narodu, w życiu narodowym i publicznem polegała, przez dwadzieścia lat głosiliśmy wytrwale, niezachwianie. Wypowiedziano z drugiej strony o niej więcej kłamstw i fałszów nawet, niż potwarzy i nikiżemności. Nie tu miejsce, aby o niej pisać rozprawę. Najlepiej ją zrozumieć można w życiu, w rzeczywistości i po dotychczas osiągniętych skutkach. Droga, którą od roku 1863 postępował dotąd naród polski; stanowisko, które w różnych dzielnicach zajął; przymioty, które sobie przyswoił; chęć, którą zdawał się być ożywionym wyleczenia się ze zgubnych wad; walka, którą stacza nietylko z wrogami i przeciwnemi losami, ale przedewszystkiem z własnemi wadami, o ile ją stacza, oto uosobienie tej prawdy, w imieniu której założonym został *Przegląd Polski*, której życie swoje poświęcił Szujski. Uczuć potrzebę prawdy, odnaleść ją, przyswoić sobie i w jej imieniu rozpocząć dzieło, było rzeczą prostego obowiązku. Znaleść drogi dla niej i środki, torując jej zwycięstwo w życiu narodowym, było rzeczą polityki, rozumu i umiejętności. W pierwszych chwilach przedsięwzięcie musiało wydawać się trudnem, niemal przygniatającem. Jak zawsze, tak i tu, zbawczą myślą, rozwiązującą zadanie, była myśl najprostsza.

Nowa nauka, nowa reguła życia dla narodu, o tyle mogły mieć powodzenie, trwałość, siłę i przyszłość, o ile na stworzonej przez takowe dla życia narodowego podstawie, rozwinie się jaknajwiększą, niezmużoną, nieustającą we wszystkich kierunkach działalność, pracę, czujność i czynność. Tem, nowy systemat mógł żyć jedynie, brakiem tego zginąć musiał.

Tu już Szujski przedstawia się nam jako tytaniczna postać. Nikt z naszego nietylko grona, ale pokolenia, na gruncie położonym poza *liberum conspiro* i *liberum veto*, większej, sumienniejszej, płodniejszej, pię-

kniejszej, głębszej, subtelniejszej nie rozwinął działalności, wszechstronniejszej i uporeczywszej pracy, nikt więcej i w tylu kierunkach nie stworzył i nie zrobił, nikt zatem lepiej nie zasłużył się wspólnemu dziełu wytworzenia dla narodu innej niż dotąd, silniejszej i pewniejszej podstawy bytu. Apostoł prawd narodowych, lekarz chorób polskich, pracownik na niwie ojczyściej, pod temi trzema postaciami, zlewającemi się w jedną potężną, reformatora, Szujski pozostanie niezwykłym zjawiskiem, niezwykłym człowiekiem nie tylko w narodzie polskim, ale także w dziedzinie myśli i działalności ludzkiej.

Życie jego, to najświetniejsze i najdzielniejsze zwalczanie fałszu, iż poza dawnym sposobem porozbiorowym i dawnymi naukami polskimi, niema nic do zrobienia, wywalczenia i poświęcenia dla polskiego narodu. Na ilużto on polach myśli, uczuć i czynności ludzkich, działał potężnie, wywalczył i zdobył wiele, poświęcił, nieśtety, za wiele, bo aż do własnego życia, a nie szkodliwie lub lekkomyślnie, ale płodnie, mądrze, dodatnio, owocodajnie, jak na męża stanu i myśliciela przystało.

Piśmiennictwo peryodyczne podniósł i uszlachetnił, wyrrywając je z koleji komunalów, w którem było oddawna ugrzęzło i wskazał mu wyższe, wznioślejsze zadania, niż schlebianie namiętnościom, nawykuieniom, bożyszczom dnia, bo użył go do wypowiedzenia całej, nagiej prawdy, choćby to boleć miało. Pierwszy najstarszożytniejszy Uniwersytet w narodzie wzmocnił, wślawił, do dawnej niemal przywiódł świetności. Za jego głosem, za jego przykładem cisnęli się w szeregi nauczycielskie z różnych stron i stanów ochotnicy, jak dawniej do bohaterskich za ojczyznę walk spieszyli pod chorągwie żołnierze. Stał tu też zastęp ludzi, ożywiony duchem Szujskiego, który był prawdziwym zaszczytem Polski, jej istotną siłą i przyszłością, zastęp nie rzemieślników, ale ludzi, co uczuli w sobie ożywece powołanie. Jaki był wpływ bezpośredni Szujskiego na mło-

dzień akademicką, i czy jest trwałym, czy przyniósł podług jego życzeń i myśli owoce, rozbierać ani przesądzać nie będę, ale to pewna, że przez niego i tych, którzy z nim na tem polu pracowali, wpływ Uniwersytetu krakowskiego sięgał daleko poza granice naszego kraju, poza granice narodowej swobody, aż do ziem, nad któremi zawisła była noc niewoli, że wpływ ten tam ożywczo, pokrzepiająco i ochronnie oddziaływał. Akademii nowo powstałej, której związek z Uniwersytetem przedstawiał i uosabiał Szujski, nadał on odrazu piętno wyższego posłannictwa, i to jedynie prawdziwe znaczenie, które tkwiło w zamiarach Monarchy-Założyciela oraz twórców instytucyj, do których Szujski należał; znaczenie ogólnopolskie, na gruncie wyłącznie naukowym, na którym jego rozum, przezorność i wyborny a trafny sąd o potrzebach i zadaniach terażniejszości utrzymać ją zdołały, zwiększając temsamem z każdym rokiem jej doniosłość dla narodu, jako rzeczy nie od parady, ale od pracy. W Sejmie nieznużony, szczery odważny obrońca przekonań, zasad i prawideł, które były sprężyną jego zbiorowego działania, początkował głównie w sprawach, które znał gruntownie, których załatwienie rzeczowe przynieść mogło społeczeństwu korzyści, mianowicie w sprawach szkolnych; a i tem chciał być wiernym regule życia, którą narodowi zalecał. Poseł, publicysta, dramaturg, satyryk, krytyk, profesor i uczyony, belletrysta i badacz, wszędzie niezatarte zostawił ślady wyższości swojego umysłu, głębokości uczuć i przekonań, doniosłości dążeń; nareszcie, jak zaczął dzieło swojego życia, tak je też uwieńczył jako historyk dziejów ojczystych, jako reformator ich nauki. Tę pracę nieznużoną, tę działalność olbrzymią, już nie podziwiać, ale jej dziwić się trzeba. W zwykłych warunkach byłaby ona niemożliwą, zwykły bodziec nie tłumaczy jej dostatecznie; trzeba tu było czegoś innego, silniejszej sprężyny i pierwiastku; były nimi u Szujskiego

przekonanie i wiara, że tylko taką istotną, treściwą, owocodajną pracą naród od zguby ostatecznej uratować się i odrodzić może; a zatem wiara niezachwiana w skuteczność i zbawiennność podjętej ogólnej naprawy, której był jednym z głównych i pierwszych apostołów! Na tem ostatecznie polegała jego niespożyta, spożyta jedynie przez śmierć siła. To jest tło, na którym odrysowuje się postać Szujskiego. Ile ona miała stron głębokich, wroczych, wdzięcznych, zacnych, misternych i wyższych, nie będę wspominał lub nauczał, bo widzę ją jeszcze dziś przez łzy, od których żaden z towarzyszy Szujskiego powstrzymać się nie może, myśląc o nim. Jeden z jego najbliższych, Tarnowski, powiedział nad grobem, jak dla nas trudno, niezmiernie trudno zapanować nad przedmiotem, wypowiedzieć wszystko co się czuje, myśli i wie. Na to trzeba ukojenia boleści, trzeba zimnego zastanowienia i nad wszystko przez Szujskiego cenniejszej trzeźwości. Przyjdą one kiedyś i wtedy byłoby grzechem nie wypowiedzieć wszystkiego.

Wszystko zatem kiedyś wypowiedzianem zostanie, ale że Szujskiego ani jednym ani kilku pociągnięciami pióra objąć nie można, jak one nie wystarczały działalności jego umysłu; owo wszystko o nim, wyrosnąć musi w książkę mądrości politycznej, społecznej i umysłowej dla narodu, w książkę obszerną, pełną treści jak Szujski. Treść: oto cały Szujski i jego sposób. Przygnębiony, znękanym, przerażonym szkodą niezmierną, jaką narodowi wyrządziły wszystkie, choćby poczytywane, ale bez treści porozbiorowe dążności i działania -- widział w nich największe niebezpieczeństwo, niemal już klęskę. Stąd święty czuł wstręt do pustych haseł w dziedzinie słowa, do marzeń w dziedzinie myśli, do czułości w dziedzinie uczuć, do wszystkiego co było zewnętrznym a czczym objawem w dziedzinie czynu, a nie przynosiło istotnych skarbowi narodowemu korzyści. Była to najsubtelniejsza i najgłębsza strona jego istoty,

misterna jak on cały, jednak nie zawsze dla wszystkich przystępna i zrozumiała. — Szujski obawiał się czezych działań, więcej nawet niż wprost szkodliwych. Nie przypuszczał beztreściwych objawów, nawet na gruncie życia stworzonego systematem, któremu hołdował i w jego granicach. Tylko to co użytecznem, było dla niego patriotycznym. Zewnętrzne jednak objawy w każdym życiu, a więc i w tem, które nowy systemat wytworzył, są potrzebą ludzką. Szujski niezawodnie to rozumiał, lecz sądził, że naród nasz zbyt długo oddawał się rozpuście zewnętrznych objawów, i że dlatego higiena nakazywała mu ścisły w tej mierze post. Pochodziło to u niego z najżywszej miłości, bo z troskliwości i pieczołowitości. Zbyt często ogół ani odczuł ani zrozumiał tego. Trzeźwości pragnął Szujski dla narodu, jako koniecznego warunku pracy, obawiał się zawsze, aby jego głowa karmiona tyłu narkotykami nie doznała zawrotu; nie wystarczała mu wstrzemięźliwość w trunkach, on mówił, że trzeba jeszcze aby zawsze i wszędzie nieszczęśliwe to społeczeństwo czuło, że patrzy na nie oko rozsądku, rozumu i obowiązku, że patrzy surowo; nie chciał, aby ono zanikało się choćby na chwilę wśród uniesień zewnętrznych objawów. Naukę, którą głosił, stwierdzał co dzień, co godzina całym swym życiem, zamkniętem w pracy dla narodu, a jeżeli czego przyjaciele jego i towarzysze zazdrościć mu mogą, to właśnie tego niesłychanego zgododźwięku między jego narodową nauką a postępowaniem, między regułą polityczną, którą zalecał, a regułą jego publicznego żywota. Stanowiło to całość wspianiałą i przed którą w końcu ukorzono się.

Przenikliwy, nie tyle może w sprawach codziennych, jak raczej w znajomości duchowych pierwiastków człowieka, był mistrzem w odszukaniu powodów działań ludzkich, słabości i upadków ludzkich. Przejrzał był do dna próżność, tę tak pospolitą u nas wadę, która zastępując prawdziwą żądzę polityczną, nieraz

bezwiednie czyni sobie ze sprawy publicznej srogą igraszkę; znał jej przebiegłość w szukaniu pierwszego u stołu miejsca i nieraz mawiał żartobliwie, że całe nieszczęście u nas, iż rozchodzi się nie o stanowiska lecz o siedzenia. Któż nie wie i nie czuje, jak w naszych dziejach i w naszym życiu straszną przyniosły i przynoszą szkodę chęć popularności, zwłaszcza obawa przed niepopularnością; i te zbadał Szujski do gruntu, zajrzał do wszystkich zaułków ich istoty, znał też doskonale wszystkie ich obłądki, zajęcze techórzostwo, służalstwo bez granic i całą podłość; znał, oceniał należycie, karciał czasem, najczęściej i najzupełniej pogardzał niemi. Odwaga cywilna, bez której niema dla społeczeństwa ani zdrowia, ani odrodzenia, bez której marnieją i nikczemnieją najpiękniejsze zalety, nawet inne cnoty obywatelskie, znalazła w nim tem silniejszego przedstawiciela, iż wiedział, że jej brakowi zawdzięczaliśmy małe i wielkie błędy, małe i wielkie klęski, i największą ze wszystkich, skażenie ducha publicznego. — Badał on pilnie istotę, części składowe, pierwiastki techórzostwa obywatelskiego u nas, i pierwszorzędnym w tej mierze był chemikiem. Szukał jego pochodzenia w naturze ludzkiej najpierwej, w naszych ojczystych dziejach i składzie naszego społeczeństwa głównie. Nigdy nie zapomnę na przemian świetnych, głębokich i gryzących zdań, które z ust jego słyszałem na próbach gdy wystawiałem *Rycerzy* Arystofanesa w jego tłumaczeniu, z serdecznym może nieco dobrodusznym jego zamiarem wpłynięcia przez nich na nasze życie publiczne. Zdania te spisane, byłyby może jednym z najsubtelniejszych objawów ducha Szujskiego. Ilekroć Demos ukazywał się na scenie, niezwykłym blaskiem jaśniały oczy Szujskiego; ale jego zapal i szyderstwa nie zwracały się bynajmniej do Demosa, lecz z całą siłą uderzały w jego pochlebców, służalców, pieczeniarzy, i gromiły niezliczone zachcianki, żądze i pożądlivości, które na widok rozdawcy łask,

urzędów, i nad wszystko cenniejszej, bo wszystko obiecującej popularności, poruszały się, płaszczyły, naprzemian schlebially, spotwarzały, kłamały i ostatecznie dla własnych widoków rzeczą publiczną pomiatały i frymarczyły a biednego Demosa oszukiwały i wyzyskiwały. — W Grekach szukał Szujski pierwiastku tej choroby, co trapiła przez tyle wieków i trapi jeszcze na jego grobie nasz nieszczęśliwy naród. I dlatego był tak pełen zapалу, ognia, dlatego był tak przenikliwym! Przenikliwość ta niezmierna we wszystkim, zwłaszcza co szkodę narodowi przynieść mogło, była jedną z głównych zdolności Szujskiego; ona z niego zrobiła niepospolitego satyryka. W publicystyce, w historyi, w dramacie, w poezyi, w rozmowie, Szujski był satyrykiem z miłości. Miał na rozkazy gryzące słowo, dzielny dowcip, chłuszczącą satyrę, ale nie niszczącą, bo wypalającą, nie palącą. Jego wielka do sprawy publicznej miłość, jego zachowawczy w rzeczach narodowych zmysł, wskazały mu skuteczność i zbawiennosć satyry, nie złość, nie zawiść, nie nienawiść — i dlatego stała się ona zbawienną, chociaż dziwiono się i potępiano jej użycie. Gdyby nie była chwilowo bolala, nie byłaby wyleczala. Bólu tego jednak pacjent do tej chwili zapomnieć nie może, bo mu go wciąż przypominają zazdrośni szalbie-rze, prawdziwi Moliera lekarze.

A przecież choroba była taką, iż leczenie bez cierpienia obejść się nie mogło, do tego stopnia, iż dopiero cierpienie było oznaką jego powodzenia. Chloroformować można wtedy, kiedy się ucina, ale nie, kiedy się wzmacnia wycieńczony organizm i oddziaływa przeciw zbočeniom mózgowym. Morfina przynosi ulgę, ale truje, nie wylecza. Wiary w skuteczność satyry nie pozbył się Szujski do końca. Świetne jej plody czytała społeczność polska po dwakroć w ostatnich już przed zgonem chwilach w *Czasie*. Satyry używał Szujski względem przeciwników i przyjaciół politycznych. Jego zdania wypo-

wiedziane podczas ostatnich przed jego zgonem sesyj sejmowych w przedsiönkach Izby, pozostaną pamiętnymi i nieraz przytaczać je będą. Miłosny zamiar, który tkwił w satyrze Szujskiego, jeżeli nie zawsze zwyciężał, był przecież balsamem na ranę, którą ona zadawała. Kiedy raz przed nim ubolewałem, może zbyt gorączkowo, nad obrotem wypadków, kiedy zwracałem uwagę na niebezpieczeństwo osłabiającej się nieco czynności i działalności ludzi tych samych przekonań, zbijał mnie żywo Szujski, a w końcu rzekł: „Mój kochany, ty w polityce jesteś zawsze trochę dyrektorem teatru, potrzebujesz w każdej scenie wrażenia, chcesz, aby każdy akt kończył się obrazem. Sprawy ludzkie w ten sposób się nie układają i przyspieszony bieg sceny nie da się do nich zastosować“. Była to niezawodnie najdotkliwsza, jaką usłyszeć można było, satyra, ale tak prawdziwą natchnioną miłością do rzeczy i osoby, że jedno tylko wzbudzić mogła uczucie, postanowienie — zapewne zapóźne — skorzystania z prawdy, odzianej w żartobliwą szatę. Szujski miał w życiu publicznym jedną wadę, bardzo u nas zwykłą: za mało, raczej całkiem nie miał żądzy politycznej. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego u nas tak mało jest ludzi politycznych i doszedłem do wniosku, że dlatego, iż znakomici nie mają żądzy, a mierni mają jedynie żądę. Dzieje się zatem u nas wprost przeciwnie, jak w narodach celujących rozumem w życiu politycznym. Nie jest to jednak zapewne przyczyna, ale niestety już skutek: w każdym razie arcysmutny.

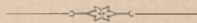
Ze Szujski nie ufał zbyt mocno w zwycięstwo zupełne podjętego dzieła, że nie ludził się co do ustalenia się jego i co do stanowczej skuteczności pracy całego życia, to nie ulega wątpliwości. Zbyt był przenikliwym, aby nie miał dojrzeć gromadzące się, od niedawna rozpedzone chmury, na widnokręgu polskiego usposobienia i nie dostrzedz nowych czarnych plam. „Źle z nami“, mówił trzy dni przed śmiercią, a kto znał go, ten zro-

zumie, że nie szło tu ani o ciasne pojęcie stronnictwa, ani o niego konającego, ani o osieroconych jego śmiercią przyjaciół, ale o to, co w szerokiem pojęciu miłości i troski o naród było jego wiarą, treścią jego publicznego zawodu, o to w czem widział bezpieczeństwo, zbawienie, przyszłość, słowem, że szło mu o wielką naprawę wewnętrzną społeczeństwa, i o regułę życia publicznego dla niego, które skrzywić, zwichnąć i zepsuć usiłują ponownie, z tyłu stron powstałi dawnych twórców i przedstawicieli przedrozbiorowych i porozbiorowych błędów i zbroczeń polskich, epigony. A naród nasz miękki, mawiał Szujski!

Kiedy poruszać się poczynają epigony fałszywych proroków, zwykle jednocześnie schodzą z widowni mistrze naprawy. Jest to oznaką, że nietyle już ludzi, jak raczej wypadków zadaniem, staczać walkę za prawdę, że one tylko mogą przynieść ostateczną, zbawienną naukę. Jest to oznaka lecz zarazem i groźna przestroga. Oby obejść się już mógł nasz naród na zawsze bez srogiej nauki danej przez wypadki, oby bez jej pomocy skorzystał stanowczo z dzieła i pracy Szujskiego.

A dzieło a praca marnemi bądź co bądź nie były. Ślepy, kto ich owoców nie widzi; głuchy, kto nie dosłyszał, do jakiego — gdyby ich było zabrakło — stopnia nicości, bezsilności i upadku bylibyśmy na całym obszarze ziem naszych doszli; złej wiary, kto im przeczy w Galicyi. Ale nad wszystkim góruje to, że z nauki, ze szkoły, z reguły postawionych przez Szujskiego wyrosli wszędzie ludzie, co wbrew dawnemu zwyczajowi, dawnemu nałogowi, grzechowi i zbrodni, gotowi zawsze i wszędzie, całą, nagą, wypowiedzieć narodowi prawdę, nie lękając się tych, co wyją, wietrząc popularność! co głosząc prawdy życia publicznego w Polsce, użyźniają je treściwem, istotnem, wedle zasad Szujskiego działaniem.

Nie marnemi były dzieło i praca Szujskiego; mamy tego nauczający dowód w zachowaniu się narodu nad jego grobem, w zachowaniu, którego przyczyny Szujski z wrodzoną mu przenikliwością odszukałby może w dziejach naszych, lecz którego powody tkwiące w teraźniejszości oceniłby również. Bo cóż znaczył ten pośmiertny, piękny i ogólny hołd, oddany człowiekowi, którego ceniono, lecz tylokrotnie za życia prześladowano? Fałszem, obłudą, kłamstwem byłoby twierdzić, że oddano słuszną uczoneму, historykowi, pracownikowi, bo ten uczony, ten historyk, ten pracownik był tem wszystkim na to tylko, aby być reformatorem wad, narowów i nałogów społeczeństwa. Zatem naród czuł i uznał całą zbawienność podjętej naprawy; chociaż wielu w narodzie nie uznawało ludzi, którzy ją podnieśli, i ich zamiary; naród rzecz ocenił, choć wielu potępiło twórców; dzieło stało się narodowi użytecznem, niejednemu ludzkie zawadzali. Prawda ta zajaśniała przy śmierci Szujskiego w 1883 r. Więc niech i nadal ludzie i ich następcy zawadzają niejednemu! Ale niech naród wzmocni w sobie poczucie zbawienności ich dążeń, ich zamiarów, ich działania, ich odważnie podjętej naprawy. Niech do wszystkich wieńców, które złożył na grobie Szujskiego, dołoży jeden, bez którego tamte nie mają znaczenia, bez którego zwiędłyby rychło — stanowczą naprawę obyczaju politycznego wedle nauki Szujskiego.



List otwarty do posła Bobrzyńskiego.



Szanowny Panie!

Rozprawa — *Z chwili Rozstroju*, którą w tej chwili, po powrocie z zagranicy, przeczytałem w *Przeglądzie Polskim*, sprawiła mi wrażenie: potratowania po porażce zaciężnej piechoty przez własną konnicę. Służąc w tej piechocie oddawna, chociaż potratowany, ale nie zmiażdżony, powstaję, aby odpowiedzieć i zawołać — baczność!

Nie będę tu podnosił, bo tego nie potrzebuję, świetnych kart owej rozprawy, na których tyle prawd wypowiedziałeś, składając dowody doskonałej znajomości nie tylko stosunków, także charakteru narodowego i jego słabostek; kart, co mi przypomniały najlepsze rozdziały *Dziejów Polski w Zarysie*, tej książki twojej, którą się zawsze zachwycam.

Pomijając zbyt niezawodnie różowe nadzieje, ani rzeczywistością, ani teraźniejszością, ani powietrzem, które otaczać nas poczyna, uzasadnione, co do rychłego wyrobienia się politycznego u nas, tego żywiołu, co go jednym: inteligencyi, nazwałeś mianem, przystępuję do tego, co w Twojej rozprawie mnie bezpośrednio zmusza głos zabrać.

Skreśliłeś, Szanowny Panie, doskonale wszystkie niebezpieczeństwa, całą grozę zabiegów przedwybor-

czych, które socyalnemi nazwałeś. Rzecz streszczę w dwóch słowach: większego występku narodowego dziś popełnić nie można było, jak poruszyć i wznowić w Galicyi współzawodnictwo i nieufność włościan do szlachty. Ten występki z góry obmyślili i przeprowadzić usiłowali nasi skrajni demokraci, pod kierownictwem swoich przewódców i po tychże dojrzałym namyśle, jawnie, widocznie, niezaprzeczenie; ci sami właśnie, co wszelkiego rozstroju są początkiem i przyczyną; ci sami co stwarzali zawsze u nas i stwarzają te wszystkie niebezpieczeństwa, które tak jasno widzisz.

I rzecz tak stanęła, że po tej, równie zuchwałej, jak bezsumiennej próbie, po tym niesłychanym zamachu, albo oni skrajni, jeżeli nie na zawsze, to znowu na dłuższy czas zniknąć muszą i stracić grunt pod nogami, albo też kraj znajdzie się wepchniętym, nieznanie ale stopniowo, jeżeli nie na równopochyłą, to na manowce.

Tak się przedstawiało położenie po mniej lub więcej korzystnie dokonanych wyborach do Sejmu.

Wobec tego ze stanowiska i w imię walki, jaką zachowawcze dziennikarstwo powołaniem zostało stoczyć, zastrzedz się muszę a zgodzić nie mogę na częściowe rozgrzeszenie istotnych i jedynych twórców owej roboty niszczącej, rozgrzeszenie, które ze zdziwieniem i wyznaję nie bez przykrości wyczytałem w słowach twojej rozprawy: „Ci, którzy do niej (próby rozstroju) dali lekomyślnie hasło, nie byli też w stanie w swoich rękach jej utrzymać, nie posądzam ich bowiem o to, że z góry przewidzieli wszystkie jej następstwa. Chcę wierzyć, że i oni patrzyli z niepokojem na widok, jak nagle z pod ziemi zaczęły się wydobywać najmętniejsze, katylinarne elementa, które ich spychały na drugi plan, a same agitacyi owej narzucały się na przywódców, działając głównie za pomocą pism i pisemek, pomiędzy lud rozrzuconych“.

Temi słowy, Szanowny Panie, nie tylko osłabiasz, ale ubezwładniasz, sumienne zestawienie przez zachowawcze dziennikarstwo zdarzeń, które wykazało związek seisly a ciągły między tymi, którzy do próby rozstroju „dali lekkomyślnie hasło“ a tymi, którzy ją wykonywali pismami i wicherzeniem; między prawdziwymi winowajcami a nieuniknionemi winy takiej następstwami. Skutkiem takiego rozgrzeszenia musiałoby być obniżenie znaczenia owej roboty, boby ją przypisać należało raczej niezręczności, bezmyślności i przypadkowi, niż zamiarowi i obmyślanemu działaniu; skutkiem zaś dalszym mogłoby być przebaczenie winy prawdziwym i głównym winowajcom, tem samem także i możność politycznego w Sejmie i gdzieindziej pojednania się z nimi, na co, ani ze stanowiska zasad, ani choćby chwilowej użyteczności publicznej, ani też ze względu na gorszący przykład, zgodzićby się w żaden sposób nie można, zgodzićby się zwłaszcza, o ile sędzę, nie mogło, wierne swej przeszłości i obowiązkom, zachowawcze dziennikarstwo. Inaczej bowiem, zamiast zdusić w zarodzie niebezpieczeństwo, pchnęłoby ono tylko kraj i społeczeństwo na manowce w kierunku owych niebezpieczeństw, które wskazałeś, a zmarnowałoby psychologiczną chwilę, sposobną do zwalczenia złego, które samo się odsłoniło, rozgrzeszając zarazem nie tylko winowajców, ale co ważniejsza tych, co przez słabość, lub mylne zapatrywanie skłonnyliby byli tamtym podać rękę i zapominając o świeżym a ciężkim występku, zamknęliby oczy na doniosłość jego następstw.

Przypisujesz, Szanowny Panie, „zapałowi walki“ głosy, które z obozu zachowawczego oświadczyły się przeciw zasiadaniu w Sejmie włościan, a tu muszę zwrócić Twoją uwagę, że głosy te zgodnymi były z przeszłością pism publicznych, w których się odezwały, zgodnymi z całym życiem naszym społecznem, politycznem i narodowem, w którym wszyscyśmy dotąd bez wyjątku

zaznaczali, jako zdrowy postęp: zniknięcie z komnaty sejmowej siermiąg i zastąpienie ich posłami z warstw wyższych i wykształconych, będącymi wyrazem tyle upragnionego zaufania warstw niższych do wyższych. Głosy te szły w ślad kilku poprzednich wyborów ogólnych do Sejmu, które wszyscy poczytywaliśmy za zbawienne i o zdrowiu świadczące, właśnie dlatego, że włościanie sami uznali w nich byli swoją niedostateczność do spełnienia zadania prawodawczego i powierzyli je starszym w narodzie. Głosy te zatem nie były objawem gorączki, lecz skutkiem zastanowienia. Sejm wprawdzie nie jest ani Radą Stanu, ani Komisją Kodyfikacyjną, ale jest ciałem ustawodawczem i politycznym, w którym nasz włościanin tak samo, jak każdy inny, musi się stać albo bezwartością, albo narzędziem, bo ani jego sposób życia, ani wykształcenie, to właśnie, które mu teraz dajemy, ani przeszłość, do czego innego nie czynią go w takim zgromadzeniu zdolnym.

I rzecz szczególna, że kiedy tę prawdę włościanie i wyższe warstwy w najwolnomyślniejszych i najdemokratyczniejszych krajach uznali i do niej się stosują, u nas właśnie, muszą się jeszcze o to toczyć rozprawy! Wszakże przecież nie *ad captandam benevolentiam* chłopów, zatem *ad captandam benevolentiam* kogo? pytam.

Lecz u nas ważniejszy wzgląd, niż samo zasiadanie włościan w Sejmie, musi tu być wziętym w rachubę. Oto u nas pojawienie się włościan w Sejmie jest objawem, z tej lub owej przyczyny, częściowego ustąpienia upragnionego, koniecznego, świadczącego o zdrowiu społeczeństwa, zaufania ich do szlachty, do warstw wyższych i oświeconych, zatem już częściowej choroby, która stać się może zaraźliwą. Sam, Panie, mówisz, że liczba większa włościan byłaby w Sejmie szkodliwą, a pytam się, kto ma ją ograniczyć, jeżeli raz przestaniemy poczytywać za niedobre, przynajmniej niewłaściwe to, co jest niezawodnie zawsze nieprawidłowem?

I pytam dalej, gdzie, zwalniając się raz z reguły, mamy rękojmię, że wyjątki, na które z lekkim zgodzić się mamy sercem, nie staną się w bliższym lub dalszym czasie regułą?

Oto są powody, dla których nie mogłem poczytać za postęp, iż po kilku Sejmach, w których włościanie nie posłowali, w obecnym ukażą się znowu, chociaż w niewielkiej liczbie. Mniemam, że w tym przynajmniej wypadku, raczej trzymać się należy przekonani i przeszłości, niż dać się powodować chwilowej wygody względami, których zresztą użyteczności dla rzeczy publicznej dostrzedz nie mogę.

Powstając przeciw nieograniczonej kurateli wyższych warstw nad włościanami, zaledwie usadowiłeś swoich włościan na ławach poselskich, szukasz dla nich, Panie, takiej kurateli, szukasz, bo wiesz tak dobrze, jak ja, że muszą oni albo pozostać bezwartością, albo stać się narzędziem, a pragniesz, aby się stali narzędziem w dobrych rękach, chociaż tego pewnym wcale nie jesteś.

Nie mnie Tobie wyluszczać zasady nowoczesnego życia konstytucyjnego, ale przyznaj, Szanowny Panie że całe ono polega na różnicy między bezpośrednim załatwianiem sprawy publicznej przez lud na *Forum*, a pośrednim za pomocą jego przedstawicieli. Pierwszego sposobu używała starożytność; drugi jest wynalazkiem czasów późniejszych i stał się podstawą, oraz treścią ustroju konstytucyjnego i parlamentarnego. Nie będę się tu rozwodził nad wyższością jednego nad drugim. Być może, iż jak we wszystkim, tak i w tem, przenosiłbym osobiście, sposób starożytny i że jeżeli już lud ma rozstrzygać, lub udawać, że rozstrzyga najtrudniejsze zadania, wolałbym go odrazu zgromadzić na placu publicznym, niż widzieć, niby w jego imieniu, w komnatach prawodawczych sprawę publiczną, załatwianą przez tych, co na lud się oglądając, nie zawsze jego

istotnemu dobru i uczuciom czynią zadość, zbyt zaś często namiętnościom, przesądom i żądom. Jednak skoro raz przyjmujemy zasadę zastępstwa ludu, to pragnąc musimy, aby ono było rzeczywistością i nie ten lud na ławach prawodawczych zasiadać winien, lecz istotnie zdolni spełnić posłannictwo, jego przedstawiciele. I tak też dzieje się wszędzie, z bardzo małymi wyjątkami: tak w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, we Włoszech i Szwajcaryi, we Francyi, Belgii, Holandyi i t. d. A tam chyba nie tak, gdzie nie starczy warstw wyższych, jak w nowo powstałych państewkach bałkańskich, które zapewne za przykład do naśladowania nie postawisz, Panie!

Przykład zaś, który przytoczyłeś zachowawczych klubów niemieckich w Radzie państwa austriackiej, Ciebie tak dobrze obeznanego z tajnikami seraju, odstrąszyćby powinien. Wiesz bowiem przecież, że właśnie owi posłowie, włościanie, zachowawczych klubów niemieckich, stwarzają nieraz bierną, szkodliwą zaporę wprowadzeniu zdrowych napraw, że utrudniają wasze zadanie, wywołują niewczesne zadania, że swoim uporem, pochodzącym z nieznamomości rzeczy, uniemożliwiają wymierzenie prostej sprawiedliwości nie dalej, jak przeszkadzając zadośćuczynieniu słusznym życzeniom naszego kraju, że wymienię tylko zakończenie sprawy indemnizacyjnej. Przykład zatem nie zachęcający, ale powtarzam, odstraszaający.

Te były dwa główne zarzuty, na które, ze względu na moją publicystyczną odpowiedzialność, czułem obowiązek odpowiedzieć.

A teraz słowo jeszcze z powodu bezpośredniego wezwania: „Dzienniki polityczne powinny jednak przystem zachować niepospolitą ostrożność, ażeby akcyi naszej nie utrudniać“. Z niemalym moim żalem słów tych dokładnie nie rozumiem i nie wiem, czy to jest wyrzut czy przestroga. W jednym i drugim wypadku, wiem

przecież, że dziennik zachowawczy winien przedewszystkiem trzymać się swej tradycyi i swej szkoły, pozostać wiernym swej przeszłości, zasadom i prawdzie, że jego zadaniem, każdorazowo prawdę wypowiadać, a ostrożnością nie kępować się, gdy idzie o rzeczy główne i pierwszorzędne okresy w życiu kraju, jakimi są wybory do Sejmu. Pięknie jest, gdy mąż publiczny ma odwagę cywilną, ale dziennik przedstawiający pewien kierunek, zasady i szkołę, na to jest, aby ją miał za wszystkich. Tak zapatrywaliśmy się na nasze zadanie za czasów Adama Potockiego, Helcla, Jerzego Lubomirskiego, Szujskiego, Manna, Kalinki, Zyblikiewicza, Grocholskiego, Henryka Wodzickiego, Alfreda Potockiego itd. W ich szkole wychowani, ich postępowaniem zahartowani, przez nich zachęcani i popierani, nawykliśmy do takiego pojmowania obowiązku dziennikarskiego, a dziś nie pozostaje nam już ponoś, jak w ich przykładach, dziełach i pismach szukać siły i otuchy do wytrwania do końca.

Wszak nie chciałbyś niezawodnie, Szanowny Panie, aby dziennik polityczny, aby *Czas*, na wzór baletniczki, do wszystkich się uśmiechał, dla zapewnienia baletowi powodzenia; tem mniej przystałbyś na to, aby dziennikarz polityczny, na wzór ranionego gladyatora, błagał przebaczenia i życia od wszelkiego rodzaju motłochu.

A zatem, Panie, nie odbieraj nam odwagi, zalecając ostrożność; nie osłabiaj animuszu obawą utrudnienia wam działania, bo w tych twardych dla nas czasach potrzeba nam poparcia a nie wyparcia się, tego poparcia, którego nie brak dziennikom przeciwnego obozu. Wypierając się nas częściowo — wierzaj memu doświadczeniu, nie pozbędziesz się naszego utrudniającego poparcia, a nie zyskasz innego istotnego. — W chwili, w której nasz obóz poniósł tak dotkliwe straty, w której wiszą nad nim tak bolesne ciosy i w której nie brak mu zawodów, jedynie, jak pięknie rzekłeś: „Wierność

zasadom, siła przekonania i odwaga cywilna w wypowiedaniu prawdy, są bronią, która ostatecznie zawsze zwyciężyć musi“.

Nie wytrącajcie więc jej nam z rąk. Waszą rzeczą podług planu działać i postępować, naszą podług planu, rąbać. Nie wstrzymujcie ramienia, kiedy chce zadać cios; nie zasłaniajcie puklerzem waszej odpowiedzialności, przed nim, winnego i przeciwnika. Inaczej nasze zadanie stałoby się niemożliwym lub przemieniłoby się w prosty fechtunek.

Gdy słyszę wyrzut czy przestrogę, aby wam nie utrudniać zadania, poczynam mniemać, iż ja nie rozumiem waszego planu. Bo nikt i nic nie zdoła zmienić mojego przekonania, iż głównym i istotnie u nas niebezpiecznym rozstrojem jest ten tylko, który żywioty zachowawcze same wprowadzają, odstępując od wierności zasadom — i wyzbywając się siły przekonania oraz odwagi cywilnej w wypowiedzeniu prawdy lub zdania swojego, a pობлаżając złemu i złym, lub tym, co na postępienie złego i złych zdobyć się nie mogą.

Dalecy jesteście u nas od szkody lub klęski, dopóki skrajni czynią próby rozstroju, lecz zawsze bardzo blizcy, gdy ludzie przekonania zachowawczych zwalniają się z własnej reguły, gdy poczynają niepotrzebne robić ustępstwa, w nadziei czy to pozyskania słabych i zmiennych, czy też nawrócenia kogokolwiek. Dziesięciu ludzi pewnych siebie może nierównie skuteczniej przeszkodzić złemu niż stu chwiejnych; i ci dziesięciu ostatecznie więcej zdolni zrobić dobrego niż owi stu złego. W każdym razie takich choćby tylko dziesięciu, potrzeba dla przechowania treści i nauki szkoły, nauki, zdaniem mojem, krajowi niezbędnej, a koniecznej dla ciągłości zdrowej polityki.

Jak od początku tak i dziś zgadzam się, Panie, ze zdaniem Twojem o potrzebie połączenia żywiołów zachowawczych w Sejmie. Zwłaszcza ze względu na kar-

dynałny punkt naszej polityki, łączności większości sejmowej z większością Koła polskiego w Wiedniu. Jeszcze przed Tobą, Panie, *Czas* oświadczył się za pewną swobodą ustroju przy przeprowadzeniu połączenia, bo rzecz to podrzędna; jeżeli bowiem duch istotnie zachowawczy przewodniczyć będzie połączeniu, to mniejsza o ustrój, bo on ani ducha, ani treści nie zdolny stworzyć lub nadać. Ale kiedy pragnę połączenia, to dla siły, nie dla słabości obozu i sprawy zachowawczej; dla walki ze złem, jakie się przy wyborach odsoniło samo a nie dla kompromisu z niem lub dla jego rozgrzeszenia; dla kary za występki polityczne, a nie dla wynagrodzenia tychże; dla chłostania winnych, nie dla powstrzymania chłosty; nareszcie dla pielęgnowania i przekazania przyszłym pokoleniom nauki szkoły, a nie dla zatracenia jej.

Mniemam, Szanowny Panie, że tym listem z tym podpisem nie utrudnię, że raczej ułatwię Ci to, co uważasz obecnie za swoje zadanie. Co się mnie tyczy, pozostanę wiernym szkole, do której zawsze należałem, wytrwam w jej przekonaniach i zapatrywaniach na kraj i społeczeństwo polskie, a bronić ich nie przestanę lub zamilknę.

Racz Szanowny Panie przyjąć wyraz serdecznej przyjaźni.

Kraków, d. 6 Września 1889 r.

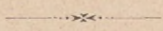
St. Koźmian.

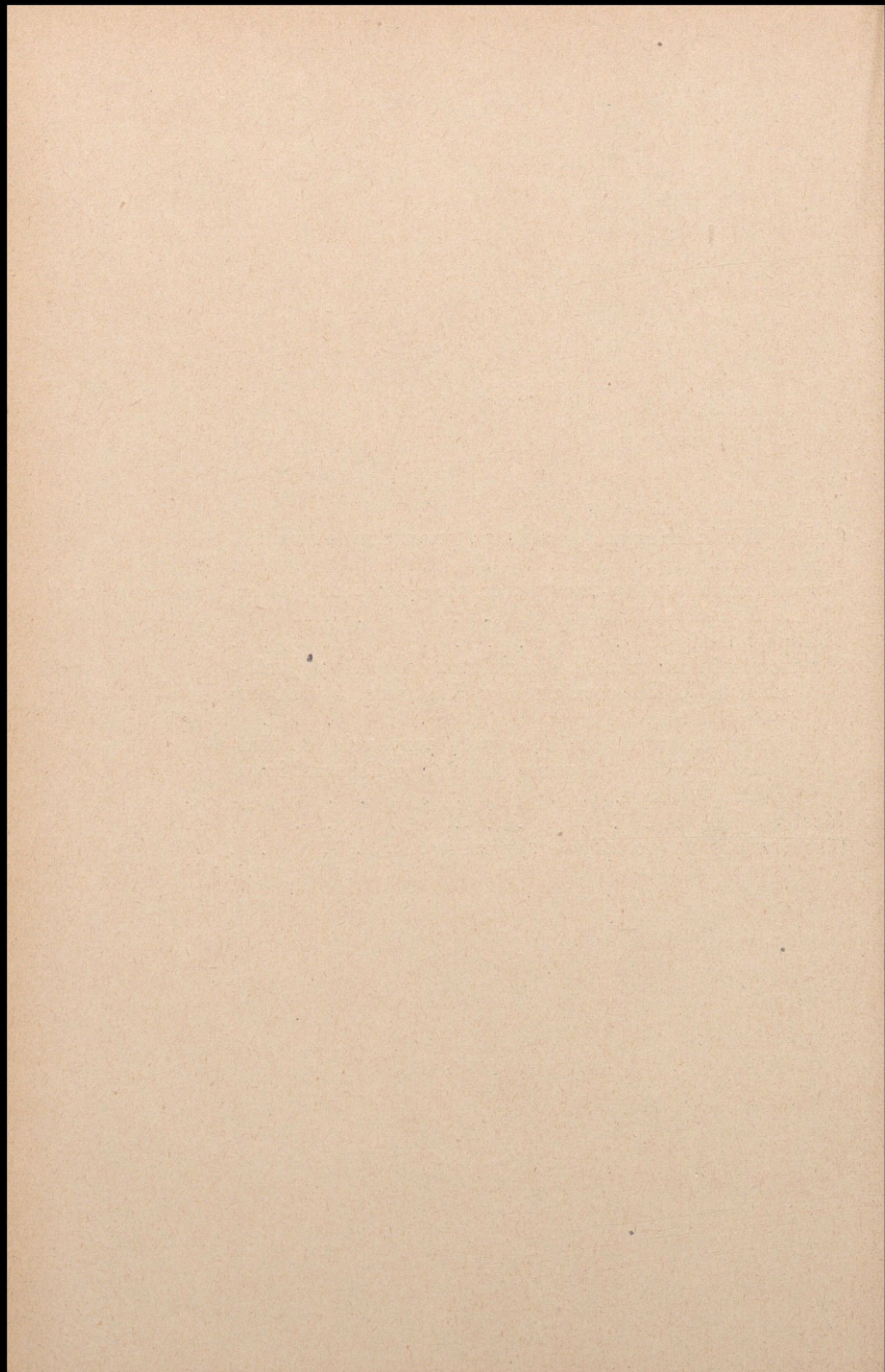


S P I S.



| | Strona |
|--|--------|
| Część „Teki Stańczyka“, napisana przez Stanisława Ko- źmiana | 291 |
| Przemówienie w trzydziestą rocznicę założenia <i>Czasu</i> 5 listopada 1877 r. | 389 |
| Zadania polskie | 394 |
| Przemówienie na uczcie dziennikarzy, podczas* jubile- uszu I. J. Kraszewskiego w Krakowie, 5 paździer- nika 1879 r. | 409 |
| Wstępne słowo w <i>Czasie</i> z powodu przybycia do Kra- kowa i Galicji, 1 września 1880 r. Cesarza Fran- ciszka Józefa I. | 411 |
| Józef Szujski | 412 |
| List otwarty do posła Bobrzyńskiego | 438 |





DWÓCH MARSZAŁKÓW ŻYCIORYSY.



Jan hrabia Tarnowski

z Dzikowa.

—o—

Wzdłuż rzymskiej *Via Appia* ciągną się szczątki nagrobków, a na nich częścią uszkodzone, częścią dobrze zachowane widzi się rzeźby i płaskorzeźby, przedstawiające patrycyuszów i obywateli rzymskich, najczęściej z małżonkami. W tych postaciach jest powaga, połączona z prostotą, dostojność z siłą, jest przede wszystkim miara i równowaga, jest wyraz owej *virtus*, która wyrażała wszystkie przymioty wojskowe, polityczne i ogniska domowego Rzymian. W sposobie, w jakim zespolone są ręce małżonków, jest uwidocznienie znaczenia rodziny w społeczeństwie i państwie. Postacie te są najlepszym, najdokładniejszym wytlómaczeniem czerstwości wewnętrznej starego Rzymu i jego zewnętrznej potęgi. Na takich charakterach, na takich obywatelach i obyczajach oparta budowa polityczna, musiała światem zawładnąć i w dziejach świata rozstrzygająco zaważyć. Jeżeli na *Via Appia* odnajdujemy słowo zagadki najistotniejszej i największej ziemskiej potęgi, oraz jej długotrwałej pomyślności, to zupełnie innego objawu przyczynę, szukać nam przyjdzie, już nie w ogólnym naszym pierwowzorze narodowym, lecz w wyjątkowych jego ludziach i postaciach.

Wśród największego politycznego upadku, jaki znają dzieje, wśród szeregu niepowodzeń, nieszczęść, klęsk, nieraz własnymi spowodowanych błędami, społeczeństwo polskie pozostało samem sobą, zachowało zdolność odradzania się, rozpoczynania po każdej klęsce pracy nanowo, nie wyzulo się z wiary, ani z poczucia obowiązku, pozostało wiernem swej przeszłości i przyszłości, i zdumiewające dotąd składa dowody mocy wśród niedoli, tak wielkiej, jak niezmierną była pomyślność Rzymu. Tej cnoty wśród upadku, tej siły wśród słabości, tej polskiej *virtus* żywiołem, dźwignią i uosobieniem stał się cały zastęp patrycyuszów i plebejuszów porobiorowych, w których cesze duchowej, jak w rysach i postawie rzymskich mężów na *Via Appia*, odnajdujemy przymioty i warunki niezbędne, aby naród nawiedzony, który utracił niepodległość, istniał, przechował tradycję, nawiązał choćby najsroższą terażniejszość z niewiadomą przyszłością i zachował z godnością i majestatem nieszczęścia, swoje w świecie stanowisko, poczucie swojego prawa do istnienia.

Do tego zastępu należy Jan Tarnowski. W jego i jemu podobnych żywotach, których cnoty i siła udzielała się społeczeństwu, szukać należy wytłómaczenia naszej wśród zniszczeń i słabości niespożytej żywotności, jak na nagrobkach Rzymian znamion ich czerstwości i dzielności wśród niezrównanej potęgi i szczęścia. Potomek dwóch rodów, z których jeden, Tarnowskich, zaważył w dziejach narodu w czasach najpomyślniejszych i największej względnej potęgi, drugi, Małachowskich, zabłysł wyjątkowymi cnotami w okresie win i sromotnego upadku — Jan Tarnowski, gdy połączył się związkiem małżeńskim z rodziną Zamoyskich, zespoloną z historią polską przed i po zgonie Rzeczypospolitej, stojąc na czele swojego domu, przedstawiał patrycyat polski i to wszystko, co w nim było i pozostało zacnego, wzniosłego, żywotnego, cennego. Jednocześnie stwarzał

rodzinę, to jest w naszym położeniu tę samą dźwignię, jaką była w starym Rzymie. Dzików pod jego dowództwem był zamkiem obronnym tego wszystkiego, co nam z bytu narodowego pozostało. Stał on tam dostojnie na straży naszej przeszłości, terażniejszości i przyszłości.

Żywot jego był podporą sprawy publicznej, jaką nam historia i wypadki przekazały, podwaliną przyszłości, kordyalem na zwątpienie, nauką i drogoskazem, co począć mamy i jak postępować wśród wyjątkowych, groźnych stosunków naszego narodu. Jan Tarnowski należy do tych zasłużonych, ale także szczęśliwych, co żadnej, sprawie narodowej, krzywdy nie wyrządzili, usługi jej oddali. Jakżeż mało, niestety, takich wśród naszego pokolenia!

Czemu przypisać użyteczne — co trudniejszym było w naszych czasach i stosunkach polskich — niczem nieszkodliwe przejście przez życie, oraz znaczenie w zawodzie publicznym?

Oto przymiotowi, którego brak najdotkliwiej dał się czuć narodowi polskiemu, miarze we wszystkim i wynikającej z niej równowadze duchowej i politycznej. Miarą i równowagą celował wśród ogółu, zwłaszcza wśród wykołejonych, Jan Tarnowski; one stanowiły jego istotę i wyższość.

Niepodobna, aby polski patrycyusz z nimi się urodził. Tarnowski wyrobił je w sobie i w tem jego zasługa wobec Boga i ludzi, wobec narodu, któremu stał się nimi użytecznym — już dlatego, że wśród ogólnego rozluźnienia, wśród zachwiania się wielu, wśród pomieszania pojęć i niejednej słabości, on był i pozostał o tyle w dzisiejszych czasach cennym, o ile jest rzadkim — mężem silnym.

W nim były przeciwtrucziny naszych wad i nałogów narodowych. Miara i równowaga sprawiły, iż Tarnowski był żywym uosobieniem stałości, ładu i karności, przez co unicestwiał w sobie, wokoło siebie i w dzia-

łaniu, najzgubniejszy, w każdym z nas tkwiący bezrządu pierwiastek.

Ile takie przykłady i żywoty oddziałują i udzielają się ogółowi, obliczyć trudno, ale wszystko mówi o ich niespożytej sile i skuteczności, a jeżeli od ćwierć wieku obniżyliśmy stopień naszych wad, jeżeli ujęliśmy nieco zgubnej sile naszych nałogów, jeżeli zrozsądnieliśmy, a nie zobojętnieli i nie odrętwieli, zawdzięczamy to w znacznej części podobnym przykładom i żywotom; im niezawodnie więcej nierównie, niż temu wszystkiemu, co wszyscy, o tem wszystkim, napisaliśmy. Żywy czyn potężniejszy, niż żywe słowo, wobec pierwiastków zaguby.

Jak istota i żywot Tarnowskiego zwalczały najniebezpieczniejszego wroga naszego, bezrząd pojęć i czynów, tak ubezwładniały jej sprzymierzeńców i pokrewne duchy. Wady i namiętności patrycyuszów polskich rozsadzały budowę polityczną; podkopana wewnątrz, zachwiana zewnątrz, runęła. Wady te i namiętności przetrwały upadek polityczny, pozostały w ustroju narodowym, jako czynniki rozkładu i słabości. Podziwiam ich brak zupełny w Janie Tarnowskim, podziwiam zwłaszcza, iż potrafił je, jak Herkules węże w kolebce, zdusić; bo nic bardziej nie zasługuje na pokłon, jak wyrobienie siebie samego. Miał w niem, prawda, ułatwienie wielkie: rósł i chował się w zdrowem duchowem powietrzu, w takich, jak być powinny, warunkach rodzinnego życia, w dobrych przykładach i w prostem, czerstwem pojęciu życia. Ale takie ułatwienie samo nie wystarcza, przynajmniej nie zawsze wystarcza; i nad wyrobieniem pracował Tarnowski sam, a ta walka zwycięzka z samym sobą jest nauczającą. Za młodu znaliśmy go wszyscy łagodnym, cierpliwym, uprzejmym i bardzo miłym. W dojrzałym wieku ogół podnosił i cenił w nim spokój, panowanie nad sobą i tę miarę, którą zaznaczyłem, jako główny jego rys.

A przecież był on z usposobienia i drażliwym i niecierpliwym, a próby, przez które przeszedł, najdotkliwszy cios, który w niego uderzył zgon w powstaniu 1863 r. brata Juliusza, wszystkie odtąd tłumione w sobie żale, oburzenia, połączone z niemożnością zaspokojenia się, wyrobily były w nim wrażliwość i pesymizm, głębszą od nich zgryzotę, która ogarniała własną boleść i publiczne nieszczęścia. Nad tem wszystkim zapanować musiał, i zapanował, aby ludziom okazać się pogodnym, w postępowaniu być zrównoważonym.

Dostojność bez dumy; poczucie osobistej i rodowej godności oraz odpowiedzialności, bez cienia próżności; świadomość swej i domu swojego wartości, bez pychy i zarozumiałości; dbałość o własne i rodziny stanowisko, uszanowanie stanowisk innych; zawiści, zazdrości, współzawodnictwa nigdy ani śladu; silne przekonanie i zdanie stałe, czasem nawet uparte, nigdy samowola nie posługujące się; objęcie z uczucia obowiązku, rzeczenie się bez żalu do ludzi i okoliczności, najzaszczytniejszej w kraju godności; brak prywaty; praca szczerą na wszystkich jej szczeblach, około rzeczy publicznej; naprzemian szeregowiec karny i przewodzca stronnictwa, wierny zasadam — oto Jan Tarnowski.

A czyż ten potomek hetmana, podskarbieh, wojewodów i kasztelanów tem wszystkim do nich był podobny?

Powiedzmy prawdę, bijącą zresztą w oczy — nie.

Nie zablysł, jak tamci, w wojnie i radzie — nie było po temu sposobności — ale co ważniejsze w naszych obecnych stosunkach, pokonał wrogie sprawie publicznej wady i nałogi, którym ulegali niekoniecznie jego przodkowie, ale całe pokolenia polskich patrycyuszów, i rzec można, że one w nim błyszczały nieobecnością.

I tego człowieka i tego żywota znamię stało się uznaniem ogółu, powszechny szacunek, wzięcie z omi-

nięciem popularności. A tak i człowiek i żywot uniknęli szkopułu, o który u nas tyle rozbilo się cennych, pięknych zamiarów, tyle doniosłych lub użytecznych rzeczy. Swemi przymiotami, zwłaszcza wyzbyciem się wad i nałogów, zajął on jedyne stanowisko, na którym skutecznie a bez szkody dla sprawy narodowej działać można wśród naszego społeczeństwa.

Te były, że się tak wyrażę, polskie zalety tego męża.

Zdobily go i ogólno ludzkie. Największego wdzięku była prostota. Ta była mu wrodzoną i błyszcząca ciągłą obecnością.

W naszych czasach, pomimo uproszczenia warunków życia, pomimo racjonalizmu i pozytywizmu, pomimo silnego prądu demokratycznego, każdy i wszyscy coraz więcej coś udają, coraz więcej chcą być czemś innym, niż są, może dlatego, że są niezadowolnieni nie tylko z tego, czem są, ale i jakimi są; chcą zwłaszcza uchodzić za coś więcej, niż są, chcą zwracać na siebie uwagę, poszukują hołdów, przyjmują uroczyście uznania wątpliwych zasług; każde powodzenie im sztuczniejsze, tembardziej zawraca głowy szalem miłości własnej. Któż dziś nie ma swojego jubileuszu i kto nie celebrytuje pontyfikalnie?

Bardzo wykwintne tylko usposobienia stanowią wyjątek. Do nich należał Jan Tarnowski i wspomnienie jego prostoty, prawdy we wszystkim, wstrzemięźliwości, umiarkowania, czerstwości i trzeźwości we wszelkich, nie tylko okolicznościach, ale i stosunkach, pozostało w pamięci współczesnych. On był zawsze samym sobą i zawsze tym samym; czy w cieniu starożytnych drzew Dzikowa, czy gdy go godnościami odznaczał Monarcha. Miało to swój niezwykły urok, a tem cenniejszem było, że acz wolny od małej, płaskiej i czezej żądzdy, zatem niedbały o zaszczyty, za którymi próżność goni, w stanowisku i powadze własnej i domu mieścił

pewną miłość własną rodową, i odznaczenia, czy pochodziły od Monarchy czy od współrodaków, obojętnemu nie były.

Z tem uczuciem objął przy końcu 1886 r. za namiestnictwa Filipa Zaleskiego laszkę marszałkowską sejmu galicyjskiego w myśli i zamiarze zasługi rzeczywistej, czynności i pracy użytecznych, z przeświadczeniem że będąc czemś, na coś przydać się można.

W sędzie i smaku niezwykłą, a nie wszystkim znaną — bo popis wszelki był mu wstrętnym — posiadał wytworność, tak dobrze w rzeczach piśmiennictwa, jak sztuki, wśród których wzrósł i żył, wśród pierwszych, uprawianych świetnie w rodzie, wśród drugich, przez ród nagromadzonych. Każdy rozdzwięk go raził, przebaczał go ledwie, ze względu na ważne zalety. Jan Tarnowski był sam polskim stylistą nadzwyczaj poprawnym, o czystość języka miał dbałość do pedantyzmu posuniętą, a gdy okoliczności go do tego powołały, okazał się mowcą, godnym senatu Rzeczypospolitej, który niejedną przysporzył piękną kartę odradzającej się w naszym kraju wymowie, czy gdy zagajał Sejmy, czy gdy sławił zasługi zgasłych mężów. Mówił jak myślał, działał jak mówił — stanowiło to siłę i piękność jego wymowy. Kształty jej były wyrazem wewnętrznego człowieka i dlatego były nadobne, dlatego przemawiały wdzięcznie do ludzi.

Czuł i wiedział ogół, że ten patrycyusz, ten dostojnik, ten marszałek, ten mowca i pan na Dzikowie, był jednym z tych mężów, podług których można było śmiało, ślepo, kierować swem sumieniem, swym honorem — sumieniem i honorem społeczeństwa, jedno i drugie w jego ręce złożyć i być pewnym, że nietylko na szwank narazonemi nie zostaną, ale że wyjdą z prób i przejść zanie i szlachetnie. Można było istotnie, bo miał wrodzoną odrazę do wszystkiego co niskie, co nieczyste, co niepewne. Opierał się na silnych przekonaniach religij-

nych — rzecz w czasach dzisiejszych niezwykła — nigdy niezachwianych i niezmienionych.

Do równowagi we wszystkim dopomagała mu równość różnych władz duszy. Nie miał rozumu ani mniej ani więcej jak rozsądku, jednego i drugiego ani mniej ani więcej jak uczucia. Ta równość sprawiała, że nie w nim nie biło w oczy. Nie był też to żywot o wielkich wrażeniach, ale o trwałym wpływie, skoro się go zrozumie, zwłaszcza, w naszych stosunkach, należyście i mądrze oceni.

Cale usposobienie Jana Tarnowskiego, dodatnie jego strony i zalety, złożyć się musiały na sumiennosc, górującą nad wszystkim. Stała się ona przysłowiową, była ozdobą jego żywota. Posuwał ją tak daleko, iż nie wolnym był od jej wad. Wytwarzała ona w działaniu publicznem przeszkody; sprawiała, że zbyt się zapuszczał w szczegóły, nawet w drobiazgi, że przy zdaniu trafnem, stanowczem o rzeczach i ludziach nieraz ostrem, niezawsze zdobywał się na odpowiednie mu postanowienie, zwłaszcza spieszne, jak tego często wymaga bieg spraw publicznych, a znowu, że powziąwszy zdanie, nie odstępował od niego, chociaż zmianę wskazywały okoliczności. Giętkim i okolicznościowym nie był. Wierny zasadom i przekonaniom, potrzebował długiej rozważki, aby im dać wyraz; do okresu pary i pospiechu we wszystkim, duch jego nie należał.

Należał do ostatniego u nas pokolenia, którego wychowanie i wykształcenie polskie, dopełnionem zostało francuskim, dlatego niezawodnie, że tego pokolenia nadzieje zwracały się jeszcze w stronę Francyi.

Wychowanie było znamieniem, wysnutem z podwójnej tradycyi rodowej, rzec można historycznej; wykształcenie, pomimo, że się niem nie popisywał, wybornem; zamiłowanie wiedzy ciąglem, co się przyczyniło do wyrobienia sądu i smaku w przedmiotach, któremi napozór nie zajmował się, które przecież żywo przema-

wiały do jego umysłu. Nie obcem mu nie było, choć nie o wszystkim rozprawiał; pilnie szedł za rozwojem duchowym świata, szukając, odpowiednio do wychowania nauki i zadowolenia, w literaturze ojczystej i francuskiej.

Pan na Dzikowie, ziemianin i domator, był wciąż doskonale obznajomiony ze wszystkim, co w dziedzinie piśmiennictwa pojawiało się.

Jest niemal zawsze w życiu chwila, wypadek, szczęście czy nieszczęście, które na szlachetnych usposobieniach wyciska swe piętno. Bohaterski zgon Juliusza Tarnowskiego pod Komorowem w 1863 r., był tym ciosem, który na zawsze zaznaczył w życiu jego brata Jana. Ofiara była ciężką, tem cięższą, że ani na chwilę Jan Tarnowski nie podzielał naszych przemijających złudzeń i że przekonanie o bezużyteczności krwawego haraczu potęgowało w duszy i sercu boleść straty. Ta go już nigdy nie odstępowała. Wytworzyła była w nim żal do wypadków i ludzi, niemi kierujących, żal, z którego może nie wyleczył się, nad którym wzniosłe zapanował. Przebaczył, choć nie przeboleł.

Z wspomnieniem tych smutnych czasów, połączonymi zostaną na zawsze ci dwaj bracia, ich przyjaźń, zgon jednego, rozpacz drugiego i to czułe uczucie starszego dla młodszego, które przetrwało tragiczny koniec drugiego. W tej tkliwej wierności pogrobowej Jana Tarnowskiego dla brata, młodzieńca, pełnego wdzięku, zapowiadającego pociechę dla rodziny, pożytek dla narodu, mieści się znaczna część pięknej duszy pierwszego.

Mniej zespoloną z istotą wewnętrzną człowieka, ale ważną w zawodzie jego publicznym, była chwila, w której objął łaskę. Nietylko zadanie, ale i postanowienie nie było łatwym.

Jan Tarnowski miał zasiąść na krzesło marszałkowskie po mężu pierwszorzędnej wartości, którego zdrowy głos publiczny, przed innymi najbliżsi przyja-

ciela polityczni Tarnowskiego, pragnęli zatrzymać na stanowisku przodującym w kraju, dla jego zalet, zdolności, dlatego także, że ten plebejusz cnotami swemi publicznymi i zasługami był żywym dowodem i uosobieniem odradzania się i wzmacniania naszego społeczeństwa, nowemi czerstwemi żywiołami. Przyjaciele polityczni Jana Tarnowskiego nie mogli się pogodzić z myślą złożenia przez Mikołaja Zyblikiewicza łaski. Tak dzielnie, tak zacnie, z takim animuszem, przed chwilą jeszcze dzierzył ją! Nieprzyjęcie jej przez innych było środkiem, aby on ją zatrzymał.

Zmysł polityczny i sumienie Jana Tarnowskiego co innego mu powiedziały. Trafnie osądził, że Zyblikiewicz, niestety, już był złamanym, że wulkan wypalił się i miał zgasnąć — że wtedy obowiązek nakazywał przyjąć łaskę, aby nie narażać kraju na zwłokę, przesilenia i doświadczenia.

Na najzaszczytniejszem, ale najniewdzięczniejszym w ustroju galicyjskiego życia publicznego stanowisku marszałka sejmowego, Jan Tarnowski oddał na usługi kraju i sprawy wszystkie swoje cnoty i przymioty. Dzieje jego marszałkostwa pozostawiły pamięć, podobną zupełnie do tej, którą współcześni zachowali o człowieku, a która zaszczytnie zapisaną będzie w dziejach jednej polskiej dzielnicy. Niespodzianek tu nie było. Jakim był Jan Tarnowski, takim był marszałek.

Jasnym jest z jego żywota, że za główny, najbliższy obowiązek uważał zachowanie i zabezpieczenie ziemi, widząc w tem umocowanie przyszłości rodu i domu — obwarowanie zatem najlepsze, twierdzy bytu narodowego, strzeżące polskiego społeczeństwa. Tej myśli przewodniej pozostał wiernym na krześle marszałkowskiem, w Sejmie i Wydziale krajowym, i jak pracował całe życie nad wzmocnieniem polskiej rodziny, tak tu oddał się cały ze znajomością rzeczy i przenikliwością, oszańcowaniu kraju.

I tu znowu skutki nie mogły być ani błyszczące, ani uderzające; pozostały trwałymi.

Są sprawy, które gdzieindziej nie miałyby tego, co u nas znaczenia; w naszych zaś stosunkach szczęśliwe ich załatwienie równa się wygranej bitwie. Zapiszę, że pod łaską Jana Tarnowskiego, że za mądrą radą i poparciem Juliana Dunajewskiego, że za gorącem i nieznużonem współdziałaniem już dotkniętego śmiertelną chorobą Artura Potockiego, którego zgon dla kraju istotną stał się stratą, dla przyjaciół nigdy nieustającą boleścią, a za namiestniczych rządów Kazimierza Badeniego — zniesioną została roztropnie i umiejętnie ohydna propinacya; zapisuję z uprawnionem zadowoleniem, bo ci ludzie, i rzecz, którą dokonali, są świadectwem naprawy i ludzi i rzeczy.

Z pełną prawdy prostotą zeszedł Jan Tarnowski z zajmowanego stanowiska, w lecie 1900 roku. Z jakim wdziękiem powrócił do obowiązków zwykłego życia, do Dzikowa, i prezesostwa Towarzystwa Rolniczego krakowskiego, łatwiej było odczuć, niż dziś wypowiedzieć. Nie goniąc, ani nawet poszukując stanowisk, nie usuwał się nigdy od obowiązków i prac, które na niego wkładano. Czynił to z prawdziwie patrycyszowską swobodą, z głębokiem uczuciem obywatelskiem. Jakby chciał zaznaczyć wiarę w istnienie i rozwój zachowawczego w Polsce obozu, przyjął chętnie i z zadowoleniem prezesostwo sejmowej Unii zachowawczej. Należą mu się dzięki — że nie zwątpił.

Dziedzictwo po takim mężu wedle czystej i mądrej myśli polskiej, obowiązuje. Twierdza nad ubezpieczeniem której usilnie pracował Jan Tarnowski, nie odpadnie się w gruzy, ma on bowiem następców.

Jan Tarnowski urodzony 11 stycznia 1835 r., zeszedł z tego świata 11 maja 1894 r. w Dzikowie.

Ubył wtedy jeden ze ścisłego grona szkoły stańczykowskiej, wierny myśli i zamiarowi, w którym powstała.

Pierwszy opuścił nas Józef Szujski.

Jan Tarnowski, acz nie brał bezpośredniego udziału w naszych publicystycznych pracach, należał do nas, nie tylko związkami krwi, ale i pokrewieństwem z wyboru. Był jednym z tych, na którego sąd oglądaliśmy się, z którego zdaniem liczyliśmy się. Myśmy pisali, on robił, a to co robił, więcej było warte niż to, co pisaliśmy.

Niech jego żywot posłuży przyjaciołom naszym, oraz niechętnym czy uprzedzonym, za świadectwo, czego życzyliśmy sobie, czego życzymy sobie w naszych twardej stosunkach narodowych, co poczytujemy za dobre i zbawienne dla naszego społeczeństwa i dla naszej dzielnicy.



Wspomnienia pośmiertne, nekrologi są koniecznością. Przypominają zbyt często płaczki starożytności, które z urzędu zanosily się od łez i łkania na pogrzebach. Wymagają wyjątkowego nastroju, nawet kiedy są szczeremi i umiejętnego nieraz sztucznego splatania smutku z pochwałą. Stanowczo nie dają podobnego wizerunku człowieka i stosunków. Są niemiknionemi, czasem budującemi, mało kiedy nauczającemi.

Nie płaczek starożytnych lzy wylali nad grobem Ludwika Wodzickiego towarzysze i przyjaciele. Ich boleść była prawdziwa, głęboka, tęsknota na zawsze od nich nieodłączna. Wśród smutku i żalu przyświecał im jego przykład. Jak on zawsze i wszędzie, we wszystkim i ze wszystkiego szukał pożytku dla sprawy publicznej, tak oni pragnęli z jego żywota przynieść korzyść społeczeństwu i krajowi, przedstawiając go nie przy odgłosie trąby pogrzebowej, z trójnoga lub mownicy, ale w prawdzie życiowej, w świetle czynów jego i wypadków współczesnych, i polecili to zadanie jednemu z tych, co najściślej byli z nim złączeni zobopólną wiernością.

Nieby nie było pożyteczniejszego, bardziej nauczającego, jak ująć dzieje polskiej dzielnicy pod berłem Habsburgów od wypadków, które ją na nowe wprowadziły tory, w wizerunkach ludzi, co jej przewodniczyli i na różnych polach streścili w sobie jej życie.

Takie Plutarcha opowiadanie chociaż nie o plutarchowych ludziach, wryłoby się od pierwszych lat

w pamięć młodego pokolenia, niezawodnie rozgrzałoby do naśladowania, do wytrwania na drodze przez tamtych wytkniętej, do upodobania sobie zawodów, na pozór nieraz niewdzięcznych lub twardych, lecz ukrywających w sobie zasługę. — Każdy wybrałby sobie wzór do naśladowania, zasługę do osiągnięcia. Całość tych wrażeń i tych dążeń niedalekiej przeszłości wlałaby w społeczeństwo zdrowia wiele, siły niemało.

Jak starożytnych historyk, porównywał Greków z Rzymianami, należałoby postawić w ramach skromnego życia polskiego obok wizerunków ludzi z czasu odrodzenia w Galicyi postacie tych, którzy znaczyli w Królestwie Polskiem od 1815 do 1830 r. — Zachęta do służby publicznej i poświęceń dla wspólnej sprawy nie powinna być czerpana wyłącznie z okresów bohaterskich. Jest służba, są poświęcenia potrzebne w pewnych czasach, a w nich tkwi nieraz więcej męstwa, odwagi i siły, niż w epicznych walkach.

Do mężów znaczących i zasłużonych przy odrodzeniu w Galicyi należy Ludwik Wodzicki.

Cheć podać jego wizerunek.

Nie schlebiam sobie, abym zbliżył się do niezrównanej prostoty i wdzięku Plutarcha. Usiłować będę, aby wizerunek był podobny, aby o człowieku mówiły czyny, o okresie wyobrażenia, obyczaje, zdarzenia. Zbywać będzie opowiadaniu na mistrzostwie pióra, bogatym będzie — prawdą. Ona jedna stanowić może piękność pomnika, który poświęcić zamierzam pamięci tego, co brzydził się kłamstwem; ona jedna godną jest tej pamięci.

Ludwik hrabia Wodzicki

z Tyczyna.



ROZDZIAŁ I.

Pochodzenie. — Młodość. — Mentor. — Kraków 1850—1853.
Paryż i Kraków 1853—1855. — Wiedeń 1855—1856. —
Podróże 1856—1858. — Człowiek.

W Krakowie 19 sierpnia 1834 r. urodził się Ludwik Wodzicki, ze związku małżeńskiego hrabiego Aleksandra Wodzickiego z Izabellą Jędrzejowiczówną. Pochodził z rodu zasłużonego, herbu „Leliwa“, patriotyzmem ożywionego, już możnego, z Krakowem i jego dziejami zespolonego, z pierwszymi w Polsce rodzinami połączonego i spokrewnionego. Wodziccy byli zawsze przeważnie ludźmi rozumnymi, nieraz miłego dowcipu.

Matka odznaczała się wdziękami; ojciec rycerskością, pospieszył był do Grecyi i brał udział w wojnie o oswobodzenie — były to czasy, w których Polacy mniemali, że walcząc o wolność innych, zdobędą własną niepodległość. Potem wstąpił w szeregi powstania listopadowego; owdowiawszy, złożony ciężką niemocą, przekazał opiekę nad synem i majątkiem szwagrowi, Janowi Jędrzejowiczowi, który, jak on walczył w wojnie 1830—1831 roku z odznaczeniem, przeważnie pod Dem-

bińskim, wytrwale i dzielnie, a teraz zaliczał się do najpatryotyczniejszych, najbardziej poważanych w Galicyi obywateli. — Zaczernie pod Rzeszowem, jego siedziba, było miejscem zbornem dla okolicy; stamtąd rozciągnął czułą, rozumną opiekę nad siostrzeńcem i jego opodał położonym majątkiem Tyczynem.

Wodzicki chował się u swego dziada Jędrzejowicza i jego żony w Zaczerniu, częścią we Lwowie. — Rosnąc wśród rodzinnych wspomnień, przykładów i wpływów, z trudnością mógł inaczej sobie przedstawiać patryotyzm polski, jak w mundurze ulana. Przez Wodzickich stykając się ze światem magnackim, przez Jędrzejowiczów z obywatelskim i szlacheckim w najlepszym jego wyrazie; przez pierwszych z życiem miejskim i stolicą, przez drugich z wiejskim i dworów zamożnych, odczuł wpływ tych dwóch żywiołów, każdy z nich wycisnął na nim właściwe sobie piętno; przez całe jego życie i zawód znać było w nim oddziaływanie domu Wodzickich w Krakowie i dworu w Zaczerniu. Dzięki temu, iż bogato był uposażony od przyrody, wziął z jednego i drugiego, co było w nich najlepszego, zrównoważył i doprowadził do cennego zgododźwieku, niepozabawionego wdzięku. Zespolenie tych dwóch pierwiastków stanowiło samorodność nieraz misterność jego istoty.

W owych czasach istniał jeszcze w społeczeństwie polskim Mentor, bardziej zapewne podobny do nauczyciela Telemaka Fenelona, niż do tego, pod którego postacią ukrywa się w *Odyssei* Minerva, zajmujący przecież nie małe miejsce w wychowaniu młodzieńca. Mentor był wtedy kierownikiem, nauczycielem, przede wszystkim towarzyszem, i zwykle stawał się dozgonnym przyjacielem. Takim Mentorem Ludwika Wodzickiego stał się od roku 1848 Leonard Stawski. Spisokwiece oczywiście i więzień, gdyż takich wybierano wówczas najchętniej na kierowników młodzieży, upatrując

w ich przeszłości najlepsze rękojmię patriotycznego wychowania. Stawski przecież należał do tych, co zaczępnęli byli we własnych doświadczeniach przekonanie o bezużyteczności, o szkodliwości robót spiskowych, a zachowali żywość i świeżość uczuć polskich. Prawy nad wszelki wyraz, cnotliwy, jak' mnie, podejrzliwy nieco, jako dawny spiskowiec, dobroduszny, jak polski szlachcic, wykształcony, zwłaszcza w rzeczach narodowych, bogobojny: był on pod każdym względem na wysokości zadania, tylko nigdy sprostać nie mógł figlom, które młodość zwykła płatać Mentorom.

Trudnoby oznaczyć dokładnie, ile wpłynął na wyrobienie młodzieńca, to pewna, że bardzo pocziwie i że umiał w nim rozwinąć piękny przymiot wdzięczności, którą do końca zachował mu Wodziecki, która wytworzyła dożgonną, stałą, rozczulającą między nimi przyjaźń.

W towarzystwie Stawskiego przybył Ludwik Wodziecki w 1850 roku do Krakowa dla dalszych nauk; wstąpił w gimnazyum św. Anny do siódmej klasy. — W tej samej byli Zoll, Kasznica, później profesor „Szkoły Głównej“ w Warszawie, Alfred Milieski i August Gorayski, odrazu i do zgonu jego nierozdzielny przyjaciel. Egzamin *maturitatis* zdał w jesieni 1852 roku. Pierwszy rok uniwersytetu przepędził na wszechnicy Jagiellońskiej. Uczył się dobrze, czasem pilnie, zawsze z bystrością i upodobaniem, bez tych jednak nadzwyczajnych odznaczeń, które często w przyszłości zamieniają się w zawody. Od pierwszych chwil żył życiem umysłowem, wszystko go wiecej zajmowało, nic z dziedziny duchowej nie było mu obojętnem. Było to znamieniem tego pokolenia, że wszystko czuło i odczuwało, rwało się do wszystkiego, co lepsze, co wznioślejsze, co piękne i niepospolite, czasem *ad sidera* więcej, niż się gruntownie i dokładnie, ściśle uczyło. Więcej książek czytało, niż nad książką śleczyło. Literatura, zwłaszcza wiecej polscy wieszcz, po nich niemiec, po nich Alfred de

Musset, przed innemi Shakespeare, przeważnie w życiu młodzieży zajmowali miejsce.

Znanem jest, że salony krakowskie sływały z tego i że o to oskarżano je, iż zapraszały uczącą się młodzież, że ją od ławek uniwersyteckich nawet szkolnych odwozily. W zasadzie zwyczaj taki może być nagannym i szkodliwym, młodzież jednak z onych czasów świadczy, że niema reguły bez wyjątku. Z owych światowych zaków i słuchaczy — z małymi wyjątkami — wyrosli ludzie, zaznaczyli się w życiu użytecznie lub świetnie, wszyscy niemal stosownie do okoliczności spełnili, lub starali się spełnić powinności, obowiązki, zadania obywateli i Polaków. Ale bo też ówczesny świat krakowski był — może przedwczesnem — niewątpliwie przecież dopełnieniem niepospolitem wychowania młodzieży; kształciła w nim rozum, nabierała oglądy. W salonach spotykała się z Adamem Potockim, Leonem Rzewuskim, Jerzym Lubomirskim, Władysławem Sanguszką, Henrykiem i Kazimierzem Wodzickimi, kasztelanem Wężykiem, Piotrem Michałowskim, Franciszkiem Paszkowskim, Pawłem Popielem, Romanem Żaluskim, Sobolewskim, pułkownikiem Badenim, Zygmuntem Helclem, Maurycym Mannem, Lucyanem Siemieńskim, Leonem Chrzanowskim, Wincentym Polem, ludźmi w różnych kierunkach i zawodach znakomitymi lub pierwszorzędnymi; jeszcze z Chłopickim, później nieco ze Skrzyneckim, z biskupem Łętowskim, równie światłym jak dziwacznym, z rektorem Jakubowskim, Walerym Wielogłowskim, który siedząc cały dzień w swojej księgarni, przemienił ją w salon i dawał przykład, że do wszelkiej godziwej pracy szlachta zaprządz się winna; z wesołym dowcipem braci Skorupków; widziała tam młodzież wzór poświęceń i ofiarności patryotycznej w Piotrze Moszyńskim; przesunął się przed jej oczami od czasu do czasu margrabia Wielopolski i od niechcienia rzucał

w kształt niezwykle ujęte myśli głębokie, które na zawsze pozostawały w pamięci.

Oglądy nabierała młodzież w domach: gościnnym zarówno jak światowym Henrykostwa Wodzickich, w przodującym „pod Baranami“ Potockich, gdzie królowała, wszelkimi cnotami i przymiotami od dobroci do uprzejmości bogata — pani Arturowa; w książąt Sanguszków domu o europejskim zakroju, gdzie już ukazywała się księżniczka Helena, co współczesnych oczarować miała, nie tylko niezwykłą pięknnością, także niewypowiedzianym wdziękiem, wzięciem wytwornem i nie głośnym, lecz niemniej istotnym i uroczym dowcipem kobiecym; w pałacu księżnej Teresy Lubomirskiej, gdzie odnajdowała polsko-francuską tradycję; u Piotrostwa Michałowskich, gdzie grywano Racina i gdzie podziwiać można było rozum i twory pędzla pana domu; u Michałostwa Badenich, gdzie kwitł staro-polski i staro-krakowski obyczaj; u pani Gabryeli Tarnowskiej, gdzie się młodzież spotykała ze wspomnieniami cztero-letniego Sejmu i powstania listopadowego; u wojewodzianek Małachowskich, które przedstawiały wielki świat z czasów Królestwa Polskiego i księżnej Łowickiej; na Szlaku, gdzie pani Taidy Rzewuskiej dowcip kazal się mieć na baczności; u generałowej Skrzyneckiej, gdzie był odblask zachodniej cywilizacyi, świeżo z Brukseli przeniesionej; u księstwa Jabłonowskich, gdzie gwałtowność księcia czasem odstraszała, lecz uprzejmość księżnej przyciągała; u księstwa Augustów Sułkowskich, którzy zjeżdżali z Rydzyny, aby dać kilka pięknych balów — u wielu innych, którzy do ogólnego nastrajali się poziomiu i sposobu. — Wśród ówczesnej młodzieży, co się o tych ludzi ocierała, a w tych salonach przecierała, jedno z pierwszych miejsc zajął zaraz Ludwik Wodzicki, raczej Lulo, jak go niemal do końca życia zwykli byli nazywać towarzysze z onych czasów; do tej młodzieży należeli Tarnowscy z Dzikowa, Badeniowie z Branic,

Gorayscy z Moderówki, Michałowscy z Krakowa i Witkowie, Rodryg Potocki z Chrzastowa, Włodzimierz Cielecki z Podola, Popiele z Kurozwęk, Sanguszkowie z Gumnisk, Ostrowski Stanisław, Alfred Milieski, Suchodolski, syn malarza, Kasznica i inni. — Zajrzyjmy w dzieje późniejsze społeczeństwa, przekonamy się, że w wszystkich prawie odnajdziemy jako ludzi właściwych na właściwych miejscach.

Piszący pamięta ten zastęp młodzieży od 1852 roku, w którym się z nim połączył i pozostał do połowy 1853 r. Niezawodnie czas wśród niego przepędzony na każdym wycisnął swe piętno, na Wodzickim bardzo wyraźnie. Serdeczne panowały między tą młodzieżą stosunki, pomimo częstych różnic zdań, dla większości przemieniły się w stałe związki przyjaźni.

Pobył w Krakowie zakończył się wspólną wielką wyprawą do wówczas ani tak dobrze, jak dziś znanych, ani tak przystępnych Tatr, z mentorami na czele. — Podczas wycieczki, zacięte, nieskończone toczyły się rozprawy i walki o klasyków i romantyków. *Wallenrod* i *Oda do młodości*, *Ziemiaństwo* i *Barbara Radziwiłłówna*, Słowacki i Osieński, sądy o nich i zdania najskrajniejsze, odbijały się echem od skał Zakopanego. Po powrocie do Krakowa, rozjechano się, aby się w innych miejscach i odmiennych okolicznościach spotkać.

Ogólnie przyjętym zwyczajem kto mógł i kto nie mógł, dążył — dla zakończenia nauk — do Paryża. Ze Stawskim przybył tam Ludwik Wodzicki w 1854 r., w Towarzystwie Jana Tarnowskiego z Dzikowa. Dwóch przyszłych polskich marszałków szukało światła w sławionej od wieków z powabów Lutecyi. Znaleźli się w gronie polskiej młodzieży, wśród której Aleksander Fredro (syn) i Poninski budzili zazdrość, że się już na Węgrzech bili. Leon Kapliński, Rodakowski, zdobywający sobie sławę artysty, Franciszek Mycielski, Bujno, Potworowski, Kastory, mentor księcia Marcelego Czar-

toryskiego i kilku innych, dopełniało pełne przyszłości, przejęte potrzebą działania, zdziałania i odznaczenia się grono. Był tam już znany i odznaczający się Julian Klaczko; świetność jego rozumu i wiedza, równe im, szlachetność i wzniosłość uczuć, oddziaływały na ten zastęp młodzieży; ktokolwiek do niego się zbliżył, uległ wpływowi, urokowi jego umysłu i serca i coś z Klaczki, czasem bardzo wiele, zostało mu się na całe życie.

Tam się zaczęła piękna, czuła między Wodzickim a Klaczką przyjaźń, która przetrwała wszelkie publiczne i inne zawody lub powodzenia i którą wzajemnie wspierali się w życiu.

Nad tym świątkiem czuwał i przygarniał go, bardzo piękny, bardzo wytworny francuski i polski, wielkoświatowy i emigrancki salon, niezwykłych przymiotów, bogato uposażonej księżnej Marceliny z Radziwiłłów Czartoryskiej.

Były to początki wojny krymskiej, wielkości, uroku i wpływu Napoleona III. Z wyrzutem — jak gdyby mógł na to poradzić — zwracaliśmy się do Klaczki:

— „Jakto, wojna wypowiedziana Rosyi i o Polsce niema mowy!”

— „Poczekajcie, poczekajcie — odpowiadał nam — to dopiero początek“.

Ten zastęp polskiej młodzieży, co przyjechał — nauk dokończyć — nie dokończywszy ich wcale, rozjechał się. Jedni dla zmiany, udali się na niemieckie uniwersytety, inni w różne strony świata. Wodzicki powrócił do Krakowa 1854—1855 na uniwersytet i tam spotkał się znowu z przyjacielem Gorayskim. Nie dokończywszy i tu nauk, pospieszył do Wiednia wraz ze Stanisławem Tarnowskim i Tadeuszem Pilińskim 1855—1856 r. Byli to nierozłączni towarzysze, dokończający nauk. Z zewnętrznych wrażeń największe wywołał dla nich teatr Burgu. Stał wtedy u szczytu swej wartości i sławy. Pani Rettich, panowie Anschütz,

Fichtner, Löwe, La Roche, panie Seebach, Neumann i wielu innych przedstawiali Schillera, Lessinga, Goethego, zwłaszcza Shakespearą, z głębszą myślą i głębsze budząc myśli. Wszystkie rozmyślenia i rozprawy pierwszej młodości, stały żywo przed oczami polskich paniczów. Te świetne przedstawienia wryły się w ich pamięć i one także wywarły wpływ na ich umysłowe usposobienie, na artystyczne upodobania, na rozwój ich rozumu, na ich w wielu przedmiotach zapatrywania. Zawsze można było ślady tego wpływu odnaleźć nawet w ich uprzedzeniach.

Mniej lub więcej dokładnie ukończywszy nareszcie nauki, należało jeszcze dopełnić wychowania.

I znowu dwaj przyszli marszałkowie Jan Tarnowski i Ludwik Wodzicki ruszyli w podróż do Włoch, do Szwajcaryi w 1856 — 1857 r. Wodzicki lubił przezwycięzać trudności, był ich ciekaw równie, jak coraz nowszych wrażeń, puścił się na Mont-Blanc, ale przyszła mgła i musiał wrócić do Grand-Mulet. Potem druga podróż ze Stanisławem Tarnowskim 1857 — 1858 r. do dalekich krajów ani tak zwyczajnych, ani tak wówczas przystępnych, jak teraz. Przez Paryż do Hiszpanii; z Gibraltaru do Aleksandryi, do Kairu i Egiptu; na wielkanoc do Jerozolimy, do Ziemi świętej, konno do Damaszku, stamtąd do Bayrutu, stamtąd do Konstantynopola. Powrót przez Tryest. Odrysowały się podczas podróży od Alhambry do Piramid i Bosforu różnice usposobień, skłonności, powołań, upodobań. — Tarnowski jeszcze się uczył, Wodzicki już życie rozpoczynał; w jednym tkwił myśliciel, pisarz, erudyta, prezes Akademii; w drugim człowiek czynu, polityk, marszałek. Obaj skorzystali znacznie, rozwinęli w sobie zdolność myślenia, sądu, porównywania, a Wodzicki zwłaszcza zadość uczynił w pełnej mierze wrodzonej i rosnącej skłonności do życia światowego, towarzyskiego.

Teraz nastąpił powrót do kraju; rozpoczęło się życie czynne i obowiązkowe.

Jak każdy niemal polski majątek, ten, który miał spaść na Wodzickiego, był zachwiany; nadwreżyły go wyprawy i walki ojca o dobre sprawy. Do ładu doprowadził go wuj Jan Jędrzejowicz, czysty i piękny oddał w ręce powracającego młodzieńca.

Możemy teraz powiedzieć, jakim już był, jakim obiecywał być i jakim się stał Wodzicki.

Zaznaczyliśmy dwa główne wpływy, które oddziaływały od młodości na niego — Zaczemie i Kraków. Spotkały się w dość silnej istocie i wytworzyły człowieka.

Stąd dwoma znamionami Wodzickiego były, patriotyzm i światowość. Patriotyzmem, bardzo rozwinięciem uczuciem honoru i światowością zdawał się należeć jeszcze do czasów Księstwa Warszawskiego. Było w nim coś z rycerskości i zalotności ks. Józefa Poniańskiego, Artura Potockiego, Franciszka Morawskiego. Kochał kraj i sprawę, ich dobrą sławę, lubił towarzystwo wytworne. — Stąd dar wrodzony i wyrobiony rozmowy zarówno z mężczyznami i z kobietami o najpoważniejszych rzeczach i o niczem. Zachował do końca zdolność i bystrość niezwykłą w polityce, umiejętność światową. Był politykiem z obowiązku i ze skłonności; człowiekiem światowym z nałogu. Stąd przekonywać i kierować ludźmi zarazem podobać się umiał; stąd pracował i był towarzyskim, stąd w nim wyrobione zdanie, w potrzebie silna wola, zarazem ogląda i wygórowana wykwintność nie tylko w obejściu, ale i w uczuciach; stąd szlachetność wielka i takt wysmienity; stąd ceniony i lubiany; stąd Ludwik i Lulo. Powierzchnowości ujmującej, rysów pięknych i kształtnych, chodu nieco zaniebanego, kiwał się idąc, miał wzięcie mile nawet urocze. Wiele męskości przy łagodności, w potrzebie słodycz. Raziła go pospolitość, rozumiał, że wszystko niepospolitem być nie może. Nawet przyganiać lub karcieć

umiał przyjemnie, z wdziękiem serca, bez pychy nieomylności. Jak nikt, był przyjacielem, troskliwy, pamiętny, wierny, przezorny, serdeczny bardzo, bez zewnętrznych oznak, gotowy zawsze do obrony i wtedy nawet gdy napominał, nie potępiał. Zdolność, powiedzmy umiejętność przyjaźni doprowadził do doskonałości. — Uczynny w szerokiej mierze, zdolny do poświęceń, ofiarny na każde zawołanie dla rzeczy publicznej najpierwej, dla nędzy i nieszczęścia także. Nieszlachetnym nigdy być nie umiał, zatem ani z przeciwnikami, ani z nieprzyjaciółmi, a tak dalece wszelka nieszlachetność była sprzeczną z jego istotą, że w tem zasługi nie miał. Zemsty, mściwości, zazdrości, podstępu, chęci podkopania i szkodenia w całym życiu i zawodzie śladu też niema. W politycznym działaniu karność był wzorem i żadnego nie kosztowało go to wysilenia. Zajęte stanowiska szanował, czasem do przesady, nigdy nikogo nie chcąc z nich spychać, nie pozwalając, aby inni spychali. Nie umiał mówić: *Ote-toi de là pour que je m'y mette*, ani jak się to często u nas zdarza: *Ote-toi de là pour que je ne m'y mette pas*. Rozum miał rozważny, nieraz bystry; łatwość rozpoznawania się w zawitych położeniach, równie jak w obowiązku publicznym; umiejętność udzielania rady tak, aby wysłuchaną była. Nietylko jednał sobie ludzi, umiał wzbudzić w nich zaufanie do siebie.

Mówiono o nim, że ma szczęście do ludzi i że to człowiek szczęśliwy.

Na czem to szczęście przez lata polegało przeważnie?

Na rzadkiem usposobieniu wewnętrznym. — Pogoda ducha i szlachetność serca, wytworzyły optymizm wyjątkowy. Był to w czasach pesymizmu niezachwiany, niezrażony optymista. — Co za dobrodziejstwo dla niego i dla innych! I na tem polegało prawdziwe jego szczęście i szczęście do ludzi; bo ten jego optymizm był tak

szczery, że dla niego i dla innych miał wdzięk prawdy i siłę przyciągającą rzeczywistych powodzeń. Sam był zadowolony z terażniejszości, przyszłość w różowych widział kolorach; w najczarniejszych godzinach dodawał każdemu otuchy.

Wszystko co miał, cenil sobie z dzieciinną niemal radością; radość innym sprawiać, było dla niego przyjemnością. Może przez optymizm, umiał być i pozostać przyjacielem, ale ten, w tem jednym, go nie zawiódł, bo miał istotnych i prawdziwych przyjaciół.

Z temi przymiotami i darami wstępował w czynne życie. Mógł mieć ułomności i niedostatki, wad nie miał.

ROZDZIAŁ II.

Tyczyn. — Księżna Marcelina Czartoryska. — Rok 1859. — Początki życia publicznego. — Lata 1860 i 1861. — Hotel Lambert. — Towarzystwa Rolnicze. — Deputacja do Wiednia. — Autonomia i jej obowiązki.

Kiedy Ludwik Wodzicki osiadł w Tyczynie, drewniany tam dwór i murowana oficyna stały się punktem zbornym młodzieży. Wodzicki posiadał siłę przyciągającą, lubił gromadzić rówieśników, nie przybierając postawy przewódecy lub *princeps juventutis*.

Wielu z tych, których widzieliśmy w Krakowie i Paryżu, stanowiło grono tej młodzieży; przybywali nowi; wytwornego rozumu, obszernej wiedzy, nieśmiały bardzo i miły, zbyt wczesnie zgasły kolega Wodzickiego z Wiednia, Tadeusz Piliński; zdolny i przyjemny Władysław Jabłonowski; bardzo dzielny, ładny i niezwykle Ireneusz Załuski; młodszy nieco Jan Stadnicki; starszy Szawłowski, owdowiał po Tarnowskiej, szlacheckiej dziarckości i polskiego dowcipu pełny; wreszcie inni. Mało jeszcze młodzież ta zajmowała się polityką, ale

była na wskrós patryotyczną; dla niej także patryotyzm przedstawiał się w postaci ułana z Księstwa Warszawskiego lub 1830 r.

Przedewszystkiem życie umysłowe, książki, przeglądy, literatura, poezya, sztuka, historia, były jej żywiołami. Możliwością utworzyć bibliotekę z tego, co to grono źle lub dobrze przeczytało wówczas. W dzień polowanie, koń, fechtunek; wieczorami rozprawy, ścierania się zdań, czasem namiętne, o wszelkich rzeczach, ze wszelkich dziedzin życia i myśli ludzkiej, którym zwykle przewodniczył duch nieobecny Klaczki, które niezawodnie nie zbliżały się do rozmów w willi Careggi, miały przecież, z uwzględnieniem stosunków, czasów, miejsca i ludzi, pewne dążenie i zakrój odrodzenia.

Kiedy chciało odetchnąć powietrzem krajowem i spraw publicznych, zasięgnąć rady, udawało się grono na niedzielę do Zaczernia, do pana Jana Jędrzejowicza.

Zimą młodzież ta spotykała się w Krakowie, gdzie już ze spokojnem sumieniem oddawała się życiu światowemu. Przewodzącą wśród niej miejsce zajmował Ludwik Wodzicki w salonach krakowskich i warszawskich, świetne, uprzywilejowane, mogące budzić niejedną zazdrość, w gronie przyjaciół wywołujące tylko podziw.

Była to chwila dla młodzieży, o której mówimy, beznadziejnego wzdychania do niezwykłym urokiem otoczonej, pięknej nad wszelki wyraz księżniczki Heleny Sanguszkówny. To powszechne uwielbienie było czemś więcej, jak modą, miało siłę przekonania, czasem zagorzałości; tak dalece, że niektórzy upatrywali wdzięk nadzwyczajny, właśnie w beznadziei. Rozmarzenie było ogólne, przybierało rozmiary epidemii. Wodzicki — może, aby się od innych odróżnić — długo się opierał, w końcu, jak inni, uległ nieco rozmarzeniu. — Księżniczka Helena zaznaczyła się jako ideał niedoścignięty piękności i kobiecości w życiu, przeznaczeniu i wspomnieniach ówczesnej młodzieży.

Przybył w 1858—1859 do Krakowa nowy, a nie-malego znaczenia i uroku żywioł, salon księżnej Marceliny Czartoryskiej.

Zjeżdżała do starego grodu z posłannictwem na pół politycznym, na pół towarzyskim. Gubernatorem w Krakowie był Henryk hr. Clam-Martinitz, człowiek światły, prawy, wykształcony, bardzo zachowawczy i katolicki, już nieco autonomiczny, chociaż centralistycznemu służył rządowi. Miał pełną wdzięku, przymiotów, rozumną, uprzejmą, światową i bardzo ładną małżonkę urodzoną Salm. Dom ich pociągnął do siebie towarzystwo krakowskie.

Była to na owe czasy, ze stanowiska dogmatyki patriotycznej rzecz niesłychana, kacerstwo. Upatrywano w tem objaw upadku ducha i obawiano się, co powie na to Europa.

Księżna Marcelina Czartoryska miała swoją obecnością i salonem przeciw kacerstwu działać.

Rozpoczęła się cicha, następnie głośna między jej salonem a Clamami walka. Księżna usiłowała odwieść, zwłaszcza młodzież, od bywania u gubernatorstwa. — Z obu stron szukano sprzymierzeńców.

Wielka pani, wielka artystka, uczennica i niezrównana wykonawczyni Chopina; wielki umysł i wielka dusza, składały się na księżnę Marcelinę Czartoryską. Była to osoba bogato uposażona rozumem i sercem, przytem wyjątkowa, do nikogo niepodobna, samorodna nawet w pewnych pozorach zewnętrznych przesady, która daleką była od jej pięknego ducha; zresztą od-cieni pełna, lecz tak zawsze i wszędzie, w każdym położeniu i okresie życia, „w każdym calu“ niepospolita, że jej wyższość miała siłę przyciągającą, zarazem moc oddziaływania. Nie ustrzegł się, kto chciał, jej wpływu. Ujmująca i uprzejma, bez piękności czarodziejka, w rozmowie mistrzyni jak na fortepianie, rozumiejąca wszystko, choć niezawsze wszystko rozgrzeszała, zdolna do

poświęceń, w razie potrzeby umiejąca podnieść rękawicę lub ją rzucić i prowadzić walkę czy to w salonie, czy na polu politycznym, lub religijnem. Były w niej może żywioly damy z *Ligi* lub *Frondy*, została dobroczynną panią chrześcijańską i polską, zawsze wielkowsiatową w obejściu, wtedy nawet, gdy niemal już zakonne prowadziła życie. Księżna Marcelina Czartoryska przybywała do Krakowa z całym urokiem patryotycznego posłannictwa i z całym wdziękiem zachodniego wykształcenia.

A przecież podjęta walką nie była łatwą; miało się do czynienia z dokonaną rzeczą przyjęcia gubernatorstwa austriackich do towarzystwa polskiego, z niechęcią tych, których obrażała nauka, dana przez zamiejscową nauczycielkę, wreszcie z istotną wartością Clamów, bardzo z wdziękami i miłym umysłem hrabiny Clam.

Była chwila, w której walka stawała się dramatyczną.

Ludwik Wodzicki już w Paryżu znany był i ceniony przez księżnę. Nie mógł, nie chciał — może z żalem — jak stać w jej obozie, a z nim tyczyński zastęp młodzieży.

Powoli, stopniowo poczęła się wytwarzać próżnia około Clamów; młodzież z początku próbowała, nie opuszczając ich domu, przebywać w salonie księżnej, lecz nielatwem to było i w końcu tylko najgorętsi wielbiciele pani Clam. odwiedzali ją ukradkiem, w tajemnicy przed księżną.

Księżna zwyciężyła, zwyciężył ówczesny duch Klaczki i Kalinki, *Wiadomości Polskich*.

Odąd wpływ księżnej Marceliny Czartoryskiej na Wodzickim i gronie młodzieży, z nim żyjącej, był widocznym i jak Klaczko, tak i ona zaważyła w jej wyobrażeniach i zapatrywaniach. Z Wodzickim złączyła tę dostojną panią wierna przyjaźń.

Rok 1859 z wojną włoską i postawieniem zasady narodowości przez Napoleona III, był przełomem w życiu duchowem i patryotycznym Wodzickiego, oraz młodzieży tyczyńskiej. Zaczęła na dobre politykować w rozmowach i rozprawach; odrazu wszystkich ogarnął urok, podbił wpływ Napoleona III, wszystkich oczarowały widoki, wynikające z zasady narodowości. Rzucone już było ziarno napoleonizmu powtórnego, który miał w Polsce tak bardzo wybujać. Zaczęło się palić w głowach. O literaturze, o sztuce można latami rozprawiać, przecież ani nie napisać, ani nie wymalować. Z polityką rzecz się ma inaczej, od słów do czynów zawsze blisko. Czynów! Ale jakich, gdzie, w jakim kierunku? Oczywiście nie wybila była godzina istotnych, dodatnich dla Polaków. Była to dla młodzieży męczarnia; musiała szukać i wytwarzać sobie sztuczne do nich sposobności. Ile pomysłów, ile zamiarów, ile zapędów powstało wtedy, nie już w rozmowach, ale w naradach tyczyńskich, dzisiejszemu pokoleniu trudno odgadnąć, trudniejby jeszcze przyszło zrozumieć.

Przytoczmy jeden przykład, jako dający wyobrażenie ówczesnego usposobienia.

Po długich naradach Wodzickiego z piszącym, stanęło na tem, że korzystając z klęsk we Włoszech i ogolnienia Krakowa z wojska, spróbujemy przywrócić Rzeczpospolitą krakowską, śmiałym zamachem, który nie tylko wskrzesiłby republikę kongresu wiedeńskiego, ale przedewszystkiem przypomniał — oczywiście Europie — że jest sprawa narodowości, która się zwie polską, że wreszcie, jeżeli się broni traktatów wiedeńskich we Włoszech, nie należy ich gwałcić w Krakowie. Dla dopełnienia obrazu, dodajmy, że zamierzaliśmy obwołać prezesem Rzeczypospolitej, już starego, nieco głuchego, ale bardzo patryotycznego i znanego z nienawiści do Austryaków, hrabiego Morsztyna. — Wśród tego szalu było jednak na tyle roztropności, że postanowiliśmy nie

rozpoczynać żadnego działania, przed poradzeniem się kierownika *Czasu*, Maurycego Manna.

Mann dał bardzo rozumną i psychologicznie obmyślaną odpowiedź, rzekł, „iż w tem jest myśl, lecz że nie pora jeszcze wykonania jej; gdy nadejdzie, obiecuje, że da znać i zawezwie nas“. — Z niezrównaną, właściwą mu wykwiutnością, zachował rzecz w tajemnicy. Równie na niczem spelzła całonocna narada, w której rozbie-rano pytanie: czy nie należy podążyć w szeregi Gari-baldezyków. Dowcipnie mówiła potem pewna pani, uśmiechając się nieco złośliwie, „że widocznie noc przy-niosła dobrą radę, pozostania w kraju“.

Nadmienię jeszcze, że wskutku prawdopodobnie zapytania rządu francuskiego, wezwano z Hotelu Lambert Wodzickiego, aby się w Prusiech zjechał z Hora-cym Delaroché, wiernym sprawy polskiej przyjacielem. Szło o zbadanie i dowiedzenie się, jakby zapatrywano się w kraju na przyłączenie Galicyi do Królestwa Pol-skiego. — Wodzicki podążył na wskazane miejsce; za-warcie pokoju w Villafranca uczyniło bezprzedmioto-wem i narady i działanie w tym kierunku.

Przed istotniejszymi, mnej wrzekomemi zadaniami stanął niebawem Wodzicki.

Z jednej strony, po postawieniu zasady narodowo-sci, Hotel Lambert książąt Czartoryskich, począł się krzątać około podniesienia sprawy polskiej; z drugiej, zmiany wewnętrzne w Austrii powoływały do czynnego życia publicznego.

W lecie 1860 r. Hotel Lambert wezwał do Paryża L. Wodzickiego i Jana Tarnowskiego w celu porozu-mienia się co do założenia Biura Paryskiego. Wkrótce po ich powrocie przybył do Galicyi, po raz pierwszy, ks. Władysław Czartoryski. Chciał poznać kraj, zetknąć się z ludźmi; oczywiście zetknął się przede wszystkim z gronem tyczyńskim, którego wielu członków różnemi stosunkami złączonych już było z rodziną książąt Czar-

toryskich, z *Hotelem Lambert*, z *Wiadomościami Polskimi* emigracyjnem pismem, wydawanem przez Kallinkę i Klaczkę w Paryżu.

Ks. Władysław Czartoryski ani rozgrzewał, ani ludził. Trzeźwo zapatrywał się na położenie, sumiennie z niego zdawał sprawę. Na teraz widoków podniesienia sprawy polskiej niema — mówił — ale powstać mogą. W kraju praca i spokój są potrzebne, w Paryżu wyczekiwać musimy sposobnej chwili; jedynie na opinię publiczną europejską działać nam należy, do tego potrzebne są doniesienia z kraju i pieniądze; aby kraj utrzymać w pracy i spokoju trzeba, żeby dobrze i dokładnie był zawiadomiony o stosunkach europejskich i widokach sprawy polskiej.

Na tej podstawie zawiązał się między *Hotelem Lambert*, L. Wodzickim, Stanisławem i Janem Tarnowskimi stosunek; obiecałem nieco luźniejszy w nim brać udział. Zobowiązań pisemnych, tem mniej przysięgowych nie było. — Wszystko ograniczyło się na trzech rzeczach: 1) Dostarczać będziemy wiadomości; 2) zbierać pieniądze na dzienniki zagraniczne; 3) odbierać wskazówki o położeniu. Odnosiło się to wyłącznie do Galicyi.

Razu jednego na żądanie *Hotelu Lambert* August Gorayski, korzystając ze znajomości i stosunków, jakie miał na Węgrzech, pojechał tam, aby zbadać usposobienie. Jaki cel mogło mieć to posłannictwo, trudno dokładnie określić; wynikało prawdopodobnie z ogólnej potrzeby ruszania się i poruszania. Gorayski bardzo trzeźwe złożył sprawozdanie; rzecz nie miała następstw, nie mogła ich mieć, gdyż nie szło wcale o jakiekolwiek działanie z Węgrami lub na Węgrzech; prawdopodobnie tylko o objaśnienie cesarza Napoleona.

Tymczasem zmiany, zaszele w Wiedniu, dążenie do konstytucyi, szukanie najlepszej, otwierało pole do dzia-

łania i występowania w kraju. Żadnej nie opuszczał Ludwik Wodzicki sposobności.

Na wzór Królestwa Polskiego poczęły w Galicyi Towarzystwa rolnicze zajmować stanowisko źle określone, trącające silnie polityką. Wodzicki, przyjaciele jego, ogół, garnął się do Towarzystw rolniczych i każdy zapragnął współdziałać, odznaczyć się, jeżeli nie pracą, to mowami. Nastal okres mów i toastów. Brał w nich z powodzeniem udział Wodzicki.

Jak on tak i zastęp tyczyński młodzieży pragnął nieco samoistnie działać, ruszać się i popisywać. Nie występując wcale przeciw ówczesnym powagom, nie uznawała ich ta młodzież zawsze i wszędzie, miała względem nich pewne zastrzeżenia. Paweł Popiel był jej za wsteczny; Adam Potocki za wyniosły, brała za dumę, nierówności jego usposobienia, stąd wynikały nieraz arcy-zabawne obrazy, których się pan Adam najczęściej nie domyślał, będąc w zamiarze niewinnym; Leon Rzewuski był dla niej za ultramontański, Mann za papieski, Jerzy Lubomirski za czeski i słowiański, ks. Leon Sapieha wiele znaczył i ważył w jej oczach.

Wodzicki był purytaninem pod względem patryotyzmu, zaledwie rozumiał polubowność polityczną z konieczności, nie przypuszczał osobistej. U Kazimierza Starzeńskiego, z którym potem w ścisłych żył stosunkach i którego rycerskość i cięty dowcip cenil, nie chciał bywać z powodu znanej jego wiernopoddaności austriackiej. Z Romanem Michałowskim, z którym go złączyły później najserdeczniejsza przyjaźń i zaufanie, nie chciał się spotykać dlatego, że służył w wojsku austriackiem. Takie były stosunki, takie uczucia i wyobrażenia ówczesne. Wodzicki w najlepszej wierze dawał im czasem przesadny wyraz.

Kiedy jednak wybila ważna godzina adresu do ministra stanu Schmerlinga, spisanego w Krakowie pod koniec 1860 r., wręczonego 4 stycznia 1861 przez depu-

tacyę ze Smolką na czele, Wodzicki i zastęp zaprzyjaźnionej z nim młodzieży, za poradą powag i starszych, podpisali adres i przyłączyli się do deputacyi.

Czy w adresie widzieli to, co w nim istotnie było, dążenie do zabezpieczenia bytu narodowego tej polskiej dzielnicy w monarchii austryackiej — ręczyć nie można. Raczej przypuścić należy, iż wedle ówczesnych wyobrażeń upatrywali w nim środek do dalszych choć nieokreślonych celów. Zresztą było to przypomnieniem się Europie i to zapewne najbardziej usmiechało się.

Po wręczeniu adresu zaczęła się piękna walka o samorząd, poważna praca wewnętrzna. Przodować począł w drugiej Wodzicki. Zrozumiał, że nie można ograniczyć się na mowach i deputacyach, że należy przygotowywać się, pracować na miejscu, w powiecie, gminie, na wsi, w szkole i na roli. Wziął się dzielnie, mądrze do dzieła. Począł dłużej, niż dotąd przebywać w Tyczynie i zaskarbiać sobie zaufanie tak samo równych jak niższych, tak samo obywatelstwa jak włościan, zaufanie, którem się przez długie cieszył lata.

ROZDZIAŁ III.

Rok 1863.

Od 1861 roku rozgrywały się w Królestwie Polskiem wypadki, które doprowadzić miały do powstania 1863 r.

Żywe one budziły zajęcie w młodzieży galicyjskiej; jednak w kole tej, która żyła z Wodzickim, bierne.

Zastęp ten nie zdawał sobie dobrze sprawy z doniosłości zdarzeń.

Wierzył bardzo w Andrzeja Zamoyskiego, podzielał kierunek przyjęty przez Towarzystwo rolnicze, był

przekonany, że zbawienne sprowadzi skutki, nieprzesadzające przyszłości, która zawsze jeszcze ukazywała się w dali w postaci ulana.

Stąd ani Wodzicki, ani jego towarzysze, ocenić, nawet zrozumieć nie mogli Wielopolskiego, kiedy się na widowni ukazał z pomysłami swoich adresów, z groźbą przeciw rządowi w rządzie, ze zniesieniem Towarzystwa rolniczego i z porządkiem społecznym, ocalonym w krwawem starciu. Zresztą od procesów o ordynację i zapisu Świdzińskiego, od wstąpienia Zygmunta Wielopolskiego do wojska rosyjskiego, straszono w Polsce dzieci margrabią Wielopolskim. Cóż dziwnego, że nawet dla nieco więcej wykształconej młodzieży nie miały siły przyciągającej, zwłaszcza dla młodzieży pozostającej w stosunkach z Hotelem Lambert. Wreszcie Wielopolski stawiał rzecz dobrze obmyślaną, dokładnie określoną. Było to wstrętne pokoleniu, które pod wpływem wielu czynników także i poezji zdążyło do czegoś odczutego a nieobmyślanego, i roznamiętniało się dla czegoś nieokreślonego. Wodzickiego i jego towarzyszków, jak wszystkich, odpychał określony system Wielopolskiego.

Po zamachu na W. Ks. Konstantego w 1862 r., ale dopiero wobec niego, — choć się z tem nikomu nie zwierzyłem — postanowiłem udać się do Warszawy i oddać się na usługi margrabiego Wielopolskiego, choćby na najskromniejszym stanowisku. Obowiązki rodzinne stanęły mi na przeszkodzie; przyjaciele, pierwszy Wodzicki, nie byliby niezawodnie pozwolili mi wykonać zamiaru.

Powiedziałem, że powyższe koło młodzieży, oddalone od widowni wypadków w *Królestwie Polskiem*, nie mogło brać, nie brało w nich udziału. Odczuwało tamtejsze życie, ale nie żyło niem.

Udzielano sobie skwapliwie, nieraz tajemniczo, wiadomości z Paryża i do nich już większe przywiązy-

wano znaczenie niż do warszawskich. W podziemnych robotach, rozszerzających się do Galicyi, ani w ruchu objawowym ukazującym się od czasu do czasu i tutaj, nie brała ta młodzież udziału. Serca drgały za każdą ważniejszą z Warszawy wieścią, ale nie zawracała ona głów. Raz jeden pod wrażeniem nadeszłej wiadomości, że w Warszawie znowu strzelają do ludu 8 kwietnia 1861 roku, August Gorayski, W. Jabłonowski i ja wpaśliśmy na parter teatru krakowskiego i zawołaliśmy donośnym głosem: „W Warszawie mordują, do domu, do domu!“

W jednej chwili sala się wypróżniła z przerażeniem, jak gdyby się paliło; na szczęście nie była zbyt napelnioną i nikogo nie zduszono.

Zastęp tyczyński w pełnym rynsztunku, w kontuszach, kolpakach i przy karabelach, stawiał się w katedrze na Wawelu w lecie 1861 r., na ślub Jana Tarnowskiego z Zofią Zamoyską.

Strój narodowy w Galicyi do dwójakiego począł służyć użytku: ogólno-objawowego i nierównie więcej usprawiedliwionego, zaznaczenia w państwie różno-narodowościowym odrębności historycznej i narodowej. Strój poprawny, prawdziwie historyczny, noszony był przez poważnych ludzi w dni uroczyste, i ten przybrała młodzież na ślub Tarnowskiego z Zamoyską. — Strój cudacki nieco, buty palone, czamara, konfederatka, służył ludziom ruchu do objawów.

Na zachowanie się Wodzickiego i grona młodzieży z nim zaprzyjaźnionej, podczas wypadków warszawskich, wpływały zalecenia i rady Hotelu Lambert. Streszczały się w następujący sposób. Wiemy i wiecie, że cesarz Napoleon myśli o sprawie polskiej i nie spuszcza jej z oka; zasada narodowości postawiona, do niej przyszłość należy; godzina jednak dla nas nie wybiła i przewidzieć nie można, kiedy wybije; chwila obecna nie sposobna; trzeba dawać oznaki życia, nie szalu; trzeba

nadwyzczaj ostrożnie postępować, nie zadawać gwałtu położeniu, oznaki życia dawać trzeba wyłącznie na gruncie prawnym; w Galicyi stać na podstawie adresu do Schmerlinga z 4 stycznia 1861 roku; każde zboczenie z prawności byłoby zgubnem, tylko do klęsk prowadzającym. — My tu przygotowujemy opinię publiczną; wy tam pracujcie i upominajcie się drogą prawną, która otwartą została, o prawa narodowe.

W styczniu 1863 roku pękła chmura, zaszalała nad Królestwem Polskiem burza, odgłos jej zagrzmiął nad Galicyą, pod nogami zatrzęsała się i tu nieznacznie ziemia.

Wodzicki, któremu zapewne w śnie nocnym ukazał się ułan, podążył zrana do Krakowa. Tam na jawie, w innej niż we śnie postawie, przedstawiło mu się położenie i ukazał obowiązek. Nie był podobnym do ułana ani z Księstwa Warszawskiego; ani nawet z r. 1830. Parę lat życia jawnego i czynnego, wśród względnej swobody i rozpoczynających się urzędzeń politycznych, na gruncie prawnym, już oddziaływały były na zakrój umysłów lepszych i wyrobiły nieco sąd, zdanie, wolę. Znajomość stosunków europejskich, objaśnienia i zalecenia Hotelu Lambert dopełniały naukę i pozwalały nawet казаły takim jak Wodzicki, zastanowić się, ocenić położenie, już nawet zgubność przedsięwzięcia, zanim przywdzieje się mundur, choć nie ułański z Księstwa Warszawskiego lub 1830 r.

Rzecz się tak przedstawiała, że nawet wrodzony Wodzickiego optymizm nie mógł jej sprostać.

Z darem rozpoznawania się w zawilych położeniach, z sumiennością w rzeczy publicznej, któremi zawsze odznaczał się Wodzicki, zrozumiał klęskę. — Z bólem serca, z niemną dla młodego człowieka odwagą poświęcił ułana i marzenia o nim, osądził, że do przedsięwzięcia przyłączać się nie można, zatem postanowił zapobiedz, aby inni z niem się nie łączyli. Gdy

wyrocznie z Delfów — chciałem powiedzieć z Paryża — potwierdziły to zdanie, że siłą woli, której był zdolnym, zaznaczył swe stanowisko. Wytrwał na niem do chwili, w której wprost przeciwne stamtąd proroctwa, zapowiadające obce poparcie, polecenia — wypowiedzmy słowo — rozkazy, nadeszły. Aby je usprawiedliwić, aby o ich konieczności przekonać, wezwał Hotel Lambert Wodzickiego do Paryża. — Przybywszy, dotarł wszędzie, gdzie należało, z wyjątkiem cesarza, który, prócz ks. Czartoryskiego, nikogo teraz z Polaków nie widywał. Wszystkich rozumem i rozważą zwrócił na siebie uwagę. Wystawionym został na dziwnego dla niego rodzaju próbę. Wszystko, co mu powiedziano w owej chwili, wszystko, co zalecono i wszystko, co obiecano, przeszło jego oczekiwania, przerosło jego wrodzony lecz w tym wypadku chamowany dotąd optymizm.

Spiesznie powrócił do Krakowa; wobec jego sumiennego, dokładnego sprawozdania, nikt go o optymizm nie oskarżył, gdy zawołał; „Wybiła godzina, teraz bierzmy się do działania!“

Zanim stanął oddział Jordana, Wodzicki wszedł do Komitetu narodowego zachodniej Galicyi, niosącego pomoc powstaniu w Królestwie Polskiem, jako zastępca Atanazego Benoë, który zarządzał wydziałem spraw wewnętrznych.

Główną myślą, główną troską Wodzickiego był oddział Jordana. Łożył na niego. Pragnął, aby się spiesznie utworzył, aby stanął na polu walki. Pomimo że zwykle różowo zapatrywał się na wszystko, nie zaciągał się do niego w nadziei zwycięstw lub laurów; czuł żywo i uznawał potrzebę społeczną i polityczną chrztu ognia, sam go dla siebie żądał.

Wybiła długo oczekiwana godzina, wybiła w okolicznościach już innych, jak te, w których Wodzicki znalazł się był w Paryżu.

Oddział rozłożony był równolegle do Wisły; Zygmunt Jordan ze sztabem znajdował się w Chórzelowie.

W nocy z 19 na 20 czerwca 1863 r. objął on nad oddziałem naczelne dowództwo i wyruszył postępując wzdłuż Wisły, nad ranem przeprowił się przez nią opodal od Komorowa. Konnica pod dowództwem Stojowskiego, mającego jako podwładnych Augusta Gorayskiego i Preka, miała sobie polecone zrobienie na lewo dywersyi, zetknięcie się z drugim oddziałem pod dowództwem Dunajewskiego i zdanie o nim sprawozdania Jordanowi. Sam naczelnik z piechotą pierwszego oddziału, dowodzoną przez Chościakiewicza (Jana Popiela) próbował się rozwinąć w dość obszernej dolinie, roztaczającej się pod wzgórzami wznoszącymi się naprzeciw Wisły. Konnica, przechodząc przez wieś, stojącą na jej drodze, prązona była ogniem karabinowym, nieco oddalonym i nieszkodliwym. Siły rosyjskie, złożone z piechoty i dragonów, przywitały piechotę Jordana gęstym ogniem.

Przywiązał on był do swego boku Ludwika Wodzieckiego. Jordan zimny i przytomny, w ogniu już doświadczony, wydawał rozkazy; Wodziecki po raz pierwszy znalazł się w nim; był, jak mówił potem, zadowolony ze siebie, gdyż ogień oczywiście robił na nim wrażenie, ale nie wpływał na przytomność umysłu; roznosił rozkazy dowódcy i przebiegał konno całą linię bojową. Ogień z zabudowań folwarcznych Komorowa, mianowicie ze stodoły, prażył nadzwyczaj szkodliwie oddział. Jordan postanowił zabudowania zdobyć, usiłowania były bezskuteczne, wtedy dał rozkaz, aby się zebrał zastęp ochotników i opanował stodołę. Stają na jego czele: dowódca piechoty Popiel i adjutant Jordana Juliusz Tarnowski. Wodzieckiego wstrzymuje naczelnik i zatrzymuje przy sobie dla roznoszenia rozkazów. Ochotnicy spieszą ku stodole, przeskakują pod ogniem płoty; niektórzy zostają się w drodze, inni giną od kul, prawdopodobnie wtedy Władysław Jabłonowski. Popiel, Tarnowski, Bruckhausen i czterech innych z bagnetem

w ręku przypuszczają szturm do stodóły; oficer rosyjski pozwala Tarnowskiemu nadbiedz na kilka kroków, kładzie go trupem, strzałem z rewolweru w oko. „Kula ta, pisał Jordan w raporcie, wydarła nam ostatnią nadzieję zwycięstwa, pozbawiając zarazem Polskę jednego z najdzielniejszych jej synów“. Ginie Bruckhausen, bezowocnie usiłują pozostali podpalić zabudowania, niepodobna było ich wzięść i utrzymać w posiadaniu polskiem; inni ochotnicy ocalili cudem. Jordan jeszcze nie zrozpaczał, nie mogąc zdobyć stanowisk nieprzyjacielskich, broni własnych, czekając daremnie na przybycie oddziału Dunajewskiego w sile 325 ludzi i wiadomości o nim. Wodzicki — mówi raport — „nosił rozkazy wśród gradu kul, prowadził tyralierów do ataku, raliował uciekających, a w końcu dnia mnie życie ocalił“. Niebawem Jordan niema już komu przysyłać rozkazów, Wodzicki, do kogo je roznosić. Oddział zdziesiątkowany, część jego kładzie się bezmyślnie na ziemię, chowa po zbożach, inna szuka daremnie w ucieczce ku Wiśle ratunku. Jordan z Wodzickim stoją jak wryci wśród gradu kul; ocaleni gromadzą się około nich. Pada koń Jordana, Wodzicki podaje mu swego, siada na odwodowego, trzymanego przez starego sługę Kubę, który już z ojcem był na wojnie.

Bitwa skończona, raczej ofiara spełniona.

Po dziesięcio-godzinnym pochodzie i siedmio-godzinnym boju, przy braku pistonów, po stracie dwustu ludzi z oddziału, który liczył 375 i 50 koni, wszczął się popłoch. O godzinie wpół do czwartej dragoni coraz bardziej nacierają na szczupły zastęp, otaczający Jordana; aby odciągnąć pogoń, a uniknąć niewoli, Jordan z czterema towarzyszami, wśród których Wodzicki, zwraca się coraz bardziej w głąb kraju na północ, spiesząc do lasu.

Na wyborynych koniach puszczają się szalonym pędem, przeskakując płoty; dragoni gonią cwałem za

nimi. Popiel spostrzega starego szlachcica, który zaledwie iść może i zaraz wpadnie w ręce dragonów; zatrzymuje konia, zeskakuje z niego: „Wasć szlachcie — woła — siadaj na koń!“ Sam odskakuje na bok. Nikt pojąć, nikt zrozumieć nie może, jak ocalał i po parodziejnej tułaczce wrócił do Krakowa. — Inni dopadają do lasu, znikają przed oczami dragonów, dopiero wśród moczarów czują się bezpiecznymi; pozostają tam do nocy, słysząc naokoło tentent kopyt dragońskich koni. Pod osłoną nocy wychodzą z lasu, zbliżają się ostrożnie do Wisły. Przeprawa na niemałe natrafia przeszkody, pod ciągłym niebezpieczeństwem. Przewoźnicy, z drugiej strony zawezwani, nie chcą po rozbitków przybyć. Wodzicki, najpierw w bród dalej płynąc dostaje się na ziemię galicyjską, zmusza przewoźnika do oddania mu łodzi, na niej dobija do przeciwległego brzegu, na nią zabiera towarzyszy. — Ocaleni. — Na drugi dzień byli z powrotem w Krakowie.

Konnica, która, jak mówi raport Jordana, porywezo zapędziła się w kierunku na lewo, wobec zniesienia oddziału Chościakiewicza, a cofnięcia Dunajewskiego, przeprawiła się za Wisłę, i na galicyjskim brzegu zakopawszy broń, rozproszyła się.

Jordan zażądał od Rządu narodowego, aby szeregowca hr. Ludwika Wodzickiego posunął na oficera.

I w tym kierunku rozwiały się złudzenia. Walki wedle zwykłych, najprostszych, najskromniejszych zasad wojny, prowadzić nie można było.

Gdy Benoë został uwięziony na początku września, Wodzicki zastąpił go w komitecie zachodnim.

Wobec niebezpiecznych w tym miesiącu rozruchów Rządu narodowego warszawskiego, okazał wiele odwagi, stanowczości i rozumu. Gdyby się był im poddał, nie byłby zbawił sprawy w Królestwie Polskiem, byłby ją naraził w Galicyi. Okazał się mężem dojrzałym, okazał siłę woli i zwyciężył.

Co do ogólnego położenia z usposobienia, ale już i z przymusu ludził się do ostatniej chwili, to że pomoc obca nadejdzie, to że wojna powszechna na wiosnę wybuchnie. Chciał, aby inni wierzyli. Już po smutnem zakończeniu wnięszania się dyplomatycznego mocarstw, gdy widoki były bardzo osłabły, August Gorayski rzecze do niego: „No, teraz już skończone“. — „Bynajmniej — odparł Wodzicki — teraz dopiero rzeczy dobrze stoją“. Szczęśliwym mógł być wtedy tylko ten, co się ludził.

Na początku 1864 roku w Krakowie przestrzeżony na kilka minut przed wkroczeniem policyi do mieszkania, spiesznie tylnemi drzwiami uszedł; dostawszy się za granicę, podążył do Londynu.

Była tam jeszcze agencya Rządu Narodowego, zawiadywał nią Waligórski. Wodzicki przyłączył się do niego i pomagał zwłaszcza w zasilaniu dzienników angielskich wiadomościami z kraju. Jednocześnie pisywał bardzo dobre, nieraz znakomite listy do *Czasu*, świadczące o znacznem wyrobieniu się politycznem.

Niezmiernie go radowało, że na wygnaniu może zarabiać piórem na życie; z wdziękiem łatwowierności względem siebie samego, twierdził, że utrzymywał się w Londynie z listów, pisanych do *Czasu*; zapominał, w najlepszej wierze, o tem, co mu przysyłano z Tyczyna, choć nadwreżonego istotnie przez ostatnie wypadki i wydatki na oddział Jordana; nie obliczał, że to, co mu *Czas* płacił, zaledwie na powóz wystarczyć mogło.

W Londynie spotkał się ze znajomym z 1863 r. Był nim bardzo rozumny, bardzo niezwykły, wielki filantrop i bystry dyplomata, pisarz i twórca podobno w końcu nowej religii, Olifant, powiernik lorda Palmerstona. Przysłany do Krakowa w 1863 r. przez pierwszego ministra, aby zbadać położenie, zawiązał był z członkami Biura krakowskiego, zwłaszcza z Wodzickim, przyjazne stosunki. Olifant wprowadził Wodzickiego w wielki świat londyński; wszedł do niego, jako przedstawiciel

nieszczęśliwej, opuszczonej sprawy, z urokiem powstańca, z tem wszystkim, co mogło do wyobraźni cór Albionu przemawiać. Ponowily się krakowskie, warszawskie, rzymskie i madryckie powodzenia. I znowu przypatrzyć mu się można było przy podwójnem świetle, patriotyzmu i światowości. Nie przypuszczał do końca, aby sprawa mogła upaść. Gdy w drugiej połowie kwietnia zawiadomionym został z Paryża, iż cesarz Napoleon polecił zakończyć przedsięwzięcie, głęboko zabołał, tem bardziej, im silniej wierzył. Tym razem optymizm nie dopisał: nie było już dla niego miejsca w duszy Polaka, w sercu każdego, co do rozwoju wypadków przyłożył był rękę.

Naraz światowiec stał się odludkiem, zaczął od ludzi uciekać; ofiarowanego przez Olifanta bardzo korzystnego kierownictwa kopalni w Kalifornii nie przyjął; gdzieś daleko na krańcu Europy, do Portugalii się schronił; tam jeszcze za bliskim mu był świat i ludzie; wsiadł na okręt, odgraniczył się choć na chwilę morzem od morza łez i boleści, od widowni zawiedzionych nadziei i klęski.

ROZDZIAŁ IV.

Życie publiczne w Galicyi. — Wybory w 1865 r. — Poseł na Sejm. — Prezes Rady powiatowej. — Rolnik. — *Przegląd Polski*. — Rada państwa. — Ożenienie.

Jak tylko możebnem było, po zniesieniu stanu oblężenia i amnestyi w Galicyi za gabinetu hr. Belcredięgo w 1865 r. powrócić do kraju, przybył Wodzieki. Klęska narodowa spotęgowała w nim uczucie obowiązku z niej wynikłe.

Coby był wart człowiek, który w dopiero co zakończonych wypadkach nie był zaczerpnął postanowie-

nia naprawiania w miarę możności popełnionych błędów i poniesionych strat; który uderzywszy się w pierś, nie byłby się wziął do pracy. Wodzicki zrozumiał, że trzeba nawrócić, nie ustawać.

Podczas gdy wszelkie życie publiczne zabitem było w Królestwie Polskiem, rozpoczynało się naprawę w Galicyi.

Wybory do Sejmu nakazywały każdemu, co się czuł na silach, a poczuwał do obowiązku, poszukiwać postowania.

Postawiono zaraz pod koniec 1865 r. kandydaturę Wodzickiego w krakowskim okręgu wyborczym większej własności.

Zal był wielki u wielu po wypadkach; jako po każdym nieszczęściu szukano winnych; w oskarżeniach ulgi. Podniosły się i to poważne głosy, iż nie należy pokładać zaufania w tych, co wzięli udział w 1863 r.; wymierzone one były głównie przeciw Wodzickiemu.

Między innemi z tem zdaniem odezwał się Leon Rzewuski. A przecież i on, jak wielu, jak niemal wszyscy, mówił w maju 1863 roku do Stanisława Tarnowskiego:

— Niepodobna, aby z tego coś dobrego nie wynikło, byle skorzystać umiano, nie politykując w Krakowie w Hotelu Saskim lub tułając się po lasach lecz rozumnie użytkując obce wdanie się.

We wrześniu zaś tego samego roku, zawołał:

— Wszyscy, którzy namawiali, pchali i obiecywali, zasłużyli na szubienicę.

Na co odparł Andrzej Ed. Koźmian:

— Przyjmuję szubienicę, jeżeli przyjmiesz posąg.

Nowego rodzaju teroryzm wobec wyboru Wodzickiego w 1865 r. mógł pełnić na niebezpieczną drogę, odciąć od życia publicznego najlepsze siły, bo z nich zaledwie wyjątki nieliczne od wszelkiego usunęły się

były współdziałaniu w r. 1863 i zamiast powołać wszystkich do naprawy, ubezwładnić na długo wielu.

Przyszło mi stoczyć walkę z zamiarem ostracyzmu, wykazując w *Czasie*, że oskarżenia bezużyteczne, sąd potrzebny; lecz, że aby wyrok był sprawiedliwy, trzeba się w aktach procesu rozpatrzyć; rozróżnić stopień winy i jej powody; nie potępiać bezwzględnie i ryczałtowo.

Prawda ta była tak widoczną, przychylność ogółu dla Wodzickiego tak istotną, czystość jego zamiarów tak znana, nadzieje w nim pokładane tak uzasadnione, że z upodobaniem oddali mu wyborcy głosy i zasiadł w Sejmie.

Odtąd nie przestał do końca życia w nim pracować i znaczyć, zmieniając okręg wyborczy krakowski najpierwej na mniejszej własności tyczyński, następnie staromiejski, gdzie nabył majątek Spas.

Rozpoczęła się na tem polu działalność wytrwała, sumienna, nieraz świetna, zawsze zająca i użyteczna. Głos Wodzickiego nie tylko liczył się, ważył przez cały czas jego posłowania. Przywiązał się do Sejmu i jego spraw, rozmiłował się w nich, było to najwięcej przez niego cenione i ulubione pole działania. Wiernym mu pozostał, zmieniając stanowiska i zatrudnienia. Czuł i wiedział, że Sejm jest głównym gmachem w naszym ustroju, że w nim znajdują się szranki zdrowej, płodnej polityki polskiej.

Czuł i wiedział przytem, że podstawą bytu, że podwaliną narodową jest samorząd, gmina i Rada powiatowa, że nie jest on przywilejem, ale obowiązkiem, że trzeba go na miejscu u siebie spełniać. Poświęcił się i bacznie zwrócił uwagę na stosunki wiejskie i powiatowe, oddał się im skutecznie, do czego zachęcały go i pomagały tradycje i przykład Zaczernia; pozyskał względy obywatelstwa okolicznego, co za największy poczytywał zaszczyt; przychylność włościan, czego pra-

gnał, i wybrany został później prezesem Rady powiatowej rzeszowskiej, której sprawy wziął żywo do serca. — Zaprzął się do rolnictwa postępowego, do mniej szczęśliwych przemysłowych prób, do pomnożenia i z okrąglenia majątku. Upiększał znacznie Tyczyn i w nim siedzibę swoją. Zawsze pamiętny przyjaźni, sprosił dawne grono tyczyńskie na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy dom, który w pałac wyrósł.

Życie praktyczne najlepsze, jakie wybrać mógł, nie wykluczało rozpamiętywań wyższego rzędu, myśli dalej sięgającej, troski obejmującej całość położenia i bytu narodowego.

Dla trzeźwego umysłu, dla sumienia niezamąconego, dla rozumu przenikliwego, nie mogło być wątpliwem, iż nietylko w tej polskiej dzielnicy, że wogóle, w sprawie narodowej, na nowe, odmienne od dotychczasowych, trzeba wstąpić drogi; że trzeba się zdobyć na odwagę powiedzenia tego sobie i innym; że trzeba nie chwilowo tylko poświęcić marzenia o ulanie lecz w innym kształcie uosobić sobie obowiązek patryotyczny i wytrwać przy tym nowym kształcie. Nie było to dla Wodzickiego łatwem, jeszcze mniej przyjemnem — zaśluga była tem większą. — Do zdobycia jej pomogło przeświadczenie o czystości zamiaru i rozum polityczny.

Osobą, udziałem i piórem przystąpił Ludwik Wodzicki wraz ze Stanisławem Tarnowskim, Józefem Szujskim, St. Koźminem do założenia *Przeglądu Polskiego*, który ukazał się 1 lipca 1866 r., którego zadaniem było zaznaczyć zwrot konieczny; wytrwale i odważnie przeprowadzać now sposób w życiu narodowem i zmierzać bez złudzeń i wątpienia do jego następstw.

Wodzicki mało pisywał w *Przeglądzie Polskim*; wciąż i wiernie działał w jego duchu, w jego kierunku. Zespółił się wżyciu publicznem z gronem *Przeglądu Polskiego*, nieołącznym był i pozostał od niego, nie za-

cierając, nie zaprzepaszczać własnej osobistości. Z biegiem wypadków grono coraz ściślej, coraz bardziej jednolitem w przekonaniach stawało się. Przechodziło przez duchowe i polityczne przekształcenia, i z wolna przemieniło się w stronnictwo, utworzyło szkołę. *Teka Stańczyka* nadała gronu cechę, dalsze prace znaczenie; nazwano je: Stańczykami.

Wodzicki zmaczał pióro, aby w *Tece Stańczyka* zespolić się z trzema przyjaciółmi. W życiu czynnym był Stańczykiem.

W rozwoju pisma i działania zajął stanowisko umiarkowane i miarkujące. Nie lubił ostrości, był pojedynczym, chciał równowagi; z darem rozpoznawania się w położeniu, za pomocą życia na wsi praktycznego, praktyczniejszego o wiele, niż to, które wiedli jego towarzysze, doszedł był do dobrej znajomości kraju, stosunków, ludzi, lepszej, niż inni *Przeglądu Polskiego* założyciele. Ustrzedz się umiał od żarliwości neofitów, od roznamiętnienia w walce; łagodził zaton i łagodzić się starał przesady, powstrzymywać zapęły młodej szkoły, pragnął, aby się stała skuteczną, nie pozostała czczym popisem. Rady opierał na znajomości współrodaków, mówił: „wy do ludzi przemawiać nie uniecie“, czasem się martwił, czasem gniewał, nieraz gronił, często ubolewał, zwłaszcza nad drobnymi, lecz szkodliwymi szczegółami, i zdarzało się, że w oczach przyjaciół uchodził za nie dość prawowiernego wyznawcę. Zę jednak pozostawał wiernym, na zewnątrz solidarnym w postępowaniu zgodnym i zespolonym, zaufania i przywiązania przyjaciół nigdy mu nie zabrakło.

Po powodzeniach Stańczyków nastąpiło przeciwdziałanie, sztucznie, z uporem i zawzięcią wywołane. Zrobiono ze Stańczyków żelaznego wisa i węża morskiego. Rzucono na Stańczyków potwrze. Właściciel *Gazety Narodowej*, Jan Dobrzański, da nawet do zrozumienia, że są jurgeltnikami Moskwy. Turza się wzmo-

gła, rosła, przybierała rozmiary niesłychane. Teraz — Stańczykami dzieci straszono. Tacy, co nie tylko nie rozumieli, nawet nie wiedzieli, co to są Stańczyki, żegnali się na ich wspomnienie. Na jakimś zgromadzeniu wyborczem ksiądz uniecki, wobec ruskich wyborców, na wszystko zaklinał, aby nie wybierali posła, któryby się połączył ze Stańczykami, bo zaprzepaszcza duszę. A przecież Stańczyków powoływano na wszelkie stanowiska i wybierano ich; ich nauka polityczna robiła postępy, w stosunku prostym do burzy, którą wywoływali.

Wodzicki podzielał i znosił ten ogrom niełaski pogodnie; mniej stała się jemu, niż innym szkodliwą. Dlaczego? Między niezliczonymi zarzutami występował najczęściej i najsilniej ten, że Stańczyki są wyłączni i nieprzystępni. — Wszystko dowodzi, że wyłącznymi w życiu publicznem, nieprzystępnymi dla ludzi nie byli; byli stanowczymi w zdaniu, odpornymi wobec przeciwnych dążeń, nie wybaczącymi dla słabości wobec nich. Ale Wodzicki jeden umiał z ludźmi się obchodzić, posiadał naukę zaskarbiania ich sobie w wyższym stopniu niż inni, umiejętność jednania ich sobie; stanowiło to wyższość niemalą w społeczeństwie, pochodzącą wprost od Rzeczypospolitej szlacheckiej, w której, wszystkim zdawało się, że są między sobą równymi.

W Sejmie, w życiu publicznem przeistoczyło się i stało na podstawie stańczykowskiej, stronnictwo krakowskie, później *Klub reformy*. Wodzicki zajął w stronnictwie celne miejsce i przedstawiał odcień *Przeglądu Polskiego*. Niebawem weszli do Sejmu i do Rady państwa inni założyciele pisma: Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Stanisław Koźmian. Wodzickiego wybrano w 1867 r. ze Sejmu do Rady państwa. — Wszyscy zachowywali się karnie w ramach stronnictwa krakowskiego.

Wielka była radość w gronie przyjaciół Wodzickiego, kiedy w r. 1867 Koło polskie wyznaczyło go jako jednego z mowców w rozprawach budżetowych Rady Państwa. Była to jego dziewicza po niemiecku mowa. Całą noc układano ją; chcieli w nią wlać wszystkie uczucia, wszystkie myśli, wszystkie zamiary, może marzenia — bo nawet Stańczyki od nich wolnymi nie byli — ściślejszego grona. — Obiecywano sobie wielkie wrażenie. Wodzicki nie posiadał jeszcze dobrze języka niemieckiego, później wprawą i pracą zapanował nad nim. Uczył się mowy na pamięć. Na posiedzeniu Izby, siedząc na jednej z nim ławce, ostrożnie przewracałem kartki napisanej mowy: Wodzicki z akcentem i drżącym nieco głosem wypowiedział ją. W tych warunkach wrażenia zrobić nie mogła. Ogłoszona w dziennikach przychylnie ocenioną została. Były to dla Wodzickiego „lata nauki“. Po pierwszym kroku łatwiej mu szedł zawód parlamentarny w Wiedniu, który miał mu tam zdobyć znaczenie prawdziwe.

We Lwowie już je miał. Do Lwowa, do Sejmu zwracał swe myśli i zamiary i powracał. Tam w życiu publicznem miał wzięcie, w światowem nowe powodzenia.

Wież, gmina, powiat, Sejm, Rada państwa. — Tego wszystkiego wszędzie, zwłaszcza w Polsce, gdzie kamień węgielny? — W rodzinie. — Wszędzie, w Polsce, niemięknienie, chcąc w dalszem życiu działać i znaczyć, trzeba ją założyć. Wodzicki był o tem przekonany, chciał ją stworzyć podług swojej myśli i serca. — Gdy znalazł to, czego szukał, gdy wszystkiemu, czego mógł zapragnąć, odpowiadała ta, z którą postanowił się połączyć, poprosił hr. Jana Zamoyskiego o rękę córki Jadwigi, i zaślubił ją w maju 1868 r. w Paryżu. Założył rodzinę, otworzył dom polski i kroczył dalej drogą życia, wzmożony przysporzeniem siły, które w Polsce przynosiło połączenie się z rodem Zamoyskich.

ROZDZIAŁ V.

Dziesięć lat w Radzie państwa i Delegacyach wspólnych 1867—1877 r. — Nieprzyjęcie miejsca w gabinecie ks. Auersperga. — Wzięcie i przyszłość.

Rozpoczął się był okres odrodzenia w Galicyi. Wytrwała i roztropna walka o samorząd i prawa narodowe, jasne rozpoznanie dobrze określonego celu i środków, postanowienie korzystania ze świeżych doświadczeń i nauk historii, szczerzy, bez ukrytych myśli, zamiar wyrobienia krajowi należnego mu w monarchii rakuńskiej stanowiska, połączenia się z nią politycznie i państwowo, zespolenia się w niej w zasadzie dynastycznej, oddania się pod opiekę i przyjscia z pomocą dobrotliwym i mądrym zamiarom wspaniałomyślnego i życzliwego cesarza; praca wewnętrzna przedewszystkiem społeczna i nad własnymi wadami; działalność na wszystkich polach, podjęta nie tylko w myśli krajowej, ale ogólnopolskiej, przysporzenia o ile możności bytowi narodowemu tego, co gdzieindziej odebrały mu były srogie wypadki — takim był pomysł odrodzenia. Kraj i społeczeństwo, oparte o niego, poczęły osiągać stopniowo, wytrwale, nieraz świetnie jego skutki dobroczynne, któremi cieszyły się, które oceniały, tem samem poczęły się wyrabiać politycznie.

Ludwik Wodzicki w tem działaniu, w tem wyrabianiu i odrodzeniu brał ciągły, nieraz znaczny i znaczący udział. Przez dziesięć lat nieznużenie, wytrwale, niezniechęcony, niezrażony, z poświęceniem wszelkich pobocznych względów, z ujmą życia rodzinnego i majątku posłował do Sejmu, do Rady państwa, do Delegacyj. W Kole polskiem wiedeńskiem coraz większego używając uznania i znaczenia, zwrócił na siebie uwagę obcych w Izbie, zwłaszcza w komisjach i ich pracach.

Wybierano go do najważniejszych, wysyłano do Delegacji wspólnych. Był już kimś, zanim został czemś.

W pamiętnych latach 1870 i 1871 znalazł się w Kole polskiem z Julianem Klaczką. Obaj zawiązali stosunki z prezesem gabinetu węgierskiego, hr. Juliuszem Andrassym, stosunki, które zdawały się mieć niemałe znaczenie polityczne w przyszłości, których zamiar z obu stron sięgał daleko, o których zupełnie zapomniał minister spraw zewnętrznych, hr. Juliusz Andrassy.

Trudnoby znaleźć arkusz składki lub ofiary na rzecz publiczną, na którym nie znajdowałoby się nazwisko Ludwika Wodzickiego. Był nieznużenie, prawidłowo ofiarnym. Kiedy w 1870 r. po upadłości właściciela *Czasu*, Wincentego Kirchmayera, Adam Potocki zamierzył uratować dziennik, zawiązując Spółkę *Czasu*, Wodzicki i inni Stańczycy natychmiast do niej przystąpili i wtedy zacierać się zaczęła nie wielka, przecież istniejąca dotąd różnica między *Przeglądem Polskim* a *Czasem*.

Później bardzo stanowczo, bardzo skutecznie i ofiarnie przyłożył rękę do założenia we Lwowie dziennika zachowawczego i za jego sprawą powstało codzienne pismo *Przegląd*.

Mało kto wrodzonymi zdolnościami i długą wprawą doszedł do tak dobrej, jak Wodzicki, znajomości z jednej strony stosunków i ludzi krajowych, z drugiej, położenia i czynników w monarchii. Stanowiło to jego siłę i wyjątkową wartość, przedewszystkiem użyteczność w życiu i służbie publicznej.

Teraz nie szukał pola popisów, zadawałniał się skutkami, osiągnięciami dla kraju i państwa korzyściami, umiając już wyborynym rozumem rozróżniać rzeczy możliwe od niemożliwych. Nauczywszy się, iż tylko do możliwych zdążać należy, przekonany był, że możliwe muszą być określone.

W Izbie nie często przemawiał, w Kole i komisyjach był zawsze czynnym, nigdy biernym, nigdy chwiejnym, coraz bardziej użytecznym.

Po polsku Wodzicki od początku mówił publicznie wybornie, teraz nabierał wprawy po niemiecku. Nie był to mowca porywający, błyskotliwy, goniący za wielkimi wrażeniami. Poprawny, ścisły, acz nie suchy, mówił wyłącznie o przedmiocie, mówił tylko wtedy, gdy się mógł oprzeć na jego znajomości. Nie roznamiętniał się, ani roznamiętniał; wyjaśniał, prawie zawsze przekonywał. Było w jego mowie miejsce, w którym skupiał całą myśl, cały zamiar i umiał je tak wybrać, iż wywoływał nie szukane wrażenie, że — rzecz rzadka — jego słowo wpływało na postanowienie zgromadzenia, na stosunek głosów, przechylało nieraz szalę. Nawet jako mowca był on człowiekiem czynu. Może niewiele jego mów pozostanie: wiele w nich zawartych myśli przemieniło się w rzeczywistość, wiele rad zużytkowanych zostało. Słuchano nie tylko mowy, przede wszystkim mowcy. Słuchali go, ufali mu, cenili go nie tylko swoi, ale i obcy, dlatego mógł nawiązać liczne, użyteczne stosunki w kraju i państwie. Umiał łączyć się ściśle z wyborowymi ludźmi. Ks. Leon Sapieha, Alfred Potocki, Grocholski, Zyblikiewicz, Dunajewski cenili go, on znał ich wartość i na tej podwójnej podstawie powstało zobowiązane zaufanie i wspólne działanie.

Ten, który już był kimś, miał zostać czemś.

Kiedy 30 października 1871 r. upadł gabinet Hohenwarta, a usunął się minister bez teki Polak, Kazimierz Grocholski, zwrócono natychmiast oczy na jednego z najmłodszych członków Koła polskiego, na hr. Ludwika Wodzickiego. Dlaczego? Bo był już kimś. Ks. Adolf Auersperg, tworząc nowy gabinet, ofiarował Wodzickiemu miejsce ministra bez teki z Galicyi.

Stanęło pytanie: jak się należy zapatrywać na stanowisko ministra bez teki Polaka. Jest to jedna ze zdo-

byczy, o którą usilnie upominano się. Z woli i laski monarchy otrzymano ją; przyznana została w mowie tronowej. Określone stanowisko tego ministra nigdy dobrze nie zostało. Stał się jednym z ogniów w naszym ustroju; w stosunku kraju do monarchii i Korony stać się był powinien ogniwem silnem. Pozostawało oznaczenie jego związku z każdorazowem rządem.

Czy należało ministerstwo dla Galicyi, które zresztą nazwano i usiłowano przemienić w ministra z Galicyi, uczynić urządzeniem stałem, galicyjskiem, niezależnem od zmiany kierunków w państwie i zmiany gabinetów; uwiecznić je tak, aby miejsce nigdy opróżnionem nie pozostało, poczytać za takie, jakim było przed 1863 r. w Petersburgu ministerstwo sekr. stanu dla Królestwa Polskiego, czyniąc zmiany osób na tem stanowisku zależnemi jedynie od woli Korony? Czy też wypadło łączyć ministerstwo galicyjskie z losami różnych systematów i niezliczonych zmian gabinetów? W tym drugim wypadku powstawało nowe pytanie: czy minister z Galicyi ma zasiadać tylko w gabinetach zgodnych z kierunkiem polityki Sejmu i Koła polskiego, czy także w gabinetach zasad przeciwnych, czy wtedy należy, aby osobiście był mniej lub więcej zbliżony do przekonau ministerstwa.

Mniemam, że pierwsze zapatrywanie było więcej politycznem, zgodniejszym z pojęciem narodowem, ze sprawą Galicyi, że nadawało ministerstwu dla Galicyi wyraźne znamię polskie, stwarzało rzecz, wnoszącą się nad burze i zmienne losy, że pozwalało, aby miejsce nigdy opróżnionem nie było, aby nie utonęło kiedyś w falach wzburzonego nieraz morza. Nie przeczę, że trudność przyjęcia za niezmiennie tego zapatrywania była niemałą i że nie można porównywać stosunków w państwie samowładnem, z istniejącemi w wolnem i konstytucyjnem.

Ludwik Wodzicki wobec ofiarowanego mu miejsca w gabinecie ks. Auersperga przyjął odrazu za swój,

drugi sposób zapatrywania się na ministerstwo galicyjskie i uczynił zawisłem wejście do gabinetu od zasadniczych rzeczy. Były one nieliczne, ale ważne i stanowczo za nimi obstawał. Autonomista i obrońca praw narodowych, Wodzicki chciał rękojmi pod tym względem, zatem najpierw rękojmi dla praw Sejmów, zagrożonych przez bezpośrednie do Rady państwa wybory. — Katolik, nietylko z przeświadczenia polskiego i austriackiego, także całe życie z najgłębszego przekonania, Wodzicki nie chciał należeć do rządu, któryby wszedł na drogę, prowadzącą do walki kościelnej.

Układy ciągnęły się dość długo, budziły zajęcie, zwróciły na siebie uwagę monarchy. Wodzicki nie uczuł się zabezpieczonym, nie uznał danych mu odpowiedzi za dostateczną rękojmię i odmówił ostatecznie wstąpienia do gabinetu.

Nie powiem, aby bezwzględnie uczynił dobrze, skoro przechyliam się za pierwszym z dwóch powyżej przytoczonych zapatrywań na przedmiot. Mniemam, że straconą została sposobność, aby ministerstwo dla Galicyi było nietylko czemś, ale kimś, oraz nadania mu należnego znaczenia. Pozostało niezajęte do dnia 21 kwietnia 1873 r., aż wreszcie przemogło zapatrywanie pierwsze i Florian Ziemiałkowski został ministrem z Galicyi. Ale zachowanie się Wodzickiego w tym wypadku było tak godnem, tak zacnem, tak niezwykłym, że piękne jego strony zrównoważyły po części stratę na razie polityczną. Wrażenie było istotnem i zdrowem. Orzeźwiającem było dla ludzi zasad i przekonań, dla stronnictw nietylko w kraju, także i w monarchii.

Monarcha, nienawykły od pewnego czasu, aby ludzie usuwali się od miejsc korzystnych, widząc przeciwnie ciągłe walki, pożądlivości i wyścigi o teki i stanowiska, zauważył tego młodego posła, stojącego silnie przy zasadach, obchodzących nietylko jego kraj, ale i monarchię, ważnych dla ukształtowania się w niej

stosunków. Podobała się doświadczonemu władcy niezależność wobec osobistej, łatwej do zrozumienia chęci znaczenia i odznaczenia się, wobec uroku władzy i widoków zaszczytów. Powiedział sobie, w tym niedoszłym ministrze, jest człowiek. Odtąd monarcha nie spuszczał zeń oka, i przy danych sposobnościach wyszczególniał.

W kraju rzecz znowu inna. Tu pomimo zmiany wyobrażeń i widocznych postępów w wyrobieniu politycznym, odzywały się zadawnione nawyknięcia i nie całkiem wykorzenione nałogi. Trzy rzeczy zapewniały jeszcze niezawodnie wzięcie: zażądanie dymisyi, nieprzyjęcie urzędu lub godności i śmierć. Teraz już tylko trzecią zdobyć je można. Nie to, co było zdrowem w zachowaniu się Wodzickiego, ale to, co odpowiadało dawnym pojęciom i wrodzonym skłonnościom, zjednało mu w kraju poklask i zapewniło większe uznanie, niż jego rzeczywiste poświęcenie się służbie publicznej, praca wytrwała na polu sejnowem i już pewne zasługi, istotna wartość.

Naraz wzięcie w kraju stało się niemałym.

Pokazało się, że jeżeli żądać a nie otrzymać, osłabia zawsze; nie przyjmując, czasem wzmacnia.

Z dwóch stron Ludwik Wodzicki stał się człowiekiem przyszłości. W kraju zaczęto nie tylko liczyć się z nim, ale liczyć na niego; upatrywano w nim siłę, przeznaczano na pierwsze stanowiska. Podobał się, bo nie przyjął.

Monarcha pomyślał sobie, że ten, który się nie dał użyć dzisiaj, jutro może być zużytkowanym.

ROZDZIAŁ VI.

Ludwik Wodzicki marszałkiem krajowym 10 lipca 1877 r. — Łaska monarsza i zaufanie. — *Exposé* polskie z powodu kongresu berlińskiego. — Sesya sejmowa 1878 r.

Z dostojnością i zacnością, ku wielkiemu zadowoleniu Monarchy i kraju, z prawdziwym pożytkiem, przede wszystkim z wielką sumiennością, dzierżył łaskę marszałkowską po Alfredzie Potockim hrabia Włodzimierz Dzieduszycki. Ze sumiennością, niezawodnie zbytnią, osądził, iż zadanie jego skończone, że należy je powierzyć człowiekowi nowemu, którego by siły, zdrowie, wiek młodszy, wzięcie się w sprawy publiczne, podołać mu mogły w pełnej mierze. Jak miło wszystkim było, że ten wielki patriota, wielki pan ofiarny, mecenas, uczony, zbieracz, ornitolog i myśliwy, sprostał w śmienicie przewodnictwu w Sejmie i twardej, a zmuudnej nieraz pracy w Wydziale krajowym; tak znowu przykrą była dla kraju wiadomość, iż stanowczo postanowił usunąć się ze stanowiska i powrócić do swoich pięknych, a ulubionych zatrudnień. Im żał po nim był większy, uznanie zasług rzeczywistsze, tem trudniejszym stawało się zadanie następcy.

Zawsze zacnym zmysłem i wyborną znajomością świata, któremi się odznaczał, wiedziony, Namiestnik Alfred Potocki odrazu zrozumiał, że w danych okolicznościach marszałkiem powinien zostać Ludwik Wodzicki. Osądził, że stronnictwu, biorącemu wtedy przeważny w pracy odrodzenia w kraju udział, należało się to; że oddanie łaski Wodzickiemu najlepiej myśli i skłonności monarchy odpowie; że wreszcie powoła istotną siłę i już dojrzałego człowieka. Nie pomylił się. Przedewszystkiem chętne i pochlebne uznanie wyboru przez Cesarza potwierdziło trafność sądu Namiestnika. Ludwik

Wodzicki został dnia 10 lipca 1877 roku marszałkiem krajowym.

Nie zasługiwaliby na nazwę ani stronnictwa, ani szkoły, ani nawet grona publicystycznego Stańczycy, gdyby powołanie na jedno z czterech stanowisk przewodnich w kraju, jednego z nich, nie wywołało między nimi żywego zadowolenia. Ich myśl, ich zamiar, ich przekonania zajmowały jedno z tych stanowisk.

Nie tak może serdecznem jak Stańczyków, ale rzeczywiście, niemal ogólnem było zadowolenie kraju. Cieszył się i upatrywał korzyść, wiele sobie obiecywał z powołania na marszałka człowieka w sile wieku, zdolnego, oddanego od młodych lat służbie publicznej, chociaż Stańczyka powszechnie lubianego i oczywiście patrioty gorącego, chociaż teraz zrównoważonego; wreszcie tego, który odmówił był wstąpić do gabinetu księcia Auersperga.

W mądrości swej i troskliwości Cesarz Franciszek Józef I postanowił był wzmacniać dowodami swojego zaufania i laski, każdorazowego marszałka Sejmu galicyjskiego, i zaraz L. Wodzickiego podniósł do godności tajnego radcy.

Rozpoczęły się w części zawody, w części spełnianie żywionych nadziei.

Wszystko w świecie, zwłaszcza marszałkowstwo galicyjskie, wydaje się i piękniejszym i łatwiejszem zdaleka, niż zbliska.

Przedewszystkiem miał Wodzicki do walczenia ze wspomnieniem pierwszego, najznakomitszego ze wszystkich, marszałka ks. Leona Sapiehy i jego okresu nadającego się do działania w większych rozmiarach wytwarzającego warunki bytu narodowego, któremu tak mądrze i godnie sprostał był książę marszałek. Dalej ze wspomnieniami wytwornego obejścia w Sejmie, pierwszorzędnego stanowiska w państwie i stosunków do-

stojnych, Alfreda Potockiego. Wreszcie ze świeżą pamięcią marszałkowstwa Włodzimierza Dzieduszyckiego.

Stanowisko i zadanie okazały się odrazu trudnemi. Mógł je różowo przedstawiać sobie optymizm Wodzickiego, w istocie wadliwy urząd musiał zgotować rozczarowania.

W marszałkowstwie Sejmu galicyjskiego tkwi jakby ułomność przedrozbiorowych Rzeczypospolitej urzędzeń. Zdaje się być obmyślanem na to, aby złotej wolności Sejmu nie zagrażało, pewnemu stopniowi bezrządu w Wydziale krajowym nie przeszkadzało; ma małą i nieokreśloną władzę, co najważniejsze, pozbawionem jest wykonawczej. Zajrzyjmy do państwowych urzędzeń Rzeczypospolitej, odnajdziemy wszystkie te znamiona. Tym sposobem z marszałkowstwem połączone są wszelkie życzenia, nadzieje, wymagania, złudzenia i wielka niemoc. Łączy ono w sobie wszystkie pozory bez rzeczywistości. Jest przytem drogiem społeczeństwu, bo jakby związkiem z przeszłością.

Pierwsi Stańczycy w żarliwości neofickiej, w żądzy przeprowadzenia skutecznie i świetnie zasad własnej szkoły, w niewygasłej skłonności do wielkich kształtów, wreszcie w miłości własnej stronnicej, pragnęli, żądali, aby marszałek z ich grona spełnił rzeczy znakomite, niepospolite, nad innych się wzniosł i sprawę potężnie naprzód posunął.

Rzeczywistość, stosunki, przede wszystkim stanowisko i zakres działania, temu wszystkiemu nie odpowiadały.

Nie wolny od chęci odznaczenia się Wodzicki, podzielał niezawodnie w pierwszej chwili zapalę i złudzenia Stańczyków; wnet jednak musiał się zwrócić do nich, z miarkującymi, hamującymi i wytrzeźwiającymi słowy. Stanąwszy na gruncie rzeczywistości, wziął się nie do wymarzonego działania, ale do istotnej pracy i usiłował możliwe osiągnąć skutki.

Pierwsza sesya Sejmu pod laską L. Wodzickiego otwartą została 8 sierpnia 1877 roku. Zagaił ją mową, która stała się przewodnią jego marszałkowstwa; zagaił w chwili światowych wypadków — wojny wschodniej.

„Powołany wolą Najj. Pana na zaszczytne stanowisko, zajmowane dotąd przez ludzi uznanej powszechnie zasługi, gorliwych i doświadczonych w pracy około dobra kraju, nie taję przed sobą trudności zadania, ani też, wierząc mi Panowie, sił własnych nie przeceniam.

Przychodzę z dobrą wolą jedynie, z gorącą chęcią służenia krajowi; czy zadaniu podolał, przyszłość dopiero okaże. Wiedząc o tem dobrze, że człowiek, któryby pozostał odosobniony, a zwłaszcza na tem stanowisku, z pożytkiem pracować nie może, rachuję na poparcie nie tylko tych, których zaufanie albo życzliwość może posiadać, ale i tych także, którzy mało znanemu, lub zgoła nieznanemu, przez wzgląd na dobro publiczne, pomocy swojej odmówić nie zechcą. Ufnosć tę opieram na przekonaniu, że wobec sprawy publicznej ustąpić powinny wszelkie względy prywatnej natury, a jeżeli dotąd nie zawsze u nas tak bywało, to ciężko i boleśnie okupiliśmy doświadczenie, że tak być powinno.

Staraniem mojem będzie kierować obradami wysokiej Izby, a wogóle całym zakresem czynności, ze stanowiskiem tem połączonych, z bezstronnością zupełną i całą usilnością dołożę, żeby w dodatniej myśli połączyć i zjednoczyć wszystkie siły, jakimi kraj posłużyć się może, do wspólnej, zgodnej, a przez to dopiero prawdziwie skutecznej pracy.

U nas, jak niemal wszędzie, w różnych kraju okolicach, odmienne istnieją stosunki i potrzeby. Utrudnia to zadanie, ale tem jaśniej wykazuje obowiązek, żeby w naszych prawodawczych czynnościach wyrozumieniem i ofiarnością różnice te zacierać, poświęcać to, co dla jednych może być pożądanem, jeżeli drugich na złe naraża lub krzywdzi, znosić małe niedogodności dla wiel-

kiego celu, dobrą wolą zapelniać ten przedział, który i dzisiaj nam szkodzi, a w przyszłości niebezpieczeństwem zagraża.

Rozpoczynamy ten nowy okres prac sejmowych w warunkach pomyślniejszych, niż bywało: nietylko że ostatnie do Sejmu wybory zwiększyły zasób sił do pracy, ale zwiększył się oraz zasób ufności, harmonii, a zatem siły w kraju. Ostatnie wybory są tego dowodem i wyrazem.

Po długich latach podejrzeń i niechęci, ufność włościan do więcej wykształconych warstw społeczeństwa jest zmianą szczęśliwą i od nas tylko teraz, od tego Sejmu zależy ufność tę pomnożyć i utrwalić. Jeżeli Sejm, w którym włościanie dobrowolnie wyrzekli się własnego głosu, będzie dbał troskliwie o ich dobro, umiejętniej opiekował się nimi, niżby oni sami zdołali, znikną bezpowrotnie te społeczne rozterki, które dotąd nas w tych rzeczach ubezwładniają. Nigdy jeszcze obowiązek w tej mierze tak jasno nie był nam wskazany.

Z innej strony jeszcze w lepszych od przeszłości znajdujemy się w warunkach: przebyliśmy już gorączkę pierwszych chwil, właściwą ludności, która po długiej przerwie powołaną zostaje do udziału w życiu publicznem; owe marzenia, wyradzające się wśród ucisku, że wolnością leczą się doraźnie wszystkie choroby społeczne i ekonomiczne; przebyliśmy oraz i upadek na duchu, jaki zazwyczaj następuje po pierwszych zawodach i próbach daremnych. Doświadczeniem poprzednich kadencyj wzbogaceni wiemy już dobrze, że utworzenie nowych podstaw porządku społecznego nie jest rzeczą chwili, że lat wiele potrzeba, aby zbudować, co przez lat wiele burzono, że praca na tem polu, jakkolwiek konieczna, jakkolwiek ona jedna lepszą przyszłość zabezpieczyć nam może, nie odrazu wydaje owoce.

Początek zrobiony. Działalność poprzednich Sejmów ostrej, zbyt ostrej może ulegała krytyce, bo nie dosyć

zważano na trudności, z jakimi miały do walczenia: na brak bezpośredniej tradycyi w działaniu ustawodawczem, na brak ludzi do pracy włożonych; nie zważano na nieznajomość stosunków i uprzedzenia niezależnych od nas czynników, bez których współdziałania swobodnie poruszać się nie możemy. Pomimo tych przeszkód niejedno zrobione lub przynajmniej do roboty przygotowane.

W zakresie wychowania publicznego postęp niewątpliwy: Sejm i kraj, trudów ani ofiar nie szczędząc, zrobiły, co było można, żeby przygotować grunt pod zasiew, który, jeżeli wszyscy spełnią tak samo, co do nich należy, obfity plon wydać powinien.

Sprawa ustawodawstwa o gminach i Radach powiatowych, najtrudniejsza ze wszystkich, najwięcej wywołuje skarg i narzekań, najwięcej też zdań różnorodnych i odmiennych zapatrywań. Nic w tem dziwnego: ustawodawstwo gminne, nie tylko u nas, ale i w społeczeństwach oddawna swobodnych, oddawna posiadających normalne warunki rozwoju, przecież wymaga nieustannych zmian i ulepszeń, jest przedmiotem badań i sporów, tak w zakresie nauki, jakoteż i na polu praktycznego jego zastosowania. Łudzić się więc nie można, że my jedni, odrazu, znajdziemy kamień filozoficzny ustawy gminnej doskonałej. Ale korzystając z doświadczeń własnych i obcych, nie wając lekko zdobyczy na polu teoryi, a przedewszystkiem badając odrębne stosunki nasze, bez wstrząśnienia i nagłych przewrotów, dojdziemy do znalezienia właściwej podstawy, na której bezpiecznie opierać będzie można budowę krajowego samorządu.

Sprawa ustawy drogowej, ważna i pilna, stanowi jedno z zadań terażniejszej kadencji, z którego spełnieniem jak najmniej zwlekać należy. Rozpoznano już wszechstronnie zasady ogólne i właściwości naszego kraju; przy dobrej woli można będzie dojść szybko do

usunięcia stanu przejściowego, który zarówno w wielu okolicach nie odpowiada zasadom sprawiedliwości, jakoteż ogólnie warunkom ekonomicznego rozwoju.

Sprawa propinacyjna, tyle trudna i drażliwa, w zasadzie rozstrzygniętą została; jeżeli raz jeszcze stanie na porządku dziennym obrad wysokiej Izby, wina w tem już nie reprezentancyi krajowej, lecz pewnych nieprzyjaznych dążności, które pod osłoną zasad i teoryi kryją niechęć do naszego kraju i starają się ubezwładnić nas w każdym kierunku.

Będzie ważnem Panów zadaniem podczas obecnej kadencyi szukać miary właściwej, aby budżetu krajowego zbyt nie przeciążyć, a przecież nie cofnąć się przed wydatkami, bez których produkcyjny rozwój kraju staje się niemożliwym.

Do znakomitych zasług Sejmów dawniejszych należy wypracowanie ustawy hipotecznej dla mniejszej własności. Ważny to postęp i konieczny warunek do uporządkowania naszych ziemskich i kredytowych stosunków. Życzyć jednak i spodziewać się należy, że władze, którym wykonanie ustawy obecnie jest powierzone, z większą niż dotychczas energią i pośpiechem zajmą się wprowadzeniem jej w życie.

Na każdym polu prace porozpoczynane, zadania wskazane, co najmniej zwrócona już uwaga, trzeba tylko z wytrwałością posuwać się naprzód.

Na pomoc władzy wykonawczej w danych warunkach z pewnością rachować możemy. W radzie korony zasiada reprezentant kraju, który znając rzeczywiste jego potrzeby i stosunki, skutecznie bronić nas może od fałszywych poglądów i pewnych wpływów ubocznych, które jako smutna pozostałość dawnych tradycyj, choć coraz rzadziej, i dziś jeszcze się pojawiają.

Namiestnikiem Najj. Pana jest mąż, który w równej mierze zaufanie monarchy i kraju zdobyć sobie umiał, a jeżeli przeszłość, jego, jako pierwszego w ra-

dzie korony, daje mu na zewnątrz i w kraju niezaprze-
czoną powagę, to znowu przeszłość jego, jako marszałka
Sejmu i przewodniczącego w Wydziale krajowym, jest
dla nas jedną więcej rękojmią tej harmonii między wła-
dzami rządowymi a autonomicznymi, tej zgodności w ich
działaniu, bez których, przy ciągłej ze sobą styczności,
a zawisłych i nie zawsze jasno określonych granicach
obopólnych praw i obowiązków, najsumienniejsze na-
wet usiłowania pełnego skutku przynieść nie mogą.

Korzystając z tych pomysłnych warunków, prze-
dewszystkiem i z wysileniem, starać się należy o usu-
nięcie nieszczęsnych następstw fałszywego kierunku
z niedawnej jeszcze przeszłości, podczas której rozmyśl-
nie u nas szczepiono podejrzliwość i niezgodę, szukając
sposobów, ażeby uboższego na bogatszego rozjątrzyć,
ażeby jedną część ludności z drugą powaśnić. Obowią-
zek ten ciąży głównie na tych obywatelach kraju, któ-
rzy więcej wykształceni, lepiej czuć, a myśla głębiej się-
gać zdołają. Dobrej woli tylko potrzeba, wszak łączy
nas wszystkich miłość ziemi rodzinnej, ogromną wię-
kszość łączy wspólna wiara rzymsko-katolicka, której
wyznawcy obydwóch obrządków często, a świeżo jeszcze
tak wyraźnie złożyli dowody. Z tymi, którzy inną wiarę
wyznają, łączy nas starodawna tradycja właściwej na-
rodowi naszemu religijnej tolerancji, zwiększonej jesz-
cze w miarę i w skutek rozwijających się pod tym wzglę-
dem pojęć i potrzeb. Tej zaś nowoczesnej zarazy, która
uczy ludzi obchodzić się bez żadnego wyznania, aby
z czasem przywykli się obchodzić bez Boga i sumienia,
tej z łaski Bożej mniej u nas, niż u innych.

Zgodnie też z namysłem i rozważą, obraliśmy drogę
postępowania, z której nie zбочymy, choćby próbowano
budząc w mniej doświadczonych uludne nadzieje, użyć
nas za narzędzie obcych celów i potrzeb chwilowych.
W nas samych tylko, w rozsądku naszym, w pracy

usilnej a wytrwałej, miłością chrześcijańską ogrzanej, znaleźć możemy rękojmię lepszej doli w przyszłości.

Ze w roku bieżącym Sejm zwołano na tak krótko i w porze z tyłu względów niedogodnej, dziwić się nie można, a narzekać trudno, wszak wiemy wszyscy, jakiej natury i jak ważne są przeszkody. Sprawa ugody z drugą połową monarchii, chociaż nie wchodzi w zakres naszych czynności, obojętną nam być nie może, a jakiegokolwiek są pod tym względem zapatrywania pojedyncze, w czasach spokojnych, dziś pragniemy przede wszystkim, aby jak najprędzej zakończone zostały spory, które, gdyby przedłużać się miały, mogłyby osłabić powagę monarchii na zewnątrz.

Nie możemy również obojętnie patrzeć na groźne, a wielkimi skutkami brzemienne wypadki, które toczą się tuż poza granicami państwa. Nie do nas należy dawać nauki lub drogi wskazywać, choć już same dzieje nasze w doświadczenia i klęski tak obfite, w niejednym posłużyć mogą za zbawienną przestrożę; tyle nam jednak wyznać wolno i przystoi, że wierność nasza i nasze przywiązanie do tronu, stwierdzone oddawna, stwierdzają się coraz silniej, że coraz większą czcią i miłością otaczamy osobę monarchy, który nie zna różnicy między słowem a czynem: wszakże pod jego opieką wolno nam żyć i być, czem jesteśmy, narodowość naszą pielęgnować i rozwijać.

A także wolno nam i przystoi prosić Boga gorąco, żeby monarchę tego w trudnych czasach dzisiejszych natchnął w wyborze środków, wspierał pomocą swoją i opieką, iżby to wielkie obecne dziejowe przesilenie wyszło Jemu na chwałę, a monarchii na prawdziwy i trwały pożytek. Wnoszę okrzyk: Niech żyje cesarz i król nasz, Franciszek Józef II!“

Mowa streszczała i stawiała z krzesła marszałkowskiego pomysł odrodzenia, o którym wyżej mówiłem; zaznaczała zasady, na których się opierał.

Po słowach czyny.

Podczas sesji 1877 r. na podstawie sprawozdania Wydziału krajowego, uchwalił Sejm rozpoczęcie budowy gmachu sejmowego. Dzieło przeprowadził i do końca doprowadził Wodzicki, chociaż nie jemu danem było zagaić Sejm w nowym budynku. Stał gmach najpiękniejszy w epoce odrodzenia politycznego w kraju, chociaż może nie całkiem z epoki najpiękniejszego Odrodzenia; otwały się podwoje godne jedynego w tych czasach Sejmu polskiego, który przedtem wstydliwie chronić się musiał w szczupłej komnacie do teatru należącej. — Każde, odznaczające się w dziejach czasy, zaznaczyć się muszą dziełami architektonicznymi. Nazwisko Wodzickiego połączyło się z tem, które względnie do stosunków jest ozdobą stolicy i przystojnym gmachem krajowym.

Zaraz potem przystąpił Sejm do zadań żywotnych, wskazanych przez marszałka; do utworzenia nowych szkół rękodzielniczych, i bardzo gorliwie zajął się wogóle sprawami szkolnemi; uchwalił pieniądz dodatkowy dla okręgowych funduszków szkolnych i przedłużył kredyt dla Rady szkolnej na zaliczki zwrotne dla gmin, na cele budowy szkolnych.

Sesya nie była długą. Zamknięto ją 30 sierpnia dla uniknięcia adresu, przygotowanego przez komisję, wkraczającego z powodu wojny wschodniej w dziedzinę wielkiej polityki, pomimo roztropnej przestrogi w mowie marszałka.

Zamykając, zamkniętą pod koniec wielką polityką sesyę, rzekł Wodzicki: „Że obowiązki posła nie ustają z chwilą przerwy pomiędzy jedną sesją sejmową a drugą — o tem nie wątpię, wszyscy przekonani jesteśmy“ i dodał:

„Dzisiaj tak, jak w chwili naszego zebrania, niełatwo myśl odwrócić od dziejowych wydarzeń, które

tak stanowczo wpływ wywrzeć mogą na losy państwa i kraju, na przeobrażenie stosunków europejskich.

Za zasługę policzyć należy krajowej reprezentacji, jeżeli pomimo uczuć różnorodnych, przez wypadki te wywołanych, umiała zachować trzeźwość sądu i miarę właściwą, zajęła się ze spokojem i rozwagą załatwieniem tych spraw przedewszystkiem, które stanowią bezpośredni zakres jej działania.

Nie obojętność to, Boże zachowaj, ale wyrobione i na ciężkich doświadczeniach z przeszłości oparte przekonanie, że tylko skupienie wszystkich sił do ukończenia zadań rozpoczętych lub wskazanych, w celu uporządkowania wewnętrznych stosunków kraju, lepszą przyszłość zabezpieczyć nam może.

Ufni w sprawiedliwość Bożą, starajmy się o to przedewszystkiem, aby sprawa nasza została sprawą dobrą, czystą i sprawiedliwą, a ze spokojem oczekiwać możemy dalszych zrzążeń Opatrzności.

Nie było dozwolonem nowo wybranej reprezentacji kraju u stóp tronu Najj. Pana złożyć wyrazy przekonania i hołdu czei swojej, a z przyczyn od woli i postanowienia reprezentacji tej niezależnych.

Z nieosłabioną wszakże wiarą w łączność interesów monarchii z dobrem naszego kraju, z niezachwianem uczuciem wierności i przywiązania do naszego Monarchy, z wdzięcznością za tylkrotne dowody wspaniałomyślności i łaski jego wnieśmy okrzyk: Niech żyje Cesarz i Król nasz Franciszek Józef I“.

W uznaniu wybornego przewodniczenia w pierwszej sesyi, pod łaską Wodzieckiego, Cesarz powołał go dnia 19 grudnia 1877 r. do Izby panów, jako dożywnego członka.

Po raz pierwszy trzeźwość zwyciężyła w kraju i w społeczeństwie nietylko galicyjskiem, także w polskiem wogóle. Naród po raz pierwszy przeniósł rzeczywistość nad ułudę. Po raz pierwszy wielką polityką nie

zmarnowano, nie zaprzepaszczone sprawy i warunków bytu narodowego w tej dzielnicy, nie pogorszone ich gdzieindziej.

Adres niedoszły nie był potrzebnym; wprawdzie i on był umiarkowanym, ale wymowniejszem a w skutkach nieszkodliwem było zaniechanie, nie przyjście jego do skutku.

Spółceństwo zachowało się następnie politycznie wzorowo, wstrzemięźliwie. Już zrozsądniało. Zdało egzamin dojrzałości na całej przestrzeni ziem polskich, podczas wojny wschodniej.

Ks. Adam Sapieha rozumnie i zręcznie odwrócił ze strony angielskiej podjętą znowu próbę użycia Polaków nie w polskich celach dla uszkodzenia linii komunikacyjnej wojsk rosyjskich.

Stańczycy osobiście i w pismach swoich w tym samym działali kierunku.

Nowa, cenna nad wszelki wyraz, przybywała im siła. Nieodżałowanej pamięci Artur Potocki, którego życia przedzę nieubłagana Parka tak wcześniej przecięć miała, począł zajmować się sprawą publiczną i za przykładem ojca swego, Adama Potockiego, występować na widowni. Działalność jego odświeżała i ożywiała animuszem niemalym obóz Stańczyków.

W porozumieniu z nimi postanowił zapobiegać temu, co by społeczeństwu polskiemu podczas odgrywających się wypadków szkodę przynieść mogło. Z jednej strony szło o to, aby najwidoczniej bezowocnie, nie narażać sił i zasobów polskich, gorzej jak bezowocnie, bo na to tylko, żeby spotęgować srogość mściwej, żadnej sposobności zemsty w zaborze rosyjskim, władzy; z drugiej zapobiedz należało wystąpieniu Polaków w fałszywym świetle obrońców i sprzymierzeńców panowania tureckiego nad słowiańskimi ludami półwyspu bałkańskiego.

Uproszony Edward Raczyński udał się do Stambułu, aby przedstawić w. wezyrowi, że utworzenie le-

gionu polskiego nie przyniesie Turcyi żadnej korzyści, gdy stanowczo nie poprze przedsięwzięcia wpływowa i zamożna część społeczeństwa polskiego; w zamian legion ściągnie prawdopodobnie na Polaków nowe prześladowania. Edward Raczyński wywiązał się z posłanictwa z wrodzonym i odziedziczonym rozumem; długa z w. wezyrem jego rozmowa nie była bezskuteczną.

Kiedy się kongres berliński w 1878 r. zebrał, ludzie ze stronnictwa krakowskiego w porozumieniu z marszałkiem Wodzickim, z Prezesem Koła Polskiego w Wiedniu Kazimierzem Grocholskim, z wielu innymi oraz z poważnymi obywatelami z innych polskich krajów, wygotowali pismo o położeniu oraz stosunkach każdej dzielnicy polskiej i streścili w niem, pomysł powyżej przytoczony odrodzenia, który, mówiło pismo, stał się przekonaniem narodu. Pięknie ujął rzecz całą po francusku Paweł Popiel. Obrady nad nią trwały parę dni u niego w Ruszczy i u Stanisława Tarnowskiego w Krakowie na Szlaku. Pismo, wydrukowane w Berlinie pod nazwą *Exposé* za staraniem osobistem Artura Potockiego, dostało się do rąk członków kongresu. Zwróciło bardzo na siebie uwagę tem, że stwierdzało wytrzeźwienie i zwrot społeczeństwa polskiego. Złych skutków nie miało i mieć nie mogło — dobre były rzeczą przyszłości. Uwidoczniło i określiło wobec społeczeństwa samego jego nowe zasady życia. Nie szło wcale o przypomnienie się Europie; pod tym względem wyleczenie nastąpiło już; szło o stwierdzenie w chwili oswobodzenia ludów słowiańskich wobec władców ziem polskich, w jakich warunkach nauczyli się Polacy żyć, jakich potrzebują, aby żyć prawidłowo.

Pismo to stało się koniecznem wobec złożenia przez Jana Dobrzańskiego, właściciela *Gazety Narodowej*, w kancelaryi kongresu, bezrozumnie napisanego protestu przeciw rozbirom.

Przytaczam w całości *Exposé* polskie z powodu kongresu berlińskiego:

„Kongres wkrótce zakończy swe prace. Celem jego jest pogodzić interesa Europy z dziełem przedsięwziętem przez Rosyę, które cesarz Aleksander II w odezwie swej do Bułgarów nazwał upomnieniem się (*revendication*) „o prawa narodowe, będące nieodzownym warunkiem przyrodzonego i prawidłowego rozwoju ich bytu“. Czyż te zasady i prawdy stosują się do pewnych tylko ludów? Czyż właściwe, słuszne i niezbędne w Bułgarii, tracą one swą cechę słuszności i prawdy w zastosowaniu do innych? Czyż „wolność i byt narodowy“ są tylko dla Słowian południowych „warunkiem przyrodzonego bytu i prawidłowego rozwoju?“

Dostojne Zgromadzenie, które w tej chwili zasiada w Berlinie, postawiło jeszcze przed zebraniem się zasadę, że chce się ściśle zamknąć w granicach spraw poruszonych istotnie wypadkami ostatniej wojny.

W chwili jednak toczących się obrad, w chwili gdy uznane są prawa kilku ludów do bytu narodowego i prawidłowego, w chwili przyznawania niektórym z nich tego bytu, Polacy zachowując milczenie, mogliby być posądzeni, że sami zapominają o sobie.

Niema może sprawy trudniejszej do rozbierania nad sprawę polską, i aby mieć odwagę mówienia o niej, potrzeba przekonania o obowiązku, i nadziei, że duch sprawiedliwości i rozumnej przezorności nie wygast w radach monarchów i narodów.

Nie zrzekając się praw nieprzedawnionych (*droits imprescriptibles*), jakie ustawa boska zapewnia narodom — i przywołując na pamięć rękojmie i uroczyste obietnice zapisane w prawie narodów i sformułowane w konstytucjach i statutach organicznych, jak z r. 1815 i 1832, których większa część weszła w prawo publiczne europejskie, nie chcemy dziś rozbierać rzeczy prawa — ograniczymy się na przedstawieniu faktów.

Proste wyłuszczenie położenia całego narodu, wsteczny pogląd na cały system politycznego względem niego postępowania, zbyt mało znany lub raczej nie dość oceniony, dostarczy, gdyby mógł zająć uwagę badawczego umysłu, przedmiotu do poważnego zastanowienia się i stanie się wielką przestrogą, której zaprawdę społeczeństwa, narody i rządy obecne na nieszczęście potrzebują.

Wogóle przypuszczają zgodnie, że wszelkie działanie a nawet wszelkie dążenie Polaków nietylko jest niepraktycznem, lecz niewykonalnem: każde zatem ich żądanie napotyka odmowę. Sądzą może nawet, lub udają że sądzą, iż tyle lat cierpień i strasznych nieszczęść przesunęło się ponad nami, nie zostawiwszy śladu i że według słynnych słów: niczegośmy nie zapomnieli i nie się nie nauczyli. Sąd ten jest mylny. Ktokolwiek śledzić chce z dobrą wiarą i umysłem mniej więcej badawczym działanie naszych Delegatów do parlamentu wiedeńskiego i berlińskiego, kto chce zastanowić się nad obradami naszych sejmów prowincjonalnych, zgłębić ruch całkowity urzędzeń przyznanych ludności polskiej: przyznać musi, a nawet zaświadczyć, że nasze społeczeństwo, nasz lud szczególnie, stanowią ważny żywioł społecznego porządku, nie będący bez wartości w epoce tak burzliwej, jak nasza.

Warstwy kierujące dają dowody ducha przezorności, rozsądku politycznego i poświęcenia, lud poszanowania prawa, urzędzeń i władzy. Świadczą o tem mowy naszych posłów, język naszych najlepszych dzienników i przeglądów, spokój, jaki w kraju naszym panuje. Wyjątki, coraz to rzadsze, stwierdzają tylko mądrość większości narodu. Socjalizm, przeciw któremu widzi się dziś rząd niemiecki zmuszonym uzbroić w wyjątkowe ustawy, odpycha nasza ludność.

Zwróćmy jednak na to uwagę, że położenie nieprawidłowe i doprowadzające do rozpacz, mogłoby służyć za wymówkę tem bardziej, że zaraza społeczna przy-

chodzi do nas z zewnątrz i od tych samych narodów, które nas tak surowo sądzą.

Pod rządem austryackim sześćo-milionowa ludność używa z umiarkowaniem wolności obywatelskiej, politycznej i religijnej, z sądami krajowemi, wolnem zastósowaniem języka narodowego w szkole, rządzie i sądzie. Galicya przedstawia obraz prowincyi dobrze uorganizowanej, a posłowie jej dowodzą swem głosowaniem pieczołowitości o potęgę monarchii, o cześć panującego domu, który umiał natchnąć Polaków uczuciem uszanowania i wdzięczności.

Pod rządem pruskim splacili Polacy dzielnie i hojnie haracz krwi w trzech idących po sobie wojnach. A jednak czują się oni zbyt często dotkniętymi w swych najwewnętrzniejszych przekonaniach. Nie mając zamiaru wyszczególniać tu praw, na jakie się ludność polska w Prusach powołuje, chcemy jedynie stwierdzić, że pozostały dotąd bezowocnymi najbardziej nawet uzasadnione domagania się i zastrzeżenia posłów polskich w Berlinie.

Mamy nadzieję, że mężowie światłych umysłów i wzniosłych charakterów zasiadający obecnie w radach Europy, zwrócić zechcą uwagę na przedłożenie nie będące oskarżeniem Rosyi, ale szeregiem faktów, których znajomość równie jest ważną dla tego mocarstwa, jak dla nas. Są sprawy, w których solidarność istnieje nawet między przeciwnikami.

Pojąć można, że monarcha samowładny, odstąpiwszy od sposobu rządzenia swego poprzednika i próbując, wskutku ruchów, których niedość zbadał doniosłość, nadać krajowi pewne swobody miejscowe, dotknięty w swych uczuciach, lub zawiedziony w swych sądach, wraca do surowego sposobu, aby zapewnić sobie względną spokojność; lecz trudno sobie wytłómaczyć, jak ten sam monarcha zezwalać może w pod-

bnym razie na zagładę i zniszczenie całego narodu. Tak jednak obchodzą się z Polakami od lat czternastu.

Ogłaszając w teorii nieinterwencję, Europa przyjęła w praktyce słusznie lub nie, nową zasadę w swoim prawie publicznem: prawo interwencji. Zasada ta tak się da sformułować: „Ponieważ nieprzedawnione prawa sprawiedliwości zostały naruszone, występuję z siłą, jaką mi Opatrzność nadała dla obrony słabego przeciw nadużyciom siły bezwzględnej“. Z mocy tej zasady Rosya wkroczyła do Bułgarii. Historia świadczy o wiekowych cierpieniach Bułgarów. Nie naszą rzeczą badać, czy Turcyja mogła w imię traktatów rościć sobie, jak to czyni tyle innych państw, prawo postępowania z swymi poddanymi według swego widzimisię. Przeciwnie, jeżeli rzeczywiście jest dowiedzionem, że Bułgarowie doznają uszczerbku w swych prawach religijnych, obywatelskich i narodowych, pierwsi radujemy się z odrodzenia tej rodziny plemienia słowiańskiego, tem bardziej, że Rosya zapewniała tylokrotnie, iż polityka jej, oswabadzając Bułgarów, całkiem jest bezinteresowną.

Ale faktem jest dla nas i dla całej Europy, że Rosya uznaje, iż władza uprawniona wiekowym posiadaniem i traktatami traci swe prawa, skoro ich nadużyje.

Postawmy się na stanowisku rosyjskiem i przypuśćmy, że podbój tworzy początek posiadania, i że jeżeli za niem idzie rząd ojcowski, może ono z czasem ubiegać się o prawowitość. Przypuszczenie to jest, jak mniemamy, dość obszerne (*large*), lecz w zamian przyznać trzeba, że prawo podboju, jakkolwiek ma źródło swoje w sile, niemniej jednak podlega pewnym warunkom. Czyż zwycięzca może twierdzić lub dowieść, że ze względu, iż nie istnieje żaden układ, wszystko mu jest dozwolonem? że może względem słabego poddanego zaniechać wszelkich względów ludzkości? że tak zwany „powód stanu“ upoważnia go do gwałcenia praw własności, godności

człowieczej, przyrody i sunienia? że może pracować nad duchowem zepsuciem i osłabieniem społeczeństwa przez przeciwieństwo warstw ludności, i że niedość mu karać jednostki śmiercią lub wygnaniem, lecz może także przywieść do milczenia naród, i zgładzić całe plemię? Sumienie zgodnie z prawem publicznem odpowie: nie. Nie, gdyż nikomu nie jest danem prawo, niszczyć dzieło Boże; nie — gdyż takie zaprzeczenie wszelkich uczuć moralnych stawia w wątpliwości możność zasad, i tworzy ogromne niebezpieczeństwo społeczne: przepaść, której głębi nie dojrzy oko olśnione namiętnością zagorzałości, lecz którą zmierzyć zdoła roztropność prawdziwych mężów stanu, gdyby nawet sumienie dozwalało im milczeć.

Stłumiwszy ruch powstańczy 1863 r., Rosya mniemała mieć prawo karania, i użyła go w całej pełni, lecz nie poprzestała na tem. W chwili, gdy zaszły wypadki r. 1863, żywioł rewolucyjny nurtował Rosyę.

Dążąc do różnych celów, ludzie kierujący ruchem w Polsce i w Rosyi mniemali mieć punkta zetknięcia z sobą, lecz gdy powstanie wybuchło z dążnością wyłącznie narodową i polską, Cesarz odwołał się do oroku swej władzy i do patryotyzmu rosyjskiego. Sekciarze panslawistyczni podnieceni zarazem dumą i nienawiścią narodową i zagorzałością rewolucyjną, rzucili się na Polskę, aby zniszczyć w niej istniejące urządzenia i pogwałcić własność osobistą. Cesarz obrażony, że nie uznano jego chęci, party rozgorączkowaną publicznością, uważał za stosowne obrać środki, które zaważyły odtąd na wypadkach: oddał kraj na pastwę samowoli i doświadczeń panslawistycznych.

Przed końcem 1863 r. pięciu biskupów zostało wywiezionych, a nie zadawano sobie nawet pracy udowodnienia im winy politycznej; setki księży wysłano na Sybir. Być może, że między ostatnimi niektórzy wielce narazili się byli, niemniej jednak jest prawdą, że wię-

ksza część została wywiezioną uprzednio, i że dotąd znajduje się jeszcze w głębi Rosyi.

W dniu 4 marca 1864 r. pojawiły się cztery ukazy, z których pierwszy nadaje własność ziemską włościanom, drugi wskazuje przeprowadzenie tego postanowienia, trzeci oblicza wynagrodzenie właściciela, a czwarty urządza gminę.

Wyłączając pewne rozporządzenia pierwszego, natchnione nienawiścią i teorią, ukazy te były potrzebne i dadzą się wytłómaczyć politycznie. Ostatni mógł równie jak pierwszy stać się zbawiennym i nadać ludowi własność ziemi, nie psując go, gdyby wykonanie było powierzonym ludziom i umysłom prawnym. Dodajmy, że szlachta polska żądała oddawna pierwsza wyswobodzenia włościan i zniesienia pańszczyzny. Towarzystwo rolnicze, w którym wszyscy właściciele ziemscy brali udział, wypracowało z upoważnienia rządu pomysł zniesienia pańszczyzny. Środek ten więc odpowiadał życzeniom kraju, pojęciom wieku i korzyściom gospodarczym. Lecz człowiek, który dla szczęścia Bułgarii i, jak mniemamy, dla czci Rosyi, znalazł śmierć przedwczesną wśród swego zawodu zniszczenia ¹⁾, uczynił wszystko, aby zwiechnąć zamiar swego pana, aby zasiać niezgodę w umysłach i chciwość w sercach, czyniąc tym sposobem wstęp do dzieła, które zamierzył zastosować do własnej swojej ojczyzny, Rosyi.

W ośm miesięcy później postanowionem zostało zniesienie klasztorów, a środek wykonany był pod zasłoną tajemnicy, w nocy, z niesłychaną surowością. Zakonników rozpędzono, jedni wygnani, drudzy uwięzieni, własność zagrabiona. Dziwno i smutno widzieć notę dyplomatyczną, mającą wytłómaczyć ten czyn, podpisaną przez szlachcica, patriotę, znakomitego męża stanu, ks. Gorczakowa.

¹⁾ Książę Czerkawski.

Prawie równocześnie i naraz nałożono na właścicieli polskich i katolickich na Litwie, Ukrainie, Wołyniu i Podolu, haracz roczny. Haracz ten oznaczony na każdy powiat, nie przestaje być pobieranym do dziś dnia. Skonfiskowano dobra właścicielom skompromitowanym. Podejrzanych wywieziono bez sądu z mocy rządowego rozporządzenia i zmuszeni oni są w ciągu lat dwóch sprzedać swoje własności. Po upływie tego czasu rząd wystawia te dobra na licytację i sprzedaje za bezcen, gdyż wielka większość mieszkańców nie może być nabywcami. W istocie sławny ukaz z 10 grudnia wzbrania każdemu Polakowi i każdemu katolikowi zostać właścicielem w tych prowincjach. Pozbawia on Polaków prawa posiadania własności ziemskiej z mocy testamentu, ścieśniając je do granic prawnego dziedziczenia. Przekazywanie własności w stopniach najbliższych (z rodziców na dzieci) nie może się odbywać za życia. W ukazie tym nie zaszła żadna zmiana i aż dotąd zastosowywany on jest z całą surowością. Potworne te rozporządzenia, przynosząc uszczerbek najprostszym zasadom gospodarczym, ścieśniają prawo własności, wstrzymują rozwój bogactwa publicznego i gwałcą wszelkie pojęcie sprawiedliwości i prawa.

Na Litwie i w Prowincjach Zabrzanych posunięto się aż do wzbronienia języka polskiego na ulicy i we wszystkich miejscach publicznych pod surowemi karami. Widzieliśmy niestety! i widzimy rządy zaprowadzające nielitościwie obcy język nawet w szkołach początkowych, lecz nikt nie widział, o ile nam wiadomo, aby samowładna zagorzałność mogła posunąć się aż do zakazania bezwzględnie narodowi języka macierzystego.

Co do prześladowania religijnego, nie możemy postąpić właściwiej, jak odwołać się do okólnika tak jasnego, tak dokładnego i umiarkowanego, który przesłał rządowi rosyjskiemu J. Em. kardynał Simeoni, sekretarz stanu Stolicy świętej.

Jest jedna rzecz ważna, na którą kładziemy szczególny nacisk, a która największy przynosi uszczerbek wykonywaniu praw obywatelskich znacznej części ludności. Katolicy z tytułu samej religii, jaką wyznają, pozbawieni są wykonywania praw, których używają mieszkańcy tych samych prowincyj należący do innych wyznań. Nie mogą oni pełnić żadnego urzędu bądź sądowego, bądź administracyjnego. Liczba młodzieży przypuszczonej do zakładów wychowania publicznego, nie może przewyższać 10% ogółu uczniów. Ponieważ stopnie uniwersyteckie nadają prawa i ważne przywileje młodzieży powołanej pod chorągwie, jest to więc sprawa wielkiej wagi, gdyż służba wojskowa obowiązuje wszystkich.

Prócz tego wszystkie gubernie Litwy, Podola, Wołynia i gubernia Kijowska podlegają stanowi wyjątkowemu. Nie zastosowano do nich ulepszeń sądowych w całej rozciągłości; wykluczony tam jest sąd przysięgłych; sędziowie pokoju, równie jak urzędnicy, wybieralni w innych guberniach, tu mianowani są wprost przez rząd. Zresztą pozbawiono je dobroczynnej instytucji autonomicznej prowincjonalnej, znanej pod nazwą „Ziemstwo“.

Królestwo Polskie przyłączone istotnie do cesarstwa, zachowało tylko swą nazwę; ostatni ślad dawnej swej autonomii.

Mimo względniejszego nieco postępowania, przesładowanie religijne jest tam na porządku dziennym. Pięć dyecezyj pozbawionych jest swych biskupów, a proboszcze wszyscy bez żadnego wyjątku są internowani w swoich parafiach. Chcąc się oddalić bądź dla obsłużenia sąsiedniego kościoła, bądź do miasta powiatowego, zmuszeni są wyrabiać sobie paszport. Łatwo sobie zdać można sprawę z złowrogiego skutku, jaki to nadużycie władzy i to niedowierzanie sprawiać musi u ludności. Co zaś do duchowieństwa, nietrudno również pojąć, jaki wpływ wywierać koniecznie musi na nie ten system odosobnienia i pod pewnym względem aresztu, jakiemu ulegają.

Powtarzamy: więzy narzucone religii, podkopanie karności duchowieństwa, rozstrój seminariów, oto pomysł wykonywany przez rząd, aby osłabić kościół i przygotować jego zlanie się z urzędowym kościołem rosyjskim. Jak każda wielka nieprawość i ta sprawi ogromne zło, nie osiągając celu, jaki sobie założono, a dowodem jest to, co się dzieje w naszych oczach u Unitów w Królestwie Polskiem. Od pięciu lat, rząd po dwunastoletniem z kolei przygotowaniu dzieła swego, napróżno próbuje wszelkich środków, jakie obłuda nastęrcza a ludzkość potępia, aby doprowadzić ludność tę do odszczepieństwa. Wprowadziwszy biskupa intruza i pasterzy odszczepieńców, wyczerpawszy wszelkie pokusy i wszelkie groźby, usiłuje on zmusić do zmiany wyznania.

Na rozkazy, odpowiedzieli Unicy odmową; na użycie siły, męczeństwem.

Znane są teraz te szczegóły, jakie zaprzeczają zła wiara, a dokumenta urzędowe ogłoszone przez neutralnych stwierdziły. Ludzie urągający śmierci z odwagą chrześcian pierwszych wieków; matki, które wolą widzieć śmierć swych dzieci nad przejście ich na schyzmę, ludność wiejska narażona — kobiety i dzieci — przez całe dnie na mróz 20-stopniowy; tysiące osób wywiezionych nie wiedzieć gdzie: oto osiągnięte skutki. Takie są w całej swej bolesnej nagości zgubne i oburzające następstwa sposobu zastosowanego do ludności unickiej i prób sekty panslawistycznej, której oddał na łup kraj, cesarz Aleksander. Po strzałach nastąpiły deportacje i egzekucje wojskowe, naprzód chłosty cielesne, następnie nacisk, jaki wywierali żołnierze zakwaterowani u włościan, aby ich zmusić przez ruinę i nędzę do przyjmowania sakramentów schyzmatyckich. Stan ten rzeczy trwa jeszcze dziś w sposób niemniej barbarzyński, chociaż odziany pozorem prawności. Unicy, aby uniknąć ślubu, któremu błogosławi ksiądz kościoła urzędowego, żyją w konkubinacie lub bezżeństwie. Aby uni-

knąć chrztu świętokradzkiego, tają urodzenie swych dzieci i chrzczą je pokryjomu. Policya wykonywana z ścisłością, jakiej wieki mniej cywilizowane nie znały, nadzoruje urodzenia, nadzoruje obecność w kościele. Każdy ksiądz katolicki, któryby odważył się udzielać Sakramentu Unicie, pewnym jest, że natychmiast zostanie wysłany na Syberyę. Państwo wdaje się obłudnie, twierdząc, że nie może cierpieć, aby cała ludność zaniedbywała swych obowiązków religijnych. Jako środek publicznego porządku rozpoczynają się na nowo prześladowania: wloką matki do cerkwi, wiara jednych upada, drugich odnosi zwycięstwo. Nieszczęśliwi Rusini, prześladowani za wiarę, znaleźć mogą schronienie tylko w Galicyi.

Przypuszczając, że w roku 1863 Rosya broniła swego panowania w Polsce i sądząc bezstronnie ukazy z marca 1864 r., mniemamy uwzględniać dostatecznie to, czego polityka surowa, lecz w pewnej mierze zrozumiała, dozwalać mogła rządowi cesarskiemu.

Lud rosyjski ma widocznie wielkie przymioty: jego patriotyzm, jego znana dzielność wojskowa, stwierdziły się znowu w ostatniej wojnie. Lecz względem Polski te same przymioty posunięte zostały aż do oblędu i zago-rzałości współczesnem działaniem rządu i stronnictwa politycznego, które zdołało zagarnąć władzę. Dość przeczytać pisma i odezwy z roku 1863, aby pojąć do jakiego stopnia publiczność była rozgorączkowaną. Większa część narodu rosyjskiego przejęta była uczuciem nienawiści i trwogi. z czego rzeczzone stronnictwo umiało skorzystać, aby wywrzeć nacisk na monarchę. Znużony, obrażony Cesarz dał *carte blanche* najzacieklejszym naszym wrogom.

Wtedy burzyciele zawładnęli Polską, jakby swą zdobyczą. Wrodzone uprzedzenia plemienne, gniew z powodu poronienia ich usiłowań, dążenie wzniesienia się, wszystko to podwoiło wściekłość, z jaką stronnictwo

rzządzące na dworze i publiczność rzuciły się na ten kraj. Nie chodziło już o zapewnienie bezpieczeństwa cesarskiego rządu, lecz o przywiedzenie społeczności do stanu zupełnego omdlenia przez skażenie ducha ludu, wywołanie współzawodnictwa warstw społecznych, wyępienie języka, zniszczenie kraju i dążenie znizienia poziomu godności osobistej wszelkimi pokusami, jakie ma na swe rozkazy władza samowładna bez nadzoru i sumienia.

Królestwo Polskie, jakie stworzył kongres wiedeński a cesarz Aleksander uposażył obszerną autonomią, zachowało po stracie swobód konstytucyjnych w r. 1831: miejscową administrację krajową, prawodawstwo, w którego duchu rozwijały się wszelkie stosunki społeczne, sądownictwo prawe, które w procedurze używało jedynie krajowego języka. Z temi urządzeniami, pomimo surowego systemu księcia Paskiewicza, kraj zachował swój dobrobyt; czuć było poskromienie, lecz przynajmniej zawody otwarte były dla wszystkich i był był znośny. Rozumiano język, znano ustawy.

Zaledwo ogłoszone zostały ukazy z roku 1864, powstała potworna władza obok władz miejscowych i pochłonęła je wszystkie, począwszy od namiestnika.

Komitetowi urządzającemu przewodniczył ks. Czerkaski, który utworzył cały swój sztab główny z stronnictwa, jakie przedstawiał. Aby zastosować swoje zasady, uczynił on z przeszłości *tabula rasa*. Jednak zuchowałość jego wobec wszelkiej wyższej władzy i bezwzględne jego postępowanie ściągnęły nań niełaskę; duch atoli stronnictwa przeżył człowieka i dzieło jego było prowadzone dalej. Naprzód przystąpiono do zniesienia ministerstwa skarbu i spraw wewnętrznych, skupiając je w Petersburgu. Zbytecznym byłoby wyjaśniać zamęt, jaki powstał natychmiast w sprawach, skoro już nie mogły być rozstrzygane gdzieindziej, jak w stolicy carstwa, w języku nieprzystępnym dla stron, we-

dług przepisów nowych i przez urzędników niezna-
jących całkiem kraju. Dodajmy, że wyrzutki „czyno-
wników“ rosyjskich były wysyłane, aby szukać szczę-
ścia w Polsce, i że tysiące Polaków, którzy przez całe
swoje życie służyli krajowi i monarsze, znalazły się na
bruku i przywiedzione zostały do żebractwa.

Kraj ten, który dotąd korzystał z narodowej ad-
ministracyi, znalazł się na łasce obcych urzędników. Ta
sama zawsze władza: Komitet urządzający, starał się
podniecać zawiści i zachcianki właściciela włościanina
przeciw wielkiemu właścicielowi. Sprawa służebnictw
była szczególnie wyzyskiwaną w tym duchu i mogła
była doprowadzić do zgubnych skutków, gdyby zdrowy
rozsądek i usposobienie ludu nie były temu położyły za-
pory, jakiej nie przewidziano. Lecz jeżeli powodzenie nie
zawsze wzięczyło te usiłowania, o ileby pragniono, nie-
mniej jednak wyrządzono krajowi tyle złego, ile było
można. I tak w chwili, w której to piszemy, ważna sprawa
wspólnych pastwisk i serwitutów gruntowych leśnych,
umyślnie niezłatwiona, mąci stosunki i nie dozwala
wielkim i małym właścicielom wyzyskiwać korzystnie
swej ziemi.

Oto, do czego zeszyły rękojmię traktatów: oto stan,
w jakim znajduje się Królestwo Polskie, któremu dzien-
niki najbardziej wpływowe, przywódcy stronnictw naj-
popularniejsi, odmawiają nawet nazwy, zamieniając ją
na „Kraj nadwiślański“.

Tak więc kraj ten, który nawet po roku 1831 uży-
wał zupełnej autonomii administracyjnej z namiestni-
kiem cesarskim w Warszawie i ministrem stanu w Pe-
tersburgu, ujrzał się pozbawionym wszystkich praw
swoich, pochłoniętym, zlanym z carstwem rosyjskiem
i rządzonym przez ministrów carstwa.

Warszawa, stolica Królestwa Polskiego, jest dziś
już tylko miastem stołecznem gubernii lub co najwięcej
prowinicy; a jeżeli kraj przyciśniony podatkami, wy-

zyskiwani dosłownie przez administrację rosyjską, nie doszedł jeszcze do stanu zupełnego zubożenia, winien to tylko dzielności swoich mieszkańców i wielkim zasobom, jakimi go Opatrzność uposażyła.

Dwa środki niszczące pozostawały jeszcze do użycia i nie dały czekać na siebie. Naprzód rzucono się na publiczne wychowanie, a w pierwszym rządzie na język. Jednym pociągnięciem pióra zaprowadzono język rosyjski w szkołach jako język naukowy i zmuszają dzieci polskie uczyć się po rosyjsku języka Mickiewicza. Każdy unyśł bezstronny pojmie trudności, jakie młodzież napotyka w naukach, niedostateczność podobnego kształcenia, rozpacz rodziców, nie mogących dawać swym dzieciom innego wykształcenia.

Nie tu miejsce rozbierać system rosyjski nauczania, lecz mamy prawo dziwić się zupełnemu brakowi wszelkiego wpływu moralnego w wychowaniu, co tylko zwiększać musi liczbę zwolenników nihilizmu; a nawet to pozorne wychowanie, antimoralne i antinarodowe, przystępne jest ograniczonej tylko liczbie, gdyż rozkaz pochodzący z kół rządowych: przepuszczania tylko pewnej liczby uczniów do klas wyższych, wprowadzony został w życie przez obcych, z tą niengiętością, jaka właściwą jest urzędnikom rosyjskim nowej szkoły.

Żądza assimilowania wszystkiego rzuciła się na ostatnią i najważniejszą instytucję przeszłości.

Wiadomo ludziom politycznym, że prawodawstwo cywilne, procedura, trybunały, kształtują, rzechy można, całe społeczeństwo; zaprowadzenie więc nowego kodeksu, nowej procedury, pociąga za sobą zawsze przewroty, tem dotkliwsze, tem niebezpieczniejsze, gdy zasady prawodawstwa, jakie się chce wprowadzić, różnią się od tych, które mają być zastąpione. Kodeks cywilny francuski i jego procedura zaprowadzone w Polsce od lat siedemdziesięciu, zakorzeniły się tam całkowicie. Cesarz Mikołaj pragnął zrazu i przygotował kodyfikację,

naciągniętą do *Swodu* rosyjskiego. Przybył dwa razy osobiście do Warszawy, aby przyspieszyć prace i przystąpić do przeobrażenia sądownictwa, i dwa razy przekonał się o bezużyteczności, a nawet niebezpieczeństwie tego środka. Światłe rady p. Błudowa zaważyły w znacznej części nad jego postanowieniem. P. Wałujew, wtedy jeszcze młody, mógłby poświadczyć dokładność tych szczegółów. Dziś działa się bezwzględniej: wbrew zdaniu ludzi obeznanych z przedmiotem wysłanych z Petersburga, i jeżeli dobrze jesteśmy powiadomieni wbrew zdaniu i w nieobecności ministra hr. Pahlena, nadszedł ukaz zachowujący jeszcze niby rozporządzenia kodeksu cywilnego, a zaprowadzający nową procedurę i nowy ustroj sądowy. Trybunały orzekające według cywilnego kodeksu francuskiego, wyrobiły w Królestwie Polskiem sądownictwo równie znakomite nauką, jak prawością. Nowy ustroj sądowy został zaprowadzony. Nie naszą rzeczą oceniać tu jego wartość, stwierdzamy tylko, że język narodowy wykluczony jest z trybunałów i z całego ustroju sądowego, skutkiem czego ustąpić musiała wielka liczba sędziów i obrońców, którzy stanowili chwałę naszego kraju. W zamian przysłano nam z głębi Rosyi cały zastęp ludzi, którzy nie mając żadnego wyobrażenia o dawnem prawodawstwie i nie znając języka krajowego, wydają po większej części wyroki bez świadomości sprawy. Sędziowie ci są najczęściej brani z armii lub administracyi nieukończywszy nauk, nie znają ani zasad prawnych wogóle, ani nawet ustawy, jaką mają stósować. Sądy przysięgłych uzupełniające nowy system sądowy Cesarstwa, nie zostały zaprowadzone w Królestwie Polskiem, które równie w tej rzeczy, jak w innych wyjęte jest z pod prawa. Akta notaryalne, zeznania świadków, wymagane są w języku rosyjskim, niezrozumiałym większej części mieszkańców. Bezradność, nieświadomość, niedbałość sędziów, samowola w orzeczeniach, wszystko to przyczynia się, że często

niejeden zrzeka się wytoczenia słusznej sprawy i ucieka się do sądu polubownego, niemożliwego jednak w wielu razach. Niezdolność sędziów w sprawach karnych daje powód do bezkarności, która nieraz skłania ludność do czynienia sobie dowolnie sprawiedliwości. Zresztą zacięta walka między sądownictwem i administracją, podkopuje władzę jednego i drugiej i doprowadza do szczytu zamęt, w jaki kraj jest pogrążony.

Pojmujemy, że żądają posłuszeństwa, podatków, poboru od kraju, lecz w zamian należy mu się sprawiedliwość i bezpieczeństwo.

Wogóle niech nam powiedzą ludzie doświadczeni, czy podobny system wstrząsający samemi podstawami bytu narodu, usiłujący odebrać mu jego narodowość, religię, tradycję i język, może inne sprowadzić skutki, jak zwiększyć uczucie pokrzywdzenia i wzajemną nienawiść; wykopać między obu narodami coraz głębszą przepaść.

Zważywszy, że stan obecny Polaków, z wyjątkiem Galicyi, jest ciąglem pogwałceniem nie tylko praw narodu, lecz nadto praw ludzkości; zważywszy, że ten stan tworzy sam przez się niebezpieczeństwo tak dla społeczeństw, jak dla rządów europejskich, a nawet dla Rosyi; zważywszy, że Polacy mają prawa narodowe nie mniej święte, niż ludy półwyspu bałkańskiego; zważywszy nareszcie, że ich wartość duchowa i społeczna nie jest niższą od wartości plemion żądających opieki kongresu, polecamy powyższe przedstawienie ocenienu dostojnych mężów, zebranych w imieniu monarchów i ludów“.

Stanisław Tarnowski temi słowy ocenił *Exposé* w *Przeglądzie Polskim*:

„Kto znalazł formę, która wszystkie sprzeczności godziła, a z wszystkich trudności wychodziła zwycięsko, o to nie pytamy; dość, że *Exposé*, historyczny i polityczny akt, rzeczywiście odpowiadało wszystkim potrzebom, nie narażało żadnych interesów, a żadnej zasady

nie poświęcało. W formie i w treści było zarówno roztropnie obmyślanem i do potrzeby chwilowej zastosowanem. W formie, dlatego, że nie było aktem wymierzonym do kongresu, a ogłoszone, rozeslane po całej Europie, nie mogło być uważanem za niebyłe, ignorowane; dlatego dalej, że bezimiennie, a przez najbardziej znanych i poważnych ludzi członkom kongresu polecane, miało za sobą poręczycieli świadczących, że wyszło z kraju, i że lekceważonem być nie może. Wreszcie dlatego, że napisane było z tą ścisłością i jędrnością myśli i pióra, z tą powagą i miarą, jaka cechować zwykła najlepiej skreślone akta dyplomatyczne, a która czytelnikom, zwłaszcza takim, jak ci, do których to było wymierzone, imponuje bardziej od najpiękniejszych kwiatów stylu i retoryki.

W treści było mądre i doskonałe, bo mówiące do ludzi językiem jaki oni zrozumieć mogą, bo biorące w rachubę i obecny stan Europy i zakres czynności kongresu, zatem prawdziwie polityczne, a ze stanowiska polskiego czyniące zadość w pełnej mierze uczuciom i potrzebom narodu i jego godności, bo nie zrzekając się żadnego z jego praw, mówiło o wszystkich jego krzywdach, a o nie nikogo nie prosiło.

Zdaniem naszym największą jego zaletą jest to, że dając obraz zupełny, a tak dokładny, tak sumiennie nie przesadny naszych stosunków, iż nikt jednego słowa zaprzeczyć, ani nawet sprostować nie może, nie stawia żadnej konkluzji, żadnego żądania. Każdy z nas wie czego Polacy pod rządem rosyjskim żądać mogą; żaden niema prawa żądań tych formułować, żaden nie może za wszystkich powiedzieć: *to dosyć*. Gdyby to zrobił, byłby samozwańcem naprzód, a powtóre wszedłby na tę drogę ustępstw i kompromisów, która może zadaleko prowadzić. A potem, dość już było tego proszenia, tego przypominania ludziom, że jeżeli chcą być o siebie bezpieczni, powinni Rosyi położyć tamę i hamulec. Rola

Kasandry przykrzy się w końcu tym, którzy ją grają, więcej nierównie niż tym, co jej słuchać nie chcą. Prosiłiśmy i upominali bez ustanku przez lat trzydzieści z górą, zyskaliśmy na tem wiele upokorzeń i nie więcej. Mamy ich dość, a z nich tę przynajmniej korzyść i naukę, iż dziś wiemy, że liczyć możemy tylko na siebie, że dopókiśmy słabi, prośbą nie wskóramy nic, a jak w nas siłę poczują, to nas sami prosić będą.

Ale nic nie żądając, nie skarżąc się i nie lamentując, nie zanosząc żadnych prośb ani stawiając warunków, powiedzieć: „Oto dzieje się u nas tak i tak, Rosya, która walczy za prawa ludzkości, wolności i narodowości, tak w nie wierzy i tak je szanuje, a wy, którzy radzicie o Bułgarach i Serbach i na stan ich nieznośny szukacie lekarstwa, zamykacie umyślnie oczy na bezprawia i okrucieństwa, które z tamtymi ani w porównanie iść nie mogą:“ do tego każdy z nas miał prawo, bo w tem mu każdy Polak musi przyświadczyć, żaden nieprzyjaciół nie może zaprzeczyć, a choćby był najskromniejszym z ludzi prywatnych, ma taką, mówiąc to, powagę i siłę prawdy, że go każdy z uszanowaniem słuchać musi, nawet najdostojniejsze i najmniej do szanowania drugich skłonne zebranie wielkich ludzi i wielkich panów.

W tem zaś, że się tak umiało ograniczyć, zastosować do chwili, w której mówiło, skurczyć do miary ludzi i rzeczy, było *Exposé* dowodem niepospolitego politycznego wyrobienia, nie chcemy ręczyć, że dowodem, ale co najmniej oznaką, niemałego w nas samych postępu“.

Sejm 1878 r. przystąpił z całym należytyim spokojem i powagą pod laską L. Wodzickiego do swoich zadań i pod jego, dodać mogę, kierunkiem.

Prawa narodowe, oświata, dobrobyt, społeczne wyrobienie zaznaczały ten kierunek.

Sesyę, otwartą 12 września, zagaił marszałek, zapowiadając wystąpienie samoistne Wydziału krajowego

z ustawami o podniesienie kredytu dla włościan, o kredycie dla melioracyj, odebraniu na rzecz kraju szkół w Dublinach i Czernichowie, nowelli w ustawodawstwie gminnem. „Wypadki — dodał Marszałek — poza granicami kraju utrwalają nas w przekonaniu, że praca około umocnienia podstaw budowy naszej społecznej, praca w celu podniesienia oświaty i dobrobytu ludności, usunięcia tkwiących może jeszcze zabytków nieporozumień, ustalenia zgody i harmonii na wszystkie strony i w każdym kierunku, że taka praca jedynie zwolna ale bezsprzecznie prowadzi nas do lepszej przyszłości. W smutnych tych czasach szczęśliwi ci, co mogą polegać na własnej stateczności, wierności zasadom, miłości kraju. Ufam, że do takich możemy się zaliczyć“.

Rzeczy, załatwione lub poruszone na tej sesyi, były: o używaniu języka polskiego w zarządach kolei krajowych; uznanie szkoły czernichowskiej za krajową; uchwały o rozgraniczeniu zakresu władz i odpowiedzialności zwierzchności w gminach, uchwały uznające liczne drogi jako krajowe, znakomicie tworzone i zarządzane przez członka Wydziału Władysława Badeniego.

Uchwalono dalej wezwanie do rządu o założenie szkoły górnictwa i budownictwa w Krakowie. Uchwalono także szereg wniosków w celu podźwignięcia przemysłu górniczego.

Dla niesienia pomocy ludności, wyzyskiwanej przez lichwę, podźwignięcia jej z gospodarczego upadku i polepszenia stosunków drobnego kredytu, uchwalono ustawę o zaciągnięciu pożyczki krajowej do wysokości 500.000 złr. dla ulepszenia stosunków drobnego kredytu w kraju; ustawa ta otrzymała potwierdzenie; oraz pięć rezolucyj, z których jedna wzywała Wydział krajowy, aby zbadał, czy nie byłoby rzeczą pożądaną stworzenie zakładu hipotecznego dla posiadłości włościańskich, a inna, aby zbadał środki założenia środkowego zakładu pieniężnego,

przeważnie dla Towarzystw i Kas oszczędności powiatowych.

Na podstawie sprawozdania Wydziału krajowego uchwalono utworzyć biuro melioracyjne, naukę robót melioracyjnych, wyznaczono zasiłki dla kształcących się w zawodzie melioracyjnym za granicą.

Dla nauczycieli i szkół przeprowadzono kilka zmian i ulepszeń drobniejszych.

Uchwalona ustawa o pisarzach gminnych nie otrzymała potwierdzenia cesarskiego.

Uchwalona nowela, przyznająca Wydziałom powiatowym prawo wykonywania orzeczeń i rozporządzeń przedstawicielstwa powiatowego, nie otrzymała potwierdzenia cesarskiego.

Uchwalono pięć wniosków w przedmiocie szkół rękodzielniczych, z których drugi polecał Wydziałowi kraj. przeprowadzenie rokowań z rządem w celu utworzenia przy Wydziale krajowym stałej kuratorji dla spraw rękodzielnictwa i przemysłu domowego.

Uchwalono wezwanie do rządu o utworzenie kilku sądów nowych i przekształcenie innych.

Uchwalono ustawę w sprawie uporządkowania wydobywania nafty, czyli o policyi naftowej. Nie otrzymała ona potwierdzenia.

Księżom unitom z dyecezyi chemskiej udzielono zasiłek.

Sesya zamkniętą została 19 października. Marszałek położył nacisk na potrzebę dłuższych obrad.

W r. 1879 Sejm nie był zwołany.

Gdy dnia 8 czerwca w 1880 roku zebrał się, uwydatnił się znowu nadany przez marszałka kierunek.

W mowie zagajającej podniósł on silną skargę z powodu niezwołania Sejmu w zeszłym roku i na zgubny zwyczaj zawiadamiania zbyt późno o powodach niepotwierdzenia uchwalonych ustaw. Marszałek z wielkim, niezwykłym naciskiem wystąpił przeciw centrali-

zinowi i biurokracyi; powitał przychylnie rządy hr. Taaffe, dodał jednak: „Słowa same nas nie zadowolnią“. Jak wszystkie mowy marszałka Wodzickiego i ta kończyła się wyrażeniem uczuć dynastycznych i szczerzej prawowierności, tym razem z powodu dwudziestopięcioletniej rocznicy zaślubin cesarskich oraz z powodu zaślubin następcy tronu Arcyksięcia Rudolfa.

Marszałek zapowiadał wniesienie przez Wydział ustawy hipotecznego Banku krajowego.

Następnie uchwalono ustawę budowniczą dla znaczniejszych miast i miasteczek, która jednak nie otrzymała potwierdzenia cesarskiego.

Na kosztą przyjęcia Cesarza uchwalono 26.000 złr. Uchwalona ustawa o drogach dojazdowych otrzymała potwierdzenie.

Uchwalono zaciągnąć pożyczkę 600.000 złr. na hipotekę gmachu sejmowego.

Zajmowano się żywo górnictwem.

Wybrano komisję celem rozpoznania taryfy klasyfikacyjnej podatku gruntowego.

Wezwano rząd, aby przystąpił do ostatecznego załatwienia rokowań z Wydziałem krajowym względem uposażenia galicyjskich funduszków indemnizacyjnych i oddania ich w zarząd Sejmu.

Zajmowano się sprawą internatu dla uczniów seminarium nauczycielskiego we Lwowie.

Przyjęto wstępne wnioski o stałe uposażenie kasy krajowej.

Uchwalono ustawę o pomocy kraju dla wykończenia galicyjskiej, t. zw. kolei transwersalnej. — Ustawa ta przyznawała 1,000.000 złr. zasiłku na budowę, a 100.000 złr. na utrzymanie. Językiem w zarządzie miał być język polski. Ustawa została potwierdzona.

Uchwalono rezolucję, wzywającą rząd, aby w drodze ustawodawstwa państwowego, wyjednał wydanie postanowień, które z jednej strony utworzyłyby podstawę

kredytu melioracyjnego dla pojedynczych właścicieli gruntu, z drugiej zaś oznaczyły warunki, pod któremi ów kredyt użytym być może.

Wezwano rząd do utworzenia stałej katedry prawa polskiego na uniwersytecie we Lwowie i do zaprowadzenia, aby prawo prywatne polskie wraz z historią tego prawa, było przedmiotem obowiązującym przy egzaminach ścisłych.

Wezwano rząd do wspomagania robót regulacyjnych, względnie do przeprowadzenia regulacyi Dniestru i Sanu, oraz aby pomysł uporządkowania rzek galicyjskich jak najrychlej wypracował i komu należy przedłożył.

Zajmowano się pilnie sprawą rękodzielnictwa.

Wyrażono ubolewanie, że Sejm w r. 1879 nie był zwołany.

Dla funduszu szkolnego krajowego uchwalono kredyt dodatkowy w kwocie 74.147 złr. oraz polecono Wydziałowi krajowemu, aby zasiągnął zdania Rad powiatowych i osób, sprawą szkolnictwa ze znanstwem i zamiłowaniem się trudniących, w kierunku, czy i o ile obowiązujące ustawy dla szkół ludowych, rozpatrzeniu i naprawie poddaćby należało.

Pod względem naprawy szkół średnich uchwalono szereg wniosków, pośrednio do niej zmierzających.

Wtem burza zagrzmiała. Zyblikiewicz-Jowisz począł rzucać pioruny przy rozprawach budżetowych. W najlepszej, jak zawsze, wierze, bez myśli zastąpienia Wodzickiego, chociaż z nieocenioną otwartością mówił, że potrzebnymby był na czele Wydziału krajowego, zwrócił się przeciw temuż. Dopatrzył się bowiem w działalności i w zarządzie Wydziału zaniedbań; w trosce o skarb krajowy, przecież nie wyłącznie za marszałkowstwa Wodzickiego podupadły, naganiał w poufnych rozmowach i publicznie gospodarstwo Wydziału krajowego, nie czując wcale, że naraża stanowisko przyjaciela, którego popierał i popierać chciał. — Przestrzeżony, że osłabia

Marszałka, zdziwił się niemało i odparł, „że nie może nigdy być jego zamiarem szkodzić Wodzickiemu“. Jak ucziwie pomagał, tak ucziwie naganiał, w dobrej myśli. — Przykrym dla wszystkich, dla Wodzickiego bardzo, był ten niespodziewany zwrot, który wydać się mógł walką ze swoim. Znaczące w Sejmie stronnictwo Ateńczyków, złożone przeważnie z obywateli podolskich a stworzone przez Wojciecha Dzieduszyckiego, od początku niechętnem było Wodzickiemu. Musiało skorzystać ze sposobności i z istotnych niedostatków w Wydziale krajowym. — Marszałek stawiał godnie, zacieburzy czoło. Zdał przewodnictwo wice-marszałkowi, zszedł z krzesła marszałkowskiego; w długiej, pięknej mowie odparł zarzuty, że zaś ciosy nietyle przeciw niemu, jak przeciw Wydziałowi krajowemu, zwrócone były, zacieburzy, jak zawsze, zespolił się z nim, postawił rzecz jasno i zażądał dla siebie i Wydziału *votum* zaufania, w braku którego oświadczył, iż ustąpi.

Izba uchwaliła.

„Z powodu mowy Jego Ekscelencyi Marszałka Sejmu krajowego, pomimo krytyk niektórych czynności Wydziału krajowego, które samo prawo poselskie usprawiedliwia, Sejm oświadcza, że nie stracił zaufania do Marszałka i do Wydziału krajowego, jakie miał w chwili wyboru tegoż Wydziału“.

Z wielu stron, ostatecznie przez usta posła Pawła Popiela, wyrażono życzenie, aby Marszałek rachował na „szacunek i zaufanie Sejmu“.

Szczególnie wzmacniającem i przyjemnem było dla Wodzickiego wypowiedzenie powyższych słów przez Pawła Popiela, już dlatego, że nie zawsze zdawał się go sędziwy i zacny poseł uznawać i należycie oceniać; dlatego zaś głównie, że Paweł Popiel wielkimi zaletami, prawością, zdolnościami i zasługami pierwszorzędne w społeczeństwie zajmował miejsce, że w okresie poprzednim, w którym zgubnie uczuć się dał brak silnych zasad,

połączony z ogólną chwiejnością zdania, Popiel górował nad współczesnymi stałością przekonań.

Marszałek, powitawszy wstąpienie do gabinetu Juliana Dunajewskiego, jako ministra skarbu, i podniósłszy jego znaczenie dla kraju, zakończył mowę, zamykającą 24 sierpnia sesję, słowy:

„Rozstając się dzisiaj po zamknięciu sesji sejmowej, nie żegnamy się na długo. Sejm prawdopodobnie jako taki nie zbierze się w tym roku, ale nie wątpię, że wszyscy jego członkowie znajdą się razem w uroczystej, a od tak dawna upragnionej chwili przybycia Najj. Pana“.

Liczne zatem, ciągle, zewnętrzne zwłaszcza przeszkody stawały na poprzek działalności Wodzickiego podczas jego marszałkowstwa; trudności tkwiły w samym urzędzie. Sprostął jednym i drugim, osobistą wartością zastępując jego braki, także stanowiskiem i wpływem w kraju i w Wiedniu, co jest powołaniem każdego marszałka.

Zadanie, które sobie postawił, wytrwale przeprowadzał, tak w głównej myśli politycznej, jak i w szczegółach krajowych; nie danem mu było wszystkich załatwić. Pomimo burzy podczas ostatniej sesji, pozostało wrażenie ogólne, że Wodzicki jest wybornym i świetnym marszałkiem. Zamierzał dalej usprawiedliwiać to mniemanie. Zadanie gospodarcze i skarbowe, które musiało zastąpić koniecznie polityczne, na razie prócz reformy administracyjnej wyczerpane, w niem Bank krajowy oraz szeroki odrys szkolny, przekazać miał następcy.

Od chwili marszałkowstwa, Wodzicki zbliżył się osobiście do Monarchy, który nie tylko go wyszczególniał, ale widocznie polubił i zaufał mu.

Aby porządek rzeczy, aby zadanie, w których wspólnie działał Wodzicki, oparły się o silną podstawę, potrzebną była zobopólna ufność kraju do korony, korony do kraju.

Z obu stron zakorzenione były stare i uzasadnione niechęci, żale, uprzedzenia. Już poprzednicy, działających teraz ludzi, znacznie przyczynili się do ich usunięcia. Ludwik Wodzicki był po Alfredzie Potockim jednym z tych, co najskuteczniej przyłożyli rękę do ich wykorzenienia — tak samo jak Alfred Potocki — prawdą i prawowiernością wobec monarchy i wobec społeczeństwa. Jednemu i drugiemu cesarz wierzył, bo nigdy Mu nie skłamali, zawsze byli wiernymi. Jednemu i drugiemu społeczeństwo zaufało, bo nie zakrywali choćby gorzkiej prawdy, nie schlebiali, służyli wiernie.

Wodzicki ma piękną cząstkę i piękną zasługę w wyrobieniu stosunku kraju do Monarchy, dynastyi i monarchii.

Nadeszła „uroczysta, od tak dawna upragniona chwila“. Cesarz przybył do Krakowa i Lwowa, do kraju, 1 września 1880 r.

Chwila była istotnie uroczysta, także ważna. Ta pierwsza do kraju podróż Monarchy, po zmianie, zaszłej w stosunku jego duchowym i politycznym do korony i państwa, miała przypieczętować porządek rzeczy, któremu hołdował Wodzicki, do utrwalenia którego skutecznie przyłożył rękę.

Pierwsze chwile pobytu na polskiej ziemi ukochanego już władzcy, niezbyt miłemi były dla Wodzickiego. Pomimo ostatecznego zwycięstwa, odniesionego w Sejmie, walka przeciw niemu prowadzona, była mu przykłą, a bolesną była dlatego, że jej przyszedł być w pomoc Zyblikiewicz.

Przybył na spotkanie monarchy w ponurem usposobieniu, znalazł, że — z pewnością wskutek przypadku — nie wyznaczono mu na wstępie miejsca, należnego marszałkowi krajowemu, był w Krakowie z początku zniechęcony, ledwie że nie złamany.

Z wyborym sądem, z wytwornym zmysłem, które współcześni podziwiali w namiestniku, Alfredzie Poto-

ckim, spostrzegł on to usposobienie i nie chciał pozwolić ani na zniechęcenie, ani na nieodpowiednie podczas bytności cesarza stanowisko marszałka. W jednym i drugim kierunku natychmiast rzecz sprostował.

Przez cały czas podróży Wodzicki był przy boku monarchy, obznajmiał go ze stosunkami i położeniem kraju, był przedmiotem ciągłych wyszczególnień; co ważniejsza, cesarz okazywał mu oddawna żywioną dla niego przychylność i zaufanie.

Zaufania monarszego miał Wodzicki niebawem mieć nowy dowód.

ROZDZIAŁ VII.

Gabinet Taaffego i Dunajewskiego. — Bank krajów. — Ludwik Wodzicki gubernatorem 21 listopada 1880 r. — Większość autonomiczna i wpływ polski. — Podwójne działanie Banku krajów. Sprawy pieniężne Galicyi. — Pałac na ulicy Salm; polski dom w Wiedniu i stosunki polskie z Wiedniem. Ustąpienie Mikołaja Zyblikiewicza z krzesła marszałkowskiego i objęcie laski przez Jana Tarnowskiego. — Namiestnikowstwo Kazimierza Badeniego. — Ustąpienie Juliana Dunajewskiego z gabinetu. — Izba panów. — Filia Banku krajów w Paryżu. — Upadek hrabiego Taaffe i koalicya. — Ludwik Wodzicki chce ustąpić z gubernatorstwa Banku krajów.

Przyjście do władzy hr. Taaffe 12 sierpnia 1879 r. zapowiadało wyraźnie zwrot pomyślny i korzystny w ogólnej polityce państwa dla Galicyi, zwrot w kierunku warunków, które Wodzicki postawił był księciu Auerspergowi, zgodny z zasadami, przy których stał nasz kraj i Kolo polskie w Wiedniu.

Pierwszym krokiem hr. Taaffe była podróż do Lwowa dla porozumienia się z namiestnikiem Alfredem Potockim; do Krakowa dla zetknięcia się z tamtejszymi

ludźmi politycznymi, zwłaszcza z Zyblikiewiczem, a gdy ten obiecał poparcie, prezes gabinetu odrzekł:

„Skoro mnie Zyblikiewicz wesprze, mam zapewnione powodzenie“.

Nie wiem dobrze, dlaczego stosunki z Wodzickim w pierwszych chwilach były nieco chłodne, nie nastąpiło żadne zbliżenie. Hr. Taaffe, mówiąc o tem, zaliczał Wodzickiego do kandydatów na prezesostwo gabinetu; niesłusznie przypisywał temu, pewne oddalenie się jego i dodawał z właściwym mu dowcipem: „Ale właśnie, jak na teraz, nie potrzebujemy prezesa gabinetu“.

Niewyjaśniony i nieścisty stosunek prezesa gabinetu, i to tego gabinetu, z Marszałkiem galicyjskim nie był ani właściwy, ani korzystny. Trzeba mu było koniec położyć. — Wskutek mojego pośrednictwa nastąpiło spotkanie, zaraz porozumienie zupełne i zbliżenie całkowite. — Ci dwaj ludzie odgadli się i zrozumieli. — Odtąd nastąpiły ściśle stosunki, zamienione w serdeczne, które przez lat czternaście nie pozostały bez wpływu korzystnego i dodatniego na bieg wypadków, nie tylko na sprawy galicyjskie, także na stanowisko Polaków w monarchii.

Tych dwóch ludzi zespałały: prawosć zamiarów i rycerskość; wierność i przywiązanie do Monarchii; państwowość austriacka, w której obaj wyznaczyli właściwe miejsce żywiołowi polskiemu. Obaj byli przytem nawskróś ludźmi politycznymi.

Spójnię wzmocniło, ustaliło i przypieczętoowało powołanie dnia 26 czerwca 1880 roku do gabinetu Juliana Dunajewskiego, jako ministra skarbu.

Gabinet Taaffe-Dunajewski był nie tylko nadzieją, ale już rękojmnią i rzeczywistością dla kraju naszego.

Dwie główne części zadania Wodzickiego i jego przyjaciół, które było zadaniem kraju: autonomia, oparta o prawa narodowe i istniejące urządzenia, z ich ulepszeniem; rozwój gospodarczy i skarbowy, znajdowały

wyraz, w składzie ministryum, opiekę światłą, pomoc niezawodną. — Gabinet ten musiał Wodzicki nietylko popierać, ale oddać mu się na usługi.

Przed jego utworzeniem, dwóch posłów, dwóch członków Koła polskiego, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Julian Dunajewski i mecenas krakowski Arnold Rappaport, rozmawiali w Ischll o sprawach bieżących. — Obaj widzieli potrzebę dla państwa wielkiego zakładu, któryby wyzwolił skarb państwa z dotychczasowej zależności. Drugi dodał w końcu:

— Jak pan profesor zostaniesz ministrem skarbu, zakład taki powstać musi.

— Co, ja ministrem skarbu! Ależ nie, gdybym miał kiedy być ministrem, to oświecenia.

— Nie! panie profesorze; w panu jest minister skarbu.

Kiedy ten, w którym poseł z Izby handlowej krakowskiej, widział ministra skarbu, objął jego tekę, poseł, nawiązując rzecz do rozmowy w Ischll, oświadczył, że potrzebne na założenie zakładu pieniądze znalazły się we Francyi, że ich dostarczy Bontoux.

Minister skarbu powitał wiadomość z zadowoleniem; przystąpiono do postawienia zasad, na których stanąć miał zakład; postanowiono nadać mu znaczenie pozostawieniem koronie prawa powołania naczelnego kierownika -- gubernatora.

Dla znaczenia, pomyślności, rozwoju, zwłaszcza dla pieniężno-politycznej skuteczności zakładu nie wystarczył gubernator; trzeba było jeszcze, aby pierwszy gubernator był kimś, ten ktoś, szczerym i przekonanym zwolennikiem istniejącego porządku rzeczy politycznego i zaufanym człowiekiem kanclerza skarbu. — Takim był Ludwik Wodzicki i odrazu minister przywiązał się do myśli, aby on został gubernatorem, i od niej nie odstąpił.

Kiedy we Lwowie Wodzicki otrzymał wiadomość, że ma zostać gubernatorem Banku, serdecznie się roześmiał.

Przestał się śmiać, gdy najpierw powiedziano mu, że tego życzy sobie Dunajewski, gdy wytłómaczono mu, że najwidoczniej powodzenie obecnego porządku rzeczy politycznego i rządu, przeważnie zależy od uporządkowania skarbowości, że do tego koniecznym warunkiem jest powstanie zakładu, wyzwalającego rząd z dotychczasowej zależności od potęg pieniężnych, zespolonych z tymi żywiołami i czynnikami, które stoją i stać będą w przeciwieństwie do porządku rzeczy Taaffe-Dunajewski i niezawodnie rządowi wypowiedzą podziemną, zarazem otwartą wojnę; gdy wreszcie dodano, że nowy zakład będzie mógł oddać polityce monarchii usługi na Wschodzie.

Zamyślił się Wodzicki wtedy, począł rozważać, jak to zwykł czynić każdy sumienny człowiek w chwili, w której ma powziąć poważne postanowienie, rozstrzygające nie tylko dla osoby, ale i dla wielu ważnych rzeczy.

Pierwszy, któremu się zwierzył, był wice-prezydent Namiestnictwa, późniejszy Namiestnik, Minister i Prezes Koła polskiego, Filip Zaleski. Ten odrazu wysunął rozumowanie istotne, rzeczowe, które musiało w dalszych postanowieniach znaczyć i zaważyć. Rzekł, że marszałkiem będzie w każdym razie Polak i człowiek godny zaufania; gubernatorem nowego zakładu nie będzie Polak, jeżeli Wodzicki nie przyjmie stanowiska.

Było w zwyczaju między Stańczykami, że przed powzięciem w rzeczach publicznych postanowienia, choć nie skrępowani co do ostatecznej osobistej woli, naradzali się. Wodzicki pospieszył do Krakowa, aby się z towarzyszami, w tej chwili tam obecnymi, porozumieć. Złożyć łaskę marszałkowską, aby zostać gubernatorem banku, nie tylko nie odpowiadało wyobrażeniom Stańczyków, ale wydało im się ciosem dla stronnictwa,

szkodą dla szkoły i wytycznej myśli; że użyjemy tego wyrażenia, pomieścić im się to nie mogło w głowie. Ciosem dla stronnictwa, szkoda dla szkoły! Ale jeżeli to potrzebne dla ogólnego położenia, dla powodzenia rządu Taaffe-Dunajewski, dla państwa, kraju i sprawy? A! Wtedy niechętnie, nie z zapalem, ale zgodzić się trzeba; zasadom szkoły odpowiadać to będzie. O tem rozstrzygnąć może ostatecznie tylko — Dunajewski, istotny w owym okresie przewodca stronnictwa krakowskiego i Stańczyków.

Wodzicki udał się do Wiednia, przedłożył Dunajewskiemu wątpliwości, usłyszał to wszystko, co je nie tylko mogło, ale musiało usunąć; w końcu obaj zrozumieli, że nad zdaniem naczelnika stronnictwa, górować musi i rozstrzygać coś wyższego, coś dostojniejszego, wola Monarchy. — Cesarz i król pragnął dać nowemu rządowi wszelkie, z zasadami konstytucyjnymi zgodne poparcie Korony. Nietylko sprzyjał, ale ufał osobiście prezesowi gabinetu i chętnie przykładał rękę do tego, co on poczytywał za potrzebne dla zapewnienia powodzenia zwrotowi. Od pierwszych chwil hr. Taaffe zaufał ministrowi skarbu. Gdy ten wykazał konieczność nowego zakładu pieniężnego, gdy oświadczył, iż dla takiego i dla niego rękojmą będzie Wodzicki, prezes gabinetu przedłożył to zdanie Monarsze, który uznał całą jego trafność, zarazem poczytał za właściwe, aby On Wodzickiego osobiście do zajęcia stanowiska zachęcił.

Wodzicki usłyszał z ust Monarchy w pochlebnych wyrazach życzenie, aby został gubernatorem nowego zakładu.

Rzecz była rozstrzygniętą dla człowieka, dla ludzi, chcących zostać wiernymi własnemu postępowaniu. Tak zrozumieli położenie Stańczycy. — Najtrudniej przyszło Stanisławowi Tarnowskiemu pogodzić się z rzeczą, niemilem mu było także, że Wodzicki złożył łaskę, nie

zapewniwszy się, w czyje dostanie się ręce. Dostała się przecież w dzielne i zacne Zyblikiewicza.

Nie zmieniło to stosunków najserdeczniejszych, na ufności opartych między dwoma Stańczykami.

Powstał „Bank krajów;“ Ludwik Wodzicki został mianowany przez Cesarza gubernatorem 21 listopada 1880 r. Nie rzucił laski marszałkowskiej; oddał ją na życzenie Tego, który mu ją był powierzył, w jego monarsze ręce.

Władcy nie lubią, aby nie przyjmowano godności, które ofiarują; niemiłem im jest, gdy bez ich woli składa się je. Cesarz z pewnością nie pochwalal zbyt częstego składania laski galicyjskiej; nieprzyjemnem mu ono się stało.

Dnia 27 grudnia 1880 roku ozdobił Ludwika Wodzickiego wielką wstęgą żelaznej korony. Zaznaczyć chciał, zaznaczył, nietylko zadowolenie z jego marszałkostwa, także i przede wszystkim, że składając laskę i obejmując 21 listopada 1880 r. gubernatorstwo „Banku krajów“, postąpił w myśl Monarchy, zgodnie z jego życzeniem i zamiarami.

Z woli władcy opuszczając krzesło marszałkowskie, aby stanąć na czele „Banku krajów“ Wodzicki, który zawsze ze wszystkim łączył myśl o kraju i sprawie, dodał do dwóch zadań nowego zakładu trzecie i powiedział sobie: za jego pomocą będę mógł skutecznie poprzeć gospodarczo-skarbowe zadanie, które niedokończone zostawiam następcy i niejedną krajowi oddać usługę. Myśl ta nie rozstrzygnęła o postanowieniu, ale ułatwiła, uprzyjemniła mu je znacznie.

Nigdy nie jest korzystnem, rzadko zgodnem z prawdą, zaznaczać w działaniach ludzkich tylko świetlane, błyszczące strony. Obok powodów wyższych, wzniosłych, znajdując się i znajdując się muszą inne.

Trzy względy współdziałały w walce, którą sam ze sobą stoczył Wodzicki, gdy przyszło mu złożyć laskę

marszałkowską, wstąpić w nowy, zupełnie odmienny od jego skłonności i upodobań zawód, osiąść w Wiedniu.

Marszałek Wodzicki był istotnie zniechęcony; postarano się z różnych stron, nawet poważnej i zacnej, ale uprzedzonej, aby mu unieprzyjemnić stanowisko i zniechęcić go. *Ote-toi de là pour que je m'y mette* bardziej jeszcze *Ote-toi de là pour que je ne m'y mette pas*, weszły także w grę. Dokuczliwości nie były wielkie, ale ciągle, zatem rozstrajające. Przykrym, bardzo przykrym był Wodzickiemu zwrot, niesłusznie dokonany przez Zyblikiewicza; z tym zwrotem liczyło się nie tylko jego usposobienie, ale sumienie i rozum polityczny. Zyblikiewicz z całą znaną zacnością miewał napady żarliwości publicznej i przywidzenia obowiązku; zdawało mu się bezpodstawnie, że właśnie dlatego, że idzie o przyjaciela, nie powinien być pobłażliwym dla Wydziału krajowego i szukał, że użyjemy przysłowia, nieco na całym dziury. — Wodzicki to odczuł i łatwiej mu przyszło opuścić krzesło marszałkowskie.

Gościnność domu Marszałkowstwa Wodzickich była znaną; nie ona sama, przeważnie niemożność przy marszałkowstwie zarządzania majątkiem sprawiły, że Wodzicki mógł mieć poczucie, iż zamieniając stanowiska, spełnia względem siebie i rodziny obowiązek.

Wreszcie optymizm Wodzickiego ubierał wszystko w świąteczne szaty, lubił przytem dalekie widnokregi; myśl jego, gdy tylko mogła, sięgała w dziedzinę wielkich rzeczy i prześcigała nieraz rzeczywistość. — „Bank krajów“ z zadaniem wewnętrznym, z posłannictwem na Wschodzie, ze stosunkami z Francją, z pomocą niesioną Galicyi, przedstawiał mu się, jako rzecz niepospolitej przyszłości; przeceniał znaczenie, jego polityczną doniosłość, którą jednak miał istotnie i powodował się w pierwszej zwłaszcza chwili zamiarem politycznym, zapominał o celach pieniężnych. Wziął się do rzeczy z animuszem.

Najpierw pomyślał o Klacze. Uczuł potrzebę obok siebie jego rozumu i zacności, w tym nowym, tak odmiennym od dotychczasowych, zawodzie. Wezwał go z Paryża i wprowadził do Rady Nadzorczej Banku. Klaczo, który po szlachetnym uczynku mowy za nie-szczęśliwą Francją w Sejmie galicyjskim w 1870 roku opuścił był stanowisko radcy dworu w austriackim ministerstwie spraw zewnętrznych, pospieszył na wezwanie przyjaciela, nazwał zabawnie przybycie swoje, swym „drugim wcieleniem austriackim“ i niemało stał się pomocnym w stosunkach francuskich oraz roztropną bacznością wobec zapalczywego Bontoux.

Niebawem przyszło Wodzickiemu okazać, czy jest na wysokości nie już bieżących spraw, ale ogólnego zadania, godności, powagi i bezpieczeństwa zakładu. Upadłość „Union générale“ i Bontoux, który dostarczył był pieniędzy na założenie „Banku krajów“ a swymi pomysłami współdziałał w jego stworzeniu, nie mogła być dla zakładu obojętną, stać się mogła groźną.

Cóż się pokazało? Oto optymista Wodzicki zacnością, sumiennością i rozumem zapobiegł był z rzadkim rozsądkiem i trafnością niebezpieczeństwu. Od początku pilnował, aby „Bankowi krajów“ nie nie była winna „Union générale“, aby on był jej dłużnikiem.

Nie na tem koniec. Bontoux, niewątpiący o niczem, w ostatniej godzinie zażądał pomocy „Banku krajów“, jako pokrewnego zakładu, zażądał znacznych pieniędzy. Kto zauważył usposobienie Wodzickiego, odrysowujące się w jego życiu, ten zrozumie, że nie łatwym musiało mu być oprzeć się czarującemu uwodzicielowi, porywającemu optymizm — Bontoux; zwłaszcza widokowi stania się zbawcą. Prawość, silna wola, poczucie odpowiedzialności przysły w pomoc Wodzickiemu. Objawił się znowu takim, jakim się był okazał w innych okolicznościach w podobnym położeniu odpowiedzialnym, we wrześniu 1863 r., kiedy stawiał czoło zgubnym roszczeniom

„Rządu-Narodowego“. — Jak tam, słabością, byłby naraził Galicyę, nie ratując sprawy, tak tu, byłby zgubił „Bank krajów“, nie wybawiając „Union générale“. Oparł się stanowczo; ocalił zakład, z nim doniosłe rzeczy i był jednostek.

Po urodzinach chrzest i próba ogniowa, po nich życie codzienne i działalność.

„Bank krajów“ począł spehniać dwa swoje zadania: wewnętrzne w stosunku do rządu, zewnętrzne na Wschodzie. Że odpowiadał pierwszemu, świadczą jego niezamącone z ówczesnym rządem stosunki, opieka, jakiej mu użyczał, wreszcie przebieg spraw pieniężnych państwowych, osiągnięte doniosłe w ich zakresie skutki. Że drugiego nie pominął, dowodzą wielkie pieniężne sprawy, które poruszył i załatwił na półwyspie Bałkańskim.

Przez czas gabinetu Taaffe-Dunajewski i większości autonomicznej „Bank krajów“ był czynnikiem pomocnym w ogólnym ustroju sam przez się, oraz ułatwiając rządowi stosunki z innymi zakładami pieniężnymi, tem, że był. — Nietylko jego gubernator, ale Ludwik Wodzicki, był w ówczesnym porządku rzeczy, między hr. Taaffem a Dunajewskim pośrednikiem czynnym, pożytecznym, cenionym, zawsze dbałym o państwo, nigdy nie spuszczać z oka kraju rodzinnego.

Od założenia „Bank krajów“ postępował w kierunku polityki austriackiej, na półwyspie Bałkańskim. Gubernator działał w jej myśli, nieraz z zadowoleniem i uznaniem jej kierowników, przy częstych oznakach niewygasłej łaski monarszej.

Hr. Beust powiedział kiedyś, że jedynym rozwiązaniem sprawy wschodniej na korzyść Europy a nie samej Rosyi, będą koleje żelazne, łączące z pierwszą, półwysep.

„Bank krajów“ po upadku „Union générale“ podjął zadanie kolei serbskich i zapewnił tem samem wy-

konanie przez Serbię traktatu berlińskiego; następnie podjął wybudowanie połączeń kolei serbskich z tureckimi. Pamiętną pozostała międzynarodowa uroczystość otwarcia toru do Saloniki, której przewodniczył Wodzicki; wzięli w niej udział przedstawiciele Zachodu i Wschodu.

„Bank krajów“ zasilił Bułgaryę potrzebnymi pieniędzmi do wybudowania ostatniego ogniwa kolei europejsko-tureckiej na ziemi bułgarskiej. A tak jego w pierwszym rządzie zasługą stało się połączenie Konstantynopola z Europą koleją żelazną i wschodnim pospiesznym pociągiem, który tak bardzo ułatwia wprowadzenie w życie myśli rzuconej przez kanclerza austro-węgierskiego.

W tym samym zamiarze „Bank krajów“ ułatwił Serbii i Bułgarii wytworzenie samoistnego kierunku gospodarczego i przez to przyczynił się niemało do zapewnienia zmartwychwstałym narodom niezawisłości politycznej.

Na wdzięczność liczyć nie należy, ze strony każdego banku byłoby to dobroduszością nielada. Słusznego ocenienia żądać można.

Liczyby silniejsze są od najlepszych zamiarów ludzkich; ani usunąć ich, ani zapomnieć o nich nie może żaden zakład pieniężny, żaden jego naczelnik. Pieniądz stawia warunki, jak każdy oswobodziciel lub zwycięzca i żąda rękojmi; im one są słabsze, tem warunki jego stają się cięższymi.

Kiedy pieniądz przybywa, witany jest radośnie, kiedy ma powracać, smutek nastaje gorzki. Kiedy się pożyczka, nie wie się, jak przykro będzie oddawać. Tak się po części stało z „Bankiem krajów“ i państewkami półwyspu Balkańskiego. Poczytano go najpierw za zbawcę; następnie widziało się w nim wierzyciela. Wtedy niedobra nastąpiła chwila, aby słuszny wydać sąd. I ta także po temu nie sposobną była, w której nowe rządy

usiłowały dawne obciążać nieraz sztuczną odpowiedzialnością i rozdrażnione były osobistymi zawodami, których przyczyną był brak dostatecznych rękojmi.

„Bank“ spełnił wszystkie zadania, które stanęły przed nim na Wschodzie; nie mógł nie spełnić obowiązków względem siebie samego. Musiał być ostrożnym.

Wodzickiemu leżało na sercu galicyjskie zadanie „Banku krajów“, które poczytał za trzecie, do którego się najsilniej przywiązał.

Pierwszym krokiem nowego zakładu w kilka tygodni po jego zawiązaniu było udzielenie pożyczki pół miliona Wydziałowi krajowemu Galicyi, za procentem $4\frac{1}{10}$ bez wszelkiego pokrycia, ze spłatą w ciągu lat dwudziestu pięciu. Następnie „Bank krajów“ wybudował własnym kosztem bez pomocy czy to ze strony kraju czy rządu kolej miejscową z Kołomyi do Peczeniżyna dla ułatwienia przewozu nafty z tamtej okolicy.

Nie będę zapisywać innych mniejszych spraw galicyjskich, w których „Bank krajów“ stał się pomocnym.

Zaznaczam dwie najważniejsze, które wpłynęły na kredyt kraju i jego stosunki gospodarczo-pieniężne.

Zamiana 5% listów zastawnych „Towarzystwa kredytowego ziemskiego galicyjskiego“ na 4%, z początku natrafiła w „Banku krajów“ na znaczne trudności. Trzeba było pracować nad tem, aby nakłonić „Bank“ do podjęcia jej. Myśl sama miała do zwalczenia przesady, jakie w Wiedniu co do Galicyi istniały. Wodzicki nie tylko swym poważnym głosem, ale i wolą zaważył i przechylił szalę wraz z innymi polskimi członkami Rady nadzorczej, za podjęciem sprawy przez „Bank krajów“. Była ona ważną i konieczną, szło bowiem nie tylko o konwersję listów zastawnych, także o obniżenie stopy procentowej, nie już od samych pożyczek hipotecznych, udzielonych własności większej przez Towarzystwo kre-

dytowe ziemskie, w ogólności o niżenie stopy procentowej krajowej.

Pamięć ciągła Wodzickiego o kraju umożliwiła tak pożądaną naprawę jego stosunków pieniężnych. „Bank krajów“ przeprowadził stopniowo zamianę listów zastawnych 5⁰/₀ Towarzystwa kredytowego ziemskiego najpierw na 4¹/₂⁰/₀, a gdy to przeobrażenie znakomicie się powiodło, zdołał już we dwa lata potem zamienić listy 4¹/₂⁰/₀ na 4⁰/₀, tak, że własność większa w Galicyi opłacała od około ośmdziesięciu milionów listów zastawnych w obiegu będących o cały jeden procent czyli o ósmkroć sto tysięcy złotych reńskich rocznie mniej niż poprzednio, co oczywiście wpłynęło na znaczne podwyższenie wartości dóbr w Galicyi.

Odtąd rozpoczyna się związek, istniejący pomiędzy „Bankiem krajów“ a „Galicyjskim Bankiem kredytowym“, któremu kraj zawdzięcza, iż kiedy w r. 1889 listy 5⁰/₀ „Towarzystwa kredytowego“ stały 90 i kilka, w r. 1894 stały tak samo listy 4⁰/₀. Co znaczy, że kiedy właściciele ziemscy od pożyczek hipotecznych z umorzeniem płacili w 1889 r. 6⁰/₀, dziś płacą 4¹/₂⁰/₀.

Oдноśne przeobrażenia dochodzące do 120 milionów, mogły być przeprowadzone tylko na podstawie zaufania „Banku krajów“ do galicyjskich zakładów kredytowych. Że to zaufanie wyrobione i uzyskane zostało, zasługa Wodzickiego. Wraz z nim i za nim działał w tym samym kierunku polscy członkowie Rady nadzorczej.

Spieniężenie wykupna propinacyi, przeprowadzone zostało przez „Bank krajów“ do spółki z „Bankiem krajowym“ i „Galicyjskim Bankiem kredytowym“. — Był to obrót sześćdziesięciu dwóch milionów i dwa kroć sto tysięcy złr. „Bank krajów“ podjął się wypuszczenia w tej wysokości papierów propinacyjnych 4⁰/₀. To puszczenie w obieg, przeprowadzone z wielkiem powodzeniem, postawiło Galicyę w pierwszym rzędzie krajów, zasługu-

jących na najtańszy pieniądź. Przyczyniło się ono do uporządkowania stosunków wielkiej liczby właścicieli ziemskich i także do podniesienia wartości ziemi. Te obroty pomogły zarazem do nader pomyślnego przeprowadzenia następnie, choć nie przez „Bank krajów“, przemiany papierów odszkodowania za pańszczyznę.

Powiedzieć zatem można, że rozpoczęty w 1889 r. wynikający z dawnego zamiaru Wodzickiego, stosunek „Banku krajów“ z Galicyą był zbawienną dźwignią gospodarczą dla kraju; że jemu wiele mają do zawdzięczenia przed innymi właściciele ziemscy, którzy w jego następstwie dziś mogą korzystać z najtańszych pożyczek ziemskich w Austrii.

Twórcą i duszą całego tego działania dla dobra kraju rodzinnego, był dawny marszałek Sejmu galicyjskiego, gubernator „Banku krajów“, Ludwik Wodzicki.

Przesadna część złudzeń Wodzickiego o przeznaczeniu i przyszłości „Banku krajów“ rozwiązać się musiała przy zetknięciu się z rzeczywistością. Bank każdy musi być przedewszystkiem zakładem pieniężnym; nie może być najpierwej politycznym; winien wystrzegać się strat, szukać zysków. Towarzystwem dobroczynności być nie może. Ale wiele ze swoich nadziei umiał Wodzicki przemienić w rzeczywistość. Jako rozumny człowiek rozróżniwszy możliwe rzeczy od niemożliwych, wziął się zacie do możliwych, a co nas najbardziej obchodzi, możliwe względem kraju rodzinnego spełnił.

Kiedy Wodzicki stawał na czele zakładu pieniężnego, w kraju obluda i złość przewidywały, obawiały się z troską i smutkiem na twarzy, z pożądliwą wstydlivością Tartufa w oczach, z uśmiechem politowania na ustach — że na wzburzonym morzu pieniądza, wśród jego wirów i skał, zatopić on może dobrą sławę imienia polskiego, godność marszałka, klejnot szlachecki.

Gdy burzy Wodzicki stawił czoło, gdy szalejącemu morzu sternik sprostał, okręt do portu z cennym wpły-

nał ładunkiem; gdy zakład pomyślnie się rozwinał, znaczenia nabral — wtedy zazdrość, zawiść i obmowa w pole wyruszyły; dwie pierwsze przybrały obłudnie maskę Katona, druga ukazała się w postaci Don Basilia. — Falsz, kłamstwo, nieczne potwarze, upokarzające przypuszczenia, posądzenia obraźliwe, tajemnicze opowiadania, piętrzyć się poczęły, aby obalić zakład, zgubić człowieka. Niewiele brakowało, aby w Galicyi straszono dzieci „Bankiem krajów“. Rozdmuchano, rozpalono wszelkie zło namiętności i skłonności — z powodu sprawy kolei transwersalnej.

Przeniesiono walkę z dzienników w szranki parlamentarne. — Naraz to, co miało się stać pomocnem dla zasad politycznych, dla rządu, przemieniało się w zgorzenie publiczne, w kłopot dla gabinetu. — To najbardziej bolało Wodzickiego; znajdował uspokojenie i pociechę w prawowierności, w wytrwałej pomocy i opiece hr. Taaffe, w wytrawności, w prawości i rozumie Dunajewskiego, w dobrej wierze całego rządu.

Z pogodnem czołem, ze spokojnem sumieniem, ze smutkiem, iż napaści z kraju pochodzą, ale bez zdziwienia, bez najdalszej myśli zemsty, czekał Wodzicki na uspokojenie się burzy, na wyjaśnione niebo i słońce, którego światło musiało w niwecz obrócić sztuczne oskarżenia i oskarżycieli.

Zakład wyszedł zwycięzko z próby; człowiek, jakim był zawsze: czystym i dobroczynnym.

Tak zatem ze strony, która powinna była poprzeć, były częściowo z początku ubliżające przewidywania, następnie niegodne napaści, w końcu trzeba było dopiero śmierci Wodzickiego, aby oceniono połączoną z nią szkodę w skutku osłabienia wpływu polskiego w „Banku krajów“.

Wodzicki nie chciał, aby jego obowiązki podczas pobytu w Wiedniu, ograniczyły się do „Banku krajów“. Zrozumiał inne, zacnie i mądrze. — Wzmocnić wpływ

polski, stać się łącznikiem między krajem a stolicą, dać poparcie wszystkiemu, co w niej jest polskiego, było ciągle jego usiłowaniem.

Kupił na ulicy Salm piękny pałac, który odrazu stał się gościnnym dla Polaków przebywających w Wiedniu lub przybywających do Wiednia domem.

Gościnność Ludwikostwa Wodzickich dlatego była przyjemną, iż się czuło, że im największą sprawą przyjemność. Dom ich stał się opieką dla Polaków, zachętą niósł polskim artystom. Brał udział najczęściej przodujący we wszystkim, co polskie, od balu polskiego do oddziałów polskich na wystawach. Świątce pałacu Wodzickich odnowiło zwyczaj, zaprowadzony dawniej przez Alfredostwa Potockich, ku wielkiemu zadowoleniu rozciekawionego Wiednia, bez szkody dla żołądków wiedeńskich.

Mogli Wodziccy mieć salon, jak wiele innych w Wiedniu, otwarty dla zabaw i świata wytwornego, wyłączny. Inaczej zrozumieli swoje stanowisko. Oni chcieli mieć salon użyteczny dla kraju, zatem taki, w którymby Polacy zbliżyć się mogli do świata urzędowego i politycznego. — Celu dopiął Wodzicki; przez niego i przez jego dom, kraj zbliżył się do stolicy państwa i znikło wiele szkodliwych z obu stron uprzedzeń.

Jak już przedtem hr. Taaffe i Wodzicki zaprzyjaźnili się byli, tak teraz serdeczne zapanowały stosunki między ich domami.

Stanowisko Wodzickiego ustaliło i wzmocniło się w Wiedniu; było znacznem i ważnem dla Galicyi; dla niej gotów go był użyć zawsze i wszędzie, w każdej godzinie, w wielkich i małych rzeczach, a pamięć ciągnęła o tym kraju Juliana Dunajewskiego, przychylność szczerą, ale i wyrozumowaną hr. Taaffe, ułatwiała mu zadanie.

Po zgonie Alfreda Potockiego z Polaków Wodzicki najistotniejszy miał w Wiedniu wpływ.

Hr. Taaffe przez współpracownictwo z Dunajewskim bardzo, częścią także w skutku stosunków ścisłych z Wodzickim, coraz lepiej rozumiał znaczenie dla Austrii i w monarchii Polaków. Ugodę, opartą na zaufaniu Korony do kraju, kraju do korony, przypieczętowała była podróż do Galicyi Monarchy w 1880 r.

Hr. Taaffe określił, wzmocnił i ustalił znaczenie Polaków dla Korony, stosunek ich z Cesarzem, wyznaczył im stanowisko w państwie, przy ich i Koła polskiego mądrym i prawowiernem współdziałaniu.

Pobyt Wodzickiego w Wiedniu nie był obojętnym w tej mierze.

Pałac na ulicy Salm nietylko był główną kwaterą polską i miejscem zetknięcia się ich z Wiedniem; tam omawiane były, przygotowywały się, układały, załatwiała nieraz ważniejsze sprawy krajowe, o ile zwłaszcza o Wiedeń oprzeć się miały, oraz gdy zajść musiały zmiany osób. Tam powstało i przyszło do skutku marszałkostwo Jana Tarnowskiego, o które Wodzicki przekonany, iż jego przyjaciel winien przyjąć łaskę, walczył zwycięzko z przeciwnikami, z wahajacem się usposobieniem Tarnowskiego, wreszcie z tymi przyjaciółmi, którzy pragnęli koniecznie zmusić Zyblikiewicza do pozostania na stanowisku Marszałka.

Wodzicki nie przykładał chętnie ręki do zmiany osób. — Gdy nastąpiła, przyjmował ją jak zawsze karnie, tem chętniej, gdy mógł ją uznać za dobrą. Powitał w 1888 r. serdecznie Filipa Zaleskiego, jako ministra dla Galicyi; Kazimierza Badeniego, jako Namiestnika z tem większą otuchą, że go już łączyła przyjaźń z wzorowym i świetnym starostą rzeszowskim. Poważnie, a przychylnie zapatrywał się na tę zmianę, która zaznaczyć miała zwrot w stosunkach kraju i stronictw i dać początek nowemu okresowi, w którym umiejętnie pielęgnować poczęto zasiew poprzedniego.

Wodzicki należał do pierwszego, przyklasnął nowemu i oddał się na jego usługi w granicach obecnego swojego stanowiska. Zbyt niestety wcześniej zabrakło temu okresowi Ludwika Wodzickiego.

W innym zupełnie niż dawniej działając zakresie, dawnego nie opuszczał, nie zapominał o nim. Zachował do końca życia przywiązanie do Sejmu i jego prac, brał w nich pilny udział. W Sejmie zawsze, pomimo częściowej zmiany usposobienia dla niego, słowo, zdanie i rada dawnego marszałka ważyły.

Jakżeż serdecznie witał każdą nową istotną siłę na polu publicznym, każdego pracownika i zapaśnika za dobrą sprawą. Z jakimże zajęciem patrzył na coraz śmielsze kroki tego, który tyle obiecywał i tyle już dotrzymał, młodego Artura Potockiego, syna Adama. Ież dobrego wróżył z łaskawego dla niego usposobienia Następcy tronu. Czemuż zawistne losy sprawiły, że już wszyscy trzej do żyjących się nie zaliczają.

Na stanowisku gubernatora „Banku krajów“ nie małem rozczarowaniem, nie mniejszą troską stało się dla niego ustąpienie 2 lutego 1891 r. z gabinetu Juliana Dunajewskiego. Względy i obawy polityczne w pierwszym rządzie zaniepokoić go musiały, zarazem tracił podporę, przyczynę jego własnego przesiedlenia się do stolicy państwa, obecność przyjaciela i dom polski w Wiedniu z jego domem zaprzyjaźniony.

Łatwo pojąć, że pomyślał także o ustąpieniu. — Przecież pozostał był jeszcze ten sam porządek rzeczy, pozostał hr. Taaffe, uosabiający go; zatem sprawie służąc, chcąc jej być pomocnym, nie usunął się.

Stanowisko jego, stosunki nie przestały być użytecznymi, zaufanie hr. Taaffe i do hr. Taaffe pozostało niezmiennie, działanie w myśli polskiej równie było gorące, jak od początku zawodu, w myśli austriackiej na równie silnem było oparte przekonaniu, jak od chwili przelomu w jego i jego towarzyszy wyobrażeniach.

Obowiązki w Izbie panów spełniał z niezwykłą w tem dostojnem zgromadzeniu pilnością. Nie opuszczał pełnych posiedzeń Izby, ani też komisji, do których był wybierany. W ostatnich latach należał do komisji politycznej i budżetowej. W kole prawicy, do którego przystąpiła przeważna część polskich członków Izby panów, wyrobił sobie stanowisko wybitne, poważne, wpływowe. Na posiedzeniach tego koła, zabierał często głos i zwykle przeprowadzał swoje wnioski.

Jakąż i tu przedewszystkiem kierował się myślą? Jakim był główny jego zamiar?

Znowu myślał o kraju, znowu zamierzał przyłożyć rękę do tego, aby zachowanem było należne w monarchii Polakom stanowisko.

Czuwał bacznie, aby przy wyborach do komisji, Wspólnych Delegacji, Trybunału Państwowego, Polacy, byli w słusznej mierze uwzględniani. — Z jednej strony żądał tego od koła prawicy; z drugiej nalegał na kolegów polskich, aby się ci od przyjęcia obowiązków nie usuwali.

Kiedy na wiosnę 1894 r. dotknięty ciężkimi rodzinnymi stratami, opuścić musiał Wiedeń i nie mógł być obecnym przy naradach nad wyznaczeniem członków Wspólnych Delegacji, wybrano do nich z izby wyższej już tylko jednego Polaka, hr. Stanisława Badeniego, kiedy zwykle powoływano dwóch i dwóch zastępców.

Nietylko przecież w rzeczach polskich także w ogólnopństwowych, zwłaszcza przy końcu w skarbowych, głos Wodzickiego w Izbie panów uważnie był słuchany.

Przez swe stosunki, przez zakład, na którego czele stał, zwłaszcza przez osobiste przymioty, Wodzicki rozszerzył był swoje działanie i nabrał znaczenia, nie tylko poza granicami rodzinnego kraju, także monarchii na polu międzynarodowem, zwłaszcza we Francji. Jak go tam ceniono i poważano, powiedział pięknie nad jego grobem towarzysz i świadek tego działania, wnuk re-

zydenta francuskiego w Warszawie za „Księstwa Warszawskiego“, bar. Bourgoing.

„Tobie, który przez lat czternaście byłeś naszym przewodnikiem i naszym przyjacielem, chciałem nad grobem przesłać pożegnanie ostatnie, oddać ostatnią cześć w imieniu naszych przyjaciół z Francyi. Inni przedemną sławili rzadkie przymioty twojego umysłu i twojego serca, wyliczali twoje zdolności, wielbili twoje zasługi, opowiadali czyny, które przynosiły zaszczyt twojemu zawodowi. Kto inny przypomniał, jak byłeś przywiązany do wiary twoich ojców, wierny chlubnym tradycjom tej ziemi, po której stąpamy i zarazem jak światłym byłeś patriotą, jak umiałeś rozpoznać rzeczywiste korzyści twojego narodu i torować im drogę. Powiedziano, że byłeś prawym i dobrym, pełnym poświęcenia dla swoich, dobroczynnym dla każdego, pobłażliwym dla bliźnich. Ja, który od tak dawna żyłem twojem życiem, z pomiędzy tych wszystkich przymiotów, jeden chcę tylko podnieść, ten, który mnie wzruszał najbardziej, na którym oparłem moje uczucia dla ciebie, ten wreszcie, który dla nas wszystkich w tej chwili jeszcze jest pociechą i nadzieją: twoją dobroć, tę nieporównaną dobroć, która zjednała ci wszystkie serca i która mam silną nadzieję, wybląga ci łaskę przed Sędzią najwyższym, naszym Panem, którego nazywamy w modlitwach Bogiem miłosierdzia i dobroci“.

Wodzicki nigdy nie odstąpił od zamiarów, które mu towarzyszyły, gdy został gubernatorem „Banku krajów“. Zawiązanie i ustalenie stosunków pieniężnych Austrii z Francją należały do nich. Zużytkować dla Austrii nadmiar francuskiej gotówki, otworzyć w szerokiej mierze dla wartości i publicznych papierów austriackich targ francuski, do tego zmierzał Wodzicki. W tym celu założona została w Paryżu filia „Banku krajów“ i jej w ostatnich czasach poświęcił głównie Wodzicki swoją uwagę i usiłowania.

Upadł hr. Taaffe pod koniec 1893 r., upadł nie tylko porządek rzeczy, ale człowiek, który w szerokiem tego słowa znaczeniu był — kimś. Powstała próżnia. Musiała być zapelniona.

Utworzył się rząd złożony ze wszystkich wielkich stronnictw Izby. Nazwał się koalicyjnym.

Zerwała się ostatnia nić polityczna, łącząca zamiar, w którym Wodzicki przyjął był gubernatorstwo „Banku krajów“, z wewnętrzną polityką państwa.

Wodzicki chciał stanowczo ustąpić z gubernatorstwa. — Przyjaciele, obawiając się w smutku ciężkim, w jakim się po stratach rodzinnych znajdował, braku na razie zatrudnienia, nudy, nie chcąc także, aby przez Polaka zajęte stanowisko, opróżnionem zostało, odwieśli go od zamiaru. Wodzicki za ich radą postanowił nie spieszyć się. Czekał, czy nie mogąc już oddawać usług porządkowi rzeczy, z którym powstał był zakład, nie odda ich jeszcze państwu; nie zapomniał, że może je oddać rodzinnemu krajowi; bał się zaszkodzić sprawom niezakończonym zakładu, względem którego miał obowiązki, którego znaczenia osłabiać nie chciał.

Postępując w ten sposób był znowu tym samym, co przez całe życie.

ROZDZIAŁ VIII.

Nieszczęścia rodzinne. — Zgon. — Człowiek i jego działalność.

Czternaście lat życia Ludwika Wodzickiego od złożeńia laski marszałkowskiej były nienajmniej użytecznemi w jego zawodzie. W kraju rodzinnym — z niektórymi wyjątkami — najmniej je ceniono, czasem przestaczano ich znaczenie, kiedy nie spotwarzano. Nie zmieni to zasług całego żywota, ani tych, które położył od

1880 r. — Nie zmieni w dziejach społeczeństwa polskiego człowieka i jego stanowiska. — Pozostanie on jednym ze znaczących, jednym z tych, co zapracowali sobie na dobrą sławę, na dobre imię, na zaszczytne miejsce.

Wodzicki byłby jeszcze chętnie przyłożył rękę do przedsięwzięć doniosłych, dla własnego narodu i państwa. Zdrowy rozum i sumiennosc nauczyły go i powiedziały mu, że nie było po temu pola i widoków dla Polaka i w Austrii. Uczucie obowiązku kazało mu spełniać dokładnie i ściśle mniej ponętne, skromniejsze zadania. Nie należał do tych, którzy brakiem większych zniechęcają się do mniejszych. Oddał się im zupełnie z zupełną trzeźwością.

Odznaczenia pojmował tylko w połączeniu z zasługą. Mówił, że godności, które otrzymał, odpowiadały dostatecznie temu, co zdołał zrobić; innych nie pragnął i nie poszukiwał. Bodźcem w jego działaniu była już tylko sama powinność.

Strata dwóch synów, ciężka choroba żony, rozbitcie rodzinnego życia, zamknięcie domu gościnnego, czuła troska o pozostałe ukochane dwie córki; myśl, że po śmierci ostatniego syna nie będzie miał komu przekazać nazwiska i klejnotu rodzinnego, o które bez przesady i próżności szlachetnie dbał, oraz służby publicznej, były to ciosy okrutne, które w ostatnich latach spadły na niego, złamać musiały najsilniejszego człowieka, które złamały Ludwika Wodzickiego, jego, co cenil sobie tak bardzo, jakieśmy to w jego żywocie dostrzedz mogli, wszystko, co stracił.

I czemże jest szczęście ludzkie!?

Uderzyły pod koniec w Wodzickiego gromy po gromach, te które on musiał najbardziej odczuć; gromy zabiły nareszcie istotę prawdziwą jego szczęścia — optymizm, wtedy ustąpiła siła ożywcza i przestało bić serce.

Było wiele żywotności w tym człowieku, zdolności powracania do optymizmu, do życia, do pracy. Żywili przyjaciele nadzieję, że się podniesie po gromach, że bogactwo jego usposobienia weźmie górę nad niemi. — Po zgonie ostatniego syna, opierając się na ramieniu przyjaciela, płakał; raptem odstał i rzekł: „Muszę spełnić i spełnię, co mi do spełnienia pozostaje“.

W tych słowach był cały człowiek.

Zawiedzione zostały nadzieje przyjaciół, nie dopisały stargane siły człowieka. — Bardzo dotkliwym i boleśnie odczuty ciosem była śmierć przyjaciela z najdawniejszych lat, którego tyle kochał, co považał, Jana Tarnowskiego z Dzikowa, jednego z następców na krzesła marszałkowskie. Po tym zgonie nowe nastąpiło pogłębienie smutku Wodzickiego.

Był on fizycznie silnym, mało kiedy chorował; był myśliwym zamilowanym — ktoś powiedział słusznie, że prawdziwy myśliwy rzadko jest złym człowiekiem — do końca nie cofał się przed największymi łowieckimi trudami, były one ożywczyimi dla niego. Cierpiał w ostatnich latach na ból reumatyczny, który zdawał się być bez znaczenia. Nic nie pozwalało przewidywać w blizkim czasie jego straty.

Gromem zatem z kolei była dla rodziny, dla przyjaciół, dla towarzyszków i dla wielu w kraju, wiadomość, że 11 sierpnia 1894 r. o godzinie 5 po południu nagle umarł w wagonie przed Douai, jadąc z Paryża.

Czytając dziennik, umarł w jednej chwili. Nie przeszedł przez męczarnie zgonu; na to zasłużył sobie dobrocią w życiu, chociaż jako katolik, byłby przeniósł śmierć nie nagłą.

Dałem jego życiorys, nie dlatego tylko, iż w nim tkwi nie jeden przykład do naśladowania i nie jedna nauka; także dlatego, że jak wielu rówieśników, on może lepiej od innych uosabia przeobrażenie, jakie zaszło

w położeniu, sumieniu, wyobrażeniach społeczeństwa polskiego.

Tacy jak L. Wodzicki, nie z osobistych widoków, nie przez próżność, lekkomyślność, zmienność, przewrotność i zaprzaństwo, stali się po r. 1863 takimi, jakim on był. Jeżeli przedtem nie chciał się nawet zbliżyć do tych, co obcym władcom służyli, potem sam służył im jak swoim, z przekonania, że tylko tym sposobem swoim służyć może — to niezawodnie zejść musiał doniosły dziejowy przewrót i stanowcze przesunięcie powinności, to z pewnością społeczeństwo odnalazło prawdziwy swój obowiązek i zrozumiało go inaczej, niż dotąd. W tem tkwi znaczenie ogólnopolskie żywota L. Wodzickiego.

On jest jednym z tych, którzy dali przykład, iż nie należy uświęcać błędów i brnąć w nich, lub w nich, jedynie do opuszczania rąk i zwątpienia widzieć powod. — On jest jednym z tych, którzy zaznaczają skorzystanie z historyi i ze współczesnej nauki.

Skorzystanie, gdyż i on rozpoczynał zawód pod wpływem innych wyobrażeń o obowiązku i zadaniu.

Skorzystanie, szlachetne, zacne, piękne, bez upadku ducha, z jego wyzdrowieniem, bez zwątpienia i znużenia, a już bez złudzenia, bez przerwy i zachwiania; pożytecznie zawsze, czasem świetnie.

I wyrósł L. Wodzicki w społeczeństwie polskiem na męża politycznego z hartem, z rozumem wzniosłym i jasnym, niepospolitym w niczem, lubiącym subtelne odcienia i znającym się na nich, przecież wykonawczym; do końca bez małostek; patrząc prosto przed sobą, gdzie obowiązek wskazywał drogę, nieraz daleko. Zawsze pamiętny o sprawie narodowej, pozostał przytem dobrym, nigdy swej dobroci serca nie zadając kłamu; troskliwym i myślącym o innych; czyniącym dobrze wokół siebie małuczkiem i równym, słabym i wielkim, najchętniej w cichości, w tajemnicy, bez popisu, mieniem często, nieraz czemś lepszem, pamięcią, wiernością, stałością,

poświęceniem siebie samego. Pozostał względem wszystkich prawowiernym, prawdziwym, nawet prawdomównym, zawsze szlachetnym w uczuciach.

Takim był człowiek, taką jego działalność.

Przyszło mi pisać o dwóch moich przyjaciółkach, ze sobą ściśle przyjaźnią złączonych, dwóch polskich marszałkach, dwóch mężach, znaczących w zwrocie ostatnim, jaki w społeczeństwie polskiem nastąpił, zasłużonych przy odrodzeniu w polskiej dzielnicy pod berłem Habsburgów. Chcąc ich postawić za wzór w życiu publicznem, nie potrzebowałem splamić ich pamięci — pochlebstwem.

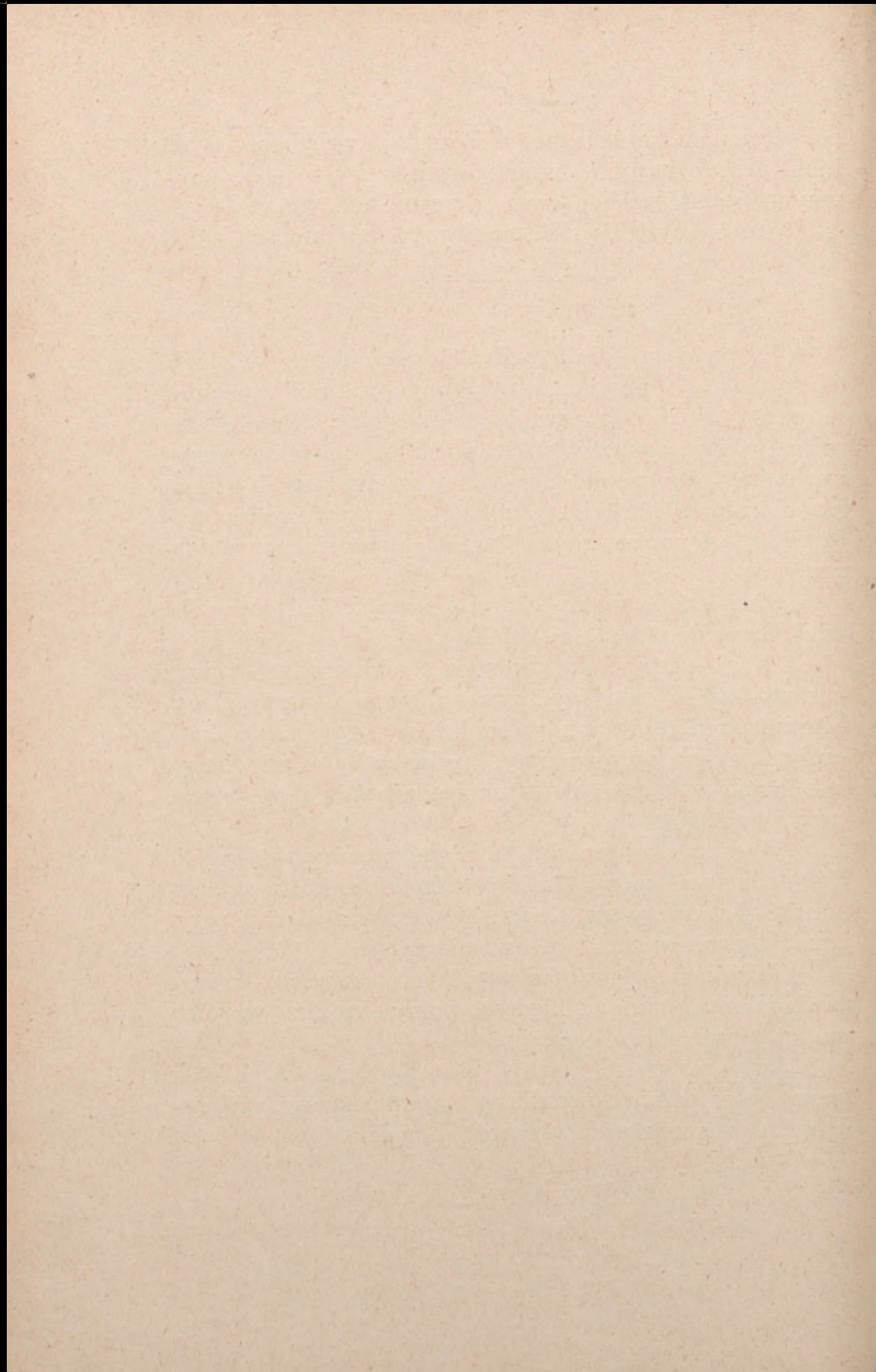
Obaj skończyli na chorobę serca. Mieli go wiele, wiele kochali i wiele cierpieli.

Drogi przyjacielu, którego życie kreśląc własne uprzytomniłem sobie, ty zawsze dla mnie tak życzliwy, o mnie pamiętny, zanadto pobłażliwy, gdyś napominał, czuły i jeszcze wyrozumiały, ty, który byłeś mi wierny, jak ja tobie, cenne chwile przepędziłem z tobą, pisząc twój żywot.

W dniu twej śmierci, o piątej popołudniu, kreśliłem na książce mojej *Rzecz o roku 1863*, która w sierpniu 1894 roku wyszła, słowa: „Z wyrazem wiernej przyjaźni“ i przesłałem ci ją. Już nie żyłeś.

Książka zawiera opis wspólnych naszych usiłowań, zawiedzionych nadziei, błędów i pomyłek; także wspólną naukę, wiarę i przekonania.

Jeżeli w małej choćby mierze przyniesie pożytek temu, co wspólnie kochaliśmy i czemu służyć pragnęliśmy, naszemu narodowi, miłą ci będzie.



S P I S.



| | Strona |
|---|--------|
| Jan hrabia Tarnowski z Dzikowa | 445 |
| Wstęp. | 457 |
| Ludwik hrabia Wodziński z Tyczyna | 459 |



O ADAMIE POTOCKIM.



Zbyt wcześnie w czerwcu 1872 roku społeczeństwo polskie straciło, w sile wieku i wśród działalności publicznej, znakomitego obywatela, wiernego syna ojczyzny, zrosłego z częścią Polski pod berłem austryjakiem i z Krakowem — Adama Potockiego, syna Artura.

Można było nie zawsze zgadzać się z jego zdaniem, lecz trzeba było zawsze wysoko je cenić i oglądać się na takowe; bo było na kogo się oglądać i należało go wysoko cenić; było przed kim zdjąć czapkę. Rzadki więc to był mąż w tegoczesnem naszym społeczeństwie.

Adam Potocki, zwany i znany jako — Pan Adam — wielkie niewątpliwie w kraju zajmował stanowisko i w społeczeństwie polkiem. Dziwić się nawet można, że ścierający wszystko na proch duch czasu, uszanował lub nie zdołał powalić i zniżyć tej wybitnej postaci, tego wyjątkowego stanowiska. Przyczyna tego w silnym charakterze, w złotem sercu i w niepospolitych zdolnościach tego męża. Pan Adam był jeszcze postacią, był nawet pierwowzorem w czasach w takowe ubogich. Czem był dla kraju i sprawy, wiedział każdy, który wiedzieć chciał. Życie Adama Potockiego było ciągłym czynem; zostało więc wszędzie u nas ślady po sobie. Wszystkie jego myśli, wszystkie działania miały na celu rzecz publiczną, miłował ojczyznę, czynami; we wszystkim co robił, ją widział. Obdarzony znakomitemi zdolnościami, zużytkował je przez całe życie na rzecz Polski, nietylko broniąc jej sprawy, co lepsza, pracując dla niej.

Wiele mówiono i wciąż mówią u nas o braku pola działania dla znakomitych ludzi o marnowaniu się w skutku tego zdolności i darów boskich. Temu z gruntu fałszywemu twierdzeniu, zadawał wciąż kłam Pan Adam. Prawdziwie znakomity człowiek nie zmarnieje nigdy i zawsze potrafi znaleźć sposobność do działania, znajdował ją też wciąż Adam Potocki czy to na polu politycznym, czy społecznym, czy gospodarczym. Tą właśnie działalnością wszechstronną, tą pracą zapobiegliwą a ciągłą na gruncie polskim był on drogoskazem, był straszczaniem tego, czem powinno być całe społeczeństwo polskie; był dla wszystkich przykładem. Któż w zetknięciu się z tą orzeźwiającą czynnością, mógł pozostać obojętnym? On wszystkich swoją działalnością do jakiejś takiej pracy popychał. Nie obrachowanym jest wpływ takich ludzi na społeczeństwa; to pewna, że nie w jednym iskrę życia wykrzesił Adam Potocki, niejedną myśl podniecającą żywotność wlał w ospałą Galicyę.

Adam Potocki był wyłącznie i bezwzględnie polskim, z europejskim wykształceniem i ogładą; miał wszystkie przymioty i niektóre wady polskie; lecz całość była tak szlachetna, tak przywiązująca, tak czasem porywająca, że była uroczą i w pamięci uroczą pozostała. Niepospolity urok miał dla wszystkich Pan Adam, nawet dla tych, którzy się do tego przyznawać nie chcieli. Umiał i lubił wywierać wpływ na ludzi i w kraju, w którym żadna nie obstaje się wyższość. W społeczeństwie zazdrosnym i podejrzliwym względem znakomitości, rozmiłowanym w miernościach, Adam Potocki pomimo niepospolitego rozumu i niepospolitszej jeszcze siły ducha, zajmował pierwszorzędne miejsce, był poszukiwanym, powoływanym i dostojniejszym bez dostojności od tych, którzy je piastowali. Górował nad społeczeństwem i w niem. Był powagą. Muszę głównie przypisać to, jego na wskroś polskiej istocie, która umiała znaleźć zetknięcie z polskim usposobieniem i z polskimi ułomnościami.

Obdarzony prawdziwą wymową, wymową niezwykłą, która na każdej widowni politycznej nie byłaby przeszła niespostrzeżoną, uniał jej używać ku swoim szlachetnym celom i ku obronie swoich przekonań. Postawa, gest, organ, obfitość myśli, zwięzłość i logika składały się w pięknych kształtach na pierwszorzędnego politycznego mowcę. Był on prawdziwym mowcą; dlatego właśnie, że aby go ocenić, nie dość było czytać co powiedział, trzeba było go słyszeć. Adam Potocki miał szczególny dar działania swoją wymową na polskich słuchaczy, mianowicie na polską szlachtę i rzadko zamierzywszy ją przekonać lub porwać nie dopiął celu. Posągowo męskim wdziękiem piękny; obdarzony gorącym sercem, bogatą wyobraźnią, przecież, zwykle trzeźwo zapatrywał się i oceniał narodu położenie.

Miewał chwile zachwyty i uniesienia dla własnych myśli, dla tego co na razie uważał za zgodne z dobrem sprawy, lecz nigdy się nie upierał i nie wstydził się zmienić zdania, nie opuszczając ani zdradzając zasad. W polityce narodowej Adam Potocki przedstawiał podwójną naukę: wewnątrz twórczej pracy opartej na religii i zachowawczości; zewnątrz związku polsko-austriackiego. W ważnych chwilach i okolicznościach, rozumny patriota, nie mógł się rozmijać z Adamem Potockim, bo go się zawsze znajdowało tam, gdzie była istotna koryść polska.

Adam Potocki wytknął mądrze Galicyi zbawczą drogę, której się dla swej chluby, bezpieczeństwa i pożytku polskiego odtąd trzymała, umieszczonemi przez niego w adresie Sejmu galicyjskiego, słowa: „Przy Tobie Naj. Panie stoimy i stać chcemy“.

Na łożu śmiertelnem uczynił zapis dla Akademii polskiej w Krakowie.

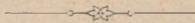
Te dwa czyny określają Adama Potockiego, chociaż wielu innemi zappełnił swój żywot. One są treścią

człowieka, który z rozumem politycznym łączył miłość swojego narodu.

Pan Adam działał i pracował dla sprawy polskiej wogóle; był więc własnością całego narodu; lecz jak znakomite dzieła, acz mają powszechną wartość, przecież noszą piętno sobie właściwe, tak samo niepospolity ten mąż, miał przy ogólnie polskiej cesze, szczególną doniosłość dla Galicyi, zwłaszcza dla Krakowa. Tu głównie znaczną i znaczącą była jego działalność, tu zostawił po sobie zasób myśli, polityczną spuściznę. Tu próżnia po jego ubytku była tak wielką, jak wielką boleść w sercach.

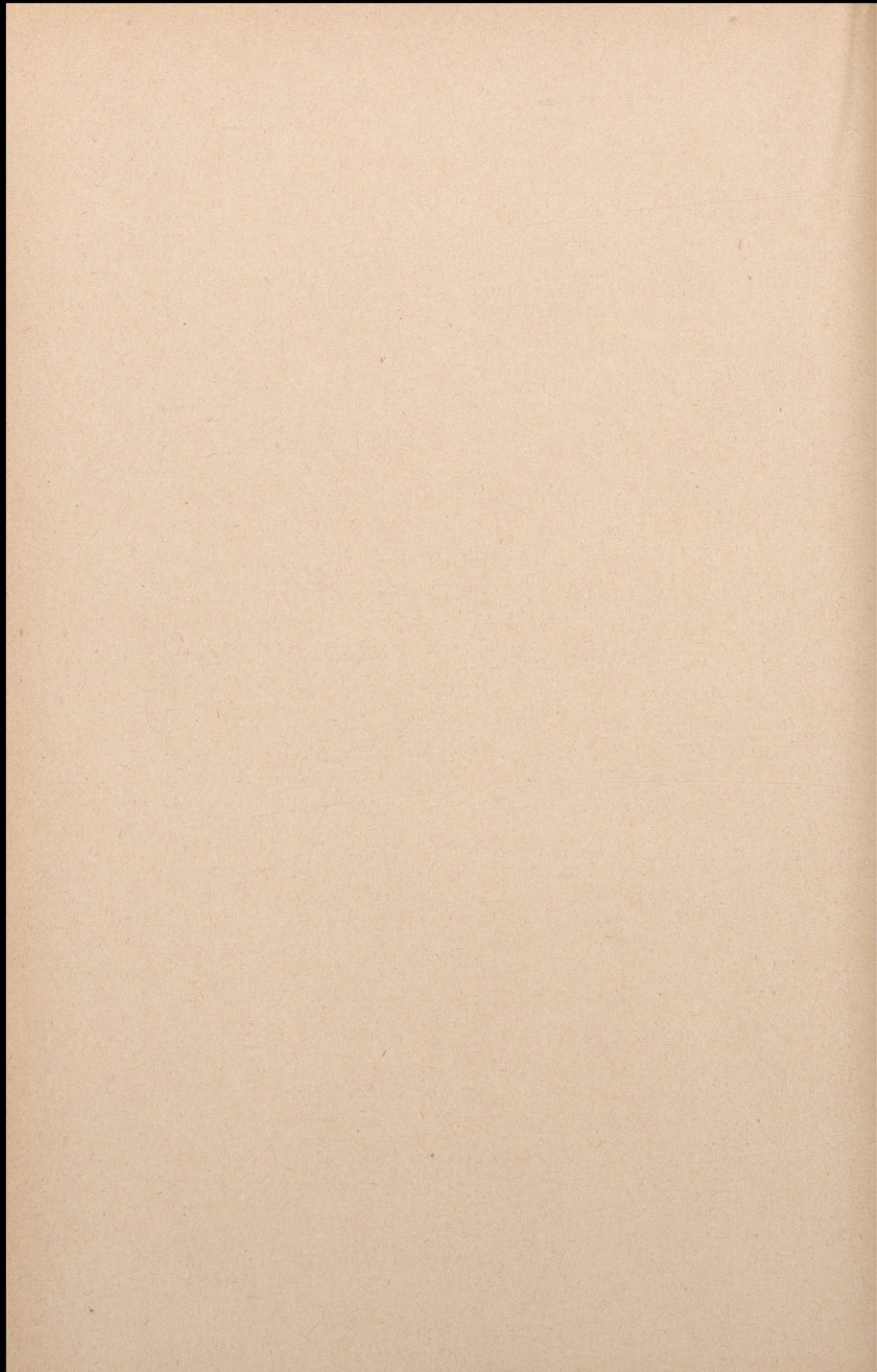
Nie małą chwałą i chlubą dla Adama Potockiego i jego pamięci, był sposób w jaki warcholskie pisma krajowe doniosły o jego zgonie, pomijając i milcząc o jego zasługach. Dało to miarę wartości człowieka. Stratę tę w zamian, umiały doskonale ocenić pisma warszawskie, obdarzone pod względem narodowym, niepospolitym zmysłem i czuciem.

Do zasług Adama Potockiego zaliczyć trzeba, stworzenie i zacne przewodniczenie domowi prawdziwie polskiemu; wspierającemu wszystko co uczciwe i polskie. Dom *pod Baranami*, dom Potockich w Krakowie i Krzeszowicach, należy do porozbiorowej historii polskiej, a tylko zaślepienie, zawiść lub krótkowidzenie, mogłyby nie przyznać, że w położeniu polskiego społeczeństwa, taki dom, to twierdza ducha, obyczajów i cnót narodowych, tem samem, sprawy polskiej. Twierdza ta, pozostała na jej straży.



MARGRABIA ALEKSANDER WIEŁOPOLSKI.

SZKIC POLITYCZNY.



Nie często się zdarza pisać o mężu tej miary co margrabia Aleksander Wielopolski, który siłą myśli wielkie zajął miejsce w duchowych dziejach swojego narodu, doniosłością czynów zaważył na szali jego losów i współczesnych wypadków. W Polsce zaś postać margrabiego Wielopolskiego, którego niezrównane zalety i wady miały piętno niezaprzeczanej wyższości, jest i pozostanie w całym tego słowa znaczeniu, wyjątkową i niezwykłą.

Wyjątkowy bo też to był i niezwykły pod każdym względem człowiek, obdarzony potężnym rozumem, silną wolą, hartem duszy, samowiedzą własnej mocy i wyższości, posuniętej do wysokiego stopnia, a jakby stworzony do łamania największych zapór i trudności lub rozbicia się o nie, bez możliwości i umiejętności wymijania ich i uginania się.

Postać Wielopolskiego łączy w sobie potęgę i grozę tragedii greckiej, i jest do pewnego stopnia uosobieniem tragicznych losów naszego narodu. Jest w nim coś z męża i mędrca starożytności, ale jest i coś ze starożytnego fatum. Na pięknym jego czole wypisanem było, że zaważyć musi na szali przeznaczeń narodu, a w jego głębokim spojrzeniu jaśniała myśl przyszłości. Ludzie tej miary i tej wartości, co Wielopolski, nie mogą przejść obojętnie i bez wywarcia wpływu na losy społeczeństwa do którego należą; są oni już częścią tych losów.

Od najmłodszych lat Aleksander Wielopolski wyrasta o całą głowę nad rówieśnikami, od najmłodszych

lat zwraca na siebie uwagę ogółu, błyszczy szlachetnymi przymiotami. Obdarzony wyższym umysłem, rozwija go mozolną, twardą, niezwykłą w naszym narodzie pracą i opiera wrodzone zdolności na głębokiej, na prawdziwej wiedzy, na wszechstronnej, a ściślej nauce, która miała mu być podstawą w życiu; odrazu czuć w nim człowieka niepospolitych czynów, przymiotów i wad, mogącego spełnić wielkie rzeczy, lub popełnić wielkie błędy, lecz niezwykle i niezwyklej miary. Staje on do walki z wadami i nałogami swego narodu, staje nie tylko odważnie, ale wyzywająco i zmierza się bez trwogi, może zbyt śmiało z straszną dla wielu tak nazwaną opinią publiczną, i naraża się na strasniejszą jeszcze dla tyłu, niepopularność. Życie jego to ciągła walka, to pojedynek między jednym potężnym człowiekiem a nawykniętymi, skłonnościami, wadami i cnotami, zaletami i przesadami, porywami i nałogami całego narodu, którego byt i szczęście chce on mimo niego, wbrew jego woli, wyłącznie przez siebie zapewnić. Margrabia Wielopolski chce zbawić Polskę i jej przyszłość zapewnić pomimo Polski, co godniejsze uwagi, nawet bez udziału Polski.

Z temi znamionami nadającemi mu wyjątkowe w społeczeństwie stanowisko, występuje już w wypadkach 1831 r. głównie jako wysłannik Rządu Narodowego do Londynu; tam z gorliwością, z pełnem zrozumieniem zadania spełnia powierzone mu posłannictwo; bystrem okiem zmierza ogólne położenie i nicość nadziei pokładanych w obcej pomocy; bez złudzeń, z hartem właściwym czerstwemu umysłowi i silnej duszy, zdaje sprawę ze stanu rzeczy; wywołuje niezadowolenie i niechęć. Nie-roztropne przedsięwzięcie upada, upada z nim po bohaterskiej walce naród, gaśnie w nim życie publiczne, nastają lata niewoli, głuchego milczenia, cichej twardej pracy, i ogólnej duchowej niedoli.

Wielopolski schroniwszy się w zacisze domowe z zasobem głębokiej wiedzy, z wielkiem bogactwem ro-

zumu, obdarzony usposobieniem przeważnie politycznem, nie przestał ani na chwilę pracować myślą; praca ta wewnętrzna niewątpliwie zwracała się przeważnie do zadań dotyczących bytu i przyszłości narodu. Jeżeli przez długie lata inni czuli i marzyli, wyobraźni cugle popuszczali lub rozpaczali, rzucali się w szalone przedsięwzięcia, lub pocichu pracowali dla Polski, to Wielopolski myślał politycznie o Polsce i za Polskę.

Człowiek obdarzony bogato od przyrody, czujący w sobie zasoby i siłę do działania, człowiek żądny czynu i sposobności zaznaczenia w dziejach narodu, żądny życia publicznego, do którego był stworzonym, a już przez to samo, że wyższy, miłujący niewątpliwie gorąco ojczyznę, przechodzić musiał nieraz, przez duchowe męczarnie, widząc się skazanym na długoletnią bezczynność, a któremu rozum i sumienie wzbraniały rzucać się w zgubne przedsięwzięcia. Wtedy to w tej duszy staczały niezawodnie uczucia i myśli walki, które wyrzucić musiały na nią przeważny wpływ, w których szukać należy klucza, do niejednej zagadki i do czynów margrabiego Wielopolskiego. Nie wkraczając głębiej w te tajemnicze zakątki ducha, stwierdzić nam wypada, że nawet w latach bezczynności, Wielopolski był tak wielce doniosłym mężem, że każde jego wystąpienie, każde odezwanie się wymownem zawsze słowem, lub jędrnem piśmem, zwracało na siebie uwagę ogółu; nawet domowe sprawy nabierały przez to samo, że on w nich działał, znaczenia rzeczy publicznej, czy dlatego, że umiał im taką nadawać cechę, czy też, że społeczeństwo przeczuwało w nim tego, który w dziejach ściśle z nim zespolonym będzie.

Margrabia Wielopolski acz osiadły w *Królestwie Polskiem*, ze zbyt wysoka patrzył na sprawę publiczną, aby nie obejmował myślą całej Polski; wszystko też co się Polski tyczyło, obchodziło go żywo, i było przedmiotem jego bacznej czujności, a wpływ jego potężnego

rozszerzał się na całą Polskę. Żył on więcej ze swojemi myślami niż z ludźmi; oddziałało to przeważnie na jego przyszłość polityczną; łączył się znajomością lub przyjaźnią z niepospolitemi osobami, brakło mu umiejętności obchodzenia się ze zwykłym poziomem narodu. Margrabia Wielopolski znał ludzkość, nie znał ludzi. Zgłębił doskonale nasz charakter narodowy i nikt może nie umiał go równie trafnie i świetnie określać, ale nie potrafił się nigdy do niego zastosować tak samo jak naród nie umiał go zrozumieć i należycie ocenić i dlatego wszystko, co margrabia Wielopolski obmyślał, było doskonałem i znakomitem, lecz działanie jego było niedostatecznem. Człowiek polityczny musi żyć z ludźmi, bo polityka, to nauka rządzenia ludźmi, a ludźmi rządzić nie można nie znając ich. Margrabia Wielopolski nigdy nie przestał gorąco miłować ojczyzny, lecz mogło się zdawać, że głową nie sercem i tego nie mogli mu przebaczyć współrodacy. W takim narodzie jak polski, wyższość umysłu i charakteru, sama nawet wyniosłość postawy Wielopolskiego, były wyzywającemi. Polaków zaś trzeba żelazną ręką rządzić, lecz nie należy stawiać się względem nich wyzywająco. Wyjątkowe usposobienia mogły zrozumieć i uleść przed wyższością Wielopolskiego, lecz drażnił on zbyt często ogół narodu i niepopularność jego, którą się chlubił, doszła do tego stopnia, że musiała stworzyć dla jego działania publicznego niezliczone trudności, o usunięciu których nigdy się zbyt nie troszczył.

Po długich latach ciężkiej niezawodnie dla Wielopolskiego bezczynności, a bogatej pracy umysłowej, bezczynności, przerywanej od czasu do czasu wzięciem do ręki pióra, którego utwory nacechowane były właściwą mu niepospolitością i nosiły nieomylnie jego piętno, wielki ból i wielkie oburzenie po rzezi galicyjskiej 1846 r., wydobyły z jego piersi potężne słowa w słynnym *Liście szlachcica polskiego do księcia Metternicha*.

Książka ta miała i zachowała znaczenie czynu i zaważyła w dziejach narodu. Była, jak wszystko co pod wpływem szlachetnego powstaje oburzenia czynem wzniosłym, wspaniałą zemstą, zarazem wytknęła drogę polityczną, którą Wielopolski miał obrać; książka ta była już zapowiedzią pomysłu politycznego, w którym on chciał widzieć i widział zbawienie narodu, który miał zastosować piętnaście lat potem. *List szlachcica polskiego do ks. Metternicha* nie był tylko oskarżeniem, to był twór polityczny.

Długa wewnętrzna praca tego niepospolitego umysłu, doprowadziła go do dokładnego obrachowania wszelkich możebnych widoków bytu i przyszłości narodu. Widział on wśród danych okoliczności niepodobieństwo wywalczenia niepodległości własnymi siłami i znał wszystkie klęski towarzyszące temu przedsięwzięciu; rozumiał całe niebezpieczeństwo i całą nicosć rachuby na obcą pomoc i złączonej z nią nadziei, zakorzenionej we współczesnym mu i dorastającym pokoleniu; czuł użyteczność, lecz zarazem chwiejność pracy nieoszańcowanej prawnym bytem narodowym; zrozumiał i odgadł to wszystko ten wyższy człowiek, a przecież nie rozpaczał, nie zwątpił, nie powiedział sobie, że niema nic do zrobienia, lecz przeciwnie, szukał innych dróg i wyrozumował, że w takim, jak narodu polskiego położeniu, należało koniecznie wysnuć lepszą przyszłość z rzeczywistości, z istotnego stanu rzeczy, opierając się na danej podstawie i że nie marnując nadal sił na gonienie za choćby wzniosłymi niepodobieństwami, trzeba było zużytkować je dla zapewnienia bytu narodowego, dla wyrobienia sobie innego odmiennego od dawnego, lecz jeszcze ważnego i poważnego w świecie stanowiska. Rozumując w tym kierunku Wielopolski, powiedział sobie zapewne: że niema przepaści, którejby polityka nie zapełniła, a głęboka myśl jego i gorąca miłość sprawy ojczystej zwróciły się w tę stronę, w której największa część narodu i naj-

donioślejsze jego sprawy, czekały rozwiązania, rozwiązane, nadać mogły szersze rozmiary narodowemu życiu współczesnemu; tam chciał polityką zapełnić przepaść bezdenną dla zwykłego oka, która tyle bezowocnych pochłaniała ofiar. Aby spełnić powziętą myśl, mniemał, że należało tylko czekać na sposobną chwilę; chwili tej wyczekiwał. Wielopolski był zbyt wielkich rozmiarów mężem politycznym, człowiekiem zbyt wielkiej wagi i czerstwej myśli, aby miał marzyć o odegraniu Wallenroda, o cywilnym jakimś wallenrodyzmie, a taki zamiar przypisały mu wrogi jego pomysłowi i narodowi polskiego. Wielopolski dostrzegł drogę pośrednią, na której naród mógł zdobyć sobie byt, bez nikczemnego zaparcia się siebie samego, lecz bez posługiwania się zdradą. Środek tak sztuczny, jak zdrada, nie mógł odpowiadać sięgającym daleko poglądom Wielopolskiego i nie mógł on oprzeć o tak wątpliwą podstawę, swego działania. Jak daleko sięgała jego myśl, nie chcemy badać, ale obejmowała ona raczej inne widnokreśli, w innej stronie, jak te, które by był mógł odsłonić wallenrodyzm. Margrabia Wielopolski, stworzył dla Polski zasadę bytu narodowego bez bytu państwowego, wskazał jej przyszłość w prawnym samorządzie i w nim chciał ją odzyskać bez względu na polityczne rachuby. Pomysł ten jest jego dziełem i przeżyje go; wszyscy ci, którzy w tym kierunku poszli i działali, byli dziećmi myśli Wielopolskiego, a myśli tej zawdzięczamy po części stan rzeczy i byt narodowy w Galicyi, które najwymowniej świadczą, że Wielopolski nie był marzycielem, kiedy mniemał, że niema przepaści, którejby polityka nie zapełniła.

Sposobna chwila nadarzyła się nareszcie, dostrzegł ją orlim wzrokiem Wielopolski, dosłyszał godzinę, która dla niego wybiła i mężnie narażając się na niezliczone niebezpieczeństwa z ich poczuciem, stanął na placu, raczej rzucił się w odmęt wypadków warszawskich 1861 r.,

aby z niego świat nowy dla Polski wydobyć. Staął śmiało, biorąc na siebie całą odpowiedzialność, między narodem rozgorączkowanym szlachetnym uczuciem, a rządem tracącym głowę, stanął nie jako sługa zwolennik rządu, lub trybun ludu, nie jako dworak władzy lub opinii publicznej, lecz jako mąż stanu, spieszący na pomoc z daleko ścigającą myślą, z całym dziełem przyszości. Wspaniałą była ta chwila, w której ta głowa bogata myślą, nie chciała się ugiąć, ani przed szalem ludu, ani przed zaslepieniem i krótkowidzeniem władzy i kiedy Wielopolski wydobył z położenia na pozór bez wyjścia, wszystko co się z niego wydobyć dało. Nie ludzi on narodu nie mogącemi się żyć nadziejami, a w Petersburgu stanął nie w postaci sługi cara, acz w jego służbie, lecz jako przedstawiciel myśli politycznej i sprawy dwudziesto milionowego narodu, z godnością i szlachetnością właściwą wyższym ludziom.

Zdobywał Wielopolski stopniowo ustępstwa dla kraju, a pod wpływem jego działania mnożyły się w sposób zdumiewający dla społeczeństwa owoce tych ustępstw; dowiódł, że nie od ilości ustępstw, ale od sposobu użytkowania ich, wszystko zależy w takim jak nasze, położeniu. Naraz pod ożywczemi promieniami myśli Wielopolskiego, kraj zakwitł we wszystkich kierunkach; wychowanie publiczne, wiekopomne dzieło Wielopolskiego, zajaśniało świetnym blaskiem, kraj uczuł dobrodziejstwa samorządu, sprawa włościańska na właściwą weszła drogę, Warszawa stała się znowu sercem i głową narodu, Warszawa z margrabią Wielopolskim na czele zwróciła na siebie uwagę, i nadzieje całej Polski i całej Europy, a w Petersburgu liczono się z nią; wszystko to stało się w jednej chwili i stało się tak, iż zdawać się mogło, że „marzenia“ rozsądnych ludzi w znacznej części ziszczonymi zostały. W tak krótkim czasie i w ten sposób, tyle zdziałać mógł tylko człowiek niezwykły. Jest to najpiękniejsza chwila życia margrabiego Wie-

łopolskiego, owoc głębokiej myśli, który, gdyby danemu było dojrzeć, byłby zaspokoił na długie lata duchowe i gospodarcze potrzeby narodu. Obok tych wielkopomnych dzieł Wielopolskiego, odrysowuje się jego polityczne działanie, które historia surowej podda krytyce, a na które tak wyraźnie oddziaływały wyżej dotknięte strony charakteru człowieka i okoliczności, wśród których on się wyrabiał. Margrabia Wielopolski działał oderwanie od stosunków; ufał zbyt we własne siły i tylko na własne rachował siły, wszystko zdołał stworzyć prócz własnego silnego stronnictwa; znalazł na drodze, którą kroczył, trzy wielkie trudności, trzy zapory; zakorzenioną wiarę w obcą pomoc, podnieconą nowemi, a zupełnie bezpodstawnemi nadziejami, spisek, nieszczerłość i podejrzliwość rządu i Rosyi. Z tych trzech zapór pierwsza była najniebezpieczniejszą, bo pozbawiała Wielopolskiego, przyrodzonych podpór i sprzymierzeńców; dramat rozegrał się między Wielopolskim, a ową wiarą w obcą pomoc; uległ w walce Wielopolski, lecz duchowe zwycięstwo przy nim pozostało i może oświeciło na zawsze naród, oby tylko nie zapóźno. Wielopolski, te zapory zbyt sobie lekcewał, żadnej nie uniał i nie mógł usunąć lub przełamać; nie zgniół spisku, nie rozwiał złudnych nadziei w obcą pomoc, nie nawrócił do swej myśli Rosyi, acz od rządu na rzecz jej wiele, bardzo wiele zdobył.

Jeżeli w szczegółach Wielopolski popełnił błędy, to naród popadł w największy, nie przyjmując całości jego myśli i dzieła. Naród i jego przewodzcy mieli wolną wolę i wybór dróg, margrabia Wielopolski nie miał w rękę, władzy wykonawczej, która w polityce jest narzędziem woli i to go usprawiedliwia z wielu względów, a nie uniewinnia społeczeństwa; ale Wielopolski powinien był liczyć się z tem, że władzy wykonawczej w rękę nie miał i kiedy nie mógł zgnieść spisku, następnie powstania nie należało ich wyzywać. Naród srodze zblę-

dział i ciężko zgrzeszył, że go nie poparł, że się dał porwać złudzeniom, osidlić spiskowi, wciągnąć w matnię zastawioną przez wrogów; ale odpowiedzialność za tragiczny koniec spada także w znacznej części na Wielopolskiego, bo on był najmądrzejszym w narodzie, tem samem powinien był wiedzieć i zrozumieć, że naród nie mógł być mądrym, przezornym jak jeden człowiek i to naród w upadku politycznym; do tych warunków nie umiał zastosować się margrabia Wielopolski i wywołał klęskę, zamiast ją zażegnać.

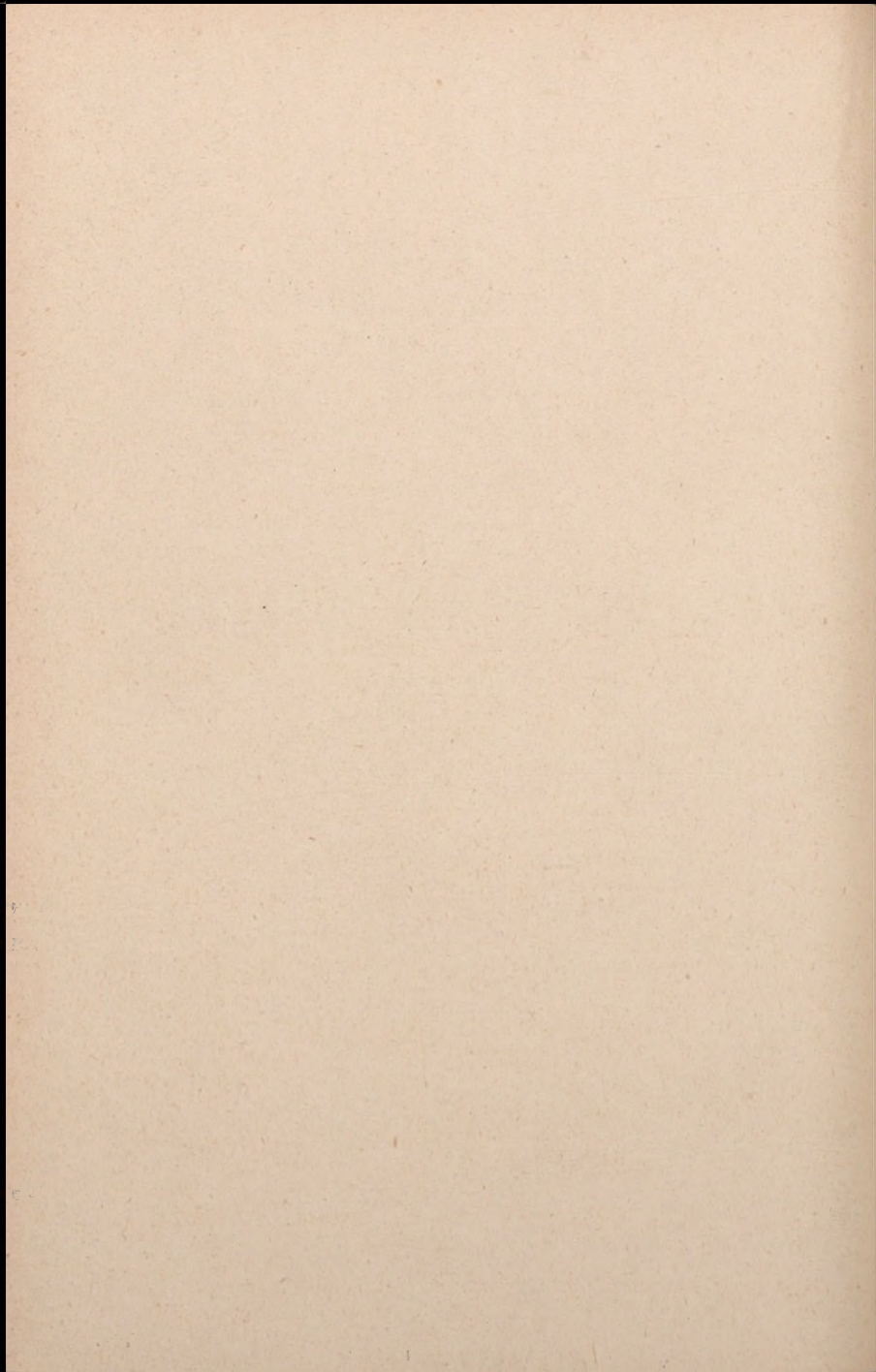
I wtedy nastąpiła wielka dramatyczna chwila, w której jeden człowiek otoczony zaledwie kilku wiernymi, pozostał przy prawdzie położenia, widząc jasno i trzeźwo, a działając zbyt bezwzględnie acz nie dość stanowczo, ożywiony gorącą chęcią powstrzymania narodu od zguby, przecież niektórymi czynami popychając go do niej, kiedy jednocześnie cały naród ogarnięty jakimś niepojętym szałem nie rozumiał tego człowieka, może zbawcę, i rzucił się na oślepa w przepaść. Upadł margrabia Wielopolski; radość wrogów i niesłychane nieszczęścia narodu, które jedne po drugich nastąpiły, wymowniej niż są od wszystkiego, coby można powiedzieć. Ta radość wrogów i te okropne nieszczęścia, świadczą o wartości człowieka i podjętego przez niego dzieła, lecz są zarazem zbyt przykrymi i upakarzającymi dowodami, że wszyscy zawinili, że nikt od winy wolnym nie był, nawet i ten wyjątkowy człowiek, którego upadek stał się narodową klęską.

„Że myślimy nie życzyli powodzenia, a utrudniali dzieło Wielopolskiego, to łatwo zrozumieć, lecz, że go Polacy nie poparli, to się nigdy nie da wytłómaczyć“. Słowa te wyrzekł inny, wielkiej doniosłości człowiek i nie kto inny, jak wówczas rozpoczynający swój zdumiewający zawód, w dziejach na wielkich czynach oparty, Bis-
marek.

Nie przedłużając procesu, który dwom stronom wytoczyć by trzeba, stwierdzamy tylko, że upadek Wielopolskiego, popchnął Polskę w najgłębszą może przepaść, w jaką dotąd kiedykolwiek wtrąconą została i najgrubszymi ciemnościami okrył tę część ziemi polskiej, którą on oświecił swoim geniuszem. Czuł margrabia Wielopolski te skutki swojego upadku i nieudanego przedsięwzięcia i jak wielki artysta, który nie mogąc skończyć dzieła, z rozpaczyny druzgocze dłuto, tak duch jego zrozpaczony złamał jego ciało. Po długich cierpieniach, po srogich niewątpliwie katuszach ducha, na dobrowolnem, także nie pozbawionem piętna wyższości wygnaniu, zakończył żywot w Dreźnie 30 grudnia 1877 r., ten znakomity myśliciel, mąż stanu, patriota i znikła z widowni naszej ta potężna, bogato od przyrody uposażona postać. Postać zostanie w dziejach, wspaniałe jej rozmiary czynią z niej już dzisiaj chwałę narodową. Myśli zaś wyszłe z jowiszowej głowy Wielopolskiego nie zaginą; są one spuścizną narodu, w nich szukać on będzie bezpiecznych przystani; nauczony doświadczeniem, da Bóg zdoła je z korzyścią dla swojego bytu zużytkować. Wielopolski należy do tych co nie cali umierają.

PANI ARTUROWA POTOCKA.

SZKIC SPÓŁECZNY.



Słowa: Pani Arturowa — niezwykle miały dla kilku u nas pokoleń urok. Połączone z niemi było pojęcie o wielkiej powadze i niemiejszym wdzięku; każdy przed niemi uchylał czoła bez zastrzeżeń. Wyjątkowem zatem być musiało stanowisko osoby, którą temi wyrazami przywykł nazywać Kraków, ocenić się ono dziś da jedynie, mierząc próżnię stworzoną jej stratą, próżnię, nietylko w mieście i społeczeństwie, ale przede-wszystkiem w sercach tych, którzy przez tyle lat powtarzali z miłością i uszanowaniem: pani Arturowa!

Żyliśmy w okresie przewrotów gwałtownych a ciągłych, w którym wszystko od zasad i przekonań do urzędzeń i ludzi zmieniało się jakby w jakimś potwornych rozmiarów kalejdoskopie, w okresie, o którym można powiedzieć, że jedyną w nim stałością, była ciągła niestałość a godłem jego zmienność. Godło to ścigało zarówno królów jak ludy, trony, państwa i narody, wielkie i małe sprawy, wielkie i małe społeczeństwa, rzeczy ludzkie i ludzi. U progu tego okresu urodziła się pani Arturowa, i dziwnem jakimś zrządzeniem, w tych czasach, w których nie było dla niczego i dla nikogo jutra, w narodzie najdotkliwiej może nawiedzonym zmiennością i niestałością wypadków, istniała przeszło pół wieku, nigdy i niczem nie zachwiana, względnie wielka, bo nie mająca obok siebie równej, powaga duchowa, istotna władza moralna, i władzę tę dzierżyła pani Arturowa, zawsze ta sama, niezmienna w czynieniu dobrego, za-

wsze w równej mierze słuchana, uznawana, szanowana i kochana. Stanowisko pani Arturowej było pięknym przeciwstawieniem zmienności rzeczy ludzkich i nieśmiałości naszych czasów. Ile z tej władzy mądrze i dobroczynnie dzierzonej, dobrego, szlachetnego, trwałego, spłynęło na społeczeństwo krakowskie, promieniejąc stamtąd dalej, rozważyć i dociec byłoby zaiste zbadaniem małego szczegółu w wielkim bożym świecie, które przyniosłoby ze sobą bogatą naukę. Kto szlachetniejszy i przenikliwszy, czuł to, nie zdając sobie może nawet nigdy dokładnej z tego sprawy. Lecz godnym także zastanowienia jest zjawisko tak wyjątkowego i wyjątkowo trwałego stanowiska, a wytłómaczenia szukać trzeba w osobistości, w charakterze, w duszy i sercu pani, która umiała je zająć, i na tym małym punkcie świata zachować je, nie wywołując ani oporu, ani szemrania, wtedy, kiedy władze oparte na najdawniejszych prawach lub na sile ustępowały po kolei i znikwały z wielkiej świata widowni.

Tem dziwniejszem było to zjawisko, że w Polsce, gdzie nie brakło i nie brak ochotników czapkowania wielkim rodowym i majątkowym stanowiskom, zawiść, zazdrość i wszystkie zle namiętności i namiętnostki, nie oszczędzały zdobytych własnymi zasługami, osobistemi zaletami umysłu czy serca, byle tylko ponad inne wyrosły. W Polsce nierównie łatwiej przyjmowano i godzono się z gwałtownością przypadkowej przewagi majątkowej czy społecznej niż ze zdobytą osobistą zasługą. Wyjątkiem była pani Arturowa Potocka, bo właśnie stanowisko jej było przede wszystkim osobistem, i było poniekąd tak wysokiem i znaczącem, nie dlatego, że była możną panią, lecz, że nią umiała być w sposób jej tylko właściwy. Ktokolwiek był znawcą ludzi i rzeczy ludzkich, przyznać to musiał, ktoby potrzebował namacalnych dowodów, niech poszuka między najmoźniejszymi u nas i niech znajdzie w naszych czasach coś, już nie

powiem podobnego ale przybliżonego do wpływu, do tego co nazwaliśmy władzą pani Arturowej w Krakowie. A zatem *ja*, które było w niej nie osobistem, było jednak rzeczywistą podstawą wszystkiego; podstawą tą była jej wewnętrzna istota, słowem: osoba duchowa. I dlatego właśnie wielce zajmującym jest zbadanie tego *ja*. Godne to zadanie najwykwintniejszego myśliciela, prawdziwie filozoficzno-chrześcijańskie i polsko-spółeczne zadanie; lecz niełatwe, a byłoby zarozumiałością, chcieć je w całości spełnić, jak zawsze jest nią chcieć zbadać i odgadnąć dzieło boskie w najmisterniejszych jego szczegółach. Są w wielkiem dziele Opatrzności zakątki, tak dobrze potworności jak piękna nieprzystępne dla umysłu, łatwiej je odczuć niż wyrozumować. Do takich zakątków piękna, zdaniem naszym, zalicza się wyjątkowa istota, jaką była pani Arturowa, która swoją prostotą, swoim niezrównanym, przecież najzupelniej ludzkim, w niczem nie ustrojonym i nigdy nie strojącym się wdziękiem, była poniekąd zagadką i niełatwym do wytłómaczenia objawem. Pani Arturowa łatwa bardzo w obejściu i skłonna do okazywania drugim tych uczuć, które miała dla nich, o tych, które były jej treścią i jej dziejami, jeżeli mówiła kiedy, to chyba przed bardzo nielicznymi wybranymi, tak, że wewnętrzny świat jej duszy i jej wspomnień jeżeli komu, to bardzo mało komu był znany. Rozdawała się „w ciągłej uczynku i słowa postaci“, dzieliła się chętnie chlebem i sercem, ale miała zawsze wewnętrzną twierdzę czy pustelniczą celę, w której się zamykała sama „z Bogiem i myślami“. A w tej samotności zapewne przygotowywać się musiały najtrudniejsze i najpiękniejsze uczynki jej życia, tajemnicę tej wielkiej siły ducha, jaką miała, rozkwit tych kwiatów, których my domyślamy się tylko po widocznych dla każdego owocach. Między temi owocami szlachetnego drzewa jest jeden, o którym wspomnieć chcemy.

Oto niema podobno większej na świecie sztuki, jak być bogatym. Dziwi nas zwykle słowo Ewangelii o wielbłądzie i uchu od igły: nie znaczy ono zapewne tego, żeby bogaty miał być koniecznie od ubogiego gorszym, ale że i pokusy i odpowiedzialności życia dla niego są większe, a przywiązanie do życia miłego łatwiejsze. Pani Arturowa była niemal najbogatszą panią w Polsce, w każdym kraju liczyłaby się do bardzo bogatych, a nikt lepiej od niej nie umiał być bogatym, nikt lepiej, żyjąc w świecie, wzniesić się nad jego marności. Pani Arturowa lubiła ludzi i ich towarzystwo, przecież dokazała tej sztuki, że zachowując swoje stanowisko, jego prawa i jego obowiązki, nie odrywając się od świata ani nim gardząc, zdołała nie tylko ustrzedz się próżności i próżnowania, zamiłowania zbytku i blasku, ale używając tego wszystkiego, do niczego się nie przywiązała, nad to wszystko była wyższą; przyjmowała swój majątek i swoje znaczenie jako zrządzenie boskie, nie pytając o powody, tylko pełniąc przywiązane do nich obowiązki i uważając je jako powierzony sobie depozyt, który dobrym użytkiem pomnożyć miała stokrotnie w niewyczerpany skarb zasług przed Bogiem i ludźmi. Dla takich bogaczy ucho od igły rozszerza się w wielką naosćcież otwartą bramę.

Były dawniej i będą zawsze kobiety jaśniejące cnotą, wdziękiem i rozumem, ale pani Arturowa nie była podobną do żadnej z tych, których pamięć została, nie należy do żadnego znanego pierwowzoru, takich królujących w społeczeństwie niewiast. To nie dawna zakonna matrona z XVII wieku, w domu zamknięta i domem a kościołem tylko zajęta: ona byłaby umiała jak hetmanowa Żółkiewska, zbierać posiłki dla męża na wojnie, i jak tanta dotknięta, umiała jak ona

ale w niej nie było nic klasztornego, ani nic stoickiego, nic rzymskiego. To nie kasztelanowa Kamieńska także, z patriotyzmem gorącym a nieco stronnicy, z wielką rodową dumą i żądzą, z językiem śmiałym usposobieniem prędkim, z dowcipem złośliwym, czasem rubasznym; nie, tu nie było nic zbyt śmiałego ani gwałtownego, nie złośliwego ani męskiego, tu wszystko było łagodne, kobiece, wykwintne i dostojne. Pani Stanisławowa ordynatowa Zamoyska królowała niegdyś w Warszawie znaczeniem, wdziękiem i tą pięknoscia, nad którą nawet czas nie miał władzy, ale nie doczekawszy się starości, nie mogła mieć tej powagi patryarchalnej, jaką pani Arturowej nadawał wiek. Pani kasztelanowa Polaniecka, żyjąca jak tamta, w końcu osiemnastego i w dziewiętnastym stuleciu, oto jedna, sądząc z tego, co o niej mówią współczesni, która jak moralną władzą nad ówczesną Warszawą, tak i rodzajem charakteru i umysłu musiała być cokolwiek do pani Arturowej podobną. Ale pani Arturowa była przede wszystkim sama sobą i dla siebie wzorem.

Podnoszono nieraz, i słusznie, niezliczone, jednak w największej części do końca, pomimo tylu wiadomych, nie znane, bo w cichości pamiętnej o godności innych, spełniane uczynki dobroczynne tej pani. Cały szereg nie kończących się nabożeństw za spokój jej duszy, zamawianych przez zakłady i osoby po jej zgonie zaszył na początku 1879 r., stanął jakby na świadectwo jej życia, jej czynów, jej ofiarności. Ten pochód wdzięczności to najwspanialszy orszak, towarzyszący jej pięknej pamięci.

W kraju, w którym możni zwykle nie umieją ani przezornie zaoszczędzać, ani hojnie szafować mieniem, już ten sposób używania majątku świadczy o wyższym usposobieniu, o szlachetnych skłonnościach pani Arturowej. Ale zdaniem naszym to acz najbardziej może w oczy ogółu bijąca strona jej żywota, nie najważniej-

sza, nie najpiękniejsza. Najpiękniejszą była niematerialna dobroczynność tej pani i ona właśnie rzuca najjaśniejsze światło na jej osobistość. Dobroczynność duchową spełniała pani Arturowa na wielką skalę a umiejętnie, i rzadko danem jest widzieć tak dobrego szafarza własnych przymiotów, miłych zalet i skarbów dobroci. Nie wspominając już o sposobie, jakim świadczyła dobroczynność, który był drogocennym klejnotem jej duchowych skarbów, nie podobna mówić bez podziwu o tej niewyczerpanej uprzejmości, o tej ciągłej o innych pamięci, o tem wytwornem wykwinnością swoją obejściu, o tej bez granic, a jednak tak nietuzinkowej, tak równej, przecież pełnej umiejętności odcieni gościnności, któremi wszystkich starszych i młodszych, kobiety i mężczyzn, prostaczków i uczonych czarowała, bez przerwy, zawsze i nieodmiennie, nieznużenie bez najmniejszego wysilenia, prostem zadośćuczynieniem potrzebom własnego serca, własnej duszy i rozumu. Cnoty tej pani miały zalotność, której nikt oprzeć się nie mógł i nie chciał. Powaga jej miała woń, która przyciągała, wonią tą była nieustająca pamięć o innych. Pani Arturowej szczęściem było szczęście innych, jej radością radość innych, jej zabawą zabawa innych. Jak wykwinny smakosz używała na przyjemności, którą innym sprawiała; słowem, żyła w innych i dopiero w zadowoleniu innych własne znajdowała. „Dlaczego poczytujecie mi za zasługę to co nią nie jest, bo co we mnie tak niezasłużenie podnosicie, mnie samej najwięcej robi przyjemności“, mawiała pani Arturowa. Aleć to właśnie było nieocenionem i uroczem, że jej to wszystko sprawiało tak wielką przyjemność, to właśnie stało się jej pełną wdzięku istotą, która tłumaczy nam dlaczego miała nad ludźmi taką władzę. To właśnie było tak miłym, że aby być taką, jak ją znaleźliśmy wszyscy, nie potrzebowała zadawać sobie przymusu, nie potrzebowała wysileń, lecz szła za skłonnością swego szlachetnego usposobienia. Szla-

chetne usposobienie, w tych dwóch słowach zamyka się osobistość pani Arturowej. Duchowo i umysłowo, społecznie i towarzysko było to usposobienie czule na wszystko co piękne. Z tej szlachetności, jak ze źródła, wypływały uczucia i czyny tej pani a przed niemi górująca nad wszystkim miłość ludzka, którą wykonywując na szeroka skalę, wyjątkowo w dziejach serca ludzkiego, nawzajem zdobyć sobie umiała. Objawem tej miłości była niewyczerpana uprzejmość, na którą dlatego kładziemy nacisk, że była niezwykła, że miała piętno samodzielności, aczkolwiek była zawsze równą, niezmienną, napozór do innych podobną, rzeczywiście w gruncie inną. Nie była to wyłącznie uprzejmość, ani światowa, ani wielkiej damy, ani kobiety, lecz była tem wszystkim razem i była streszczeniem w sobie uprzejmości chrześcijańskiej, moglibyśmy powiedzieć: cywilizacji chrześcijańskiej, bo pochodziła zarówno z wielkiej do ludzi miłości, jak z głębokiej znajomości wszystkich nieszczęść, bied, trosk i zawodów ludzkości. „Nie ró b bliźniemu, czegobys nie chciał, aby tobie zrobiono“, mówi pismo święte, nie żądając w swej boskiej mądrości od ludzi więcej, niż czynić mogą. Pani Arturowa w swem osobistem a ludzkim pojęciu miłosierdzia pragnęła zawsze innym robić to, coby jej samej milem było. Paniętała o innych, bo też niczem nie można było jej być miłym, jak pamięcią o niej.

A teraz nie trudno nam będzie dociec tajemniczej przyczyny tego uroku, tego wdzięku, którymi obdarzona była, tej miłości, którą obudzać umiała, i tej władzy, którą piastowała. Jest ona prostą, jak zwykle bywa prostym, acz często niedocieczonym układ misternego tworu. Wszystko w pani Arturowej było prawdą, słowa i czyny. Prawdą uprzejmość, prawdą miłość bliźniego, prawdą gościnność największa, bo czuć było, że sobie największe niemi sprawiała zadowolenie; prawdą wyrozumiałość, która nie była pobleżaniem prowadzącem do bez-

karności, ale pełnym życzliwości sposobem, oraz próbą naprawiania złego, przeszkodzenia gorszym jego następstwom; prawdą obejście njujące, prawdą smutek i radość, prawdą wesolość i prawdą ta żaloba zewnętrzna, której już nie zdjęła po najsroźszym ciosie, po śmierci syna, którym był — Adam Potocki!

Ta prawda wykluczała zawsze i wszędzie wszelki cień nawet przesady, z niej pochodziła jej wielka, najmiłsza prostota w zwyczajach i w upodobaniach, w rozmowie i w postępowaniu. Dobrze ktoś powiedział, że takiej prostoduszności w wielkoduszności nigdy nie widział. I tej to prawdzie, która była treścią jej, treścią jej uczuć, myśli, czynów, zawdzięczała urok, powagę i władzę, którą dzierżyła dla dobra innych, dla dobra otaczającego ją społeczeństwa! A była ona wielką, wszystko przed nią się korzyło, lecz godność osobista była wobec niej bez obawy. Ta zaś, która tę władzę piastowała, miała moc zasłaniania wszystkich i wszystkiego, a zawiść, zazdrość, nawet sprawiedliwy lecz zbyt surowy sąd, czuły się bezwładnymi tam, gdzie ona swoje opiekuńcze roztoczyła skrzydła. Plotka, potwarz, obmowa, osobiste widoki, te wszystkie wady właściwe społeczeństwu ludzkim, lecz w mniejszych silniejsze i jadowitsze niż w większych, traciły wobec niej swoją trującą moc; aczkolwiek nie oszczędzały często nikogo, nawet najbliższych jej, nie śmiały nigdy jej dotknąć. Gadziny te stawały się wobec niej bezładłowemi i bezjadowitemi; pokornie lizaly jej stopy, jakby pod wpływem jakiego czaru. Pani Arturowa była przeciwtrucizną tych wszystkich trucizn miejscowych. Miała ona szlachetną łatwowierność, bo wołala wierzyć w niebyłe cnoty, jak przyjąć za dobrą choćby jedną potwarz.

Urodzona w wielkim i dla wielkiego świata, żona jednego z najświetniejszych w swoim czasie ludzi światowych, pani Arturowa była wśród naszego pokolenia, niestety, już jakby wzorem i wyjątkiem wielkiej damy.

Jak we wszystkim, tak i w tem była prawdziwą wielką panią, a nie mówimy tu o zewnętrznych stronach, o majątkowem i rodowem stanowisku, ale raczej o duchowem, wewnętrznem usposobieniu. Była prawdziwą, wielką panią, bo lubiła to tylko, co z tem stanowiskiem łączy się wzniosłego, odtrącając wszystko, co poziome i drobnotkowe: Była to wielka pani w duszy. Nigdy nikomu nie potrzebowała przypominać, że nią była, otaczała ją atmosfera, którą wokół niej wytworzył szacunek. Ten szacunek stanowił jedyną ale wspaniałą etykietę. Wdzięk jej towarzystwa polegał na niewyczerpanej, niehałaśliwej, ale tem samem nigdy dosyć ocenionej wesołości, która nadzwyczaj przystojnie i zgododźwiecznie łączyła się z jej powagą. Ta wesołość zaś była prostem następstwem tej prawdy całego życia, którą naznaczyliśmy jako główny rys pani Arturowej. Nie było to tylko wesołość dobrego sumienia, ale także dobrego usposobienia. Panią Arturową aż do ostatnich dni życia wszystko żywo zajmowało, rozmowa z nią była zdumiewająco ożywioną i orzeźwiającą. Będąc z nią, nie mogło się wierzyć w starość ducha. Miała ona rzadki, niezaprzeczenie najdrogocenniejszy przymiot — wszystko rozumiała. Było w niej przymiot umysłu i serca. Najsubtelniejsze odcienia piękna, uczuć i spraw ludzkich, dowcipu i rozumu, szlachetności, ale i słabości ludzkich, pojmowała, i dlatego zapewne umiała być dla innych wyrozumiałą.

Ale jeżeli nic i nigdy nie było jej obojętnem, jeżeli żywo ją obchodziło wszystko, co żyło, to głównie miała niesłychanie rozwinięte poczucie obowiązków swojego stanowiska i dlatego przedewszystkiem i najwięcej zajmowało ją to, co się tyczyło społeczeństwa, w którym naczelnie zajmowała miejsce. Stąd przodowanie we wszystkich dodatnich jego czynnościach i sprawach, stąd pani Arturowa Potocka na czele wszystkiego, co u nas, za naszych czasów, dobrego, pięknego lub użytecznego robiło się; stąd nareszcie pełna zasługi umiejętność,

nietyłe tworzenia czegoś nowego, coby od niej koniecznie brało początek, jak raczej utrzymywania tego, co miało upaść, ożywiania tego, co umierało, ocucenia tego, co drzemało. Pani Arturowa była w najszlachetniejszym i najlepszym tego słowa znaczeniu zachowawczym czynnikiem i żywiołem; z wielkiej dla przeszłości czci, powoływała ją zawsze do przyszłości, a jak zabraniała, aby ścięto jedno stare drzewo, tak żadnemu zakładowi, żadnemu wspomnieniu, żadnej pamiątce zaginać, zniknąć i zmarnować się nie pozwoliła.

Temi cnotami i przymiotami pani Arturowa zdobyła sobie władzę, którą wszyscy bez szemrania uznawali, szczęśliwi, że ją mieli nad sobą i póki ją mieli. Panowanie jej trwało lata bez wywołania jednego buntu, nawet niechęci lub zazdrości. Były to rządy patryarchalne, dobrowolnie przyjęte, możliwe tam tylko, gdzie się połączy godność, której nikt zaprzeczyć nie może, życia długiego, życia najenotliwszego, z widoczną w każdym słowie i uczynku dobrą wolą dla wszystkich i dla każdego z osobna. A kiedy nieśmiejąca się jej dotknąć złośliwość, zwracała się do Krakowa i twierdziła, że ma on pod „Baranami“ swój dwór, to i wtedy myliła się, bo Kraków dworu swojego nie miał, ale miał swoją panią Arturową, której sercem dworował, ceniąc, podziwiając i słuchając ją jak należało i to pozostanie na zawsze jego chlubą, jego dumą, jego zasługą, i cześcią, którą miał dla niej, długo jeszcze żyć może, jeżeli zechce i potrafi. Tak jest, Kraków przyznawał pani Arturowej naczelne stanowisko i miała ona tu swoich duchowych poddanych; ale panowanie i tych poddanych nie odziedziczyła, zdobyła ich sobie sercem, rozumem, cnotami, przykładem, prawdą i miłością. I niech nikt nie myśli, że przyjąwszy naczelne dowództwo, zrzekła się obowiązków prostego żołnierza. Czy trzeba było dać przykład, czy tylko spełnić dobry uczynek lub dobry czyn, ten wódz umiał stanąć w szeregu

i czynił to z równym prostocie zapalem. Mniejsza zresztą o wodza, ale któż ze współczesnych zapomniał tę sędziwą Matronę, która ze zdumieniem wszystkich, wśród zimna do lat ostatnich kwestowała po kościołach albo była zawsze obecną zabawie na rzecz Towarzystwa Dobroczyńności, lub tę przeszło ośmdziesięcioletnią panią, która niczem nie powstrzymana; spieszyła pielęgnować chorych, krewnych lub przyjaciół. To wyjątkowa istota, to z innego drzewa zrobiona kobieta, mówiono, widząc ją po tylu trudach swobodną, wesolą, nieznużoną; to było wielkie serce i wyjątkowa dusza.

Miała pani Arturowa, jakęśny ich nazwali, swoich duchowych poddanych, ale umiała ona dla swojego domu wytworzyć jeszcze coś rzeczywistszego, dziś już nie istniejącego; oto — domowników — jedną z najlepszych, byle dobrze zrozumianą była, rzeczy przeszłości. W czasach wybujałego samolubstwa, połączonego nie z szlachetną dumą, ale z chorobliwą próżnością niezależności, pani Arturowa stworzyła zastęp oddanych, wiernych, niczem niezachwianych przyjaciół — domowników — wyraźnie mówimy domowników, nie dworaków, a aby przekonać, że to byli domownicy nie dworacy, dość wymienić Chłopickiego, Romana Załuskiego, Maurycego Manna — z mniej znanych lecz zacnych: doktora Radziwińskiego i Rembowskięgo.

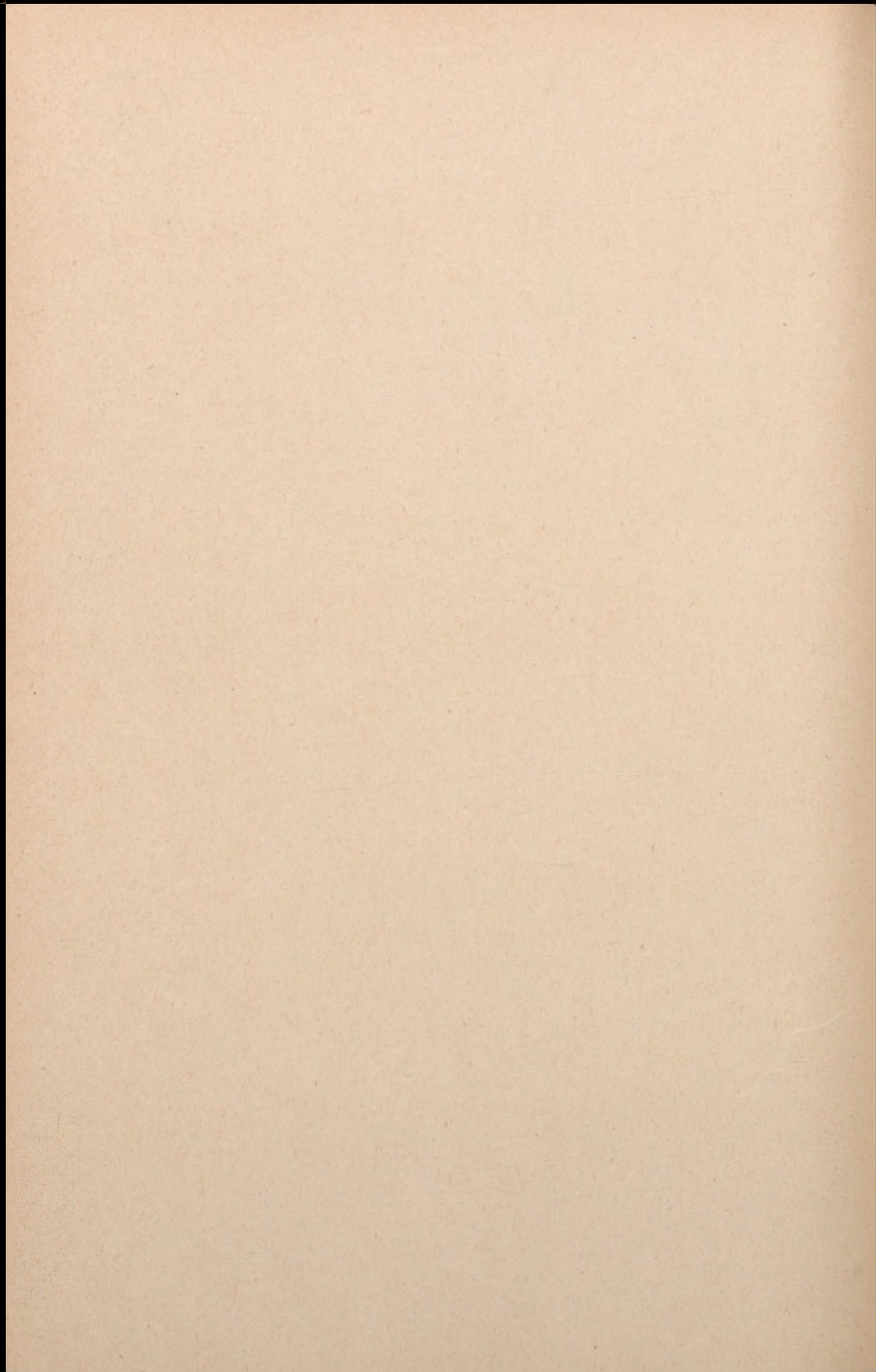
W czasach pomieszania pojęć o przywilejach i obowiązkach, zasłużonych upadków i bezrozumnego zrównania, postać pani Arturowej ma prócz drogich wspomnień dla tych, z którymi i dla których żyła, niemałe społeczne znaczenie.

Pani Arturowa trzymała w ręku wysoko wzniesiony sztandar prawdziwego możnowładztwa, bo całym swym życiem, naznaczyła właściwe mu w każdym, ale szczególnie w naszym narodzie miejsce. Wszystko bowiem co robiła, pochodziło z głębokiego przekonania,

że nie społeczeństwo dla możnowładztwa, ale ono dla społeczeństwa jest stworzonem i potrzebnem. Kiedy możnowładztwo zapomina o tej swojej najwyższej przyczynie bytu i sprzeniewierza się jej, przygotowuje sobie upadek. W naszych czasach, u nas, nadała mu ją pani Arturowa Potocka i wierną jej pozostała.



MONARCHIA HABSBUROW
i
WOJNA WSCHODNIA
1877—1878 r.



ROZDZIAŁ I.

Myśl rzucona w świat nabiera mocy przez uszykowanie się około niej spraw politycznych. — Postawienie zasady narodowości dotyczyło bezpośrednio dziedziny politycznej, tem spieszniej też dał się uczuć jej wpływ. — Cavour. — Użycie zasady narodowości przez Cavoura i przez Napoleona III. — Przeistoczenie napoleońskiej zasady narodowości. — Podwójne dla Austrii następstwa zasady narodowości, oraz jej przeistoczenia — Stąd jej położenie wobec wschodnich wypadków. — Hrabia Juliusz Andrassy ministrem spraw zagranicznych monarchii Habsburgów. — Pierwotne jego zamiary. — Zjazd dwóch cesarzy w Berlinie 1872 r., przemieniony w zjazd trzech cesarzy. — Poddanie się prądowi, aby go zwalczyć. — „On ne sert bien ses idées qu'au pouvoir surtout quand les idées recouvrent des intérêts“.

Moc rzuconej w świat myśli jest znaczną, gdy bieg wypadków i ukształtowanie się stosunków politycznych zespalają się z nią. — Zdarzało się w dziejach, że myśl podniesiona w zakresie duchowym przechodziła w dziedzinę polityczną i przekształcała państwową. — Tak się stało z mahometanizmem tak z reformacją. — Pierwszy i druga powstały w zakresie duchowym, lecz stopniowo wytworzyły dążenia, zamiary, zyski i straty polityczne, które około nich lub przeciw nim uszykowały się i przez to mahometanizm i reformacja, przeistoczyły zewnętrzne i wewnętrzne stosunki i warunki państwowe. Chrystyanizm zaś ogarnął świat bez względu na zyski i straty

pojedyncze, i przeistoczył całość zewnętrznych i wewnętrznych stosunków i warunków państwowych.

Jeżeli myśl rzucona w świat ściśle i bezpośrednio dotyczy dziedziny politycznej, tem szybciej i skuteczniej daje się w niej czuć.

Taką myślą była w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia postawiona — zasada narodowości. — Podniósł ją hrabia Cavour w dobrze określonych celach: wyswobodzenia Włoch z pod obcych i ich wpływu; zgotowania starożytnemu domowi sabaudzkiemu przewagi i panowania we Włoszech; zjednoczenia Włoch.

Cavour obdarzony był wielkim politycznym rozumem; umiał postawić doniosłe cele, zmierzać do nich stopniowo, zarówno oględnie jak śmiało; użyć do ich dopięcia właściwych środków, przedewszystkiem posługiwać się myślą ogólną, która otoczona urokiem cieszyła się powodzeniem — zasadą narodowości; wreszcie potrafił nietylko wyprzedzić, ale zużytkować spiski i wywrotowe żywioły dla obmyślanych przez niego przeistoczeń, które także stały się wywrotami.

Pierwszy cel: wyparcie obcych z Włoch znalazł w Machiavellu. Drugi: zjednoczenie, był jego pomysłem oraz wywrotowych żywiołów. Dom sabaudzki uznał za najstosowniejsze do ich urzeczywistnienia narzędzie. — Cavour był byстрыm, przenikliwym, obdarzonym wzrokiem daleko widzącym; był przewidującym; przejętym swoim zadaniem; znawcą ludzi i ich słabych stron, zarówno jak urzędzeń politycznych i społecznych, posiadał dar użycia ludzi i urzędzeń do swoich celów, skierowania ku nim zarówno szlachetnych uczuć i porywów jak żądz, zachcianek i złych namiętności; nietylko w środkach w ich użyciu nie przebierał. Zdolny zapału, posiadał dar obrachunku. Wiedząc, iż dla dopięcia celów przyjdzie mu się zmierzyć ze samowładczymi i zachowawczymi czynnikami i żywiołami, a liczyć z wywrotami i ze spiskami, aby pierwsze podkopać, osłabić i zwal-

czyć, drugie uprzędzić, zespolił zasadę narodowości, z urządzeniami na wolności obywatelskiej i politycznej opartemi, oraz z wolnomyslnością. — Zdwoił tym sposobem wdzięk i moc, odnośnie do swoich celów, zasady narodowości. O powodzenie ogólne zasady narodowości nie troszczył się, poczytywał ją tylko za dźwignię do swoich celów, których też dopięcie zapewnił. Przed ukazaniem się Bismarcka, był największym, naszych czasów, politykiem.

Cavour nie rozporządzał dostateczną potęgą, aby przez niego postawiona zasada narodowości ogarnęła świat i wywarła ogólny, rozstrzygający na bieg wypadków wpływ. Tej mocy nabrała dopiero, gdy uznał ją za swoją, naczelnik wielkiego, silnego, mającego znaczne środki państwa, cesarz Francuzów, Napoleon III. Wtedy nabrała znaczenia wszechświatowego i wpłynęła na państwowe ukształtowania. Odtąd przyszło się z nią liczyć w polityce i historii.

Zaszła rzecz godna uwagi i zastanowienia. Podczas gdy zasada narodowości zastosowana przez Cavoura do określonych celów, przyniosła same korzyści i powodzenia jego polityce oraz spełniła zadanie, które wyznaczył jej był; ta sama zasada narodowości, postawiona przez Napoleona III, jako ogólna, bez dobrze i dokładnie określonego celu, same mu zgotowała zawody, straty, klęski i wreszcie upadek; obróciła się przeciw niemu, zamierzonym przez niego dziełom i przeistoczyła się w skuteczne jego przeciwników i wrogów narzędzie. Nie przestała jednak wywierać swojego wpływu. Świadczy to, że polityka jest sztuką określonych celów; tak dalece, że w niej wszelka myśl czy zasada zbawienna jest dla jej twórców, wtedy tylko, gdy prowadzi do ich dopięcia, inaczej zaś nie tylko bezużyteczną ale i zgubną się staje dla nich. Przeistoczenie zasady narodowości postawionej przez Napoleona III polegało na tem głównie, iż zamiast posłużyć do zwiększenia potęgi, wzmo-

cnienia wpływu Francyi i rozpowszechnienia jej myśli, obróciła się przeciw niej, uszczupliła jej potęgę, ograniczyła jej wpływ, osłabiła moc jej myśli. Skoro Francya i stojący na jej czele Napoleon III, wywiesiwszy zasadę narodowości, nie zdołali jej przeprowadzić i zastosować z własną korzyścią, zwróciła się ona przeciw Francyi i Napoleonowi i przeciw Polakom, którzy ją powitali byli, jako zorzę sprawiedliwości i zbawienia, w poczuciu łączności z pierwszą i drugim. Francya opierała znaczną część swojego wpływu na współczuciu i opiece użytej słabym i zgnębnym; Napoleon III określił był ten wpływ, oświadczając uroczyście, „że korzyść Francyi jest wszędzie, gdzie się znajdują sprawy słuszne”. Napoleońska zasada narodowości i z niej powstała polityka, przelamała się na sprawie polskiej, jej tam niepowodzenie i przegrana, rozstrzygnęły o jej losach. Odtąd stała się zasada narodowości zamiast środkiem oswobodzenia zgnębnionych i słabych, bronią w rękach silnych i wzmagających się nieprzyjaciół Francyi, w rękach tych, których potęgę ograniczyć miała. Broń wypadła z dłoni zwyciężonych, zwycięzcy pochwycili i nierównie umiejętniej użyli jej. Polityka narodowości przeistoczyła się z zasady oswobodzenia w narzędzie panowania pozbawionego tego, co przedstawiał wpływ Francyi i myśl francuska, bo bez uwzględnienia słusznych spraw. Napoleon III wywijał bronią narodowości, ale nie wiedział jak jej użyć. Inni potrafili.

Pod zasłoną przeistoczonej w ten sposób zasady narodowości, wzrósł dom sabaudzki i zjednoczył Włochy, deprecując poważne prawa, pomiatając uczuciami duchowemi całego świata katolickiego, krzywdząc papieństwo; pod jej godłem Prusy pokonały Danię i Austryę, zadały cios Francyi, zszeregowały Niemców pod swoją przewagą; w jej imieniu rozpoczęto dzieło tępienia polskości; w jej następstwie nareszcie i pod jej hasłem po-

ruszyła Rosya sprawę słowiańską i rozpoczęła w 1877 r. wojnę wschodnią.

Wypadki wschodnie były następstwem rzuconej myśli narodowości podniesionej przez Napoleona III, przeistoczonej w skutku złudzeń i błędów jednych, zręczności powodzeń i zwycięstw drugich.

Jednym z bezpośrednich następstw postawienia zasady narodowości, było zewnętrzne i wewnętrzne położenie Austrii w przededniu wojny wschodniej. Zasada narodowości stwierdziła się czynnie i zwycięsko najpierw zwracając się przeciw Austrii w wojnie włoskiej 1859 r. Przeistoczona, znowu zwycięsko uderzyła na Austryę, w wojnie Prus przeciw niej w 1866 roku. Jednocześnie Austrya stała się niemal jedyną przystanią dla różnych narodowości, ich schronieniem, opieką dla nich, dla „spraw słusznych“, jedynem państwem, w którym Polacy nie tylko nie byli prześladowani, ale używali swoich narodowych praw. Bezpośrednio zagrażała Austrii z dwóch, nawet z trzech stron, przeistoczona zasada narodowości. Położenie geograficzne Austrii, niemożność prędkiego porozumienia się przeciw niej sąsiadów; oględne i roztropne postępowanie Monarchy, dynastyi, kierujących mężów stanu, zasłoniły ją przed powstałemi stąd niebezpieczeństwami. Żyła więc monarchia Habsburgów wśród nich z dnia na dzień, bez myśli sięgającej w przyszłość z tęsknotą za przeszłością; z przedawnionemi ale zakorzenionemi tradycyami, z przeważającemi takowe nowemi zadaniami i dążnościami narodów, wchodzących w skład państwa, które wewnątrz jego dopiero co uczuły się były wyzwolonemi. Różnorodność też części składowych monarchii, powołanych do wywierania wpływu na jej politykę, stała się ważnym czynnikiem w wypadkach wschodnich.

To położenie monarchii Habsburgów stworzyło trójcesarski związek, który dał początek sprawie wschodniej, zakończonej traktatem berlińskim.

Od objęcia w monarchii Habsburgów steru spraw zewnętrznych, w listopadzie 1871 r., przez hrabiego Juliusza Andrassego, nie ulegało wątpliwości, że usiłować on będzie doprowadzić do skutku, przymierze jej z cesarstwem niemieckiem. Nikt też nie zdziwił się; zwolennicy zaś nowego ministra winszowali mu prędkiego i łatwego powodzenia, kiedy zapowiedziano na lato 1872 r., zjazd w Berlinie cesarza Franciszka Józefa z cesarzem Wilhelmem. Lecz przerażenie jednych, zdziwienie drugich, osłupienie wszystkich, były wielkimi, gdy dowiedziano się, że w czterdziestu ośmiu godzinach, zjazd dwóch monarchów przeistoczył się w spotkanie trzech władców północnych i że cesarz Aleksander II przybędzie także do Berlina. Zdawać się mogło, że zwycięstwo hr. Andrassego przemieniło się w porażkę i że ustąpi.

Odtąd, o ile sądzić możemy, zaczyna się sprawa wschodnia. Nad tem co poprzedziło tę ważną chwilę, należy się zastanowić.

Hr. Andrassy obejmując ster spraw zewnętrznych miał niewątpliwie poczucie, że po pogromie Francji, przy zubożeniu i jak powiedziano zatyciu się Angli; w skutku zwycięskiej polityki przeistoczonej zasady narodowości, powstanie sprawa wschodnia, jako rosyjsko-europejska i że rozegra się między trzema północnymi sąsiadami. Z pochodzenia węgierskiego, z tradycyi i przeszłości, wreszcie z istotnego przekonania austryjacko-węgierskiego, rozumnego męża stanu, hr. Andrassy musiał pragnąć i zmierzać do rozwiązania przeciw, nie na korzyść Rosyi. W tym celu starać się musiał o przymierze z Niemcami. Doprowadzenie zatem do skutku zjazdu dwóch cesarzów, z wykluczeniem władcy Rosyi, pomimo wstrętu cesarza Wilhelma do tego wykluczenia, byłoby mistrzostwem czy szczęściem nie lada. O polityce i zamiarach hr. Andrassego wobec zadania wschodniego nie mogło być wątpliwości. Odkryło je, złośliwe ogłoszenie depesz ambasadora tureckiego w Wiedniu,

Chalila-beja, do wielkiego wezyra Alego-baszy. Dowiedziano się z nich, że hr. Andrassy po 1870 r. jako prezes gabinetu węgierskiego, układał wraz z ambasadorem tureckim wojnę przeciw Rosyi, opierając się o Niemcy; że chciał podnieść sprawę polską, za jej pomocą odepchnąć Rosyę od Wschodu europejskiego i zabezpieczyć dalsze istnienie i byt Turcyi. Wtedy, kiedy hr. Andrassy czynił ambasadorowi tureckiemu te poufne zwierzenia, kierującego ministra jednej części monarchii, zajmował się on przeważnie sprawami wojskowemi, dla których miał zawsze słabość, czy też nieszczęśliwą miłość, tak iż nad inne szaty przenosił mundur honwedów, otaczał się w swej pracowni kartami geograficznymi i nieraz słyseć można było z ust jego zdanie: „Wydatki na wojsko to rzecz główna, Polacy przed innemi o nie winni być dbali, gdyż za dwa, najdalej trzy lata wielka wojna o wszystkim rozstrzygnie“. Tak mówił hr. Andrassy, prezes gabinetu węgierskiego, a dowiedziano się, że hr. Andrassy, minister spraw zewnętrznych austriacko-węgierski, ułożył natychmiast zjazd monarchów austriackiego i niemieckiego w Berlinie. Dla cesarza Franciszka Józefa ofiara ze szlachetnej dumy i miłości własnej, z głębokich i łatwych do zrozumienia uczuć, była wielką. Znana obowiązkowość Monarchy, poświęcenie dla dobra państwa, poddanie mu osobistych skłonności, przekonywujące rozumowanie młodego, a jak go zwali rodacy, genialnego ministra, zdawało się, że przeważą szalę, i podróż do Berlina, została postanowioną. Było to jednak złudzenie optyczne. Chociażby zjazd dwóch monarchów nie przemienił się był w spotkanie trzech cesarzy, nie byłby on wymierzonym przeciw Rosyi, albowiem nie odpowiadało to zamiarom ks. Bismarcka, który już podczas wojny niemiecko-francuskiej powziął był myśl trójcesarskiego związku. Dbając przedewszystkiem o ścisłe z monarchią Habsburgów stosunki, zgadzał się on na zjazd dwóch cesarzy, aby umo-

nić je i obudzić zaufanie hr. Andrassego, ale chciał go we własnym nie zaś tamtego zamiarze zużytkować. Nie zaś nie mogło być dla niego bardziej pożądanem, jak żeby kto inny podjął się zmiany zjazdu dwóch, na zjazd trzech cesarzy. Pod nią bowiem ukrywał się wprost przeciwny pierwotnym dążnościom hr. Andrassego, pomysł polityczny, który był pomysłem ks. Bismarcka, trój-cesarski związek; co wywarło znaczny wpływ na zachowanie się monarchii Habsburgów i na bieg wypadków, wreszcie wywołało prądy, z którymi hr. Andrassy przez cały przebieg wschodnich zawikłań liczyć się musiał.

Jednym dowodem więcej, że szczęście sprzyjało ks. Bismarckowi, jest, iż wtedy, gdy świat mniemał, że odbędzie się w Berlinie zjazd dwóch cesarzy a na *Ballplatzu* obliczano z upodobaniem jego następstwa; w *Burgu* podobno powstała myśl zmienienia go na spotkanie trzech sąsiednich władców. Nie posiadamy w tej mierze pewnych, dokładnych, na niezbitych świadectwach opartych danych. Wiemy tylko, iż rozpowszechnionem było zdanie, iż cesarz Franciszek Józef zwrócił się wprost do cesarza Aleksandra II, bawiącego w *Carским Siole* z życzeniem, aby przybył do Berlina.

Mógł pragnąć, aby udziałem w zjeździe i obecnością złagodził łatwą do zrozumienia przykrość, jaką sprawić mu musiał pierwszy pobyt w stolicy cesarstwa niemieckiego, po znanych wypadkach, zmianach i zdradach i przy świeżych ich jeszcze wspomnieniach. Cesarz Aleksander zaś nie mógł pozostać głuchym na serdeczne wezwanie, tem więcej, że wiadomość o zjeździe dwóch tylko cesarzy, niemiłe w Rosyi sprawiła była wrażenie i że w Europie wzięto ją za oznakę jej odosobnienia.

Tak zatem prawdopodobnem jest, że inni postarali się o urzeczywistnienie zamiaru ks. Bismarcka ku wielkiemu niewątpliwie zadowoleniu cesarza Wilhelma a bez urazy hr. Andrassego do kanclerza niemieckiego.

Zjazdowi trzech cesarzy teraz już nikt przeszkodzić nie mógł, najmniej hr. Andrassy. Mógł on tylko ustąpić. Mówiono o tem przez kilkanaście godzin. Hr. Andrassy pozostał przy kierownictwie spraw zewnętrznych Austro-Węgier i udał się do Berlina na spotkanie nie dwóch ale trzech cesarzy. Po dwudziestu czterech godzinach począł ten zjazd uchodzić za dzieło hr. Andrassego.

Ustąpienie jego w owej chwili byłoby było przede wszystkim przegraną Węgier i przyznaniem się do niej; byłoby pozostawiło wolne zupełnie pole kierownikowi i polityce, które z taką szybkością zamieniły zjazd dwóch, na zjazd trzech cesarzów. Mógł zatem hr. Andrassy sądzić, iż korzystniej będzie tak dla Węgier, jak dla własnej myśli, pozostać na miejscu; płynąc z prądem, lecz nie opuszczać steru, aby we właściwej chwili skierować, pomimo prądu, statek w pierwotny, teraz zwichmięty kierunek.

To pewna, że odtąd zaczęła się trudna a zręcznie prowadzona polityka, którą nazwać można, hr. Andrassego, która z zewnętrznymi i wewnętrznymi czynnikami nie tylko liczyć, ale czasem i walczyć musiała. Nieraz ciche i głuche zapasy polegały na poddawaniu się przeciwnemu prądowi, aby ominąć i nie dobijać do brzegu i przystani, ku którym on pchał.

Hr. Andrassy pozostał przy sterze dla przeszkodzenia wynikom polityki, którą zdawał się prowadzić; potakiwał przeciwnemu zdaniu dla uniknięcia zakończenia, sprzecznego z jego własną myślą. Zadanie było trudnem, nawet niebezpiecznem. Trzeba było wielkiej zręczności lub wielkiego szczęścia, aby mu sprostać; najczęściej bowiem sternik, który poddaje się prądowi, aby go zwalczyć, porwanym bywa przez niego, czy w działaniu politycznem, czy wśród wywrotowych wstrząśnień.

Ale hr. Andrassy powodował się zapewne zdaniem francuskiego męża stanu: *On ne sert bien ses idées qu'au pouvoir, surtout quand les idées recourent des intérêts*¹⁾.

ROZDZIAŁ II.

Uczucia w polityce. — Polityka nie jest rzeczą doskonałą, bo prowadzą ją niedoskonaloni ludzie. — Trzeba czasu, aby uczucia się zatarły. — W 1872 r. uczucia, wspomnienia i żale miały jeszcze znaczenie i przedstawiciele w monarchii Habsburgów. — Jako przyjazd Aleksandra II do Berlina, łagodził przykrość dla Franciszka Józefa pobytu tamże. — Tam przypuszczamy, że zawiązuje się, podniesienie sprawy wschodniej. — Rosya chcąc podnieść sprawę wschodnią, pragnęła współdziałania lub jednoczesnego działania monarchii Habsburgów, gdyż obawiała się jej, jako przeciwnika, bynajmniej jako współnika. — Położenie monarchii Habsburgów. — Rozumowanie pierwotne hr. Andrassego i rzeczywistość. — Godzi się z rzeczywistością, ale chce pierwotną myśl ocalić.

Kto w polityce tylko uczuciami się kieruje ten błądzi; lecz kto mniema, że w niej ludzie powodują się tylko wyrachowaniem i zapomina o ich uczuciach i namiętnościach, ten większy jeszcze popełnia błąd, albowiem wyobraża sobie, że polityka jest rzeczą oderwaną, nie pamięta, że jest wykonywaną przez ludzi, mających uczucia i namiętności. Przypuszczać, że w polityce względ na korzyść zawsze przeważa, jest to idealizować ją. Polityka już dlatego nie jest doskonałą, że ją prowadzą niedoskonaloni ludzie. Są uczucia głęboko zakorzenione, wyssane z mlekiem, silne, które nieraz sprawiają, iż zapomina się nie tylko o obowiązkach, ale nawet o korzyściach. Uczucia takie, gdy boleśnie dotkniętymi zo-

¹⁾ Służą się dobrze swoim myślom tylko u władzy, zwłaszcza gdy myśli pokrywają korzyści.

stały a długo są tłumione, wyrażają złudzenia i wtedy uważa się nieraz za możebne, czego się pragnie. Były położenia tak przykre, że w nich traciło się zmysł zachowawczy i zdolność rozpoznania drogi wyjścia.

Jak wszystko, tak i podobne uczucia osłabiają i zacierają dopiero czas i dalsze zawody. Wyzuwa się z nich człowiek zwykle wtedy, kiedy na wszystko zobojętnieje.

Rana zadana Austrii pod Sadową, acz zagojona pozornie, boleśnie czuć się jeszcze dawała w 1872 roku. Osoba obeznana z uczuciami i wyobrażeniami dworu wiedeńskiego, mówiła nam wtedy, „Węgrzy i Polacy mogą obojętnie przyjąć następstwa Sadowy, nawet polepszyła ona znacznie ich byt w monarchii. Ale Habsburgom i nam odwiecznym Habsburgów sługom, powiedzieć, że już nigdy nie powrócimy do znaczenia w Niemczech i chcieć, abyśmy to za dobre poczytali, w to uwierzyli, byłoby chcieć niepodobieństwa i przypuszczać, że istota ludzka w inną, nie ludzką, zdolną jest przeistoczyć się“.

Uczucia i żal z powodu utraconego w Niemczech stanowiska, acz tajone, miały wtedy znaczenie i przedstawiciele w Austrii. Były tłumione, hamowane przez obowiązek i względy polityczne, ale wpływały na zachowanie się i postępowanie. One z zadowoleniem widziały zjazd berliński dwóch cesarzy, zamieniony na spotkanie trzech monarchów i z nimi liczyć się musiał hr. Andrassy.

Przybycie cesarza Aleksandra II do Berlina, jednocześnie z cesarzem Franciszkiem Józefem, nie było odwetem za Sadowę, ale łagodziło przykrą dla monarchy austriackiego konieczność udania się do stolicy nowego cesarstwa niemieckiego. Budziło ono może zarazem nadzieję innego, prócz niemieckiego przymierza. Cesarz Franciszek Józef nigdy zresztą nie chciał zupełnego zerwania stosunków z Rosyją. A tak trójcesarskiemu zwią-

zkowi dały początek nie tylko względy i widoki polityczne, także uczucia i bolesne wspomnienia.

Cesarz Aleksander nie mógł i nie chciał ludzi możliwością odrobienia niedawnych wypadków i bliskiej przeszłości, ale mógł wskazać i otworzyć nową dla Austrii przyszłość i to bezpośrednio na Wschodzie, tem skwapliwiej, że Rosya żywiła żądze podniesienia sprawy wschodniej i że ona w skutku długiej i wytrwałej jej pracy i roboty dojrzała. Cesarz Aleksander przedstawić mógł, że na Wschodzie otwiera się dla Rosyi i monarchii Habsburgów wspólna przyszłość; że tam pierwsza znajdzie zrównoważenie wzrostu Prus i jedności niemieckiej, Austro-Węgry wynagrodzenie za poniesione straty i wydarty wpływ.

Zamiar dawno pielęgnowany przez politykę rosyjską, przygotowany przez stowarzyszenia panslawistyczne, przedstawiony przez cesarza rosyjskiego pod ułudnymi widokami bezpośrednich a łatwych dla monarchii Habsburgów korzyści, mógł być skwapliwie pochwyconym i z dobrą wiarą przyjętym. Prócz bezpośrednich zysków, zabłysnąć mogła nadzieja trwałego, rzeczywistego, we wspólnych celach przymierza monarchii Habsburgów z Rosyją, uwalniającego pierwszą od wyłącznego z Niemcami sojuszu; może kiedyś naprawiającego krzywdy, kładącego koniec nieznośnej i duszącej przewadze, odtwarzającego w ten lub ów sposób utęsknioną przeszłość. Rzecz rozpoczęta pod okiem krzywdziciela, tem większy mieć mogła urok. Być może, iż ze strony rosyjskiej nie powiedziano nic takiego, coby te nadzieje choćby tylko odgadnięte, ostudzić lub rozwiać mogło. Szło bowiem głównie o rozpoczęcie dzieła i zażegnanie przeciwnika, pozyskując współnika.

Zjazd berliński w 1872 r. i rozmowy na nim cesarzów austriackiego i rosyjskiego, prawdopodobnie stały się zawiązkiem sprawy wschodniej, chociaż nie dotknięto się szczegółów.

Odtąd też przyszło hr. Andrassemu liczyć się z prądem, który pchał Austro-Węgry do przymierza i współdziałania z Rosyą i odtąd, aby te dwie ostateczności zazegnać, przyszło mu nieraz poddawać się temu prądowi na to, aby kierując nim zwalczać go.

Widocznem było, szczególnie od chwili jak kanclerz książę Gorczakow, korzystając z wypadków 1870 r. jednym pociągnięciem pióra zmasał główny warunek traktatu paryskiego, zabraniający Rosyi posiadania wojennej floty na Morzu Czarnem a konferencya londyńska uprawniała w 1871 r. ten zamach, że polityka rosyjska czekała jedynie na sposobną chwilę, aby nie tylko przekreślić ów traktat, ale nowe zdobyć na Wschodzie korzyści. Wszystko po temu przygotowanem było wewnątrz Turcyi za pomocą umiejętnego wicherzenia, urządzonego przez słynnego rosyjskiego w Konstantynopolu ambasadora, generała Ignatiewa. Uśmiechać się mogło dyplomacyi rosyjskiej, aby nie ona, lecz kto inny rozpoczął rzecz; lecz przedewszystkiem pragnęła Rosya pozyskać monarchię Habsburgów dla wielkiego dzieła, gdyż obawiała się jej jako przeciwnika, bynajmniej jako współnika.

Położenie monarchii Habsburgów po Sadowie i Sądanie było nadzwyczaj trudnem, pełnem niebezpieczeństw. Znalazła się bez sprzymierzeńców, między dwoma potężnymi sąsiadami i trzecim świeżo powstałym, gorzej, bo między trzema dla jej części składowych magnesami, zawieszona jak trumna Mahometa. Chcąc istnieć, nie mogła zrywać z jednym potężnym sąsiadem nie zapewniwszy sobie drugiego. Musiała zatem żyć w równej niemal zgodzie z obydwoima, wystrzegając się tak samo złych, jak zbyt dobrych z każdym z nich stosunków. Wcześniej czy później znaleźć się przecież mogła w konieczności wyboru trudnego, bo niebezpiecznego lub przykrego. Przy wyborze mogły zaważyć nie same korzyści, także uczucia i wspomnienia.

Jednak dla męża stanu, mianowicie dla hr. Andrassego rozumowanie zdawało się być prostem. Skoro monarchia Habsburgów nie mogła się zmierzyć z dwoma sąsiadami, z dwoma wrogami, należało dążyć do pozbycia się jednego, zapewniając sobie w tym celu pomoc drugiego. Tym drugim nie mógł być kto inny jak cesarstwo niemieckie, raz, że było z dwóch najsilniejszym, powtórę, że wtedy nie było możliwem rozbić i zgnieść je nawet połączonemi siłami Austro-Węgier i Rosyi, przy zupełnej niemocy Francyi; wreszcie sprawie, którą przedstawiał hr. Andrassy, bezpieczeństwu i widokom Węgier, odpowiadało odepchnięcie Rosyi, nie zaś złamanie potęgi cesarstwa niemieckiego; to odepchnięcie nie to złamanie, mogło dla monarchii Habsburgów nową otworzyć przyszłość.

Takie rozumowanie pociągało za sobą nietylko wyrzucie się z nadziei co do odtworzenia przeszłości, ale także zapewne częściową ofiarę z pozostałej teraźniejszości, bo niewątpliwie Niemcy, gdyby kiedykolwiek zgodziły się były z tym pomysłem, byłyby się odezwały do Austro-Węgier słowy Falstafa: „a cóż to, czy wy myślicie, że ja darmo zaprzepaszczać dla was będę moją duszę i moją dobrą sławę?“

Otóż w 1872 r. ani czas, ani rozczarowania, ani znużenie, ani wiek nie były jeszcze osłabiły i zatarły uczuć, wspomnień i żalu na dworze wiedeńskim, tak, iż osoba wyżej już wzmiankowana mogła powiedzieć o wyłącznym i ścisłym sojuszu monarchii z cesarstwem niemieckiem, słowa, którym przyszłość, jak w tylu wypadkach, tak i w tym, kłam zadać miała: „Nigdy, a kiedykolwiek dziesięć dni przepędził w *Burgu*, ten powtórzy za mną — nigdy“.

Zresztą rozumowanie powyższe, acz zdawało się być prostem, grzeszyło założeniem; albowiem nie odpowiadało ani widokom, ani zamiarom, ani woli ks. Bismarcka. Ten nie myślał wcale o sojuszu Austro-Węgier z cesar-

stwem niemieckiem przeciw Rosyi, ten chciał trójcesarskim związkiem zapewnić byt swojego dzieła.

Zjazd w Berlinie trzech cesarzy w 1872 r. był zatem podwójnem zaprzeczeniem pierwotnej myśli hr. Andrassego i podwójnie przekonać go musiał, iż przynajmniej na razie wykonalną nie była.

Wobec tego, albo musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska, albo zgodzić się na politykę, która przez podniesienie sprawy wschodniej zapewnić miała zysk monarchii Habsburgów.

Nie ustępując pozostając, miał za zadanie oszczędzić jej strat i zdobyć korzyści, bez zawierania sojuszu z Rosyą, bez współdziałania z nią, nie dopuszczając przewagi tej ostatniej oraz nie pozbawiać się w przyszłości możności, powrócenia do pierwotnej swojej myśli.

Miał wreszcie do walczenia wewnątrz z przeciwnym prądem.

ROZDZIAŁ III.

„Człowiek mniema, iż zabezpieczyć może to, co posiada nowymi nabytkami“. — Nabytki wartościowe i nabytki bez wartości lub niebezpieczne. — Jako polityka monarchii Habsburgów nigdy nie zmierzała do dalszych nabytków ziem polskich. — Korzyści takich nabytków i zażegnane niebezpieczeństwa. — Monarchia Habsburgów miała zwróconą pożądlivość w inną niż ziem polskich stronę. — Jako myśl pozyskania Bośni i Hercegowiny była dawną. — Powody. — W wypadkach wschodnich monarcha, dwór i stronnictwo wojskowe widzą tylko sposobność nabycia Bośni i Hercegowiny. — Inne innych w tej mierze zdanie. — Ztąd dwa prądy.

Myśl szukania na Wschodzie wynagrodzenia terytorjalnego za utratę włoskich krajów, za pomocą jednoczesnego z Rosją działania, uśmiechała się cesarzowi Franciszkowi Józefowi, dworowi wiedeńskiemu, kołom wojskowym; odpowiadała życzeniu dawniej już powstałemu.

Państwo, które chce zachować w świecie nabyte stanowisko, nie może pozostawić klęski bez odwetu; straty ziem bez odpowiedniego wynagrodzenia. Dążenie zatem monarchii Habsburgów do zrównoważenia nowymi nabytkami, odstąpionych krajów włoskich i odzyskania znaczenia, które straciła była przez wyparcie jej z Niemiec, było uprawnionem i niezbędnem. Szło jedynie o to, aby to dążenie zwróciło się we właściwy, w danych warunkach najkorzystniejszy kierunek, tak, aby o ile się da, uskutecznić istotne zrównoważenie strat

terytoryalnych i znaczenia bez stworzenia nowych niebezpieczeństw. Stąd dążenie obejmować musiało całość położenia i wszystkie następstwa, nie zaś jeden tylko szczegół, ekwiwalent terytoryalny. Polityka zaś, która wobec rozpoczynającej się sprawy wschodniej uśmiechała się dworowi wiedeńskiemu i odpowiadała jego życzeniu, polegała na zasadzie domu Habsburgów, iż monarcha winien następcy pozostawić nie mniej mil kwadratowych i pułków, jak ich odziedziczył, bez względu na ich istotną, państwową wartość. — Były to różnice kierunków, które od początku istniały i w ciągu wypadków ścierały się ze sobą. Nie mogło być wątpliwości, ani dwóch zdań, o konieczności dla monarchii Habsburgów odzyskania stanowiska i zastąpienia nowymi nabytkami, ubytków terytoryalnych; ale rozstrzygającym było, gdzie szukać miała pierwszego i drugiego, już nietylko jako odwetu, ale wedle słów Machiavella, dlatego, że „człowiek mniema, iż zabezpieczyć sobie może to co posiada, nowymi nabytkami“.

Wśród zawikłań i znacznych zmian posiadania, polityka monarchii Habsburgów, tak samo przed, jak po klęskach, które dotknęły ją w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, nie pomyślała nigdy, na prawdę, o zabezpieczeniu tego, co miała, lub tego, co jej pozostało, skutecznie i trwale nowymi nabytkami ziem polskich.

Były w Austrii bystre umysły, które uznawały ważność dla niej żywiołu polskiego i sprawy polskiej; lecz przedstawiała się ona im zawsze w źle określonych zarysach; to jako uczuciowe, tem gorętsze, że dalekie pragnienie jakiegoś mglistego odbudowania Polski, któreby dozwoliło Austrii, naprawić błąd i krzywdę, popełnione przy rozbiorze; to znowu, jako obowiązek czuwania, aby żywioł polski nie został całkiem zniestwiony, czego wyrazem było zachowanie się gabinetu wiedeńskiego na kongresie wiedeńskim i raczej zasadnicza

niż czynami stwierdzona polityka ks. Metternicha wobec zadań i wypadków polskich; to nareszcie jako broń w stosunkach acz ścisłych, przecież nie zawsze serdecznych z Rosyą, jako pożądaný środek wywołania dla sąsiada kłopotów, co się objawiało zadowoleniem Wiednia, na wiadomość polskich powodzeń w 1831 r.; lub kierowało, ze szkodą Polaków, postępowaniem rządu austriackiego w 1863 r. i nakłoniło go do wręczenia 17 kwietnia w Petersburgu błahej noty hr. Rechberga z 12 kwietnia, zaznaczającej przecież wmięszanie się w podniesioną powstaniem, sprawę polską.

Ale nie było nigdy polityki austriackiej, zmierzającej do powiększenia monarchii, ziemiami polskimi. Austria przypuszczała raczej odstąpienie swoich posiadłości polskich za wynagrodzeniem, niż powiększenie ich kosztem lepiej w tej mierze wyposażonych sąsiadów; raczej przygotowywała się i godziła z koniecznością w przyszłości, oddania ziem polskich, niż pomyślała kiedykolwiek lub zamarzyła o rozszerzeniu z tej strony swoich granic; łatwiej jej przychodziło przypuścić, iż wypuści z rąk kraje polskie, niż powziąć myśl z bogacenia się i zabezpieczenia nowemi. Pod tym względem Austria miała tylko jedną tradycyę, sprzeczną z czynami lzy Maryi Teresy i słowa tej wielkiej monarchini, „o tym niecnym a tak nierównym podziale“. Ta tradycya wytworzyła chorobliwą dążność pozbycia się, w razie danym, za wynagrodzeniem, przywłaszczonej części Polski, nie zaś, dalej sięgającą politykę, wzmocnienia się z tej strony; tradycya ta zatem dała początek uczuciowości opartej na spóźnionych wyrzutach sumienia, mdłej tęsknocie za naprawą błędu i krzywdy, zamiast państwowemu, ochronnemu i zyskownemu postępowaniu. Obojętność i brak żądz, niemal wstręt do nabytków w Polsce, nieraz znamionowały politykę austriacką. Cesarz Mikołaj I użyć musiał groźby zabrania Krakowa

w 1846 r., aby nakłonić ks. Metternicha do zajęcia wolnego miasta.

Niejedną chwilę korzystną, niejedną sposobność zwiększenia się polskimi ziemiami opuściła Austria. Nie chciała jej pochwycić w 1854 r. i podczas wojny krymskiej. Największa względnie łatwość przedstawiała się w 1863 r. Wtedy prócz kilku wyjątkowych w monarchii umysłów, które były w stanie zrozumieć myśl żywioną i pielęgnowaną przez męża tej miary co Adam Potocki, rozwiniętą przez znakomitego i zasłużonego patriotę polskiego, Cegielskiego, obywatela W. Ks. Poznańskiego, w rozprawie wydanej po polsku i francusku w Brukselli, podczas wypadków 1863 r.; nikt nie pomyślał w rządzie na prawdę i z wiarą o odwiecie w Polsce, o wzmocnieniu państwa nabytkami w tej stronie, nikt nie umiał i nie zapragnął wytworzyć polskiej polityki Austrii, mającej na celu nabytki polskie i skorzystanie z wypadków, aby nimi zgotować monarchii Habsburgów i Habsburgom nowe dni chwały i bezpieczeństwa. W roku 1863 przed wzrostem Prus, przed dokończeniem ich wojskowego przekształcenia, kiedy można było zapewnić sobie współudział Francyi, przeciw dwom niebezpiecznym sąsiadom, przedsięwzięcie mogło się powieść. Nie zostało podjętem, bo nie poczęła go ani myśl ani serce, bo ten kierunek polityczny nie miał związku z przeszłością i trzeba było dopiero go stworzyć samorodnie, może genialnie, śmiałem początkowaniem, czerpiącym moc w rozumie politycznym nie zaś w wychowaniu, przyzwyczajeniach, historii i tradycyi. Kierunek ten był właśnie przeciwnym skłonnościom, uczuciom, wychowaniu i przeszłości, bo wyżej przytoczone słowa Maryi-Teresy i jej lzy były jedyną w sprawie polskiej tradycją austryacką, jałową jak dobre chęci, bezużyteczną, jak żal niewczesny, co się tyczy „niecnego“ podziału, bezmyślną i bezsilną co się tyczy „tak nierównego“.

W 1863 r. nabytki polskie przedstawiały się mężom kierującym losami monarchii mylnie; albowiem zamiast widzieć w nich środek wzmocnienia się wobec Rosyi i Prus, upatrywali w nich niebezpieczeństwo dla stanowiska Austrii w Niemczech, gdzie już zaczął być działać groźnie, wzrastający w siły przeciwnik — dom Hohenzollernów. Nabytki polskie z drugiej strony, spowodować musiały zerwanie z dawnym na gruncie zachowawczym sprzymierzeńcem, z Rosyą, a tu bezpośrednio obawy górowały w oczach kierujących mężów nad dalszemi niebezpieczeństwami.

Austria zatem odwróciła się od Polski, zwróciła w stronę Niemiec; wojska cesarsko-królewskie nie wkroczyły do *Królestwa Polskiego*, gdzie naród polski poniósł straszną klęskę; cesarz Franciszek Józef pospieszył do Frankfurtu, na zjazd książąt niemieckich przez Niego zwołany, na którym polityka austriacka spotkała się z zawodem i przygotowała monarchii srogą klęskę.

Sprawa polska nie straciła była wobec dynastji znamienia wywrotowego, tem samem nie przestała była wzniecać uprzedzeń i podejrzeń, to znowu sumiennosci. Nie obudzało jej użycie sprawy polskiej dla przysporzenia kłopotów i trudności zaprzyjaźnionemu sąsiadowi, ale skrupuły powstawały, gdy szło o powiększenie się jego kosztem, polskimi ziemiami. Kiedy w 1863 r. ks. Leon Sapieha przedstawił zysk i konieczność dla Austrii skorzystania z wypadków dla posunięcia granicy polskiej dzielnicy, monarcha mówiąc o tem z trzecią osobą rzekł: „Jak można żądać od Habsburga, aby poszedł w ślady Wiktora Emanuela“.

Sprawa polska zatem nie przedstawiała dla polityki austriackiej ilości dodatniej, mogącej przynieść monarchii, bezpośrednio, namacalne korzyści, powiększyć ją kwadratowemi milami i zwiększyć liczbę jej pułków. Raczej przedstawiała ona ilość ujemną, na którą, pomimo jej znaczenia politycznego, zapatrywano się w chwi-

lach historycznych wyrzutów sumienia, jako na grzech, który należałoby kiedyś zmazać, zwróceniem tego, co się zabrało, zwłaszcza, gdyby się znalazło odpowiednie wynagrodzenie.

Tem dziwniejszem i tem więcej pożałowania godnem było to dziejowe zjawisko, że rozbiór Polski i sposób niekorzystny dla Austrii w jaki dokonany został, wskazywały dla niej przy niepodobieństwie przynajmniej wielkiej trudności odrobienia przeszłości, potrzebę wytworzenia sobie na tym gruncie przyszłości, przywrócenia równowagi sił zwichniętej z jej szkodą podziałem nierównym nie tylko terytoryalnie, przedewszystkiem politycznie. Rozbiór Polski, zdaniem Austrii i jej władców był dla niej krzywdą, co niejednokrotnie stwierdziły późniejsze dzieje; rozwój wypadków nieraz podawał sposobność odwetu w tym kierunku, nie chciano czy nie umiano z niej skorzystać, chociaż im bardziej monarchia Habsburgów oddalała się od okresu rozbiorowego, tem szybciej rosły dla niej powody zwrócenia w tę stronę troskliwej uwagi, skierowania w nią zamiarów, nawet żądź.

Wypadki drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, które stworzyły położenie, w jakim znajdowała się monarchia Habsburgów w chwili rozpoczęcia się zakłóceń wschodnich, o których mowa, spotęgowały były powody i przyczyny, dla których należało jej zwrócić się w tę stronę.

Dziwnym, jakby opatrnościowym zbiegiem okoliczności w skutku owych wypadków i wynikłego z nich stanu rzeczy w kraju polskim pod panowaniem Habsburgów, zdobycze i nabytki monarchii Habsburgów w Polsce byłyby odpowiadały nie tylko wymogom bezpieczeństwa i równowagi Europy, ale także życzeniom i pragnieniom narodu polskiego. Wzmacniając się, mogła monarchia Habsburgów uszczęśliwić, zdobywając oswobodzić, zabierając wystąpić w imieniu myśli i prze-

ciwstawić ją innej dla niej niebezpiecznej. Rzadko zdarza się tak piękna sposobność.

Powstała ona była z różnicy warunków w jakich znajdował się naród polski pod berłem austryackiem i rosyjskiem, także w skutku tego, że katolicka dynastia Habsburgów i przeważnie katolicka monarchia, dawały stałą rękojmię, w wielkiej wagi sprawie religijnej, narodowi polskiemu, srodze w Rosyi prześladowanemu w wierze ojców i którego ta droga spuścizna była tam zagrożoną.

W skutku wypadków, o których wyżej mówimy, prawa i rozwój narodowości, składających monarchię Habsburgów, zostały były zabezpieczone; wtedy, zwłaszcza węgierskiej i polskiej, które były już zastąpione przed naciskiem niemieckim. Używanie przez Węgrów i Polaków drogocennych swobód narodowych i obywatelskich, wytworzyło było stan rzeczy niezwykły, wyjątkowy ale bezpieczny, bo oparty na prawdzie i wzajemnych korzyściach tych dwóch narodów i państwa. To też, kiedy inne części składowe monarchii, wobec wypadków wscho-dnich, zdradzały się czasem z odśrodkowemi zachciankami; Węgry i Galicya postępowały dośrodkowo.

Dla Polaków, porównanie wszelkich bezprawii, nadużyć i potwornych niedorzeczności zarządczych, sądowych i gospodarczych, któremi pastwiono się nad nimi pod panowaniem rosyjskiem, porównanie srogiemu tam prześladowania religijnego, porównanie rządów mściwych, z narodowym zarządem, uwzględnieniem społecznych i gospodarczych potrzeb, któremi cieszyli się pod panowaniem austryackiem, szczególnie z uszanowaniem i opieką ich narodowego i duchowego rozwoju, ich uczuć i przekonań religijnych sprawiało, że w wyborze dwóch panowań, nie podobna było im wahać się. Wreszcie sprawiedliwość i życzliwość, jakimi panujący Monarcha, otaczał w swem państwie, narodowość polską, stworzyły były nie sztuczny, istotny związek, którego najprawdziwi-

szym wyrazem były pamiętne słowa adresu sejmu galicyjskiego do tronu, „Przy Tobie Naj. Panie stoimy i stać chcemy“. A słowa te bez pomocy wichrzenia lub spisków, własną siłą sięgać musiały poza granice Galicyi, w głąb krajów polskich pod panowaniem rosyjskiem. Nie był to główny, ale także nie podrzędny powód, dla którego w pewnych okolicznościach, polityka austriacko-węgierska mogła i powinna była się zwrócić raczej w tę, niż w inną stronę i szukać tam odwetu za poniesione gdzieindziej klęski i straty.

Powiększenie się polskimi posiadłościami, w dwóch głównych kierunkach odpowiadało żywotnym potrzebom monarchii Habsburgów, jej wewnętrznemu składowi oraz zewnętrznemu położeniu i mogło posłużyć do rozwiązania jej zadań.

Żywiół polski pochodzenia słowiańskiego, mający wiele jego zalet i wad, zarazem więcej od innych szczepów słowiańskich, wychowany na zachodnim wykształceniu, związany z Zachodem katolicyzmem, zbliżony geograficznie do Wschodu i stykający się ze Słowianami, ma siłą rzeczy niemałe znaczenie dla świata słowiańskiego, ale jest może opatrnościowo pośrednim czynnikiem, między nim a światem zachodnim, między dążeniami pierwszego a bezpieczeństwem drugiego i jakby przeznaczonym na to, aby ochronić co w pierwszym życia i rozwoju jest godnem i zasłonić drugi przed tem, czem świat słowiański staćby się mógł groźnym i niszczącym dla zachodniego. W skutku tego pośredniego, łagodzącego zbyt ostre sprzeczności przymiotu, wynikłyby dla monarchii Habsburgów poważne korzyści, gdyby się nim była powiększyła i wzmocniła. Żywiół ten wzmocniony w monarchii Habsburgów, utrzymałby równowagę między Węgrami i Słowianami; doszedłszy w niej do właściwego, liczebnego znaczenia, zasłaniałby zarówno Węgrów przed naciskiem Słowian, jak Słowian przed na-

ciskiem Węgrów; pierwsi liczyliby mogli zawsze na jego opiekę, drudzy na przyjaźń.

Jednocześnie i tem samem wytworzyłyby się stan rzeczy, zasłonięty przed przewagą niemiecką, lecz nie wrogi Niemcom austryackim. Wzmógłby w monarchii żywioł polski posłużyłby był zatem do rozwiązania trudnego jej wewnętrznego zadania.

Skierowanie myśli i czynów polityki austryacko-węgierskiej ku zwiększeniu się kosztem Rosyi, ziemiami polskimi, gdyby było możliwem, byłoby powstrzymało lub zażegnało trwale i skutecznie niebezpieczeństwa, które powstawały dla monarchii zewnątrz, poruszeniem i podjęciem przez Rosyę, sprawy wschodniej. Postępy Rosyi na Wschodzie rzeczywiście zrównoważone być mogły jedynie dla Austro-Węgier na gruncie polskim; wszelkie inne zrównoważenie musiało być uludnem, połowicznym i tymczasowem, albowiem nie mogły one współzawodniczyć na Wschodzie z Rosyą, jak ta nie mogła wtedy współzawodniczyć z niemi w Polsce. Nabytki polskie nie byłyby dla monarchii Habsburgów tylko terytorjalnymi, lecz politycznymi i duchowymi; odepchnęłyby wpływ rosyjski od austryacko-węgierskich Słowian, tem samem uczyniłyby ciężenie Rosyi na Słowian bałkańskich, mniej dla Austro-Węgier szkodliwem. Wreszcie zażegnałyby niebezpieczeństwo, które powstałoby, gdyby Rosya potrafiła pogodzić się z narodem polskim.

Podjęcie tej polityki przedstawiało więc wielkie korzyści, zaniechanie jej pociągało za sobą większe jeszcze niebezpieczeństwa.

Przecież tak dawniej jak wobec sprawy wschodniej polityka monarchii Habsburgów nie zapragnęła i nie sięgła po te korzyści ani spojrziała w oczy tym niebezpieczeństwom. Tradycya i uczucia nie wskazywały jej tego kierunku; rozum stanu zaś wytknąć go nie umiał. Była to dla niej rzecz bez wdzięku, dlatego, że wedle słów cesarza Franciszka Józefa, wypowiedzianych

w 1863 r. pociągała za sobą utratę prowincyi, wtedy, kiedy należycie zrozumiana i zużytkowana, powinna była wzbogacić monarchię nowymi nabytkami.

Nawet wtedy, gdy uznano ważność dla monarchii żywiołu polskiego i obchodzić się z nim poczęto przychylnie i ochronnie, gdy w skutku tego ściśle i serdeczne zawiązały się między nim a dynastją Habsburgów stosunki i ta przekonała się, że Polacy nie są tak dalece niesformnymi i trudnymi do rządzenia, jak mniemano powszechnie i że, byle umieć z nimi postępować, można na nich liczyć, czego złożyli dowód, stając się w Austrii podporą tronu i państwa, przyboczną gwardją monarchy w trudnych czasach, powtarzamy nawet i wtedy nie zapragniono powiększyć liczby poddanych polskich.

Raz tylko zdawać się mogło, że myśl austriacko-węgierska zwróciła się w tym kierunku. Było to w chwili zapowiedzianego, przez Gołuchowskiego ułożonego przybycia cesarza Franciszka Józefa do Galicyi w 1868 r.

Okoliczności i wyjątkowe warunki, w których odbyć się miały oddawna przez kraj upragnione odwiedziny monarsze, nadawały im niezwykłego znaczenia.

Cesarzowi towarzyszyć miała cesarzowa, przy jej boku miał pełnić obowiązki ochmistrza Adam Potocki, ministrowie i prezes gabinetu węgierskiego hr. Andrassy znajdować się mieli w orszaku. Sposób, w jaki społeczeństwo polskie, jawnie zapatrywało się na pobyt cesarski; rozmiary, jakie mu pragnął nadać, zawsze daleko myślą sięgający Adam Potocki, wszystko to mogło pełnać monarchię Habsburgów w kierunku o którym mówiliśmy. Nie inaczej bez wątpienia pojmował cesarską podróż wytrawny mąż stanu, wierny Monarchy sługa, Namiestnik Galicyi, hr. Agenor Gołuchowski, który tak z austriackiego jak i polskiego stanowiska zrozumiał był potrzebę przełomu i rozpoczęcia polityki austriacko-polskiej.

Rzecz szczęśliwie pojęta, nieszczęśliwie poroniona została.

Dnia 23 września 1868 r. urzędowy telegram doniósł, iż podróż cesarska odroczonej została. Sejm galicyjski uchwalił był znaną rezolucyę, wymieniającą żądania narodowe i samorządce Galicyi, zaznaczające rodzaj jej odrębności; przyczem namiestnik Gołuchowski nader śmiałą i stanowczą, za życzeniami kraju, wypowiedział mowę. Zdarzeniami temi w Sejmie, uzasadniono odwołanie podróży cesarskiej i hr. Gołuchowski ustąpił z namiestnictwa. Istotnie zaś nietylko ze względów wewnętrznych, ale i zewnętrznych, zawahano się w Wiedniu, wobec rozmiarów, jakie miała przybrać podróż i znaczenia, jakie jej świat przypisywał.

Jednocześnie z pobytem cesarza Franciszka Józefa w Galicyi, znajdować się miał w Warszawie cesarz Aleksander II z powrotem z zagranicy. Zaostrzało to jeszcze znaczenie tego pobytu. Cesarz Aleksander opóźnił jednak swój powrót i dopiero z końcem września przybył do Warszawy, po ukazaniu się telegramu o zaniechaniu podróży cesarza Franciszka Józefa i zabawił tam przez pierwsze dni października, otoczony ministrami i dygnitarzami. Na powitanie go, cesarz Franciszek Józef wysłał generała porucznika ks. Emeryka Thurn-Taxis późniejszego w. koniuszego, który dowodził dywizją konnicy we Lwowie, a miał zaszczytną, ale całkiem szpecącą go na twarzy ranę, odniesioną na Węgrzech w 1849 r. Po jego powrocie zaszły następujące rzeczy: *Gazeta Narodowa* podała list z Warszawy, który donosił, „że w czasie przyjęcia Car rzekł do generała ks. Thurn-Taxis mniej więcej te słowa: „Ciesz się, że Austria przestała wierzyć Polakom i że cesarz Franciszek Józef nie przybył do Galicyi; zresztą — dodał podniesionym głosem — podróż dla inspekcyi, możnaby jeszcze zrozumieć, lecz politycznej demonstracyi, jabym nigdy nie zniósł“. „Czy słowa te mogę powtórzyć memu monar-

sze?“ zapytał generał. „Jak się panu podoba“, odparł car i przerwał pogadankę“. — Na to *Czas* z 16 października odezwał się w następujący sposób: „Generał nie tał szczegółów ani o przyjęciu, jakiego doznał, ani o rozmowie, jaką miał z carem. Wedle tej wersji nie było w słowach cesarza Aleksandra, wyrażenia żadnej uciechy, ale tylko wzmianka, że o ile podróż cesarska do Galicyi w celach wewnętrznych monarchii, Monarchy austriackiego samego tylko dotyczyć mogła, tak znów, podróż, w której demonstracją polityczną upatrywać chciano, z trudnością byłaby go znalazła obojętnym, *m' eut difficilement trouvé indifférent*“. Dnia 19 października urzędowa *Wiener Abendpost* zaprzeczyła, aby coś podobnego zaszło. Mimo tego utwierdziło się zdanie oparte na rozmowach ks. Taxis we Lwowie, że zgodnem z prawdą, było sprawozdanie *Czasu*.

Dodać jednak należy, iż była ze strony polskiej dążność przedstawienia rzeczy w ten sposób, iż nie uchwalenie przez Sejm rezolucyi, ale względy polityki zewnętrznej spowodowały odwołanie podróży cesarskiej. W zapiskach zostawionych przez ks. Thurn-Taxis, wydanych przez towarzysza broni w 1901 r. znajduje się opis jego pobytu w Warszawie. Część odnoszącą się do polityki przytaczamy:

„Po polowaniu J. C. Mośc wyraził życzenie, abym wraz z nim powrócił do zamku w Skierniewicach. Podczas tej krótkiej drogi, między innymi rzekł do mnie: Namiestnik hr. Gołuchowski wziął dymisyę. Przyznaję, że z przyjemnością dowiedziałem się także, że J. C. Mośc pański Cesarz, zaniechał zamierzonej podróży do Galicyi, gdyż niestety wiem z doświadczenia, że ze strony Polaków oczekiwać należy tylko niewdzięczności i zdrady, nawet gdy dbałym się jest o ich dobro i chce się im je wyświadczyć“. Nie długo potem książę zawezwany został w Warszawie do

gabinetu cesarskiego. Aleksander II kazał mu usiąść, podał cygaro i rzekł: „Poprosiłem cię księżę, abyś do mnie przyszedł, gdyż miło mi jest, szczerze zamienić słowa, z wiernym sługą swojego Pana i oficerem armii, którą wielce szanuję i której dumny jestem być członkiem. Jeżeli nadarzy się do tego sposobność, powiedz twojemu Cesarzowi, że wedle mojego zapatrywania, zbawienie Europy, zależy jedynie od wskrzeszenia starego, świętego przymierza, chociaż ta nazwa sama przez się zawsze wywołuje postrach w publiczności a także w dyplomacyi. Pojmuję, że po ostatnich wypadkach, trudnem wydawać się może twojemu Cesarzowi, nawiązanie z Prusami stosunków, gdybym jednak z pewnością wiedział, że J. C. Mość chętnie zechce pójść w tym kierunku, byłbym również gotów podjąć się układów z Prusami i gdyby mi się udało doprowadzić znowu do silnego i stałego stosunku między trzema państwami, zapomnielibym wtedy wszystko, co nas rozdziela i przeszłość zamąca a to znaczy wiele. Niech J. C. Mość weźmie do serca dla wspólnego dobra nas wszystkich te słowa, pochodzące od wiernego, dawnego przyjaciela“. Księżę zapytał, czy cesarz rozkazuje mu wprost jechać do Wiednia, na co ten odrzekł: „Nie, nie, tylko przy sposobności“.

Niema zatem w przytoczonych przez ks. Taxis słowach cesarza Aleksandra II, z powodu zamierzonej podróży do Galicyi, przestrogi, czy groźby, o której mówiły polskie dzienniki. Czy ks. Taxis opuścił lub wydawca wykreślił ją, czy też cesarz nie wypowiedział jej, wiedzieć nie można. W każdym razie, wyrażone zadowolnienie z zaniechania podróży, miało polityczne znaczenie.

Odtąd przybycie monarchy austro-węgierskiego do jego polskiego kraju, natrafiało wciąż na trudności i przeszkody. Nastąpiło dopiero w dwanaście lat później, po zawarciu sojuszu austriacko-niemieckiego. Tradycya

i nadzieje przywiązane do przymierza rosyjskiego, chęć nie zrywania z przeszłością, także w 1868 r. przeważyły w ostatniej chwili szalę. Zaledwie kielkująca nowa myśl polityczna, zduszoną została i nawet lodygi nie wypuściła.

Zaparcie się jej, dozwoliło później przemienić zjazd dwóch cesarzy w Berlinie w 1872 r. na zjazd trzech północnych władców, który, jak mniemamy, stał się związkiem sprawy wschodniej.

Przeistoczenie zjazdu przekonało hr. Andrassego, który hołdował polityce przeciwnej Rosyi, oraz austriacko-polskiej i przedstawiał ją na wstępie państwowego swojego zawodu, że nie mogła ona liczyć na poparcie ks. Bismarcka i Niemiec, że nie była wykonalną. Istotnie czasy tej polityki upłynęły już były; nie podjęta ani w 1854 r. ani w 1863 r. nie mogła być z widokami powodzenia zastosowaną w 1872 roku i dalszych latach. Nie uchwycona dwa razy sposobność nie nadarzała się już.

Ale gdyby się była raz jeszcze nadarzyła, byłby hr. Andrassy pozostał wobec przygotowującej się sprawy wschodniej, odosobnionym ze swoim zdaniem i zamiarem. Cesarza Franciszka Józefa i dworu wiedeńskiego pragnienia, zwrócone były od dość dawna w inną, nie w polskich ziem stronę. Myśl szukania na Wschodzie wynagrodzenia terytoryalnego za poniesione straty, uśmiechała się miarodajnym kołom wiedeńskim, dlatego, że odpowiadała ich życzeniu pozyskania, jak niektórzy twierdzili, odzyskania Bośni. Acz mniej znaną, przecież niezawodną była ta chęć i pokutowała ona od pewnego już czasu w dworskich i wojskowych kołach austriackich.

Bośnia należała kiedyś do korony św. Szczepana i tą węgierską nitką złączona była z tradycją Habsburgów. Król węgierski zowie się królem Bośni a przy koronacyi przysięgał, iż usiłować będzie odzyskać ją. Od chwili, jak Beust za pomocą poczynionych Węgrom ustępstw z lekkim sercem przepołowił monarchię, z ła-

twością zaprowadził dualizm i doprowadził do koronacji w Buda-Peszcie Franciszka Józefa, Bośnia mogła, przy dobrej woli, stać się rzeczą sumienia dla króla węgierskiego. Pragnienia opierają się najchętniej na obowiązku.

Niemila Węgrom i niebezpieczna dla nich sprawa przyłączenia Bośni, powstawała prawnie z ugody z nimi, z dualizmu i koronacji; król węgierski stawał się w niej naraz więcej Węgrem, niż Węgrzy, Węgrem wbrew Węgrom. Takie są czasem igraszki losu.

Inne jednak, wcale nie węgierskie powody nakłaniały do pielegnowania, następnie popierania, wreszcie podniesienia myśli przyłączenia, czy też odzyskania Bośni wraz z Hercogowiną.

Wojskowi, raczej tak zwane wtedy stronnictwo wojskowe, twierdziło, że posiadanie Dalmacyi jest niepewnem bez pozyskania tych dwóch tureckich prowincyi, nazywano je plecami Dalmacyi, które ze względów strategicznych należało koniecznie nabyć. Bośnia i Hercogowina to zaplecznik posiadłości austriackich a do niego zwracały się żądze posiadania, oparte na zapatrywaniu, że tak z przeszłości jak z położenia geograficznego, należał on się monarchii Habsburgów. Słowem, w całej pełni zastosować tu można było słowa: „Człowiek mniema, iż zabezpieczyć sobie może to, co posiada, nowemi nabytkami“ i dodać, iż zawsze gotowym jest nabywać bez uwagi nawet na niebezpieczeństwa i straty, które za sobą nabytki pociągnąć mogą. A przecież jeżeli nowemi nabytkami trzeba zabezpieczać co się posiada, to nie powinny one narażać tego, co się posiada. Jeżeli Bośnia i Hercogowina miały się stać plecami Dalmacyi, której nie zbyt wielkie groziły niebezpieczeństwa i skąd nic rozstrzygającego nie mogło dla monarchii powstać, to niezawodnie Galicya była plecami nie jednego kraju koronnego, ale całego państwa, plecami wciąż wystawionemi na niebezpieczeństwo, zdaniem powag wojsko-

wych, nie dające się zażegnać, narażonemi na utratę, bo nie mogącemi być bronionemi, dopóki monarchia nie zwiększyłaby się ziemiami polskimi i nie zajęła w nich strategicznych stanowisk, któreby do pleców państwa, dodały żebra. Wtedy plecy te i żebra nie tylko materialną przedstawiałyby siłę i wojskowe bezpieczeństwo, albowiem zasłoniłyby monarchię, przed groźnym wicherzeniem plemiennem i religijnem i zabezpieczyłyby ją przed rozkładem i rozdarciem wytworzonym z zewnątrz. Tego i tak wielkiego znaczenia nie mogły mieć plecy, które chciano przypisać Dalmacyi. Przecież pomimo tak różnej wartości tych dwóch pleców, myśl przewodnia i najwyższa wola w monarchii Habsburgów, nie zwróciły się w stronę pleców całego państwa, lecz skierowały się w stronę pleców jednego kraju koronnego; nie w stronę Polski lecz Bośni, nie Warszawy lecz Serajewa.

Myśl oderwania od państwa niechrześcijańskiego bez użycia wywrotowych środków, pożądanych krajów uspakajała niejedno drażliwe na podobne przedsięwzięcia sumienie, tem drażliwsze, że polityka odrywania, uczuć się dała domowi Habsburgów ze strony państw wcale niemahometzańskich.

Z wszystkich żądz, nabywania żądza, najzasobniejszą jest w kręte rozumowania.

Wrodzona żądza nabywania, wielce w monarchii Habsburgów rozwinięta, potakiwać poczęła zamiarom odnoszącym się do Bośni i Hercegowiny, tak, iż uśmiechały się nawet tym, którzy, jak hr. Andrassy, z wyższych względów politycznych i z poczucia bezpieczeństwa, przeciwnymi byli wspólnemu z Rosją lub też jednoczesnemu przeciw Turcyi działaniu i wzbogaceniu się krajami słowiańskimi oraz prawosławnymi. Wspólne z Rosją działanie lub jednoczesne zajęcie krajów tureckich były im wstrętne, lecz czuli i uznawali potrzebę powetowania strat nowymi nabytkami.

Dla tych zaś, którzy pozostawali od początku pod urokiem drobnych korzyści a byli ślepyimi na wielkie niebezpieczeństwa takiej polityki, przeważała chęć odzyskania utraconych mil kwadratowych, bez względu na ich wartość, pozyskania ludności bitnej, któraby dobrego dostarczyła żołnierza i pomnożyła liczbę pułków. Wreszcie, zwolennicy tej polityki upiększali ją względem, że ludność pożądaných krajów, była w pewnej części katolicką, chociaż zapominali że, aby wydobyć ją z pod panowania półksiężycza doradzali sprzymierzenie się z prawosławnem mocarstwem i nie zważali, że jeżeli w Bośni przyszłoby zasłaniać katolików, w Polsce przyszłoby ratować katolicyzm.

Dość, że pragnienie nabycia Bośni i Hercegowiny nie powstało dopiero wobec poruszenia przez Rosyę sprawy wschodniej, ale istniało już wtedy, kiedy jeszcze można było obrać kierunek, prowadzący do zwiększenia się polskimi ziemiami, kiedy nadarzała się sposobność pozyskania żeber dla pleców monarchii. Znaną jest postawa Austrii wobec polskiego powstania 1863 r., która w znacznej części przyczyniła się do rozszerzenia rozmiarów klęski narodu polskiego. Była ona dyplomatycznie wahającą się; przez długi czas pobłażliwą w Galicyi, zatem zachęcającą i ułatwiającą powstanie; politycznie chwiejną i nieodgadnioną, chwilami niemal do czynu skłonną za radą i zdaniem politycznych w Austrii ludzi, którzy rozumieli ważność dla niej i jej przyszłości, sprawy polskiej, zwłaszcza jako środka powstrzymania wzrostu Prus, środka, którego skuteczność Bismarck uznaje w swoich *Mysłach i Wspomnieniach*. Że dążności w kierunku polskim objawiły się wtenczas w Wiedniu, świadczy przybycie tam ks. Ryszarda Metternicha, ambasadora austriackiego przy Napoleonie III pod koniec zimy 1863 r. oraz narady z nim nad sprawą polską.

Wtedy dwa ścierały się z sobą prądy a postawa monarchii była ich przeciętną. Doprowadziła ona do nieszczęsnego wspólnego działania dyplomatycznego mocarstw zachodnich do którego Austria przystąpiła jawo, wyżej wspomnianą notą hr. Rechberga. Podczas owych wypadków, znaczne dawały się dostrzegać zбочzenia rządowego wahadła, które półrządowe i natchnione dzienniki naznaczały. Dzienniki te w sprawie polskiej pozostawały pod bezpośrednim wpływem ministerstwa spraw zewnętrznych. W ministerstwie tem, byli urzędnicy wyżsi, którzy ze względów politycznych, geograficznych, katolickich, przedewszystkiem z uwagi na współzawodnictwo z Prusami, z przekonania życzyli sobie wmięszania się skutecznego Austrii w sprawę polską, rozwiązania jej z korzyścią dla monarchii i popierali ją. W skutku tego w pewnym okresie powstania 1863 r., rządowe dzienniki poczęły żywo podnosić sprawę polską, zajmować się nią, ponieka, opiekować się krwawymi wypadkami w *Królestwie Polskiem*. Czyniły to z natchnienia światłego, znanego z głębokich przekonań zachowawczych i katolickich barona Maisenbuga, ostatniego podsekretarza stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych i kierującego tem samem dziennikarstwem rządowym. Ważny ten urząd, pierwszy po ministrze spraw zagranicznych, rozpadł się po zaprowadzeniu dualizmu na naczelne wydziały. Postawa przyjęta przez pisma urzędowe musiała być silnie nacechowaną, skoro zwróciła na siebie uwagę cesarza i spowodowała, iż monarcha zawezwał do siebie podsekretarza stanu Maisenbuga. Zapytany, dlaczego pozwala rządowym dziennikom w tak gorący za Polakami występować sposób; odrzekł, iż mniema działać zgodnie z polityką monarchii. W dalszej zaś rozmowie wyraził przekonanie, że nabycie *Królestwa Polskiego*, odpowiadałoby potrzebom Austrii i wielkie przyniosłoby jej korzyści, na co cesarz Franciszek Józef rzekł: „Nie w tej stronie należy nam szukać na-

bytków; co nam po nich! Monarchii potrzebna jest Bośnia“.

Po zawarciu ugody węgierskiej cesarz odbywał podróż nad granicą turecką; towarzyszył mu u szczytu szczęścia twórca dualizmu. Orszak cesarski znalazł się na wzgórzu, z którego dostrzedz można było daleko ciągnące się za granicą turecką ziemie. Hr. Beust zwrócił uwagę monarchy na Bośnię i wskazał palcem słynny zaplecznik; na co twarz cesarza rozpromieniła się tak, iż wątpić nie można było, że ją ożywiła pożądlivość.

Koła wojskowe i dworskie, oraz cesarz, widzieli zatem w poruszeniu sprawy wschodniej tylko sposobność pozyskania Bośni. Węgrzy, wielu światłych w Austrii ludzi, hr. Andrassy wiedzieli już, iż pierwotna jego myśl odepchnięcia Rosyi w przymierzu z Turcyą, opierając się na Niemcach i za pomocą sprawy polskiej nie była na razie wykonalną; ale nie zakrywali przed sobą niebezpieczeństw, wynikających z jednoczesnego Austro-Węgier z Rosyą uderzenia na Turcyę jedynie dla nabycia Bośni.

Węgrzy, Polacy, także Niemcy wolnomyślni nie mogli sprzyjać podziałowi Turcyi, zapewne nie tak niecnemu jak Polski, ale tak samo nierównemu. Jeżeli doradcy korony oświadczyli się byli wbrew jej zdaniu, za udziałem w rozbiórce Polski, to teraz korona wbrew zapatrywaniom doradców, nie cofała się przed rozbiorem Turcyi. Stąd dwa zapatrywania, dwa prądy, dwie ponieważ polityki, które czasem niewidzialnie, przecież wciąż się krzyżowały i ścierały w monarchii Habsburgów, wobec i podczas wypadków wschodnich.

ROZDZIAŁ IV.

Początek działania w zamiarze pozyskania Bośni i Hercegowiny. — Ciągłość w tej mierze. — Cesarz Aleksander w Wiedniu w 1873 r. — Cesarz Franciszek Józef I i hr. Andrassy w Petersburgu w lutym 1874 r. — Podróż cesarza Franciszka Józefa do Dalmacyi w 1875 r. — Stanowisko zajęte wobec tej podróży przez stronnictwo wojskowe w Austrii, które przedstawiał namiestnik Dalmacyi, generał Rodicz. — Wojskowe względy, w których dużo było współczucia słowiańskiego. — Oddziaływanie podróży cesarza na słowiańskie ludności Turcji. — Spotkanie w czerwcu 1875 r. w Eger cesarza austriackiego z cesarzem rosyjskim. — Powstanie w Bośni i Hercegowinie. — Biegu wypadków nie podobna już było odwrócić. — Podczas gdy namiestnik Rodicz przyspieszać się takowy zdaje na kresach, hr. Andrassy zdaje się go chcieć zwalniać w dyplomatycznym działaniu. — Ankieta konsularna. — Otwarcie spadku tureckiego. — Monarchia Habsburgów podniosła sprawę wschodnią.

Od zjazdu w Berlinie w 1872 r. mnożyły się spotkania między cesarzem austriackim i rosyjskim, przy boku pierwszego znajdował się zwykle hr. Andrassy. Cesarz Aleksander II nie pomny już teraz głośniejszej, acz nieszkodliwej niewdzięczności Austrii, mniej nawet drażliwy niż w 1868 r. na wdzięczność Galicyi dla cesarza Franciszka Józefa, pospieszył w 1873 r. na powszechną wystawę wiedeńską. W lutym 1874 r. głowa rodu Habsburgów, cesarz austriacki i król węgierski, odwiedził białego cara w Petersburgu, a hr. Andrassy, który jako pierwszy węgierski minister zaniechać musiał podróży

do Krakowa i Lwowa w 1868 r., pospieszył przy boku swojego monarchy jako minister spraw zewnętrznych austriacko-węgierski, na Warszawę, do stolicy rosyjskiej. Czyż można przypuścić, iż podczas tych spotkań, nie wspomniano o sprawie wschodniej? Prawdopodobniej, że między balem w Zimowym Pałacu, a polowaniem na niedźwiedzie, gościnność rosyjska w dobitniejszą chciała się stwierdzić sposób i że nie zapomniano o wypieszczonej myśli: otwarcia sobie na Wschodzie pola dla wspólnych korzyści. I tym razem nie spisano nic, lecz może mówiono, między wierszami i o czemś więcej i o czemś innem jak o Wschodzie. Mogło się uśmiechać opatrnościowe zadanie położenia tamy ciężącej nad Europą potężde. Wiadomość o podróży cesarza Franciszka Józefa do Petersburga, nie zbyt mile przyjętą została w Berlinie, tak, iż wnosić było można, że zaczęto tam podejrywać czy za własnem staraniem, doprowadzona przyjaźń, nie zbyt się stawała ścisłą i obawiać się, czy przypuszczony do poufałości stadła, trzeci, nie zajmie zwykłego w niem miejsca przyjaciela. To pewna, że nie przeszkodzono rozpowszechnieniu się tego mniemania. Wogóle ks. Bismarek pragnął utrzymać trójcesarski sojusz, ale pod warunkiem, że porozumienie między Wiedniem a Petersburgiem zachowanem zostanie przez Berlin.

W rok przeszło po bytności cesarza Franciszka Józefa w Petersburgu, wszelkie podejryzenia ustały, zupełna w trójcesarskim związku zdawała się panować zgodność; wznoszono hymny pochwalne na cześć tego stróża i tej rękoi pokoiu europejskiego, a nagle, uwaga sprzymierzeńców odwróciła się w inną stronę i miejsce drobnych nieporozumień i miłosnych zazdrości między trzema, zajęła wspólna troska o wielką sprawę dojrzewającą i narzucającą się na Wschodzie.

W kwietniu 1875 r. mówić zaczęto o zamierzonej podróży cesarza Franciszka Józefa do Dalmacyi, po-

dróży, która jest ważną, bo zawiązała działanie. W chwili, w której czyniono w Wiedniu przygotowania do niej, państwa stojące poza trójcesarskim związkiem, oraz publiczność, nie domyślały się, że niebawem rozpocznie się sprawa wschodnia i że wbrew pokojowych celów trójcesarskiego sojuszu, wybuchną zawikłania, prowadzące wprost do wojny. Podróż miała mieć wyłącznie i jedynie cel wewnętrzny, zadowolenie Dalmacyi, zbadanie jej potrzeb, zagojenie świeżych ran nieszczęsnego powstania, ułagodzenie przeciwieństw politycznych i szerepowych. A przecież podróż do Dalmacyi dała początek sprawie wschodniej i wprowadziła ją na porządek dzienny. Kto ją przygotował? Kto doradził? Rzecz pozostała niewiadomą. Wolno jedynie wnosić, że tak z wewnętrznych jak i zewnętrznych powodów nie mógł nie tylko jej doradzać, ale nawet jej sprzyjać hr. Andrassy, nie odpowiadała ona ani węgierskim wyobrażeniom, ani zewnętrznemu kierunkowi polityki wspólnego ministra spraw zagranicznych. Sprzyjać jej mogło stronnictwo, łączące się ze sprawą Słowian w Austrii z nienawiści do Węgrów, sprzyjać jej mogło, stronnictwo wojskowe, chcąc zwrócić uwagę monarchy na ten kraj, mający dla marynarki znaczenie, stronnictwo, którego jeden z wybitnych przedstawicieli, był właśnie namiestnikiem cesarskim w Dalmacyi.

Nazwisko generała Rodicza nabrało wtedy rozgłosu i publiczność widziała w nim jednego z przywódców stronnictwa, dążącego do ścisłego z Rosyą przymierza. Generał Rodicz, pochodzenia słowiańskiego, żołnierz wzorowy i dzielny dowódca, dłuższy czas przebywał w Krakowie. Był on wiernym i gorliwym cesarza sługą, lecz z pochodzenia i rzemiosła należał do tych, którzy nie sprzyjali nowemu ustrojowi państwa i nie uznawali potrzeby węgierskiej przewagi. Zapatrując się ze stanowiska zawodowo-wojskowego na sprawy tego świata, jak wielu, tak i generał Rodicz, nie mógł zbyt daleko

sięgać w przyszłość polityczną i odgadywać jej tajników. Zapewne, że baron Rodicz nie pragnął, jak Władysław Rieger na słowiańskim zjeździe w Moskwie, polepszenia bytu Słowian austryackich przez Rosyę, ale niezawodnie, za pomocą przymierza monarchii Habsburgów z Rosyą i to tem goręcej, że odpowiadało ono jego pociągowi i uczuciom osobistym silnie rozwiniętym. Ze szczerością żołnierza generał Rodicz, gdy był głównodowodzącym w Krakowie, nie taił wcale tych uczuć a dla rodziny jego marzeniem było przepędzenie zimy w stolicy państwa, w przymierzu z którym przyszły namiestnik Dalmacyi widział bezpieczeństwo i zbawienie monarchii, której wiernie i dzielnie całe życie służył. Uspodobienie to więcej u niego może, niż u innych rozwinięte, było mu wspólnem z wieloma towarzyszami broni, szczególniejszego pochodzenia słowiańskiego a znajdując oddźwięk i poparcie u naczelnego wodza arcyksięcia Albrechta, stało się było podstawą i wyznaniem wiary tak nazwanego stronnictwa wojskowego. Zaczepki dzienników wolnomysłnych niemieckich i ich oszczerstwa dodawały generałowi Rodiczowi wiele uroku, może wzmacniały jego stanowisko.

Dzienniki te posunęły się aż do twierdzenia, że namiestnik cesarski należy do panslawistycznego stowarzyszenia *Omladyny*, którego ostatecznym celem było rozbicie monarchii! Namiestnik cesarski, jak żona Cezara nie powinienby być nawet posądzonym.

Nie należąc do *Omladyny* jen. Rodicz z radością przyjął przecieź wiadomość o podróży cesarza do kraju, graniczącego z plemionami słowiańskimi, jęczącemi pod jarzmem tureckim, które *Omladyna* troskliwą otaczała opieką, zarazem poczynił przygotowania i dołożył starań, aby ta podróż zaznaczyła i zaważyła w polityce, której sprzyjał. We względach bowiem, które w oczach stronnictwa wojskowego, przemawiały za nabyciem Bosni i Hercegowiny dużo było współczucia słowiańskiego.

Co do myśli jednak pierwotnej, to zdaje się, iż podjętą została samodzielnie przez monarchę po powrocie z Petersburga. Hr. Andrassy poddał się tu znowu widocznie prądowi i zadowolnił się wstrzemięźliwością doniesień o zbyt gorących objawach, niemiłych i niebezpiecznych dla Turcyi, których znaczenie sięgać mogło poza geograficzne granice. Rzeczywiście w urzędowych sprawozdaniach podróży nie domyślać się nie pozwalało, iż ma ona ze sprawą przygotowywaną w Stambule przez generała Ignatiewa związek, że zgoła może mieć jakieś zewnętrzne znaczenie a zdawało się, iż znowu hr. Andrassy idąc z prądem, który pchnął do podróży, szczęśliwie odwrócił jej następstwa; i znowu przyjaciele jego mogli mu winszować. Przecież pamiętna ta podróż nie przeszła, pomimo pozostania hr. Andrassego u steru, bez wpływu na sąsiednie kraje tureckie przez Słowian zamieszkałe, może nie w tym stopniu, jak postawa rządu austriackiego w Galicyi, na powstanie polskie 1863 r., ale pod względem dalszych wypadków skuteczniej. Już podczas podróży pojawiać się zaczęły wieści o rozbudzeniu życia między słowiańską ludnością w Bośni, o ruchu, który pod godłem Austrii się rozpoczął. Słowem, bytność cesarza w graniczącej Dalmacyi, wywarła ten sam niemal wpływ na Bośnię i Hercegowinę, co w 1863 r. na Królestwo Polskie przepuszczenie uzbrajanych w Galicyi oddziałów lub obwieszczenie władzy w Krakowie „aby ostrożnie obchodzono się z prochem“. Były w tych dzielnicach tureckich bezwątpienia istotne powody niezadowolenia, były niesprawiedliwości, nadużycia i była nędza, były jednym słowem cierpienia, zatem dziwić się nie można, jeżeli obecność w sąsiednim a zamieszkałym przez Słowian, kraju chrześcijańskiego, wspaniałomyślnego monarchy, pod którego berłem ludy używały wolności religijnej i swobód narodowych, obudziła żądze i nadzieje lepszej przyszłości, między nieszczęśliwymi Rajasami. I sultan Abdul-Azis

mógł to samo pomyśleć, co mógł być odczuć cesarz Aleksander II, gdyby w 1868 r. cesarz Franciszek Józef odbył był podróż do Galicji.

Do istotnych powodów niezadowolenia, zatem obudzenia, w skutku podróży cesarza do Dalmacyi, nadziei między słowiańską ludnością Bośni i Hercegowiny, dołączyć trzeba nagromadzone, urządzone i przygotowane żywioły przez wichrzenia komitetów, kierowanych przebiegle, zręczną ze Stambułu ręką, ambasadora Ignatiewa. W chwili tej i na tę tylko chwilę, dostały one prawdopodobnie, hasło i polecenie wtórowania podróży do Dalmacyi, a tak zawdzięczyła ona swoją doniosłość, zarówno usiłowaniom komitetów słowiańskich Ignatiewa, jak staraniom Rodicza, namiestnika cesarskiego w Dalmacyi. Dość, że rozmiary jej rozszerzyły się i nieznacznie znaczący przybrały kierunek, który w zdumienie wprowadził świat polityczny tak dalece, że przypuszczać zaczęto, nieco dobrodusznie, iż głównym celem podróży było przeciwstawienie rosyjskiemu, austriackiego wpływu nad słowiańskimi ludnościami Wschodu! Przyszłoby należało jednak, że w takim razie, podróż byłaby spóźnioną! Zdumienie spotęgowało się, gdy wznostać zaczął w Bośni i Hercegowinie niepokój umysłów i ruch jakiś niezwykły i gdy okazał chęć zszeregowania się pod żółto-czarnym sztandarem.

Tymczasem na wielkiej widowni europejskiej zjazd cesarza Franciszka Józefa z królem Wiktorem Emanuelem w Wenecyi, który poprzedził podróż do Dalmacyi, obudził był ogólne zajęcie; przybycie w początkach maja cesarza Aleksandra II do Berlina, jako poskromiciela wojennych, przeciw Francyi, zapędów żelaznego, a jak mówiono, „zacieklego“ kanclerza, wzmocnić mogło złudzenie o postawieniu tamy zbytecznej przewadze jednego z trzech czynników trójcesarskiego związku.

Po bytności w Berlinie i w Ems, cesarz Aleksander wracał do swego rozległego państwa przez Czechy

i wtedy 28 czerwca 1875 r. krótkie, ale tem więcej znaczące nastąpiło z cesarzem Franciszkiem Józefem spotkanie w Eger. Tym razem cesarzowi austriackiemu nie towarzyszył hr. Andrassy, a dwaj członkowie trójcesarskiego związku, wsiadłszy do wagonu, przepędzili w nim sam na sam dwie godziny. Poczem pociąg zatrzymał się i monarchowie pożegnawszy się, rozstali się. Nie wiemy zatem, o ile mniemanie stąd powstałe dokładnem było, że w tym wagonie ponowiono rozmowę o Wschodzie, który od podróży do Dalmacyi baczniejszą na siebie zwracał już uwagę Europy.

Wpływ, jaki ta podróż wywarła, mógł się stać w rozmowie dowodem, że świetna czeka monarchię Habsburgów w tym kierunku przyszłość, byle chciała i umiała ją sobie wyrobić, że najłatwiej i najbezpieczniej wytworzyć ją może, działając wspólnie ze sprzymierzeńcem, który tak się przed chwilą okazał potężnym w Berlinie, wstrzymując wiszącą nad światem wojnę. To tylko pewna, że w lipcu, niespełna w miesiąc po rozmowie dwóch cesarzy w wagonie, pierwsze strzały w Bośni i Hercegowinie zapowiedziały otwarcie spadku po Turcyi i zbrojne powstanie tych dwóch dzielnic, krwawe na Wschodzie rozpoczęło działanie, przy okrzykach na cześć monarchy Austro-Węgier.

Tylko bystrzejsze umysły odgadły wtedy, pomimo wyrażenia ks. Bismarcka o źdźble hercegowińskim, że się rozpoczyna sprawa wschodnia oddawna oczekiwana, zawsze odkładana i dostrzegły ścisły związek jej początku z podróżą do Dalmacyi, a dyplomacya rosyjska i najgłośniejszy, najruchliwszy jej przedstawiciel na Wschodzie, generał Ignatiew nie omieszkali przyznać monarchii Habsburgów i podróży jej władcy do Dalmacyi, zasługi i zaszczytu podniesienia wielkiej i świętej sprawy uciemiężonych przez Turcyę chrześcian. Rzecz była rozpoczętą, odpowiedzialność na sąsiada zrzuconą, może współnik pozyskany.

Te ważne następstwa podróży, która miała się pierwotnie zamknąć w granicach zdarzenia wewnętrznego, nie mogły w żaden sposób odpowiadać widokom hr. Andrassiego, tem mniej narodu i państwa, na którem opierało się znaczenie wspólnego spraw zewnętrznych ministra.

Wobec dalszych skutków tej pamiętnej podróży, nikt nie chciał się przyznać do odpowiedzialności za nią, a znalazło się wielu takich, którzy mieli ją odradzać; i pozostało tylko przypuszczenie, iż była ona dziełem woli monarszej, może monarszych pragnień następstwem. Bądź co bądź kości były rzucone, źdźbło hercogowińskie rośło, nawet kwitnąć zaczęło. Na granicy austriackiej nie przeszkadzano ani jego wzrastaniu, ani kwitnięciu, a przecież nawą państwa sterował wciąż hr. Andrassy. Nie mogąc bezpośrednio rozkazywać namiestnikowi Dalmacyi, nie wielką, jak się zdaje, zwracał on uwagę na ułatwienia, pobłażanie, nawet na stosunki bar. Rodicza ze zbuntowaną przeciw Sułtanowi ludnością. Hrabia Andrassy na granicy monarchii poddawał się znowu prądowi, może nieco konieczności, ale za to w stosunkach zagranicznych kierował statkiem przeciw prądowi, który wzbierał na kresach i dlatego znowu nie opuścił steru w tej samej co dawniej myśli. Kiedy namiestnik baron Rodicz z wszelkiem należnym nieszczyściu postępował współczuciem dla ludności słowiańskiej, hr. Andrassy chciał je zrównoważyć, oględnością w działaniu zewnętrznym i zwalnianiem dyplomatycznej czynności skoro już biegu wypadków nie można było odwrócić. Usiłowania te jego doprowadziły przeciw czy nie przeszkodziły, zwołaniu na żądanie Rosyi, ankiety konsularnej, którą mocarstwa narzuciły Turcyi w celu pacyfikacyi a która była otwarciem spadku tureckiego.

Wobec powstania w Hercegowinie Serbia i Czarnogóra ogłosiły były wprawdzie neutralność, ale wystąpiły zarazem z pośrednictwem i przedstawiły żądania

powstańców, rozszerzone po cichu przez Rosyę. W. Węzyr Mahmud niedołęstwem naraził jednocześnie na drobne porażki wojska tureckie. Wtedy Rosya wystąpiła z myślą owej konsularnej ankiety, której usiłowania i daleko idące ustępstwa Turcyi, powstańcy jednak odepchnęli.

Wypadki te zaszły bezpośrednio i stopniowo po podróży cesarza Franciszka Józefa do Dalmacyi. A tak monarchia Habsburgów podniosła sprawę wschodnią.

ROZDZIAŁ V.

Wystąpienie Rosyi za ludnościami chrześcijańskimi. — Bar. Rodicz pragnie przyspieszyć wypadki, podczas gdy hr. Andrassy chce je zwalniać. — Pierwsza nota hr. Andrassego nie obowiązuje do niczego, przecież żądaniem reform, otwiera dyplomatycznie sprawę wschodnią. — *Memorandum* berlińskie. — Polityka od wypadku do wypadku. — Ks. Bismarck wobec zawikłań wschodnich. On popycha hr. Andrassego. — Detronizacya sułtana Abdul-Aziza i odmowa Anglii przystąpienia do *memorandum* berlińskiego, przychodzą w pomoc hr. Andrassemu w jego zwalniającej polityce. — Był to tylko rozejm między kierunkiem hr. Andrassego a drugim stronnictwa wojskowego, który zmierzał do wspólności z Rosyą. — Żądanie ks. Gorczakowa autonomii Bośni i Hercegowiny, odrzucone przez hr. Andrassego i jego nota z 27 czerwca, wyłuszczająca powody oraz wskazująca przyczyny požądania Bośni i Hercegowiny. — Wojna Serbii i Czarnogóry z Turcyą nieszcześliwa. — Powstanie w Bułgarii. — Słowa Katarzyny II: „z rzemiosła muszą chcieć strasznie tego czego chcą“. — Powody Rosyi podniesienia sprawy wschodniej. — „Kto na drodze sławy i chwały nie postępuje i nie wznosi się, ten cofa się i upada“. — Dlaczego Rosya nie może rozpocząć wojny nie zapewniwszy się co do Austro-Węgier. — Zjazd w Reichstadt. — Neutralność, nie współdziałanie Austro-Węgier z Rosyą, za którą otrzymują wolność zajęcia Bośni i Hercegowiny. — Zwycięstwo kierunku Andrassego.

Podczas gdy baron Rodicz usiłował bezowocnie sprowadzić porozumienie między zbuntowanymi ludnościami słowiańskimi a rządem sułtana, podejmując się niezwykle dla namiestnika cesarskiego zadania, pośredniczenia między poddanymi i monarchą sąsiedniego państwa, sprawa wschodnia dojrzewała dyplomatycznie

a w skutku niepowodzenia namiestnika Dalmacyi, raptem zmieniły się stanowiska i Europa ujrzała się już nietylko wobec powstania w Bośni i Hercegowinie oraz wychodztwa stamtąd do Austrii, także wobec żądania i nacisku Rosyi, aby zaradzić złemu i zasłonić ludność chrześcijańską tych krajów przed nadużyciami i dowolnością baszów. Jenerał Ignatiew, ambasador rosyjski w Petersburgu, główny podżegacz i wichrzyciel na Wschodzie, na razie dzielna sprężyna rozwijających się wypadków, stanął był natychmiast w obronie zbuntowanych Bośniaków. O ile niepowodzenie bar. Rodziacza a powodzenia Ignatiewa wpłynęły były na rozwinięcie się i przyspieszenie wypadków, o tyle postępowanie hr. Andrassego wciąż zdawało się zmierzać do hamowania i spóźniania ich. Często ten wygrywa kto zyskuje na czasie.

Wprawdzie Austro-Węgry uznały już były i zapisały urzędowo istnienie sprawy wschodniej, zezwoleniem na ankietę konsularną, ale kierownictwo zewnętrznej polityki zwalniało jeszcze jej bieg i starało się nie dozwolnić jej wyjść za granice traktatu paryskiego, którego lekceważenie, poniekąd poświęcenie, przez hr. Beusta w 1867 r. notą natchnioną, zarówno chęcią zjednania sobie Rosyi jak może pożądlivością, którą zauważył był, na widok zaplecznika, surowo potępił był prezes gabinetu węgierskiego hr. Andrassy, w rozmowach z ambasadorem tureckim Chalil-Beyem.

Wyrazem walki czy też polubownego postępowania dwóch kierunków, z których jeden objawiał się na granicy Dalmacyi, drugi na Balplatzu, stała się słynna z 23 grudnia 1875 r. napisana przez hr. Andrassego nota, do której przyłączyły się mocarstwa, która zażądała od Sultana reform. Ostatecznie do niczego jeszcze nie obowiązywała ona Austro-Węgier, lecz była przecież dyplomatycznym otwarciem przez monarchię Habsburgów, sprawy wschodniej na żądanie Rosyi. O naprawach w niej zaleconych

rzekł pewien turecki dyplomata, że albo odpowiadają widokom Turcyi, wtedy nie przyjmą ich powstańcy, albo też zadowolą powstańców, wtedy nie przyjmie ich Turcyja.

Gdyby hr. Andrassy nie był napisał tej noty, jego następcą byłby sporządził inną, dalej sięgającą i wypadki byłyby odrazu doszły tam, gdzie je doprowadzić zamierzyło później *memorandum* berlińskie. Nota warowała jeszcze dostatecznie stanowisko monarchii Habsburgów; nie pomijała sprawy Słowian tureckich, co ze strony Węgry było niezwykłą wielkodusznością, może niezwykłym rozumem, bo świadczącym, iż umiał być ministrem austro-węgierskim. Nota nie poświęcała jeszcze Turcyi a nie mogąc oprzeć się życzeniu Rosyi poruszenia sprawy wschodniej, otwierała ją wprawdzie, lecz pod nadzorem Europy i z całą możliwą oględnością. Hr. Andrassy szedł zatem znowu z prądem, ale osłabiał jego pęd, może w nadziei powstrzymania go lub skierowania. Prąd zaś i przeciwny kierunek mogły zadowolić się na razie notą, bo nie tylko otwierała sprawę wschodnią dyplomatycznie, ale także Bośni i Hercegowiny, pleców Dalmacyi. A tak niepowodzenie pośrednictwa generała Rodicza obracało się wprost na korzyść stronictwa i sprawy, które uosabiał i przedstawiał, co mogło obudzić wątpliwości o szczerości pojednawczych zamiarów namiestnika Dalmacyi, jako pośrednika między ludnościami słowiańskimi a rządem tureckim.

Przez pierwsze miesiące 1876 r. sprawa wschodnia tliła się, lecz nie wybuchła płomieniem. Gabinet austro-węgierski bardzo stanowczo wystąpił przeciw zachciankom Serbii wnięszania się w wypadki bośniacko-hercegowińskie, co też oddziaływało usmierzająco na powstanie, które do nabycia Bośni przez monarchię Habsburgów, lecz nie do przyłączenia jej do Serbii, winno było posłużyć.

Z drugiej strony Turcy widząc, iż Serbia i Czarnogóra pomimo pozornej neutralności podniecają powstanie, wystąpiła ze znacznymi siłami wojskowymi i dwoma umocowanymi obozami obsaczyła Serbię, jednocześnie odcięła od zbuntowanych okolic Czarnogórę korpusem, gotowym zgnieść ją w jednej chwili. Istotnie środki te zaradczy ograniczyły natychmiast powstanie do gór nieprzystępnych. Ale groźba i wielkie niebezpieczeństwo wiążące nad Czarnogórcami, co przez wieki stawiali opór Turkom, wywołały współczucie i pomoc. Ambasador Ignatiew wystąpił bezzwłocznie w Konstantynopolu z całą możliwą stanowczością przeciw złowrogim zamiarom wobec Czarnogóry. Być może, iż nie odniósł by był pożądanego skutku, gdyby cesarz Franciszek Józef, wbrew zdaniu Andrassego nie był ze swej strony wywarł nacisku za Czarnogórą. Wobec podwójnej opieki i podwójnego wdania się, sułtan uchylić musiał czoła i wymuszono na nim odwołanie wojsk od granicy przerażonej Czarnogóry. Monarchia Habsburgów, która już w 1852 r. pośrednictwem swem wstrzymała była wiążący nad Czarnogórą oręż Omera baszy, po raz drugi zasłoniła przed klęską to wrogie jej gniazdo.

Wypadki miały pójść wytkniętym przez prąd torem. Już w kwietniu nota hr. Andrassego okazała się niewystarczającą. Porcie z trudnością przychodziło przyjąć w niej postawione warunki; powstańców nie zadowolili. Dla zapobieżenia jej niedostatkom, uznano potrzebę zjazdu kierujących ministrów trzech cesarstw. Udał się nań do Berlina hrabia Andrassy w maju. Zaszedł wtedy jakby zamówiony wypadek. Jakiś bey mahometański porwał w Salonice chrześcijańską dziewczynę; stąd krwawe zajścia i zamordowanie 6 maja przez motłoch turecki niemieckiego i francuskiego konsulów. Dobrze urządzona służba wiechrzenia podniosła natychmiast rzecz i niesłychany nadała jej rozgłos. Pod jego wpływem powstało *memorandum* berlińskie,

dzieło rosyjskiego kanclerza ks. Gorczakowa, które hr. Andrassy podpisał. Berlińskie *memorandum* szło nierównie dalej niż nota hr. Andrassego, już dlatego, że pociągnąć mogło za sobą wspólne Austro-Węgier i Rosyi działanie, które teraz stało się jedynym przedmiotem sporu między dwoma w monarchii Habsburgów kierunkami. *Memorandum* było jakby wstępem do zajęcia Bośni i Hercegowiny. *Memorandum* Turcyja przyjąć nie mogła, jakby go przyjąć nie mogło każde inne państwo, mające do czynienia ze zbuntowanymi ludnościami. Wedle niego bowiem miało być zawarte z powstańcami dwumiesięczne zawieszenie broni, podczas którego wojska tureckie winny były opuścić swoje stanowiska i zamknąć się w twierdzach; buntownicy zaś zachowaliby broń. Komisya złożona z chrześcian i mahometan miała się tymczasem zająć przeprowadzeniem napraw pod nadzorem konsulów mocarstw europejskich; rząd turecki miał dostarczyć zapomogi mieszkańcom zbuntowanych krajów, którym spalono domy i których zniszczono mienie; co równało się nagrodzie za powstanie. Wprawdzie hr. Andrassy zostawił przezornie otwartą furtkę, zastrzegając sobie słynne porozumienie od wypadku do wypadku, określające wybornie wewnętrzne i zewnętrzne położenie Austrii, a które trafnie acz bezwiednie przetłumaczył koledze niezbyt bystry, mniej jeszcze biegły w francuskim języku, ambasador w Stambule hr. Zichy słowy: od upadku do upadku! Mógł zresztą mniemać hr. Andrassy, że przez podpisanie rosyjskiego *memorandum* znowu zyska na czasie.

Inny jeszcze, nierównie ważniejszy, donioślejszy wchodził tu w grę czynnik, a pod jego działaniem Andrassy z mniejszym wstrętem puszczał się po drodze sprawy wschodniej; być wreszcie może, że był do tego zachęconym w sposób nie dopuszczający odmowy przyjacielskimi lecz stanowczymi radami.

Kto może czemuś przeszkodzić a nie przeszkadza wie, że się to stanie, chce zatem aby się stało. Gdyby ks. Bismarck nie pragnął był podniesienia sprawy wschodniej, on jeden mógł był ją zażegnać i istotniej, niż ks. Gorczakow zapobiegł był w 1875 roku rzekomo zamierzony przez Niemcy wojnie z Francją. Zawikłania na Wschodzie odpowiadały widokom ks. Bismarcka. Przypuszczał, że z ich powodu powstać by mogło porozumienie, któreby stawiło czoło stworzonej przez niego potędze; z właściwą sobie bystrością odgadł przecież, że sprawa wschodnia da najpierw powód do działania, które go zwolni od straży i nadzoru zaprzyjaźnionej Rosyi, że następnie wytworzy współzawodnictwo między nią i monarchią Habsburgów, które zabezpieczy nowe cesarstwo niemieckie i dozwoli mu swobodnie oddychać, oraz używać skutków niesłychanych powodzeń. Wtedy zamiast zażegnać wypadki wschodnie, postanowił wepchnąć w nie Rosyę i Austro-Węgry. Pierwsza bez współdziałania drugich nie mogła przystąpić do działania, w którym każdy krok mógł być niepewnym, stać się niebezpiecznym. Dla osiągnięcia zatem upatrzonych korzyści należało namawiać, zachęcać hr. Andrassego i popchnąć go choćby tylko do wspólnego dyplomatycznego z Rosją postępowania, które zarazem ułatwiałoby i wzmacniało jego stanowisko, wobec własnego Monarchy. Być także może, iż ks. Bismarck, który znał doskonale stosunki monarchii Habsburgów, wiedział, iż do niczego donioślejszego ani chętną ani zdolną nie była. Hr. Andrassy zaś oglądając się, rachując i opierając się na ks. Bismarcku, musiał mu ufać i wierzyć w jego rady.

Memorandum berlińskie zostało zatem podpisane w Berlinie przez trzy cesarstwa północne; inne mocarstwa przystąpiły do niego. Wtem dwa zaszły wypadki, które popsuly ukartowaną grę a przyszły z pomocą hr. Andrassemu. Sultan Abdul-Azis zrzucony został z tronu 30 maja 1876 r.; Anglia odmówiła przystąpienia do *me-*

morandum. Pozwoliło to zyskać znowu na czasie, odwlec przewidziane w *memorandum* wspólne Austro-Węgier z Rosyą działanie i zajęcie Bośni oraz Hercegowiny, które były gorącymi życzeniami stronnictwa przeciwnego zwalniającej polityce ministra spraw zewnętrznych. Hr. Andrassy czuł niebezpieczeństwo *memorandum*, a chociaż umiał panować nad sobą i zatajać się jako dawny spiskowiec, przecież nie zdołał ukryć zadowolenia, na wiadomość o odmowie Anglii i dał, mu w chwili odebrania odnośnego telegramu, głośny wyraz, na korytarzu izby magnatów w Peszcie.

Zrzucenie z tronu Abdul-Azisa i jednoczesne obwołanie sultanem młodego Murada, syna starszego, Abdul-Medschida zmieniało położenie, tak, iż zjazd berliński i *memorandum* przechodziły do historii i traciły znaczenie. Wszyscy mieli rozwiązane ręce; na razie jednoczesne działanie Austro-Węgier i Rosyi stawało się bezprzedmiotowem.

Powodzenie przypadkowe hr. Andrassego nie było stanowczą wygraną, był to rozejm, pozwalający mu odechnąć wśród ciężkiej z prądem walki. Przeciwny kierunek nie dał wcale za wygraną; Rosya nie myślała wcale dać upaść sprawie wschodniej i nie przestała liczyć na zwolenników w Austryi wspólnego działania lub porozumienia; w cichości, to znowu głośno pracowano nad doprowadzeniem związku do skutku; nie porzucono w Wiedniu nadziei pozyskania zaplecznika.

Hr. Andrassy, który wiedział, jak dalece wspólne z Rosyą działanie przeciw Turcyi, dla pozyskania Bośni nie miłym by było Węgrom, Polakom i Niemcom wolnomyślnym, nie łatwe miał zadanie wobec wspólnych Delegacyi, które w tym roku obradowały w Peszcie. Postawiony na cenzurowanem odrzekł w odpowiedzi na zapytanie delegata austriackiego Kurandy, „że nie może dzisiaj nawet pomyśleć sobie ministra, ze stałym jakimś programem, wobec co chwila zmieniających się i nie

dających się obliczyć wypadków“ dodał, „że woli, aby delegat Kuranda i nadal został w niejasności co do tego co ministerium spraw zagranicznych w takim lub owym wypadku robić zamysła, niż żeby on miał zdradzać tajemnice stanu“. Było to postawienie zasady: od wypadku do wypadku, zarazem dowodem kłopotliwego położenia ministra.

Niebawem okręta mocarstw krążyć poczęły po Śródziemnem morzu; Europa stawała na stopie wojennej; Rosya ścigała swe wojska na południe; Serbia i Czarnogóra stały pod bronią; Grecya zbroiła się i coraz głośniej przypominała się. Pierwszego maja wybuchło było w Bułgaryi powstanie i rozpoczęły się tam okrucieństwa tureckie oraz baszybużuków gospodarka.

Natychmiast ambasador rosyjski Ignatiew otoczył Bułgarów opieką i zużytkował okrucieństwa tureckie, aby w Europie wywołać oburzenie. Ks. Gorczakow ze swej strony niczem nie zrażony, wystąpił w czerwcu wobec hr. Andrassego z myślą samorządu Bośni i Hercegowiny; przeprowadzenie nastąpić miało za pomocą dyplomatycznego wmieszania się Europy, któremu przewodniczyłaby Anglia. Na to hr. Andrassy w nocy z 27 czerwca 1876 r. do ambasadora hr. Karolyi w Berlinie, oświadczył stanowczo, iż z myślą ks. Gorczakowa nie zgadza się. Ważne są powody, które przytaczał, albowiem one w znacznej części nakłaniały monarchię Habsburgów do nabycia Bośni i Hercegowiny. Hr. Andrassy w nocy tej twierdził, że książę serbski i Serbia nie dla wywalczenia autonomii Bośni gotują się do walki, ale dla pozyskania jej, tak samo jak ks. Czarnogórski zmierza do wojny, aby nabyć Hercegowinę. Austro-Węgry zaś nie mogą na to zezwolić.

Podczas gdy Serbia i Czarnogóra 2 lipca 1876 r. wypowiedziały Turcyi wojnę i krwawą z nią rozpoczęły walkę, hr. Andrassy z niczem niezachwianym spokojem, przypatrywał się pielgrzynce rosyjskich ochotni-

ków spieszących przez Trzebinę, nawet przez Peszt, na pomoc braciom Słowianom; pielgrzymce, która nowym i dziwnym była przykładem w stosunkach między państwowymi i naigrawaniem się z resztek prawa międzynarodowego. *Memorandum* berlińskiego niepowodzenie nie opóźniło było wypadków, lecz rozstrzygające nie były jeszcze dojrzałe.

Wojna Serbii i Czarnogóry przeciw Turcyi, tocząca się u granic monarchii Habsburgów, dozwoliła im dojechać i dożyć sprawie wschodniej, do konferencji konstantynopolińskiej.

Tymczasem jednak klęska, którą ta wojna ścierała na Serbię i ofiary, które poniosła Czarnogóra, słowem straty i wycieńczenie Słowian tureckich stały się atutem w grze hr. Andrassego, którego wartość przeceniono przecież, zwłaszcza w Peszcie. Wprawdzie upuszczono krwi Słowianom i zyskano na czasie, lecz tym razem Rosya zaczęła go użytkowywać dla przygotowań wojennych.

„Może jestem dobrą, zwykle jestem uzdolnioną, ale z rzemiosła muszę chcieć strasznie czego chcę i oto mniej więcej co jestem warta a nie więcej“¹⁾.

Słowa te znajdują się w liście Katarzyny II, cesarzowej rosyjskiej, z 3 sierpnia 1774 r. do Grimma. Określają one Rosyę i jej politykę; wielki umysł monarchini, potrafił w trzech wierszach, podając własny wizerunek, streścić Rosyę i jej politykę. Od Iwana i Piotra wielkiego, Rosya chciała strasznie tego, czego chciała; od Katarzyny dodała do tej woli powaby zalotności, która wydawać się może czasem dobrocią i wielkie uzdolnienie, któremi stopniowo postępowała naprzód.

¹⁾ Je suis peut-être bonne, je suis ordinairement douée, mais par état je suis obligé de vouloir terriblement ce que je veux et voilà à peu près tout-ce-que je vaux et pas plus.

Wobec wypadków na Wschodzie Rosya otaczała się urokiem dobrej sprawy i strasznie chciała tego czego chciała, za rząd swój i za monarchę słabego i waha-
jącego się, który przecież na tyle był rosyjskim, aby pójść nawet wbrew skłonnościom osobistym, za głosem historycznym i politycznym narodu i który także po-
trafił chcieć strasznie tego czego chciał w Polsce po po-
wstaniu 1863 r., tak dalece, iż powiedziano, że jest no-
wym zjawiskiem w przyrodzie, bo tygrysim baranem.

Liczne były powody, które skłaniały Rosyę do pod-
niesienia dawnego jej dziejowego zadania wschodniego.
Najpierw historyczność jego i religijność, podniecone
świeżo wpływem wywartym przez zasadę narodowości.
Chęć ks. Gorczakowa i społeczeństwa przedarcia trak-
tatu paryskiego, odwetu za wojnę krymską. Wreszcie
poczucie coraz silniej rozwijające się, że w ostatniej wiel-
kiej grze światowej, lwia część dostała się Niemcom,
że Rosya musi zrównoważyć niezmierne korzyści przez
nie osiągnięte i ta zazdrość, która tak u ludzi jak państw
i narodów, w pomyślności innych, widzi własną szkodę
i zaostrza pożądliwość.

Istotnie zasady polityki rozumnej, nakazywały Ro-
syi postąpić naprzód, aby nie dać się prześcignąć i ze-
pełnać. Wielkie państwo musi zawsze uprzytomniać so-
bie piękne słowa kardynała Richelieu: „Kto na drodze
sławy i chwały nie postępuje i nie wznosi się, ten cofa
się i upada“¹⁾.

Rosya chcąc iść za przykładem Włoch i Niemiec,
chcąc je doścignąć, musiała stanąć na gruncie słowiań-
skim, bo rosyjskiego nie miała już, jak taute włoskiego
i niemieckiego, do zdobywania. Mogła była stanąć za-
miast na wschodnim słowiańskim, na polskim i chcieć
odrobić podział, ale natrafiała tu na dwa inne rozbio-

¹⁾ En la voie de l'honneur et de la gloire, ne s'avancer et ne
s'élever pas c'est reculer et déchoir.

rowe mocarstwa, zamiast na odosobnioną Turcyę; zresztą powstanie 1863 r. wpędziło ją byłą na inną drogę i tępiła polskość wtedy, kiedy zapagnęła oswobodzić Słowian półwyspu bałkańskiego. Zespolenie polityki rosyjskiej z religią, było wreszcie głównym powodem dla którego nie w katolickich krajach słowiańskich lecz w prawosławnych szukała wzrostu swej potęgi i przyszłości.

Rosya zatem zaczęła chcieć strasznie. Rząd, który miał wtedy do walczenia z wielkimi wewnętrznymi trudnościami, z nihilizmem i gnębieniem polskiego żywiołu, tem mniej zdolnym był oprzeć się prądowi za Słowianami tureckimi, ale z istoty swej musiał być rozważnym i wstrzymywać wypadki dopóki nie przygotuje ich wojskowo i dyplomatycznie. Prąd narodowy naśladowując włoskie wyprawy Garibaldeczyków, pod uroczym wpływem napoleońskiej zasady narodowości, wyprzedzał rząd i wysyłał ochotników na pomoc Serbii, czemu rząd nie tylko nie sprzeciwiał się, ale raczej do czego zachęcał, chcąc przygotować tym sposobem grunt dla własnego działania, zarazem pozbyć się niebezpiecznych i ruchliwych wewnątrz żywiołów.

Powtarzały się też działania i zdarzenia z zapasów o jedność włoską i jedność niemiecką. Używano tych samych środków i środków, sposobików i sposobów; komitetów, spisków, wiechrzeń; wywrotowych sprężyn do państwowych celów.

Rząd jednak rosyjski nie mógł kroku stanowczego zrobić naprzód, nie wyjaśnwszy stosunku Austro-Węgier do Rosyi i przygotowanej wojny, tak samo jak Piemont bez zapewnienia się co do Francyi a Prusy co do Rosyi. Wszelkie bowiem działania wojenne Rosyi za Dunajem są w najwyższym stopniu niebezpieczne bodaj czy niemożliwe, jeżeliby groziły im z tyłu wojska monarchii Habsburgów. Chcąc zatem podnieść wojennie sprawę wschodnią, Rosya musiała albo rozprawić się

najpierw z Austro-Węgrami, albo wciągnąć je do jednoczesnego przeciw Turcyi działania, albo naklonić je do neutralności.

Hr. Andrassy, jak już wiemy, pragnął, nie mogąc rozprawić się z Rosyą i odepchnąć ją od Wschodu, zapobiedz przynajmniej jednoczesnemu z nią działaniu; on zmierzał teraz do tego, aby Rosya i Turcyja najprzód osłabiły się wojną i aby następnie, skoro inaczej być nie mogło, monarchia Habsburgów przynajmniej jak najmniejszym kosztem, nabyła Bośnię i Hercegowinę, Przeciwnie mu stronnictwo wojskowo-słowiańskie pchało do wspólności z Rosyą. Monarcha stał pośrodku, mając jedynie oczy zwrócone na Bośnię i Hercegowinę.

Rosya ze swej strony nie chciała na razie pierwszego użyć sposobu, to jest rozprawy z Austro-Węgrami, najpierw, że przedsięwzięcie przy pomocy, jaką by im Turcyja była użyczyła nie było łatwem, powtóre, iż wcale nie wiedziała, jakie w takim wypadku zajęło by stanowisko cesarstwo niemieckie, raczej, że przeczuwała, iż ks. Bismarek sprzeciwi się stanowczo takiemu obrotowi rzeczy. Rosyi zatem pozostawały dwa drugie sposoby; wciągnięcie Austro-Węgiek do wspólnego czy jednoczesnego działania, lub zapewnienie sobie ich neutralności.

Wobec wojny Serbsko-Czarnogórskiej, która nie obracała się na korzyść sprawy, co była Rosyi sprawą, cesarz Aleksander II uczuł tem większą, tem pilniejszą potrzebę zetknięcia i porozumienia się ostatecznego z cesarzem Franciszkiem Józefem I.

Od pewnego czasu był w Petersburgu jako wojskowy pełnomocnik austriacko-węgierski, młody, świetny oficer kawalerji bar. Bechtolsheim. Cesarz Aleksander, który znajdował się w Ems, zawezwał go do siebie i oświadczył, że chce się widzieć z cesarzem Franciszkiem Józefem. Bar. Bechtolsheim natychmiast udał się do Wiednia; cesarz nie chcąc zbyt ciężko trudzić po ku-

racyi cesarza Aleksandra, postanowił pojechać na pół drogi i spotkać się z nim w Reichstadt. Odbył się tam zjazd dwóch monarchów 8 lipca 1876 r. i na nim przyrzeczoną została w razie wojny Rosyi z Turcyą neutralność Austro-Węgier, za co nabywały wobec Rosyi prawa zajęcia Bośni i Hercegowiny, wtedy kiedy uznają to za stosowne.

Młodziutki następca tronu Arcyksiążę Rudolf zle dla Rosyi usposobiony, był przy boku rodzica w Reichstadt i później opowiadał wiedeńskiemu dziennikarzowi Szepsowi, jako przypomina sobie, iż dosłyszał, że cesarz Aleksander II rzekł do cesarza Franciszka Józefa, wskazując na mapę Wschodu: „To do Ciebie to do Mnie należeć będzie“.

Cesarz Aleksander żądał, aby działano na publiczność, zwłaszcza węgierską, w duchu porozumienia się i przyjaznego postępowania monarchii Habsburgów z Rosyą i zdawał się do tego nie małą przywiązywać wagę.

W Reichstadt zatem zwyciężył kierunek hr. Andrassego; neutralność, nie zaś wspólne lub jednoczesne działanie. Lecz neutralność Austro-Węgier umożliwiała Rosyi wypowiedzenie wojny Turcyi.

Dnia 9 lipca 1876 r. hr. Andrassy telegrafował do ambasadorów Beusta w Londynie i Gravenegga w Rzymie: „Zawiadomić poufnie, że skutkiem spotkania w Reichstadt jest, iż usuwając wszelkie nowe wnioski, postanowiliśmy trzymać się w obecnych okolicznościach, nieinterwencyi. Dopiero, gdyby wypadki tego wymagały i powstał określony powód, przysłoby do sprowadzenia dalszego, na zaufaniu opartego porozumienia, między wszystkimi chrześcijańskimi mocarstwami“.

Lord Derby, angielski minister spraw zewnętrznych, rzekł na to, z wielkiem zadowoleniem: „Iż teraz dopiero powiedzieć może, że niema obawy ogólnej wojny, co tutaj tak bardzo niepokoiło“.

ROZDZIAŁ VI.

Położenie wewnętrzne w Austrii. — Związek kierunków zewnętrznych z wewnętrznymi. — Wolność w monarchii Habsburgów ani zdobyta ani nadana, jest następstwem klęsk państwa. — Stronnictwo wojskowe. — Jego słowiańskie skłonności. — Arcyksiążę Albrecht i sztab główny chcą sojuszu z Rosyą i nabycia Bośni oraz Hercegowiny. — Pierwsza wzmianka o niem uczyniona Rosyi. — Baron Bechtolsheim. — Jednoczesna nadzieja wewnętrznych zmian. — Tym sprzyjać nie może hr. Andrassy. — Baron Beck i hr. Andrassy. — Neutralność, względnem zwycięstwem, polityki hr. Andrassego.

Do przyczyn przemawiających, w oczach stronnictwa sprzyjającego w Austrii przymierzem z Rosyą, za wspólnem w sprawie wschodniej działaniem i za zajęciem przez Austro-Węgry krajów tureckich, następnie przyłączeniem ich, przydać należy jeszcze jedną niepodrędną.

Pomimo przykładnej, nieraz podziwienia godnej sumiennosci cesarza Franciszka Józefa I, w spełnianiu przyjętych zobowiązań konstytucyjnych, oraz wypływających z dualistycznej ugody z Węgrami, niepodobna aby wybryki, śmieszności, niedołęstwo, zła wiara i nadużycia porządku rzeczy parlamentarno-dualistycznego, z przewagą w nim wolnomyślnych żywiołów, nie wywoływały były wstępu i obaw, nie urażały uczuć, obrażeń i tradycyi domu panującego oraz wiernych jego sług wychowanych w najlepszych zasadach, powagi władzy, którzy mieli przekazaną sobie od wieków umiejętność rządzenia.

Nie trzeba nigdy zapominać, że wolność w monarchii Habsburgów nie została ani zdobyta ani nadana, lecz była następstwem nieszczęść i klęsk państwa. Nie nie zetrze z niej znamion tego pochodzenia i dlatego wszelkie wolności nadużycia i wyzyskiwania samolubne a niebaczne swobód, tak dobrze w Austrii jak w Węgrzech nie są szkodami tej lub tamtej części, tego lub owego stronnictwa, ale wprost dalszemi, państwa nieszczęściami i klęskami.

Do tego wolnomyślność austriacka mniej gwałtowna niż gdzieindziej, jest wielce dokuczliwą, nie ma wielkiej tradycyi rządu, bo zaledwie biurokratyczną i nie posiadając zgola zmysłu władzy, gotowa jest zawsze zaprzepaścić jej zasadę. Nie może zatem zaspokoić ani zadowolić tych, którzy widzą w sile i powadze rządu rękojmię bezpieczeństwa i wielkości państwa, a w wierności odpowiednim zasadom, jego chlubę. Pomimo licznych zmian, gwałtownych wstrząśnień i dalej sięgających powolnych przeistoczeń, zasada dynastyczna i uczucie dynastyczne, pozostały były jeszcze dość silnemi w monarchii Habsburgów, może jedynemi nie całkiem zszarzanemi i sponiewieranemi, wznoszącemi się ponad sporami stronnictw i zapasami, nawet odśrodkowemi dążnościami narodowości. Dom Habsburgów nie przestał być być uosobieniem i spójnią monarchii Habsburgów.

Wobec zatem ujemnych stron wolnomyślno-dualistycznego porządku rzeczy, wobec słabniejącego w nim pierwiastku władzy, przyjść mogła myśl i chęć odwołania się od niego do dodatniej i żywotnej zasady dynastycznej oraz uczucia i oparcia na nich rządów mniej wolnomyślno-dualistycznych, silniejszych, zgodniejszych z przeszłością monarchii, niż świeży, sztuczny twór hr. Beusta.

Właśnie wtedy ujawniały się jego ujemne strony, zwłaszcza najniedorzeczniejsze, lekkomyślne i bezrozumne postanowienie dualistycznego związku, polegające

na odnawianiu co lat dziesięć umowy handlowo-cłowej przez parlamenta, albowiem układy w tej mierze ciągnęły się od dłuższego czasu przykro, bezowocnie i wywoływały przesilenia w rządach obydwóch połów monarchii.

Właściwy żołnierzom zmysł ładu i władzy czynił z kół wojskowych rzeczników, zwrotu ku pierwszemu i drugiej; tem więcej, że w onym czasie znacznym był w nich żywioł słowiański, a wzmocnienie władzy monarchicznej i przeistoczenie porządku rzeczy dualistyczno-wolnomyślnego, budziło nadzieję lepszej dla Słowian w monarchii przyszłości. Wolnomyślność austriacka opierała się na dualizmie, dualizm zaś oparty na wolnomyślności był tworem jednej chwili, bez głębiej zapuszczonych korzeni. Młode jego oblicze pokrywać się zaczęło przedwczesnymi zmarszczkami. Znoszono go, lecz czuć się dawały jego słabe strony. Istniał jak Turcja, dlatego, że nie wiedziano co na jego miejsce postawić. Przecież miał jeszcze wielu i to zawziętych przeciwników. Poczęli się oni skupiać i szeregować około wewnętrznych i zewnętrznych zamiarów oraz widoków.

Pozostałe wspomnienia i wyobrażenia o Rosyi z czasów Mikołaja I, z czasów przed austriacką niewdzięcznością, podsycane i wzmocnione, pomimo stanu rzeczy w sąsiednim państwie za panowania Aleksandra II, olśniewającą jeszcze władzą i majestatem cara, wyrobiły w pewnych austriackich kołach, zwłaszcza wojskowych, mniemanie, że opierając się zewnątrz na przymierzu z Rosyą, możnaby łatwiej dojść wewnątrz do ładu i wzmocnienia władzy, wyzwolić się z więzów sztucznego politycznego tworu. Wedle tego rozumowania, wspólne z Rosyą na Wschodzie działanie w zamiarze przyłączenia słowiańskich krajów tureckich, podwójnie dopomódz miało do dopięcia wewnętrznego celu. Samo już przymierze z państwem samowładczem, miało być cudownym balsamem, gojącym ranę wolnomyślności;

zwiększenie i wzmocnienie żywiołu słowiańskiego w monarchii, miało posłużyć do zadania ciosu dualizmowi.

Tak więc polityka ta miała zewnątrz zapewnić łatwe zdobycze, wewnątrz pożądaną, zbawienną zmianę. Były to za piękne złudzenia! Sprzyjać im nie mógł, przedstawiciel w rządzie dualizmu i Węgier, hrabia Andrassy.

Między rzecznikami powyżej określonej polityki znajdował się, członek rodziny cesarskiej, dostojny urodzeniem i osobistą wartością, uświetniony jedynem na łądzie w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia austriackiem zwycięstwem, wierny syn Austrii, pełen poświęcenia sługa monarchy, arcyksiążę Albrecht.

Był on zwolennikiem ścisłych z Rosją stosunków i pozyskania pleców dla Dalmacyi, zalecanego wciąż przez główny sztab, oraz przywrócenia silnej władzy monarszej. Zwycięzca z pod Custozzy głośno dawał wyraz swoim przekonaniom i zapatrywaniom. Arcyksiążę Albrecht żywo zajmował się sprawą publiczną i wojskowością; z obowiązku, bez wyższych zdolności. Tego co on kroju ludzie lepiej czują niż rozumują, ich uczucia sięgają dalej niż ich wzrok. W warunkach, w jakich znajdowała się monarchia Habsburgów, członek domu panującego, przedstawiciel związku z jednym z dwóch potężnych sąsiadów, mógł jej oddać nie małe usługi. Istotnie arcyksiążę Albrecht był jawnym łącznikiem między Petersburgiem i Wiedniem. Często udawał się na ćwiczenia wojskowe nad Newę lub do Warszawy. W 1870 r. w chwili przygotowujących się wielkich wypadków był w Warszawie na ćwiczeniach wojskowych i otrzymał wielką wstęgę św. Jerzego. W 1874 r. z polecenia cesarza udał się znowu do Rosyi. Rozpoczął podróż 7 lipca przez Warszawę; stamtąd wraz z Aleksandrem II pospieszył do Petersburga gdzie 15 tego miesiąca cesarz nadał mu przed frontem naczelnictwo pułku Wilmanstandszynskiego. Arcyksiążę odwiedził Moskwę, powrócił 21

do Petersburga i do 31 brał udział w ćwiczeniach wojskowych w obozie w *Krasnojem Siole*. Odwiedziny te nie mogły jak tylko korzystnie wpływać na stosunki między dwoma dworami, petersburskim i wiedeńskim, mogły posłużyć do bezpośredniej między niemi zamiany myśli w najważniejszych zadaniach europejskich. Z serdeczności osobistej wnosić wolno nieraz nie tyle o jej szczerości jak o wspólności widoków. Nie odpłacano się wcale w Petersburgu niewdzięcznością Głównemu Nadzorcy wojsk austriacko-węgierskich. Stanowisko syna bohatera z pod Aspern było na dworze rosyjskim wyjątkowem, nawet wtedy jedynem. Z właściwą dworskiemu światu nad Newą poufała, zbyt czasem poufała uprzejmością, nazywano go: *Nasz Arcyksiążę*. Były drobne, subtelne odcienia we wzajemnie czułym stosunku. Arcyksiążę obdarzony zwykłą wówczas w jego rodzie, łatwością mówienia obcemi językami, skoro przejeżdżał granice rozległego państwa cara, przemawiał po rosyjsku

Dnia 7 grudnia 1875 r. arcyksiążę Albrecht przybył do Petersburga na coroczną uroczystość orderu św. Jerzego. Przywiózł dla Aleksandra II kawalerski order Maryi-Teresy, wraz z własnoręcznem pismem Franciszka Józefa I. Car uradowany prosił arcyksięcia, aby przysłał mu przysłane insygnia orderu.

Ważne arcyksiążę otrzymał był od swojego cesarza posłannictwo; przedstawić bowiem miał Aleksandrowi II konieczność dla Austro-Węgier nabycia Bośni i Hercegowiny. Z niemałą trudnością przyszło arcyksięciu Albrechtowi wykonać rozkaz cesarski, do ostatniej chwili ociągał się ze spełnieniem polecenia. Wreszcie przy pożegnaniu zdobył się na odwagę i poruszył rzecz o Bośni i Hercegowinie.

Cesarz Aleksander II, który wskazywał monarchii Habsburgów świetne na Wschodzie widoki dopóki mglistemi były, wobec określonego życzenia, zdziwił się wielce, niemal przeraził się i odrzekł, że to rzecz wielkiej wa-

żności, o której niepodobna mówić pobieżnie, ani na razie załatwić.

Cesarz Aleksander II udając się do Reichstadt wiedział zatem jakie będzie żądanie, jaki warunek porozumienia z monarchią Habsburgów. Godził się już przybywając tam, na podział zysków, sądząc, że to nie będzie podział wpływu.

Prócz arcyksięcia Albrechta głównej spójni między *Pałacem Zimowym* i *Burgi*, między *Carским Siołem* a *Schönbrunem*, były inne, nici łączące dwa dwory. Arcyksiążę Albrecht miał dar jednania sobie serc i miał liczny zastęp towarzyszków broni, dzielących jego przekonania, gotowych zawsze i wszędzie je wspierać.

Nigdzie jak w Petersburgu nie umiano wyzyskiwać osobistego pociągu i przychylności; przypodobać się, olśnić, przywiązać i przekonać a skorzystać. Wskazówki i zdania o wewnętrznym położeniu Rosyi, o wojsku, często dochodziły do Wiednia przedstawione w nader korzystnym świetle, ozdobione i zwiększone zręcznie nastrojonem usposobieniem.

Między robotnikami około przywrócenia i utrzymania dobrych z Rosyą stosunków, odznaczał się bystrością i czynnością młody oficer, który już zdobył sobie był pod dowództwem arcyksięcia Albrechta, krzyż Maryi Teresy za świetny czyn pod Custozzą. Od zamordowania w 1870 r. w Petersburgu wojskowego pełnomocnika austriacko-węgierskiego ks. Aremberga, miejsce jego zajmował baron Bechtolsheim. Gorąco polecony cesarzowi Aleksandrowi II i dworowi petersburskiemu przez ks. Heskiego, brata carowej, stał się on pośrednikiem coraz to serdeczniejszej zamiany myśli między Petersburgiem i Wiedniem. Już w 1870 r. na rewii w Warszawie Aleksander II odpiął krzyż św. Jerzego i przypiął go na piersi bohatera z włoskiej wojny. Odtąd szczególnymi względami zaszczycał barona Bechtolsheima. Wyrażał przed nim życzenie zachowania scisłych z mo-

narchią Habsburgów związków i przez czas wojny niemiecko francuskiej przestrzegał, iż winna ona pozostać neutralną, gdyż na wypadek, gdyby Francyi przysła z pomocą, Rosya musiałaby przeciw niej wystąpić.

W 1875 r. na wieczorze u syna kanclerza ks. Gorczakowa, ten w obecności bar. Bechtolsheima zapowiedział swój z cesarzem Aleksandrem wyjazd do Berlina i z wielką pewnością, nie mniejszą prozopopeją oświadczył, iż przeszkodzi zamierzonej Niemiec z Francją wojnie i narzuci warunki, pod któremi pokój utrzymanym będzie. Bar. Bechtolsheim udzielił tej wiadomości generałowi Totleben, ten powtórzył ją ambasadorowi niemieckiemu ks. Reuss, a przez niego doszła do Bismarcka, który poskarżył się przed hr. Karolim, ambasadorem austriacko-węgierskim w Berlinie, iż bar. Bechtolsheim nieprzyjazne zajął w Petersburgu dla Niemiec stanowisko; co mu nie zaszkodziło. Hr. Andrassy w liście napisanym do niego, rozgrzeszył go najzupełniej.

Rosyanie, którzy nie mają równych sobie w dokuczaniu gdy się mszczą, mistrzami są w sztuce przypodobania się; gdy zjednać sobie i pozyskać pragną lub potrzebują, jak nikt, umieją użyć czarów wykwintnej uprzejmości i subtelnego pochlebstwa; zrećźnie potrafią pozyskać. Do ich gościnności należy obdarzanie czarodziejskimi okularami, przez które widzi się Rosyę.

Gdy się rozpoczęły wypadki wschodnie, miał w nich poniekąd z góry wyznaczone miejsce bar. Bechtolsheim. Do niego z zaufaniem zwracał się cesarz Aleksander oraz wojskowe koła austriacko-węgierskie. Był on łącznikiem i nieraz powoływano go z Petersburga czy Liwadyi do Wiednia, dla zasiągnięcia wiadomości lub znoszenia się z sąsiadem. Dworskie i wojskowe koła w monarchii Habsburgów, omawiały bowiem z upodobaniem korzyści przymierza austriacko-rosyjskiego. Przyjazny w Petersburgu zwrot do Austro-Węgier, był im miłym i dodawał im otuchy. Znaczenie w Rosyi, w tem

wyjatkowem państwie, najwyższej władzy, górujące jej stanowisko nad wszystkim i wszystkimi, tak bardzo różne od tego, które wyznaczonem jest jej w konstytucyjnym ustroju, blask caratu, wszystko to uprzytomniało niejedną słabą stronę austriacko-węgierskich stosunków i samem już porównaniem wywoływało tęskne za innym porządkiem rzeczy pragnienie. Pod wpływem tych rozpamiętywań mogły dworskie i wojskowe koła wiedeńskie, upatrywać w zbliżeniu się do Rosyi, do państwa wolnego od więzów wolności, w ścisłem z niem przymierzu i wspólnem działaniu, sposobność i ułatwienie wystąpienia wewnątrz, przeciw nieznośnemu i drażniącemu porządkowi rzeczy. I dziwić się nie można, że ta, choć złudna nadzieja, uśmiechała się.

W Petersburgu miano oddawna zwyczaj zwracania baczniejszej uwagi na słabe niż na silne strony obcych, zwłaszcza sąsiednich dworów; znano tam przeważające na nich usposobienia, uczucia, żądze, żale, tęsknoty, pragnienia, nadzieje; umiejętne ich wyzyskiwanie jest jedną z historycznych sił Rosyi. To też podczas gdy komitety panslawistyczne i ich wielczona coraz większą rozwijały czynność i oddziaływały szkodliwie na wewnętrzne w Austrii położenie, na stosunki i narodowości słowiańskie, oraz podkopywały powagę władzy, jednocześnie, w ostatnich zwłaszcza czasach, okazywano w Petersburgu niezwykłą dbałość i troskę o wzmocnienie tej władzy, o majestat korony, litowano się nad jego poniżeniem, oburzano się na wymagania i nadużycia wolnomyślności i parlamentaryzmu, ubolewano nad krępowaniem woli, skłonności i uczuć Monarchy. Nie omieszkało nigdy okazywać jęczącego ranę współczucia, życząc, nawet radząc, zmianę, dając do zrozumienia, że przy dobrem z Rosyą porozumieniu łatwiej przyjdzie ją sprowadzić, wskazując ją jako warunek rzeczywistego, trwałego sojuszu. Starzejący się kanclerz rosyjski ks. Gorczakow, zapuszczał się nieraz z przebywającymi w Pe-

tersburgu Austryakami z zachowawczego obozu, w rozprawie w tym duchu a jedną rozmowę zakończył słowy: *On m'a prété un mot, que je n'ai jamais dit: l'Autriche n'est pas un état, ce n'est qu'un gouvernement. Mais franchement aujourd'hui, elle n'est même plus un gouvernement.* „Twierdzono, iż powiedziałem słowa, których nigdy nie wyrzekłem: Austrya nie jest państwem, to tylko rząd. Ale mówiąc szczerze, dziś nie jest ona nawet rządem“. To zdanie i inne podobne powtórzone w Wiedniu przy opisach potęgi i świetności caratu i wyliczaniu jego sił wojskowych, wzmacniały pragnienie przymierza z Rosją i utwierdzały w mniemaniu, że ono korzystnie wpłynie na wewnętrzne stosunki; tak, że stopniowo okolo myśli tego sojuszu, skupiły się wszystkie niemal zachowawcze żywioły i dążności.

Zachowawcze żywioły w Austrii, opierając się o mniej uwzględnione narodowości słowiańskie, dążąc do uznania praw historycznych i narodowych ludów słowiańskich, wobec przewagi wolnomysłnych Niemców i dualizmem złączonych Węgrów; zarazem zmierzając do przymierza z Rosją, której panslawistyczno-prawosławne wichrzenia niebezpiecznymi czyniły dla bytu monarchii Habsburgów, słowiańskie pragnienia, stwarzały zamęt pojęć. Niepodobna było nie widzieć ujemnych stron zmian wewnętrznych acz pożądaných, lecz zaprowadzonych w skutku zewnętrznego sojuszu; nie bowiem niema gorszego, jak kiedy wewnętrzna polityka ulega zewnętrznej, gdyż zewnętrzna winna być następstwem wewnętrznej.

Przewaga Słowian w monarchii Habsburgów zdobyta za pomocą przymierza z Rosją, musiałaby była na szkodę pierwszej, na korzyść drugiej się obrócić. Gdyby żywioł polski był silniejszym w monarchii, gdyby chciał i potrafił, mógł był on jeden posłużyć, do pomysłnego rozwiązania zadania.

W ówczesnym stanie rzeczy hr. Andrassy tak z wewnętrznych jak zewnętrznych przyczyn, musiał w głębi duszy i przekonania być przeciwnym polityce kół wojskowych i zachowawczych; z czego wynika, że do końca, że aż do zajęcia Bośni i Hercegowiny, wbrew poniekąd sobie samemu i przymusowo postępował. Osoba, która znajdowała się w 1876 roku przy głównej kwaterze podczas wielkich ćwiczeń wojskowych na Morawach, mówiła nam; że gdy wojskowi, zwłaszcza ówczesny naczelnik wojskowej kancelaryi cesarskiej, późniejszy naczelnik głównego sztabu, baron Beck, wciąż ubolewał nad ociąganiem się z zajęciem Bośni i Hercegowiny; hr. Andrassy nie opuszczał żadnej sposobności, aby wykazywać, iż niepodobna jest działać na szkodę Turcyi, bo to najlepszy sąsiad i najpewniejszy w danym razie sprzymierzeniec.

W polityce zewnętrznej, po części w skutku wewnętrznych dążeń zachowawczych i wojskowych kół, uwydatniły się więc podczas wypadków, o których mówimy, dwa przeciwne sobie prądy, dwa kierunki. Równoważąc się wzajemnie w ten sposób, iż jeden nie dopuszczał do wspólnego lub jednoczesnego z Rosyą działania, drugi do stawiania oporu jej zamiarom, wytworzyły one politykę neutralności, która nietylko była postawą przybraną na zewnątrz, ale wynikiem i wyrazem wewnętrznego stanu rzeczy.

ROZDZIAŁ VII.

Rosya pomimo umowy w Reichstadt nie dowierza neutralności Austro-Węgier. — W jesieni 1876 r. stara się zbadać położenie w dwóch kierunkach — Pyta Bismarcka, czy Niemcy pozostaną neutralne w razie wojny Rosyi z Austro-Węgrami; wysłała do Wiednia hr. Sumarokowa dla nakłonienia monarchii Habsburgów do jednoczesnego z nią zajęcia krajów tureckich. — Posłannictwo hr. Sumarokowa spełza na niczem. — Nowe zwycięstwo hr. Andrassego. — Odpowiedź ks. Bismarcka wyklucza korzyści wojny Rosyi z Austro-Węgrami. — Rosya w skutku tego zawiązuje nowe, tajne układy z monarchią Habsburgów. — Zawieszenie broni między Serbią i Czarnogórą a Turcyą. — Znacząca i groźna mowa cesarza Aleksandra II w Moskwie. — Głos publiczny w Anglii podnosi się za chrześcianami tureckimi. — Postanowiona jest konferencya mocarstw w Konstantynopolu. — Pełnomocnik angielski lord Salisbury w przejeździe, odwiedza dwory europejskie. — Pierwsze posiedzenie konferencyi i ogłoszenie konstytucyi tureckiej Midata baszy. — Turcy odrzuca warunki postawione przez konferencyę, która spełza na niczem. — Rosya zawiera z Austro-Węgrami konwencyę z 15 stycznia 1877 r. która zapewniając neutralność monarchii Habsburgów za zezwolenie zajęcia Bośni i Hercegowiny, umożliwia wojnę Rosyi z Turcyą. — Konwencya jest przeciw zwycięstwem polityki hr. Andrassego. — Przyczyniają się do niego nieporadność i opieszałość rosyjska w przygotowaniach wojennych. — Zmniejszenie wyobrażenia o sile ostudza chęć wspólnego działania. — Nota ks. Gorczakowa z 31 stycznia 1877 r.

Rosya pomimo ustnej umowy w Reichstadt nie dowierzała neutralności Austro-Węgier a wiedziała, że w jej braku, nie podobna było, ze względów strategicznych, przedsięwziąć wojny za Dunajem.

W jesieni 1876 r. w dwóch kierunkach spróbowała zbadać położenie.

W pośmiertnych *Myślach i Wspomnieniach* ks. Bismarcka w rozdziale XXVIII *Kongres Berliński* czytamy: „W jesieni 1876 r. otrzymałem w Warzynie cyfrowany telegram od naszego wojskowego pełnomocnika generała Werdera. W tym telegramie wysłanym z Liwadyi, pytał na żądanie cesarza Aleksandra, czy w razie wojny Rosyi z Austryą, pozostaniemy neutralnymi. Postawienie takiego pytania, taką drogą, było zwichnięciem dyplomatycznych tradycji. Było zatem ze strony cesarza Aleksandra postępowaniem zupełnie niezgodnem ze zwyczajami dyplomatycznymi, użycie, zapewne za sprawą ks. Gorczakowa, generała Werdera, do postawienia nam tego doktorskiego zapytania. Gorczakow usiłował wtedy dowieść swojemu cesarzowi, że moje do niego przywiązanie i moje współczucie dla Rosyi nie były szczeremi a przynajmniej były „platonicznemi“; tak to chciał on podkopać zaufanie cesarza do mnie i później powiodło mu się to. Zanim odpowiedziałem na pytanie Werdera, spróbowałem uciec się do zwlekających oświadczeń, jako powód podałem, iż niepodobna mi odpowiedzieć bez upoważnienia mojego monarchy a gdy nalegano, zaleciłem przesłać zapytanie do ministerstwa spraw zewnętrznych w Berlinie, za pośrednictwem rosyjskiego ambasadora i drogą urzędową acz poufną“.

Jednocześnie niemal cesarz rosyjski zwrócił się do cesarza Franciszka Józefa. Rosya bowiem poczęła gromadzić siły wojskowe na swej południowej granicy a punktem ich zbornym miał być Kiszeniew.

Im więcej zaś zbliżała się chwila przekroczenia granicy tureckiej, następnie Dunaju, tem silniej czuła Rosya niebezpieczeństwo grożące jej od Austro-Węgier i tem bardziej widziała zabezpieczenie nie w obietnicy neutralności danej w Reichstadt, lecz we wspólnem, wzglę-

dnie, jednoczesnem dwóch mocarstw działaniu. Zrobiła też w tym kierunku wysilenie.

Obok urzędowej polityki neutralności hr. Andrassego i parlamentów, nie ustawały poufne między Liwadą, gdzie przebywał cesarz Aleksander II w jesieni 1876 r. a Burgiem, zwierzchnia i usiłowania. Ich jawnym wyrazem stało się wysłanie z Liwady do Wiednia hr. Sumarokowa z własnoręcznym listem cesarza Aleksandra do cesarza Franciszka Józefa. Posłannictwo rosyjskiego generała zmierzało do zlania w jeden, dwóch kierunków, które ścierały się w monarchii Habsburgów: kół wojskowych i zachowawczych, głównego sztabu, z arcyksięciem Albrechtem na czele, oraz hr. Andrassego i parlamentów, w jeden, któryby się oświadczył za wspólnem Austro-Węgier z Rosją względnie jednoczesnem działaniem. Zlanie się dwóch kierunków, stawało się tem potrzebniejszym dla Rosyi, przed rozpoczęciem wojny, że jeżeli pierwszy przedstawiał chęć i wolę, drugi rozporządzał środkami urzeczywistnienia chęci i spełnienia woli.

Hrabia Sumarokow stanął w Wiedniu 26 września. Przybycie jego nie małe wywołało wrażenie i oczekiwanie ważnych postanowień. Kozacy, których miał w swej służbie, budzili ciekawość Wiedeńczyków, przypatrywali się im jako zwiastunom związku monarchii, z sąsiedniem mocarstwem. Cesarz Franciszek Józef przerwał polowanie w Neuberg, gdzie bawił w towarzystwie króla saskiego i pospieszył do Wiednia, dla przyjęcia hr. Sumarokowa. Ten wręczył list cesarza Aleksandra, w którym znajdowało się wyraźne zapewnienie, że polityki swej nie odłączy od austro-węgierskiej. Jednocześnie jednak hr. Sumarokow postawił ustne życzenie, wspólnego, względnie jednoczesnego bezzwłocznego wkroczenia Austro-Węgier i Rosyi do krajów tureckich. Rosya zająć miała Bułgaryę, Austro Węgry, Bośnię, Hercegowinę i Serbię. Hr. Andrassy odpowie-

dział, iż nie widzi powodu do takiego pospiechu; zdaniem jego, należało jeszcze na drodze dyplomatycznej spróbować nowego w Konstantynopolu kroku, określając dobitnie, czego się od Porty żąda i jakie mają być przez nią wprowadzone ulepszenia; gdyby ta próba zawiodła, wtedy hr. Andrassy uważał za stosowne zarządzenie demonstracyi okrętów Anglii, Austro-Węgier, Francyi, Włoch i sądził, że nacisk w ten sposób wywarty, dostatecznym się okaże. Po tej odpowiedzi, wręcz odmownej, generał Sumarokow dał do zrozumienia, iż rząd rosyjski nie będzie już mógł zapanować nad nastrojem publicznym u siebie, ani powstrzymać ogólnego prądu, że zatem mógł by być zmuszonym do natychmiastowego działania, nawet gdyby Rosyi przyszło samej jednej wystąpić. Zapytał, jakie byłoby w takim razie zachowanie się Austro-Węgier. Hr. Andrassy odpowiedział, iż na ten wypadek, żadnej obietnicy dać nie może, gdyż postępowanie swoje, zastosować będzie musiał, do zachowania się innych mocarstw. Hr. Sumarokow ozdobiony wielką wstęgą Leopolda wyjechał z Wiednia 3 października udając się do Liwadyi. Pożegnał go na dworcu arcyksiążę Albrecht umyślnie przybyły do stolicy dla widzenia się z wysłannikiem cesarza Aleksandra. Hr. Sumarokow opuścił zatem Wiedeń nie sprowadziwszy ani doczekawszy się zlania się dwóch kierunków, o których wyżej mówiliśmy i tu zapisać należy jedno ze znaczniejszych zwycięstw hr. Andrassego. Hr. Sumarokow mógł się przecież pocieszać nietylko wyjątkowemi względami, których w Wiedniu doznał, także przekonaniem, że chociaż nie zdołał złączyć w jeden dwóch tam ze sobą ścierających się kierunków, Rosya liczyć mogła na jeden, zatem nie obawiać się drugiego.

Czy ze strony rosyjskiej wysłano do Wiednia hr. Sumarokowa wobec ociągania się Bismarcka z odpowiedzią, czy też postawiono kanclerzowi niemieckiemu powyższe pytanie, nazwane przez niego doktorskiem, to

jest badającym puls, dopiero po niepowodzeniu posłannictwa hr. Sumarokowa, stanowczo powiedzieć nie możemy, gdyż ogólne wyrażenie Bismarcka „w jesieni 1876 r.“ nie pozwala tego. Zresztą na każdy wypadek zamiar i dążność tych podwójnych badań, pozostają te same.

Cesarz Aleksander otrzymał wreszcie długo oczekiwaną odpowiedź ks. Bismarcka. Pisze on w dalszym ciągu, w pośmiertnych *Myślach i Wspomnieniach*. „Jednak zapytania nie ustawały w telegramach Werdera, co położyło koniec moim wybiegom. W międzyczasie, prosiłem cesarza, aby telegraficznie powołał generała Werdera, którego w Liwadii nadużywano dyplomatycznie, wobec czego był bezbronnym i aby zakazał mu podejmowania się jakiegokolwiek politycznego posłannictwa, gdyż było to służbą rosyjską, nie niemiecką. Cesarz nie spełnił mojego życzenia a że ostatecznie cesarz Aleksander zapytał mnie, odwołując się do naszych politycznych stosunków i za pośrednictwem ambasady rosyjskiej w Berlinie, o moje osobiste zdanie, nie podobna mi było dłużej ociągać się z odpowiedzią na niedyskretne zapytanie. Poprosiłem ambasadora Schweinitza, którego urlop się kończył, aby mnie odwiedził w Warżynie przed powrotem do Petersburga i zawiózł moje polecenia. Schweinitz bawił u mnie od 11 do 13 października. Powiedziałem mu, aby jaknajspieszniej udał się przez Petersburg do Liwadii, gdzie przebywał cesarz Aleksander. Znaczenie poleceń danych Schweinitzowi było, że pierwszy nasz obowiązek polega na utrzymaniu przyjaźni między wielkimi monarchiami, które wobec wywrotu, więcej mają do stracenia niż do zyskania, walcząc ze sobą: gdyby ku wielkiej naszej boleści, nie podobna nam było zażegnać walki między Rosją i Austryą, moglibyśmy zapewne dozwolić, aby nasi przyjaciele wygrali lub przegrali bitwy, ale nie, aby jeden lub drugi, tak niebezpiecznie ranionym został albo pogromionym,

iżby jego stanowisko wielkiego, niezależnego państwa, mającego głos w europejskiej radzie, mogło być na szwank narażonem“.

Wobec tego oświadczenia, wykluczającego korzyści wojny z Austro-Węgrami, pozostawało Rosyi albo pomimo tego przedsięwziąć ją, albo zaniechać wojny z Turcyą, albo też raz jeszcze zapewnić się co do zachowania się monarchii Habsburgów w razie wojny z Turcyą. Rosya obrała to ostatnie i aczkolwiek posłannictwo hr. Sumarokowa spelzło było na niczem, nowe zawiązała z nią, tajne tym razem, rokowania. Ks. Bismarck pisze dalej w tej mierze: „To oświadczenie niedwuznaczne, którego Gorczakow zażądał był od nas przez swojego monarchę, aby mu wykazać platoniczną istotę naszej przyjaźni, ten miało skutek, że burza rosyjska odwróciła się od wschodniej Galicyi i zwróciła się w stronę Balkanów oraz, że Rosya, zerwawszy układy z nami, zawiązała rokowania z Austryą; jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, najpierw w Peszcie. Rokowania podjęte zostały w duchu umowy w Reichstadt gdzie 8 lipca 1876 roku cesarz Aleksander i cesarz Franciszek Józef spotkali się byli: objawionem zostało życzenie, abyśmy wykluczeni zostali z tajemnicy porozumienia“.

Wojna między Serbią i Czarnogórą z jednej strony a Turcyą z drugiej, toczyła się dalej a ta ostatnia odrzuciła postawione jej warunki pokoju, ale następnie pod naciskiem mocarstw zgodziła się na zawieszenie broni. Serbowie złamali je i wtedy wojska tureckie pobily ich na głowę. Groźny i groźący telegram cesarza Aleksandra II z Liwadyi z 30 października 1876 r., zatrzymał ich zapędy i Turcyja ponownie zawarła rozejm do 31 grudnia, który później przedłużono do 2 stycznia.

Cesarz Aleksander II wracając z Liwadyi zatrzymał się w Moskwie i 10 listopada 1876 r. podczas przy-

jęcia szlachty i przedstawicieli miasta, wypowiedział następującą mowę:

„Dziękuję Wam Panowie za uczucia, jakie mi chcieliście wyrazić z powodu obecnych stosunków politycznych, które teraz więcej są wyjaśnione. Z przyjemnością gotów jestem przyjąć wasz adres. Już Wam wiadomo, że Turcyja ustąpiła żądaniom moim pod względem bezzwłocznego zawarcia zawieszenia broni, aby położyć koniec bezużytecznej rzezi w Serbii i Czarnogórze. Czarnogórcy okazali się w tej nierównej walce, jak zawsze, prawdziwymi bohaterami. O Serbach nie można niestety tego samego powiedzieć, pomimo obecności naszych ochotników w szeregach serbskich, z których wielu przelało krew swoją za sprawę słowiańską. Wiem, że wraz ze mną cała Rosyja najżywszy bierze udział w cierpieniach naszych współwierców i współplemieńców. Dla mnie jednak prawdziwe interesa Rosyi są najdroższe. Chciałbym oszczędzać krwi rosyjskiej dopóki tylko można. Taki jest powód, dlaczego starałem się i starać się będę uzyskać na drodze pokojowej, istotne polepszenie losu wszystkich chrześcian na Wschodzie. Za niewiele dni, rozpoczną się w Konstantynopolu układy między przedstawicielami sześciu mocarstw względem oznaczenia warunków pokoju. Najdroższem mojem życzeniem jest, abyśmy osiągnęli ogólną zgodę. Jeżeli jednak do tego nie przyjdzie i będę widział, iż nie otrzymamy takich rękojmi, któreby spełniły to, czego słusznie od Porty domagać się możemy, mam silny zamiar działać samodzielnie i przekonany jestem, iż w takim razie cała Rosyja usłucha mojego wezwania, gdy uznam tego potrzebę i cześć Rosyi wymagać tego będzie. Jestem także przekonany, że Moskwa, jak zawsze, przodować będzie dobrym przykładem. Dopomóż Boże spełnić nasze święte powołanie!“

Mowa ta wielkie sprawiła wrażenie, poczytano ją za groźną, bo Aleksander II odwołał się w niej do hi-

starycznego posłannictwa Rosyi, polegającego na opiece używanej jej współwiercom i współplemioncom na Wschodzie, bo wspomniał o krwi przelanej za sprawę słowiańską, przyczem objawił zamiar samodzielnego działania, skoro poczyta to za stosowne i kiedy wymagać tego będzie cześć Rosyi.

Po powrocie do Peterburga na przeglądzie wojsk, cesarz życzył powodzenia powołanemu, na głównodowodzącego armią, gromadzącą się w Kiszeniewie, W. Księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi. Można by przypuścić, iż ten śmiały sposób przemawiania, spowodowanym był po części pomyślnym obrotem tajnych rokowań na nowo związanych z monarchią Habsburgów.

Podczas ich przebiegu przyszedł w pomoc kierownikowi hr. Andrassego, ważny czynnik, wspólne mocarstw europejskich zajęcie się wypadkami na Wschodzie i ich dyplomatyczne wystąpienie.

Istotne okrucieństwa tureckie w Bułgarii, zwłaszcza popełnione przez baszybużuków, głównie jednak przesadne o nich wieści, wysrubowanie ich zręczne wobec publiczności europejskiej, wywołały wielkie oburzenie. W Anglii użyte przez Gladstona i jego przyjaciółkę panią Nowikow, jako broń przeciw gabinetowi torysów, stały się niepospolitym środkiem wicherzenia i sprawiły niepojęty i niesłychany zwrot przeciwny historii i tradycyi za Rosyą i wziętemi przez nią w opiekę ludami słowiańskimi a przeciw Turcyi. Wobec tego gabinet lorda Beaconsfielda nie mógł dłużej pozostać bezczynnym i aby zadośćuczynić głosowi publicznemu, zarazem śledzić postępowanie Rosyi, zgodził się na wspólną w sprawach wschodnich naradę. Stało na tem, że zbierze się w Konstantynopolu konferencya sześciu mocarstw podpisanych na traktacie paryskim, o której wspomniał cesarz Aleksander w swej mowie, wypowiedzianej w Moskwie. Konferencya wobec rozejmu Serbii i Czarnogóry z Turcyą, powstania i okrucieństw tureckich w Bułga-

ryi, gromadzących się w Kiszeniewie wojsk rosyjskich, obmyślić miała środki zażegnania burzy i wskazać drogę wyjścia. Szło pozornie i pierwotnie o sprowadzenie pokoju między Serbią i Czarnogorą a Turcyą, istotnie o zażegnanie wojny między Rosyą i Turcyą.

Anglia wyznaczyła na swojego pełnomocnika lorda Salisbury, znanego świetnego politycznego pisarza. Był on najpiękniejszą nadzieją stronnictwa torysów, którego niepospolitym przywódcą był lord Beaconsfield. Lord Salisbury udając się do Konstantynopola, przedsięwziął wywiadowczą podróż po dworach europejskich. Odbył ją w towarzystwie małżonki i otoczył się niezwykłym sunpsem. Przybył do Paryża 21 listopada 1876 r. i zaraz naradzał się z ministrem spraw wewnętrznych rzeczypospolitej ks. Decazes. Następnie udał się do Wiednia, Berlina, wreszcie Konstantynopola.

Zgromadzeni w Konstantynopolu pełnomocnicy mocarstw naradzali się między sobą przed urzędowem otwarciem konferencyi, szukając sposobów pogodzenia licznych względów, szukając rozwiązania, gdzie już tylko miecz mógł rozciąć. Stało na tem, iż konferencya zajmie się naprawami w krajach chrześcijańskich Turcyi, oraz sposobem ich przeprowadzenia. Pierwsze posiedzenie zapowiedziane było na 23 grudnia 1876 r. Wtem zaszedł wypadek jakby wyjęty z opowiadań tysiąca i jednej nocy.

Nowy sułtan Murad nie długo panował, pod zarzutem, iż nie jest przy zdrowych zmysłach, usunięty został; na tron wstąpił był 31 sierpnia 1876 r. Abdul-Hamid a po usunięciu wielkiego wezyra Mahmuda Rużdy, miejsce jego zajął głośny już z postępowych wyobrażeń Midat-basza.

Najzaciętszym jego przeciwnikiem był rosyjski ambasador Ignatiew, który niczego więcej się nie obawiał jak istotnej naprawy urzędzeń i zarządu tureckiego, co mogło powstrzymać przygotowane przez niego i upragnione wypadki.

W dniu przeznaczonym na otwarcie konferencji za radą i sprawą Midata, obwieszczona została przy odgłosie dział konstytucyja na wzór europejskich i zapowiedziane zebranie tureckiego sejmu!

Konferencya jednak nie dała się zbić z tropu tem pociągnięciem na szachownicy, osądziła ogłoszenie konstytucyi tem, czem musiało pozostać, nie istotną naprawą lecz wybiegiem i teatralnem wrażeniem. Konferencya obradowała przez resztę grudnia i większą połowę stycznia. Postanowiła zażądać od Turcyi urządzenia, na podstawie określonych napraw, chrześcijańskich jej krajów. Dla zapewnienia zaś wprowadzenia w życie nowego porządku rzeczy, wojsko państwa obojętnego, to jest nie zasiadającego na konferencyi, obsadzić miało tymczasowo kraje objęte naprawami. Turcyja nie tylko nie zgodziła się na takie upakarzające zajęcie obcem wojskiem swoich posiadłości, ale odrzuciła 18 stycznia 1877 r. żądania konferencyi postawione jej jako *ultimatum*, między którymi znajdowały się dwa następujące: współudział mocarstw przy mianowaniu gubernatorów w krajach chrześcijańskich i utworzenie nadzorczej rady, złożonej z pełnomocników mocarstw. Konferencya w skutku tego odrzucenia, zebrała się na ostatnie posiedzenie 22 stycznia, na którym stwierdziła bezowocność swoich usiłowań a pełnomocnicy opuścili Konstantynopol.

Na tem skończyło się na teraz wspólne europejskie działanie a ku zdumieniu ogólnemu, odrzucenie przez Turcyę uchwał mocarstw, nie pociągnęło za sobą żadnych namacalnych następstw i powiedziano, że *ultimatum* straciło już dawne znaczenie, które mieć będzie dopiero *ultimatissimum*.

Tymczasem Rosya przeczuwając i widząc, że konferencya spełźnie na niczem, gotowała się dalej do wojny; tem samem przyspieszać musiała układy z Austro-Węgrami. Doprowadziły one do zawarcia w tajemnicy przed gabinetem berlińskim konwencyi z 15 stycznia 1877 r.

Zapewniała ona, tym razem pisemnie, neutralność Austro-Węgier, w zamian Rosya zezwalała na nabycie przez nie Bośni i Hercegowiny. Monarchia Habsburgów umożliwiała wojnę Rosyi z Turcyą, za nadzieję pozyskania zaplecznika Dalmacyi.

Ks. Bismarek pisze w *Myślach i Wspomnieniach*: „Konwencya ta a nie kongres berliński jest dla Austrii podstawą posiadania Bośni i Hercegowiny i ona zapewniła Rosyanom neutralność Austrii, podczas ich wojny z Turkami“.

Konwencya z 15 stycznia 1877 r. była przecież względnie zwycięstwem polityki hr. Andrassego; zamiast bowiem wspólnego lub jednoczesnego z Rosyą działania pozwalała Austro-Węgrom zachować neutralność i zajmując Bośnię i Hercegowinę za zezwoleniem Rosyi, gdy to uznają za stosowne. Nadzieja zajęcia ich była znowu pociechą i zadośćuczynieniem drugiemu kierunkowi, stronnictwa wojskowego, które mogło teraz nalegać, aby ono już podczas wojny nastąpiło.

Dopomogły tu w pewnej mierze hr. Andrassemu, nieporadność i opieszałość przy przygotowaniach wojennych Rosyi w Kiszzeniewie. W zdumienie wprowadziły one świat. W Wiedniu tem większe sprawiły wrażenie, iż były sprzecznymi z wyobrażeniem, jakie wyrobiono sobie o potędze wojskowej Rosyi i świetnym jej stanie. Wobec rzeczywistości w Kiszzeniewie nastąpiło rozczarowanie, które ostudziło chęć do wspólnego czy jednoczesnego działania.

Ks. Gorczakow w nocy z 31 stycznia 1877 r. stwierdził ujemny wynik konferencyi konstanytopolitańskiej i zapytał się mocarstw co zamierzają wobec niego uczynić. Nota pozostała bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ VIII.

Przeważa w Austro-Węgrzech zdanie, przeciwne wspólnemu z Rosyą działaniu. — Konferencya konstantynopolińska pomaga do zyskania na czasie, lecz zarazem Rosyi do przygotowania się. — Przybycie jenerała Ignatiewa do Wiednia. — Jenerał Ignatiew. — Podróże jego — Protokół londyński — Turcyja odrzuca go. — Wypowiedzenie wojny. — Manifest cesarza Aleksandra II z 24 kwietnia 1877 r.

Im więcej rozwijały się wypadki, tem widoczniej-szem było, że przeważna część ludów monarchii Habsburgów oświadczała się przeciw wspólnemu z Rosyą na Wschodzie działaniu, że nie pozyska ono w ustroju konstytucyjnym większości, lecz poza tem przeczeniem nie usłyszano żadnego twierdzenia. Tym sposobem zwyciężyć musiała polityka neutralności, która przedstawiała się jako jedyne możliwe zabezpieczenie się przed wspólnem działaniem, chociaż była w pewnej mierze wspólności wyrazem. Polityka neutralności w tem znaczeniu i z tego punktu widzenia miała niemałe korzyści i w danych warunkach wszystko za nią przemawiało. Przyparta do muru przez przeciwny kierunek, chroniła się pod skrzydła porozumienia i wspólnego postępowania już nie trzech cesarstw, ale mocarstw podpisanych na traktacie paryskim. Znalazła tym sposobem wytchnienie i chwilową przystań w konferencyi konstantynopolińskiej, która posłużyła do przeniesienia sprawy z gruntu trójcesarskiego przymierza na europejski, a tem samem do powstrzymania

prądu pchającego do wspólnego lub jednoczesnego Austro-Węgier z Rosyą działania, do tego stopnia, że lord Salisbury w przejeździe przez Wiedeń usłyszał z ust cesarza oświadczenie: iż na teraz interesa austriackie i angielskie są te same. Słowa te były znaczące; określały chwilowe położenie, lecz nie malej wagi było owo „na teraz“, które zarówno miało swój powód bytu w przeszłości, jakoteż mieć ją mogło w przyszłości. Konferencya stambulska była znowu zyskaniem na czasie, lecz jak się pokazało była rzeczywiście potrzebną Rosyi, dla zapelnienia czasu i należytego acz powolnego przygotowania się do wojny, które tem większych wymagało wysileń, że zarówno przerzucenie sprawy na grunt europejski, jak głos publiczny w monarchii Habsburgów oddalały nadzieję wspólnego działania i tak upragnionego jednoczesnego wystąpienia Austro-Węgier. Że neutralność monarchii Habsburgów, że jej zasłonięcie się porozumieniem europejskiem nie odpowiadały widokom gabinetu petersburskiego, że go niepokoiły, że im bardziej zbliżała się chwila stanowcza nie zadawałniał się spisana 15 stycznia 1877 r. konwencyą, zapewniającą neutralność Austro-Węgier, lecz pragnął pchnąć je do jednoczesnego czynnego wystąpienia, o tem wątpić nie można było i tego dowodem stały się usiłowania jenerała Ignatiewa. Jenerał Fadiew napisał był, iż droga do Konstantynopola idzie przez Wiedeń. Ignatiew odwołany chwilowo, obrał drogę ze Stambułu do Wiednia i tam w marcu już nietylko jak hr. Sumarokow próbował sprowadzić zlanie się w jeden, dwóch kierunków, lecz zapragnął pokonać tych, co nie chcieli wspólnego z Rosyą działania nie przebierając ani w środkach ani w rozumowaniach.

Tak dalece jednak okazał się dbalym i troskliwym o korzyści Austro-Węgier, że wzbudził podejrzenie i usiłowania jego speszły na niczem.

Jenerał Ignatiew skończony pierwowzór, przedsiębiorczego rosyjskiego dyplomaty, mając w sobie nieco Potemkina i dużo Repnina, uosabiał wtedy politykę rosyjską, szukającą potęgi i zysku w sprawie słowiańskiej. Przy szerokiem usposobieniu słowiańskiem podszytem chytrą tatarską, zdolny i bystry, rozpoczął był zawód wojskowy w wojnie krymskiej; następnie użyto go w azyatyckich posiadłościach i tam znamienite oddał usługi; w młodym wieku, bo licząc trzydzieści dwa lat, był posłem w Pekinie, gdzie zawarł wielce korzystny dla Rosyi traktat. Powołany w 1863 r. na ważne stanowisko naczelnika *Oddziału azyatyckiego* w ministerstwie spraw zewnętrznych, w którym zbiegały się wszystkie nici spraw wschodnich, został nareszcie wyznaczony w 1864 r. na posła w Konstantynopolu, następnie wyniesiony na ambasadora przy Sultanie. Rozwinął na tem stanowisku działalność niezwykłą i ona znacznie przyczyniła się do wywołania wypadków, które kreśliły. Wszelki bunt przeciw władzy Sultana, znajdował w nim najprzód podżegacza, następnie opiekuna. W 1866 roku wziął gorąco stronę powstania na Krecie i wogóle hellenizmu. Wprawdzie rząd rosyjski wyparł się go, lecz nie wstrzymało to ani osłabiło jego wichrzeń na Wschodzie. Widząc, że Grecya przestaje być skromnym pupilem, wystąpił jako opiekun Słowian. Będąc już od kilku lat posłem, później ambasadorem w Konstantynopolu, przyszły prezes Towarzystwa Słowiańskiego Dobroczyńności, zapragnął stać się zarazem Cavourem i Mazzininim panslawizmu. Zarzucił na kraje słowiańskie Turcyi sieć komitetów wichrzących i spisków, któremi kierował i które wywoływały na jego skinienie zaburzenia w Turcyi, oburzenie w Europie, co dało początek wschodnim zakłamaniam. Owoce jego pracy dojrzewały. Wielomowny nad wszelki wyraz, twierdzono, że nie mówi, lecz kłamie. Kłamstwo było tak dalece jego nalogiem, że sam siebie okłamywał i w końcu uwierzył w swoje

słowiańskie posłannictwo. Nieraz, wtedy i później, ubolewał nad tem, iż Polacy nie czują się Słowianami, że nie łączą swej sprawy z słowiańską i oburzał się, iż nie mogą zrozumieć swej w tem korzyści, ani zająć miejsca, które im jest przeznaczone.

W chwili przybycia generała Ignatiewa do Wiednia, w Konstantynopolu zaszła była nowa zmiana, która przemawiała za dalszem wmięszaniem się mocarstw, świadcząc o niestłości stosunków w Turcyi. W. wezyr Midat basza, twórca konstytucyi i apostoł napraw, został stracony i na wygnanie skazany w lutym 1877 r., miejsce jego zajął Edhem-basza.

W tym samym czasie, dnia 1 marca, sultan Abdul-Hamid zawarł ze Serbią nader dla niej korzystny pokój. Czarnogóra zaś ociągała się jeszcze z podpisaniem go.

Generał Ignatiew przybył do Wiednia pozornie dla wytłumaczenia i złagodzenia wrażenia noty okólnej ks. Gorczakowa z 31 stycznia istotnie, aby przyspieszyć wypadki. Wspólność europejska miała raz jeszcze wybawić Austro-Węgry od wspólnego z Rosyą działania a nie trudno przyszło hr. Andrassemu dowieść, iż polityka jego przyczyniła się znacznie do stworzenia tej wspólności i że pierwsza jego nota była jedyną, na którą cała Europa zgodziła się w sprawie wschodniej.

Generał Ignatiew ze swej strony nie osiągnąwszy głównego swojego w Wiedniu celu, ujrzał się w konieczności odwołania się także do europejskiej wspólności, aby przeszkodzić zabagnieniu sprawy wschodniej i zarazem zyskać czas potrzebny do ukończenia wojennych przygotowań Rosyi. Naśladując zatem lorda Salisbury rozpoczął podróż po dworach europejskich i z Wiednia podążył do Berlina, następnie do Londynu, stamtąd znowu do Wiednia i przez Berlin do Petersburga. Podczas tych przejażdżek toczyły się rokowania o tak zwany protokół, w którym mocarstwa spisać miały ostateczne swoje w sprawie wschodniej postanowienia, głównie między

Rosyą i Anglią. Brał w nich żywy i znowu wielomowny udział, generał Ignatiew, lecz nie zdołał ich doprowadzić do końca. Dopiero za jego powrotem do Petersburga, ambasador rosyjski w Londynie hr. Piotr Szuwałow dzieła dokonał i dnia 31 marca 1877 r. podpisanym został tak nazwany protokół londyński.

Głównymi ustępami protokołu londyńskiego były żądania, aby Turcyja postawiła swoje wojsko na stopie pokoju i aby wprowadziła, jak można najrychlej naprawy potrzebne dla spokojności i dobra tych krajów, których położeniem zajmowała się konferencyja konstantynopolitańska. Mocarstwa oświadczały, iż zamierzają czuwać starannie, za pośrednictwem swoich przedstawicieli, nad wykonaniem przyrzeczeń rządu ottomańskiego. Gdyby nadzieje ich jeszcze raz zostały zawiedzione zastrzegają sobie wspólne obranie dalszych środków.

Anglia i Rosya dodały do protokołu zastrzeżenia, które wielce zmniejszyły jego znaczenie. Pierwsza oświadczała, że ją protokół przestanie obowiązywać, jeżeli obustronne rozbrojenie Rosyi i Turcyi nie przyjdzie do skutku; druga żądała, aby jeżeli Turcyja dokona napraw, zawrze pokój z Czarnogórą i okaże się gotową postawić wojska swe na stopie pokojowej, wysłała wtedy do Petersburga umyślnego posła dla układania się o rozbrojenie, na które cesarz rosyjski również zezwoli.

Protokół londyński pozostał martwą literą, gdyż Turcyja bez długiego namysłu odrzuciła go 9 kwietnia, ale Rosya miała wtedy na czem się oprzeć, wypowiadając jej wojnę. Uczyniła to 24 kwietnia 1877 r. manifestem cesarskim, danem w Kiszeniewie, który powołał się na protokół londyński, unikając, ze względu na Austro-Węgry, poruszenia sprawy słowiańskiej a kładąc nacisk na chrześcijańską.

Ruchy wojsk rosyjskich ku granicy tureckiej i Mul-tanom rozpoczęły się. Przekroczyły one Prut. Jednocześnie weszły do Turcyi w Azji mniejszej, między brze-

giem morza Czarnego a Karsem. Wreszcie dowiedziano się, że Rosya zawarła traktat z lenną Rumunią i wciągnęła ją w wojnę przeciw zwierzchniczej Turcyi. Książę Karol Hohenzollern ogłosił niepodległość Rumunii 22 maja. Wobec przekroczenia przez wojska rosyjskie Prutu oświadczyły mocarstwa, iż pozostają neutralnemi a hasłem dyplomacyi było, umiejscowienie wojny.

ROZDZIAŁ IX.

Przewaga polityki hr. Andrassego w chwili wypowiedzenia wojny i przejścia Rosyan przez Dunaj sprawia, że monarchia pozostaje neutralną. — Niemcy wobec Austro-Węgier. — Prawdopodobne zachowanie się Anglii. — Hr. Andrassy okupuje neutralność zgodzeniem się na zajęcie Bośni i Hercegowiny zastrzeżeniem w konwencji z 15 stycznia 1877 r. — Było to już wspólnictwem z Rosyą. — Aby je zakryć hr. Andrassy wynajduje wyrażenie, zajęcia przeciw Rosyi. — Dwuznacznik i fałsz. — Zachowanie się hr. Andrassego i pozostanie jego przy władzy, osławiają Węgrów z nabyciem Bośni i Hercegowiny. — Cesarz chce zużytkować popularność hr. Andrassego dla przeprowadzenia dawno powziętego zamiaru nabycia Bośni i Hercegowiny. — Słowa hr. Andrassego, „iż popularności nie powinno się zakopywać, jak to czyni skąpiec ze skarbem, lecz w potrzebie należy umieć ją wydać“. — Hr. Andrassy łudził się i łudził innych wyrażeniem: zajęcie krajów tureckich przeciw Rosyi. — Zajęcie musiało być wspólnictwem z Rosyą w podkopaniu Turcyi. — Ważność żywiołu polskiego dla monarchii Habsburgów wobec podniesienia sprawy słowiańskiej przez Rosyę.

Rosya rozpoczęła była samodzielne działanie poza europejskiem porozumieniem, które przestało tem samem osłaniać politykę hr. Andrassego. Ze wtedy, że po rozpoczęciu działań wojennych Rosyi, następnie po przekroczeniu przez jej wojska Dunaju, Austro-Węgry nie przystąpiły do wspólnego z nią działania i nie wkroczyły do Bośni i Hercegowiny, że pokusy w tym kierunku trzymane były na wodzy i że monarchia pozostała na

stanowisku neutralnem i wyczekującym, było to dziełem i znowu zwycięstwem hrabiego Andrassego, któremu jeżeli nie co innego państwo zawdzięczało, to to, iż przynajmniej dla rzeczy zasadniczo szkodliwej, nie wydało przedwcześnie jednego reńskiego i nie poświęciło jednego żołnierza.

Ktokolwiek uważnie śledził bieg wypadków, zewnętrzne i wewnętrzne warunki oraz trudności, ścieranie się kierunków i ich walki, kto zastanowił się nad tem cośmy powiedzieli, ten przyzna, że więcej zrobić już teraz było niepodobna i zrobić nie należało. Ze względu na wewnętrzne położenie, wobec silnego prądu, który wciąż dawał się czuć i pchał do jednoczesnego z Rosją działania, to jest natychmiastowego wkroczenia do Bośni i Hercegowiny, neutralność była wygraną i zdobyczą nad tym prądem. Aby otrzymać na nią zezwolenie i utrzymać się przy niej, nietylko przyszło walczyć z wpływami wewnątrz, ale także liczyć się z zewnętrznymi czynnikami. Postawa Niemiec była bowiem nieco zagadkową; ks. Bismarek wprawdzie nie wymagał, aby Austro-Węgry działały wspólnie z Rosją, przecież zdawał się czasem do tego zachęcać. Rzucił on był, paląc fajkę, kilka słów uspakajających dla monarchii Habsburgów, zarazem opiekuńczych i w sposób nieco tajemniczy wskazał był, że przyszłość jej widzieć należy w Peszcie. Pomimo przeciwnych pozorów, wiedziano w Wiedniu, że rząd angielski nie zdobędzie się na czyn, aczkolwiek radby innych do niego popchnąć. Sprawozdania austriacko-węgierskiego ambasadora w Londynie hr. Beusta nie pozostawiały od początku żadnej pod tym względem wątpliwości i nadzwyczaj trafnie rozróżniały pozory od rzeczywistości i oceniały trudności gabinetu torysów, znaczenie objawów w parlamencie, dziennikarstwie i na meetingach za ludnościami chrześcijańskimi a przeciw Turcyi.

Wszystko to nie ułatwiało ani stanowiska ani działania hr. Andrassego. Każde zwycięstwo przyszło mu ustępstwem okupywać. Za wytrwanie przy neutralności w chwili wypowiedzenia wojny przez Rosyę, zgodzić się musiał w zasadzie i w pewnych wypadkach na przewidziane w konwencji z 15 stycznia 1877 r. zajęcie Bośni i Hercegowiny, które podczas wojny nie mogło być czem innym, jak wspólnem z Rosyą działaniem. Znowu zatem hr. Andrassy poddał się tu prądowi, ale prawdopodobnie w nadziei zapobieżenia natychmiastowemu zajęciu tureckich krajów.

Dalo to jednak powód do pomieszania pojęć i zapatrywań, oraz oparcia położenia na dwuznaczniku, na który wpędził je wiadomy prąd.

Zgrodzenie się w zasadzie na zajęcie krajów tureckich, nie mogło być spowodowane czem innym, jak nadzieją oddalenia takowego tak, aby nie stało się wspólnictwem z Rosyą. Lecz tym razem przyszło uciec się do fałszu; wynaleziono zajęcie przeciw Rosyi i przeciwstawiono je wspólnemu z nią działaniu, które przecież od początku i wedle konwencji z 15 stycznia także miało pociągnąć za sobą nieco innego, jak wkroczenie Austro-Węgier do Bośni i Hercegowiny. Tym sposobem polityka monarchii, która żaglowała dotąd pomiędzy prądem rosyjskim i kierunkiem hr. Andrassego, osiadła na wspólnem kłamstwie. Istotnie zaś doszła była tam, dokąd usiłował ją doprowadzić hr. Sunarokow, albowiem do połączenia prądu rosyjskiego i kierunku hr. Andrassego w postanowieniu zajęcia Bośni i Hercegowiny, do którego już przyznawano się niemal urzędownie i które widniało z zastrzeżeń ministrów, gdy odpowiadali na liczne w parlamentach zapytania.

Skutek oparcia położenia na fałszu stał się widocznym. Wynalezione zajęcie krajów tureckich przeciw Rosyi, oswoiło z niem najpierw Węgrów, następnie wielu

z tych, co sojuszowi z nią przeciwnymi byli. Zreżnię, może podstępnie, obudzona nadzieja rozciągnięcia zajęcia do Serbii, sprawiła, iż Węgrzy, którzy wzdrygali się długo na myśl wkroczenia do Bośni, zapominać zaczęli o pierwotnych powodach tego zamiaru i odczuli naraz fałszywy apetyt.

Cesarz Franciszek Józef miał wciąż na oku nabycie Bośni i Hercegowiny a natrafiając na opór Węgrów i większości parlamentarnej w Austrii, zużytkowywał popularność hr. Andrassego, aby go zażegnać. Cennym mu był w tej mierze, ten mąż stanu i dlatego czynił mu ustępstwa co do sposobu wykonania dawno powziętego zamiaru, zgadzał się na razie z neutralnością, która zapewniała mu zezwolenie Rosyi na zajęcie powyżej wymienionych krajów i nie chciał się z hr. Andrassym rozstawać. On zaś powiedział był kiedyś: „iż popularności nie powinno się zakopywać jak to czyni skąpiec ze skarbem, lecz w potrzebie należy umieć ją wydać“.

Nie mogło być jednak ani obojętnego ani przeciw Rosyi zajęcia krajów tureckich; musiało ono być wspólnictwem z Rosyą, w razie oporu Turcyi wspólną wojną. Czuli to zawsze jego przeciwnicy i dlatego mówili na początku wypadków — nigdy. A przecież hr. Andrassy wynalazł zajęcie przeciw Rosyi i wymyślił ten wybieg, do którego popchnął go prąd, któremu się poddawał, aby go nie wyrzucił i z którym szedł, chcąc mu opór stawić.

Zajęcie krajów tureckich nie mogło być wynikiem chwilowej konieczności, nie mogło być działaniem przeciw Rosyi, nie mogło być zabezpieczeniem wobec zwycięstw rosyjskich i jej polityki, albowiem miało być następstwem przeszłości, stanowiska, które monarchia Habsburgów zajęła była, podnosząc sprawę wschodnią, ziszczeniem dawno wypieszczonej myśli, gorącego pragnienia nabycia Bośni i Hercegowiny, zapisanego w taj-

nej konwencji z 15 stycznia i wspólnem z Rosją działaniem na szkodę Turcyi, do którego dołączały się wewnętrzne i zewnętrzne dalsze nadzieje, które były złudzeniami.

Przeciw Rosyi mogło być tylko jedno skuteczne działanie na gruncie polskim. Na nim poświęcając Turcyę, której już bronić niepodobna było teraz, znaleźć mogła jedynie monarchia Habsburgów zrównowazenie należyte; ochronić i zabezpieczyć się wobec Rosyi i panslawizmu. Poza niem pozostawało wspólne z Rosją postępowanie lub neutralność pozwalająca w danej chwili wypowiedzieć stanowcze słowo, które utraciłoby swoją moc, w razie wspólnictwa, do którego dlatego tak uporeczywie Rosya nakłaniała Austro-Węgry. Dla przeciwników wspólnictwa pozostawał wybór między wojną z Rosją a neutralnością, a jeżeli zostali doprowadzeni do wynalezienia trzeciego środka, to jest, zajęcia przeciw Rosyi posiadłości państwa, które ona zamierzała zburzyć, świadczyło to, iż stanowczego zwycięstwa nie odnieśli byli. Pozostawało im opierając się na głosie publicznym, na urządzeniach konstytucyjnych i większościach parlamentarnych poddawać się, jak dotąd, znanemu prądowi na to, aby go zwalczać. Zachodzić przecież mogła wątpliwość czy mądra polityka i korzyści monarchii nie nakazywałyby przenieść nad dwuznaczne zajęcie posiadłości tureckich, nad złudzenie, niemal, śmieszność zajęcia przeciw Rosyi, dobrze określonego z nią przymierza i szczerego, jawnego, zabezpieczonego przed niemiłymi niespodziankami wspólnego działania. Niezawodnie, że lepszą jest od polityki półśrodków każda inna a najopłakańszą w polityce jest obłuda niemocy. „Nie powtórzymy niedorzeczństw przeszłości“, rzekł cesarz Franciszek Józef. Słowa te winny były kierować postępowaniem monarchii w tych ważnych wypadkach. Ale właśnie niedorzecznościami przeszłości były półśrodki; zajęcie księstw naddunajskich podczas wojny krymskiej wymierzone

przeciw Rosyi, bez zamiaru połączenia się z zachodniemi mocarstwami i opuszczenie następnie tego kraju; wojna przeciw Danii w przymierzu z Prusami, dla zapobieżenia ich przewadze w Niemczech; pobłażanie powstaniu polskiemu w 1863 r. bez podniesienia sprawy polskiej. Takich to niedorzeczności należało i teraz się wystrzegać, aby nie ściągnąć na siebie słusznego zarzutu znajdującego się już w Homerze:

Że też to na karb Niebian człowiek wszystko kładzie
Co dozna zlego: chociaż sam swoją głupotą
Idąc wbrew przeznaczeniu, ugrzęza w to błoto.

Mogły zająć okoliczności nie pozwalające trzymać się niewzruszenie neutralności i bierności. Widocznem było, że całość Turcyi nie da się już utrzymać, pożałowania godnem było, iż do jej osłabienia, względnie upadku przyczyniła się polityka austryacko-węgierska. Nie należało przecież ludzić się skutecznością półśrodków. Austro-Węgry ujrzały się naraz wobec groźnej dla nich sprawy słowiańskiej, bo podniesionej przez Rosyę i jej oręż.

Zwiększało to dla monarchii Habsburgów znaczenie żywiołu polskiego, bo on będąc słowiańskim a nie panslawistycznym mógł zapewnić równowagę wewnętrzną. W wojnie czy w przymierzu z Rosyą polityka austryacko-węgierska winna była pamiętać o jego użyteczności.

Twierdzono, iż ze strony rosyjskiej wyszło zdanie: „Rosya w przymierzu z monarchią Habsburgów mogłaby zmienić postępowanie w Polsce“. Niezawodnie, że zaniechanie tępienia żywiołu polskiego, byłoby uspokajającą rękojmnią odnośnie do panslawizmu i jego zamiarów; albowiem przeznaczeniem żywiołu polskiego jest łagodzić to co w podniesieniu przez Rosyę sprawy słowiańskiej jest zawsze niebezpiecznego i wyzywającego; on jeden po-

godzić może tę sprawę z bytem Austro-Węgier; jest on dla nich przeciwtrucizną panslawizmu; tę właściwość daje mu słowiańskie pochodzenie i katolicyzm. Wido-cznem było, że w jakikolwiek sposób zakończy się wojna; po niej powstaną troski i niebezpieczeństwa dla monar-chii Habsburgów.

ROZDZIAŁ X.

Bezużyteczna niewdzięczność szkodliwsza niż niekorzystna wdzięczność. — Położenie monarchii Habsburgów wobec wojny. — Przebieg wojny. — Przejście Dunaju. — Obrona Plewny. — Walki około Szyпки. — Zdumiewająca niemoc Rosyi. — Zdobycie Karsu. — Zachowanie się rządu austriacko-węgierskiego. — Oświadczenie Tiszy i hr. Andrassego. — Poddanie się Plewny. — Pochód przez Bałkany. — Niema pośrednictwa. — Układy bezpośrednie między stronami wojującymi. — Koniec roku 1877.

Monarchia Habsburgów znajdowała się wobec wypadków wschodnich w tem położeniu, że nie to wybrać mogła, coby było najkorzystniejszem, ale to tylko, co było najmniej szkodliwym. Wszelkie też rozumowania ogranicza i wznosi się nad niemi, ta prawda. Jedynie mając ją na uwadze, ocenić można słusznie postępowanie rządzących nią i mężów stanu, którzy jej losami kierowali. Był to skutek licznych błędów, do których dołączyć należy słynną i znaną względem Rosyi niewdzięczność.

W polityce bezużyteczna niewdzięczność jest szkodliwszą, niż niekorzystna wdzięczność, pierwsza bowiem jest słabością połączoną z nieuczciwością, druga uczciwą słabością.

Niewdzięczność Austrii względem Rosyi szumnie głoszona po 1849 r. przez pierwszego ministra ks. Feliksa Schwarzenberga, którą miała świat zadziwić, była

zawsze bezużyteczną. Już takowej zapowiedź odejmowała jej siłę. Cesarz Mikołaj I przychodząc w pomoc Austrii w jej z Węgrami zapasach w 1849 r., oddał, zdaniem ks. Bismarcka, rzadką w historii przysługę.

„W dziejach państw europejskich, pisze on, nie często spotyka się monarchę, któryby oddał wielkiemu, sąsiedniemu państwu usługi, wyświadczone przez cesarza Mikołaja I monarchii austriackiej. W ciężkiem położeniu, w którym się znalazła w 1849 r. przyszedł jej w pomoc z 150,000 żołnierzy, podbił Węgry, przywrócił tam władzę królewską i wycofał swoje wojsko, nie żądając żadnej korzyści lub wynagrodzenia, nie poruszywszy nawet spornych spraw Wschodu i Polski. Tej przyjacielskiej i bezinteresownej usługi w dziedzinie wewnętrznej polityki Austrii, nie przestał cesarz oddawać jej, w polityce zewnętrznej, podczas narad w Ołomuńcu w 1850 r. z tem samem zaparciem się, ale kosztem Prus. Aczkolwiek przypuścić należy, iż powodował się raczej względami cesarskiej polityki rosyjskiej, niż uczuciami przyjaźni, przecież usługa większa była niż te, które zwykł monarcha oddawać monarsze i tego postępowania nie można inaczej wytłómaczyć, jak samowładnem, dziwaczny i rycerskiem usposobieniem rosyjskiego samodzierżcy“.

Austria chwyciła się podczas wojny krymskiej zapowiedzianej, ale bezużytecznej niewdzięczności, zajmując księstwa Naddunajskie, gromadząc wojska w Galicyi i niby zasłaniając Rosyę, zmuszając ją do przykrego pokoju i przemawiając na kongresie paryskim za dotkliwymi dla Rosyi warunkami. Sama zaś nie odniosła z tej niewdzięczności najmniejszej korzyści. W 1859 r. podczas wojny włoskiej zabrakło jej w skutku tego, nie tylko pomocy, ale nawet poparcia Rosyi, która rozkoszowała w jej klęskach, widząc w nich karę za niewdzięczność. W 1863 r. Austria wierna bezużytecznej niewdzięczności, połączyła się z mocarstwami zachodnimi

w wystąpieniu dyplomatycznym przeciw Rosyi i poblażała pomocy niesionej z Galicyi polskiemu powstaniu, znowu bez najmniejszej dla siebie korzyści. W 1866 r. w zapasach z Prusami nietylko nie mogła już liczyć na Rosyę, ale wiedziała, że jej życzenia były po stronie przeciwnej i że upokorzenie Habsburgów za ich niewdzięczność było dla niej pożądanem zadośćuczynieniem, za wzrost Hohenzollernów.

Powyższe zaś wypadki i klęski Austrii, doprowadziły do tego, iż wobec zawikłań wschodnich, znalazła się w położeniu, w którym, jak rzekliśmy, już nieco korzystniejsze, lecz co mniej szkodliwe pozostawało jej wybrać.

Nie mogły też liczyć teraz Austro-Węgry na szczerość Rosyi, na dobre jak dawniej dla monarchii Habsburgów zamiary, lecz jedynie na konieczność chwilowego zaskarwienia sobie jej i zapewnienia się ze względów wojskowych i strategicznych, czy to za pomocą jednoczesnego działania, czy też neutralności.

Nie mogły zatem Austro-Węgry bezpiecznie wchodzić w sojusz z Rosyą i musiały chwycić się półśrodka, neutralności za zapłatę.

Z drugiej bowiem strony określenie przez Bismarcka stanowiska Niemiec wobec wojny rosyjsko austriackiej, powyżej podane, odnoszące się tak dobrze do Rosyi jak do Austro-Węgier, znane oddawna gabinetowi wiedeńskiemu, wykluczało pod niebezpieczeństwem połączenia się cesarstwa niemieckiego z Rosyą lub Austro-Węgrami korzyści i nabytki tak pierwszej jak drugich; czyniło zatem dla monarchii Habsburgów wojnę z Rosyą bezprzedmiotową, ale niemniej niebezpieczną. Gdyby pomimo owego określenia, Austro-Węgry były przedsięwzięły tę wojnę, wiedziały, że Niemcy nie byłyby zezwoliły na zwiększenie się ich rosyjskimi posiadłościami polskimi. Mogło się zaś okazać, iż owo określenie nie poczytywałoby utraty wschodniej Galicyi „za tak niebezpieczną ranę i pogrom, iżby naraziły stanowisko

Austro-Węgier jako wielkiego, niezależnego państwa, mającego głos w europejskiej radzie“.

Mogła wprowadzić monarchia Habsburgów zapobiedz wojnie Rosyi z Turcyą nie obowiązując się do neutralności, ale wtedy sćiągała, wedle słów ks. Bismarcka, burzę na Galicyę wschodnią, Rosya bowiem nie mogąc oswobodzić prawosławnych chrześcian Turcyi, byłaby się może pokusiła nawrócić Unitów galicyjskich i monarchia Habsburgów byłaby zmuszoną przyjąć walkę, w warunkach powyżej określonych.

Co jednak mniej już wytłómaczyć i usprawiedliwić się da, oto, że podniosła ona w początkach sprawę wschodnią dla ułatwienia Rosyi zadania w nadziei, że jej wojna z Turcyą, dozwoli wojskom austriacko-węgierskim zająć Bośnię i Hercegowinę. Nie pozostało jej więc jak na stanowisku neutralnem, za przyznaną zapłatę, przypatrywać się wypadkom i czekać ich wyniku.

Wojska rosyjskie nie napotkały na znaczniejszy opór przy przeprawieniu się 27 czerwca przez Dunaj pod Sistową, nawet z łatwością opanowały Dobrużę i przednie strażę przeszły przez przesmyki Bałkanów. Dnia 19 lipca Rosyanie zdobyli Szypkę.

Raptem zmieniła się postać rzeczy i w ciągu lipca oraz sierpnia świat zdumiony przekonał się jak wiele jeszcze siły i żywotności było w Turcyi, jak słabą była Rosya w zaczepnem działaniu. Wszystkie ważniejsze stanowiska Bałkanów dostały się na nowo w ręce tureckie a najważniejszy, bo obwarowany wąwóz Szyпки stał się widownią uporeczywych i krwawych walk. Wojska tureckie odniosły zwycięstwa pod Plewną 20, 21 i 31 lipca, w których to dniach Rosyanie próbujący zdobyć umocowane wzgórza, pobici zostali i musieli się cofnąć. Jednocześnie Suliman basza pobił wojska rosyjskie tak, iż wparł je w wąwóz Szyпки, który dzielnie brónili. W okolicy Dunaju cofnąć się także musiały za czarny Lom. Wreszcie w Azyi mniejszej Rosyanie od-

parci zostali od Karsu do którego już zbliżali się. Wtedy Rosya zażądała współdziałania wojska rumuńskiego; dobrze wyćwiczone na sposób pruski, pospieszyło ono na pomoc i wtargnęło w posiadłości tureckie za Dunajem.

Ten niespodziewany obrót rzeczy przyjęto w Wiedniu z podzielonem uczuciem. Ze stanowiska rozumnej polityki obejmującej ogół położenia był on nader pomysłnym już dlatego, że w oczach Słowian czynił ujmę urokowi Rosyi i powstrzymywał jej zapędy, lecz dla polityki przenoszącej nad całość szczegół, dla tych co pragnęli jedynie nabycia Bośni i Hercegowiny, dalsze niepowodzenia oręża rosyjskiego mogły uczynić bezprzedmiotową konwencyę z 15 stycznia 1877 r. Rząd nie zdradził się ani z radością ani z troską, lecz zachował coraz bardziej przychylną dla Rosyi neutralność. Sejm galicyjski zwołany w sierpniu, został spieszenie i przedwczesnie zamknięty, aby uniknąć uchwalenia przez niego adresu, który mówiąc o wypadkach, wyrażał się wrogo przeciw Rosyi. Jednocześnie rząd węgierski przeszkodził źle określonej, przez pieniądze angielskie uzbrojonej ochotniczej wyprawie ze Siedmiogrodu, mającej uszkadzać związki wojsk rosyjskich a do której próbowano bezowocnie wciągnąć Polaków. Wreszcie władze austro-węgierskie patrzyły przez palce na dowóz żywności dla wojsk rosyjskich.

We wrześniu opór Turków i korzyści, które odnoscili, jeszcze poważniej jak poprzednio przedstawiały się.

Pomimo pomocy wojsk rumuńskich, szturmny przypuszczone do Plewny między 7 i 12 września odepchnięte zostały i sprzymierzeńcy znaczne ponieśli straty.

Zacięta obrona obwarowanej ziemnemi robotami Plewny, budzić poczęła podziw i wslawiać nazwisko dowódcy tureckiego Osmana-baszy, słusznie nazwanego lwem Plewny.

Sily rosyjskie okazały się niedostatecznymi i zawezwano z Petersburga gwardyę, która nadciągała. Serbii powiedziano, aby wystąpiła ponownie do boju.

Powodzenia tureckie wywołały na Węgrzech wybuch istniejących od początku uczuć wrogich Rosyi, przyjaznych Turcyi, oraz oświadczenia przeciw wspólności z pierwszą. Węgrzy nie zapomnieli byli jeszcze pomocy danej przeciw nim w 1849 r. przez Rosyę, nie zapomnieli byli poddania się ich powstańczych wojsk i wodza Göregeia 13 sierpnia 1849 r. pod Vilagos, rosyjskiemu generałowi Rüdiger. Żal z tego powodu był głęboki i żywy. Ze względu zaś na kraje słowiańskie korony św. Szczepana i na podkład słowiański w wielu okolicach Węgier, widzieli Węgrzy w Rosyi podnoszącej sprawę słowiańską, w Rosyi panslawistycznej największe niebezpieczeństwo i przeciwni byli wszelkiemu z nią związkowi; czuli jak dotkliwym się stanie ubytek Turcyi a niepożądanym nabytek krajów słowiańskich.

W dzień imienin cesarza rosyjskiego, cesarz Franciszek Józef wnosząc w Koszycach jego zdrowie, nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem. Nazajutrz ucieczono się do poprawki w ten sposób, iż w urzędowym sprawozdaniu wypuszczono wyraz — sprzymierzeniec. Wywołało to wielkie wrażenie na Węgrzech i w sejmie peszteńskim liczne stawiono zaraz pytania, dotyczące stosunku monarchii do sprawy wschodniej. Prezes gabinetu Tisza odpowiadając na nie 27 września, zapewnił, że monarchia nie zmieniła swej polityki neutralności; że jakikolwiek będzie wynik wojny, nie się stanie takiego na Wschodzie, na co by Austro-Węgry pozwolić nie mogły, choćby nawet oręż rosyjski znalazł powodzenie, o sojuszu trójcesarskim rzekł, iż obowiązuje uczestników do porozumiewania się, nie do wspólnego działania; dlatego nie jest monarchia obowiązana prowadzić wojny, chociaż Rosya wojnę prowadzi. Wreszcie

zaprzeczył, aby zachodziły jakie umowy co do podziału Turcyi i aby rząd chciał w czemkolwiek wspomagać Rosyę. Węgrzy wspierali hr. Andrassego wobec prądu pchającego do wspólności z Rosyą.

Na polu walki, opór Turków był w Europie wciąż uwieńczony powodzeniem i sztab rosyjski, na czele którego stał Polak generał Niepokójczycki, zadawał sobie pytanie, gdzie mają wojska przepędzić zimę, po prawej czy po lewej stronie Dunaju. W Azji mniejszej lepiej powodzić się zaczęło; tam Muchtar-basza poniósł klęskę i Rosyanie przeszli do zaczepnego działania, oblegli Kars. Niebawem generał Loris-Melików okrył się w tych stronach sławą, odniósł zwycięstwa znaczne i następnie Kars zdobytym został 18 listopada. Ale na europejskiej widowni Plewna bohaterski i zdumiewający stawiała dalej rosyjskim zastępom opór i wywoływała podziw świata. Przybycie gwardyi, którą dowodził następcą tronu rosyjski, szalony zapal słynnego Skobelewa, który z niesłychaną bezwzględnością poświęcał życie żołnierzy, powtarzane szturm, którym z umyślnie wybudowanego podwyższenia przypatrywał się z dala cesarz Aleksander, mając przy boku bar. Bechtolscheima, wszystko to nie mogło przełamać oporu Osmana baszy i ścigało na Rosyan szereg krwawych porażek. Najgłośniejszą i najprzykrszejszą była ta, którą ponieśli w dzień imienin cesarza Aleksandra; albowiem przypuściwszy ogólny do Plewny w obecności cara szturm, wszędzie z wielkimi stratami odparci zostali. Upokorzenie Rosyi było wielkie, brak należytych przygotowań widocznym, brak uczciwości w zarządzie wojskowym gorszącym, dzielność żołnierza tureckiego niezaprzeczoną, zdziwienie ogólne niemal.

Wreszcie to co było nieuniknionem, skoro Turcyja pozostawioną została sama sobie, stało się. Biegły w sztuce wojennej, znany z obrony Sebastopola generał Totleben, przybywszy pod Plewnę, zmienił natychmiast

wadliwe postępowanie dowództwa rosyjskiego i potrafił odciąć przyływ do obozu tureckiego wody. Wojsko Sultana, które powinno było pospieszyć z odsieczą, dla nieświadomych przyczyn nie przyszło na czas. W świecie tureckim tłumaczą dziś jeszcze to opóźnienie tem, iż Sultana zapowiedział był, że ten, który największe odniesie zwycięstwo zostanie Seraskirem. Wywołać to miało zazdrość między baszami, którzy nie kwapili się z zapewnieniem Osmanowi największego zwycięstwa i wysokiej godności. Wtedy lew Plewny przedsięwziął rozpaczliwą wycieczkę, w celu przerznięcia się, nie powiedła się ona wobec przeważających sił rosyjskich i rumuńskich.

Dnia 11 grudnia 1877 r. Plewna, ta z usypanych na przedce wałów, powstała twierdza, stawiająca mężnie czoło od miesięcy potężnej rosyjskiej, po wiekopomnej obronie upadła a Osman-basza ranny w nogę dostał się do niewoli. W. książę, naczelny wódz, oddał mu szpadę i wolność.

Jenerał Totleben, który dwukrotnie wielkie oddał Rosyi usługi, był jednak przejęty duchem pruskim. Opowiadano nam, iż pod Plewną z wielkiem lekceważeniem wyrażał się o Rosyanach, wytykał ich nieporadność, ze szyderstwem mówił o ich sposobie prowadzenia wojny. Obrót, który on nadał działaniom wojennym, stał się przez upadek Plewny, rozstrzygającym. Przelamaną została druga, po przejściu Dunaju zapora, co ścieśniło rozmiary wojskowego działania i pozbawiło Turcyę obronnych stanowisk, musiała odtąd ograniczyć się na strzeżeniu głównych dróg, prowadzących na Zofię i Adrianopol.

Cesarz Aleksander powrócił jako zwycięzca do Petersburga 23 grudnia, witany z uniesieniem i oświadczył, że dokonać chce świętego przedsięwzięcia, że powoła do boju wojsko załogi petersburskiej. Jednocześnie Serbowie ruszyli byli w pole. Czarnogórcy zwycięskie

zapuszczali zagony w Albanii a Grecya stała pod bronią. Skutek dalszy wojny, nie mógł być wątpliwym.

W komisji budżetowej Delegacyi austriackiej 18 grudnia hr. Andrassy oświadczył, że skoro nie można było przeszkodzić wojnie inaczej, jak wydając ją Rosyi, pozostały do wyboru cztery drogi: 1) Wojna Austro-Węgier w przymierzu z Turcyą przeciw Rosyi, 2) Wojna Austro-Węgier z Rosyą przeciw Turcyi, 3) Bezwarunkowa neutralność bez względu na następstwa, 4) Neutralność podczas wojny i utrzymanie dobrych stosunków ze stronami wojującemi, ale pod zastrzeżeniem obrony interesów Austro-Węgier i wpływu ich na przyszłe urządzenia na Wschodzie. Ta ostatnia neutralność, dodał, jest polityką rządu. Co się tyczy Serbii zastrzegł się jedynie na wypadek, gdyby chciała zwrócić swoje zabory na Bośnię i Hercegowinę. Hr. Andrassy zapewniał następnie, że bez udziału Austro-Węgier nie może zapasć żadne postanowienie co do przyszłego ukształtowania się politycznego na Wschodzie.

Mocarstwa nie dały się nakłonić do pośrednictwa między stronami wojującemi, pomimo, iż stało się było zadość sławie oręża rosyjskiego i postawioną została zasada, że układy o pokój prowadzone być mają bezpośrednio między stronami wojującemi.

Tak się zakończył rok 1877.

ROZDZIAŁ XI.

Po zawieszeniu broni. — Traktat w San-Stefano 3 marca 1878 r. — Wrażenie w Wiedniu. — Ogólne położenie wobec traktatu San-Stefano.

Wojska rosyjskie postępowały naprzód i wzbudzały podziw pochodem w zimie przez Balkany oraz stacjami tam krwawych walk, w których głównie odznaczał się generał Hurko, zwłaszcza pod Szypką, gdzie już od września z niesłychaną zawziętością i dzielnością prowadzono bohaterskie zapasy z obydwoh stron.

W ostatnich dniach grudnia, rząd rosyjski oświadczył się z gotowością zakończenia wojny, uchylał jednak wszelkie pośrednictwo, żądając, aby Porta wprost do głównej kwatery rosyjskiej zgłosiła się z prośbą o pokój. Przeciw pokojowi odrębnemu, bez wpływu ze strony mocarstw podpisanych na traktacie paryskim, zastrzegła się Anglia i zastrzegły się Austro-Węgry ale tylko w Konstantynopolu.

Pochód wojsk rosyjskich, które w kilku miejscach przekroczyły Balkany, zupełne pobicie pod Filippopolem Sulimana baszy, wreszcie wzięcie do niewoli armii tureckiej Szyпки, słowem rozbitcie resztek sił tureckich, którym w pomoc nie szły mocarstwa stawiające zastrzeżenia w Stambule, zniewolily Sultana do poddania się ciężkiej konieczności.

Rosya ociągala się z przedstawieniem swoich warunków, odnosily się one przedewszystkiem do rozejmu,

który miał dać podstawę układom o pokój. Rosya oświadczyła tylko, iż żadnego na Turcyi nie dokona zaboru w Europie, ograniczając się do nabytku ziem w Azyi Mniejszej.

Wojsko tureckie opuściło dobrowolnie Adrianopol na żądanie Rosyi, gdyż miasto to było naznaczone do podpisania w niem pokoju. Wojsko rosyjskie zajęło je. Tam też główna kwatera rosyjska została przeniesioną i tam udali się komisarze tureccy, początkowo do Kazanliku wysłani.

Warunki rozejmu nie były wciąż znane, lecz gdy je poufnie udzielił rządowi angielskiemu ambasador hr. Szuwałow, pierwszy minister lord Beaconsfield uznał za stosowne zażądać od parlamentu kredytu sześciu milionów funtów sterlingów na cele uzbrojenia wojska i floty w obronie interesów angielskich na Wschodzie. Teraz głównie Anglia nie przypuszczała, aby Turcyja miała prawo zawrzeć pokój bez wiadomości i udziału mocarstw, które zaręczyły traktatem paryskim byt jej. Anglia liczyła na poparcie Austro-Węgier. Na czele rządu W. Brytanii stał człowiek niepospolity, lord Beaconsfield, dawniejszy Disraeli, który w wysokim stopniu posiadał poczucie wielkości i godności swej ojczyzny i który stanął naprzeciw prądu, sprzyjającego Rosyi wywołanego przez Gladstona. Lord Beaconsfield myślał przedewszystkiem o zapewnieniu drogi do Indyi i mistrzowskiem było zakupno przez Anglię akcyi kanału sueskiego, którego dokonał był na początku zawikłań wschodnich. Następnie dla utrzymania naprzeciw Rosyi uroku Anglii na dalekim Wschodzie, ogłosił królowę angielską, cesarzową Indyi. Wreszcie teraz miał strzedz przedewszystkiem, aby Rosya nie zawarła z Turcyą pokoju, bez wiedzy i zezwolenia mocarstw; aby temu zapobiedz nie szczędził kosztów i sprowadził indyjskie pólki, które po raz pierwszy ukazały się w Europie. Okręty angielskie jednocześnie

czuwały nad Konstantynopolem z Malty i zatoki Besika w pobliżu Dardanelów.

Tymczasem dnia 31 stycznia 1878 r. podpisane zostały w Adryanopolu przedugodne warunki rozejmu między Rosją i Turcją, narzucone i spisane przez pierwszą; wojna zakończoną została, rozpoczęły się układy o pokój. Warunki przedugodne pozostały tajemnicą a w Anglii wielkie nastąpiło zakłopotanie, gdy ich nie przedłożono ambasadorowi angielskiemu w Konstantynopolu. Wojsko rosyjskie postąpiło pod mury Stambułu; zajęło twierdze naddunajskie i armeńskie a rząd rosyjski odwłókł postanowienie względem konferencyi czy kongresu europejskiego. W zamian, wbrew traktatowi paryskiemu, flota angielska pod pozorem obrony poddanych angielskich w Konstantynopolu, wtargnęła na morze Marmora, istotnie, aby nie sama Rosya zajęła w danym razie Stambuł, lecz aby wojsko angielskie także wysiadło u Złotego-Rogu i aby zapobiedz odpłynięciu okrętów tureckich, które miały przewieść do Odessy część gwardyi rosyjskiej, przeznaczonej do odbycia tryumfalnego wejścia do Konstantynopola. Wstrzymało to wojska rosyjskie, które zatrzymały się pod murami stolicy w San-Stefano. Skoro tylko nadeszła wiadomość o podpisaniu przedugodnych warunków, hrabia Andrassy opierając się na zapewnieniach ks. Gorczakowa, iż rząd rosyjski podda chętnie pod orzeczenie Europy te sprawy, które obchodzić mogą inne mocarstwa, rozesłał notę do rządów podpisanych na traktacie paryskim 1856 r., zapraszając je na konferencyę w Wiedniu, celem uporządkowania stosunków na Wschodzie, na podstawie tego traktatu. Wszystkie rządy pospieszyły z oznajmieniem gotowości wzięcia udziału w konferencyi. Lecz niebawem ks. Gorczakow wyraził życzenie, aby zamiast konferencyi zebrał się kongres. Rosya pragnęła w miejsce pokoju paryskiego nowy ułożyć traktat, nie zaś konferencyjnym protokółem zmienić trak-

tat paryski. Ks. Gorczakow żądał także wyznaczenia nie stolicy na miejsce kongresu, lecz miasta w Szwajcaryi lub Niemczech. Wniosek co do kongresu został niebawem w zasadzie przez mocarstwa przyjęty.

W izbach Europy posypały się zapytania co do przedwstępnych warunków nie znanych dotąd dokładnie ani urzędownie. W Radzie Państwa wiedeńskiej i Sejmie węgierskim nastąpiła jednobrzmiąca odpowiedź 19 lutego: rząd austro-węgierski nie uznaje tych umów rosyjsko-tureckich za obowiązujące, które dotyczą interesów Austro-Węgiei, albo wogóle mocarstw podpisanych na traktacie paryskim a to dopóki umowy te nie uzyskają potwierdzenia mocarstw, w tym też celu zawezwał rząd mocarstwa na konferencyę. Warunki rozejmu rosyjsko-tureckiego znane są rządowi tylko z ogłoszenia ich w pismach publicznych a o ile takowe wierne są podane, dostrzega on między niemi niektóre takie, że nie mógłby zgodzić się na nie, gdyż nie odpowiadają interesom monarchii; rząd zastrzega się jednak, iż polepszenie losu chrześcian w Turcyi nie należy do tych warunków, którym by się okazał przeciwnym, sprzeciwiać się zaś będzie tym, które zmierzają do zmiany stosunków potęgi państw na Wschodzie.

Delegacye wspólne zebrać się miały na początku marca.

Wtem zaszedł pierwszorzędnej ważności wypadek. Traktat pokoju między Rosyą i Turcyą podpisanym został w ostatniej godzinie, naznaczonej przez rozejm adryanopolski 3 marca 1878 r. w głównej kwaterze rosyjskiej w San-Stefano, nad morzem Marmora, bez udziału mocarstw i zawiadomienia ich. Traktat pokoju trzymany był w tajemnicy. W głównych zarysach doszedł do wiadomości publicznej 7 marca nie urzędownie, ale w streszczeniu przez dzienniki. Wywołał natychmiast wielkie niezadowolenie i niepokój tak w Londynie jak w Wiedniu, nawet w Rzymie. Dopiero po jego potwierdzeniu

przez Cara i Sultana oraz obustronnej wymianie odpisów w Petersburgu, w ciągu dwóch tygodni naznaczonej, został urzędownie ogłoszony w Petersburgu i udzielony mocarstwom podpisanym na traktacie paryskim, do wiadomości.

Traktat San-Stefano, przy spisaniu którego znaleźli się generał Ignatiew, jako pełnomocnik rosyjski, w głównych postanowieniach orzekł: utworzenie księstwa Bułgarii od granic serbsko-rumuńskich do morza Egejskiego, lennego Turcyi, z oddzielnym jednak księciem; przyznanie Serbii znacznego przyrostu ziemi na południu, Czarnogórze port Antivari, Serbii, Rumunii, Czarnogórze niepodległość; odstąpienie Rosyi części oderwanej Besarabii, za co Rumunia dostawała Dobruczę, odstąpienie Rosyi znacznej części Armenii z twierdzami, jako odszkodowanie wojenne, prócz tego nie małe odszkodowanie pieniężne; pozostanie wojsk rosyjskich przez lat parę w Bułgarii dla utworzenia pod ich dozorem i pomocą narodowej milicyi.

Wrażenie, wywołane traktatem i sposobem zawarcia go, było niemałe a przygnębiające, zwłaszcza w Wiedniu. Pomimo bowiem konwencji 15 stycznia 1877 r., pomimo dotrzymania przez Austro-Węgry zapisanego w niej warunku ich neutralności, nie było w traktacie San-Stefano wzmianki o równoważącym ją nabyciu przez monarchię Habsburgów Bośni i Hercegowiny a do tego zawartym on został wbrew przyrzeczeniu danemu już w Reichstadt od monarchy do monarchy, iż Rosya nie podpisze pokoju bez zawiadomienia i udziału Austro-Węgiei. Nie zapytano ich nawet, zatem Rosya usuwała je od bezpośredniego współdziałania przy utworzeniu nowego porządku rzeczy na Wschodzie. Artykuł XIV traktatu dotyczył Bośni i Hercegowiny i opiewał: „W Bośni i Hercegowinie wprowadzone zostaną natychmiast wnioski europejskie, przedłożone pełnomocnikom otomańskim na pierwszym posiedzeniu konferencji kon-

stantynopolitańskiej ze zmianami, które postanowione zostaną zgodnie między Wysoką Portą i rządem rosyjskim, oraz austryacko-węgierskim“.

O zajęciu Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry mowy zatem nie było, nawet można było wnosić, że zupełnie poszedł w zapomnienie warunek w tej mierze konwencji z 15 stycznia 1877 r.

Zdziwienie, zaniepokojenie i oburzenie były wielkie a równe im tylko niepewność i nieporadność, wobec tego, co zaszło. Im większa była pożyteczność, tem głębszy był żal.

Kongres naznaczony na pierwsze dni marca i mający, za zgodą mocarstw, zebrać się w Berlinie, nie przychodził do skutku. Zaszła bowiem była zasadnicza różnica w zapatrywaniach na jego prawa i zadanie. Anglia żądała, aby traktat San-Stefano przedłożony został kongresowi do zbadania w potrzebie zmienienia i potwierdzenia; Rosya oświadczała, iż te tylko warunki podda ocenie kongresu, które dotyczą innych państw i o ile je dotyczą, zostawiając każdemu zasiadającemu na kongresie, wniesienie swoich skarg i żądań co do zmian; wykluczała warunek co do części Besarabii i drugi dotyczący Armenii. Różnica była doniosłą, albowiem szło o to, aby uznać kongres sędzią, którego wyrokowi poddałyby się obie strony dawniej wojujące, lub przemienić go w zebranie bez istotnego znaczenia.

Wobec tego stanurzeczy hr. Andrassy wniósł był 9 marca i otrzymał następnie od Delegacyi wspólnych sześćdziesiąt milionów reńskich na potrzeby wojskowe, uzasadniał to żądanie możliwą potrzebą wystąpienia w sprawie wschodniej.

Jednocześnie rząd angielski wydał rozporządzenia, równające się przygotowaniom do wojny; powołał tę część rezerwy, którą wolno było użyć za granicami państwa, nabył i najął okręty przewozowe, wysłał znaczne

zapasy wojenne do Malty i dla okrętów na morzu Marmora. Pulki indyjskie już nadpłynęły.

Lord Derby, sekretarz stanu spraw zagranicznych, przeciwny wszelkim stanowczym krokom, mogącym prowadzić do wojny, ustąpił z urzędu, a miejsce jego zajął lord Salisbury, pełnomocnik na konferencyi konstancy-nopolitańskiej. Na to ks. Bismarck rzekł: iż wojna Anglii z Rosją byłaby walką wieloryba z niedźwiedziem.

ROZDZIAŁ XII.

Mocarstwa nie zapobiegłszy przyczynom, zdziwione są skutkami. — Zamiar usunięcia skutków i cofnięcia wypadków w ostatecznych wynikach płonny. — Gdzie można było przełamać wpływ Rosyi nad światem słowiańskim.

Ci, którzy odsunięci byli od wielkich spraw świata, doznać mogli zadowolenia miłości własnej, widząc do jakiego stopnia zagmatwania doszły one i że właśnie wtedy, kiedy nadeszła chwila rozwiązania, położenie zdawało się być bez wyjścia. Wszystkie zabiegi i cała przezorność mężów stanu wytworzyły były coś, raczej podobnego do zabawki, zwanej łanigłówką, niż do poważnego zadania politycznego. Dozwolono tylu trudnościom nagromadzić się naraz, że razem wzięte zdawały się być nie rzeczywistością, lecz tworem chorobliwej wyobraźni. Położenie wobec traktatu San-Stefano było jak baśń, którą niańki straszą dzieci. Było coś hieroglificznego, nie dającego się odczytać w zbiegu wypadków i wzajemnym do siebie układzie stosunków, były to jakby bezmyślnie rzucone na ciemnym tle arabeski. Taki był skutek trzyletniej polityki mocarstw, których zadaniem było powstrzymać wpływ Rosyi na Wschodzie i nie dopuścić jej przewagi!

Przez trzy lata wypadki z wolna przygotowywały się, były namacalne dowody, że dojrzewają, że rozpoczyna się wykonanie od dawna powziętego zamiaru,

objawy wiekowej dążności czuć się dały wyraźnie, przeciw mocarstwa, które zagrożonemi były, nie tylko nie chciały się dotknąć, ale nie chciały nawet widzieć rzeczywistości. Odurzały się napojem sztucznym, przyprawionym złudzeniami, niewstrzemięźliwie upajały się nim, aż w końcu używanie go przeszło w nałóg. Przez trzy lata Austro-Węgry i Anglia miały tylko jeden cel, oddalić niebezpieczeństwo, ale myśl i troskę o niem. Przez trzy lata rozwijały się wypadki, które dojść musiały do nieuniknionego wyniku a przez te trzy lata nie tylko nie zrobiono, aby ich postępowi przeszkodzić, przeciwnie dopomagano ich pochodowi, a kiedy po trzech latach doszły do kresu i celu, słyszeć się dało nieuzasadnione *reto*, niezdolne odrobić tego co się stało, świadczące o bezładzie wyobrażeń i pojęć tych, którzy tylko tego rozpaczliwego umieli chwycić się środka.

Austro-Węgry i Anglia zamiast przeszkodzić rozwijaniu się sprawy wschodniej lub wziąć ją w ręce, torowały uprzejmie Rosyi drogę. Zawsze zgodne, gdy szło o ułatwienie jej zadania, nie mogły nigdy się połączyć, aby je utrudnić. Od podróży do Dalmacyi cesarza Franciszka Józefa, do protokołu londyńskiego, tak gorliwie pracowano dla Rosyi, iż zdawać się mogło, że chciano ją wciągnąć na to, aby jej zgotować pamiętną klęskę i nieraz trudno było oprzeć się posądzeniu, że wielka knuje się zdrada. Tak to czasem przeciwieństwa mają ludzające podobieństwo, a dobroduszość przybiera szatańskie pozory.

Tymczasem od początku żadne zgola nie groziło Rosyi przygotowane niebezpieczeństwo, nie było żadnej w zamiarach ludzkich zawieszanej nad jej głową klęski, przypadek mógł ją sprowadzić, wtedy znaleźliby się ludzie, gotowi przypisać sobie jej zasługę. Jeżeli nie było złego względem Rosyi zamiaru, było zatem zaślepienie. Nie koniecznie. Jak byłoby przecenieniem ludzi kierujących wówczas sprawami publicznymi przypisać

im zle zamiary, tak znowu byłoby zbyt wielkiem lekceważeniem ich zdolności przypuszczać, iż do tego stopnia byli krótkowidzącymi. Było coś gorszego jeszcze, bo była świadomość niebezpieczeństwa a brak odwagi, męskości i woli, aby mu śmiało spojrzeć w oczy; świadczy o tem cały przebieg wypadków, świadczą wszystkie dokumenta od pierwszej depeszy „księgi czerwonej“ do noty okólnej margr. Salisburego. Wyleczyć się można z zaślepienia, ale rozmyślne trwanie w błędzie, z pełnem poczuciem niebezpieczeństwa, brak chęci, siły, lub możności zerwania z nim, jest tak w dziedzinie duchowej jak w politycznej, oplakanem. Nieświadomość niebezpieczeństwa daje czasem odwagę, która zbawia, małoduszność powstająca w skutku znajomości niebezpieczeństwa, zawsze jest zgubną. Tej małoduszności owocem było położenie polityczne wobec traktatu San-Stefano. Zadziwiającem było tylko przerażenie tych, których małoduszność wytworzyła ten stan rzeczy.

Mocarstwa, które nie przeszkodziły rozwojowi wypadków na Wschodzie, które wojnie Rosyi z Turcyą tamy nie położyły, które przypatrywały się jej ze spokojem Bogów, czując się teraz dotkniętymi do żywego, tak dalece, że już ich uspić nie mógł napój ze złudzeń, podnosiły wielki lament, który nic w sobie nie miał boskiego, lecz był wyrazem trwogi. Z udaniem zdumieniem witaly one następstwa wojny i wynikły z niej pokój i usiłowały wstecz zwrócić bieg wypadków, tem samem korytem, które dyplomacya ich wytknęła, żelazo wyrzyło, a którem krew popłynęła. Jozue zatrzymał słońce, mocarstwa chciały, aby się krwawo nad Wschodem wznoszące słońce rosyjskie cofnęło.

Mężowie stanu, kierujący sprawami publicznemi Europy, przekonani byli, że Rosya na to przygotowała wypadki na Wschodzie i prowadziła wojnę, aby zniścić Turcyę, zapewnić swój wpływ i ustalić przewagę; wiedzieli, że nie będzie chciała i nie będzie mo-

gła rzec się tych korzyści. Nie brakiem jasnowidzenia zgrzeszyli, lecz brakiem odwagi i stanowczości, a dopiero stojąc wobec rzeczy dokonanych, żądali, aby odrobionemi zostały i wzywali Rosyę, aby zasiadła wraz z nimi do pracy Penelopy. Cnotliwa Penelopa prula sama swoją własną robotę; mocarstwa zapraszały do tej pracy uwodziciela. Penelopy to praca, którą chciała rozpocząć dyplomacya, tylko, że nie była już zyskaniem czasu, ale marnowaniem go. Czegóż Anglia i Austro-Węgry żądały od Rosyi? Odstąpienia im na Wschodzie tego wpływu, do ustalenia którego tak skutecznie się przyczyniły. Wpływ zdobywa się, lecz nie odstępuje się jak kraje. To, czego pragnęły mocarstwa, było nieuchwykalne. Traktat San-Stefano rozedrzeć można było, lecz nie można było unicestwić skutków wojny rosyjsko-tureckiej, ani zapelnąć braku, powstałego przez upadek Turcyi. Traktat San-Stefano był dziełem dorywczem, niedokładnem, wadliwym, odbijało się w niem szerokie usposobienie słowiańskie Ignatiewa, ale był następstwem czynów. To co mocarstwa w miejsce jego postanowić chciały, musiało pozostać mgłą i galareta, źle określonym tworem obaw i żądz, bez stężałości i trwałości, bo te nadać by mogły znowu tylko ich czyny. Bez tego zamierzony twór musiał być chorobliwym i obrócić się na korzyść Rosyi. Rosya cofnąć się mogła, ale tylko jak wojsko, które na to skutecznie odwrót, aby tem pewniej uderzyć. Rosya tem łatwiej cofnąć się mogła, że zostawiała twierdzę podminowaną a miała w ręku drut do miny. Umowy nawet wojskowe Austro-Węgier z nowo powstającymi państwami nie mogły temu zapobiedz; ci przymusowi sprzymierzeńcy, uważaliby się za ujarzmionych, a ci nowi lennicy staliby się spiskowcami. Przewagi opartej na wpływie nie nabywa się, można ją tylko złamać.

Wiedziały o tem mocarstwa, lecz znów nie chciały tego same przed sobą przyznać. Można było odepchnąć

przewagę Rosyi nad światem słowiańskim od przyjaznego jej gruntu wschodniego, nie można było na nim przelamać jej. Przelamać tę przewagę można było na gruncie przyjaznym dla Zachodu. I dlatego dopiąć można było celu, zasłaniając naród polski przed wytepieniem przez Rosyę, lub przed pojednaniem z nią. Do tego brakło odwagi lub możności. Stąd niepewność, zmienność, chwiejność, stąd tyle już chwil, szumnie nazwanych korzystnemi, które wszystkie znikły, jak błędne ogniki. Anglia i monarchia Habsburgów działały pod wpływem podwójnej obawy, dokonanych przez Rosyę czynów i tych, któreby im należało dokonać. Nie może być dzielności czynów, gdzie niema dzielności myśli; nie może być działania skutecznego, gdzie ostateczny cel tak dalece przerasta ludzi, że ich przeraża i tam już nie wola ludzka, ale wypadki rozstrzygają o przyszłości.

ROZDZIAŁ XIII.

Rosyanie nie wchodzą do Konstantynopola. — Polityka Austro-Węgier wobec zawodu. — Wojsko austriacko-węgierskie zajmuje 25 maja 1878 r. wyspę turecką na Dunaju Ada-Kale. — Hr. Andrassy odpycha usiłowania generała Ignatiewa odłączenia Austro-Węgier od europejskiego współnictwa. — Oświadczenia rządowe w parlamentach i delegacyach wspólnych. — Mowa Dunajewskiego. — Rosya zgadza się w końcu na przedłożenie całego traktatu San-Stefano Kongresowi. — Kongres zwołany do Berlina na pierwszą połowę czerwca. — Korzystny zwrot dla polityki hr. Andrassegö. — Twórcą tego zwrotu lord Beaconsfield. — Traktat San-Stefano przemienia się z wielkiego i dumnego w lekkomyślne i upokarzające dla Rosyi dzieło.

Przeniesienie głównej kwatery rosyjskiej do San-Stefano było krokiem przygotowawczym do tryumfalnego wejścia naczelnego wodza W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza na czele wojsk do Konstantynopola, gdzieby go duchowieństwo greckie powitało, jako oswobodziciela chrześcian; głoszono, że meczet Sofijski ma być zwrócony i na jego szczycie zatknięty zostanie na nowo krzyż. Gwardya rosyjska miała tylko przejść przez ulice Konstantynopola, wsiąść na okręty tureckie, po za Złotym Rogiem i odpłynąć do Odessy; skąd okręty nie wróciłyby już, policzone jako zadatek na rzecz wynagrodzenia kosztów wojennych. W. Ks. Mikołaj miał odwiedzić Sultana i jako przyjaciel w jego pałacu zamieszkać. Wejścia wojsk do Konstantynopola zaniechała

jednak Rosya, może po części z powodu obecności na morzu Marmora okrętów angielskich. Gwardya nie odpłynęła i miała pozostać aż do ukończenia kongresu pod Stambulem. Miesiąc kwiecień zeszedł na sporach i układach co do praw kongresu. Nowy angielski minister spraw zagranicznych, lord Salisbury, wydał silną okólną notę 1 kwietnia na poparcie wiadomego żądania co do jego zakresu, a na nią odpowiedział ks. Gorczakow broniąc traktatu San-Stefano.

Traktat ten mieścił w sobie warunek, że bez względu na postanowienia Europy, Porta przyrzeka wykonać wszystkie zobowiązania, to jest, że uchwały kongresu nie mogły złagodzić warunków przyjętych przez Turcyę, choćby Rosya była zniewoloną do pewnych zmian traktatu; Rosya nie czekając też dłużej, wprowadzać poczęła w wykonanie traktat, żądając opuszczenia twierdz nad Dunajem, morzem Czarnem i w Armenii przez Turków; wyjścia ich z Bułgarii; biorąc się do urządzenia Bułgarii i wymagając od Rumunii, aby oddała część Bessarabii, zajęła Dobruczę. Natrafiła jednak na różne opory, podniecańcze przez Anglię a półwysep Bałkański przedstawiał obraz zupełnego zamętu.

Wobec tego stanu rzeczy ks. Bismarek oświadczył, iż przyjmuje jedynie zadanie „uczciwego pośrednika“.

Polityka monarchii Habsburgów, która była przeciwną dwóch kierunków, o których wciąż mówiliśmy, znajdowała się wobec znacznej i przykłej porażki. — W nadziei nabycia Bośni i Hercegowiny, monarchia Habsburgów podała była rękę Rosyi do podniesienia sprawy wschodniej; umożliwiła wojnę Rosyi z Turcyą obietnicą w Reichstadt neutralności, zamienioną w zobowiązanie w konwencji z 15 stycznia 1877, którego dotrzymała. Rosya zaś zawarła traktat w San-Stefano bez zapytania i uwzględnienia Austro-Węgier, bez zapewnienia im Bośni i Hercegowiny, pozorując to postępowanie, niezajęciem podczas wojny tych krajów przez Austro-

Węgry. Traktat ten rozwiązywał sprawę słowiańską przeciw Austro-Węgrom, bo wyłącznie przez Rosyę i w skutku jej zwycięstw; Turcyę doprowadzał do niemocy i bez wynagrodzenia pozbawiał Austro-Węgry sprzymierzeńca, którego wartość ocenić można było podczas wojny, tem samem doniosłość ustępstwa, które monarchia Habsburgów zrobiła, poświęcając go. W zamian nie tylko nie weszła była w posiadanie Bośni i Hercegowiny, ale nie zajęła była tych krajów i teraz czekała beczynnimie na wynik sporu o zakres działania kongresu.

Dnia 25 maja załoga austriacko-węgierska zajęła turecką wyspę „Ada-Kale“, leżącą na Dunaju pod Orszową, w miejscu, w którym zbiegają się trzy granice: austriacko-węgierska, rumuńska i serbska. Na wyspie tej i w małej na niej twierdzy, znajdowało się do owego dnia wojsko tureckie, jakby tam zapomniane. Na wezwanie Porty, wyspę i twierdzę zajęły Austro-Węgry na mocy umowy zawartej między rządem tureckim a ambasadorem austro-węgierskim w Konstantynopolu, hr. Ziczym. Monarchia Habsburgów dała się uwieść przez Turcyę, która, jak drugi Don Juan, jeżeli nie całą rękę, to koniec palca jej podała. Uwiedzenie Zerliny, to jest zajęcie przez wojsko austriacko-węgierskie Ada-Kale, nastąpiło 25 maja, w sobotę w południe, w jasny dzień. Po opuszczeniu wyspy przez ostatniego żołnierza tureckiego, wszedł oddział 78 pułku piechoty barona Sokcewicza. Załoga turecka liczyła niespełna sześćset ludzi.

Pomimo, iż było w tem coś z przygód Robinsona Kruzoe, zajęcie położyło koniec bierności, nieczynności Austro-Węgiei, było bądź co bądź początkiem działania. Austria odkryła wyspę! Jak każdy pierwszy krok, mógł on za sobą pociągnąć inne. Siła wypadków przemienić mogła ten kroczek w czyn, na polu niemiunikionego współzawodnictwa między monarchią Habs-

burgów i Rosyą, chociażby nawet zamiar, który mu przewodniczył, był wprost przeciwnym. W każdym razie był opuszczeniem niepodobnego nadal do zachowania wobec zagrożonych wypadkami na Wschodzie spraw i bezpieczeństwa monarchii, stanowiska biernego i nieczynnego. Nie można także zaprzeczyć, że była pewna zręczność w obraniu tej wysepki dla rozpoczęcia działania, kiedy świat cały mniemał, że polityka austriacko-węgierska zwraca oczy i żądzę w inną stronę, w stronę Bośni i Hercegowiny, w stronę zaplecznika tej ziemi obiecanej dla wybranego ludu! Była to polityczna niespodzianka i miała tę zaletę, że nikt się jej nie domyślał. Obawiano się o zegarek, a tu chustkę wyciągnięto z kieszeni. Trzeba mieć szczególne, wrodzone do takich rzeczy uzdolnienie cygańskie, aby się udaly. Przeznaczeniu Monarchii Habsburgów przypisać należało, że nawet wielkie jej działanie rozpoczynało się od małej wyspy i że podziwiając śmiałość jej pociągnięcia na szachownicy, jednocześnie z mikroskopem szukać przyszło na mapie Ada-Kale i życzyć, aby nie była to wyspa zaczarowana, któraby ją w błędne wprowadziła koło!

Monarchia, zajmując tę wysepkę, uległa jak kobieta pokusie, przewyciężyła swoje skrupuły i wahanie. Nie można było tego prawdziwym nazwać czynem, ale była to ta próba czynu, która zwykle popycha dalej, chociażby tylko z ciekawości. Monarchia Habsburgów, jak każda słabnąca niewinność, mogła zająć teraz daleko. W tym liliputowym politycznym kroku, gdyż wojskowym nazwać go nie można, afekta polityki austriacko-węgierskiej, nie zwracały się w stronę dawnej miłości, w stronę owego zaplecznika, dla którego w chwili oblędu tak namiętnym a niebaczny zapłonęła ogniem. Pierwszy krok postawionym został nie na tyłach sprawy wschodniej, ale w samym jej środku. Świadczyć to mogło, że zrozumiano, iż niebezpieczeń-

stwo nie zagraża jedynie od strony Dalmacyi, ale od całości położenia, stworzonego wojną rosyjsko-turecką. Zajęciem wyspy Ada-Kale Austro-Węgry siadły na koń na Dunaju, a chociaż ten koń jest kucem, polityka monarchii zamierzała stanąć na straży spraw swoich, zarówno od strony Serbii, jak Rumunii, nareszcie co było najważniejszem, zapewnić sobie bieg Dunaju i bronić połączonych z nim korzyści. Tylko, że to wszystko co zamierzać mogła polityka austriacko-węgierska, było dziełem olbrzymiem, spełniony czyn, był czynem karła! Temu wysileniu, leniwej dzielności, towarzyszyło zastrzeżenie, „że jeżeli twierdze naddunajskie pozostaną w rękach tureckich, Ada-Kale zwróconą będzie Turcyi; gdyby zaś twierdze naddunajskie zostały z ziemią zrównane, Ada-Kale pozostanie obsadzoną przez Austro-Węgry“.

Delfickie nieco znaczenie miały te słowa, ale nie dowodziły, żeby krok przedsięwziętym został w porozumieniu, za zgodą, lub w myśl wspólnej z Rosją polityki; przeciwnie, przypuszczały, że jeden z głównych warunków traktatu San-Stefano znazanym będzie, skoro mówiły, że twierdze naddunajskie mogą pozostać przy Turcyi. Wprawdzie dodano, „że w razie zrównania twierdz z ziemią, stosownie do traktatu San-Stefano, Ada-Kale pozostanie w rękach Austro-Węgier“ — co znowu pozwoliło wnosić, że był to początek udziału w podziale przywodzącym mimowolnie na myśl Spiż, z tą różnicą, że w owych błogich dla dyplomatycznych rewindykacyi czasach nie było ani nauki plemion, ani panslawizmu. Można było także przypuszczać, że było to początkiem działania, podobnego do niewdzięcznego zajęcia podczas wojny krymskiej księstw naddunajskich. Ale czy zajęcie Ada-Kale miało być objawem nowej niewdzięczności, czy też zasługiwało na wdzięczność, ten pierwszy krok Austro-Węgier wbrew może

zamiarowi, zaznaczał współzawodnictwo w przyszłości z Rosją na Wschodzie — nowo urządzonym.

Zestawiając zajęcie Ada-Kale z zamiarami, określonymi przez rządowe zwierzenia Astro-Węgier, w sprawie wschodniej, mniemać można było, iż to było posunięciem pioną na szachownicy dla zapobieżenia skutkom wojny rosyjsko-tureckiej i traktatu San-Stefano. Austro-Węgry pragnąc bowiem przekształcenia całości położenia, stworzonego traktatem San-Stefano, jednocześnie dążyły do podziału wpływu w Bułgarii, co zbyt przypominało Szleswik-Holsztyn i także prowadziło do współzawodnictwa. Żądanie zaś, jakie Austro-Węgry stawiały na kongresie obciążenia granic Bułgarii, oraz stawienia zapory dążeniom i życzeniom Serbii i Czarnogóry, zrzucało na nie w oczach ludów słowiańskich półwyspu Bałkańskiego całą winę, zatem obrócić się nie mogło na korzyść jej wpływu na Wschodzie, lecz przewagi Rosyi, która miała być zwalczoną i poskromioną. Tu zaczynało się błędne koło. Wszystkie w tym kierunku ustępstwa Rosyi stawały się darami Danaów, a zamiast uspokoić lub ulagodzić, musiały zaostrzyć przeciwieństwa. Prowadziło to nieuniknienie do gry nierównej między monarchią Habsburgów a Rosją na Wschodzie. Żądze wojenne i chęć zemsty Rosyi zwrócić się musiały w stronę Austro-Węgier. Zajęcie Ada-Kale było spóźnioną utratą w sprawie wschodniej dziewięctwa.

Hr. Andrassy, który podczas wojny ustrzegł się był współnictwa z Rosją, tem mniej chciał go teraz, kiedy ona oburzyła była Europę traktatem San-Stefano. Nie dał się też uwieść namowom jego twórcy, Ignatiewa, który przybył był do Wiednia, aby złagodzić wrażenie, wywołane jego dziełem oraz odciągnąć Austro-Węgry od koalicji przeciw niemu i jak twierdzono niemal dumną dał mu odprawę.

Hr. Andrassy 29 maja dał w obu Delegacyach jednobrzmiącą odpowiedź na zapytania o traktat San-Stefano i rzekł, że przedłoży go Delegacyom w całej osnowie a jako rzeczy dotyczące Austro-Węgier, wskazał naprzód zbyt wielkie rozszerzenie granic Bułgarii, pobyt tamże wojska rosyjskiego przez dwa lata po zawarciu pokoju i także powiększenie się Serbii i Czarnogóry takie, któreby było szkodliwe dla handlu austriacko-węgierskiego. O zajęciu Ada-Kale rzekł hr. Andrassy, w wydziale delegacyi węgierskiej, że Austro-Węgry zajęły ją w porozumieniu z Turcyą na tak długo, dopóki kongres o jej losie nie rozstrzygnie. W Radzie Państwa i w Sejmie węgierskim, prezesowie obu gabinetów, ks. Auersperg i Koloman Tisza, oświadczyli, że traktat San-Stefano naraża Austro-Węgry nie tylko co się tyczy pogranicznych ziem tureckich, lecz także, ze względów politycznych i handlowych, co się tyczy całego półwyspu Bałkańskiego. Żądane sześćdziesiąt milionów, potrzebne były na cele wojskowe, mające postawić monarchię w możności obrony.

Przedtem rząd odpowiedział był na zapytanie prezesa Koła polskiego, Grocholskiego, co do zamiaru wkroczenia do Bośni i Hercegowiny, że wiadomości o zajęciu są bezpodstawne i że rząd nie odstępuje od zasady, iż wszystkie sprawy wschodnie mają być rozbiebane na kongresie, że Austro-Węgry przeto nie będą prowadzić polityki na własną rękę.

Odezwał się głos pełen rozwagi i mądrości politycznej. Na dwunastem posiedzeniu Delegacyi austriackiej, dnia 4 czerwca 1878 r., przy rozprawach nad wnioskiem komisji budżetowej o udzielenie rządowi kredytu sześćdziesięciu milionów na cele mobilizacyi wojska, przemówił delegat Julian Dunajewski. Określiwszy zamiary i dążenia prawosławia i panslawizmu, rzekł mowca: „Pan minister spraw zewnętrznych sam wskazał w przemówieniu swoim te punkta traktatu

San-Stefano, przeciw którym stanowczo i jaknajsilniej zamierza wystąpić. Są to te, które dotyczą niezaprzeczenie najżywoźniejszych spraw Austrii i Węgier, lub im nawet zagrażają, ale tylko od wschodnio-południowej granicy. Sądzę jednak, że wedle zdania bardzo rozpowszechnionego, usunięcie jedynie tych warunków pokoju lub nawet udaremnienie nie tych tylko zamiarów, nie wystarczy na to, by monarchię austriacko-węgierską a w dalszym następstwie i Europę od tych niebezpieczeństw naprawdę i na zawsze zasłonić. Jeżeli co w oświadczeniu pana ministra mogło słusznie przyjętem być z radością, to przedewszystkiem jego przyrzeczenie, że na kongresie starać się będzie o zaprowadzenie trwałego pokoju. Zbytecznie mówić, że w całym państwie austriackiem niema nikogo, czy między temi, którzy o sprawach państwa jakotako myśleć umieją, czy między wielką rzeszą ludności pracującej, która się polityką nie zajmuje, niema nikogo, któryby trwałego pokoju nie powitał z radością. Ale trwałym może pokój być tylko wtedy, kiedy usunięte będą, ile możliwości, powody trwałej i ustawicznej niespokojności. To dostojne zebranie nie będzie, mam nadzieję, dziwić się temu, że ludność, mojego zwłaszcza rodzinnego kraju, od początku dzisiejszych zwłaszcza zawikłań, zrozumieć tego nie może, jakim sposobem państwa europejskie, które tak troskliwie zajmują się losem Bułgarów i Serbów i tym — zamiar z pewnością najchlubniejszy — chcą do pozyskania i zabezpieczenia praw ich dopomóc, jakim sposobem, mogą nie wiedzieć tego, że naród i licniejszy nierównie i inaczej przecie około europejskiej cywilizacyi zasłużony i po tysiącu latach swojej historyi więcej przecie znaczny i znaczący, niema żadnych praw zgola i to pod tym samym rządem właśnie, który na swoim sztandarze wypisał jako hasło: przywracanie praw po za granicami swego państwa. Tego przecież pojąć nie można, jakim sposobem, jeżeli wolno użyć

tego porównania, towar jakiś uznany jest za dobry do wywozu za granicę, ale spożycie jego w kraju samym zabronionem jest najsurowiej i wszelkimi możliwymi środkami tłumionem. I temu też nie można się dziwić ani ludności naszej brać za złe, że widząc, jak od lat całych wszystkie mocarstwa europejskie biorą w opiekę izraelitów w Rumunii, słysząc, jak świeżo jeszcze J. E. Pan Minister spraw zagranicznych obiecywał sprawą ich zająć się jaknajtroskliwiej, nie może pojąć dlaczego inny lud, prawda że nie starozakonny, nie miałby mieć prawa do podobnych względów, do podobnej ze strony państw europejskich troskliwości? Z tych powodów i w tej myśli, wychodziliśmy zawsze, moi towarzysze i ja, przy rozprawach austriackiej Rady Państwa, z tego stanowiska, że rozwiązanie tak zwanej sprawy wschodniej i uspokojenie prawdziwe i trwałe, nie da się osiągnąć nigdy, dopóki państwa europejskie, już z mocy traktatów mające po temu wszelkie prawo, nie ujmą się tak za prawami Polaków pod rządem rosyjskim, jak się teraz ujęły za Słowianami tureckimi. W tej myśli podaliśmy przed niedawnym czasem zapytanie do cesarskiego rządu, usłyszeliśmy odpowiedź, „że kongres ma się wyłącznie zająć właściwą sprawą wschodnią, czyli raczej ściśle tylko samą turecką. „Parę lat temu, kiedy Delegacye zasiadały w Peszcie słyszałem, pamiętam, z ust ministra spraw zagranicznych to dowcipne porównanie, że sprawy zewnętrzne są grą a w tej, jak innej z odkrytymi kartami, wygrać nie można. To rozumieniem doskonale. Ale sądzę, że przychodzą czasem w historyi takie chwile, w których gra najlepsza do wygranej prowadzić nie może, jeżeli chce koniecznie być matematycznie pewną. Kiedy zaś taka chwila przyjdzie, trzeba umieć się na niej poznać i przypomnieć sobie przysłowie: *qui ne risque rien n'a rien*. Kto nic na kartę postawić nie chce, ten z pewnością nie wygra a kto w życiu ludów chce stawiać na kartę

i przedsiębrać, ten musi ludom wskazać wielkie zadania i cele. Prawda, że ludy austriackie posłusznie zawsze stawały na głos cesarza i tak samo, sądzę, zawsze staną; przecież w ważnych i trudnych chwilach nie dość jest posłuszeństwa i wierności, trzeba zapалу. Ten zaś znajduje się tam tylko, gdzie są istotne wielkie zadania i cele a wystąpienie stanowcze i śmiałe jest podobno zawsze najlepszym środkiem do utrzymania dawnych, wiekami utwierdzonych a pozyskania nowych sprzymierzeńców. Jeżeli skończy się na pokoju, to życzeniem tych, których ja tu przedstawiam, byłoby, ażeby słowa pana ministra stały się rzeczywistością, ażeby to był naprawdę pokój trwały a taki, jeszcze raz to powtarzam, nie jest i nie będzie, naszym zdaniem możliwym, dopóki nie będzie pewności i rękojmi, że te dążności prawosławno-panslawistyczne, o których mówiłem, monarchii a nawet równowadze europejskiej niebezpieczne, nie będą wzdłuż całej północno-wschodniej granicy państwa poskromione i ujęte w karby. To zaś nie może się stać inaczej, jak tylko przez poszanowanie tych praw, o których wyżej wspomniałem. Wypowiedziałem tu przekonania moich rodaków. Sądziłem, że tem więcej miałem do tego prawa i możności, że przemawiam do rządu, mającego na kongresie występować w imieniu monarchy, który przez osobliwszą łaskę swoją i pieczęt około dobra naszego narodu, zjednał sobie na drodze pokojowej serca ludności polskiej“.

Wtem Rosya w sporze o zakres działania Kongresu cofnęła się i ustąpiła. Hr. Szuwałow, ambasador rosyjski w Londynie nakłonił do tego swojego władcę. Przedtem jednak porozumiał się z rządem angielskim co do głównych warunków, tak, iż już przed kongresem zawartym został rodzaj umowy między Anglią i Rosją, wykluczający dla tych dwóch mocarstw wszelką większą niespodziankę. Jednocześnie Anglia zawarła

była 4 czerwca osobny układ z Turcyą co do Cypru i Azji mniejszej.

Rosya chciała zakończyć wojnę, Anglia nie chciała jej rozpoczynać. Dwie powyższe umowy były rozstrzygającami i przesądzały wynik kongresu. Austro-Węgry pozostały po za niemi. Hr. Szuwałow, który przywiózł był do Petersburga cichy z Anglią układ, odwiedził w Warżynie chorego ks. Bismarcka i w imieniu rządu rosyjskiego oświadczył, że ten zgadza się na przedłożenie całego traktatu San-Stefano kongresowi i prosi, aby kanclerz niemiecki zwołał go. Zebranie kongresu naznaczone zostało w Berlinie na pierwszą połowę czerwca. Hr. Andrassy odetchnął, jego polityka okazywała się trafną a dopięcie celu drugiej, nabycie Bośni i Hercegowiny zależało teraz już nie od Rosyi i umowy z nią to jest konwencyi z 15 stycznia 1877 r. lecz od kongresu europejskiego co także odpowiadało lepiej widokom hr. Andrassego.

Jednocześnie zamach Nobilinga na cesarza Wilhelma, dokonany 2 czerwca w Berlinie *pod lipami* usuwał na czas jakiś z widowni przekonanego i wytrwałego przyjaciela cesarza Aleksandra II, albowiem trzydzieści przeszło ziarn śrutu ugodziło w sędziwego cesarza twarz, kark i w prawe ramię a parę ich, utkwivszy w pobliżu arteryi u przegubia ręki nie zostało na razie wyjętych i stwarzało niebezpieczeństwo z powodu bliskości naczyń krwistych. Zastępstwo cesarza powierzonom zostało następcy tronu ks. Fryderykowi.

Tak zatem Rosya cofała się, ustępowała i upokarzwała się z konieczności. Liczne do tego nakloniły ją powody; oplakany po zwycięstwach stan jej wojska; stanowisko strategiczne nadzwyczaj niebezpieczne za Dunajem; oburzenie wywołane traktatem San-Stefano i sposobem zawarcia go; trudności miejscowe w wykonaniu coraz to piętrzące się; wycieńczenie skarbu i zagrożony kredyt; stosunki wewnętrzne groźne, coraz

silniejszym działaniem nihilizmu oraz jego zamachy; niezadowolnienie Austro-Węgier i przymusowe ich przygotowania wojenne; wreszcie i przede wszystkim opór, wprawdzie spóźniony, wytworzony rozumem, wolą i czynami prawdziwie wyższego męża stanu, człowieka niepospolitego, wytrawnego, lecz widzącego daleko, pełnego polotu i natchnionego wyobrażeniem o wielkości swej ojczyzny, o jej zadaniach i obowiązkach jako światowego mocarstwa, lorda Beaconsfield. On to poruszył sprężyny, które zniewolić musiały Rosyę do cofnięcia się, do ustępstw; on wbrew prądowi wywołanemu przez Gladstona uzbrajał Anglię, szeregowal opór europejski i on wysłał pod mury Starego-Seraju okręty angielskie a pulki sprowadził z Indyj; on wreszcie zawołał w izbie lordów, zwracając się do Rosyi: stój! Traktat San-Stepano złożony na stole kongresu, przemieniał się z wielkiego i dumnego w lekkomyślne i upokarzające dla Rosyi dzieło.

ROZDZIAŁ XIV.

Ostatnia scena czwartego aktu „Iwana Groźnego“ hr. Alexego Tołstoja.

Nadzieja utrzymania pokoju opierała się od początku na przekonaniu, że Rosya nie jest w stanie prowadzić długiej wojny, tem mniej drugiej; a utrzymywała się jedynie dlatego, że cesarz Aleksander, widząc grożące swojemu państwu niebezpieczeństwo, skłaniał się do pokoju, choćby uzyskanego kosztem ustępstw, zatem kosztem dumy narodowej, oraz upokorzenia Rosyi. Z drugiej jednak strony powstawał w cesarstwie przeciw ustępstwom i upokorzeniu opór, na czele którego stali wielcy książęta, mianowicie następca tronu.

Poważna była to chwila dla Rosyi. Pierwszorzędne państwo, którego jedną z głównych sił była dumą, po odbytej szczęśliwie i chlubnie wojnie, która krocie ludzi i pieniędzy kosztowała, po podpisaniu traktatu, który zapewniał korzyści tej wojny, miało poddać je pod ocenę nieprzyjaźnych mocarstw. Doniosłość położenia zwiększała się tem, że ostateczne postanowienie zawisłem było od woli jednego człowieka, który musiał przyjąć całą za naród i wobec narodu odpowiedzialność. Było to następstwem zarówno ustroju państwowego Rosyi, jak istoty narodowej jej ludu.

Rosya posiadała oddawna umiejętność cofania się i wyczekiwania odwetu. Nie spuszczała nigdy z oka

celu. Jak umiała chcieć strasznie czego chciała, tak umiała odkładać to, czego chciała. Cofała się jednak z goryczą.

Już raz w pamiętnej chwili Rosya przechodziła przez ciężką próbę cofnięcia się. Skreślił ją twórca *Iwana Groźnego*, Alexy Tolstoj. Ostatnia scena czwartego aktu tego potężnego dramatu zawiera dziejową naukę.

IWAN. Jeszcze tej nocy wyprawić posłów do Batoro i choćby pod najtwardszymi warunkami, pokój z nim zawrzeć, bodaj nawet czasowy. Umieścić w piśmie: „Biję czołem najukochańszemu bratu Stefanowi królowi“. Wypisać wszystkie jego tytuły, a na końcu nazwać go panem ziemi Liwońskiej, a to w tych słowach: „Z ziemią Liwońską biję czołem ukochanemu bratu i proszę tylko zostawić mi miasto Juriew, a reszta miast wszystkie będą twoje“. Ustępuje mu także miasta: Wieleż, Uświat, Jezierzyszcze i Plock, Izborsk, Siebierz, Chehn, Zawłocie, Ostrów, Gdów, Nowel, Luki, Krasne i wszystkie inne zabrane nam przez niego.

(Szemranie między bojarami).

ZACHARYN. Zmiluj się Panie! Wstyd nam takie warunki przyjmować.

MŚCISŁAWSKI. Każ nam Panie wszystkim iść na bój z Batorym, tylko nie każ hańbą się okrywać.

BIELSKI. Dozwól Panie, a my całe nasze mienie poświęcimy.

BOJARZY (kolejno): Wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć za ciebie. Wszystko przedamy, zastawimy ziemię naszą. Do śmierci trzymać się będziemy; krew do ostatniej kropli przelejemy. Umrzemy co do jednego, tylko naszych ruskich miast nie każ nam oddawać.

IWAN. Milczcie! czyż mnie to samego nie boli? Lecz nie można inaczej. Zapomnieliście, że Han już pod Moskwą, że się Czeremisi zbuntowali, że Szwed zagraża Nowogrodowi.

ZACHARYN. Nie, Carze, Psków jeszcze w naszym ręku, a póki się nie podda, Batory nie może się naprzód posunąć. W jego wojsku bunt, zaraza, niedostatek pieniędzy i głód. Poczekajmy, a wkrótce odstąpi od oblężenia, wróci do siebie i miasta wzięte musi nam zostawić.

IWAN. Czekać nie mogę; krwawa gwiazda mię woła. Batory jeszcze więcej domagałby się od Fiedora. Nie można.

BIELSKI. Panie, słyszysz, że w ich wojsku bunt, choroby i głód; czyż właśnie teraz, kiedy naszymi łupcami możemy na nich uderzyć, mamy tyle ziem ruskich im odstąpić?

IWAN. Zwyciężyć nie możemy; zapomnieliście, że gwiazda nie jemu, ale mnie zgubę zapowiada!

ZACHARYN. Panie, jeżelibyś w samej rzeczy miał umrzeć, to dla czegoż i cała Ruś ma z tobą ginąć?

MŚCISŁAWSKI. Dlaczego chcesz poniżyć nasze dobre imię?

IWAN (hardo). Kiedy przed śmiercią, dla odkupienia grzechów ja się upokarzam, ja, wasz władca, natenczas nie wam myśleć o waszej dobrej sławie. Ani słowa więcej! Szujski, przed świtem przygotujesz mi listy do Batorego i rozkażesz Puszkiniowi z towarzyszami, żeby, jak tylko dzień zacznie, gotowi byli do wyjazdu. Żeby w swoich rokowaniach zachowali się spokojnie, skromnie i cicho, żeby znosili bez szemrania nawet łżenie i obelgi, żeby znosili wszystko, wszystko...

BOJARZY. Wielki Carze, to niepodobna. Jesteś Panem naszego życia, majątku, wszystko od twojej woli zależy, ale nad naszą narodową sławą władzy nie masz. Nie, Panie, takiego rozkazu nikt z nas nie spełni.

IWAN. Czy tak dotrzymujecie waszej przysięgi? Czy to ja nie ten sam Car dany wam od Boga? Czyż nieograniczone posłuszeństwo moim rozkazom nie jest waszym obowiązkiem? Krzywoprzysięzcy! mój dzień jeszcze

nie nadszedł, ja jeszcze wasz Car. Kto śmie powiedzieć że ja nie Car?... W proch przedemną! ja wasz władca! (zatacza się, Godunow podtrzymuje go).

GODUNOW. Cara mdłości napadły, zawołać lekarzy.

IWAN (oparty na Godunowie). Pod najśrodszą karą śmierci, natychmiast posłów przygotować, rozkazać im, żeby wszystko przyjmowali, wszystko znosili, wszystko, choćby policzki. (Bojarzy wychodzą). — Wszechnochny Boże! widzisz swojego pomazańca. Czyż już nie dosyć jest dziś upokorzony?

Przejmujący jest to obraz samowładzwa cesarzów rosyjskich i jego stosunku do narodu rosyjskiego. Iwan groźny czuł, rozumiał dobrze, że dalszej wojny Rosya nie jest w stanie prowadzić i wolał upokorzenie, ustępstwa, utratę ziem i miast zdobytych, niż narażenie się na klęski zaprzepaszcżające przyszłość. Pokora ta była polityką, ustępstwa czynił Iwan z zaciśniętymi zębami, z myślą zemsty i odwetu. Upokorzenie, któremu się poddawał, narzucał narodowi „świętej“ Rosyi, jako obowiązek i czuł się dość silnym, aby je wymódz, ale był Iwanem Groźnym! Bojarzy szemrali w imię miłości Rosyi, Bojarzy mówili: „Wielki Carze, to niepodobna. Jesteś Panem naszego życia, majątku, wszystko od Twojej woli zależy, ale nad naszą narodową sławą władzy nie masz. Nie, Panie, takiego rozkazu nikt z nas nie spełni“. A jednak usłuchali, bo mówił do nich Iwan Groźny. Mówił Iwan Groźny, ale mówił i Car, a w tej walce o zawarcie upokarzającego pokoju między Iwanem a Bojarzami stawką, była władza carska. Czasy się zmieniły, wypadki były inne, Rosya była nie pobita ale zwyciężką i ludzie byli inni, ale ta sama rozgrywała się stawka, te same w grze były uczucia, namiętności i przyszłość. I teraz rozstrzygało się pytanie: czy władza Carów pozostała nietkniętą, czy ma tę samą, co dawniej moc i czy to co Iwan Groźny mógł narzucić Rosyi, cesarz Aleksander II wymódz na niej zdola, jeśli

nie potęgą swej myśli i siłą woli, to urokiem i mocą carskiej swej władzy, czy przytem nie uroni coś z niej? Słowem, czy carat przechował to, co Iwan Groźny wówczas dla niego zdobył? Przytoczona scena uczy, że ustępstwa, upokorzenia, Rosyi nie zmieniają, ani powstrzymują jej zamiarów i dążeń, że Europa winna była przypomnieć sobie dzieje Polski i zrozumieć, iż największym jej grzechem było, że nigdy nie umiała skorzystać ze sposobności, wyzyskać zwycięstw. W ten sposób zawarty pokój musiał być „czasowym“.

Rosya ulegając w 1878 r. woli cara, myślała o przyszłości i zgadzała się na pokój, ustępstwa i upokorzenie, aby lepiej przygotować odwet z zamiarem uwydatnionym w obrazie Matejki, przedstawiającym posłów Iwana wobec Batorego.

ROZDZIAŁ XV.

Kongres berliński zbiera się 13 czerwca 1878 r. — Zmiany zaprowadzone w traktacie San-Stefano. — Układ Anglii z Turcją. — Sprawa Bośni i Hercegowiny. — Kongres przyznaje Austro-Węgrom prawo zajęcia i zarządzania tymi krajami. — Całość położenia poświęcona dla szczegółu. — Traktat berliński podpisany 13 lipca 1878 r. — Żal i gniew Rosyi, iż traktat berliński zastąpił traktat San-Stefano. — Położenie Austro-Węgier stworzone traktatem berlińskim. — Stanowisko ich wobec wypadków wschodnich. — Nic nie przedsięwzięły, aby je zażegnać. — Od podróży cesarza do Dalmacyi do kongresu berlińskiego monarchia Habsburgów zmierzała do rozwiązania, które 13 lipca 1878 r. nastąpiło. — Upatrywać zatem w niem musiała korzyści. — Przewodnia myśl. — Główne zadanie i główna korzyść nie osiągnięte. — O wahających się państwach. — Ich określenie przez Machiavella. — Dwa kierunki w polityce muszą zawsze wytworzyć wahanie, które sprawia, że przymus narzuca wybór. — Dwa kierunki w polityce monarchii Habsburgów. — Stąd powstał rachunek strat i korzyści zapisany w traktacie berlińskim. — Jakim on jest. — Korzyści nie zrównoważyły strat i wytworzonych niebezpieczeństw. — Skutek polityki wahającej się. — Monarchia Habsburgów rozumiała straty i niebezpieczeństwa, nie próbowała ich zażegnać, aby nie pozbyć się korzyści. — Chciałaby była powstrzymać Rosyę na Wschodzie, ale pozyskać Bośnię i Hercegowinę. — Ogólne położenie stworzone traktatem berlińskim, góruje nad szczegółami a to przyniosło większe straty i niebezpieczeństwa dla Austro-Węgier niż korzyści. — Wypadki wschodnie i traktat berliński obróciły się na korzyść dzieła ks. Bismarcka, a tak już nie siłą, ale zręcznością zwyciężył. — „L'habileté obtient les mêmes hommages que la puissance parce qu'elle en est une“.

Dnia 13 czerwca 1878 r. zebrał się kongres w Berlinie pod przewodnictwem ks. Bismarcka, złożony z przed-

stawiciele Niemiec, Austro-Węgier, Francyi, Anglii, Włoch, Rosyi i Turcyi. Zasiedli na nim ze strony Austro-Węgier hr. Andrassy, bar. Heimerle ambasador w Rzymie i hr. Karolyi ambasador w Berlinie; Anglii pierwszy minister lord Beaconsfield, minister spraw zewnętrznych lord Salisbury i lord Odo Russel ambasador w Berlinie; Rosyi, kanclerz ks. Gorczakow, hr. Piotr Szuwałow ambasador w Londynie i baron Oubril ambasador w Berlinie; Francyi minister spraw zagranicznych Wadington, hr. Saint Vallier ambasador w Berlinie, H. Desprez; Włoch minister spraw zewnętrznych hr. Corti i hr. Launay ambasador w Berlinie; Turcyi, Karatheodori basza, Mehmed Ali-basza z pochodzenia Prusak Detroit i Sadullah bei ambasador w Berlinie; Niemiec, ks. Bismarek, minister stanu Bülow i ks. Hohenlohe Schilingsfürst.

Później dopuszczono przedstawicieli Grecyi, Rumunii, Serbii i Czarnogóry, armeńskich dygnitarzy kościelnych i posła Persyi, dla przedłożenia życzeń. Członkowie kongresu przybyli o 2 popołudniu do palacu kanclerskiego, dawnego Radziwiłłowskiego, na *Wilhelmstrasse*. Ks. Gorczakowa, chorego na podagrę, zaniósła służba kanclerza od powozu na krzesło. Lord Beaconsfield przyjechał we wspaniałej złocistej karecie galowej, umyślnie z Londynu sprowadzonej.

Rosya złożyła traktat San Stefano na stole kongresu. Porządek obrad wniesiony przez kanclerza niemieckiego i przyjęty naznaczał kolej spraw i nazwał pokój z San-Stefano wstępnymi warunkami.

Dwa wypadki poprzedziły otwarcie kongresu: zawarcie po przeszło dwuletnich targach i tymczasowych zarządzeniach, na nowych lat dziesięć, ugody celno-handlowo-bankowej Austrii z Węgrami; oraz otwarcie powszechnej wystawy w Paryżu. Nie miały one bezpośredniego z kongresem związku. Przyspieszył on jednak zawarcie ugody a wystawa zwiększyła chęć zażegnania

zawikłań i szybkiego załatwienia dzieła europejskiego areopagu.

Wszystkie sprawy omawiali pełnomocnicy poufnie, przed posiedzeniami kongresu. Doniosłość jego, ku ogólnemu zdziwieniu, wielu zgorszeniu, zmalała, gdy się dowiedziano z jednej strony o cichej między Anglią i Rosyą umowie, z drugiej o konwencyi z 4 czerwca 1878 r. zawartej między Anglią i Turcyą.

O pierwszej doniósł, po zebraniu się kongresu, londyński dziennik *Globe*; twierdząc, że była dziełem margrabiego Salisburyego i hr. Szuwałowa. Memoryał odnoszący się do tej umowy, ogłoszony w *Globe* potwierdzał, iż hr. Andrassy nie zawarł był z Anglią przymerza zaczepno-odpornego.

Druga, to jest konwencya z 4 czerwca 1878 r. ogłoszoną została jako rzecz dokonana, mająca swoją moc poza kongresem. Stanowiła ona o prawie Anglii, zajęcia Cypru i zarządzania tą wyspą, oraz o jej opiece nad Azyą Mniejszą, dla obrony której wobec Rosyi, zobowiązywała się połączyć z Turcyą, ta zaś obiecywała zaprowadzić naprawy uznane za potrzebne.

Kongres zmienił wiele postanowień traktatu San-Stefano, zwłaszcza co do rozmiarów Bułgaryi a na posiedzenie, na którym dokonaniem to zostało, nie przybył żaden popularności ks. Gorczakow, zrzucając niejako winę na drugiego pełnomocnika hr. Szuwałowa. Kongres przyznawszy w Azji i Europie znaczne jeszcze Rosyi korzyści, orzekłszy powiększenie Serbii i Czarnogóry, ich niepodległość oraz Rumunii, która zmuszoną została odstąpić Rosyi część Besarabii za Dobruczę, zastrzegłszy sprostowanie granic Grecyi, tem głównie stał się dla Rosyi dotkliwym, iż zamienił traktat San-Stefano na traktat berliński a nie przedał traktatu paryskiego. Tem mniej mogła to ona przeboleć, że poszedłszy za przykładem Włoch i Prus inaczej zakończyć musiała niż te dwa państwa swoje przedsięwzięcie. Tamte bowiem dopełniły

zadania i jedności narodowej bez wmięszania się i potwierdzenia innych mocarstw, Rosya zaś podniósłszy swoją sprawę narodowości, bo panslawistyczną, zmuszoną się ujrzała poddać wyniki kosztownej i krwawej wojny pod orzeczenie Europy. Stąd odczuła żal, boleść i zadana jej rana była dość głęboką.

Wreszcie przyszła kolej na Austro-Węgry. Dotąd nie było mowy o przedmiocie ich pożądlivosti, o celu namacalnym ich polityki o Bośni i Hercegowinie.

Nie mamy pewnych wiadomości o przebiegu sprawy. Hr. Andrassy życzył sobie zapewne, aby rzecz inni podjęli. Gdy nikt się z tem nie kwapił, począł się natarczywie upominać o załatwienie sprawy i podobno zagroził opuszczeniem kongresu, w razie nie uczynienia zadość jego życzeniu. Wtedy to miał ks. Bismarck powiedzieć mu: „Znowu spóźniliście się“, co nie tyle może odnosiło się do wniesienia rzeczy na kongres, jak raczej do niezajęcia podczas wojny lub natychmiast po traktacie San-Stefano Bośni i Hercegowiny.

W końcu na wniosek lorda Salisbury, przyznano na posiedzeniu z 28 czerwca Austro-Węgrom prawo zajęcia i zarządzania Bośnią i Hercegowiną, w celu uspokojenia tych krajów i zaprowadzenia porządku. Lord Beaconsfield dodał: „że Austria już nieraz oddała podobne usługi Europie“.

Pełnomocnicy tureccy wnieśli protest przeciw zajęciu, lecz ten odrzucony został.

Odnośny artykuł 25 traktatu berlińskiego opiewa: „Prowincye Bośni i Hercegowiny zajęte i zarządzane będą przez Austro-Węgry. Rząd Austro-Węgierski nie życząc sobie podjąć się zarządu, sandzaku Nowego-Bazaru, położonego między Serbią i Czarnogórą w kierunku południowo-wschodnim aż poza Mitrowicę, zarząd ottomański pozostanie tam nadal; przecież, aby zapewnić utrzymanie nowego porządku rzeczy politycznego

jak też wolność i bezpieczeństwo dróg, Austro-Węgry zastrzegają sobie prawo załóg, oraz straży dróg wojskowych i handlowych na całej przestrzeni tej części dawnego wilejatu Bośni. W tym celu, rządy Austro-Węgier i Turcyi porozumieją się co do szczegółów“.

Że mocarstwa wzbogacały się nabytkami na mocy konwencji 4 czerwca 1878 r. i artykuł 25 traktatu berlińskiego, w skutku wojny prowadzonej i ofiar poniesionych przez Rosyę, musiało rozjątrzyć jej ranę.

Kongres zamkniętym został 13 lipca 1878 r.

Przez pół tylko, nie całkowicie osiągniętym został cel, którego z oka nie spuszczało jedno z dwóch stronnictw w monarchii Habsburgów, o których mówiliśmy, albowiem zamiast posiadania Bośni i Hercegowiny Austro-Węgry miały przyznane prawo zajęcia ich i zarządzania nimi. Stronnictwo wojskowe, sztab główny, wojskowa kancelarya cesarska i zwolennicy sojuszu z Rosyą, nie ukrywali z tego powodu niezadowolenia, podzielał je monarcha. Hr. Andrassy przywożąc z kongresu zajęcie, nie nabycie, zdawał się dalej prowadzić przeciwną tamtemu stronnictwu politykę. Umożliwiając zajęcie Bośni i Hercegowiny zdawał się być lekarzem wbrew woli.

Cel jednak początkowy jednego z dwóch kierunków w monarchii Habsburgów dopiętym został, chociaż nie doskonale za współudziałem hr. Andrassego.

Jak od początku, tak przy końcu, całość położenia poświęconą była, szczegół ocalał.

Zajęcie Bośni i Hercegowiny musiało pozostać wyłącznie strategicznem, dającym Dalmacyi plecy; wpływowi Rosyi na Balkanie Austro-Węgry nie mogły stać skutecznie czoła i do tego, zajęcie Bośni i Hercegowiny nie tylko nie miało im pomóc, przeciwnie musiało wywołać niechęć i nienawiść. Dla Rosyi przecież był to na razie także kamień obrazy.

Publiczność rosyjska zawrzała oburzeniem i gniewem na traktat berliński. Urzędowy *Pravitelstw. Wiestnik* z 8 sierpnia oświadczył, „że wojna świeżo zakończona jest tylko jednym z etapów w szeregu walk rosyjsko-tureckich; Rosya potrzebuje wytchnąć nieco, zanim ponowi wojnę, która zaspokoi pragnienie narodu i uwieńczy je pomyślnym skutkiem; korzyści wojny są: usamowolnienie znacznej części chrześcian i zdobycze w Azji; czasu przyszłej wojny nie oznacza się, ale wróżyć wolno, że rychlej nastąpi niż po długich przerwach dawniejszych walk; tymczasem potrzeba Rosyi wzmocnić się wojskowo i pieniądze“.

Cesarz Aleksander II wyjechał z Petersburga, omiął Moskwę i udał się do Krymu.

Traktat berliński, dzieło kongresu, był pierwszym rozbiorem Turcyi. Uświęcił on wbrew woli i zamiarom ludzkim na półwyspie Balkańskim zasadę narodowości, która stała się była hasłem i wiarą drugiej połowy dziewiętnastego stulecia. Okazała się tu siła myśli rzucanej w świat przez Cavoura i Napoleona III, zużytkowanej przez pierwszego i przez Bismarcka, zmarnowanej przez cesarza Francuzów. Zwycięską ona pozostała wszędzie prócz w Polsce, z wyjątkiem ziem polskich w monarchii Habsburgów i obróciła się przeciw Francyi, która ją była podniosła. Takie są nieraz dziwne przeznaczenia postawionych zasad, srogie zwroty i losy rzeczy ludzkich w dziejach! Zwykle niesprawiedliwość, która im towarzyszy, jest przeważnie następstwem zdolności jednych, nieudolności drugich.

Cheąc ocenić należycie stanowisko Austro-Węgier stworzone wojną rosyjsko-turecką i traktatem berlińskim, trzeba uwzględnić udział, jaki wzięła w tych wypadkach, jej wyjątkowe położenie, oraz czy i jak dalece nadarzała się jej sposobność odniesienia wielkich korzyści.

Monarchia Habsburgów od początku nie tylko nie przedsięwzięła i nie nie zrobiła, ale nawet słowa nie wypowiedziała, któreby mogło powstrzymać wypadki, lub naprawdę przeszkodzić wojnie rosyjsko-tureckiej.

Od podróży cesarza do Dalmacyi do kongresu berlińskiego, monarchia zdawała się zmierzać i zdążać dla własnej korzyści do rozwiązania, które 13 lipca w Berlinie nastąpiło, stąd prosty wniosek, że musiała upatrywać zyski w rozwinięciu się wypadków i w tem rozwiązaniu, stąd też zestawiając zyski i straty, należy być wymagającym i szukać pierwszych. Położenie Austro-Węgier jest wyjątkowe; dla nich sprawa wschodnia jest żywotną, bezpośrednio ją obchodzącą, dotykającą jej granic geograficznych i duchowych. Poruszenie jej i wszelkie w niej zmiany, monarchię Habsburgów najpierw na stałym lądzie europejskim dotyczyły; nareszcie jeżeli dla Anglii była ona rzeczą, ważną dla Austro-Węgier walka z panslawizmem mogła się stać zapasami o byt. Dlatego też powstaje pytanie, czy Austro-Węgry należycie wyzyskały okoliczności dla wzmocnienia się, czy nie opuściły sposobności przełamania przeciwnika, czy się zasłoniły przynajmniej przed nim dostatecznie, lub też, czy nie odkryły się zbyt ciosami, które może im zadać.

Szereg tych pytań streszcza się w jednym głównem: czy była, a w takim razie jaką była myśl przewodnia polityki monarchii Habsburgów i czy znalazła wyraz swój, czy zwyciężyła przy rozwiązaniu, to jest w traktacie berlińskim?

Rozbierając powyższe pytania, łatwo dostrzedz, że najważniejszym jest to, które dotyczy ogólnych spraw monarchii, bo jej bytu, istnienia i przyszłości; że najważniejszym było przełamanie przeciwnika i zasłonięcie się przed niebezpieczeństwem. Byłoby niezawodnie mistrzostwem politycznym, dokonać tego wielkiego dzieła choćby

w części za pomocą sił i błędów przeciwnika. Tymczasem sprawy angielskie zostały zasłonięte, panslawizm został upokorzonym, ale nigdzie przełamanym jednocześnie warunki traktatu zwróciły jego żądze w stronę Austro-Węgier a pod tym względem uzyskał na Dunaju ułatwienia. Opatrzność zatem, czy szczęście, za pomocą obcych sił nie spełniły głównego Austro-Węgier zadania. One zaś ciosu panslawizmowi nie zadały, bo nawet się o to nie pokusiły. Nie skorzystały ani z oporu Plewny, ani z oburzenia wywołanego traktatem w San-Stefano, ani z gotowości w ostatniej godzinie Anglii, do zawarcia z nimi przymierza, aby wielkie odnieść korzyści, aby zdobyć sobie stałe i trwale zabezpieczenie. A zatem, albo myśl przewodnia monarchii nie obejmowała tej najgłówniejszej strony zadania, albo też spelzła na niczem, ubezwładnioną została. W każdym razie główne zadanie było chybionem; niebezpieczeństwo od strony panslawizmu dla Austro-Węgier nie zmniejszyło się. Czy się nie zwiększyło? Trudno przypuścić, aby kiedykolwiek monarchia znalazła się, nie powiemy w lepszych, ale w równie korzystnych warunkach, jak podczas wschodnich wypadków, do stoczenia stanowczej z panslawizmem walki, a że jej nie stoczyła, zrzekła się tem samem zaczępnęj z nim walki, pozostała jej w przyszłości do stoczenia odporna.

W rozdziale XXXVIII o pierwszej Dekadzie Liwiusza z nagłówkiem: Słabe państwa są wahającemi i nie umieją ani radzić ani powziąć postanowienia. Jeżeli czasem biorą je, jest to raczej z konieczności niż z wyboru.

Machiavell mówi:

„Wahające się państwa tylko przymusowo biorą zbawienne postanowienie, bo słabość ich przeszkadza im powziąć je skoro powstaje jakakolwiek wątpliwość; a gdyby tej wątpliwości nie usunął zbawienny przymus,

który wbrew ich woli narzuca im wybór, wiecznie by wahały się wśród niepewności“.

Tą uwagą, wielkiego w tych rzeczach znawcy, zakończyć możemy pogląd na stanowisko monarchii Habsburgów, wobec głównego zadania. Myśl przewodnia monarchii w ogólnem zadaniu nie sprowadziła rozwiązania, bo tej myśli nie było. Być jej zaś nie mogło, albowiem dwie polityki, dwa kierunki muszą zawsze wywołać wahanie. W monarchii Habsburgów podczas wypadków wschodnich dwa, jak widzieliśmy, ścierały się kierunki; jeden tak zwany wojskowy, zmierzał za pomocą przymierza i wspólnego z Rosją działania, wprost do nabycia Bośni i Hercegowiny; drugi hr. Andrassego do uniknięcia tego przymierza i współdziałania oraz ograniczenia ujemnych stron owego nabytku. Stąd powstał ostateczny rachunek strat i korzyści austro-węgierskich, zapisany w traktacie berlińskim. Był on następstwem „przymusu“, który narzucił „wybór“.

Pozostaje nam zbadać o ile „przymus“, który „narzucił wybór“, był „zbawiennym“.

Prowadzi nas to wprost do rachunku austriacko-węgierskiego, jak go wykazuje traktat berliński. Wogóle oddaje on dosyć szumnie i z pewnym sumptem cześć monarchii Habsburgów, wbija ją w dumę mocarstwową, w końcu narzuca jej wszystkie stąd wynikające ciężary, nie przyznając należytych korzyści. Ma ona poruczone sobie zadanie strzeżenia własnych i Europy spraw od Dunaju do morza Egejskiego, jako błędny rycerz i policyant zarazem, wystawiona na ciosy kopij i sztyletu, w zamian, załoga jej pozostawała w Adakale. W porównaniu z traktatem San-Stefano, berliński zwęził przestrzeń, na której rozlewa się panslawizm o cały pas między morzem Egejskiem a Bałkanami a to w skutku zwycięstwa Anglii. Oprócz tego, jeżeli nie przypadkowego, to podzielonego i wątpliwego tryumfu, w czem traktat berliński zmienił traktat San-Stefano

o ile ten ostatni dotyczył tak nazwanej przez austriacko-węgierskie ministeryum spraw zewnętrznych, dziedziny spraw monarchii Habsburgów?

Artykuły 10, 29, 38, 47, 52 i dalsze, aż do 58 uwzględniają należycie handlowe i komunikacyjne sprawy Austro-Węgier. W protokołach zastrzeżone są one jeszcze dokładniej i obszerniej, a pod tym względem układy berlińskie zapewniają Austro-Węgrom rzeczywiste i doniosłe korzyści.

Prócz tych, jakie są w tak nazwanej dziedzinie spraw austriacko-węgierskich, zmiany traktatu San-Stefano, którego całość i szczegóły wedle słów hr. Andrassego przeciwne i szkodliwe były tym sprawom? Co się tyczy niepodległości Serbii, Czarnogóry i ich wzrostu, traktat berliński nic nie zmienił w traktacie San-Stefano, albo zmienił nieznacznie. Serbia z woli Austro-Węgier otrzymała więcej, Czarnogóra nie zupełnie z dobrą ich wolą dostała Antivari, co narzuciło monarchii obowiązek utrzymania tam straży. Hr. Andrassy, który w oświadczeniach uczynionych w Delegacyach zastrzegł się był przeciw takiemu zwiększeniu się Serbii, które szkodliwym by było dla handlu austriacko-węgierskiego, poparł i to dość gorąco na kongresie rozszerzenie jej granic. Szedł on tu za tradycją polityki monarchii Habsburgów. W 1867 r. hr. Beust nie tylko zezwolił był, ale wymagał zupełnego opuszczenia Serbii przez wojska tureckie. Trudno sobie wytłumaczyć dla czego Austro-Węgry przeciwne będąc wielkiej Bułgarii, która żadnego ani narodowego ani granicznego dla nich nie wytwarzała niebezpieczeństwa popierały wzrost Serbii, która przedstawiała takowe i to zwiększone, odkąd monarchia zająć miała Bośnię. Bułgarya uszczuplona przez kongres berliński za współdziałaniem Austro-Węgier pozostawała nowym tworem oddanym pod wpływ Rosyi i na usługach panslawizmu, czego w stanie czynnym monarchii Habsburgów umieścić nie podobna. —

Zwrotu Rosyi części Besarabii nie możemy między austriacko-węgierskimi korzyściami zapisać już dlatego, że oderwanie jej od Rosyi przez traktat paryski, było dziełem Austrii, czem jedynie zużytkowała była słynną niewdzięczność, wszystko bowiem co dotyczy Dunaju obchodzi Austro-Węgry bezpośrednio i w znacznym stopniu a artykuł 20 traktatu paryskiego opiewał, „że dla lepszego zapewnienia wolności żeglugi na Dunaju, cesarz Wszechrosyi zezwala na sprostowanie swej granicy w Besarabii“. Skromnym jest artykuł 29, przyłączający Spizę do Dalmacyi. Ada-Kale i Spiza są to liliputowe odszkodowania. Gdzież są w tem istotne odpowiednie stanowisku monarchii korzyści i zdobycze? W każdym razie nie tu dopatrzeć się można zwycięstwa przewodniej myśli jej polityki, a jednak wyczerpaliliśmy już wszystkie artykuły dotyczące dziedziny austriacko-węgierskiej. Pozostaje wprawdzie artykuł 25, ten stanowi o zajęciu przez Austro-Węgry Bośni i Hercegowiny. Czyżby tu miało być zwycięstwo przewodniej myśli, która kierowała polityką monarchii, od podróży cesarza do Dalmacyi, do kongresu berlińskiego. Ile razy rząd, ile razy ministrowie i minister spraw zewnętrznych mówili o tej sprawie, tyle razy zapewniali, że zajęcie lub nawet przyłączenie tych krajów, nie może być ani ostatecznym celem, ani dostatecznym zadośćuczynieniem, że co najwięcej nastąpić może z konieczności. Jednak ten artykuł 25 jest jedyny ważniejszy, dotyczący politycznego stanowiska Austro-Węgier, zatem albo on był celem, albo celu nie było.

Pragnienie zajęcia Bośni i Hercegowiny było od dwóch lat jawną tajemnicą. Zaznaczyliśmy jak ważnym, przeważnym było czynnikiem, jak dwa w monarchii kierunki zlały się dla spełnienia go i wreszcie jak zapisaniem zostało w konwencji tajnej z 15 stycznia 1877 r. zawartej z Rosją. Zadośćuczynienie temu pragnieniu nie było niespodzianką i nie zrobiło też wra-

żenia niespodzianki. Niepodobna jednak poczytać jako zwycięstwo, rozwiązania, które dla szczegółu jeżeli nie poświęca, to przecież naraża całość zadania. Wiemy, że nabycie dwóch krajów ma dla państwa zawsze znaczenie. Jak są jednak majątki, tak są i kraje, których nabytek mniejsze przedstawia korzyści. Nabytek Bośni i Hercegowiny był zajęciem stanowiska strategicznego głównie ze względu na Dalmację, której bezpośrednio nikt nie pożądał, bo przecież nawet wicherzenia włoskie zwróciły się zaraz do Tryestu i Trydentu, których zajęciem Bośni i Hercegowiny nie zasłoniło się.

Jedynem zatem istotnem znaczeniem Bośni i Hercegowiny być mogła podstawa nie tyle do wojny z Rosją, ile do działania słowiańskiego przeciw panslawizmowi. Ale tam właśnie okazało się ono złudzeniem.

Obrachunek już skończony stwierdza prawdę słów Machiavelle: „Największą wadą państw słabych jest, iż są wahającymi, tak, że wszelkie ich postanowienie narzucone jest im siłą wypadków, a jeżeli wynika stąd jakie dobro, to raczej jest zasługą konieczności, pod wpływem której działały, niż ich przezorności“. I niema tu wyjścia, albo zajęcie Bośni i Hercegowiny było koniecznością, której uleż trzeba było, albo był to cel. Niepodobna nam jednak pominąć, iż artykuł 25 mówi tylko o zajęciu, zajęcie zaś nie miało by już zgoła znaczenia, gdyby nie nastąpiło przyłączenie, żądza przytem posiadania raz rozbudzona jest silną i zachodzi pytanie, czy przyłączenie nie trzeba będzie i nie okupi się kiedyś nowemi ustępstwami i to nie na rzecz Turcyi. Czy zaś usadowienie się wpływu Rosyi nad Dunajem i na półwyspie bałkańskim, stworzenie państw religijnie i plemiennie z nią złączonych, mających żądze dla monarchii Habsburgów niebezpieczne oraz podkopanie bytu Turcyi, mogą być korzystnymi dla niej i czy posiadanie Bośni i Hercegowiny, może te wyniki wojny

wschodniej i traktatu berlińskiego zrównoważyć? Niech zdrowy rozsądek odpowie.

Zatem nietylko zwycięstwa przewodniej myśli, ale wogóle myśli przewodniej odnaleźć nie mogliśmy. Rrachunek końcowy wykazuje skutki dwóch polityk i powstałej z nich, wahającej się. Monarchia Habsburgów rozumiała straty i niebezpieczeństwa, które jej groziły, ale nie próbowała ich zażegnać, aby nie pozbyć się korzyści; chciała być powstrzymać Rosyę na Wschodzie, ale pozyskać Bośnię i Hercegowinę. Ztąd nie przeszkadzała Rosyi, tem samem dopomogła jej.

Główną, rzeczą ogólne położenie, stworzone traktatem berlińskim. Sposobność opuszczona i zmarnowana przez monarchię Habsburgów lub też niemożność użytkowania jej, zrzeczenie się zatem walki zaczepnej z Rosyą, która nie przelamana, ale upokorzona, miała drogę, prowadzącą do bezpośrednich na Wschodzie zdobyczy pozornie nowemi tworam opóźnioną, ale otwartą dla swojego wpływu na Wschodzie, oraz wśród słowiańskich ludności Austro-Węgier.

Na pół niepodległa Bułgaria i odzyskana część Besarabii to nowe gościńce, po których postępować mogła i wicherzyć Rosya w imię panslawizmu. Niepodległa Rumunia to niebezpieczeństwo dla Siedmiogrodu. Niepodległa Serbia i niepodległa Czarnogóra, to magnesy dla Serbów austryackich, oraz dla Bośni i Hercegowiny. Monarchia Habsburgów pozostała zaś sama i odosobniona na straży swoich spraw na Wschodzie i swoich od Wschodu granic.

Traktat berliński i umowa angielsko-turecka z 4 czerwca 1878 r. to także dla monarchii Habsburgów stwarzały niebezpieczeństwo, że odgraniczały sprawy w ten sposób, iż austryacko-węgierskie mogły być dotknięte, bez szkody dla angielsko-tureckich, kiedy przeciwnie naruszenie turecko-angielskich stwarzałoby niebezpieczeństwo dla Austro-Węgier. Przedtem nie mogło

być wojny z Rosją, w którejby Austro-Węgry nie liczyły na Turcję. Po traktacie berlińskim, gdyby zagrożone były od północno-zachodniej granicy, nie znalazłyby już sprzymierzeńca w Turcji bałkańskiej.

Przeciwiństwo między Austro-Węgrami i Rosją nie zażegnanem, przeciwnie zaostrozom zostało a rozegranie go odbyłoby się w warunkach mniej dla monarchii Habsburgów korzystnych, niż przed traktatem berlińskim. Dopilnowania wykonania warunków traktatu nie poruczono nikomu, ale spadło ono nieuniknienie na Austro-Węgry. Słowem, tysiące niebezpieczeństw i tysiące pytań w zamian za małe i wątpliwej wartości korzyści, oraz utrata na zawsze pomocy Anglii, zwłaszcza Turcji.

Nawet z osłabienia Rosyi i konieczności odпочęcia najmniej skorzystać mogła monarchia Habsburgów. Stawianie czoła wpływowi pierwszej na Wschodzie musiało być niewdzięcznem zadaniem i bezskutecznem. Panslawizm zaś mógł dalej wicherzyć i działać rozkładowo w Austro-Węgrzech. W najbliższym czasie oczekiwane należało nowego, gwałtownego jego przyływu. Traktat berliński dla wszystkich, głównie dla Austro-Węgiei stworzył zagadkową tymczasowość. Wobec niej monarchia Habsburgów natychmiast musiała pomyśleć o zasłonięciu się wojskowem i spieszenie wziąć się do wzmożenia i ubezpieczenia północno-wschodniej granicy, którą Dunajewski wskazał był jako zagrożoną i do spiesnych robót około twierdz Krakowa i Przemyśla.

W skutku nieuniknionego z Rosją współzawodnictwa, Austro-Węgom przypadło po niewczasie rzekome zadanie występowania i działania przeciw panslawizmowi na półwyspie bałkańskim.

Mogły one jedynie zużytkować, wyzyskać i podnieść znaczenie traktatu berlińskiego i artykułu 25, szeregując świat słowiański, jako przeciwstawienie panslawizmu, przyciągając do siebie wątpliwych, wzmacniając

wiernych, dając wszędzie opiekę i poparcie samodzielności ludów słowiańskich; opierając się na Polakach, przeistaczając innych Słowian w takich Słowian, jakimi są w Austrii i dla Austrii Polacy. Spełnić mogła to zadanie monarchia Habsburgów i wytworzyć myśl przewodnią przyszłości, skoro jej brakło w przeszłości, powtarzając piękne słowa mowy lorda Beaconsfielda po kongresie berlińskim: „Nie rachujemy przecież jedynie na nasze wojsko i na nasze okręty, ażeby utrzymać naszą potęgę, rachujemy nierównie więcej na zaufanie, które w nas pokładać będą ludy, i na przekonanie, że będąc w możności poparcia naszej polityki siłą, jesteśmy państwem opartem na wolności, prawie i sprawiedliwości“. W tem mogła być przyszłość i zbawienie; nie można było zażegnać przeciwności, ale przechylić szalę korzyści traktatu berlińskiego.

Do tego jednak trzeba było chcieć i módz „poprzeć politykę siłą“. Było to przecież ani prawdopodobnem ani możliwem bez zapewnionej pomocy cesarstwa niemieckiego. Odkąd zaś na nią liczyć nie można było na Wschodzie, niepodobna było oczekiwać ani przewagi ani zwycięstwa.

Tymczasowość, niepewność, przeciwności zaostrzone, a nie zażegnane, panslawizm upokorzony, nie zwalczony, Anglia zaspokojona na morzu Śródziemnem, ze zwróconemi na Egipt oczami, Francya odosobniona w Europie a zadawałająca się na razie myślą zajęcia Tunisu, Włochy niezadowolone, a cheiwością rozgorączkowane, Rosya zmuszona odpocząć i skazana na współzawodnictwo z monarchią Habsburgów, jedna i druga na długo zajęte niem, dług wdzięczności łatwo niby spłacony przez Niemcy Rosyi, środkowa i zachodnia Europa oddane na łaskę i niełaskę cesarstwa niemieckiego z milionem bagnatów, to cesarstwo zabezpieczone przed wszelką zewnątrz zaczepką i któremu nikt oporu stawieć nie mógł — oto traktat berliński, który obrócił się

tem samem na korzyść wielkiego dzieła, wielkiego kanclerza, ks. Bismarcka.

A tak gdy już nie siłą, lecz zręcznością działał, jeszcze zwyciężał.

Minister policyi Napoleona I, Fouché powiedział:

L'habileté obtient les mêmes hommages que la puissance, parcequ'elle en est une ¹⁾.

¹⁾ Zręczność zdobywa te same hołdy co potęga, bo jest nią także.

ROZDZIAŁ XVI.

Po traktacie berlińskim. — Dwa zadania monarchii Habsburgów; jedno dotyczące szczegółu, drugie całości położenia. — Zajęcie a nie nabycie Bośni i Hercegowiny. — Zdobyć tych krajów. Stronnictwa wobec zajęcia. — Rozumne zachowanie się Węgrów i Polaków, antypaństwowe wiernokonstytucyjnych Niemców. — Stronnictwo, które zdradza sprawę państwa, zdradza własną. — Jako Austro-Węgry musiały po traktacie berlińskim nabyć te kraje. — Pomimo ujemnych stron zajęcia, najdodatniejszy czyn panowania. — Monarchia Habsburgów nie była już zdolna inaczej zaznaczyć swojego mocarstwowego stanowiska. — Fałszywe o sobie mniemanie, wytwarza fałszywe położenie. — Takowego Austro-Węgry nie miały już podczas wschodnich wypadków. — Popadły w nie znówu odnośnie do całości położenia, stworzonego traktatem berlińskim. — Tymczasem następstwa wahającej się polityki dały się czuć natychmiast w ogólnem położeniu. — Monarchia Habsburgów szukać musi bezpieczeństwa w objęciach cesarstwa niemieckiego. — Sojusz austriacko-niemiecki. — Ostatni czyn hr. Andrassego. — Jego ustąpienie. — Hr. Juliusza Andrassego polityka. — Istota sojuszu austriacko-niemieckiego skazuje Austro-Węgry na bierność. — Rosya. — Stosunek Austro-Węgier do Rosyi po traktacie berlińskim. — W zaostrzonym współzawodnictwie monarchia Habsburgów nie miała widoków powodzenia, skoro nie mogła liczyć na siłę cesarstwa niemieckiego w walce na gruncie wschodnim. — Rosya zrozumiała także bezużyteczność współzawodnictwa i dostrzegła jego szkodliwości wobec wzrostu państwa niemieckiego. — Ztąd przyszło w 1897 r. do porozumienia, które sprostowało położenie Austro-Węgier. — Względne bezpieczeństwo. — Jako nie dobrze jest być państwem, którego byt opiera się nie na samem sobie, ale na zewnętrznych warunkach i obcych rachubach, jako gorzej jest być narodem pozbawionym bytu państwowego a jeszcze gorzej być narodem podzielonym między trzy państwa.

Odpowiednio do istoty rzeczy oraz polityki monarchii Habsburgów w wypadkach wschodnich dwa stanęły

przed nią zadania bezpośrednio po zawarciu traktatu berlińskiego. Jedno odnoszące się do szczegółu, drugie do ogólnego położenia.

Szczegół, nabycie Bośni i Hercegowiny, załatwiony został zasadniczo na kongresie, jak wiemy połowicznie. Austro-Węgry miały prawo zająć, ale nie posiadać tych krajów. Istotnie jednak zajęcie musiało nabrać mocy nabycia, bez czego byłoby po wojnie i traktacie berlińskim bezcelowem i bezprzedmiotowem.

Znamie zresztą nabycia *de facto*, choć nie *de jure* nadawał nieokreślony czas trwania zajęcia. Na posiedzeniu kongresu berlińskiego 28 czerwca, skoro lord Salisbury podniósł rzecz o zajęciu, hr. Andrassy natychmiast zastrzegł się i oświadczył: iż Austro-Węgry podjąć się go mogą tylko pod warunkiem nieograniczonego jego trwania.

Rzecz opierała się na dwuznaczniku, którego następstwa szkodliwe, dopiero kiedyś w przyszłości mogły się dać uczuć. Obecnie szło o spieszne i sprężyste przeprowadzenie połowicznego załatwienia.

Konwencya o szczegółach zajęcia wzmiankowana w traktacie berlińskim opóźniała się, gdyż Sultan podnosił trudności dotyczące jego praw, jako udzielnego władcy.

Wojska austriacko-węgierskie pod dowództwem generała Filipowicza, nie czekając na zawarcie konwencyi, wkroczyły 29 lipca 1878 r. do Bośni i Hercegowiny i na wstępie spotkały się ze zbrojnym oporem mahometańskiej ludności, zachęcanym przez Turcyę, w którym jej żołnierze nieregularni, Arnaucci, przeważny brali udział. Nastąpiły krwawe walki. Oporem kierował Hadzi Loya, tak, iż zajęcie przemieniło się w podbój. Już 4 października obydwaj kraje były zupełnie uśmierzone i zajęte. Hadzi Loya wzięty do niewoli. Niebawem w skutku niezręcznego postępowania, ludność chrześcijańska zrażoną została, zwłaszcza ściąganiem dziesięciny, wpraw-

dzie prawnie istniejącej, lecz której władze tureckie nie pobierały. Fiskalne dokuczliwości zaraz wywołały niezadowolnienie i niechęć. Wichrzenia panslawistyczne dołożyły starań, aby podniecić nieprzyjaźń Serbów przeciw nowo przybyłym do kraju zarządcom i ci na wstępie musieli się z nią liczyć, w niektórych wypadkach z ich oporem.

Zajęcie wykazało bezpośrednio, że monarchia Habsburgów straciwszy przyjaźń Turcyi nie pozyskała dla siebie ludów słowiańskich półwyspu bałkańskiego.

Pewien dygnitarz turecki zaznaczył zapatrywanie się Porty w następujący sposób. Gdy mu wspomniano o względach, należnych przyjaciółom Turcyi, odrzekł: „Przyjaciele, nieprzyjaciele nasi; ależ my ich już nie rozróżniamy, przyjaciele większe nam wyrządzili krzywdy niż nieprzyjaciele“. Słowiański zaś świat widział w zajęciu Bośni i Hercegowiny już nie wyswobodzenie Słowian z pod jarzma tureckiego, lecz poddanie ich pod niemiecko-węgierskie, lecz zaporę stawioną ich przyrodzonemu i samoistnemu rozwojowi, co obracało się na korzyść wpływu na Wschodzie Rosyi oswobodzicielki.

Istotnie nie mówiąc już o kilkowiekowej opiece, używanej zawsze przez Rosyę Słowianom tureckim, pozornie czy nie, na razie przynajmniej, uszanowała ona była i uświęciła nad Dunajem i na półwyspie bałkańskim, zasadę narodowości, i wstrzymała się od bezpośrednich nabytków w tej dziedzinie. Austro-Węgry nie wkraczały do Bośni i Hercegowiny w imieniu zasady narodowości i zamierzały zachować je pod bezpośrednim zarządem.

Był to znowu podwójny skutek polityki wahającej się.

Skoro przeszłość odrobioną już być nie mogła, skoro ogół sprawy nieodwołalnie poświęconym był dla szczegółu, Turcyja a z nią Wschód dla nabycia Bośni i Hercegowiny, to znowu zadaniem rozumnej polityki

było, szczegół zabezpieczyć, nabytek Bośni i Hercegowiny przeprowadzić i zapewnić. Zrozumieli to Węgrzy i Polacy i aczkolwiek przeciwnymi byli poświęceniu ogółu dla szczegółu, skoro sztandar czarno-żółty ukazał się w Bośni, zszeregowali się koło niego i nie odmówili monarsze ani poparcia ani potrzebnych środków. Tym sposobem nietylko spełnili obowiązek polityczny, ale znaczne zapewnili sobie korzyści: Węgrzy przeważne w monarchii Habsburgów stanowisko i wpływ na jej sprawy; Polacy także same stanowisko i wpływ w Austrii. Inaczej postąpili Niemcy wolnomyślni. Upierali się po niewczasie przy oporze przeciw zajęciu Bośni i Hercegowiny i wtedy, kiedy już nie innego prócz tych krajów nie było do pozyskania, sprzeciwiali się ich nabyciu; nie chcąc powiększać ludności słowiańskiej w monarchii. Kiedy na kongresie berlińskim stanęła rzecz o zajęciu przez Austro-Węgry Bośni i Hercegowiny, stronnictwo wolnomyślne niemieckie, tak zwane wiernokonstytucyjne, uderzyło na własne ministerium ks. Adolfa Auersperga, oświadczając, iż to zajęcie zgubnem będzie dla monarchii. Ministerium podało też prośbę o uwolnienie 13 lipca 1878 r. w dniu podpisania traktatu berlińskiego. Kiedy cesarz 22 października powierzył bar. Pretis utworzenie gabinetu, stronnictwo wiernokonstytucyjne nie zgodziło się z jego zapatrywaniem na sprawę zajęcia a 29 października uchwaliło w Radzie Państwa adres do Korony, potępiający je ze względów politycznych i pieniężnych. Stronnictwo bez powodzenia przeniosło opór przeciw zajęciu do Delegacyi wspólnych. Wreszcie w styczniu 1879 r. stronnictwo wniosło odrzucone przez większość w Radzie Państwa potępienie traktatu berlińskiego. Zasłepienie nad samym sobą było niesłychane. To postępowanie w sprawie zajęcia Bośni i Hercegowiny dlatego, że niepolityczne, musiało się na stronnictwie zemścić. Istotnie pozbawiło je kierownictwa w Austrii i na dłu-

gie lata władzy. Po licznych przejściach i przesileniach dnia 12 sierpnia 1879 r. hr. Taaffe mianowany został ministrem prezydentem i w dniu tym ustały nietylko rządy stronnictwa wiernokonstytucyjnego, ale przewaga Niemców w Austrii.

Było to następstwem i karą za narażenie państwowego stanowiska monarchii i działanie przeciw niemu. Stronnictwo, które zdradza sprawę państwa, zdradza własną.

Monarchia Habsburgów, skoro ogół sprawy wschodniej był poświęcony, musiała ratować i ubezpieczyć szczegół, to jest zajęcie Bośni i Hercegowiny, bez czego byłaby wyszła z wypadków z samemi stratami. Szkodliwym było poświęcać ogół dla szczegółu, zaprzepaścić także szczegół byłoby błędem. Nieroztropnem było ułatwiać Rosyi wojnę z Turcyą na to tylko, aby dostać Bośnię i Hercegowinę, ale do tego jeszcze, nie zapewnić ich sobie, byłoby nedorzecznem. Byłoby to skazać się dobrowolnie na przedwczesną bierność niezgodną z mocarstwowem stanowiskiem, którego ponosiłoby się ciężary bez wynagrodzeń. Była to dalej sposobność, niedostateczna wprawdzie, powetowania strat poniesionych w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia a tej nigdy państwo opuścić nie może. Znajduje się znaczące zdanie, w przytoczonej wyżej mowie Dunajewskiego, które przecież raczej do ogółu sprawy wschodniej, niż do szczegółu zajęcia Bośni i Hercegowiny się stosowało.

„Odkąd w skutku nieszczęść spadłych po kolei na Austryę w ostatnim okresie czasu, Włochy i Niemcy stanęły poza zakresem jej władzy i wpływu, pozostała Austrii osłabionej, jak to dostojne zgromadzenie zapewne przyzna, ale jak się spodziewam, nie złamanej, jedyną tylko alternatywa: albo trzymać się zdala od wszystkich spraw europejskich i poprzestać na skromnem życiu wewnętrznem, albo politykę zagraniczną zwrócić na Wschód z całą siłą, jaką państwo rozporządzać może.

Pierwsze nie byłoby może dobrem a dla wielkiego państwa nie byłoby z pewnością możebnem. Wielkie państwo a polityka mała i zaściankowa, to sprzeczności, które nigdy, przynajmniej trwale i na długo, zgodzić się nie dadzą. Nie samym chlebem żyje człowiek, już Pismo Święte to powiedziało, a nie samą skromną, wewnętrzną, domową pracą żyją wielkie państwa. Nawet gdyby sąsiednie państwa, co się wcale przypuścić nie da, nie przeszkadzały takiemu skromnemu, cichemu bytowi, to samemu rozwojowi oświaty i cywilizacyi wewnątrz monarchii, nie wyszłoby to na pożytek, gdyby monarchii tej tak wielkiej, zakreślić na długo takie ciasne koło drobnych zadań i celów“.

Nawet istota nabytku Bośni i Hercegowiny nie wolna od ujemnych stron, nie mogła już teraz przemawiać za zaniechaniem takowego, albowiem najzgubniejszą dla państwa niemocą jest niezdolność nabywania i użytkowania nabytków. Musi ono do końca próbować, choćby bezowocnie. Wobec wyników ostatecznych wojny wschodniej i traktatu berlińskiego, monarchia Habsburgów musiała, licząc się ze swoim mocarstwowym stanowiskiem, zapewnić sobie nabytek Bośni i Hercegowiny. Był to dla niej przymus. Pomimo pochodzenia tego przymusu, które wykazaliśmy, pomimo ujemnych stron całego obrotu rzeczy, zapewnienie monarchii Bośni i Hercegowiny jest najdodatniejszym czynem panowania cesarza Franciszka Józefa I. Zastanawiając się nad położeniem monarchii Habsburgów wytworzonym dwoma, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, poniesionemi klęskami i stratami; nad obrotem jej wewnętrznych stosunków i podziałem na dwa państwa, złączone sztucznemi urządzeniami, wreszcie oceniając warunki w jakich już się znalazła wobec wschodnich wypadków i okoliczności, z którymi przyszło się jej liczyć, dojdzie się do przekonania, że niezdolną była, ani też mogła innych odnieść korzyści, oraz

zaznaczyć się inaczej jako mocarstwo. Było to smutnem następstwem dawnych błędów, nowym, mogło być, niezrozumienie tego. Falszywe o sobie mniemanie wytwarza fałszywe położenie. Takowego zarzucić polityce Austro-Węgier podczas wypadków wschodnich nie można, raczej przychodzi powiedzieć, że zbyt wiele przejęta była swoją niemocą i dlatego przywiązując się do szczegółu, nawet nie pokusiła się o uratowanie całości zadania. Niemniej, zapewne sztucznym, ale nielada fortellem politycznym było, pozyskanie dwóch krajów za pomocą wojny, prowadzonej przez inne mocarstwo.

Wahająca się polityka monarchii Habsburgów, jeżeli w poprzednich okresach była błędem, to w wypadkach wschodnich, o których mówiliśmy, była już następstwem jej zewnętrznego położenia i wewnętrznych stosunków jej słabości i jej poczucia. Urodziła przymus, lecz była dzieckiem przymusu.

Wahająca się polityka wytworzyła dla drugiego po traktacie berlińskim zadania, odnoszącego się do całości sprawy, fałszywe dla monarchii położenie, bo też fałszywe w tej mierze, znowu żywić zaczęła o sobie mniemanie. Zrozumiałwszy, że wojny rosyjsko-tureckiej zapobiedz nie może i inaczej jej zużytkować, jak zajęciem Bośni i Hercegowiny, łudziła się po wojnie i traktacie berlińskim, że zdoła zażegnać niebezpieczeństwa przez tę wojnę sprowadzone, nawet obrócić na własną korzyść jej wyniki odnoszące się do całości sprawy.

Tymczasem następstwa wahającej się polityki zaraz czuć się dały w ogólnem położeniu. Rosya ani przeboleła ani przebaczyła nadanego wypadkom i wynikom wojny obrotu, ani sztucznego fortelu. Upokorzenie zaostrzyło jej przeciwieństwa i współzawodnictwo z Austro-Węgrami, stwarzając groźne dla nich niebezpieczeństwa. Jednocześnie żal głęboki Rosyi popchnął ją do zbliżenia się do Francyi. Cesarstwo niemieckie w skutku tego

uznało potrzebę ściślejszego zespolenia się z Austro-Węgrami. Monarchia Habsburgów nie czując się na sile stawienia czoła Rosyi i jej żądzy na niej i na Wschodzie odwetu, łatwiejszego niż na cesarstwie niemieckiem, zmuszoną się ujrzała szukać bezpieczeństwa w objęciach Niemiec, które stały jej otworem. Siódmego października 1879 r. zawartem zostało przymierze austriacko-niemieckie, a w styczniu 1883 r. przez przystąpienie do niego Włoch, potrójne. Monarchia Habsburgów przyjęła w całej pełni następstwa wypadków 1866, 1870 i 1871 r., okazała się raz jeszcze nicość w polityce „nigdy“ i Austro-Węgry bardziej stały się zależnemi od nowego cesarstwa niemieckiego, wbrew ich składowi, powołaniu i zadaniu pozostania państwem rozgraniczającym i równoważącym potęgę Niemiec i Rosyi.

Przymierze austriacko-niemieckie zawarł i podpisał hr. Andrassy, poczem ustąpił bezpośrednio ze stanowiska ministra spraw zewnątrznych Austro-Węgier. Rzadki to był wypadek męża stanu, opuszczającego władzę u szczytu powodzenia osobistej polityki, powodzenia podwójnego, względnego w sprawie wschodniej i całkowitego przez zawarcie sojuszu z cesarstwem niemieckiem, do którego od początku zmierzał.

Powód istotny pozostał nieznanym. Ustąpienie zapowiedzianem było od pewnego czasu. W piśmie odręcznem cesarza z 10 października 1879 r. znajdował się jedynie wzgląd na zdrowie, nie polityczny i nie dostateczny, oraz wyrazy wdzięczności za oddane usługi.

Tajemniczość zatem otaczała cofnięcie się z życia publicznego hr. Andrassego i dodawała mu uroku. Sposób w jaki załatwił był na kongresie rzecz o Bośni i Hercegowinie, zajęcie, nie zaś prawne nabycie tych krajów, wywołało było, jak wiemy, niezadowolenie i odtąd istniało między ministrem a przedstawicielami drugiego w sprawie wschodniej kierunku, o którym często

mówiliśmy, między nim a wojskowemi kołami, głównym sztabem, kancelaryą wojskową cesarza i jej naczelnikiem bar. Beckiem przeciwieństwo, które wywoływało starcia. Wzmogło się to przeciwieństwo, którego początki zaznaczyliśmy podczas manewrów w Czechach w 1856 r. Nie zażegnało go nawet zajęcie wojskowe przez Austro-Węgry sandzaku Nowego Bazaru, na mocy umowy co do szczegółów z 21 kwietnia 1879 r. zawartej przez hr. Andrassego z Turcyą. Hr. Andrassy spostrzegłszy, że w skutku tego przeciwieństwa nie cieszył się już temi samemi co dawniej łaskami Monarchy, postanowił zakończyć zawód wielkiem powodzeniem, jakim było zawarcie sojuszu z cesarstwem niemieckiem. Z drugiej strony Monarcha zużytkował był już należycie jego w Węgrzech wzięcie. Przeważać zaś zaczęła chęć przejednania Czechów, jakby dla zrównoważenia sojuszu z Niemcami i to głównem na razie było zajęciem i życzeniem cesarza. Kiedy jednemi drzwiami hr. Andrassy wychodził z pałacu na *Balplatzu*, drugimi wchodzili do Rady Państwa posłowie czescy z prawnem zastrzeżeniem i większem stawało się stanowisko hr. Taaffe prezesa gabinetu austriackiego niż bar. Haymerle następcy hr. Andrassego w ministerstwie spraw zewnętrznych. Nie będziemy kreślić wizerunku hr. Juliusza Andrassy. Nadaje się on raczej do fotografii jak do portretu, fotografia zaś odbiła się dokładnie w wypadkach, które przedstawiliśmy. Hr. Andrassy był z początku swojego państwowego zawodu, przedstawicielem walki z panslawizmem i przełamania potęgi Rosyi z udziałem Turcyi, w przymierzu z cesarstwem niemieckiem, na gruncie sprawy polskiej. Temu swojemu politycznemu powodowi bytu, musiał się przენiewierzyć, przekonawszy się o jego niemożebności, uczynił to bez wahania z bardzo lekkim sercem. Zamiast walczyć, wejść musiał w porozumienie z Rosyą i panslawizmem, które zu-

pełnie wykluczyło sprawę polską, zamiast wzmocnić monarchię żywiołem polskim, przyłożył rękę do pomnożenia w niej południowo-słowiańskiego, zajęciem Bośni i Hercegowiny.

Przez czas państwowej działalności hr. Andrassego Polacy nieraz, zwłaszcza w wypadkach wschodnich, popierali go, korzystał on w pełnej mierze z ich pomocy, lecz, że czuł, iż im zgotował zawód, nie szczędził im nagany, unikał ich, pomijał i niczem się im nie wywdzięczył.

Hr. Andrassy zastąpił zasobem niepospolitych zdolności biegle i szczęśliwie wielką politykę zręczną. Tem, że się nie uparł przy pierwotnym swoim pomysłe i pomimo jego upadku pozostał przy władzy, oddał znamienitą własnemu narodowi usługę, bo zapewnił i ustalił Węgrów wpływ w monarchii Habsburgów. W walce wśród wypadków wschodnich z przeciwnym kierunkiem nadzwyczaj umiejętnie postępował i zapewnił swojemu zwycięstwo. Uniknął wspólnego z Rosją działania, które z zewnętrznych i wewnętrznych powodów pożytywał za niebezpieczne dla Węgier, szkodliwe dla monarchii, a umożliwił swojemu Monarsze zajęcie Bośni i Hercegowiny. Przeszkodził wyłącznemu monarchii Habsburgów z Rosją sojuszowi i czynnemu współdziałaniu na gruncie wschodnim, zawarł przymierze z cesarstwem niemieckiem, które było jego celem. Możemy zatem, jak rzekliśmy przy początku, powtórzyć przy końcu jego zawodu: *on ne sert bien ses idées qu'au pouvoir surtout quand les idées recourent des intérêts.*

Hr. Andrassy zawarł przymierze Austro-Węgier z cesarstwem niemieckiem nie jak pragnął pierwotnie czynne lecz bierne; zerwało ono z przeszłością monarchii Habsburgów, nie wytworzyło dla niej przyszłości.

Traktat berliński zwiększył przeciwieństwa między Rosją i Austro-Węgrami, tem samem zaostrzył ich współzawodnictwo.

Od przyjęcia chrztu przez ks. Włodzimierza Rosya rozszerzała się i wzmagala w dwóch kierunkach od strony Azji i Europy i dumna być może ze swojego wzrostu państwowego, który zawdzięcza szeregowi niezwykłych monarchów także przymiotom narodowym, których unicestwić dla państwa nie zdołały wady, nałogi, grzechy i błędy. Prawosławie stało się powolnem narzędziem politycznem, jego i państwowe cele tak dalece zespoliły się żelazem, krwią i łzami, że w Rosyi każde uderzenie w strunę religijną, jest czynem politycznym. Ztąd znaczenie wojny wschodniej, prowadzonej pod godłem oswoobodzenia chrześcian słowiańskich. Na tle prawosławia polityka rosyjska odrysuje się w olbrzymich kształtach od Petersburga przez Bałkany do Pireusu i Abissynii i aż poza Karpaty. Jest niezawodnie w tym odrysie nieco wybujałej wyobraźni, zbyt szerokie usposobienie, wiele niezdrowych żądz, ale także i rzeczywistości nie mało.

Rosya wytrwała, uparta, niezachwiana w swoich dążeniach i żądzach, chcąca straszenie tego, czego chce, oparta o swoje państwowe silne podstawy, mając tyły zasłonięte, czekać może i umie, nie zrzekając się nigdy niczego. Mimo tego, jej wady, nałogi, grzechy i błędy nieraz ją ubezwładniają, drogę przedłużają, cel oddalają. Rosyjska działalność nieraz zalotna lekceważy sobie przecież poważne środki przekonywujące, ufna w siłę używa chętnie podstępu, lecz w końcu przemocy. Rosya nie do szlachetnych uczuć i sumień, do poziomych przemawia pociągów, nie umie jednoczyć w wielkich celach i wierze w takowe, łamie lub niweczy w samolubnych ciasnych widokach. Stąd przy wielu chlubnych w jej dziejach wspomnieniach, szereg okrutnych, nieraz niepotrzebnych, bezużytecznych gwałtów religijnych, niecnym prześladowań, zdrad i bezprawii. Tymi środkami wielkie państwo i wielki naród nie zaznacza nad zna-

czną częścią świata, religijnej i duchowej przewagi; w tych sposobach pozory mogą czasem ludzić, lecz jest zawsze w nich coś poziomego tem samym małego; albowiem są to oznaki grubiańskiej siły i potęgi pozbawionej duchowej wyższości, a te w ostatecznym wyniku są niedostatecznymi, niepełnymi, znikomymi, marnymi, żądają bezwarunkowego poddania się a osiągnąć go nie mogą, bo nie zdolne sprowadzić zgody, pojednania i połączenia, brak im mocy przywiązującej i zespalającej. Tej polityki bezużytecznie prześladowczej, dokuczliwej i odpychającej, pozbawionej niezbędnej do wielkich rzeczy wyższości, przyczynami i działaczami są w Rosyi dwie kasty, urzędnicza i teokratyczna; te właśnie co najmniej przyczyniły się do wzrostu i potęgi państwa, które dokonane i zapewnione zostały przez niezwykłej miary władców, lud, wojsko, szlachtę i dyplomacyę w części złożoną z obcych żywiołów. W samolubnych, ciasnych celach, dwie kasty, urzędnicza i teokratyczna, zarażone nałogami i wadami, przekupstwem i samowolą, postępowaniem swoim, polityką swoją, zwalniają i skrzywiają pochod Rosyi. Pasożyty te szukają tylko żeru w znamienitych czynach i zdobyczach innych czynników. Ztąd jednak wynika, że Rosya ma w ręku nie użytą siłę -- zmianę postępowania. Czy jej użyć zdolna, czy potrafi i zechce od tego zawisłemi są losy świata słowiańskiego. Na to pytanie Rosya odpowiedzi nie dała i nie daje, chociaż zdaje się nie ufać w stosunkach europejskich swej sile materialnej a to obliczenie *in minus* kępuje ją w dziedzinie słowiańskiej i wpływa i wpływać będzie na jej postawę i zachowanie się wobec świata germańskiego.

W zaostrozonym traktacie berlińskim współzawodnictwie Rosyi z monarchią Habsburgów po stronie pierwszej pozostała siła, która jest niezbędnym czynnikiem trwałego wpływu a przez uszanowanie na półwyspie bałkańskim zasady narodowości otoczył ją urok, iż

jej siła to sprawiła. Dawna wspólność religijna wzmocniła się. Podwójny zatem powstał powód wpływu. Oslabiać go tylko mogła obawa na razie oddalona, nalogowej działalności Rosyi pod wpływem dwóch kast teokratycznej i urzędniczej. Po stronie monarchii Habsburgów nie było uroku dawnej opieki, ani dokonanych czynów na rzecz zasady narodowości na półwyspie bałkańskim, nie było siły, było przeciwieństwo religijne, nie mogło zatem być wpływu, zwłaszcza równej z rosyjskim o takowy walki, bo nawet nie mogło być nadziei, aby Austro-Węgry zdolowały zażegnać w danym razie obawę.

W tych warunkach, od chwili jak Austro-Węgry nie mogły liczyć na dopełnienie brakującej im siły potęgą niemieckiego cesarstwa w sprawach wschodnich, od chwili jak niejednokrotnie ks. Bismarck przestrzegł je o tem i głośno oświadczył, iż Wschód mało obchodzi Niemcy, od chwili jak ich sojusz z cesarstwem niemieckiem z 7 października 1879 r. wyłącznie odporny skazał je na bierność, czczem stawało się dla monarchii Habsburgów czynne, zaczepne działanie na Wschodzie, bez widoku powodzenia, tem samem współzawodnictwo z Rosją było bezowocnem, bezcelowem, jałowem i zamieniało się w bezużyteczny, szkodliwy wydatek zasobów, w szermierkę, w której tylko rany otrzymać mogła, nigdy pokonać przeciwnika.

Rosya, gdy się namiętności panslawistyczne nieco u niej uspokoiły zrozumiała, że wielkie wzmoczenie się państwa niemieckiego, ze względu na jej państwową potęgę i plemienne zadanie, było przeważnem zdarzeniem dziejowem, z którem przyszło jej głównie się liczyć, oceniła, że Austro-Węgry ani co do pierwszej ani co do drugiego, groźnemi ani niebezpiecznemi jej być nie mogą, że raczej potrzebnemi są, pomocnemi być mogą, wobec dziejowego zwrotu, w skutku którego spotężniało wielce plemię niemieckie zespolone w silne państwo i zdaje się przekonała się, że stąd współzawodni-

ctwo na Wschodzie z Austro-Węgrami nie potrzebnem, raczej szkodliwem jest, zresztą zbytecznem, że się obrócić może na korzyść niemieckiej potęgi, że zatem ograniczyć należy, na razie przynajmniej, jego rozmiary.

Z tych podwójnych, wzajemnych powodów mogło przyjść do porozumienia między Austro-Węgrami i Rosyą, które z korzyścią zastąpiło ciągle przeciwieństwa. Nastąpiło ono za bytności cesarza Franciszka Józefa w Petersburgu w 1897 r. i znalazło wyraz w dwóch notach ministrów spraw zewnętrznych hr. Gołuchowskiego i hr. Murawiewa odnoszących się do spraw wschodnich; następnie wzmożone układem między hr. Gołuchowskim i następcą hr. Murawiewa, hr. Lamsdorfem przy końcu 1902 r. jest biegle przeprowadzonym przez hr. Gołuchowskiego, dziełem cesarza Franciszka Józefa, który usiłował zawsze zachować związek monarchii Habsburgów z cesarstwem rosyjskiem, co było roztropnością i zrozumieniem położenia monarchii, skoro ta nie staczała walki stanowczej z Rosyą i nie miała szukać nowej przyszłości w przeciwieństwie do panslawizmu, na korzystnym dla niej gruncie polskim.

Tym sposobem Austro-Węgry mniej stały się zależnemi, bo nie wyłącznie od cesarstwa niemieckiego i zajęły między niem a cesarstwem rosyjskiem zgodne z ich składem, powołaniem, zadaniem i położeniem, wytworzonem w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, stanowisko państwa, rozgraniczającego i równoważącego potęgę Niemiec i Rosyi. Na niem strzedz się należy jednak małoduszności, w wielkich tego świata sprawach nikogo ona nigdy nie przeblaga, często jest przyczyną zmarnowania sił i sposobnej chwili. Tylko wielkodusznością staje się na wysokości wielkich niebezpieczeństw. Monarchia Habsburgów w powyżej zaznaczonym obrocie rzeczy, znalazła na razie bezpieczeństwo. W skutku wypadków drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, oraz tych, które są przedmiotem tej rozprawy, więcej i czego

innego już poszukiwać nie mogła. Ożywczej myśli pozbawiona, wyższych dążeń zrzec się musiała, zastąpiła je troską o byt. Każde z pięć mocarstw europejskich ma ogólne, wyższe życzenia i żądze, Anglia nawet ocknęła się i nie szczędzi ofiar dla zachowania światowego stanowiska. Austro-Węgry, które przedstawiają szlachetne zasady prawa publicznego, gdzie wewnątrz podniesiona, na początku drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, zasada narodowości, urzeczywistnioną została; zmuszone są wyrzec się wszelkiego posłannictwa i apostołstwa, ograniczyć się mają do skromnego zadania zachowania bytu. Ludy też monarchii Habsburgów zamiast myśleć o wielkich rzeczach, trawiają czas na drobnych sporach, parafiańskich współzawodnictwach. Nawyknięcie do nich sprawiło, że obcemi im się stały doniosłe zadania, i że są nałogowo małemi.

Bezpieczeństwo stąd jest względne, zależy bowiem nie od własnej siły, lecz od zbiegu okoliczności.

Rosya, która od traktatu berlińskiego zadowolili się musiała postęпами w Azji i prześladowaniem, oraz tępieniem polskości, nie ma dotąd odwetu za ten traktat i wie i rozumie, że nie uzyskała ani zrównoważenia ani zadośćuczynienia za wzrost cesarstwa niemieckiego, do którego się przyczyniła. Jako wielkie, żywotne państwo nie może zapomnieć i musi wcześniej czy później przypomnieć sobie słowa kardynała Richelieu: *en la voie de l'honneur et de la gloire, ne s'avancer et ne s'élever pas c'est reculer et déchoir*. W dniu, w którym je sobie przypomni, może znowu strasznie zechcieć tego czego zechce. Wtedy losy świata słowiańskiego, Austro-Węgier i Europy zależec będą od tego, czy Rosya zechce zmierzyć się i potrafi stawić czoło państwu niemieckiemu czy też zapragnie lub ujrzy się zmuszoną pierwiej podzielić się z niem rzekomem panowaniem.

Tak zatem pomimo powyżej zaznaczonego bezpieczeństwa monarchii Habsburgów, położenie jej stało się pożałowania godnem, albowiem nie dobrze jest być państwem, które nie opiera na samem sobie bytu, lecz na zewnętrznych warunkach i obcych rachubach. Gorzej przecież jest być narodem, pozbawionym bytu państwowego, nierównie gorzej narodem podzielonym między trzy państwa. Najgorzej nie być.

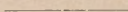




POMYŁKI DRUKU.



| Str. | wiersz | wydrukowano | zamiast |
|------|------------|-----------------|---------------|
| 52 | 5 od góry | „niesuniennie“ | niesumienne |
| 91 | 17 „ „ | „uradza“ | uradzą |
| 137 | 5 od dołu | „Wobrazcie“ | Wyobrazcie |
| 160 | 4 od góry | „hrabim“ | hrabiu |
| 170 | 9 od dołu | „wzdragają“ | wzdrygają |
| 237 | 12 od góry | „zdrowia“ | zdrowie |
| 286 | 16 od góry | „znamie“ | znamie |
| 286 | 5 od dołu | „znamie“ | znamie |
| 301 | 1 od dołu | „wykazycania“ | wykazywanie |
| 314 | 2 od góry | „wytłumaczyć“ | wytłómaczyć |
| 325 | 6 od góry | „oniemiają“ | oniemieją |
| 397 | 4 od góry | „przedtom“ | przedtem |
| 448 | 15 od „ | „jej“ | jego |
| 448 | 11 od dołu | „wielwie“ | wielkie |
| 492 | 2 od góry | „1867“ | 1870 |
| 496 | 9 od dołu | „znamie“ | znamie |
| 503 | 21 od góry | „w warunkach“ | warunkach |
| 533 | 1 od „ | „arszałka“ | marszałka |
| 574 | 16 od dołu | „żelazna“ | żelazną |
| 603 | 7 od dołu | „spotkanie“ | spotkanie |
| 617 | 2 od „ | „monarchie“ | monarchia |
| 675 | 8 od góry | „ją“ | go |
| 731 | 19 od dołu | „rzeczą, ważną“ | rzeczą ważną, |





c. d.

28578/

/2